

PATRICK GRAHAM



EWANGELIA

WEDŁUG

SZATANA

PATRICK GRAHAM
Ewangelia wedlug Szatana

„Wy macie diabła za ojca i chcecie spełniać pożądanja waszego ojca. Od początku był on zabójcą i w prawdzie nie wytrwał, bo prawdy w nim nie ma. Kiedy mówi kłamstwo, od siebie mówi, bo jest kłamcą i ojcem kłamstwa”. Ewangelia według św. Jana (8, 44)

„Siódmego dnia Bóg wydał ludzi na pastwę zwierząt tej ziemi, aby zwierzęta ich pożarły. Potem, uwięziwszy Szatana w otchłani, odwrócił się od swego stworzenia, a Szatan pozostał sam, by nękać ludzi”. Ewangelia według Szatana, Wyrocznia Szósta Księgi Uroków

„Początkowo każda wielka prawda uważana jest za bluźnierstwo”.

George Bernard Shaw, Annajanska

„Pokonany Bóg stanie się Szatanem. Zwycięski Szatan stanie się Bogiem”.

Anatole France, Bunt aniołów

CZĘŚĆ PIERWSZA

11 lutego 1348 roku,

klasztor w twierdzy Bolzano w północnej Italii

W niszy, gdzie dopalała się gruba woskowa świeca, zaczyna brakować powietrza, płomyk przygasa. Wkrótce zgaśnie, a potem rozejdzie się dusząca woń łoju i rozgrzanego osmalonego knota.

Zamurowana żywcem stara zakonnica, którą wyczerpało wydrapywanie ciesielskim gwoździem napisu w kamiennej ścianie, odczytuje go po raz ostatni wodząc po słowach opuszkami palców, bo strudzone oczy nie mogą ich już dojrzeć. Potem, upewniwszy się, że każda litera jej przesłania jest dostatecznie mocno wyżłobiona, sprawdza drżącą ręką, jak solidna jest ściana, która ją więzi. To mur z cegły, izolujący ją od świata i z wolna duszący.

Jej grób jest za ciasny, aby mogła przykucnąć lub się wyprostować, toteż od wielu godzin staruszkę dręczy ból przygarbionych pleców. Kara zamurowania. Pamięta, że czytała wiele manuskryptów opisujących cierpienia skazańców, których Święta Inkwizycja więziła w kamieniu, wcześniej wydobywszy

od nich zeznania – winne spędzenia płodu, czarownice i zatraceńcy, którym szczypcami i przypalaniem wydarto z ust tysiące imion diabła.

W pamięci utkwiał jej przede wszystkim pergamin opisujący zdobycie w ubiegłym stuleciu klasztoru Servio przez wojska papieża Innocentego IV. Pewnego dnia dziewięciuset rycerzy otoczyło mury, za którymi, jak powiadano, opętani przez złe moce mnisi odprawiali czarne msze, podczas których rozcinali łona brzemiennych kobiet, by pożerać ich płody. Za armią, której

straże przednie rozbijały już taranami bramy, ciągnęły karoce i wozy trzech sędziów Inkwizycji oraz przybyli z nimi notariusze, zaprzysiężeni kaci i ich śmiercionośne narzędzia. Brama runęła. Mnichów zastano w kaplicy. Klęczeli. Przyjrawszy się temu cichemu, cuchnącemu grzechem zgromadzeniu, najemnicy papieża wyróżnili najslabszych, głuchych, niemych, garbatych, kulawych i głupków, pozostałych zaś powiedli do lochów, gdzie przez tydzień, dniem i nocą poddawali ich torturom. Przez cały ten czas lały się łzy, a mury drżały od niehumanicznego wycia. Przerażeni słudzy dźwigali wiadra cuchnącej wody, by polewać nią posadzkę, na której zasychały kałuże krwi. I wreszcie, gdy poświata księżycy odśloniła ogrom rozpasania, ci, którzy przetrwali rozciągania i rwanie ciała rozpalonymi szczypcami, ci, którzy wyli, ale nie konali, gdy kaci przebijali im pępki i wyciągali wnętrzności, lub nie umarli, choć ich przypalano, zostali zamurowani i dogorywali w podziemiach klasztoru. Czterysta szkieletów pozostało po ludziach, którzy krwawiącymi palcami drapali granitowe ściany. Teraz przyszła kolej na nią. Lecz stara zakonnica nie przeszła udręki tortur. Aby uciec przed demonicznym zabójcą, który zakradł się do klasztoru, matka Izolda z Trydentu, przełożona augustianek z Bolzano, zamurowała się tu sama, własnymi rękoma! Zaprawą murarską i ceglami zamknęła niszę w murze, swoje obecne schronienie, mając przy sobie tylko kilka świec, parę należących do niej rzeczy i woskowane płótno, kryjące straszliwy sekret, który zabrała ze sobą. Nie chciała, by zaginął na zawsze, lecz żeby nie wpadł w szpony Bestii, która zamierzała

ją dopaść w tym świętym miejscu. Był to zabójca

bez twarzy, który noc po nocy wymordował trzynaście zakonnic z jej kongregacji... mnich... a może coś nieznanego, co ukryło się pod świętym habitem. Trzynaście nocy. I trzynaście rytualnych zabójstw. Od tego zmierzchu, kiedy zawładnęła klasztorem w Bolzano, Bestia żywiła się ciałem i duszą sług bożych.

Matka Izolda przysypiała, gdy na schodach wiodących do podziemi rozległy się kroki. Wstrzymała oddech i nasłuchiwała. Daleko, w ciemnościach rozbrzmiał słaby, nabrzmiały łzami głos dziecka, które wołało ją z góry. To był głos siostry Bragancji, najmłodszej z nowicjuszek. Dziewczyna błagała matkę Izoldę,

by zdradziła jej swą kryjówkę i pozwoliła tam przyjść, żeby umknąć przed zabójcą, który się zbliża. Głos rwał się pośród szlochu, powtarzając „nie chcę umierać”.

Siostra Bragancja, którą matka Izolda pogrzebała tego ranka w rozmokłej ziemi na cmentarzu, spoczywała tam teraz – żaloszny płócienny worek ze szczątkami zmasakrowanego przez Bestię ciała. Toteż stara mniszka, po której twarzy spływały łzy przerażenia i rozpacz, zatkała uszy, żeby nie słyszeć już płaczu Bragancji. A potem zamknęła oczy i prosiła Boga, aby wezwał ją do siebie.

Wszystko zaczęło się kilka tygodni wcześniej, kiedy rozeszły się pogłoski, że w Wenecji wzrastał poziom wód i tysiące szczurów wędrowały kanałami miasta po wodzie. Powiadano, że szczury, dotknięte tajemniczą chorobą, która wprawiała je w szal, atakowały ludzi i psy. Uzbrojona w pazury i zęby armia, od Giudecci po Isola di San Michele, wypełzała z laguny i opanowywała uliczki.

O pierwszych przypadkach dżumy donoszono z dzielnic biedoty. Doża Wenecji nakazał zamknąć mosty i opróżnić łodzie, które zazwyczaj pływały do wybrzeży stałego lądu. Potem wystawił strażę przy bramach miasta i rozesłał konnych, by uprzedzili panów pobliskich ziem o groźbie wiszącej nad laguną. Niestety, w trzynaście dni po wezbraniu wód pierwsze

ognie wzbily się w niebo nad Wenecją i ujrzano gondole pełne trupów, gdy sunęły po kanałach, wyławiając zwłoki martwych dzieci, które zapłakane młode matki wyrzucały przez okna. Pod koniec tego tragicznego tygodnia patrycjusze Wenecji rozkazali swym ludziom by zastąpili strzegące mostów strażę doży. Już pierwszej nocy, gdy powiał zły wiatr od morza i zmylił psy, pierwsi uciekinierzy zdołali się wymknąć przez pola. Władcy Mestre i Padwy wysłali wówczas setki łuczników i kuszników, aby powstrzymali falę ludzi niosących śmierć, zanim zaleje kontynent. Jednak ani świst strzał, ani zgrzyt kusz nie przerażał zbiegów, którzy niczym iskry padające na leśną ściółkę, rozsiewali zarazę po całej Wenecji Euganejskiej. Wtedy to zaczęto podpalać wioski i ciskać konających w płomienie. Kwarantannie poddawano całe miasta, usiłując powstrzymać epidemię. Garściami rozrzucano po polach sól kamienną, zasypywano studnie kamieniami. Stodoły skrapiano wodą święconą, a do setek drzwi przybijano żywe sowy. Na stosach spłonęło parę czarownic, sporo ludzi z zajęczą wargą i kalekich dzieci. No i niemało garbusów. Niestety, dżuma atakowała już także zwierzęta i wkrótce pojawiły się hordy psów i chmary kruków, dopadające uciekinierów, którzy w grupkach ciągnęli drogami.

Najpewniej za sprawą weneckich gołębi, które opuściły wyludnione miasto, zaczęły chorować inne ptaki w całej włoskiej krainie. Na ziemi i na dachach domów zalegało coraz więcej zeszywniałych ciałek grzywaczy, lelków, drozdów i wróbli. Potem tysiące lisów, łasic, polnych myszy i ryjówek nadciągnęło z lasów i pól, by dołączyć do stad szczurów, władających miastami. W ciągu miesiąca północne Włochy pogrążyły się w głuchej, złowrogiej ciszy – pozostało tylko cierpienie, które ogarniało kraj, wyprzedzając nawet opowieści i pogłoski o rejonach, gdzie zaraza szalała już wcześniej. A i tych było coraz mniej. Wkrótce ucichły nawet szepty, echa, na niebie nie pojawiały się wędrownie gołębie, nie było posłańców spieszących z wieściami o nadciągającej zarazie. Tej straszliwej zimy, która już wcześniej zapowiadała się na najmroźniejszą w stuleciu, nie zapłonęły ognie, by odstraszyć ciągnące na północ legiony szczurów, ani jeden chłopski batalion nie stanął na obrzeżach miasta, by pochodniami, cepami i sierpami rozpędzić napastników, nie zmobilizowano w porę zdrowych mężczyzn, by przenieśli worki ze zbożem do bezpiecznych składów w zamku.

Szybsza niż wiatr i nienatrafiająca na opór dżuma przeszła przez Alpy i rozpałała

swe ogniska w Prowansji. Od Tuluzy po Carcassonne słyszało się o rozwścieczonych tłumach, które kamienowały każdego, kto miał choćby katar. W Arles chorych rzucono do głębokiej fosy, w marsyjskich przytułkach palono ich żywcem, polewając umierających olejem i smołą, a w Grasse i Gardanne podpalano pola lawendy, żeby przepędzić morowe powietrze.

W Orange, a potem u bram Lyonu wojska królewskie strzelały z dział do nadciągającego morza szczurów. Armia gryzoni była tak rozjuszona i wygłodniała, że słycać było, jak ich zęby uderzają o kamienie i wbijają się w pnie drzew. Choroba pokonała rycerstwo pod Macon i ruszyła na Paryż, a potem Niemcy, dziesiątkując całe miasta. Wkrótce po obu brzegach Renu tyle było łez i trupów, iż wydawało się, że ta fala nieszczęścia ogarnie niebiosa i sam Bóg umrze od dżumy.

Duszając się we wnęce, matka Izolda wspominała posłańca na koniu niosącego złe wieści, który wyłonił się z mgły w jedenaście dni po podpaleniu Wenecji przez rzymskie regimenty. Mężczyzna zadał w róg, zbliżając się do klasztoru, a matka Izolda weszła na mury, aby wysłuchać, co miał do powiedzenia.

Mężczyzna zakrył twarz rękawem brudnego kaftana. Chrapliwy kaszel utrudniał mu oddychanie, na szarej tkaninie widać było ślady krwi. Krzyczał, osłaniając usta ręką, aby jego głos przebił się przez wycie wiatru:

–Ej tam, na murach! Biskup polecił mi przestrzec klasztory przed czarną plagą, która się zbliża. Dżuma ogarnęła Bergamo i Mediolan. Zaraza przeniosła się także na południe, ostrzegawcze ognie zapłonęły w Rawennie, Pizie i Florencji.

–Macie jakieś wieści z Parmy?

–Niestety nie, matko. Widziałem jednak morze pochodni, sunących w stronę Cremony, która ma zostać spalona, a także procesje zbliżające się do murów Bolonii. Potem ominąłem Padwę, gdzie oczyszczające ognie rozświetlały już noc, i Weronę. Ocaleni z tego miasta mówili, że nieszczęśnicy, którzy nie zdołali uciec, zmuszeni byli walczyć z psami o walające się po ulicach trupy. Od wielu dni ciągle natykam się na zbiorowe groby i pełne trupów fosy, których grabarze nie mieli już siły zasypać.

–A Awinion? Co z Awinionem i pałacem Jego Świątobliwości?

–Awinion milczy. Podobnie jak Arles i Nîmes. Wiem tylko, że wszędzie podpała się wioski, wybija bydło i odprawia msze, aby rozpędzić chmary much, które przesłaniają niebo. Wszędzie czuć woń palonych ziół, żeby powstrzymać miazmaty, które przenoszą się z wiatrem. Niestety, dookoła szerzy się śmierć, piętrzą się tysiące trupów. Jednych zabiła choroba, innych arke-buzy żołnierzy, którzy gromadzą się na drogach. Zapadła cisza. Potem zakonnice poczęły błagać matkę Izoldę, by pozwoliła nieszczęsnemu posłańcowi wejść do klasztoru. Nakazawszy im milczenie, przełożona znów przechyliła się przez mur.

–Który to z biskupów przysłał tu waszmość?

–Jego Ekszelencja Benvenuto Torricelli, biskup Modeny, Ferrary i Padwy.

Izoldę przebiegł dreszcz. Jej głos wibrował w mroźnym powietrzu:

–Z przykrością informuję cię, panie, że monsignore Torricelli zmarł minionego lata na skutek wypadku karocy. Dlatego też proszę, byś zechciał ruszyć w dalszą drogę. Zapytam jedynie, czy nie trzeba ci żywności i maści, byś natarł nią pierś?

Pełne przerażenia krzyki były reakcją na gest jeźdźca, który odsłonił nabrzmiałą twarz człowieka zżeranego przez dżumę.

–Bóg skołał w Bergamo, matko! Jakież maści uleczą te rany?

Jakie modły? Otwórz lepiej bramy, stara wiedźmo, bym mógł zasiać zarazę w łonach twoich nowicjuszek!

Nastąpiła cisza pełna niepokoju, mącił ją tylko świst wiatru.

Potem jeździec spiął konia, raniąc jego boki do krwi, i zniknął, jakby pochłonął go las.

Od tego czasu matka Izolda i jej mniszki zmieniały się, czuwając na murach,

żadna jednak nie dostrzegła w pobliżu żywego ducha. Aż do po tysiękroć przeklętego dnia, kiedy to przed bramą klasztoru zatrzymał się wóz z żywnością.

Zapręgiem, który ciągnęły cztery zabiedzone muły, powoził Gaspard. Przemoczona sierść zwierząt dymiała w lodowatym powietrzu. Dzielny wieśniak lekceważył zagrożenie, zdobywając dla mniszek ostatnie płody jesieni – jabłka i winogrona z Toskanii, figi z Piemontu, dzbany oliwy, worki mąki z Umbrii,

z której siostry piekły ciemny, grudkowy chleb, stanowiący ich codzienną strawę. Gaspard z dumą wyciągnął spod płachty dwie karafki likieru gruszkowego, który sam destylował – diabelskiego trunku, od którego kraśniały lica, a usta stawały się skore do bluźnierstw. Matka Izolda ofuknęła go tylko dla pozorów, uszczęśliwiona, że będzie mogła natrzeć sobie stawy. Gdy pochyliła się, sięgając po worek bobu, dostrzegła drobną postać skuloną na wozie – starą mniszkę z nieznanego zakonu. Gaspard znalazł konającą kobiecinę o kilka mil od klasztoru. Stopy i dłonie miała owinięte gałganami, jej twarz osłaniał welon. Miała na sobie biały, podarty i ubłocony habit oraz pelerynę z czerwonego weluru, ozdobioną wyszywanym herbem. Widać było, że przeszła długą drogę. Pochylona nad nią matka Izolda ocierała kurz pokrywający ten znak. Nagle jej dłoń zastygła z przerażenia: cztery haftowane złotem gałęzie szafranu na błękitnym polu! Krzyż pustelnic z Cervin*! Zakonnice te żyły z dala od świata, pogrążone w milczeniu, w górach nad wioską Zermatt, w twierdzy tak niedostępnej, że zaopatrywano je, używając lin i koszy. Były strażniczkami świata.

Nikt nie widywał ich twarzy, nie słyszał brzmienia ich głosów. Mawiało się nawet, że pustelnice są brzydkie i złośliwsze od

diabła, że piją ludzką krew i żywią się ohydłą polewką, która daje im moc wróżenia, a także podwójnego widzenia. Krążyły też pogłoski, że są czarownicami, że parają się spędzaniem płodów i że skazano je na życie w zamknięciu za popełnienie szczególnie odrażającej zbrodni ludożerstwa. Jeszcze inni utrzymywali, że od wieków były martwe, a podczas pełni przemieniały się w wampiry i krążyły nad Alpami, polując na zbłąkanych wędrowców. Legendy, które górale snuli w długie wieczory, powodowały, że wszyscy żegnali się znakiem krzyża, by odpędzić złe moce. W Dolinie Aosty, w Dolomitach, na samą wzmiankę o nich zatrząskiwały się wszystkie drzwi, a psy zaczynały ujadać.

Nikt nie wiedział, w jaki sposób ten tajemniczy zakon zyskuje nowe służebnice. Mieszkańcy Zermatt zauważyli tylko, że gdy

* *Cervin - jedna z nazw Matterhornu.*

któraś z nich umiera, inne wypuszczają stado gołębi pocztowych, te zaś lecą w stronę Rzymu, przedtem jednak krążą przez chwilę nad strzelistymi wieżami klasztoru. Po kilku tygodniach więzienny wóz eskortowany przez dwunastu rycerzy Watykanu pojawia się w oddali, na wiodącej do Zermatt górskiej drodze. Do wozu przyczepiano dzwonki, aby uprzedzić wszystkich o jego przyjeździe. Słyszając ów dźwięk, mieszkańcy zamykali okiennice i gasili świece. Potem, skuleni w ciemnościach drżeli, czekając, aż ciężki zaprzęg podąży szlakiem mułów prowadzącym do podnóża Cervin. Znalazłszy się u stóp twierdzy, rycerze Watykanu zaczynali dąć w trąby. Na ten znak spuszczano liny, zgrzytały koła zębate. Rycerze Watykanu przewiązywali nową pustelnicę skórzanymi pasami i czterokrotnie

pociągali za linę na znak, że jest gotowa do drogi. Zawieszona na drugim końcu liny trumna ze zmarłą wolno opadała, a nowicjuszka wznosiła się wzdłuż ściany. W połowie drogi żywa przybyszka mijała zmarłą, która odchodziła. Rycerze ładowali trumnę do wozu, by w tajemnicy pogrzebać zakonnicę, i ruszali w drogę powrotną przez Zermatt, a jego mieszkańcy już wiedzieli, słuchając dzwonków obwieszczających odejście armii zjaw, że tylko śmierć pozwala

opuścić ten klasztor. I że nieszczęsne istoty, które raz tam wejdą, nigdy już nie ujrzą świata.

Uniósłszy woal nad ustami pustelnicy, ale nie wyżej, by nie profanować jej twarzy, matka Izolda przytknęła do wykrzywionych w cierpieniu warg lusterko. Na jego powierzchni utworzyła się aureola pary – znak, że mniszka wciąż oddycha. Niestety, to agonalne tchnienie, które ledwie unosiło jej pierś, a także zmarszczki na szyi, zmuszało Izoldę do pogodzenia się z faktami – pustelnica była zbyt wychudzona i za stara, żeby przeżyć tak silne wyczerpanie, to zaś oznaczało, że – niczym zapowiedź zła – położy kres wiekowej tradycji i skona poza murami swej kongregacji.

Jakby czekając na jej ostatnie tchnienie, przełożona szperała w pamięci, usiłując zebrać całą swą wiedzę o tajemniczym zakonie.

Pewnej nocy, gdy rycerze Watykanu wiedli do Cervin nową mniszkę, grupa wyrostków i niedowiarków z Zermatt ukradkiem podążyła za konwojem, aby zobaczyć trumnę, po którą przyjechali wysłannicy papieża. Z tej nocnej wyprawy nie wrócił żaden ze śmiałków, z wyjątkiem młodego pasterza kóz, nieco głupawego chłopaka, który mieszkał za wsią. Odnaleziono go rankiem. Bredził coś, przerażony i na pół obłąkany.

Twierdził, że z daleka, w blasku pochodni, widział, jak trumna wyłania się z mgły, drgając na linach, jakby zamknięta w niej zakonnica nadal żyła. Potem zobaczył, jak nowa mniszka wznosi się w górę, a niewidoczne siostry ciągną ją na sam szczyt. Na wysokości pięćdziesięciu metrów konopna lina pękła, trumna spadła, a gdy uderzała o ziemię, jej pokrywa się roztrzaskała. Rycerze ruszyli, by złapać młodą mniszkę, ale było już za późno – kobieta runęła w dół i nie wydawszy nawet krzyku, uderzyła o skały. W tej samej chwili nieludzkie wycie dobiegło z rozbitej trumny, a pasterz zobaczył starcze, pomarszczone i zakrwawione ręce, które wyłoniły się, próbując poszerzyć otwór. Z przerażeniem opowiadał, że jeden z rycerzy chwycił wówczas miecz i miażdżąc butem palce nieszczęsnej, wbił ostrze w ciemny otwór. Wycie ucichło. Potem, kiedy pozostali rycerze przybijali wieko trumny i w pośpiechu ładowali ją do wozu, wraz ze zwłokami niedoszłej pustelnicy, on otarł miecz rąbkiem płaszcza. To, co jeszcze ujrzał nieszczęsny szaleniec, zagubiło się w bełkocie, z którego nic nie dało się zrozumieć, poza może jednym – mężczyzna, który dobił zakonnice, zdjął hełm, a jego twarz nie miała żadnych ludzkich cech.

Nie trzeba było niczego więcej, aby rozeszła się pogłoska o mrocznym pakcie, który wiązał pustelnice z Cervin ze złymi mocami i o tym, że to sam Szatan przybył po to, co mu się należało. Lecz prawda była inna, a możni z Rzymu, którzy dopuścili do szerzenia takich plotek, wiedzieli, że strach, jaki wzbudzą, skuteczniej ochroni sekret pustelnic niż ich forteca. Na szczęście dla tychże możnych kilka matek przełożonych, w tym Izolda, wiedziało, że klasztor pod wezwaniem Matki Boskiej z Cervin kryje jedną z największych zakazanych bibliotek chrześcijańskiego świata. W umocnionych podziemiach i ukrytych salach zgromadzono tysiące satanistycznych pism, przede wszystkim zaś klucze do tych wielkich tajemnic i również ohydnych kłamstw, które mogłyby zagrozić Kościołowi, gdyby ktokolwiek je ujawnił. Heretyckie ewangelie konfiskowane przez Inkwizycję w twierdzach katarów i waldensów, renegackie pisma zrabowane przez krzyżowców z fortec Bliskiego Wschodu,

diabelskie pergaminy i przeklęte biblie, te stare, pełne oddania mniszki, przechowywały w swym klasztorze, chroniąc ludzkość przed ich trucicielską mocą. Dlatego właśnie owo milczące zgromadzenie żyło z dala od całego świata. I dlatego specjalny dekret skazywał na powolną śmierć każdego, kto odsłoniłby twarz pustelnicy. Dlatego wreszcie matka Izolda obrzuciła Gas-parda groźnym spojrzeniem, gdy zobaczyła konającą siostrę na jego wozie. Teraz trzeba było jednak ustalić, dlaczego ta biedaczka uciekła tak daleko od swego tajemniczego zgromadzenia. I jak jej słabe, starcze nogi doniosły ją aż tu. Zwiesiwszy głowę, Gaspard wytarł nos palcami i mruknął, że najlepiej byłoby

walnąć ją obuchem i rzucić wilkom na pożarcie. Matka Izolda udała, że nie słyszy. Zwłaszcza że noc była już bliska i nie było czasu, żeby zastosować wobec konającej kwarantannę. Obejrząwszy pachwiny i pachy mniszki, Izolda przekonała się, że nie ma ona objawów dżumy. Poleciała zakonnicom, by zanosły staruszkę do celi. Kiedy podniosły ciało lekkie jak piórko, z ukrytych kieszeni habitu wypadło zawiniątko i skórzana sakwa.

Mniszki zebrały się kręgiem wokół znaleziska, a matka Izolda przyklękła, by rozwiązać sznur, którym owinięta była sakwa. Kryła się w nim ludzka czaszka o skroniach i potylicy roztrzaskanych, jak się wydawało, kamieniem. Matka Izolda uniosła czaszkę ku światłu.

Były to bardzo stare szczątki ludzkie, powierzchnia kości zaczynała przemieniać się w pył. Izolda zauważyła, że skronie otaczała cierniowa korona, a jeden z kolców wbił się w łuk brwiowy torturowanego. Matka przełożona musnęła palcem suche ciernie. Poncirus, według Pisma Świętego właśnie z takiego kolczastego krzewu Rzymianie splekli koronę, którą wsunęli na głowę Chrystusa po biczowaniu. Ta święta korona skaleczyła jego łuk brwiowy. Matka Izolda poczuła strach, który niczym ostrze wbił się w jej trzewia: czaszka, którą trzymała w dłoniach, miała wszystkie znamiona Męki, jakiej poddano Chrystusa, nim skonał na krzyżu, tej samej, które opisywały ewangelie. Jednak ta czaszka była roztrzaskana, a zgodnie z Pismem Świętym żaden kamień nie ugodził głowy Chrystusa. Już już matka Izolda zamierzała odłożyć czaszkę, gdy poczuła dziwne mrowienie w plecach. Za mgłą, która zasnęła jej oczy, ujrzała w dali siódme wzgórze za Jeruzalem, to, na którym przed trzynastoma wiekami ukrzyżowano Chrystusa. Miejsce zwane Czaszką, a w ewangelich – Golgotą. W tej wizji, coraz wyraźniejszej, nieprzebrany tłum otaczał wzgórze, na którym rzymscy legioniści wzniesli trzy krzyże – pośrodku najwyższy, dwa inne nieco za nim, po bokach. Dwóch

złoczyńców i Chrystus, tamci nieruchomi w słońcu i On, wydający nieludzkie krzyki na oczach przerażonego tłumu. Mrużąc oczy, aby dokładniej zobaczyć tę scenę, Izolda uświadomiła sobie, że złoczyńcy już dawno nie żyli, a Chrystus wisi na krzyżu i do złudzenia przypominał ewangelicznego. Tyle że ten Chrystus ział nienawiścią i gniewem. Kiedy nowicjuszki podbiegły, aby pomóc jej wstać, Izolda zapatrzyła się w krwistoczerwony zachód słońca, który teraz przeniknął jej wizję. To także się nie zgadzało – zgodnie z Pismem Chrystus wyzionął ducha w piętnastej godzinie doby. Ale w jej wizji to coś, co ciągle wilo się na krzyżu, nadal nie było martwe. Klęcząc na ziemi, Izolda zadrżała na całym ciele. Ta wizja miała swe wyjaśnienie, i to tak oczywiste, że matka przełożona o mało nie postradała rozumu, gdy zdała sobie z tego sprawę: to coś, co szarpało gwoździe, przeklinając ludzi i niebiosy, ta pełna nienawiści, zbolęła bestia, którą Rzymianie poczęli okładać kijami, by połamać jej kości, ta ohyda nie była Synem Boga, lecz Szatana.

Drżącymi rękoma Izolda wsunęła czaszkę do skórzanej sakwy. Potem, ocierając rękawem habitu łzy, podniosła płócienne zawiniątko, które poniewierało się na ziemi. Dusząc się wilgotnym powietrzem swego grobu, Izolda przypominała sobie przerażające uczucia pożądania i nienawiści, jakich doznała, podnosząc owo etui. Być może ową gorycz, widoczną na jej twarzy, sprowokował silny zapach octu, który stosowała dla ukojenia bólu kości, no i oczywiście strach, ogarniający ją stopniowo, gdy rozwijała płótno. Powiew mroźnego wiatru uniósł jej włosy pod welonem. W etui spoczywała bardzo stara księga, gruba i ciężka jak mszał. Ten manuskrypt miał stalowy zamek. Ani na grzbiecie, ani na okładce nie widniał żaden napis, na skórze

nie było żadnej pieczęci. Ta księga wyglądała jak wiele innych. Jednak dziwne ciepło, które zdawało się od niej emanować, sprawiło, że matka przełożona natychmiast pojęła, jak wielkie nieszczęście spadło na klasztor.

Po odjeździe Gasparda, gdy matka Izolda zamknęła wrota, w północnym skrzydle, do którego mniszki zaniósły konającą, rozległy się pełne przerażenia krzyki. Szła najszybciej, jak tylko mogła po szerokich schodach, a im była bliżej, tym bardziej krzyki się nasilały. Korytarz wiodący do celi, której drzwi pozostały uchylone, pokonała biegiem. Zimne powietrze paliło jej gardło, zatrzymała się w progu.

Stara pustelnica leżała na posłaniu naga, jej owłosienie łonowe odcinało się od bladej skóry brzucha. Ale to nie bladość skóry przerażyła mniszki. I nie brud pokrywający jej nogi, ani nie straszliwe wychudzenie. Nie, zakonnice krzyczały, a matka Izolda z trudem zachowała pozory spokoju po wejściu do celi, bo przerażyły ją stygmaty mąk, jakie przeszła konającą, zanim udało jej się uciec z miejsca, w którym zapewne więzili ją dręczyciele. To właśnie, a także wytrzeszczone oczy, wpatrujące się przez woal w sufit, jak oczy posągu zapatrzonego w otaczającą go pustkę.

Matka Izolda pochyliła się nad tym żywym szkieletem. Poprzeczne pręgi widniały na tułowiu biedaczki, jakby kaci chłostali ją do krwi skórzanym biczem nasączonym octem. Dziesiątki razów rozcinały coraz bardziej napiętą skórę, aż rozdarły ją do kości. Połamane palce i szczypcami wyrwane paznokcie. Jakby tego było mało, w kości nóg i rąk wbite były gwoździe. Stare gwoździe, których zardzewiałe łebki wystawały z ciała.

Izolda zamknęła oczy. Stara zakonnica nie była poddawana torturom przez oprawców Inkwizycji. A na pewno nie byli to ci, którzy uczestniczyli w przesłuchaniach czarownic. Nie, sądząc po mękach, jakie zadano staruszce, tej zbrodni mogły dopuścić się pozbawione sumienia potwory, pastwiące się nad ofiarą nie tylko po to, by wydobyć z niej tajemnice, ale i po to, by ją zdręczyć na śmierć.

Kiedy umierająca wydała cichy jęk, matka Izolda pochyliła się do jej ust, by nie uronić ani słowa z tego, co zdoła usłyszeć.

Zakonnica posługiwała się starym alpejskim dialektem, mieszaniną łaciny, niemieckiego i włoskiego. Izolda słyszała w dzieciństwie tę mowę. Zapomniany dialekt, przerywany mlaskaniem i ruchami gałek ocznych, to był kod pustelnic. Biedaczka szeptała, że zbliża się królestwo Szatana i że mrok spowija świat. Twierdziła, że dżuma to jego sprawka i że ściągnął to zło, aby niepostrzeżenie zawładnąć światem. Nawet gdyby wszystkie mniszki, wszystkie zakonnice padły w jednej chwili na kolana, błagając Boga, by przyszedł im z pomocą, żadna modlitwa nie zdołałaby już powstrzymać jeźdźców Zła, którzy wyrwali się z piekieł.

Zapadła cisza. Stara pustelnica długo odpoczywała, a potem dalej snuła swą opowieść.

Mówiła, że pewnej nocy, podczas pełni, wioska Zermatt została napadnięta przez błędnych rycerzy w burkach i maskach. Wybili mieszkańców, podpalili chaty. To byli złodzieje dusz. Z jej relacji wynikało, że wściekłość demonów była nieokiełznana, a wiatr niósł aż do klasztoru krzyki i wycia ich ofiar. Mniszki chciały wypuścić gołębie pocztowe, by uprzedzić o zagrożeniu Rzym, ale ptaki pomarły w klatkach, jakby otruło je powietrze, którym oddychały.

Wtedy w blasku pożarów mniszki ujrzały złodziei dusz wspinających się po

skalach do klasztoru, jakby ich ręce i nogi zdolne były utrzymać się na stromiznach. Zamknęły się w bibliotece, chciały zniszczyć zakazane księgi, lecz napastnicy wyważyli wrota i biedaczki wpadły w ich ręce, zanim zdążyły obrócić w proch swój skarb.

Konająca dławiała się szlochem, szepcząc, że najmłodsze zostały pokalane, że przypalano je rozgrzanym do czerwoności żelazem, a inne umierały w potwornych mękach. Po nocy tortur, udręczona na duszy i ciele, zdołała się wymknąć sekretnym wyjściem. Zabrała ze sobą kości Boże, a także bardzo stary manuskrypt w oprawie z czarnej skóry. Powtarzała, że nie wolno go otwierać, że chroni go urok i że zabija każdego, kio próbuje wyłamać zamek.

Twierdziła, że te karty spisano ludzką krwią w języku Zła, którego nazwy lepiej było nie wymawiać po zapadnięciu zmroku. Manuskrypt spisał sam Szatan, to była jego ewangelia,

opowiadająca o tym, co się wydarzyło w dniu, gdy Syn Boży skończył na krzyżu. O dniu, kiedy Chrystus stracił wiarę i zwracając Ojcu przeistoczył się w coś innego – w wyjąca bestię, którą Rzymianie musieli dobić pałkami, żeby ją uciszyć. Pochylona nad pustelnicą Izolda czuła ciężar czaszki w obszernej kieszeni habitu. To tę relikwię staruszka nazywała „kości Bożymi”. Mówiła, że w noc ukrzyżowania uczniowie obecni przy wyparciu się Chrystusa zdjęli jego ciało z krzyża, by zabrać je ze sobą. Schronili się w grotach na północy Galilei i tam je pogrzebali. Tak głosiła ewangelia Szatana, czyli zaprzeczenie wszystkiego. Wielkie kłamstwo. Izolda zamknęła oczy. Gdyby ta historia była prawdziwa, oznaczałoby to, że Chrystus nigdy nie zmartwychwstał i że nie było nadziei na życie po śmierci. Żadnych zaświatów, żadnej wieczności. Znaczyłoby to też, że Kościół kłamie, że wszystko jest fałszem. Albo że apostołowie się pomylili. Albo może... że widzieli. – Boże, to niemożliwe... Matka Izolda szeptała, zaciskając pięści i czując łzy napływające do oczu. Przez chwilę miała nawet ochotę udusić tę szaloną staruchę, która przyniosła nieszczęście do jej klasztoru. Wszystko byłoby prostsze, gdyby umarła. Pozostałoby im tylko pogrzebać jej ciało w lesie razem z tą czaszką i ewangelią. W głębokim grobie wśród paproci, bez steli, bez krzyża. Problem stanowiła właśnie ta przeklęta czaszka, która ciążyła jej w kieszeni habitu jak ukrywany dowód. Izolda otworzyła oczy, słysząc charczenie pustelnicy w mrocznej celi. Już od miesiąca złodzieje dusz ją ścigali, a ich przywódca tropił ją w pustoszonej przez dżumę kraju. Nazywał się Kaleb i ewangelia według Szatana nie może nigdy wpaść w jego ręce. Gdyby doszło do tego nieszczęścia, świat pogrzyłby się na całe tysiąclecie w ciemnościach. Oceany łez... Powtarzała te słowa jak litanie, coraz ciszej, bo słabła i ledwie oddychała. Potem charczenie umilkło, a jej oczy stały się szkliste. Przerażona tym, co usłyszała, matka Izolda ujęła prześcieradło, aby okryć zmaltretowane zwłoki, i wtedy ręce zmarłej zacisnęły się na jej szyi. Nieludzka siła gniotła jej gardło, w ciągu paru sekund pozbawiając mózg dopływu krwi. Izolda próbowała się

uwolnić i nawet uderzyła pustelnicę, żeby zmusić ją do zwolnienia uścisku, lecz wówczas z zastygłych ust wydobył się obcy głos.

Nie, to były różne głosy – niskie i piskliwe, mocne i słabsze, jakby dalekie. Koncert jęków i obelg, drażniący uszy matki przełożonej. I różne języki. Łacina, greka, egipski, dialekty barbarzyńskich ludów Północy i nieznanne słowa, które zderzały się w tej lawinie krzyków. Gniew i strach, mowa złodziei dusz. Rycerze otchłani. A potem czarna zasłona opadła na oczy Izoldy. Bliska omdlenia przypomniała sobie, że pod habitem nosi sztylet ze skórzaną rękojeścią i szerokim ostrzem. Miał jej służyć do obrony mniszek przed zarażonymi dżumą włóczęgami. Na pół żywa, uniosła sztylet, który błysnął w świetle kaganków i z całej siły wbiła go w gardło pustelnicy. Ocierając dłońmi łzy, matka Izolda wspominała teraz w swym ciasnym kącie odrażające wrażenie, jakie wzbudziło to ostrze wbijające się w szyję konającej. Pamiętała słaby opór skóry i chrząstek, wytrzeszczone oczy obłąkanej staruszki i wycie, które przemieniło się w charczenie. Pamiętała także, że palce staruchy pozostały nadal zaciśnięte na jej szyi i jedna z mniszek musiała je odginać, aby uwolnić przełożoną. Potem ciało starej zakonnicy wyprężyło się jeszcze i opadło, już nieruchome. Jednak najbardziej zdumiewający był lodowaty podmuch, który wdarł się do celi, i ślady kroków, które pojawiły się na posadzce dokładnie wtedy, gdy zmarła osunęła się na posłanie. To były ślady butów, niknące w ciemnym korytarzu. Chwytając się za habity, augustianki wsłuchiwały się w cichnący odgłos kroków. Matka Izolda krzyknęła, by natychmiast padły na kolana i zaczęły modlitwę. Ale było za późno na wzywanie Boga. Tak oto zimą owego nieszczęsnego roku 1348 poczciwe mniszki z zakonu – twierdzy w Bolzano – uwolniły Bestię.

Tajemnicze ślady butów szybko wyschły, a na posadzce została tylko cienka warstewka błota. Widząc, jak znikają pod lada

podmuchem powietrza, można by nawet zapomnieć o strachu, jaki wywołały, gdyby czarny pył nie świadczył o ich realności, a zarazem nieprawdopodobności. Rysując palcem linię wzdłuż tego śladu, matka Izolda musiała pogodzić się z faktami – ani ona, ani jej mniszki nie wymyśliły ich sobie. To zaś oznaczało że żadne dębowe drzwi, choćby najsolidniejsze, żadne modły żadna siła tego świata nie były w stanie powstrzymać niewidzialnej siły przed swobodnym poruszaniem się po klasztorze W dodatku w Dolomitach sypnęło śniegiem i czternaście mni szek stało się zakładniczkami zimy w zagubionym pośród gór klasztorze. A Bestia wybrała ten klasztor na swoją siedzibę przepędzając z niego Boga, i zarazem nadzieję z serca jego służebnic.

Matka Izolda poleciła mniszkom przygotować zmarłą, sami zaś udała się do celi, aby obejrzeć manuskrypt. To w nim musiało tkwić wyjaśnienie przestroóg starej wariatki, a także przyczyn rzezi dokonanej na pustelnicach z Cervin. Być może ewangelii była jedynym powodem tragicznych wydarzeń, a złodzieje dusz dopuścili się tej potwornej zbrodni wyłącznie po to, żeby ją zdobyć i zniszczyć pozostałe rękopisy z zakazanego księgozbioru.

Zamknąwszy drzwi celi, matka Izolda schowała czaszkę w cierniowej koronie do kufra, a manuskrypt położyła na stoliku z bukszpanowego drewna. Przymrużyła oczy i poczęła wodzić palcami po manuskrypcie – rzymski nowicjat pozwolił jej bardzo wcześnie poznać tajniki garbarstwa i Izolda nauczyła się rozpoznawać księgi, dotykając najpierw ich oprawy. Skóra dzikich byków, którą kastylijscy mnisi – garbarze zdierali własnymi rękoma, wonne kozle skóry z Pirenejów, które intrologatorzy nakładali cienkimi warstwami, aby stworzyć grubą i miękką okładkę, skóry kozłąt, jasne i chropowate, które bracia zza Alp farbowali pigmentami, a następnie naciągali na deski ze szlachetnego drewna, aby utrwalić kolor, świńska skóra z klasztorów nad Loarą i złote nitki, które niemieccy rzemieślnicy wtapiali na gorąco w swoje wyroby. Każda z kongregacji opracowujących skóry uzyskiwała zezwolenie na stosowanie tylko jednej techniki, co miało uchronić Kościół przed odrażającym handlem świętymi tekstami i zagwarantować, że manuskrypty

pozostaną w klasztorach, w których powstały. Prawo karało oślepieniem przez wypalenie oczu żelazem, a następnie powolną śmiercią każdego, kogo schwytano, gdy przewoził księgi pod przyodziewkiem. Manuskrypt, który miała przed sobą, oprawiony był w tak rzadką skórę, że Izolda nie rozpoznała jej, a nawet była pewna, że nigdy wcześniej takiej nie dotykała. Co dziwniejsze, oprawa wydawała się nie odpowiadać żadnej ze stosowanych przez Kościół technik, a raczej łączyć je wszystkie, stanowiąc zwieńczenie wiedzy najlepszych intrologatorów chrześcijańskiego świata. W związku z tym nasuwała się myśl, że manuskrypt wykonano, a następnie doskonalono na przestrzeni czasu, powierzając go wielu doświadczonym rękom. Aby to nastąpiło, rękopis musiałby skrycie krążyć między klasztorami, przekazywany niczym spadek. Albo przekleństwo. A może manuskrypt

sam wybierał miejsce, w które trafi? Izoldo, bredzisz.

Mimo to, dotykając bardzo starej książki, matka przełożona znów poczuła bijące od niej dziwne ciepło. Jakby jej ręka, gładząc skórę, dotykała zarazem zwierzęcia, które z niej odarto, by wykonać oprawę. Czuła delikatne bicie serca, pulsowanie żył i tętnic, drgnienia mięśni, miękkość lśniącej tłuszczem sierści. Izolda pochyliła się, by wciągnąć woń bijącą od manuskryptu. To był zapach obory, pleśniejącego sera i mierzwy. Nos zakonnicy wyczuł też słabszą woń wilgotnej ściółki i zanikający odór potu, odchodów i moczu. A także spermy. Ciepłej, gęstej, zwierzęcej spermy. Izolda zadrżała, kiedy jej palce rozpoznały wreszcie tę skórę – to był czarny kozioł. Kozioł o skórze tak miękkiej i ciepłej, jak ludzka. Lecz przecież żaden szanujący się introligator nie wybrałby tej skóry na okładkę manuskryptu! Szorstka dłoń Izoldy coraz wolniej gładziła okładkę, muskając ją teraz gestem zwiewnym, kobiecym, niemal diabolicznym, jak panna, która pieści lędźwia kochanka. I w miarę, jak jej pieszczota się przemieniała, matka przełożona czuła ciepło manuskryptu przenikające jej łono, naprężające sutki. Izolda, stara i zasuszona, która nie zaznała innych rozkoszy cielesnych niż powściągliwy

dotyk ręki, uległa uniesieniu, które ogarnęło ją całą. A kiedy jej dusza kapitulowała, matka przełożona doznała kolejnej wizji.

Zaczęło się od zapachu. Żywica i suche drewno. Powietrze przesiąknięte zgnilizną i prochem. Las. Łoże miękkich mchów pod ciałem. Izolda otworzyła oczy. Leżała nago na polanie w blasku księżyca. Głuchy pomruk. Tchnienie nozdry na twarzy, a nad nią Bestia o potężnych mięśniach, która ujęła jej biodra i wbiła w łono swą męskość. Bestia – pół człowiek, pół kozioł, cuchnący potem i spermą. Przejęta strachem i odrazą, Izolda czuła, jak rośnie w niej zwierzęcy członek. Czuła szczecinę na brzuchu Bestii, ocierającą się o nią. Czuła, jak skóra na jego ramionach i udach drży od wysiłku. Ta skóra była gładka i ciepła, jak okładka. Izolda zamknęła oczy. W miejsce pierwszej wizji pojawiła się nowa.

Podziemia fortecy. Nieokrzesani rycerze z Królestwa Północy i wojownicy o szerokich twarzach i skośnych oczach strzegą korytarzy prowadzących do sali tortur. Zbroje błyszczą w świetle

poходni. Pierwsi mają skórzane tarcze i szerokie miecze. Drudzy uzbrojeni są w sztylety i krótkie szable. To germańscy panowie i wojownicy z ludu Hunów. Izolda jęczy: idzie przez lochy zamku, trzymana przez barbarzyńców, którzy dawno wymarli, przez łupieżców chrześcijaństwa. Z trzewi ziemi dobiegają potworne krzyki, a ona wciąż idzie szerokim, nisko sklepionym korytarzem. Widzi posągi rzeźbione w murze. To gargulce i wykrzywione gęby demonów. Cele wykuto w kamieniu. Zza krat wysuwają się ręce, próbują chwycić za włosy przechodzącą mniszkę. Jest gorąco. W końcu korytarza widać drzwi do sali kolumnowej, oświetlonej pochodniami. Nadzy ludzie leżą przywiązani do stołów. Kaci krążą wokół nich ze szczypcami i nożycami. Torturowani wyją, a nożyce tną ich ciała, szczypce szarpią skórę, wrywając mięśnie. Za plecami katów wizygoccy introligatorzy suszą kwadraty skóry na ramkach, skóra jest czarna po kąpieli siarkowej. Deszcz odrazy przebiega Izoldę – manuskrypt, który gładziła w

swjej celi, najpierw oprawiono w skórę ludzką, dopiero potem, innymi dłońmi, w zwierzęcą, która miała ukryć tę makabrę. innymi dłońmi, w zwierzęcą, która miała ukryć tę makabrę. Dopuszczono się najohydniejszej zbrodni. To było jak podpis satanistów.

I wtedy doznała ostatniej wizji, gdy pochylona nad nią Bestia wbijała jej sztylet w łono i wgryzała się w gardło: wielka zaraza. Morze szczurów zalewające świat. Płonące miasta. Miliony zmarłych, stosy trupów pod gołym niebem. Pośród ruin idzie stara pustelnica, jej ciało to jedna wielka rana, twarz osłania woal. Pod habitem ukrywa płócienne zawiniątko i skórzaną sakwę, jest u kresu sił. Wkrótce umrze. Gdzieś daleko mnich bez twarzy przemierza zrujnowany kraj, szukając jej. Podąża jej tropem, węszy pośród smrodu. Wybija bractwa, które udzieliły mu schronienia. Zbliży się, już tu jest.

Matka Izolda mobilizuje resztki wolnej woli i odrywa dłoń od okładki. Podmuch wiatru gasi świece, a oczy starej zakonnicy wyteżają się ze zdumienia w mroku: czerwone filigrany pojawiają się na oprawie manuskryptu niczym krwiste żyłki na skórze i rozbłyskują jak fosfor. To po łacinie. Słowa zdają się tańczyć na skórze, gdy zakonnica pochyla głowę, by je odczytać. Drżącymi ustami wypowiada je głośno, by

lepiej zrozumieć:

EWANGELIA WEDŁUG SZATANA O STRASZLIWYCH NIESZCZĘŚCIACH, ŚMIERTELNYCH PLAGACH I WIELKICH KATAKLIZMACH.

TU ZACZYNA SIĘ KRES, TU KOŃCZY SIĘ POCZĄTEK TU DRZEMIE TAJEMNICA POTĘGI BOŻEJ. PRZEKLĘTE I OGNIEM WYPALONE NIECHAJ BĘDĄ OCZY KTÓRE ZWRÓCĄ SIĘ NA TEN TEKST.

Zaklejcie. Nie, raczej przestroga. Ostatnia przestroga, którą przerażony introligator zdołał umieścić w skórze, by zniechęcić ciekawych i nierozważnych przed otwarciem tej ewangelii. To dlatego, ryzykując zniszczenie księgi, kilka pokoleń przewidujących ludzi wykorzystywało swe umiejętności, pracując nad tym dziełem z innej epoki. Me po to jednak, by ją upiększyć, lecz

żeby naznaczyć niezliczone okładki przestroga, która ukazywała się tylko w ciemnościach. Potem czyjeś ręce zamknęły karty genueńskim zamkiem z solidnej stali, która lśniła w czerwonym poblasku manuskryptu.

Uzbrojona w lupę i świecę, Izolda przyglądała się teraz księdze o wiele dokładniej. Jak się domyślała, dziurka w zamku była tylko ozdobą, bo tego typu mechanizmy otwierało się dotknięciem palca w określonym miejscu. A zatem zamek dotykowy. Izolda obejrzała jego brzegi, szukając miejsca, gdzie należało położyć palce, żeby uruchomić mechanizm. Przez szkło powiększające zobaczyła zagłębienia w metalu. Przycisnęła jedno z nich końcem pióra. Klik. Z dziurki wysunęła się cienka igła, która wbiła się w poplamione atramentem pióro. Jej ostrze zawierało zielonkawą substancję – arszenik. Izolda otarła rękawem krople potu z czoła. Ci, którzy stworzyli ten mechanizm, gotowi byli raczej zabić, niż dopuścić, by niegodne ręce sięgnęły po straszliwe tajemnice zapisane w księdze. To dlatego złodzieje dusz wymordowali pustelnice z Cervin. Aby odzyskać swoją ewangelię. Ewangelię według Szatana.

Izolda zapaliła świece. Im więcej światła rozpraszało mrok celi, tym słabiej widać było tajemniczy napis na oprawie księgi. Matka przełożona rzuciła na stolik prześcieradło i odwróciła się do okna. Na zewnątrz śnieg sypał coraz mocniej, góry skryły się za chmurami.

Milczące i smutne augustianki pogrzebały na klasztorным cmentarzu starą pustelnicę. Matka Izolda odczytała list świętego Pawła przy zawodzeniu lodowatego wiatru, który szalał między murami. Potem, gdy uderzano w dzwony, mniszki zaintonowały żalobną pieśń, która wzbija się w niebo pośród białych obłoków wydychanego powietrza. Świat odpowiedział na nie tylko krakaniem wron i wyciem wilków. Dzień chylił się ku końcowi, światło było przytłumione przez pełzającą nad ziemią mgłę. Toteż żadna z zakonnice, które stały przygarbione, smętnie zwiesiwszy głowy, nie zauważyła ciemnej sylwetki obserwującej je z klasztoru. Ów człowiek nosił mniśią burkę, a jego twarz kryła się pod obszernym kapturem.

Do pierwszego morderstwa doszło po północy, kiedy matka Izolda dokonywała ablucji. Zamknięta w wilgotnej pralni, ubrała się w grubą wełnianą koszulę i wsunęła dłoń w rękawicę z włosia, aby ochronić ją przed bezpośrednim kontaktem z ciałem. Potem zanurzyła całe nogi, aż po uda w kadzi z szarą, parującą wodą, w której wydzieliny innych kobiet ze wspólnoty mieszały się z brudem ich ciał. Próbując zapomnieć o obrzmiałym gardle, tarła ramiona i nogi ałunem i rozdrobnionym piaskiem, a po każdym ruchu ręki pozostawała biała smuga na warstwie brudu, który pokrywał jej skórę. Wtedy właśnie usłyszała krzyki siostry Soni i wołanie o pomoc sióstr, które wybiegły z cel.

Drzwi celi były zamknięte. Drżąc z zimna w mokrej koszuli, matka Izolda uderzała w nie ramieniem. Wewnątrz wciąż rozbrzmiewały krzyki siostry Soni. Krzyki zwierzęce i jęki przerażonej kobiety, przerywane uderzeniami bicia w gołą skórę.

Pchając ze wszystkich sił, zakonnice zdołały uchylić drzwi i Izolda ujrzała udręczone ciało siostry Soni, którą zła moc przybiła do ściany. Jej nogi uderzały o kamienie kilka centymetrów nad ziemią. Biedaczka była naga, biały brzuch i piersi podrygiwały smagane batem, który ciał jej skórę. Ręce, przybite długimi gwoździemi, obficie krwawiły. Pośrodku celi stał mnich, który wymachiwał batem – w blasku świec jego sylwetka wydawała się gigantyczna i czarna. Nosił ciemną burkę, a twarz zasłaniał mu obszerny kaptur. Na jego torsie podskakiwał ciężki medalion – pięcioramienna gwiazda wokół demona o łbie kozła – emblemat wyznawców Szatana. Gdy zakonnik zwrócił twarz ku Izoldzie i spojrzał na nią błyszczącymi w mroku oczyma, matka przełożona poczuła, jak nieodparta siła zatrzaskuje drzwi. Ta sama siła, siła mnicha,

przygwoździła siostrę Sonię do ściany. Izolda zdążyła tylko zobaczyć, że demon wyciąga ze skórzanej pochwy sztylet. I spojrzeć w oczy Soni, gdy ostrze wbijało się w jej brzuch. Potem widziała jeszcze, jak wnętrzności biedaczki wypadają na podłogę. Drzwi się zatrzasnęły, a lodowaty podmuch, taki sam, jak w chwili śmierci pustelnicy, przyprawił zakonnice o drżenie. Izolda spuściła oczy. Ślady kroków pojawiły się na posadzce. Były to odciski bosych, zakrwawionych stóp. Matka przełożona wiodła za nimi wzrokiem, coraz dalej w głąb mrocznego korytarza. Serce podskoczyło jej do gardła. Lewa stopa pozbawiona była jednego palca, a kilka tygodni temu siostra Sonia ścinała gałęzie uschniętego drzewa i fatalnym

uderzeniem siekiery, obcięła sobie mały palec u lewej nogi.

Stara zakonnica wodziła jeszcze palcem po śladach, gdy drzwi celi otwały się ze zgrzytem zawiasów. Szczątki nieszczęsnej zakonnicy wciąż tkwiły przybite do ściany, brzuch był rozplątany, oczy pełne przerażenia. Z wnętrzości leżących na posadzce w kałuży krwi unosiła się para. Izolda, głęboko zawstydzona tą refleksją, dziwiła się, że ciało może zawierać tak dużo płynów i części miękkich.

Po pogrzebie siostry Soni matka przełożona zabarykadowała się wraz z mniszkami w refektarzu, zgromadziwszy zapas żywności i pościel. Modliły się w blasku świec, tuląc się do siebie, żeby łatwiej przetrwać zimno i strach. Potem, gdy świece zaczęły dogasać, usnęły.

Późną zakonnice usłyszały w dali wycia, ale uznały, że to wiatr świszczący między murami. O świcie siostrę Izaureę, której posłanie było zimne, odnaleziono przybitą do wrót chlewu. Miała rozplątany brzuch i szeroko otwarte oczy. Nie pomogły łzy ani różańce i modlitwy o zmiłowanie, które zakonnice odmawiały bez wytchnienia – dwanaście nocy wyglądało tak jak ta, dokonało się jeszcze dwanaście rytualnych mordów, dwanaście mniszek dumало o brzasku, z duszą i ciałem udręczonymi przez Bestię.

O świcie trzynastego dnia Izolda pogrzebała doczesne szczątki siostry Bragancji, najmłodszej nowicjuszki. Potem wzięła czaszkę, zawinęła ewangelię według Szatana w płótno i zamurowała się w fundamentach klasztoru, własnymi rękami kładąc cegły i zaprawę. Ta męska praca zajęła jej cały dzień, O zmroku wsunęła ostatnią cegłę i czekając na objawy duszenia wyryła na murze przestrożę, która błysnęła czerwonymi literami na okładce manuskryptu. Poniżej wymieniła mordercę swej kongregacji i dodała:

**W TYCH ŚWIĘTYCH MURACH
NIEGODNY ZŁODZIEJ
DUSZ ZAŁOŻYŁ SWE SIEDLISKO.
ISTOTA BEZ TWARZY. BESTIA, KTÓRA NIE UMIERA.
RYCERZ OTCHŁANI.
KALEB WĘDROWIEC BRZMI JEGO
IMIĘ.**

A poniżej błagała tego, kto odnajdzie w przyszłości jej szczątki, by przekazał ewangelię i czaszkę Boga władzom Kościoła rzymskokatolickiego swojej epoki, oddał do rąk Ojca Świętego w Awinionie albo w Rzymie – jemu i nikomu innemu. Albo niechaj ciśnie te przedmioty do ognia, być może bowiem Kościół nie przetrwa wielkiej epidemii dżumy. A potem czekała już tylko na nadejścia nocy i powrotu zła dzieja dusz.

To się działo zawsze o zmierzchu, w tej godzinie, gdy cień dzwonnicy padał na cmentarz. Wieczorem dwunastego dnia, gdy wraz z siostrą Bragancją znalazły schronienie na szczycie wieży, matka Izolda stanęła w oknie, z którego widać było groby zamordowanych sióstr.

Przez te krwawe noce kolejne groby były bezczeszczone, jakby zabita ostatniej nocy wstawała, aby zamordować następną. Taka szaleńcza myśl zrodziła się w głowie Izoldy, kiedy wlokąc rankiem ciało siostry Klementyny, ujrzała otwarty grób siostry Edyty, ofiary poprzedniej nocy. Kopiec ziemi i ślady gołych,

krwawiących stóp siostry Edyty pojawiły się przy zwłokach Klementyny. Takie same odciski widać było w korytarzu. Prowadziły do celi Klementyny. Izolda i

Bragancją pogrzebały i ją, a teraz, o zmierzchu, matka przełożona obserwowała jej oddalony od pozostałych grób. W pewnej chwili wydawało się jej, że skrawek ziemi drgnął w poświęcie księżycy. Ziemia zaczęła się

unosić, jakby coś przekopywało ją od dołu. W bladym świetle Izolda dostrzegła palce, potem dłonie i nadgarstki, skrawek całunu i rękaw sukni, w jaką oblekano zmarłe. A wreszcie twarz, twarz siostry Klementyny z ustami pełnymi ziemi, włosami oblepionymi gliną i szeroko otwartymi oczyma. To, czym stała się Klementyna, odrzuciło całun z ramion. Znów sypnęła się ziemia, gdy wychodziła z grobu. Zwróciła oczy na Izoldę, a matka przełożona z przerażeniem myślała o uśmiechu, w którym to coś wyszczerzyło zęby, zanim utykając, zniknęło w mroku klasztoru.

O północy siostra Bragancja jęknęła przez sen. Właśnie wtedy Izolda usłyszała, jak Klementyna, powłócząc nogą, idzie po schodach na szczyt wieży.

Teraz jej płuca wdychały więcej dwutlenku węgla niż tlenu i matka Izolda dusiła się. Płomyk świecy był już ledwie pomarańczowym punkcikiem w ciemnościach. Potem zaczął drgać i zgasł, a knot tlił się jeszcze przez chwilę, trzeszcząc. Nad zakonnicą, która bezgłośnie szlochała, zasklepiły się ciemności. Zadrżała, słysząc tarcie po przeciwnej stronie ściany. Stłumiony przez grubo mur głos Bragancji rozległ się ponownie, ale znacznie bliżej. Jej ręka dotykała muru, nowicjuszka szeptała jak dziecko, które po ciemku bawi się w chowanego. – Przestań uciekać, matko. Chodź z nami. Jesteśmy tu wszystkie.

Inne szepty dołączyły do głosu Bragancji. Włosy zjeżyły się na głowie matki Izoldy, gdy rozpoznała pomlaskiwania Soni, jękanie siostry Edyty, irytujące zgrzytanie zębów siostry

Margot, nerwowy chichot Klementyny, której trupi uśmiech wciąż stał jej przed oczyma. Dwanaście par martwych rąk dotykało muru razem z Bragancją. Kiedy pocieranie ustało na wysokości jej twarzy, Izolda wstrzymała oddech, żeby się nie zdradzić. Zapadła cisza. A potem Izolda usłyszała jakby węszenie za ścianą i szept Bragancji znów wypełnił mrok.

–Czuję cię. Znów węszenie, bardziej natarczywe.

–Słyszysz, stara suko? Czuję twój smród. Izolda zdusiła jęk przerażenia. Nie, Bestia, która zawładnęła ciałem Bragancji, wcale jej nie czuje, bo wtedy nie trudziłaby się, nawołując!

I matka przełożona chwyciła się tej zbawiennej myśli. Potem, kiedy ręce zmarłych sióstr znów przesuwaly się po murze, zrozumiała, że charczenie, oznaka duszenia się, lada moment wyrwie się z jej ust. I wtedy, płacząc z żalu, matka Izolda zacisnęła sobie palce na szyi. Żeby nie zdradzić, gdzie się ukryła wraz z ewangelią według Szatana, która połyskiwała słabym blaskiem czerwonych liter, udusiła się własnymi rękami.

CZĘŚĆ DRUGA

Hattiesburg, Maine, za naszych czasów

Północ. Agentka specjalna Marie Parks śpi jak nowo narodzone dziecko. Połknęła trzy tabletki nasenne, małe i różowe, i popiła dżinem z tomkiem, żeby nie czuć goryczy w ustach. Od lat ten ceremoniał był niezmienny – co wieczór połykała stałą dawkę sztucznego snu, przerzucając z łóżka programy telewizyjne w poszukiwaniu wiadomości. Potem, kiedy ociężały mózg zapadał w drzemkę, a odraz się rozmazywał, gasiła światło, próbując nie myśleć o wizjach, które oślepiły jej myśli niczym flesze aparatów w ciemnościach. Przede wszystkim nie myśleć. Nie myśleć o tej młodej blondynce, której jakiś nieznamy rozpruwa brzuch na nowojorskim parkingu, o bezdomnym, wykrwawiającym się na śmietniku, ani o zamordowanej dziewczynce wrzuconej do śmietnika na przedmieściach Meksyku przez czyjeś zbrukane krwią ręce. Nie myśleć o

kakofonii jęków i szlochów wybuchających w jej głowie, kiedy zaciska pięści, żeby zasnąć. Morderstwa na żywo, których jest świadkiem, bezradna, jakby dokonywały

się na jej oczach. Albo raczej poprzez jej oczy. I to jest najbardziej przerażające w jej wizjach: jeżeli do morderstw a obchodzi w chwili, kiedy zasypia, widzi wszystko oczyma ofiary. Obrazy są tak precyzyjne, że czuje się, jakby to ją zabijano. Aby przepędzić zarodki strachu, który dopada ją każdego wieczoru, kiedy tylko zgasi światło, Mark Parks skupia uwagę na wyimaginowanym punkcie między brwiami. Chińczycy mówią, że to w tym miejscu następuje intensywny przepływ energii.

Dobry sposób, aby uciszyć głos w mózgu, jak radio, którego głośność można regulować. Tylko że tu nie da się wcisnąć żadnego guzika, jest tylko punkt, w który Marie wpatruje się usilnie, dopóki nie utraci świadomości pod wpływem środków nasennych. Potem na kilka godzin zapada w kamienny sen. To parę godzin wytchnienia, dopóki nie ustanie działanie narkotyków. Wtedy zaczynają się sny o toporach, o poćwiartowanych ciałach, wy-prutych flakach i zwłokach dzieci. Co noc te same sny-zbrodnie seryjnych morderców, które Marie Parks, pracująca w FBI nad profilami przestępców, tropi bez wytchnienia. Fantomy Marie – seryjni zabójcy. Jedni polują w swojej grupie etnicznej i zabijają ofiary, trzymając się zasady serii. Tak jak Edward Sorrenson, typowy ojciec rodziny, rzeźbiarz nastolatków. Porywał dzieciaki, dusił je, a następnie rzeźbił ich ciała młotem i dłutem. Albo jak Edmund Stern, który ciągle się przeprowadzał i kolekcjonował martwe niemowlęta w pudełkach na buty. Przy seryjnych zabójcach scenariusz jest zawsze taki sam – zaborcza matka, kazirodczy gwałt, bicie i dręczenie w szkole, a potem fala nienawiści, która narasta dzień za dniem A kiedy już potwór dorośnie, zaczyna zabijać echa swoich frustracji: blondynki, prostytutki, emerytowane nauczycielki, nastolatków albo małe dzieci. To zabójcy, którzy mordują własne odbicie – serial-killersi roztrzaskują lustra.

Druga kategoria, mass-murderersów, dokonuje masakry potwornej i nieprzewidywalnej. Dziesięć ofiar za jednym

zamachem. Jak Herbert Stox, który nagle zaczął rozpruwać brzuchy ciężarnych młodych brunetek – dwanaście kobiet zginęło w ciągu jednej nocy i to w tej samej dzielnicy. Ulegają nieodpartemu impulsowi zniszczenia. Tacy masowi zabójcy to nawiedzeńcy, którzy słyszą głos Boga. Spree-killersi są psychotykami o rozchwianej osobowości i zabijają jak najwięcej osób w różnych miejscach i w bardzo krótkim odstępie czasu. Jeden dzień szaleńczej pogoni, a o świcie kula w łeb.

Oto, co kryje się w muzeum zabójców. Lecz jak każda hierarchia, ta również wymaga władcy, króla sawanny przedmieść i miejskiej dżungli. Ten zabójca doskonały, książę morderców, przed którym wszyscy chylą czoło, to cross-killer. Cross-killersi są zabójcami podróżującymi, drapieżcami zmieniającymi teren łowów. Jedno morderstwo w Los Angeles, drugie w Bangkoku, zima w słońcu Karaibów, w ogromnych hotelach, gdzie tłoczą się turyści.

W FBI panuje przekonanie, że cross-killer to seryjny zabójca, który zaoszczędził dość dużo, żeby zafundować sobie podróż dookoła świata samolotem. To błędna opinia, ponieważ seryjny zabójca działa pod wpływem impulsu, zabija, żeby rozładować napięcie. Jest psychopatą i przestrzega rytuału, który ma go uspokoić. Dopuszcza się profanacji ofiar, wystawiając je na pośmiewisko, okalecza. Sam był niegdyś przerażonym dzieckiem – teraz chce wzbudzać przerażenie, i zawsze

pozostawia za sobą ślady, żeby dać się złapać. To pragnienie kary. Jest zwierzęciem terytorialnym, zabija w swoim rewirze, przypomina parszywego psa, który zagryza owce z własnego stada.

Cross-killer jest natomiast wędrowcem, pożera trupy, jak ogromny biały rekin zmaga się z nurtami, szukając ofiary. Stoi na szczycie łańcucha pokarmowego. To zimnokrwista istota, która dobiera ofiary, kontroluje swe instynkty i emocje. Nigdy nie pozwala, aby wzięły nad nim górę, nie słyszy głosów, nie jest posłuszny Bogu. Nie wyrównuje rachunków, nie szuka odwetu. Jest jedynakiem albo pierwotnym synem szczęśliwej rodziny. Tata go nie gwałcił, mama nie terroryzowała szkodliwą miłością, która wykoślawia umysł. Nikt go nie bił. Po prostu

taki się urodził – czarownice pochylały się nad jego kołyską. Podobnie jak seryjny zabójca, spree-killer czy mass-murderer, ów cross-killer jest szalony. Jednak w przeciwieństwie do tamtych, uświadamia sobie swój obłąd. I właśnie ta wyostrowana świadomość pozwala mu kompensować szaleństwo wyjątkową stabilnością zachowań. Równowaga niezrównowazenia. Może być naszym sąsiadem, bankierem albo biznesmenem, który przez cały tydzień przemieszcza się samolotami, a niedziele poświęca dzieciom i najchętniej gra z nimi w tenisa. Jest doskonale wtopiony w społeczeństwo, nie był notowany. Ma dobrą pracę, ładny dom, sportowy samochód. Podróżuje dla zatarcia śladów i zmylenia tropów, uderza tam, gdzie nikt się go nie spodziewa.

Jeżeli nie pasujemy do serii, którą rozpoczął serial-killer, możemy spotkać go na swej drodze nie ponosząc żadnego ryzyka. Możemy nawet iść z nim na kawę albo podwieźć, zauważywszy go na skraju drogi, na odludziu. Oby nie okazał się cross-killerem! Bo cross to bestia, która je, kiedy czuje głód. A ten zabójca zawsze jest głodny. Tropienie ich to specjalność Marie. Tysiące kilometrów pokonanych samolotami, setki nocy przespanych w hotelach na całym świecie, tysiące godzin oczekiwania na cmentarzach i w podmokłych lasach. Dziesiątki ciał, lasy duchów. Oto „ulubiona” zwierzyna Marie. Marie, która płacze przez sen, budzi się z krzykiem, spocona i zalana łzami, i zawsze o jednej porze – czwartej godzinie nad ranem. O tym czasie agentka specjalna Marie Parks woli już nie zasypiać.

Dziesięć minut po północy. Oddech Marie jest spokojny i regularny. Środki nasenne utrzymują jej mózg w głębokim śnie, mglistym i bezbarwnym, pozbawionym jakichkolwiek bodźców zewnętrznych. Jeszcze nie śni. Jednak, jak brudna woda spływająca rurami kanalizacyjnymi, fale jej podświadomości usiłują przekroczyć chemiczną barierę środków nasennych. Świadczą o tym ledwie dostrzegalne ruchy palców na kołdrze, drgania

powiek, marszczenie czoła: wkrótce Marie przejdzie z fazy snu głębokiego w sen paradoksalny, a zatem w tą fazę nocy, gdy potwory żyjące w jej podświadomości atakują najzacieklej. Zaczynają się wyłaniać jakieś obrazy, szare i zimne wizje: noga unosząca się na wodzie, zamazana twarz, skwaszone mleko w butelce ze smoczkiem, porzucone przy koszu, wybite zęby i umywalka pochlapana jasnoczerwonym płynem. Stopniowo te wszystkie elementy połączą się w całość i ożyją. Nagle Marie czuje ściskanie w gardle, adrenalina dostaje się do jej krwi, rozszerza naczynia. Zaczyna się – oddech jest szybszy, puls także gwałtownie przyspiesza, nozdrza drgają, niebieskie żyły na skroniach pulsują. Obrazy są wyraziste, ruchliwe. Za chwilę mogą się zacząć koszmary. Koszmary tak wyraziste, kiedy już przyjdą, tak namacalne, że potrafią doskonale oddawać nawet zapachy.

Marie wdycha otaczające ją powietrze. Uleciała gdzieś woń szamponu rumiankowego, przesączająca poduszkę, rozwiął się zapach pachnidełek, które zapala co wieczór, żeby pozbyć się odoru papierosów. Zamiast nich czuje truskawkową gumę do żucia i tanie perfumy, wanilię i granat.

Koszmary obejmują także zmysł dotyku. Marie ma niesamowite wrażenie, że to, czego dotyka we śnie, naprawdę istnieje. Wysuwa nogę z łóżka, dotyka podłogi. Zniknęło gdzieś tekowe drewno parkietu w jej sypialni. Zastąpiła je szorstka, tania wykładzina.

I wreszcie ciało, jej własne ciało. Ma dziwne wrażenie, że odmłodziło, że jej uda są szczuplejsze, kolana gładziej, brzuch bardziej zaokrąglony, piersi drobniejsze. I jej łono, jeszcze dziewicze, jest węższe.

Marie dotyka palcem opuchniętego śladu po ukąszeniu komara, tak swędzącego pod kolanem. Krzywi się, czując kurcz w nodze i obolały kark. Bardzo potrzebuje iść do toalety, ale walczy z tą potrzebą, bo boi się wstać. Potwornie się boi. Zaczyna się – suchość w gardle, ściskanie w brzuchu. Otwiera oczy. Jej pokój wygląda inaczej. Jest mniejszy, bardziej ponury i zimny. Lekki przeciąg porusza papierowymi storami, które uderzają o szyby. Oval filiżanki z herbatą rumiankową rysuje się w czerwonej poświacie kwarcowego budzika. W pokoju

słychać łagodny szmer filtrów w akwarium i bzyczenie muchy, która tłucze się o ściany.

Z półki spogląda na Marie szereg porcelanowych lalek. Widzi, jak unoszą się ich powieki, jak szklane oczy błyszczą w mroku. Ich rączki wyciągają się do niej. Ostre ząbki połyskują między woskowymi wargami.

Słychać szelest na podłodze. Uchyła się wieko wiklinowego kosza, wypełzają z niego dziesiątki pajaków i skorpionów, oblażą pluszowe zabawki, zbliżają się do niej.

A ona szczęka zębami i kuli się w pozycji dziecka w łonie matki. Wsuwa palce we włosy i zamiera – jej włosy są przecież krótkie, a te długie i gęste. Ciężkie, pachnące pukle odskakują od skóry, prześlizgują się między palcami i opadają na poduszkę. Lalki szepczą w ciemnościach, Skorpiony wspinają się na łóżko, włączają na koldrę. Nagle Marie słyszy mruczenie kota, który czai się gdzieś w pokoju. Zapach sardynek i rozmaitych resztek unosi się w powietrzu. Krew zastyga jej w żyłach. Ten kot, który mruczy, to Poppere, duży sjamski kocur Jessiki Fletcher, nastolatki zamordowanej dwanaście lat temu wraz z całą rodziną, tamtej nocy, kiedy pan Fletcher oszalał.

Oczy lalek mrugają i gasną. Pająki bezwładnie spadają na ziemię, skorpiony wracają do kosza z zabawkami. Wieko opada, skrzypiąc. Tak, teraz koszmar może się już zacząć.

Marie weszła w ciało Jessiki. Śni, że ma otwarte oczy i że za wszelką cenę musi zasnąć, żeby koszmar się skończył. Koszmar północy. Najgorszy. Ale jak zasnąć, kiedy się już śpi? Nasłuchuje. W sąsiednim pokoju płacze dziecko. Głos pana Fletchera nuci kołysankę. Przez gipsową ściankę Marie słyszy przenikliwą muzykę karuzeli nad łóżeczkiem i regularne skrzypienie kołyski, którą ktoś porusza, żeby uspić niemowlę. Ale niemowlę wciąż krzyczy. Ze złości i strachu dostało czkawki, a pan Fletcher wciąż śpiewa. Słowa są łagodne, ale ton lodowaty. Potem dziecko nabiera tchu i wyje tak ostro, że Marie drżą bębrenki. A kiedy skrzypienie kołyski staje się szybsze, Marie

słyszy jeszcze jakiś głos, metaliczny dźwięk. Jakby szczęknięcie nożyc tnących poduszkę. Dziecko się dławi. Krzyk milknie. Kołyska porusza się coraz wolniej. Zatrzymuje się. Cisza. Szuranie kapci po parkiecie w przedpokoju. Jak co wieczór, pan Fletcher zagląda do pokojów dzieci, żeby sprawdzić, czy śpią. Otwierają się sąsiednie drzwi. Dźwięk wystraszonego głosu dochodzi do uszu Marie. To Kevin, młodszy brat Jessiki. Obudziło go skrzypienie kołyski. Tata mówi „ciii”. Kładzie Kevina, gładzi go po twarzy. Przerażona Marie znów słyszy metaliczny szczęk. Zapada cisza. Pan Fletcher podśpiewuje w ciemnościach.

Marie ukryła się pod kołdrą. Słyszy szuranie kapci z przedpokoju, pisk poruszonej klamki. Przez ledwie uchylone powieki dostrzega we framudze drzwi sylwetkę pana Fletchera, ubranego w elegancki trzyczęściowy garnitur, jego spoconą twarz i błysk noża, który ukrył w nasiąkniętym krwią rękawie. A potem widzi już tylko jego martwe oczy. Oczy porcelanowej lalki. Marie musi za wszelką cenę zasnąć i wyjść z ciała Jessiki. Słyszy świszczący oddech pana Fletchera, który jest coraz bliżej. Czuje jego zapach, gdy się nad nią pochyla. I ciężką rękę, która przesuwa się po kołdrze, pieści jej nogi, dotyka bioder. Czuje lepki ślad, który ta ręka pozostawiła na kołdrze, wędrując wzdłuż jej ciała. Słyszy świszczący głos Fletchera, gruby, zły i smutny głos.

–Jessico, śpisz?

Marie udaje, że śpi. Wie, że jeżeli tata Jessiki uwierzy, że śpi, może zostawi ją przy życiu. Czuje jego rękę, która łagodnie nią potrząsa, żeby ją obudzić. Czuje jego oddech na policzku. To kwaśna woń whisky, prażonych fistaszków i wymiocin. Tata Jessiki pił. Tata Jessiki obudził potwora, pożeracza dzieci. Jego gruby głos szepcze w ciemnościach.

–Nie rób ze mnie głupka, mała zdziro. Dobrze wiem, że wcale nie śpisz.

Marie czuje zimne usta pana Fletchera tuż przy swoich. Łzy przerażenia błyszczą w kącikach jej oczu, nabrzmiewają pod powiekami. Wie, że nie zdoła ich powstrzymać.

–Dobrze, Jessico, kochanie. Skoro tak, dmuchnę ci w oczy. Jeżeli poruszysz powiekami, to znaczy, że nie śpisz.

Marie z całej siły zaciska pięści, żeby powstrzymać łzę, która wisi już na rzęsach. Czuje lekki podmuch – to tata Jessiki dmuchnął jej w oczy. Drżenie. Łzy uciekają i spływają po policzkach. Pan Fletcher uśmiecha się w ciemnościach. – Teraz oboje

wiemy, że udawałaś, że śpisz. Policzę do trzydziestu. Dam ci czas na wybranie dobrej kryjówki. A kiedy skończę, będę cię szukał. Jeżeli cię znajdę, zabiję. Marie nie może się ruszyć. Słyszy gruby głos pana Fletchera, który zaczął liczyć w ciemnościach. Liczy na opak, a im jest dalej, tym silniej Marie czuje działanie środków nasennych, które ponownie się koncentrują. Znowu odzyskują kontrolę nad jej mózgiem. Głos się oddala. Nóż się unosi, błyszczy w mroku. Jego blask słabnie. Pan Fletcher skończył liczyć. Marie drży, czując, jak ostrze kaleczy jej skórę i wbija się we wnętrzości. Stare oparzenie, mgliste wspomnienia. Już, tabletki naprawdę zadziałają. Koszmar rozpada się na drobne kawałki, obrazy się rozplývają. Marie znowu zapada w mrok. To był koszmar północy.

Koszmary Marie zaczęły się po wypadku samochodowym. Po czołowym zderzeniu TIR-a z ich wozem campingowym, który pędził z ogromną prędkością. Prowadził Mark, jej chłopak. Rebecca, ich córeczka, siedziała między nimi, przypięta pasami w foteliku. Mark i Marie pokłócili się. Wypił o parę drinków za dużo u Hanksów, którzy urządzili parapetówkę w nowym domu na eleganckim przedmieściu Nowego Jorku. To był ogromny dom z ogrodem i sąsiadami grającymi w golfa. Selekcja przez cenę za metr kwadratowy.

Patrick Hanks, przyjaciel Marka z lat dzieciństwa, został właśnie przeniesiony do dużego banku na Manhattanie. Dzięki temu zarabiał trzy razy więcej, dostał służbowego cadillaca i jedno z tych ubezpieczeń, które z choroby robi lokatę. No, a do tego duży dom z dębowym parkietem i kolumnadą, wart około miliona dolarów. Było się o co kłócić, wracając do Maine. Hanksowie poprosili Marka, żeby wprowadził swój odrapany

wóz campingowy do garażu, bo bali się, że ich dobrze wychowani sąsiedzi pomyślą, że w dzielnicy tworzy się jakieś indiańskie obozowisko. Cholera, wóz campingowy w garażu, w którym zmieściłyby się jeszcze trzy takie! Mark poczuł się, jakby zaparkował w katedrze. Jakoś to przełknął i odczekał, aż będą wracali, żeby wyładować się na Marie. Jechał szybko. O wiele za szybko.

Do wypadku doszło na Stanowej 90, kilka kilometrów przed Bostonem. Trzydziestotonowa ciężarówka wpadła w poślizg na lodzie i stanęła w poprzek, a pnie, które przewoziła, wysypały się na jezdnię. Mark nie zdążył nawet hamować. Marie doskonale pamiętała te pnie spadające na asfalt i ułamek sekundy przed uderzeniem. Wieczność w zwolnionym tempie, z której pozostały tylko migawki, jak flesze w ciemności. Uderzenie było tak potężne, że Marie poczuła się jak lustro roztrzaskane kamieniem. Przód wozu rozpadł się w starciu z pniami, z kabiny zostały tysiące odłamków. Z pamięci Marie także. Okruchy szkła, które sypnęło się na asfalt, miliony rozproszonych okruchów wspomnień, zapachy z dzieciństwa, kolory i obrazy. Całe jej życie gdzieś uciekło. Bicie serca, które uderzało coraz wolniej. I przejmujący chłód.

Pogrążona w głębokiej śpiączce Marie walczyła przez dwa miesiące, leżąc na oddziale intensywnej terapii szpitala Charity w Bostonie. Przez te dwa miesiące jej komórki mózgowe toczyły zaciekły bój, aby nie popaść w stan zwany coma dépassé*. Przez dwa miesiące tkwiła w mrokach własnego mózgu. O ile bowiem ciało Marie przestało wypełniać swe funkcje, a mózg odciął połączenia z tą kupką zmartwych mięśni, jej świadomość pozostała zadziwiająco sprawna, jak bezpiecznik, który działa, choć wszystko inne wyskoczyło. Marie słyszała jakby z oddali przytłumione głosy wokół siebie, miejski gwar za uchylonym oknem, pielęgniarki, które się przy niej krzątały, czuła podmuchy na twarzy. Podłączono ją do respiratora – porcja lodowatego powietrza

przy każdym mechanicznym tchnieniu maszyny, nacisk tłoków powodujący rozszerzenie płuc, a potem pozostawiający im czas na wypchniecie powietrza przed podaniem kolejnej porcji. Miarowy odgłos miechu podnoszącego się i opadającego w szklanej tulei, szmer elektrokardiografu. Syntetyczny świat, którego brzmienia dobiegały jak zza betonowej ściany. Albo jak przez marmurową płytę. Jakby Marie, więźniarka własnego ciała, została złożona w wyściełanej satyną trumnie, którą przykryto wiekiem i spuszczone do zimnego grobu. Jakby lekarz, stwierdziwszy śmierć ciała, nie pomyślał o mózgu i, zmęczony po długim dyżurze, podpisał akt zgonu. Marie, martwa i żywa,

* *Coma depasse (med.) - śpiączka; długotrwała utrata przytomności towarzysząca uszkodzeniom mózgu.*

skazana na wieczną tułaczkę w głębi własnego jestestwa, skąd nikt nie mógł usłyszeć jęków i krzyków, jakie wydawała pośród ciemności.

Czasem, kiedy noc otulała szpital, a jej udawało się zasnąć w śpiączce, słyszała krople deszczu dzwoniące o marmurową płytę nagrobną i ptaki, które przysiadają na niej, żeby dziobać ziarna rzucone tu przez wiatr. Zdarzało jej się nawet słyszeć skrzywienie żwiru pod stopami pogrążonych w żałobie rodzin. Kiedy indziej, gdy jej wyczerpane serce nagle przestawało bić, a resztki świadomości chwiały się jak płomyk świecy na wietrze, Marie umierała we śnie. Poddawała się bezgranicznemu zimnu, które ją przenikało. Jej umysł kulił się wówczas jak przerażone dziecko pośród nocy, urządzenia zaczynały dzwonić, a ona krzyczała ze strachu, jednak ten krzyk nigdy nie wydobył się z jej ust.

Kiedy włączały się alarmy, słyszała echo odległych głosów, jak wówczas, kiedy pływa się pod wodą. Spłoszone głosy, które dobiegały znikąd, otulały ją, opanowywały. Za każdym razem czuła, jak czyjeś ręce zrywają z niej koszulę i masują serce, miażdżąc mostek, żeby zmusić nabrzmiały krwią mięsień do' pracy. Igły wbijały się w jej żyły. Najpierw pieczenie, potem nieznośne palenie adrenaliny, która wnikała do organizmu. A po chwili dwa kawałki metalu dotykały jej piersi i ostry gwizd

wypełniał pokój. Później, kiedy odległy głos krzyczał coś, czego Marie nie rozumiała, jej ciało gwałtownie się wyprężyło w białym błysku wyładowań. Skrzywienie elektrokardiografu, który rusza, świst defibrylatora, który ładuje się do

następnej próby. Metalowe płytki trzeszczą na skórze Marie. Trach! Jeszcze jeden biały błysk atakuje mózg. Serce się kuli, zatrzymuje się, znowu się kuli i znowu staje. A potem wreszcie zaczyna migotać i rusza, kurczy się i rozpręża. Za każdym razem, kiedy jej serce podejmowało pracę, Marie czuła zimny strumień tlenu wnikający do gardła i wypełniający płuca. Czuła, jak nabrzmiewają jej tętnice, jak skronie pulsują pod naporem napływającej krwi. Tętno znowu uderzało jak młot pośród ciszy. Bo wreszcie zamilkły głosy wokół niej, a chłodna ręka wytarła jej mokre włosy. Marie, więźniarka swego ciała, zaczynała wówczas unosić się tuż pod powierzchnią wody. Przerażona Marie nie była w stanie umrzeć.

Kiedy się wybudziła ze śpiączki, powiedziano jej o śmierci Marka i Rebecki. On konał przez wiele dni tuż obok, w jednym ze szpitalnych pokoi. Mała Rebecca wypadła z samochodu, siła zderzenia była tak potężna, że dziecko poleciało daleko i odnaleziono tylko zwęglone szczątki jej ciała. Marie nie pamiętała nawet ich twarzy. Nie pamiętała też własnej. Kiedy po raz pierwszy wstała ze szpitalnego łóżka i poszła do łazienki, nie poznała swego odbicia w lustrze. Te długie czarne włosy, cera porcelanowej lalki i duże szare oczy, które na nią patrzyły, ten płaski brzuch, łono i uda, których dotykała, żeby je poznać, te ręce o zbolących mięśniach, delikatne dłonie, którymi poruszała, oglądając je ze zdziwieniem, nie należały do niej. Były tylko płaszczem ze skóry i mięśni, narzuconym na jej prawdziwe ciało. Kombinezonem z ciała, które całkowicie ją zakryło, a które Marie próbowała zerwać paznokciami. Trzydzieści miesięcy rehabilitacji. Trzydzieści miesięcy nauki chodzenia, mówienia, myślenia. Trzydzieści miesięcy na szukanie racji bytu. A potem Marie wróciła do swojej jednostki w policji federalnej.

Po wyjściu ze szpitala skierowano ją do departamentu Mis-sing – uznani za zaginionych, w bostońskim FBI. Pełne życia dzieciaki znikają z podwórka przed domem, a nikt niczego nie widział – ani sąsiad, ani włóczęga, ani nawet listonosz czy mleczarz. Ostatni podwieczorek przy kuchennym stole, ostatnia szklanka wody sodowej, a potem dzieciak wskakuje na rower, nowiutki VTT z osiemnastoma przerzutkami Shimano. Wciska na głowę najładniejszą baseballówkę, chowa do kabury karty Yankeesów albo Dodgersów. Mama zapakowała mu do plecaka puszkę coli light i kanapkę z masłem orzechowym zawiniętą w celofan. Pędzi ulicą, zatrzymuje się przed „stopem”, skręca w lewo. Potem znika, jakby wchłonął go asfalt. Albo schwytały ręce potwora.

To przytrafiło się Benny'emu Madiganowi, sprawa 2412 w departamencie Missing FBI, chłopcu z przedmieścia Portlandu, który wyszedł z domu, żeby spędzić noc u przyjaciela. Cztery kilometry od progu do progu, jedna jedyna możliwa trasa – czterysta metrów Stutton Avenue, skręt w lewo w Union Street, potem koło supermarketu Wal-Mart, po prawej, a za kawiarnią Starbucks znowu w lewo, w Tekillan, i prosto do skrzyżowania z Noithndge, ulicą wysadzaną platanami, przy której w domu w stylu kolonialnym, pod numerem 3125 mieszka jego kolega. A zatem trasa linii prostych i skrzyżowań, którą prowadzący śledztwo przemierzali setki razy.

Była osiemnasta siedem wieczorem, kiedy Benny Madigan wsiadł na rower i odjechał sprzed domu. Godzinę ustalono dzięki starej Marge, która wyprowadza psy o stałej porze i pamięta, że widziała go, pędzącego po Stutton Avenue i wyjącego jak Apacz. Marge nie lubi dzieci, woli psy. Dlatego zapamiętała Benny'ego, jego czerwoną bluzę i plecak Nike'a. Osiemnasta dziesięć. Benny zatrzymuje się na czerwonym świetle przy skrzyżowaniu Stutton i Union Street. Wiemy o tym, ponieważ o tej godzinie Brett Michell, przyjaciel Madiganów, opuścił szybę w swojej terenówce, żeby zagadnąć Benny'ego.

Chłopczyk skinął mu na powitanie, a potem zamienili kilka słów. Kiedy światło zmieniło się na zielone, Benny wyciągnął lewą rękę, sygnalizując skręt w Union Street. I jeszcze klakson. Brett Michell, który jechał dalej Stutton, odprowadził spojrzeniem oddalające się dziecko. Wtedy widział chłopca po raz ostami.

Osiemnasta trzydzieści trzy. Benny wychodzi z Wal-Mart przy Union Street, gdzie wstąpił, żeby kupić cukierki i petardy. Taśmy wideo supermarketu nie kłamią – widać na nich, jak chłopiec myszkuje po dziale ze słodyczami. Widać też, że zwędził magazyn ilustrowany i ukrył go pod kurtką. Potem podszedł do kasy, zapłacił pięćdziesiątą, zabrał resztę i wyszedł ze sklepu.

Osiemnasta czterdzieści dwie. Benny Madigan mija kawiarnię Starbucks przy Union Street. Rachel Porter, przyjaciółka jego mamy, popija cappuccino na tarasie. Podnosi głowę właśnie wtedy, gdy Benny przejeżdża obok, bo jej uwagę zwraca zgrzyt przerzutki. Macha mu ręką, ale Benny jej nie widzi, koncentruje się na dźwigni biegów. Wrzuca piątkę. Łańcuch zmienia położenie, zgrzyty ustają. Benny staje na pedałach i przyspiesza jak szalony.

Rachel Porter pamięta, że tego dnia nastolatek był ubrany w luźne, opadające

dżinsy, bo górą wystawały z nich białe slipy. Zapamiętała też, że metalowa blokada obijała się o kierownicę. Benny skręcił w lewo, w Tekillan. Była osiemnasta czterdzieści trzy. Do pokonania został mu jeszcze kilometr. Kilometr, który prowadził w nicość, w niewidzialny tunel, gdzieś poza czasem, tunel, który wchłonął Benny'ego Madigana. O dziewiętnastej trzydzieści mama Benny'ego dzwoni na 3125 Northridge Road, żeby się upewnić, czy syn bezpiecznie dotarł do celu. Rodzice kolegi nie bardzo rozumieją – o osiemnastej pięćdziesiąt Benny zadzwonił do nich z komórki, co potwierdza billing telefoniczny, żeby uprzedzić, że przebił oponę u zbiegu Tekillan i Northridge. Ojciec kolegi zaproponował, że po niego przyjedzie, ale Benny odparł, że ma spray do naprawy opon i poradzi sobie sam. Potem się pożegnał i połączenie zostało przerwane. To wszystko. A nie, zanim się rozłączył, ojciec usłyszał pisk opon samochodu, który zatrzymał się tuż obok,

szmer opuszczanej szyby i zagłuszany ruchem ulicznym głos mężczyzny. Kierowca pytał Benny'ego o drogę. Chłopiec coś odpowiedział, potem zamilkł, powiedział do widzenia ojcu kolegi i rozłączył się, zapewne żeby wytłumaczyć kierowcy, którędy ma jechać. To wszystko.

Po Rachel Porter, która zobaczyła Benny'ego, siedząc w kawiarni Starbucks przy ulicy Union Street, nikt już chłopca nie widział. Nikt nie wie, co wydarzyło się na czterystumetrowym odcinku między skrzyżowaniem a 3125 Northridge Road. Nie było świadków jego zniknięcia, mimo że tyle osób widziało go tuż przedtem. Nic, nawet na stacji benzynowej, która znajduje się na rogu.

Cztery godziny później policja odnalazła rower Benny'ego Madigana w zaułku przy Northridge Road, przecznicy znajdującej się dwieście metrów za numerem 3125. Nigdzie śladu ciała, żadnego ubrania ani śladu słodczy kupionych w Wal-Mart czy plecaka Nike'a.

W nadziei na odnalezienie zagadkowego kierowcy, który pytał Benny'ego o drogę, ustawiono blokady. Przetrząsnięto lasy, jeziora, koryta rzeki. Bezskutecznie. Następnie przekazano sprawę Madigana do departamentu Missing FBI. Powierzono ją Marie Parks, razem ze stosem innych nierozwikłanych śledztw. Podobnie jak zaginięcie osiemnastoletniej Amandy Scott, która zniknęła w okolicach Dallas, gdy poszła po wózek na parking supermarketu, czy Joana Kaprisky'ego, trzynastolatka zaginionego w Kendall w Alabamie podczas seansu kinowego. To były stare sprawy, umorzone po upływie piętnastodniowego okresu, kiedy szanse na odnalezienie dziecka praktycznie nie istnieją. Ze swego biura w Bostonie Marie Parks śledziła listę poszukiwanych. Przypadkiem natknęła się na sprawę dziewczynki, która właśnie przekroczyła ów dwutygodniowy czas. I wtedy doznała pierwszej wizji.

Pierwsza wizja Marie nazywała się Meredith. Meredith Johnson. To ośmioletnie dziecko zaginęło przed piętnastoma dniami w drodze do szkoły. Przez cały ten czas przeczesywano lasy, sondowano jeziora. Dziewczynka zniknęła jak setki innych, bez śladu.

Meredith mieszkała w Bennington w Vermont. Była to zabita deskami dziura w Green Mountains. Meredith była blondynką o pyzatej buzi, nieco otyłą i najwyraźniej gustującą w milk-shakes'ach i hamburgerach.

W dniu zaginięcia była ubrana w żółte adidas i pomarańczową kurtkę nieprzemakalną, tę samą, którą miała na sobie na zdjęciu, gdzie widać było także metalowe rusztowanie jej aparatu na zęby. Jednak uwagę Marie zwracały nie tyle te szczegóły, ile całkowity brak zeznań, jakby dziewczynka w żółtych adidasach i pomarańczowej kurtce mogła tak po prostu zapaść się pod ziemię, niezauważona przez nikogo. Właśnie to nie dawało Marie spokoju w sprawie Meredith. Czy tego chcemy, czy nie, kiedy ośmiolatek maszeruje samotnie ulicą, kiedy ma na sobie żółte adidas i pomarańczową kurtkę, a mieszka od urodzenia w swoim mieście, zawsze przez ułamek sekundy znajdzie się w polu widzenia znajomych, w lusterku wstecznym albo w oknie kuchni. Czy nam się to podoba, czy nie, to zawsze, jak w przypadku Benny'ego Madigana, spotyka się starszą panią z psem, zamiatacza ulic, który właśnie zbiera liście z jezdni, sprzedawcę Biblii czy mechanika, który idzie do klienta naprawić pralkę, po drodze zauważa malca i zachowuje ten obraz w zakamarkach pamięci. Zawsze. Ale nie w sprawie Meredith Johnson. I właśnie ten brak informacji niepokoił Marie. Jakby zniknięcie dziewczynki było od tygodni przygotowane przez seryjnego zabójcę. Kogoś bliskiego, a w każdym razie mieszkańca Bennington. Byłby typem drapieżnika, który całymi dniami śledzi drogę dziewczynki. Ale nawet wówczas ktoś powinien był coś zauważyć. A tym razem – nic. Jakby nagle porwało ją tornado, jakby pochłonęły ją ruchome piaski. Marie poleciała do Vermont, potem wynajętym samochodem dotarła do Bennington. Tam przesłuchiwała przechodniów i setki razy przemierzała drogę między szkołą a domem Meredith. Ani śladu, żadnej wskazówki, żadnego wspomnienia, nawet zatartego, ani słowa na temat Meredith Johnson. Jakby dziewczyna w żółtych adidasach i pomarańczowej kurtce nigdy nie mieszkała w Bennington.

Zmęczona i rozczarowana Marie wynajęła pokój w motelu na skraju miasta. I właśnie tej nocy śniła o Meredith.

Marie Parks zasnęła, oglądając talk-show Larry'ego Kinga, a obudziła się po kilku godzinach na polu zbóż, przy świetle księżyca.

Jest zimno. Zboże skoszono przed kilkoma tygodniami, a rżysko, pozostałe po kombajnie, podpalono. Poruszając przez sen nozdrzami, Marie wdycha woń spalonego chleba, która unosi się nad ziemią. Potem otwiera oczy i widzi na horyzoncie sylwetkę dziewczynki w pomarańczowej kurtce. Dziecko idzie skrajem lasu, który spowija głęboki cień. Jest cicho. – Meredith!

Marie zamierza ją zawołać, wtedy jednak słyszy za plecami jakiś hałas. To uderzenia łap o zwęgloną ziemię. Odwraca się i widzi pędzącego ku niej dużego czarnego psa. To biegnie stary rottweiler, kłapiąc zębami. Z jego pyska toczy się ślina. Marie sięga po broń, kuca i strzela, opróżniając magazynek, do zwierzęcia, które właśnie ją mija. Dziewięćmilimetrowe kule pozostawiają szerokie, krwawe rany na jego sierści, ale to go nie zatrzymuje. Rottweiler mija Marie i przyspiesza, aby dopaść Meredith, którą właśnie dostrzegł.

Wiatr tłumi krzyk Marie, która przestrzega Meredith, żeby nie wchodziła do lasu, bo to las stworzył tego potwora, chcąc zmusić dziecko do schronienia się wśród drzew. Ten pies wcale nie istnieje, wystarczy zamknąć oczy, a zniknie bez śladu. Marie próbuje biec, ale ma zdrętwiałe, słabe nogi i nawet nie może wstać. To smolista substancja snu. Widzi, jak gałęzie się rozchylają, torując drogę przerażonej dziewczynce, która wciska się w zarośla. Potem rottweiler także znika między drzewami, a gałęzie opadają niczym ramiona. W dali rozlega się potworny krzyk. Marie czuje przerażenie Meredith. Dotarła do polany,

próbuje rozsunąć kolczaste zarośla, tarasujące jej drogę. Meredith błaga o pomoc. Broni się. Nie ma już siły. Krzyczy ostami raz. To krzyk śmierci. Potem zapada cisza. Liście drżą, kołysane przez wiatr. To była pierwsza wizja Marie.

Przez najbliższe noce Marie także śniła o dziewczynce. Sny stawały się coraz bardziej precyzyjne, jakby stopniowo utożsamiała się z nią i przez nią czuła zapach kwiatów, podmuch wiatru, atmosferę lasu.

Aż wreszcie któreś nocy Marie weszła w skórę Meredith, tak po prostu, w jednej chwili. Nie śniła o sobie, Marie, która patrzy na dziewczynkę. I nie miała już wrażenia, że idzie za nią przez mroczny las. Sama stała się Meredith. Myśli Meredith, jej strach i dziecięca radość, okrągły brzusek i brodawka na podeszwie, przez którą od kilku tygodni utykała, jej troski i dziewczęce sekrety należały teraz także do Marie. Marie-Meredith. Meredith-Marie.

W dniu, w którym Meredith weszła do lasu, miała dokładnie osiem lat, była ubrana w pomarańczową kurtkę, dokuczał jej katar i z trudem oddychała, na dnie kieszeni miała stare miętówki, które przykleiły się do materiału, i bolały ją kolana. To przez Jenny, jej najlepszą przyjaciółkę, która przewróciła ją na boisku podczas przerwy. Tego dnia Meredith bardzo się rozłościła.

Tak wyglądała pierwsza prawdziwa wizja Marie. To już nie ulotny sen ani nakładające się sceny złych wspomnień, ale pełna osmoza, jawa, somnambuliczne,

przerażające wrażenie roztopienia w ciele innego człowieka. Tak, właśnie w tej chwili na jedną noc Marie stała się Meredith. Najpierw poprzez dźwięki i zapachy. Ogluszający hałas na szkolnym boisku. Meredith się przewraca. Ma zamknięte oczy, z trudem powstrzymuje cisnące się do nich łzy. Łzy gniewu i wstydu, bo Jenny pchnęła ją w plecy, gdy bawiły się w berka. Meredith upadła na kolana i dłonie, przewróciła się o słup.

Chłopcy na pewno widzieli jej majtki. Meredith słyszy za plecami ich śmiech. Pieką ją ręce. Bołą kolana. Krwawi. Mama ją skrzyczy, bo na żwirze podarła rajstopy. Wolałaby umrzeć, albo być ciężko ranna. Jakieś solidne złamanie, wykręcone kolano albo mocno krwawiąca rana. Wszystko byłoby lepsze od takiego niezdarnego upadku na boisku i świecenia majtkami, kiedy wszyscy chłopcy patrzą. Paskudna Jenny. Dzielnie tłumiąc gniew i łzy, Meredith słucha śmiechów dzieci, które otoczyły ją kręgiem. Nie śmie otworzyć oczu. Słyszy, jak ktoś skacze na skakance, jak tupią buty ganiających się, jak krzyczą rozbiegane dzieci. W dali rozlega się bicie dzwonów w kościele Bennington. Meredith w końcu unosi powieki. Wizja Marie kąpie się teraz w świetle. Patrzy oczyma Meredith. Widzi rozbawione twarze, wyciągnięte palce, chłopców, którzy robią głupie miny i skręcają się ze śmiechu. Krzyki i hałasy niemal doprowadzają ją do wybuchu płaczu. Nie wolno jej się rozplakać. Lepiej już umrzeć! Ratuje ją gwizdek nauczycielki. Dzieciaki się rozbiegają. Nikt już nie zwraca uwagi na małą grubaskę, która niezgrabnie obciąga pomarańczową kurtkę. Meredith podnosi się, zabiera plecak i idzie w stronę bramy, gdzie spieszący się rodzice czekają na dzieci. Wkrótce zostaje już tylko woźny, który zamiata liście z dziedzińca. I ona, całkiem sama. Czeka.

Spogląda na zegar. Dziesięć po czwartej. Mama się spóźnia, jak zwykle. Dziewczynka patrzy na swoje brudne ręce i otarte kolana. Pochyla się i zauważa skrzepy krwi, która przesiąkła podarte rajstopy. Chciałaby, żeby mama już przyszła. Mama i jej czułe ramiona, w których Meredith chciałaby się ukryć, żeby w końcu dać upust łzom.

Piętnaście po czwartej. Wściekła i smutna, zasuwa zamek błyskawiczny kurtki i rusza w drogę. Przechodzi przez ulicę, mija kościół, potem idzie na skróty przez pola. Minie las, dojdzie do farmy Hansonów, potem skręci na dróżkę biegnącą do domu. To kwadrans drogi wolnym krokiem. Akurat tyle, ile trzeba, żeby obmyśleć zemstę na tę piekielną Jenny. No, już idzie skrajem lasu. Jest ponury i podmokły. To nawiedzony las, który pożera dzieci, tak w każdym razie mówią

orośli, żeby uczniowie wracali prosto do domu, nie włączając się po okolicy. Meredith nie wierzy w te bajki, bo przecież ma już osiem lat. Mimo to nie zapuszcza się między drzewa i uważa na wystające korzenie. Woli nawet nie deptać po cieniach drzew, które ją obserwują, i raz po raz zerka na dolne gałęzie. Rosną tu stare, ciemne świerki o pniach pokrytych mchem, wokół pachnie wilgotną ściółką i suchymi liśćmi. Płaty mchów i porostów odpadają od pni jak pasy martwej skóry. Można by pomyśleć, że to trędowate drzewa, które duszą dzieci. Mimo swoich ośmiu lat Meredith trochę się boi. Przyspiesza kroku. Nagle za jej plecami rozlega się głuche warczenie. Dziewczyna zamiera.

Odwraca się bardzo wolno i dostrzega czarną sylwetkę przyczajoną w wysokiej trawie. Marie czuje, jak ściskają w żołądku. To Rozpruwacz, pies Hansonów, stary, prawie ślepy rottweiler, zacięty jak szerszeń. Dzieci ze wsi nadały mu takie imię, bo ciągle szarpał je za nogi, kiedy wchodziły na pole Hansonów zbierać grzyby.

W zachowaniu Rozpruwacza jest coś dziwnego. Zupełnie jakby nie poznał Meredith. Czyżby... oszalał? Czy pies może oszaleć? Meredith tego nie wie. Wpatruje się w Rozpruwacza. Chce jej się siusiu. Zaciska kolana. Jej głos drży.

–Dobry Rozpruwacz. Dobry pies. To ja, Meredith Johnson. Ale Rozpruwacz jej nie słyszy. Warczy. Jego potężne mięśnie prężą się i zwierają, także łapy drżą z wściekłości, czarna sierść stroszy się na grzbiecie. Z pyska toczy się piana. T Meredith już wie.

–Mamo, na pomoc, Rozpruwacz się wściekł! Ugryzł go nietoperz, a teraz on mnie zje!

Marie jęczy przez sen. Rozpruwacz zaraz zaatakuje. Meredith wciska się w zarośla, krzycząc rozsuwa gałęzie, nie zważa na pędy sumaka, które parzą jej łydki, ani na gałęzie, które chłozczą ją po twarzy. Wsłuchuje się tylko w uderzenia łap psiska, które za nią pędzi. Czuje na skórze jego ziajanie, czuje, jak jego szczęki zaciskają się na jej nodze. Potyka się, wyszarpuje stopę z buta, który tkwi w paszczy psa. Potem wstaje i biegnie na oślep. Oslania rękami oczy, odpycha gałęzie i biegnie, nie oglądając się za siebie. Ledwie czuje, jak kolce

kaleczą jej bosą stopę. Ma mokre majteczki. Biegnie, płacząc. Pali ją w gardle. Boi się. Jest jej smutno. Jest zła.

Meredith biegła bardzo długo. Za długo. Las jest tu tak gęsty, że światło słoneczne niemal nie przedostaje się przez dach z gałęzi. Nawet dźwięki zdają się tu nie docierać. Meredith zwalnia, rozgląda się. Ani żywego ducha. Rozpruwacz pewnie zawrócił. Albo przyczał się gdzieś i czeka na nią. Dziewczynka u kresu sił osuwa się na mech i wybucha płaczem. Płacze długo, wyzbywa się paraliżującego ją strachu. Ociera policzki i nadstawia ucha. Szum wody. Wznosi oczy i zauważa strumyk i kamienny mostek. Musiała zapuścić się głęboko w las. Nie zna tego zakątka, nigdy o nim nie słyszała. Zgubiła się, ale w tej chwili się tym nie przejmuje: strach przed lasem nie wziął jeszcze góry nad przerażeniem, w jakie wprawił ją Rozpruwacz. Klęcząc na mchu, Meredith próbuje dostrzec niebo nad drzewami. Światło dnia stało się szarawe, słońce chyli się ku zachodowi. Chce wstać i wtedy słyszy zbliżające się kroki, gdzieś pośród drzew. Marie rzuca się przez sen. Serce Meredith bije szybciej. Z rozchylonych ust wydobywa się obłoczek pary. Marie czuje chropawe porosty ocierające dłonie dziewczynki i piekące ukłucia igieł, które kaleczą stopy. Słucha, to kroki mężczyzny.

Marie znowu się rzuca. Biegnij, Meredith! Nie zostawaj tu! Podnieś się i uciekaj! Ale Meredith jest zbyt zmęczona. Zwraca oczy na mężczyznę, który się zbliża. Serce, które waliło tak mocno, natychmiast się uspokaja. Zna go. Nie lubi go, ale się go nie boi. Mężczyzna już nie hałasuje, stąpa po mchu. Kiedy Meredith na niego patrzy, Marie mruży oczy, żeby uważnie mu się przyjrzeć. Jest wysoki, masywny. Ma na sobie marynarkę w szkocką kratę z naszywanymi kieszeniami. U pasa zwisa mu nóż myśliwski, ostry jak brzytwa. Meredith patrzy na dłonie mężczyzny – wielkie, lepkie ręce, które drżą z podniecenia, zaciskają się i otwierają. Wielki zły wilk. Na Boga, Meredith, wstawaj i uciekaj!

O dziwo Marie, która kręci się przez sen, czuje, jak jej strach wciska się do mózgu Meredith. Niesprecyzowana jeszcze obawa powoduje, że dziewczynka oddycha płytko i szybko, czubki jej palców są zimne. Dławi ją w gardle, czuje parcie na pęcherz. Zaczyna się, Meredith ogarnął strach. Nogi drżają ze zmęczenia. Próbuje wstać, ale chwyta ją kurcz – chwieje się, zaraz upadnie.

Mężczyzna już na niej leży, trzyma za ręce. Meredith krzyczy, szarpie się. Nieznajomy chwyta ją za kark i mocno przyciska do siebie. Nuci niskim głosem:

–Nie bój się, Meredith Johnson, córeczko. Tatuś jest przy tobie.

Nos dziewczynki tkwi wciśnięty w sweter, który mężczyzna ma pod marynarką myśliwską. Cuchnie potem i krwią, tak jak ojciec Jessiki Fletcher tego dnia, kiedy oszalał. To zapach martwego dziecka. I Meredith już rozumie, że umrze. Gryzie sweter i wybucha płaczem, a zapach przemienia się w smak. Potem uderza, bije piąstkami i kopie. Krzyczy. A im bardziej się szarpie, tym mocniej zaciskają się

ramiona mężczyzny.

–Popieść tatusia, ty wstrętna dziewucho.

Marie czuje, jak ręka mężczyzny zaciska się na szyi Meredith. Dziewczynka zaczyna się dusić. Drapie dłoń, która ją zabija, próbuje coś powiedzieć. Chce powiedzieć temu panu, że go przeprasza, że będzie już grzeczna, że nigdy nie zrobi żadnego głupstwa. Potem nad jej głową błyska ostrze noża, przejmujący ból wędruje wzdłuż kręgosłupa. Przebija ją zimna stal, prąd przebiega ciało, eksploduje w nogach i rękach straszliwym cierpieniem. Ostrze wchodzi i wychodzi, zanurza się w plecach, łamie kręgi, przecina tętnicę, rozdziera narządy wewnętrzne. Dziecko czuje oddech potwora na policzku. Mężczyzna tuli ją, żeby łatwiej zasztyletować ofiarę. A ona czuje jego pocałunki na twarzy, jego chłodny, szorstki język na ustach. Potem przenikają lodowaty chłód, ból z wolna się rozplywa. Nóż ciągle jeszcze uderza, ale dziewczynka prawie już nie czuje ukąszeń stali. Słyszy śpiew ptaków w koronach drzew, widzi strumyk i kamienny mostek. Światło słoneczne blednie. Meredith zamyka oczy. Ból znika.

Dwadzieścia minut po północy. Marie śpi. To ciężki sen bez wspomnień, podobny do grubej matowej szyby nad fosą, z której dobiega słabe echo krzyków ofiar seryjnych zabójców, zbrojonej szyby duszącej krzyki, ale ukazującej obraz. Marie widzi leżącą pod zakrwawioną kołdrą Jessikę Fletcher. Widzi Meredith, która pływa w wodzie, pod kamiennym mostkiem, gdzie agenci FBI odnaleźli jej zbezczeszczone zwłoki. Meredith patrzy na nią i wyciąga ubłocone ręce. Przez mętną szybę środków nasennych Marie przypatruje się dziewczynce. Mała ma otwarte usta, we włosach mech. Ale Marie nie słyszy jej krzyku. Pozostaje jej tylko zamknąć oczy w nadziei, że zdoła się obudzić, zanim leki przestaną działać.

Marie zatrzymała zabójcę Meredith w jesienny wieczór. Zapamiętała kolory – żółcie i czerwienie – gliniastej ziemi, która rozmiękła na drogach, i kałuż, jakie utworzyły się w lesie i na polach po ostatnich deszczach, pamięta zapach kory i wilgotnej ziemi. I deszcz suchych liści w ochrowym świetle zmierzchu. Agenci FBI od dwóch dni czekali w pobliżu kamiennego mostu. Przez dwa dni gryźli paznokcie i liczyli minuty. Potem, drugiego wieczoru, usłyszeli odgłos kroków. Tych samych ciężkich kroków, które Marie знаła ze swojej wizji. Woźny ze szkoły przystanął nad strumykiem, wdychając powietrze, i zmarł, jakby wywęszył czyjąś obecność albo uświadomił sobie, że to koniec gry. Kres drogi. W ciągu tygodnia zamordował jeszcze trójkę dzieci. Seria nabrała ostrego tempa. Dzieje się tak zawsze, gdy impuls nie słabnie, kiedy zabójczy instynkt zawładnie osobowością mordercy i wylewa się niczym brudna woda ze ścieków. Tę gorączkę może ugasić tylko krew. Wciąż więcej i więcej krwi. I właśnie w tej chwili zabójca popełnia błąd – morderstwa nie są już dostatecznie dopracowane, nie tak ceremonialne. Jak obrządek wiernego, który chodzi na mszę tylko z przyzwyczajenia albo z nudy. Jednak potrzeba zabijania przybiera na sile, nie sposób ją powściągnąć. To jak gwałtowna dawka taniej heroiny w żyłach starego narkomana – początkowo seryjny zabójca morduje, żeby poczuć się dobrze, potem robi to już tylko po to, żeby nie czuć się źle, żeby nie czuć głodu. W tym stadium zawsze wraca na miejsce zbrodni, usiłując odnaleźć w nim choć odrobinę rozkoszy, jakiej zaznał, gdy zabijanie coś jeszcze znaczyło. I wtedy daje się złapać. Koniec serii.

Agenci FBI wzięli mordercę Meredith na muszkę i wykrzyknęli zwyczajowe formuły. Uśmiechając się blado, mężczyzna odwrócił się i Marie dostrzegła blask 357, której krótka lufa była wymierzona w snajperów. Powietrze rozdarły cztery wystrzały. Zabójca z twarzą roztrzaskaną przez kule osunął się na kolana i wpadł do wody. Marie zamknęła oczy. Rytualne samobójstwo seryjnego mordercy. Gdy agentom FBI dopisywało szczęście, i chwyтали zwierza, zanim zdążył się zabić, kończył w silnie strzeżonym więzieniu, na oddziale psychiatrycznym, przywiązany do specjalnego fotela za kuloodporną szybą, przed którą zatrzymywali się ludzie w białych fartuchach, usiłujący przeniknąć tajemnice umysłu zbrodniarza. Jaka moc skłania doręczyciela gazet, byłego policjanta albo pastora do mordowania dzieci i staruszek? Do ćwiartowania ludzkich kości, jak kroi się mięso, aby je ugotować? Brakujące ogniwo łączące człowieka ze zwierzęciem – wystarczy, że wyskoczy bezpiecznik, że

dojdzie do zwarcia, a jakiś neuron uwalnia się i wysyła patologiczny sygnał innym neuronom. Tak zaczyna się seria. Dziesiątki poszatkowanych ciał. Pola nagrobków.

Z upływem miesięcy nocne wizje Marie zaczęły zatruwać jej dnie. Krzyki i obrazy, nad którymi nie nauczyła się jeszcze panować, były niczym gwałt na jej umyśle. Marie potrzebowała sporo czasu, żeby zrozumieć, że najczęściej były to dawne zbrodnie, morderstwa, których sprawcy nie wykryto. Jedną z cech seryjnych zabójców, z pewnością najbardziej przykrą z

punktu widzenia tych, którzy ich ścigają, jest to, że czasami, gdy ich apetyt nadmiernie rośnie i gdy na swej drodze pozostawiają coraz więcej ciał, zabójczy instynkt kierujący tymi drapieżcami nagle gaśnie. Jedno zwarcie w innym obszarze mózgu, a ledwie zapoczątkowana seria kończy się równie nieoczekiwanie, jak się zaczęła. Drapieżnik powraca do normalnego trybu życia, stając się tylko tym, kim nigdy naprawdę nie przestał być – człowiekiem o nieposzlakowanej opinii. Pozostaje jedynie czekać, aż znowu odezwie się chory neuron i jego impuls trafi do niewłaściwego obszaru mózgu, a znów zaczną się zbrodnie w innym stanie albo w innym kraju. Wtedy można wznowić śledztwo i spróbować pojmać bestię, zanim zapadnie w sen. Po sprawie Meredith Marie została przeniesiona do wydziału zajmującego się takimi sprawami. Trzydziestu agentów i psychologów pozostawało w stałym kontakcie z komisariatami i kostnicami na całym świecie, tropiąc aktywność seryjnych zabójców. Zawsze, gdy popełniono nietypowe morderstwo, raport z sekcji zwłok trafiał do tej sekcji i tu dokonywano porównania metody działania sprawcy z zabójstwami podzielonymi na kategorie rytualnych, technicznych, ćwiartowania, bezczeszczenia zwłok, oskalpowań, skaryfikacji. Porównywano „pieczęć” seryjnego zabójcy. Dodatkowe utrudnienie stanowiły rozrzut geograficzny oraz chirurgiczna precyzja cechująca cross-killerów, a także totalny brak śladów – świadectwo doskonałej kontroli nad instynktem. Tam właśnie Marie natrafiła na trop Harry'ego Dwaina, seryjnego zabójcy, który zamieniał ręce i nogi ofiar. Ręce kobiety przyszyte do owłosionego torsu. Męskie uda przy łonie kobiety. Na tym polegała podła mania Dwaina. Dwa lata po ustaniu brutalnej serii z przedmieść Chicago do identycznych zbrodni doszło w Petersburgu. Cisza panowała tak długo, że sądzono, iż Dwain nie żyje. Kiedy jednak Marie zaczęła zestawiać dane, jakie docierały do niej z zagranicy, dowiedziała się, że w innych krajach także znajdowano zwłoki w podobnym stanie. Bestia się obudziła. Cztery ofiary w wilgotnych uliczkach Wenecji, dwie na pokładzie statku pasażerskiego u wybrzeży Turcji, pięć w Zatoce Perskiej, jedna

w Moskwie i ostatnia w Petersburgu. Każdej amputowano ręce lub nogi i przyszyto inne. Oznaczało to, że Harry Dwain ewoluował – z seryjnego zabójcy przeistoczył się w cross-killera i wyruszył w podróż. Był to niezwykle rzadki i szczególnie niebezpieczny przypadek przemiany mentalnej. Marie wysłała faksem pełny profil Dwaina rosyjskim służbom, postawionym już w stan najwyższego pogotowia. Potem poleciała do Petersburga, gdzie doznała wizji w starym hangarze, pośród łodzi i zapachu żywicy i kleju, nad Newą. Tam właśnie rosyjska policja odnalazła ostatnią ofiarę Dwaina i tam Marie przeżyła sekundy dzielące od śmierci Irinę, anonimową prostytutkę, która próbowała szczęścia na mroźnych bulwarach stolicy carów. Dotyk piły, która odcina jej kończyny. Wrzaski Dwaina. Piła, która trze

o posadzkę, opaski uciskowe, które się zsuwają. Niewypowiedziany ból. I Marie, która nie może umrzeć. Marie, która wciąż żyje, chociaż Irina już umarła.

Dwa dni potem rosyjska policja zastrzeliła Dwaina w nocnym pociągu do Berlina. Po tym wydarzeniu Marie poprosiła o urlop. Powiedziała, że chce wyjechać do Kalifornii i odpocząć. Musiała wybierać – ta ucieczka lub głęboka depresja i w efekcie samobójstwo poprzez przedawkowanie środków uspokajających. Santa Monica, świat filmowców, białych rekinów i renomowanych neuropsychiatrów... Poddano ją całej serii badań – tomografia komputerowa, RMI, PET. Ani śladu guza, nawet maleńkiego.

Werdykt zapadł w klinice w Carmelu. Usłyszała go z ust doktora Hansa Zimmera, starego, stukniętego Niemca, który został psychiatrą, żeby zająć się własnym leczeniem. Badacz nieznanych obszarów mózgu wyjaśnił Marie, że dręczące ją wizje są skutkiem reaktywnego syndromu medium, przypadłości rzadkiej i występującej jedynie u części ofiar urazów mnogich czaszki, na tyle silnych, by dotknąć głębokich struktur mózgowych. Zapewne taki uraz może doprowadzić do

uaktywnienia obszarów, które nigdy nie powinny się przebudzić, jednego z tych obszarów mózgu, które w procesie ewolucji człowieka zostały z niepojętych przyczyn uśpione, a może raczej – dziewiczych pól, które istota ludzka ma wykorzystywać dopiero za kilka tysięcy lat. To niepowiązane, nieaktywne neurony, jakby miliardy maleńkich, nowiutkich baterii, które tylko czekają, aż ktoś je połączy przewodem, by uwolnić kryjącą się w nich energię. Reaktywny syndrom medium...

Zimmer wyjaśnił Marie, co najprawdopodobniej mogło się dzieć pod jej bujnymi, czarnymi włosami. Po urazie, jakiego doznała, jej pogrążony w głębokiej śpiączce mózg usiłował się odbudować. Reaktywował kolejno zerwane połączenia. Tysiące słupów, kilometry kabli. Neuron dla koloru zielonego, neuron dla brązu, neuron dla słowa liść, jeszcze inny dla słowa gałąź czy wreszcie pień. Pięć neuronów, które wolno odtwarzają swe powiązania, aby na nowo zapisać w magazynie obraz drzewa rosnącego w lesie. I miliony obrazów, które trzeba było odzyskać. Miliardy wspomnień do odtworzenia. W ten sposób, trwając w głębokim śnie, który nie dopuszcza bodźców zewnętrznych, ośrodki mowy, rozumienia i pamięci odtwarzały przepływ informacji. Potem połączyły się na nowo, by dostarczać mózgowi obrazów i wspomnień. Zdarza się jednak także, że pomyłkowo tworzą się nowe połączenia z zakazanymi obszarami mózgu – tymi, które wyginają łyżeczkę bez dotyku rak, które czytają w myślach innych ludzi, które obracają stoły lub nawiązują kontakt ze zmarłymi. Co jeszcze dziwniejsze, taki wygaszony obszar może sprawić, że wcielamy się nagle w dziecko zamordowane przez seryjnego zabójcę czy w prostytutkę poćwiartowaną żywcem przez Har-ry'ego Dwaina w starym hangarze na brzegu Newy. Reaktywny syndrom medium. Trzeba mieć pecha!

Marie przez pół roku uczyła się panować nad wizjami, musiała je zaakceptować i zrozumieć. Dowiedzieć się, jak odróżnić te z odległej przeszłości od tych, które ukazywały jej nowe zbrodnie. Albo, co gorsza, te właśnie popełniane. Efekt? Dwunastu seryjnych zabójców i czterech cross-killerów zatrzymanych w ciągu pięciu lat kosztem makabrycznych wizji

i nawracających koszmarów. Sześćdziesiąt zmasakrowanych ofiar, dwójka dzieci uratowanych w ostatniej chwili. Te pokiereszowane maluchy na zawsze uciekały w świat ciszy. To dlatego Marie Parks prosiła lekarza o środki nasenne. I dlatego popijała je dżinem.

Wpół do pierwszej w nocy. Dzwonek telefonu rozdziera ciszę. Cztery ostre sygnały. Marie podrywa się. Czuje suchość w ustach. W gardle ma paskudny smak alkoholu i papierosów. Podnosi słuchawkę i milczy. Słyszy głos Bannermana. To szeryf z Hat-tiesburga w Maine, wiecznie zadyszany grubas.

–Parks?

–W tej chwili nie ma mnie w domu, proszę jednak zostawić wiadomość...

–Zebrało ci się na żarty, Parks. Mamy problem. Marie natychmiast zwróciła uwagę na lekkie drżenie głosu Bannermana. Szeryf się boi. Agentka wyciąga rękę, żeby sięgnąć po papierosy leżące na stoliku nocnym, zapala jednego i obserwuje falujące kręgi dymu, które unoszą się w ciemnościach.

–Parks?

Strach Bannermana próbuje nią zawładnąć. Aby go odegnąć, Marie zaciąga się dymem. Zapach tytoniu i wilgotnej ziemi przenika do jej płuc. Nie lubi mentolu ani jasnego tytoniu, woli Old Brown, pocziwy stary tytoń kowbojów, cierpki i piekący.

–Parks, jesteś tam?

Nie, Parks nie ma. Parks pada z nóg. Pet w środku nocy, żeby okadzić zmarłych, i hop do łóżka.

–Parks, do cholery, tylko mi nie mów, że znowu się na faszerowałaś tym gównem, po którym chrapiesz! Znów wyczuła w głosie szeryfa drżenie, ale teraz znacznie silniejsze.

–Czego się boisz, Bannerman?

–Rachel zniknęła. Skurcz w żołądku... Mdłości. Zaczyna się, strach Bannermana już ją dopadł. Marie czuje, jak się rozlewa po jej żyłach.

–Kiedy?

–Pół godziny temu. Zgubiliśmy jej ślad na drodze przecinającej las Oxborne. Na leśnym skrzyżowaniu w Hastings. Samochód zaraz będzie. Zbieraj się i przyjeżdżaj. Cisza.

–Do diabła, Parks, nie zasypiaj!

Marie odkłada słuchawkę i przez chwilę wsłuchuje się w deszcz bębniący o szyby. Wiatr gwizdże w gałęziach płaczących wierzb, które rosną wzdłuż ulicy. Skupia myśli. Rachel, młoda, dwudziestoletnia policjantka, ładna blondynka, dziewczyna skłonna do brawury. Taka jak Marie, kiedy była w jej wieku. Rachel zgłosiła się na ochotnika do śledztwa w sprawie niepokojąco częstych profanacji na tamtejszym cmentarzu – rozkopane groby, rozbite trumny, z których zabrano co najmniej dziesięć ciał w różnym stanie rozkładu, których nie udało się odnaleźć.

Krążyły pogłoski o satanistycznej sekcji, która wybrała sobie ten region i potrzebowała zwłok do odprawiania czarnych mszy. Problem jednak tkwił w tym, że poza rozkopanymi grobami i otwartymi trumnami policja z hrabstwa nie natrafiła na żadne kabalistyczne inskrypcje, ani na pentagramy, ani na łacińskie napisy. Ani jednej wskazówki, nawet śladu kroków na świeżej ziemi. A potem profanacje ustały równie niespodziewanie, jak się zaczęły. Po kilku tygodniach w okolicy Hattiesburga

zaczęli znikać ludzie. Cztery młode kobiety, które nie pochodziły z tych stron, jakby rozplynęły się we mgle. Były samotne, nie miały ani kochanków, ani mężów. I wtedy śledztwo przejęła Rachel. Pierwsza zaginiona, Mary-Jane Barko, nie narobiła zamętu. Początkowo przypuszczano, że po zawodzie miłosnym opuściła hrabstwo i przeniosła się gdzieś na drugi koniec kraju. Tydzień potem zaginęła Patricia Gray, kolejna była Dorothy Braxton i w końcu Sandy Clarks. Żadna nie zostawiła nawet liściku pożegnającego.

Aż wreszcie trzy dni temu myśliwi znaleźli w lesie Oxborne podarte, zakrwawione ubrania – kobiece ubrania – dżinsy, sweter, majtki i biustonosz, które Mary-Jane miała na sobie tuż przed zniknięciem. To wystarczyło, żeby rozeszła się pogłoska o bestii krążącej po lasach hrabstwa Hattiesburg. To ona miałyby

wykraść trupy z cmentarza. Ludzi ogarnęła panika, szerzyła się jak pożar w buszu. Rachel ruszyła tropem mordercy i także zniknęła.

Marie zgasiła papierosa i poszła do łazienki. Rozkręciła kurek z gorącą wodą, rozebrała się i drżała pod strumieniem wody, która parzyła jej skórę. Zamknęła oczy, usiłując zebrać wspomnienia. Przeklęte pigułki nasenne...

Agentka specjalna Marie Parks kupiła domek w Hattiesburgu, mieście, w którym przyszła na świat. Jeździła tam tylko na wakacje. Podczas jednego z tych pobytów usłyszała o mordercy, a właściwie przeczytała poświęcony mu artykuł, wydrukowany maczkiem w lokalnym szmatławcu. Zatelefonowała do Aloisa Bannermana, żeby zaproponować mu pomoc. Gruby Bannerman...

Chodzili do jednej szkoły, przesiadywali na tych samych skwerach, widywali się w kościele. Zdarzyło im się nawet flirtować na tylnym siedzeniu starego buicka, który cuchnął dymem papierosowym i końskim łajnem. W lepkim, potliwym uścisku język Bannermana splatał się z jej językiem tuż po talerzu chili, zjedzonym w teksańsko-meksykańskim barze w centrum miasta. Potem Bannerman wsunął rękę między uda Marie i zaczął ją pieścić przez dżinsy. Wtedy dziewczyna wydała dziki okrzyk, który wypełnił usta Bannermana. Ani jej się śniło tracić cnotę w starym gruchocie, co to, to nie! Nie jak dziewczyny z małych miasteczek, które zamykają oczy i oddają się chłopakom, byle nie starzeć się w samotności! Bannerman się obraził. Tak to jest z facetami.

Minęło wiele lat, Marie wyjechała z Hattiesburga, żeby zamieszkać w bostońskich drapaczach chmur. Studiowała prawo w Yale, potem psychologię w Stanfordzie. Wstąpiła do FBI, do wydziału profili w biurze specjalizującym się w identyfikacji i ściganiu seryjnych zabójców.

Dwieście siedemdziesiąt milionów Amerykanów, czterysta milionów sztuk broni palnej na terenie kraju, ogromne dzielnice ubóstwa, McDonaldy i getta. A obok gmachy banków, wille milionerów i kluby golfowe za murami z cegły, oddzielającymi je od szarych oceanów skromnych osiedli. I milion morderców. Wybrała dobrą, perspektywiczną pracę. Właśnie w tym okresie skupiła się na ściganiu cross-killerów. Bannerman został w Hattiesburgu, żeby pilnować spraw na miejscu: Wciąż obżerał się chili i próbował obściskiwać dziewczyny na tylnym siedzeniu swojego starego buicka. Powiodło mu się przynajmniej raz, bo w końcu ożenił się z Abigail Webster, niezbyt efektowną dziewczyną ze wsi. Zakochał się w niej do szaleństwa. Odtąd tworzyli smętne i nudne małżeństwo, tak nudne, że aż wzruszające. Przy ich stole zawsze czekało na Marie miejsce, kiedy bawiła w swoim wiejskim domku. Gdy szkolila się w centrum FBI w Quantico, Bannerman doczekał się stanowiska szeryfa. Mógł zostać gliną, listonoszem, dróżnikiem albo kierowcą. Szeryf to w końcu nie najgorsza praca i niezbyt mecząca – jakaś kradzież ziarna ze stodoły gdzieś w hrabstwie, jakaś banda młokosów, których łapie się na gorącym uczynku, kiedy rozrabiają z nudów, czasem bijatyka pijaczków w ponurych barach Hattiesburga. Pod jego rozkazami pracowało czterech zastępców szeryfa, anonimowych alkoholików, którzy byli mu wierni jak psy gończe. No i miał jeszcze Rachel, dziewczynę z okolicy, śliczną jak obrazek i marzącą o pracy w policji federalnej. Rachel nie mogła usiedzieć na miejscu, odkąd powierzono jej sprawę czterech zaginięć w Hattiesburgu. A raczej czterech morderstw, bo odnaleziono ubranie pierwszej z kobiet w podmokłych lasach Oxborne.

Rachel wrzeszczała jak opętana, kiedy Bannerman wspominał, że odbierze jej sprawę i powierzy ją bardziej doświadczonemu inspektorowi. Jednak szeryf musiał mieć do tej małej słabość, bo

dał jej jeszcze czterdzieści osiem godzin. Prawdopodobnie wtedy wpadła na pomysł, by wystawić się na przynętę dla wielkiego złego wilka. Zupełnie jak w bajce o Czerwonym Kapturku. Idiotyczny pomysł!

Trzeba dodać, że prawdziwy zbrodniarz w Hattiesburgu był zjawiskiem równie zadziwiającym, jak lądowanie latającego talerza. Mówiąc wprost, morderca, a w dodatku seryjny morderca, to był numer stulecia, wymarzona okazja dla Bannermana, żeby prezentować swe masywne cielsko w gazetach, a dla Rachel szansa na bilet do wielkiego miasta i przepustka do biura rekrutacji FBI. Jednak trzeba było działać szybko, ponieważ nawet dla szalonego drapieżcy Hattiesburg jest tylko Hattiesburgiem – za małym kurnikiem dla wygłodzonego lisa. W dodatku morderca najprawdopodobniej nie był tutejszy i z pewnością planował już zmianę terenu łowów. Trzeba było dopaść go, zanim laury należne Bannermanowi zbierze szeryf z innego hrabstwa. Dlatego Rachel rzuciła się na głęboką wodę, niczym nurek, który nocą skacze na żerowisko rekinów. Marie przeczuwała to w przededniu, czytając gazetę z Hatties-burga. Cztery linijki wciśnięte między reklamą szamponu jajecznego i ofertą pracy na stacji benzynowej Texaco, przy wyjeździe z miasta. Dziennikarz informował o znalezieniu w koszu na śmieci w lesie Osborne kolejnego kompletu damskiej odzieży. Ubranie należało do drugiej ofiary, Patricii Gray, a była to pokrwawiona bielizna, strzępy sukienki, a także połamane paznokcie, takie, na jakie natrafia się czasem w skalnych rozpadlinach po mozolnych próbach wdrapania się na górę. Tak postępuje człowiek owładnięty zwierzęcym strachem, pchnięty do ostateczności. Żeby ulec takiej panice, Patricia Gray musiała spotkać na swej drodze cross-killera. Marie dostała gęsiej skórki na samą myśl o tym. Bannerman znalazł się w paskudnej sytuacji. Kiedy Marie zadzwoniła, proponując mu pomoc, jego głos drżał ze złości.

–Marie, kochanie, dlaczego się w to mieszasz? To miejscowe śledztwo w sprawie miejscowego mordercy. Gwałciciela i mordercy. Facet słyszy głosy i słucha własnego fiuta. Zastawimy pułapkę na jego fiuta i poczekamy, aż w nią wpadnie.

–Mylisz się, Bannerman, twój zabójca lubi się szwendać. To wysoki biały mężczyzna. Włóczy się po wybrzeżu, szuka smakowitych kąsków. Kiedy natrafi na dobre łowisko, zamienia

je w swój teren łowiecki i zjada wszystko, co mu smakuje. Potem, kiedy nie ma już żarcia, rusza w drogę, żeby wybrać nowe łowisko. Jest nienasycony. Zagnieździł się u ciebie i nie wyniesie się bez powodu. Moja praca polega także na tym, żeby dostarczyć cross-killerowi istotnego powodu do ruszania się z miejsca.

–Może. Ale ten śmieć popełnił błąd, wchodząc do mojego hrabstwa. Sprawa ma

charakter lokalny.

–Pleciesz bzdury, Bannerman. Jeżeli morderca podróżuje, to najprawdopodobniej udało mu się już uciec glinom mądrzejszym od ciebie. Skontaktuj się z szeryfami z innych hrabstw. Taki typek zostawia w kostnicy tyle samo trupów, co karambol w pierwszym dniu wakacji.

–Parks, to moje śledztwo.

–Twoje śledztwo, twoje hrabstwo, twój morderca. Zachowujesz się jak głupawy dzieciak, który odwraca kosiarkę do trawy, żeby zobaczyć, czy da się nią obciąć paznokcie. Cisza.

–Wciąż nie macie zwłok?

–Szukamy.

–Daję ci trzy dni.

–A potem?

–Potem będę zmuszona powiadomić federalnych.

–Pocałuj mnie gdzieś, agentko Marie Megan Parks. To była pierwsza rozmowa z Bannermanem. Pudło. Wczoraj wieczorem Marie była u niego na kolacji. Przyszła wcześniej, żeby dyskretnie wypytać Abigail, zanim jej mąż wróci do domu. Nie dowiedziała się wiele poza tym, że Patricia Gray, druga ofiara, była kelnerką w Twisterze, lokalu nocnym w okolicy Tilt. Mary-Jane Barko – kelnerka z Company, baru w Hattiesburgu. Dorothy Braxton i Sandy Clarks, ofiary trzecia i czwarta, pracowały jedna w Big Luna Drive, druga w Sergeant Halliwell, także jako kelnerki. A zatem te cztery młode kobiety były zatrudnione w czterech nocnych lokalach w hrabstwie Hattiesburg. Co z tego? Czyżby facet był zabójcą kelnerek? Dlaczego nie? Cholera!

Biorąc pod uwagę, ile było restauracji, barów i dyskotek w tym regionie, i jeśli morderca naprawdę polował na kelnerki, to zapelni nimi cmentarz wielkości boiska baseballowego.

Po kolacji Parks podziękowała Bannermanowi i w drodze powrotnej podjechała do baru Mary-Jane Barko, do dzielnicy południowej. Wokół pełno było hangarów z falistej blachy, między nimi ciągnęły się tereny niezabudowane, a w sąsiedztwie był też stary tartak, gdzie na deskach sypiali włóczędzy. Na parkingu przed Campaną stały ciężarówki i stare pick-upy, a główną klientelę lokalu stanowili kierowcy i agenci handlowi. Girlandy żarówek kołysały się na zimnym wietrze. Wewnątrz panowało swojskie ciepło, z sufitu zwisały lupy na muchy, słychać było cichą muzykę country. Marie siadła przy barze i zamówiła butelkę tequili, sól i limon-kę. Barman, który kręcił się przy niej i sypał jej sól na rękę, kiedy

zagryzała alkohol ćwiartkami cytryny, zagadnął ją przy czwartym kieliszku.

Mary-Jane Barko była zwyczajną dziewczyną, nie uganiała się za facetami, była wręcz strachliwa. Takie opinie zyskiwały na znaczeniu, kiedy wygłaszał je gość traktujący kobiety jak lepszą wersję prezerwatyw. Pracowała w Campanie od miesiąca. Przyjechała Greyhoundem, z jedną walizką, w czerwonej chustce na głowie. Z tego, co mówiła, pochodziła z Birmingham w Alabamie. Nie miała chłopaka ani przyjaciół, nie miała przeszłości. Jej życie wyglądało jak jedno z tych, które służą czasem jako dymna zasłona dla najstraszliwszych tajemnic. Wynajęła pokój u starej Normy, u wylotu Donovan Street, w takim małym domku na wzgórzach. To wszystko. Po ósmej tequili barman zapytał Parks, czy nie poszłaby na kurze udka do Kentucky Fried Chicken w Hattiesburgu, zaraz po jego zmianie. Zapytała, jaki ma samochód. Starego pick-upa, chevroleta. Parks popatrzyła na niego, zlizując czubkiem języka kryształki soli z palców. Facet myślał, że to znaczy tak. Ale znaczyło nie.

W tym czasie, nie porozumiewając się z nikim, Rachel zapuszczała się w mrok. Wgrała tylko wiadomość na automatyczną

sekretarkę Bannermana. Dzwoniła z komórki, będąc już u zbiegu leśnych dróg w Hastings. Natrafiła na ślad, odnalazła ciemną drogę wiodącą w głąb lasu Oxborne. Powiedziała, że się nie rozłącza, żeby mogli ją słyszeć przez pocztę głosową Bannermana. Rachel i jej gwiazdka z nieba.

Marie Parks rozmyślała o tym wszystkim, próbując się obudzić pod strumieniem gorącej wody. Nadstawiła ucha. Ktoś pukał do drzwi. Przez matową szybę w oknie łazienki zobaczyła migającego koguta.

Wytarła się, wskoczyła w dżinsy, wełniany sweter i nieprzemakalną kurtkę. Przed wyjściem zerknęła na zegar w saloniku. Za dziesięć pierwsza. Rachel zniknęła niemal dwie godziny temu. Marie próbowała się na niej skupić, ale na próżno – las pożarł Rachel.

Chevrolet caprice na sygnale pędził jak szalony opustoszałymi ulicami Hattiesburga, rozpryskując wodę stojącą w kałużach. Asfalt lśnił w słabym świetle latami, zlewany strugami wody. Kilka pochyłonych nad śmietnikami postaci umknęło, słysząc warkot V8. Irytujący trzask radia, regularny szum wycieraczek, bębnienie deszczu o karoserię... Marie zagryzała wargi, żeby nie usnąć. Potem światła Hattiesburga nagle zniknęły. Ostatnia latarnia, ostatnia tablica: HATTIESBURG ŻEGNA. Marie zauważyła, że przekreślono ten czasownik, żeby zastąpić go słowami: MA WAS W DUPIE. Coś w tym było... Światła samochodu padały na uśpione farmy, potem caprice wjechał w gęstą ciemność. Kiedy oczy Marie oswoiły się z mrokiem, dostrzegła w dali jeszcze ciemniejszą plamę-las Oxborne.

Kierowca zwolnił i skręcił w polną drogę. Samochód podskakiwał na wybojach, spod kół pryskało błoto. Marie oparła wygodnie głowę i zapatrzyła się w księżyc, który wypłynął spod chmur. Mały, smutny księżyc, przybrudzony, jak jej odbicie w kałuży.

Zamyślona, musi przypomnieć sobie wszystko, co wie o zabójcy z Hattiesburga. W sumie jest tego niewiele. Z pewnością jest to mężczyzna, bo seryjne zabójczynie rzadko mordują kobiety. Najczęściej ich ofiarą padają chłopcy, starcy, silni lub gwałtowni mężczyźni, ale niemal nigdy kobiety. Czasami są to schorowane staruszki, ale wówczas zabójczym kieruje się raczej litością niż nienawiścią i okrucieństwem.

A zatem morderca w typie kaukaskim, biały polujący na kobiety z własnej grupy etnicznej. I nic więcej, bo na razie nie ma nawet ciała, które można by poddać autopsji; wiadomo tylko, że zabójca rozbiera ofiary i wytycza swoje terytorium, porzucając ich odzież na skraju lasu. Odziera je z ich szat, pozbawia dystyngtywnych cech, które sobie nadają, pozbawia statusu istoty ludzkiej, redukując do stanu pierwotnej nagości. Tak, właśnie – obnaża je, żeby je unicestwić. W oczach tego typu morderców wszelka otulina jest plugawym kłamstwem. Odziera z niego ofiary. Idzie do ciała, do kości. Ale odzież to tylko pierwsze stadium odarcia. Potem przychodzi kolej na skórę, którą zdziera płatami. Może też przestępca usuwa skórę przy użyciu noża albo kwasu. Potem bierze się za warstwę mięsa, wreszcie za skórę właściwą, ścięgną i wiezadła, które wydziera, żłobiąc w ciele aż do kości. Także twarz, oczy, które wylupia przed zaszcieniem powiek, policzki, które szatkuje, zacierając rysy. Jest sfrustrowany. Potrzebuje dotykać, posiadać, zawłaszczając. Kieruje nim niszczycielska nienawiść tak silna, że on sam niemal jej już nie odczuwa. Jednak obok nienawiści pojawia się przerażenie wyglądem ofiar, własnym odbiciem, które widzi w ich oczach. Ofiary są jak zwierciadło, które chce zaczernić. Stara się roztopić w anonimowości. Ślepych twarzy. Woskowego pyska. Potem, kiedy zmarłe nie mają już wyglądu, nadaje im inny, w jego oczach mniej przerażający – peruka, sukienka, bielizna. Mówi do nich. Karze je, gwałci albo nagradza. Jest wszechmocny. To kolekcjoner ciał. Dom martwych lalek. Pierwsza hipoteza, na razie robocza. Teraz trzeba odnaleźć lalkę imieniem Rachel. Marie, która dobrze zna ten typ zabójców, nie ma większych złudzeń – nikt nie przeżywa długo, gdy jest zdany na kaprysy mistrza lalek. Wycie syreny rozdziera nocną ciszę. Samochód zwalnia, Marie

wyprostowuje się i widzi w dali linię migających świateł – znajdują się na leśnym skrzyżowaniu w Hastings.

Capris parkuje na skraju drogi, tuż obok starego forda pick-upa o łysych oponach, który dziewczyna zostawiła tu, by wejść do lasu. W blasku reflektorów samochodowych widać Bannermana czekającego na deszczu. Marie podchodzi do niego, bierze podsunięty przez kolegę kubek kawy. Spogląda na plastikowy kapturek na czapce szeryfa, z którego przy każdym ruchu głowy woda opada aż na buty. Kilka kropli spływa także po jego twarzy, zupełnie jak łzy.

Marie krzywi się, przelękając kawę. Zdejmuje plastikową pokrywkę i wacha napój. Cuchnie jak ciepłe siuski. Wylewa kawę do kałuży i prosi Bannermana o papierosa. Szeryf wsuwa go jej do ust.

–Nie masz czarnulek?

–Czarnulek nie palę, wolę przelecieć takiego. Marie przypala papierosa, pochylając się nad podsuniętą przez Bannermana zapalniczką. Potem osłania go dłonią i wdycha pierwszy kłęb dymu.

–Macie coś?

–Niewiele. Rachel natrafiła na trop, postanowiła sama go sprawdzić. Umówiła się tu z kimś. Nagrała mi wiadomość, kiedy facet się zbliżał. Jej komórka aż do końca była połączona z moją pocztą głosową.

–I co?

–Ten facet to nasz morderca. Chcesz posłuchać? Marie wcale nie ma na to ochoty, jednak przytyka komórkę Bannermana do ucha. A potem zamyka oczy i koncentruje się.

Trzask. Deszcz szemrze, uderzając o suche liście. Żwir zgrzyta pod czyimiś stopami. Cisza. Potem w słuchawce rozlega się głos Rachel. Dziewczyna mówi, że ma się spotkać z informatorem. Jest jej zimno. Zamyka drzwiczki samochodu i przechadza się po trawie, tuż przy drodze. Marie słyszy trzask zapalniczki tuż przy słuchawce. Rachel gniecie pustą paczkę po papierosach i rzucają na ziemię.

Słyszając odgłos opakowania, które uderzyło o asfalt, Marie oświetliła latarką kilkumetrowy odcinek drogi. Zobaczyła pomięty czerwony kartonik. Marlboro. Z telefonem przy uchu odeszła od Bannermana i ustawiła stopy w odciskach butów Rachel, która wędrowała tędy, czekając na człowieka, z którym miała się spotkać.

Znów rozległ się głos Rachel. Mówiła, że widzi zbliżające się światła samochodu. Marie przebiegł dreszcz, taki sam, jaki musiała czuć Rachel, patrząc na nadjeżdżające auto. Rachel powiedziała, że schowa komórkę w górnej kieszeni kurtki. Marie słyszy pikanie – to Rachel ustawia maksymalną głośność. Aparat ociera się o tkaninę. Zapina się suwak kieszeni. Deszcz dudni o nieprzemakalny materiał. Teraz Marie słyszy bicie serca Rachel. Serce dzieciaka, które bije coraz szybciej. Warkot źle wyregulowanego, starego V8 nasila się. Samochód mija młodą kobietę i zatrzymuje się kilka metrów dalej.

Marie zwraca światło lampy na ślady, które pozostawił nieznajomy, parkując na poboczu. Potężny wóz terenowy, Chevrolet, może cadillac. Rachel mówi, że to dodge. Stary model niebieskiego koloru. Mówi też, że tablica rejestracyjna jest ubłocona i że może odczytać tylko kilka liter. Trzaśnięcie drzwiczek. Serce Rachel

znów uderza mocniej – nieznajomy się zbliża. Dziewczyna opisuje długi, czarny, skórzany płaszcz z kapturem, który zakrywa twarz. Coś w rodzaju mnisiego kaptura.

Rachel się boi. Nie wie dlaczego, ale się boi. I nagle to sobie uświadamia – mężczyzna idzie po żwirze na poboczu, ale jego kroków wcale nie słyhać, jakby tylko muskał podłoże. Tak, właśnie – Rachel mówi, że żwir pod jego butami nie skrzypi. Potem Rachel dorzuca szeptem, że nie może już dłużej mówić, bo facet jest za blisko. Zapewne tak samo, jak Rachel, Marie kieruje strumień światła na nieznajomego, który podchodzi. Zgrzyty. Rachel szepcze, spuszczaając głowę, żeby zbliżyć usta do kieszeni, w której ukryła telefon. Jest przerażona. – O Boże! Światło latarki nie oświetliło jego twarzy. Widzę

oczy, ale mam wrażenie, że on nie ma twarzy. Głuchy głos, brzmiący jak kaszel. Nieznajomy mówi coś, czego Marie nie słyszy. Potem Rachel wydaje przenikliwy krzyk i zaczyna biec. Z telefonu dochodzi odgłos łamanych gałęzi. Kobieta zapuszcza się w las, biegnie prosto przed siebie. Jej świszczący oddech niemal zagłusza odgłos nóg odbijających się od suchych liści. Jest przerażona. Krzyczy, że mężczyzna ma nóż, że ją ściga. Zapominając, że to tylko poczta głosowa, prosi Bannermana o natychmiastowe przysłanie posiłków. Marie oświetla ścianę lasu. Zdarty mech, połamane gałęzie – wtedy Rachel zapuściła się w mrok. I wtedy rusza Marie pod ciężkimi, ociekającymi wodą gałęziami. Jej latarka oświetla ścieżkę, którą Rachel przetarła w zaroślach. Rachel krzyczy w telefon. Ciężko opada na zwiędłe liście, podnosi się i biegnie, krzycząc. Ogląda się i woła, że mężczyzna jest tuż za nią. Krzyczy, że on nawet nie biegnie, a jednak depta jej po piętach.

–O Boże! Bannerman, ja tu umrę! Słyszysz, Bannerman? Kurwa, jestem pewna, że nie ujdę z życiem! Marie słyszy bicie serca Rachel. Jej oddech świszczę pośród szlochu. Próbuje się opanować. Wie, że jeżeli podda się panice, zginie. Wydłuża krok. Oddycha przez usta, jak sprinterka. Marie zamyka oczy. To nie sprint, Rachel, to bieg na wytrzymałość. Zwycięzcy będzie mogła odpocząć na białym piasku hawajskiej plaży. Sok ananasowy, koktajle, surfing. Ale na podium nie ma drugiego miejsca. Tylko nóż wbity w brzuch, a potem łopata żwiru rzucona na wieko trumny. Rachel jest zmęczona. Znowu się przewraca. Czuje ból. Nie ma już siły. Jej włosy ociekają wodą. Zlepione błotem kosmyki tańczą przed oczyma. Odwraca się i wydaje długi, przerażający krzyk.

–Bannerman, ten łajdak idzie, a ja nie mogę się od niego oddalić. Boże, zlituj się, dlaczego nie mogę się od niego oddalić?!

Rachel wyciąga pistolet i oddaje na oślep cztery strzały. Mówi „cholera”. Maca błoto, szukając broni. Krzyczy. Mężczyzna ją dopadł. Bije ją po twarzy. Bije po brzuchu. Butami kopie w podbrzusze. Jeszcze nie przebija jej sztyletem

Rachel próbuje się bronić. Wyciąga ramiona i dłonie, osłaniając twarz. Marie słyszy trzask łamanych kości i kopnięcia. Ciężkie buty uderzają skórę, zrywają się ścięgna i więzadła. Zabójca chce ją okaleczyć, żeby mieć pewność, że mu nie ucieknie. Rachel jęczy z bólu. Mężczyzna mówi do niej, nie przestając bić. Nie krzyczy. Nie jest rozgniewany. Właściwie jego głos brzmi łagodnie, niemal serdecznie. Marie wytężyła słuch, żeby zrozumieć jego słowa. Wychwytuje kilka z nich,

jakąś mieszaninę łaciny i starych, zapomnianych dialektów. To martwy język.

Rachel już nie krzyczy. Mimo to mężczyzna wciąż ją bije po brzuchu, po głowie, po żebrach. Niszczy jej ciało, ale nie chce jej zabić. Jeszcze nie. Ma dużo czasu. Jeden z ciosów trafia w pierś kobiety. Słysząc trzask pękającego plastiku – uderzenie rozbiło telefon. Marie słyszy ciągły sygnał. Koniec połączenia.

Marie przymyka oczy. Wciąż jeszcze słyszy krzyki Rachel i dudnienie deszczu chłozzącego jej kurtkę. Odwraca się do Bannermana i prosi o nadajnik. Wsuwa go do kieszeni. Potem wkłada do ucha mały głośnik. W ten sposób, jeżeli znajdzie się z dala od nadajnika, wciąż będzie słyszała szeryfa.

–Zamierzasz nam zrobić jeden z tych twoich idiotycznych numerów? Marie patrzy w niebieskie oczy Bannermana.

–A czy nie tego właśnie chcesz?

–Jeżeli naprawdę potrafisz zobaczyć różne rzeczy, dotykając pni drzew albo wążając powietrze, to jest to nasza jedyna szansa odnalezienia Rachel. Tak, właśnie tego chcę.

–OK. Potrzebuję dwudziestu minut wyprzedzenia, żebyście nie zatarli śladów. Ruszycie na mój sygnał. Nie próbujcie mnie dogonić, dopóki się nie odezwę.

–Odbiło ci?

–Wyglądam na wariatkę?

–A jeśli morderca wciąż tu jest?

–Wiem, że tu jest.

Zapuszczając się w las, Marie reguluje głośność w słuchawce na minimum, żeby słyszała Bannermana tylko ona. Szeryf błaga, żeby zachowała ostrożność i oznaczała drogę kawałkami czerwonej wełny, którą wcisnął jej do ręki. W jego niskim, ochrypłym od papierosów głosie brzmi obawa i troska. A może to żal i wyrzuty sumienia. Bannerman chrząka, szuka słów. Dodaje, że nie chce, żeby się zgubiła. Marie też tego nie chce. Rusza prężnym krokiem.

Pośród lasu agentka specjalna Marie Parks zamyka oczy i wsłuchuje się w deszcz uderzający w jej gumowany kaptur. Krople ściekają po kurtce, wlewają się do butów. Zimny wiatr trzęsie koronami drzew i podrywa zwiędłe liście. Marie spogląda na prześwitujące między konarami skrawki nieba. Gęste czarne chmury ciągną w stronę księżyca. Koncentruje się. Drzewa skrzypią, targane przez wiatr. Deszcz głucho dudni o liście i o ziemię. Szeleszczą gałęzie. I nic poza tym. Marie wzdycha. Już od pół godziny snuje się po omacku w ciemnościach i chłodzie. Od pół godziny oznacza drogę kawałkami wełny i podąża tropem, który wiedzie donikąd. Plama szarego nieba w czarnym lesie. Marie wyszła na polanę zarzuconą pniami ściętych dębów, które okorowano przed ułożeniem w sterty. Zapach wiórów i soków krążących w drzewach – ich krwi. Marie próbuje wychwycić starsze zapachy – kora drzew, miliony czarnych, sękatych pni, miliony gałęzi, woń mchu i pleśni, wyziewy wilgotnej ziemi, która trawi ciała i martwe drzewa. Noc. Ogłuszająca cisza lasu. Dostrzega kontury ogrodowego stołu z surowego, sękatego drewna, oheblowanego tylko z grubsza. Siada. Opuszkami palców wyczuwa zadry i napisy wyrzyte ostrzem noża. Data i imię. Marie czuje mrowienie w rękach i nogach. Serce uderza jej sto dwadzieścia razy na minutę. To wizja. Zamyka oczy. Błysk.

Jest ładnie, dość ciepło. Świeci słońce. Wielkie białe obłoki płyną po niebie. Pachnie pyłkami kwiatów i świeżą trawą.

Pokrzywy, mięta i kolczaste krzewy jeżyn. Marie siedzi przy stole. Ciepły wiatr pieści jej nozdrza. Pszczoły bzyczą w nieruchomym powietrzu. Pachnie także żywicą i rozgrzanymi kamieniami. W dali słysząc głosy dzieci. Marie otwiera oczy. Polana zniknęła. Między drzewami, którym zostało już tylko kilka lat życia, leży na trawie czerwona serweta. Rodzina urządza sobie piknik. To małżeństwo z dwójką dzieci. Ich twarze są niewyraźne, jakby zasłaniał je przejrzysty plastik, który zamazuje rysy. Postacie znikają. Marie dotyka stołu. Imię i serduszko zniknęły. Jej palce się zaciskają. Błysk. Zima. Śnieg. Powietrze jest ostre, niebo turkusowe, głębokie. Zapachy lata uleciały. Jest tylko mróz, lód i lawa błękitu. Wśród zarośli w lesie ujadają psy. Odpowiadają im głosy. Marie otwiera oczy i widzi myśliwych, którzy wychodzą z krzaków. To dwóch olbrzymów w kanadyjkach i czapkach osłaniających twarze. Odpowiadają na wołania naganiaczy, które słysząc z daleka. Trzask gałęzi. Z zarośli wypada jelen. Dwa strzały rozdzierają zimne powietrze. Zwierzę pada, jest ranne. Kopyta biją o ziemię^ Sierść przesiąka krwią. Przez białą pianę, która wycieka mu z pyska, jelen patrzy na Marie. Wie, że ona tu jest. Myśliwi podchodzą. Jeden opiera but na boku zwierzęcia i przykłada mu lufę do łba, tuż za uchem Krew tryska na śnieg. Oczy jelenia gasną. Marie wbija paznokcie w drewno. Błysk.

Zmieniają się pory roku. Drzewa rosną, gałęzie się wydłużają. Marie widzi, jak ich liście żółkną i opadają, spychane przez pąki, które pękają, uwalniając nowe liście. Marie spogląda w górę. Chmury pędzą po niebie. Przemieniają się dni i noce. Czerwień zmierzchu, granat nocy. Potem, jak serce, które staje, czas zwalnia. Jeszcze jedno uderzenie, jedno mgnienie, kilka dni, kilka godzin, minut i sekund. Krople bębnią o kurtkę Marie. Deszcz. Polana. Kałuże. A pod palcami znowu napisy. Zostało pół godziny do telefonu Bannermana. Trzeba czekać.

Trzask zeschniętych gałęzi. Fala strachu, paląca jak kwas. Marie odwraca się, widzi bladą sylwetkę, która przemyka między drzewami. Ta postać jest naga, zatacza się, opada z sił. To Rachel, jest przerażona. Marie czuje, jak ogarnia ją strach. Sylwetka odcina się na tle lasu w blasku księżyca. Rachel podchodzi. Zatrzymuje się blisko Marie, kładzie ręce na stole. Już nie krzyczy, brak jej sił. Pochyla się, żeby nabrać tchu. Deszcz pada na jej ramiona. Dziewczyna drży z wyczerpania. Mokre włosy zasłaniają jej twarz. Marie ze łzami w oczach patrzy na ręce Rachel, na jej palce – powykręcane, połamane kopnięciami ciężkich butów, paznokcie ma zdarte do żywego ciała.

W dali słyhać hałas. Rachel prostuje się i patrzy w mrok. Jej twarz jest zakrwawiona, obrzmiałe wargi rozchylają się. Marie wyciąga rękę, by dotknąć jej ramienia. Czuje pod palcami lodowatą skórę.

Błysk.

Zaczęło się. Marie weszła w skórę Rachel. Jest naga, jak tamta. I jak ona – przemarznięta. Czuje świerkowe igły pod stopami. Jęczy, gdy rany Rachel jedna po drugiej otwierają się na jej ciele. Bolą ją usta i krocze. To potworny ból, który rozdziera jej trzewia.

Błysk.

Potwór dopadł Rachel dwieście metrów przed polaną. Tu przestał ją bić. Położył się na niej, podarł ubranie. Gołe plecy dziewczyny zapadają się w błoto. Morderca posiadał ją brutalnie, z ogromną siłą wciskając ją w rozmiękłą ziemię. Gwałcił ją, a pięściami wybijał zęby. Gdy osiągnął orgazm, pozwolił jej uciec. To kocur – igra z nią.

Błysk.

Rachel wstała. Znalazła dość siły, żeby biec. I biegła po błocie, między kolczastymi gałęziami, głośno krzycząc. Krew, która spływała jej po twarzy, oślepiała ją. W dali zobaczyła polaną. Za nią spokojnie szedł morderca. Pozwolił się jej oddalić. Miał czas. Polowanie dopiero się zaczęło.

Kolejny hałas, o wiele bliżej. Marie drga. Jej palce odrywają się od skóry Rachel. Kontakt został zerwany. Wraca do własnego ciała. Połamane zęby odrastają, obrzmiałe wargi tęchną, znikają rany, które paliły jej krocze. Czuje na skórze pieśczość ubrania. Marie patrzy na

Rachel, której oczy robią się coraz większe, coraz bardziej przerażone. Jęczy cichutko, jakby mówiła do Marie:

–Mój Boże, nie zdołam mu uciec.

Rachel odchodzi. Jej sylwetka znika za drzewami. Dudnienie deszczu. Cisza. Ktoś idzie po zwiędłych liściach. Marie znowu się odwraca. W ciemnościach dostrzega inną sylwetkę, tak potężną i tak mroczną, że noc wokół niej wydaje się mniej mroczna. To głęboka czerń zbliża się do niej. Mistrz lalek. Marie wyczuwa bezgraniczne, absolutne zło jego duszy. Jest spokojny. Wie, że ofiara nie ma szansy mu uciec. Zbliża się. Jest tu.

Morderca ma na sobie skórzany płaszcz i rękawiczki. Obszerny mnisi kaptur zakrywa jego twarz. Nieoczekiwanie zatrzymuje się obok stołu, przy którym siedzi obserwująca go Marie. Waha się. Coś wyczuł. Wącha. Nie, on węszy. To drapieżnik. Marie chce zamknąć oczy, żeby położyć kres tej wizji, ale jest już za późno. Wciąż węsząc, mężczyzna odwraca się do niej. Porusza rękami. Para wydobywa się z jego ust. Nie, to śmiech. Uciekaj stąd, Marie!

Mężczyzna patrzy na nią. Marie czuje mrok jego duszy, czuje, jak ten mrok przelewa się w jej umysł. On próbuje w nią wniknąć, żeby się dowiedzieć, kim jest. Spod kaptura wydobywa się głos, martwy głos. przemawiający w nieznanym języku. Niezliczone pytania brzmiały w głowie Marie jak szczekanie, tłoczą się i mieszają. Mężczyzna jest wściekły, ale Marie czuje, że z tego gniewu wyrasta coś innego, uczucie, które zabójca stara się ukryć. Potem nagle uświadamia sobie, że ten człowiek się boi. To zaledwie kropelka strachu w morzu złości. Uczucie tak obce temu mrocznemu sercu, że mrozi serce Marie. Gniew i strach, dwie podniety nienawiści. Wiedząc, że ten typ zabójcy nie pozostawia cienia nadziei, Marie skupia się ze wszystkich sił, aby nie pozwolić mu na gwałt na jej duszy. Ale mężczyzna ma znacznie większą moc. Mentalny opór Marie słabnie, jest już bliska kapitulacji, gdy potworny krzyk, gdzieś daleko, rozrywa ciszę. Rachel upadła. Rachel się zraniła. Zabójca rusza w ślad za nią. Jest wygłodzony. Palce Marie

zaciskają się na blacie stołu. Jej wizja znika. Ostatni obraz rozprysnął się, jak potłuczone szkło. Znow dudni deszcz. I huczy wiatr.

Marie zgina się. w pól i wymiotuje. Tak dzieje się po każdej wizji. Jakby nóż wbijał się jej w trzewia. Żołądek kurczy się i wyrzuca strach, który narastał w miarę przepływu obrazów. Potem ból ustępuje. Zostaje migrena i strach. Rachel była w miejscu, gdzie teraz siedzi Marie. Przeszła przez polanę i zniknęła pośród drzew. Marie wstaje i rusza biegiem. Osłania twarz rękami, żeby uchronić się przed uderzeniami gałęzi, i biegnie w ciemnościach. Rachel otarła się o to drzewo, które zachowało jeszcze jej wspomnienie. Dotknęła także tego pnia. Przystanęła, oparta o tamten. Marie zbliża się i dotyka plecami drzewa. Przymyka oczy. Błysk.

Rachel jest u kresu sił. Oddech zmęczonej dziewczyny jest świszczący. Boli ją całe ciało. Chciałaby umrzeć. Próbuje powstrzymać bicie serca. Tak postępują mrówki, kiedy nie są w stanie uciec przed polującym na nie drapieżcą. Ale Rachel nie potrafi nakazać sercu, by zamilkło. Cholerne serce, wciąż wali jak szalone! Jakiś hałas za plecami. Tłumi szloch i biegnie. Jej mokra skóra lśni blado między drzewami. Tak jak Rachel, Marie ruszyła na oślepi, przedzierając się przez krzaki. Czuje, że strach pozbawia ją władzy nad nogami, zapiera oddech w piersi. Trzaski. Głos Bannermana odzywa się w jej uchu:

–Marie słyszysz mnie?

Nie odpowiada. Biegnie. Podąża piaszczystą ścieżką, którą odnalazły stopy Rachel. Tędy da się biec trochę szybciej. Widzi ślady bosych nóg dziewczyny. Biegnie najszybciej, jak potrafi. Na grząskim piasku kilka razy o mało nie skręca nogi w kostce. Nagle potyka się o korzeń sosny i upada jak kłoda, tłumiąc krzyk, który narasta w gardle. To tu przewróciła się Rachel. Tu złamała nogę i krzyknęła z bólu. Palce Marie zaciskają się, chwytając piasek. Błysk.

Rachel nie ma już siły uciekać. Przegrała. Odwraca się i widzi idącego za nią drapieżcę. Widzi metaliczny błysk noża, który mężczyzna trzyma w dłoni w rękawiczkach. Rachel szlocha, grzebiąc w piasku i próbując się poderwać. Woła ojca. Błaga, aby przyszedł, aby ją uratował. Przypomina sobie, jak kiedyś utknęła w piwnicy bez światła, z potworami, które pełzły do niej, z trupami, które wyciągały ręce, żeby chwycić ją za nogę, i z pajakami, które wczepiały się w jej włosy. Wtedy to ojciec zapalił światło i wziął ją na ręce. Silne ręce ojca i miły zapach wody kolońskiej... To jego wzywa na pomoc Rachel, gdy but mordercy wgniata jej twarz w piasek. Błaga. Nie chce umierać. Ale morderca jej nie słucha. Już się nie bawi. Leżąc na piasku, Marie zamyka oczy. To tu urywa się ślad Rachel. Jakby las ją pożarł. Zadyszany Bannerman znów szepcze jej do ucha:

–Marie, do cholery, mów, co się dzieje! Agentka otwiera oczy. Deszcz już nie pada. Zatopiony we mgle świt rozjaśnia las. Dostrzega czerwoną plamę na piasku. Dotyka jej palcami i unosi je do ust. Krew. Pochyliła się do mikrofonu:

–W porządku, Bannerman. Trzymajcie się na dystans: wciąż jestem na tropie.

Marie krzywi się, czując przejmujący ból w kostce. Rozwiązuje sznurowadła i bandażuje apaszką staw. Potem wolno przerzuca ciężar ciała na nogi i stwierdziwszy, że ból ustępuje, skupia się na plamach krwi. Tu urywa się ślad Rachel. Tu zniknęła. Marie ogląda ślad, który dziewczyna pozostawiła na piasku po swoim upadku. Wiedzie palcem po obrysie twarzy, tym głębszym i wyraźniejszym, i już wie, że morderca przycisnął jej głowę butem. Krew i łzy.

Przesuwa się o kilka kroków ścieżką, pochyla się nad głębokimi, równymi odciskami butów zabójcy, już po napaści na Rachel. Bada je opuszkami palców – najpierw obcas, szeroki,

dokładnie widoczny, potem podeszwę, która jakby się rozwijała, czubki, które się zagłębiają i odrzucają piasek na dalszą część śladu. Mężczyzna porusza się sprężystym i zdecydowanym krokiem. Wie, dokąd zmierza.

Marie dostrzega, że odcisk prawej stopy jest głębszy niż ślad lewej. Posuwa się tropem mordercy. Tu i ówdzie widać ślady krwi. Zamyka oczy – zabójca niósł Rachel. Dziewczyna jeszcze żyła. Zabrał ją do swojej kryjówki. Bażant, który przycisnął się w zaroślach, nagle poderwał się do lotu i zniknął we mgle. W dali rozlegało się pukanie. Dzięcioł zaciekle stukał w pień drzewa. Las budził się do życia. Marie szła ścieżką aż do starego dębu. Tam ślad się urywał. Zabójca zszedł ze ścieżki. Za drzewami zobaczyła ruiny kościoła. Z mgły wyłaniało się kilka porośniętych mchami kamiennych krzyży. Marie wyciągnęła broń i wyjęła magazynek, żeby sprawdzić, czy jest pełen. Kule błysnęły w jeszcze bladym świetle dnia. Odbezpieczyła broń. Nie mogła już biec, ale mogła strzelać. Cichy głos przestrzegał, że broń nie pomoże jej w starciu z tego rodzaju mordercą. Woląca go nie słuchać. Przewiązała czerwoną nić na gałęzi, zeszła ze ścieżki i zniknęła między drzewami.

Mgła skłębiła się wokół Marie. Metaliczny dźwięk -jej noga natrafiła na drut kolczasty. Odsunęła go obcasem, okrążyła kępę krzewów i znalazła się w alejce, która wijąc się, biegła między ruinami. Stare, płaskie kamienie porośnięte mchami. Kroki Marie, która po nich stąpa. Agentka jest już na dziedzińcu kościoła, mija miejsce, gdzie dawniej znajdowała się brama. Stary, przerdzewiały krucyfiks zdaje się na nią patrzeć. Z wnętrza, przez poczerniałe stropy, widać wdzierające się światło. Po posadzce poniewierają się spalone ławki i stoczone przez komiki kięczniki. Pachnie stęchlizną węglem drzewnym. Marie zamyka oczy i wsłuchuje się w odległe krzyki, które wciąż jeszcze wypełniają świątynię. Przypomina jej się artykuł z gazety, którą znalazła na strychu w domu rodziców. Boże

Narodzenie 1926 roku. Noc, gdy strop runął na zgromadzonych podczas uroczystej mszy. Trzystu wiernych śpiewało Ave Maria- kiedy eksplodował stary piec do ogrzewania. Płomienie błyskawicznie ogarnęły boazerie i aksamity wyściełające ściany, potem strawiły belki i strop runął. Eleganccy panowie i upudrowane panie przeskakiwali przez starców, by dopaść do ciężkich dębowych drzwi, które strażnik z cementarza zamknął, nie chcąc dopuścić, żeby dzieciarnia wymykała się przed kościół. Wycie płonących ludzi. Zwęglone ciała.

Marie otwiera oczy. Krzyki zamilkły. Wsłuchuje się w wiatr świszczący między deskami. Między przewróconymi klęcznikami wirują zwiędłe liście. Cisza. Wchodzi do znajomego kościoła. Smuga światła latarki omiata posadzkę – brudną, pełną żelastwa, zdechłych nietoperzy, odłamków szkła. A pośród tego wszystkiego krople świeżej krwi na kamieniach. Marie skupia się i słyszy w dali szum wody

–wody deszczowej, która spływa w głąb ziemi. Okrąża chór i idzie w stronę ciemnego kwadratu w końcu kościoła. Kotara – to tu kończy się ścieżka wytyczona przez krople krwi. Marie ostrożnie odsuwa zasłonę i próbuje oświetlić to, co się za nią znajduje, ale ciemności są tak gęste, że latarka ledwie je rozprasza. Mimo to Marie widzi schody wiodące do podziemi. Pochyliła się i czuje silną jak cios pięści woń. To woń kadzidła i ciała tai

w rozkładzie, zapach starych katakumb i słodkawych odór, który przyprawia o mdłości. Przez chwilę zмага się z ogarniającym ją strachem. Nie wolno mu się poddać. Głośnik w uchu trzeszczy. Głos Bannermana jest ledwie słyszalny, rwie się.

–Marie... doszliśmy do polany... Gdzie następne znaki? Trzaski, zakłócenia.

–Kurwa, powiedz, w którą stronę poszłaś?! Marie szepcze do mikrofonu.

–Znalazłam schody.

–Co? Ledwie cię słyszę. Co znalazłaś?

–Schody w ruinach kościoła.

–Do diabła, Marie, gdzie kawałki wełny? Przerwij to i czekaj na nas. Coś mi tu nie gra. To za proste!

Bannerman biegnie. Szuka śladów Marie, ale niczego nie znajduje. Zadyszany, wrzeszczy jej w ucho.

–Cholera, to zasadzka! Marie, słyszysz? Jestem pewien, że to pieprzona zasadzka!

Ale ona już go nie słyszy. Stara, zakurzona kotara opada za nią.

Marie idzie ostrożnie po schodach, aby nie upaść. Powietrze wokół jest przesiąknięte smrodem rozkładu, nieruchome i tak gęste, że oddycha się nim jak przez plastikową torbę. Jest gorąco. Krople wody uderzają o posadzkę. Marie słyszy w ciemnościach jakieś szmery, ruch, coraz bardziej zwarty i bliższy. Dotyka palcami muru. Drży, natykając się na pajęczyny. Zamyka oczy i nuci wyliczankę, żeby nie ulec panice. W górze rozlega się hałas, jakby coś leciało. I drapanie niezliczonych nóżek, które pędzą po suficie. Unosi głowę i w tej samej chwili coś włochatego spada jej na twarz. Twarde, jedwabiste odnóża poruszają się na jej ustach, dotykając policzka. Marie dławii krzyk i uderza paskudztwo, zrzucając je z siebie. Potem stawia czubek buta na następnym stopniu i czuje pod stopą coś miękkiego. To coś się wiję, a potem pęka jak dojrzały owoc. Krew zastyga jej w żyłach. Na suficie i posadzce aż trzęsie się od jakichś stworów – miękkie, lepkie ciała usiłują się

wczepić w jej włosy, małe, silne odnóża pędzą po murach, żeby kąsać jej ręce. Gniazdo tarantuli! Idzie po pająkach, od których roi się na schodach, i piszczy z przerażenia, otrzepując z nich ręce, bo włożą na jej nadgarstki. Pożeraczki ciała. Oby tylko się nie przewrócić.

Im niżej, tym silniejszy staje się odór rozkładu. Mury wydają się ruszać pod jej palcami. Robactwo oblazi jej rękawy. W końcu Marie dociera do wnętrza ziemi. Ziemi, która pożera ludzi. Ma wrażenie, że idzie tak już od wielu godzin, nie wie nawet, czy w dół, czy w górę. Ale jak można się zgubić na schodach? Pod stopami znów robi się płasko. Marie znalazła się w podziemnym korytarzu. Podłóże jest gładkie, wyłożone kamieniem.

Przyspiesza kroku, żeby jak najszybciej oddalić się od czarnej paszczy schodów. W dali dostrzega żółtawe światło pochodni. Zwabiona przez nie jak ćma w mroku, idzie po omacku korytarzem. Smród trupiarni staje się duszący. Marie ma wrażenie, że przebija się przez gęstą mgłę, która przesiąka jej ubranie i wdziera się do gardła.

Im bliżej jest kręgu światła, tym wyraźniej widzi lśniąca posadzkę i szare mury. Widzi też wąsy korzeni, które utorowały sobie drogę przez kamienne sklepienie. Spogląda w dół i zauważa krople świeżej krwi na kamieniach. Dlatego pająki były takie pobudzone – czuły krew, którą broczyła Rachel, kiedy zabójca niósł ją po schodach, czuły zapach świeżego ciała, rzuciły się na tę ucztę. Marie przebiega dreszcz. Wie, że pająki nie pozwolą jej stąd wyjść.

Nareszcie znalazła się w kręgu światła. W końcu korytarza są drzwi celi z ciężkimi, żeliwnymi zasuwami. Popycha je. Drzwi skrzypią. Płomień pochodni chwieje się w strumieniu ciepłego powietrza, które bucha z celi.

Marie stoi w progu dużej krypty. Migotliwe światło setek wypalonych do połowy świec rzuca ogromne cienie, które zdają się pływać po murach.

Oślepiąca po wędrówce przez ciemność Marie oswaja oczy z półmrokiem krypty, Przed nią otwiera się sala wyłożona mozaiką z dwoma szeregami drewnianych ławek! Mrużąc oczy, Marie stara się rozpoznać kształty przy klęcznikach. W krypcie klęczą ludzie – pochyleni, ze złożonymi rękoma, wspierający się o siebie. To rozkładające się ciała o długich włosach, paznokciach jak szpony – notable w marynarkach i zasuszone staruszki z torebkami, różańcami, przykurzonymi mszałami. Msza zmarłych. To stąd rozchodzi się ten odrażający smród. Marie idzie główną alejką. Jej kroki odbijają się głośnie echem pośród ciszy, ręce drżą. Pomyliła się – ten zabójca nie jest mistrzem lalek, to kapłan, zabójca – mistyk. Głos Boga. Odbezpiecza broń i idzie tyłem, żeby dokładniej rozejrzeć się w

półmroku. Wchodząc w głąb, zauważa, że ciała, które mija, są coraz lepiej zakonserwowane. Czarne trupy wydarte ciszy mogiły.

W migotliwych płomykach świec widać chmury owadów. Spogląda w górę i zamiera. Całe tabuny śpiących much zakrywają sklepienie krypty, inne owady żerują na zwłokach. Ale to nie wszystko, jest tu jeszcze pięć ogromnych krzyży, zawieszonych nad ołtarzem – jeden w środku, pusty i oświetlony. Po dwa, oblepione przez muchy, po obu jego stronach.

Marie stoi u stóp ołtarza, nie mogąc oderwać oczu od czterech ludzkich postaci, przybitych do tych krzyży. Pochodnie oświetlają ich twarze: Mary-Jane Barko, Patricia Gray, Sandy Clarks i Dorothy Braxton, cztery zaginione z Hattiesburga. Sądząc po zaawansowaniu rozkładu ciał, dziewczyny umarły w dniu porwania.

Jęk w mroku. Marie odwraca się i widzi nagą postać klęczącą w pierwszej ławce. Obok niej nie ma nikogo. Inne ławki są już pełne trupów, które tulą się, wsłuchane w ciszę.

Marie podchodzi bliżej. To Rachel. Wsparła czoło o dłonie, ułożone płasko na drewnianym blacie. Agentka zbliża się jeszcze bardziej, dotyka włosów Rachel. Jasne loki owijają się wokół jej palców i bezszelestnie opadają, jak włosy lalki.

Rachel tak bardzo się bała, że teraz traci włosy. Jej ramiona drgają. Unosi głowę. Marie zagryza usta. Oczodoły Rachel są puste, to dwie krwawe dziury, które patrzą w ciemność. Jej słaby, przerażony głos rozbrzmiewa w krypcie.

–Tatusiu, to ty?

–Nie, Rachel, to ja, Marie.

–Marie? Och, Marie, nie widzę cię.

Wciąż omiatając lufą przestrzeń, Marie szepcze „Cii” do ucha Rachel. Potem obejmuje ją ramieniem i próbuje pomóc wstać. Rachel szlocha z bólu. I Marie już wie – widzi gwoździe wbite w nadgarstki i łokcie dziewczyny, zardzewiałe gwoździe, które przechodzą przez jej kostki i trzymają nogi na klęczniku. Gwoździe o dużych łebkach, wbite w drewno.

–O Boże! Rachel... Kto ci to zrobił?

–Kaleb.

–Kaleb? Tak się nazywa? Cisza. Marie szepcze.

–Rachel, gdzie jest teraz Kaleb? Puste oczodoły zwracają się na Marie. Rachel chce coś powiedzieć i Marie zauważa, że ma powybijane zęby. Rachel płacze. Nie, to raczej chichot, przejmujący, mrozący krew w żyłach. Rachel postradała rozum.

–On cię zabije, Marie. Złapie cię i zabije. Ale najpierw przybije cię tu, obok mnie. Przybije cię i będziemy się razem modliły... Będziemy się za niego modliły po wieczne czasy. Już idzie, Marie. Jest tu.

Marie zdążyła tylko odwrócić głowę i dostrzec potężną sylwetkę, która wyłania się z mroku. Potem uderzenie w tył głowy zwalają z nóg. Wszystko staje się białe. Rachel chichocze. Znowu wsparła czoło na rękach. Jej usta poruszają się, jakby się modliła. Głośnik w uchu Marie trzeszczy. Spośród zakłóceń jeszcze raz dobiegają głos Bannermana. Marie zdążyła tylko włączyć ukryty w kieszeni lokalizator. Potem chwiejne światło świec dogasa.

Cisza. Marie ma wrażenie, że opada w morską głębinę. Daleko, bardzo wysoko nad nią, lśni turkusowa tafla wody. Powierzchnia, a nad nią słońce niczym punkt błyszczący za szybą. Tak daleko...

Zapada się w nieruchomą głębię. Jest jej zimno. Niebieskawy blask gaśnie, pochłaniają ją ciemności. Zatracają się połączenia w jej układzie nerwowym. Już żadne impulsy nie zakłócają jej myśli. Ciemna woda, łyk po łyku, wciska się do jej ust, zalewa płuca. Serce prawie przestało bić. Żadnych odgłosów, żadnych podmuchów. Marie zbliża się do granicy śmierci.

Świt Ludzie szeryfa ciężko dyszą, dochodzą do min. Kiedy zrozumieli, że Marie idzie prosto w paszczę lwa, ruszyli

biegiem, by ją dogonić. Puścili psy gończe, aby wskazywały im drogę, potężne psy świętego Huberta głośno wyją, węsząc zapach młodej kobiety. Jak podczas polowań na jelenia, Bannerman i jego ludzie biegną za nimi, zachęcając je do poszukiwań i rozwijając ich długie smycze. Nie oszczędzają się, leje się z nich pot, kolczaste krzewy i zarośla drą ich ubrania i kaleczą.

Na polanie psia sfora zatrzymała się przy stole, przy którym siedziała Marie. Bannerman na próżno szukał nici, które powinna była zostawiać na swej drodze. Jeden z psów, zjeżony, drżący, podjął ślad zabójcy. Potem sfora ruszyła świeżym tropem, który wywęszył przewodnik. Ścieżka wiodła między drzewami. Piaszczysta dróżka, kawałek czerwonej wełny, w dali ruiny. Jeszcze nigdy Bannerman i jego ludzie nie biegli tak szybko i wytrwale, mimo to przybyli za późno. Wyczuwają to ze szmerów lasu, z głębokiej ciszy i jęków wiatru w koronach drzew. Marie już tu nie ma.

Zadyszany szeryf opiera się o murek i po raz kolejny unosi walkie-talkie. – Marie, słyszysz mnie?

Bannerman zwalnia przycisk. Zakłócenia. Zgrzyty. I wciąż milczenie. Patrzy na zegarek. Już za długo Marie nie odpowiada. A cały ten pasztet z powodu głupiego bajania o mediumizmie.

Kiedy Rachel zniknęła, Bannermanowi puściły nerwy. Miał nadzieję, że ten dzieciak jeszcze żyje, że Marie zdołają uratować. Dlatego pozwolił jej zapuścić się w las i wyprzedzić ich o pół godziny, a dopiero potem ruszył jej śladem. To trochę tak, jakby sam prowadził ją do rzeźni albo jakby strzelił jej w skroń. Teraz będzie musiał z tym żyć. Jak bezmyślny kierowca, który potrącił dziecko na przejściu dla pieszych, a potem co noc budzi się z krzykiem. On będzie widział w snach Marie, Marie,

która wchodzi do lasu, której sylwetka znika pośród drzew, której głos niknie w ciemnościach.

Bannerman umieszcza w magazynku strzelby dwanaście kul na dzika. Szturm kawalerii nastąpi o świcie. Marie zasłużyła sobie na to. W najgorszym razie będzie mógł zawiesić głowę mordercy nad kominkiem.

Zamierzał wydać rozkaz ataku, kiedy dźwięk telefonu komórkowego zakłócił ciszę. To Barney, jego zastępca. Biuro FBI w Bostonie telefonowało do nich. Ekipa federalnych przybywa z odsieczą. Mają helikopter i snajperów. Kierują się wprost na ruiny.

–Do cholery, Barney, dlaczego im powiedziałaś, gdzie jesteśmy?

–Chyba pan nie rozumie, to oni namierzili Marie dzięki lokalizatorowi, który zawsze ma przy sobie.

–Czemu?

–To sygnalizator alarmowy, który agenci włączają tylko w sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia. Marie włączyła go tuż przed ich telefonem do mnie.

–Gdzie? Gdzie go włączyła?

–Sądząc po tym, jak słaby jest sygnał, musi znajdować się kilkadziesiąt metrów pod ziemią,

–Ale gdzie, na Boga?!

–Wprost pod ruinami. Na pewno chodzi o katakumby, które znajdują się pod ruinami starego kościoła. Cisza. Potem głos Bameya trzeszczy w telefonie.

–Jeszcze coś, szefie. Ci z FBI powiedzieli mi, że już wiedzą, z jakiego typu zabójcą mamy do czynienia.

–I co?

–Lepiej, żeby został pan ze swoimi ludźmi z tyłu. W dali słyszać warkot.

Bannerman podnosi głowę i patrzy na nadlatujący helikopter, który jest tuż nad koronami drzew. Usiłuje pozbyć się strachu, który go dławi. Potem przechodzi na inną częstotliwość i ustawia walkie-talkie na maksymalną moc.

–Marie, to ja, Bannerman. Wiem, że jesteś gdzieś pod ziemią i że pewnie umierasz ze strachu. Nie wiem nawet, czy mnie słyszysz, ale pieprzę to. Będę do ciebie mówił aż do końca, żebyś słyszała mój głos i żebyś się trzymała, dopóki twoi kumple z FBI nie wyciągną cię stamtąd. Błagam, Marie, postaraj się wytrzymać.

Chlap. Chlap.

Krople spadają na cement. Marie drży. W jakimś zakamarku jej umysłu zapala się światełko. Jak ciemny pokój, w którym neony trzeszczą i rozbłyskują, rozpraszając mrok, teraz budzi się jej umysł. Gdzieś bardzo daleko kapie woda. Marie bardzo wolno powraca na powierzchnię, odzyskuje świadomość swojego ciała, swoich rąk i nóg. W mięśniach czuje dziwne, bolesne ciągnięcie.

Bum.

Kolejny dźwięk, znacznie głośniejszy. Jak uderzenie młotkiem w ścianę, nie w drewno. To skarga drewna, w które cieśla uderza z całych sił. Dźwięk metalu walącego w drewno i zgrzyt gwoździ, które wbijają się w belkę. Marie czuje narastający strach. To tylko wrażenie, strużka atramentu w przejrzystej wodzie. Ale jej umysł, stopniowo odzyskujący świadomość, rozpaczliwie próbuje usnąć, żeby uciec przed tym pieczeniem, które przenika ciało. Bum.

Marie drży. Teraz ten hałas wprawia w wibracje całe jej ciało. Czuje pieczenie, najpierw lekkie, potem coraz silniejsze, jakby ktoś przytykał do jej skóry rozżarzony papieros. Kurcze dopadają łydki, potem uda i brzuch.

Bum.

Przy każdym stuknięciu prąd przenika ramiona Marie, jej kręgosłup, biodra, kostki. Teraz jej mózg jest już w pełni sprawny i to, co odkrywa, okazuje się makabryczne.

Bum.

Ma rozkrzyżowane ręce i nogi. Jest naga. Czuje pod plecami chropowaty dotyk drewna i pieczenie, bo drzazgi wbijają się w jej skórę coraz głębiej przy każdym uderzeniu. Strach skręca jej trzewia. Kwas, który wydzielają spanikowane narządy, a krew przechwytuje i siecią naczyń tłoczy do innych narządów, ręce i nogi, które wciąż nie reagują. Marie usiłuje zacisnąć pięści. Nie zdołała. Bum.

Ten hałas, teraz taki głośny. Zmysły przytępione smrodem, tak, już pamięta – plusk deszczu na zwiędłych liściach, sylwetka Rachel, która wchodzi między drzewa. Przypomina sobie także kryptę, trupy na klęcznikach, ciała ukrzyżowanych. I ten piąty krzyż.

Bum.

Serce Marie szaleje. Czuje ostrze gwoźdźcia, który wbija się w belkę przez jej ciało. Stalowy gwóźdź, który wbija się w drewno przez ciało, przez ścięgna jej nadgarstka.

Jakaś ciecz spływa po jej rękach, po nogach. Ma tę ciecz na piersiach – jest lepka, ścieka po brzuchu, aż do rowka w kroczu, skąd ciężkimi kroplami kapie na podłogę. Te krople rozpryskują się z głośnym plusk, plask.

Marie otwiera oczy i zauważa szeroki skórzany pas, który przytrzymuje jej ramię. Widzi rozprostowaną dłoń na belce i rękę, która przypiera jej ramię do drewna. Główka gwoździa sterczy z obrzmiałej dłoni. Widzi młotek, który znów się unosi i szybko opada. Bum.

Marie czuje, jak rozszerza się szczelina w belce. Czuje, jak gwóźdź przesuwają się przez jej ciało. Z jej piersi wyrywa się zwierzęcy ryk. Odwraca się i widzi Kaleba, którego pozbawiona życia twarz patrzy na nią. Jest tuż obok. Jego oczy błyszczą w cieniu kaptura. Potem czuje lodowatą dłoń zabójcy, która zaciska się na jej ramieniu, kiedy jego druga ręka ponownie unosi młotek. Bum.

Gwóźdź znika w ciebie. Głowa kobiety uderza o belkę i odskakuje od niej. Jakie to dziwne, że gwóźdź się wbija, a rana nie wywołuje bólu. Jakby ciało przestało reagować, jakby to nie jej ręce i nie jej nogi oprawca przybijał do krzyża. Ale ból już czyha. Marie czuje, jak się rodzi. Toruje sobie drogę przez stępione nerwy. Już się zbliża.

Zaabsorbowany swym dziełem zabójca jest tak blisko, że jego oddech porusza włosami Marie. Jego serce uderza wolno. Niczego nie odczuwa. Potem oddech się oddała, Marie słyszy, że morderca schodzi z drabiny i opiera ją o krzyż. Potem słyszy jeszcze, jak jego buty uderzają o posadzkę krypty. I słyszy szlochy Rachel. Wychyla się do przodu, żeby na nią spojrzeć, i

wtedy dociera do niej, że gwoździe naprawdę tkwią w jej rękach i nogach. W tym samym momencie zdaje sobie sprawę, że zawieszona w górze ciało trzyma się tylko na nadgarstkach i kostkach przybitych do drzewa krzyża. Kawałki jej ciała rozstępują się, rozdzierają wokół gwoździ. I nagle ból eksploduje. Dochodzi z tak daleka, że Marie ma wrażenie, iż to nigdy się nie skończy. Promieniuje z nadgarstków, szarpie skórę ramion, która ociera się o belkę. Wybucho w kolanach, w łokciach, w brzuchu, w łydkach. Marie zamyka oczy i wydaje nieludzki krzyk. Fala bólu ogarnia ramiona, przeszywa splot piersiowy. Usiłuje poruszyć ramionami i zacisnąć uda, czuje, jak ścięgną nadgarstków trą o gwoździe. Czuje stal

wżerającą się w mięśnie łydek. To grube i długie gwoździe wbite ukośnie w piszczele.

Ukrzyżowanie. Marie walczy z napięciem, które usztywnia jej mięśnie, z naprężeniem, które sama powoduje, żeby nie dopuścić do przerzucenia ciężaru całego ciała na gwoździe. To nieznośne usztywnienie powoduje drżenie mięśni, wycieńcza i dusi. U kresu sił, próbuje rozluźnić napięcie rąk i nóg, ale ból wywoływany przez wbijające się gwoździe wyrywa krzyk z jej ust. Marie odruchowo się usztywnia, każde włókno jej ciała ciągnie ostrza, które ją przekłuwają. Już niemal się dusząc, Marie wiotczeje. Potem znów się wypręża, znów rozluźnia mięśnie, aż w końcu nie może ani się odprężyć, ani napiąć ciała, bo cokolwiek zrobi, jakikolwiek wykona ruch, narzucając ciału to, co daje szansę ucieczki przed cierpieniem, czuje, że brak jej sił, że mięśnie i skóra rozciągają się wokół gwoździ, rozrywają się wolno, rozstępują, pękają. Pokonana, rezygnuje i wybucho płaczem. Duże, ciężkie łzy, nieludzki jęk agonii, chrapliwe wycie, które wypełnia mroczną kryptę.

Cztery zaginione z Hattiesburga, ukrzyżowane po jej prawicy i lewicy, patrzą na nią. Ich obrzmiałe zwłoki nie utrzymałyby się na gwoździach, więc Kaleb przywiązał je pasami. Marie spogląda przez łzy na ich puste oczodoły, na udręczone twarze i spłaszczone wargi, które w chwili śmierci wykrzywiły się z bólu. Ich ręce w końcu odpadły od gwoździ i teraz zwisają

z przymocowanych pasami przedramion. Od jak dawna te kobiety wiszą na krzyżach? Przez ile godzin prężyły się i rozluźniały mięśnie, próbując uniknąć bólu? Ile dni spędziły w cuchnącej trupiarni, zanim wyzwoliła je śmierć? Rozpacz była dla niej teraz dotkliwsza od bólu. Próbowała wstrzymać oddech, żeby jak najszybciej umrzeć. Wytrwała przez kilka sekund, ale potem zgłodniałe płuca wymusiły pracę mięśni. Sprowokowało to kolejną falę niewyobrażalnego bólu. Marie osunęła się i zaszlochała. Potem wzniosła oczy. Przez łzy zobaczyła Kaleba, który stał u stóp krzyża. Patrzył na nią, dostrzegał każdy gest. Wydawał się poruszony ogromem energii, którą marnowała, by oddalić nieuniknione. Jęki Rachel ustały. Jej głowa

opadła na ręce. Umarła.

Rozłożywszy ramiona, wzniosłszy dłonie ku niebu, jakby odprawiał nabożeństwo, Kaleb stoi nieruchomo u stóp ołtarza. Marie wpatruje się w ciemność pod jego kapturem. Widzi zimny blask jego oczu, dwa świecące w płomieniach świec okruchy szkła.

Jego skórzany płaszcz jest rozpięty. Pod nim ma czarną burkę – mnisi habit, a na nim ciężki srebrny medalion, który lśni w ciemnościach. To pięcioramienna gwiazda z demonem o łbie kozła w środku – symbol wyznawców Szatana. Marie patrzy na wzniesione ręce Kaleba, na skórę jego przedramion, które wysuwają się z rękawów. Ma szerokie dłonie o czarnych paznokciach. To ręce pokłute drzazgami. Widać na nich okaleczenia i blizny, które sięgają aż po łokieć. Te nacięcia zrobiono ostrzem noża i nasączono tuszem, tworząc specyficzny rysunek: krwistoczerwony krzyż w płomieniach. U styku ramienia z przedramieniem, tam gdzie nacięcia łączyły się, otaczając

krzyż, płomienie układają się w słowo, którego Marie nie jest w stanie odczytać. Potem znów patrzy w oczy Kaleba, w ich otchłań. Wie, że nie może liczyć na współczucie tego rodzaju mordercy, wie, że umrze. Zamyka oczy i szarpie rany, aby przyspieszyć śmierć.

–Marie? Czy... słyszysz mnie? Marie? Daleki, rwący się głos Bannermana w jej uchu elektryzuje ją. Drży, i to tak mocno, że szlocha z bólu. Bannerman. Odwraca głowę, patrząc na swe ubranie, które morderca rzucił na ziemię. Nadajnik wciąż działa, odbiornik, który ma w uchu, przekazuje głos szeryfa. Koncentruje się, aby jak najwięcej usłyszeć.

–Marie? Wytrzymaj... czekaj, Marie... FBI już tu jest. Trzaski. Głos Bannermana oddala się. Zapada cisza. Marie zamyka oczy. Co powiedziałaś, Bannerman? O Boże, co powiedziałaś?

Dusi się. Opada z sił. Musi zyskać na czasie. Szuka słów, waży je, próbuje analizować informacje, które cisną się jej do głowy, jak najskuteczniej określić profil Kaleba. Musi zrozumieć jego mentalność, żeby znaleźć słaby punkt. Ale potwornie cierpi. Ból rozsada jej mięśnie. Nawet najlżejszy ruch może spowodować poważne uszkodzenia stawów. Musi działać szybko, bo wkrótce straci przytomność. Rzuca się na głęboką wodę. Zdławionym głosem podaje najpierw swoje imię i nazwisko, w nadziei, że potem zabójca przestanie patrzeć na nią wyłącznie jak na kawałek mięsa bez duszy.

–Nazywam się Marie. Marie Megan Parks. Urodziłam się 12 września 1975 roku w Hattiesburgu, w Maine. Moimi rodzicami byli Janet Cowl i Paul Parks. Mieszkali w murowanym domu przy Milwaukee Drive 12. Chodziłam do szkoły publicznej, byłam w klasie pani Frederiks. Uczyłam się dobrze, tylko z matematyką miałam problemy, bo nie potrafiłam rozróżniać liczb. To tak, jakby cyfry tańczyły panu przed oczyma, kiedy już wykonał pan obliczenia.

Ta aluzja do rodziców i związków z Maine to dobry pomysł. I do abstrakcyjnego

pojęcia liczb. Zabójca także był przecież dzieckiem, to może na niego zadziałać. Ból wykrzywia usta Marie. Nie wolno za długo milczeć, trzeba wypełniać ciszę.

Podejmuje:

–Mój brat Allan zmarł na białaczkę, kiedy miał dziewięć lat. Doktor rozpoznał jego chorobę, kiedy przesunął grzbietem widelca po jego łydce. Następnego dnia Allan miał w tym miejscu na nodze sine pręgi. Wyobraża pan sobie? Sine od dotknięcia widelcem!

Milczenie. Marie zagryza usta, żeby zdusić szloch. Nie może wejść w rolę ofiary, bo mordercy uwielbiają się pastwić nad ofiarami.

–Pochowaliśmy Allana na cmentarzu w Grand Rapids w Ohio. Tam mieszka moja babcia, Alberta Cowl. To ona opiekowała się nim, kiedy był w agonii. Ostatniej nocy przed jego śmiercią weszłam do jego pokoju. Siedział na łóżku. Był wychudzony i łysy. Pamiętam, że przeglądał gwiazdkowy katalog i czerwonym flamastrem zaznaczał zabawki. Zawsze myślałam, że to ja zatrułam mu krew, wsypując opiłki kredek z temperowki do soku pomarańczowego. Nigdy nie powiedziałam o tym mamie, ale jestem pewna, że zabiłam Allana. O Boże, jak to boli... Cisza. Marie łamie się głos.

–I mam psa. Wabi się Bames. A właściwie, miałam psa, starego, ślepego labradora, który latem wpadł pod samochód. Pochowałam go w ogródku. Strasznie za nim tęsknię. Nagle Marie czuje przyływ wściekłości. Stara się powstrzymać od wybuchu, ale nie jest w stanie.

–Jestem demokratką i protestantką. Mam konto w Bangor Bank i robię zakupy u tandeciarzy z Wal-Mart. A, zapomniałabym, palę old browny, walczę o prawo do aborcji, straciłam dziewictwo jako szesnastolatka i od tej pory pieprzę się z każdym facetem, który ma ręce i nogi. I lubię dziewczyny! Uwielbiam ładne dziewczyny. Uwielbiam czuć ich jedwabistą skórę i smak cipki. A przede wszystkim nazywam się Marie. Marie Megan Parks. Słyszysz mnie, ty szmatławy pożeraczu trupów? Jestem Marie Megan Parks i mam cię w dupie!

–Bądź pozdrowiona, Marie.

Marie drgnęła tak gwałtownie, że jej stawy uderzyły o drzewo krzyża. Ból rozpałił jej ścięgna i kości. Zdołała nawiązać kontakt, teraz musi go za wszelką cenę utrzymać.

–Błagam pana, niech pan do mnie mówi.

Kaleb patrzy na nią. Stoi z rękami wzniesionymi jak do modlitwy, jego ciało lśni w ciemnościach. Marie czuje, że jej kończyny drętwieją. Ogarnia ją fala mdłości. Zaczyna wymiotować. W uchu znowu coś trzeszczy. Głos Bannermana przedziera się przez aparat słuchowy.

–Marie, jesteśmy... słyszysz mnie?

Cholerny opasły dureń! Bannerman. Przybyło FBI. Ostatnie słowa szeryfa powodują, że Marie płacze z radości. W ciemnościach znowu rozlega się głos Kaleba. Można by pomyśleć, że szuka słów. Zupełnie, jakby się nimi bawił. Jakby go urzekały. Nie, to inne głosy przemawiają przez niego. Dziesiątki głosów, które zbliżają się, jak ujadanie psiej sfory. O Boże! On mówi, ale jego usta wcale się nie poruszają. Głosy łączą się i wybuchają. Płyną z otwartych ust Kaleba, opadają Marie jak potężna fala, zalewają i topią. Są tak głośnie, jakby wraz z Kalebem wrzeszczało równocześnie wiele gardeł. Marie słyszy wyłaniające się z tej kakofonii jęki rozpaczki. Krzyki nienawiści i wołanie o pomoc – to niezliczone ofiary Kaleba, kobiety, dzieci, starcy. A potem, nagle, głos Kaleba wznosi się nad inne niczym róg pośród zamętu bitwy.

–Jestem wagą i ciężarkiem. Jestem siłą, która waży dusze.

Jestem podmajstrzym na budowie Stworzenia. Lewarkiem, który dźwiga świat. Jestem Drugim, przeciwieństwem wszystkiego, nicością i pustką, rycerzem Zaświatów. Jestem Wędrowca.

Wycia milkną, zawierucha głosów ustaje. Świece palą się, trzeszcząc. Bzyczą muchy. Kaleb zamknął oczy. Jest w transie. Stalowe ostrze pokryte satanistycznymi napisami połyskuje w jego ręce. To rytualny sztylet. Zaraz zacznie się ceremonia. Marie szczęka zębami i tylko w chwili, gdy wydaje się jej, że ujrzała ciemne sylwetki w głębi krypty, na moment zamiera. Mruży oczy, widzi trzydzieści ruchliwych cieni, które zbliżają się, idąc między trupami. Przenosi spojrzenie na Kaleba i drży z przerażenia, widząc, że i on je obserwuje. Uśmiech rozświetla jego oczy. I gdy po krypcie tańczą laserowe celowniki, Marie już wszystko rozumie. Kaleb wie, że oni tu są. Wyczuł to, gdy tylko weszli na schody. Nie, jest znacznie gorzej – on wiedział, że tu przyjdą. I zrobił wszystko, żeby tak się stało, wszystko zor-

ganizował i zaplanował. Manipulował nimi. Zostawił tylko ślady konieczne, aby zwabić Marie i chwycić ją w sieć. Porywając Rachel, wiedział, że to ona ruszy w pościg. Znają, wie, że widzi rzeczy, których inni nie widzą. Czerwone punkciki laserów zatrzymały się na burce Kaleba. Jak podczas ćwiczeń, każdy ze strzelców wybrał ważny dla życia narząd, i zwolnił oddech. Mieli hełmy z wykrywaczami ciepła i noktowizory. Nie chybią celu. Posiekają go, przetną na pół, jeśli tylko drgnie. W ciemnościach rozległ się głos. – FBI! Nie ruszaj się!

Marie patrzy na Kaleba. Wiedział, że tu umrze. Musi teraz umrzeć. To część jego

planu. Marie próbuje uprzedzić o tym snajperów, którzy celują w Kaleba, ale z zaciśniętego gardła nie wydobywa się nawet szept. Wtedy Kaleb wolno podnosi ręce, a ostrze sztyletu błyszczy w płomieniach świec. Kaleb wykonał gest, na który tylko czekali agenci FBI. Każdy prawny pretekst, aby zabić mordercę, który ośmielił się przybić do krzyża ich koleżankę, jest dobry. Palce snajperów mocniej opierają się na spustach. Wstrzymują oddech, żeby nie chybić ani o milimetr. Kaleb chyba otwiera usta. Mówi Marie do widzenia. A ona uporczywie kręci głową, chce powstrzymać snajperów. Za późno. Huk serii strzałów. Jakby oglądała to w zwolnionym tempie, widzi kule wypadające z luf, wydobywające się z nich smugi dymu. Widzi siłę, która wstrząsa ciałem Kaleba, krew tryskającą na jego burkę. Wciąż trzyma wzniesione w modlitewnym geście ręce. Patrzy na Marie, uśmiecha się. Potem jego palce prostują się, nóż wypada i uderza o ziemię. Ostatnia seria łamie go wpół i rzuca na kolana. Jego głowa pochyla się, broda opada na klatkę piersiową, ręce osuwają się na kolana. Zwyciężył.

Huk strzałów milknie. Marie zamyka oczy. Słyszy odległy głos Bannermana, pojedyncze strzały, którymi agenci dobijają Kaleba. Potem Marie traci resztki sił. Nie czuje już nawet, że gwoździe rozdzierają jej rany. Na moment chwytą się ostatnich sygnałów, jakie docierają do niej z otoczenia, ale w końcu się poddaje. Zapada w mrok.

CZĘŚĆ TRZECIA

48

Liberty Hall Hospital, Boston, tydzień później

Drżąc w lodowatym podmuchu klimatyzacji, agentka specjalna Marie Parks wdycha opary formaliny i środków dezynfekcyjnych, które unoszą się w kostnicy Liberty Hall Hospital w Bostonie. Jej pomieszczenia zajmują całą suterenę szpitala, łącznie dwa tysiące metrów kwadratowych chłodni, sal sekcyjnych i laboratoriów. To tu trafia większość zwłok z Bostonu i okolicy. Samobójstwa, weekendowe wypadki, a także podejrzane zgony, których przyczyny mają zostać ustalone decyzją prokuratora generalnego stanu Massachusetts. Najdalej położone sale kostnicy, największe i najlepiej oświetlone, zajmuje medycyna sądowa Liberty Hall. Tu wstęp mają tylko funkcjonariusze sekcji badawczych policji. Ciała przywożone są w plastikowych workach, czarnych albo szarych. Szare przeznaczone są dla zamordowanych, czarne dla morderców. W tych przestronnych salach z betonu, wyłożonych białą

glazurą, armia zblazowanych lekarzy sądowych tnie klatki piersiowe i otwiera brzuchy zmarłych w poszukiwaniu dowodów zbrodni: niebieskiej obwódki, jaką arszenik pozostawia na płatach wątroby, czarnych, lepkich zakrzepów śledziony, które powstają po uderzeniu, przemieszczenia kręgów szyjnych po uduszeniu, perforacji płuc, serc przebitych pociskami dużego kalibru. Oględziny, które patolodzy uzupełniają przeszukując jamę ustną i inne otwory ciała, bo czasem starczy odrobina śliny, kropla krwi, kod genetyczny włosa, czy trochę spermy niebacznie pozostawionej w pochwie zgwałconej kobiety.

Nad tą magmą ciał w rozkładzie wznosi się czternaście pięter Liberty Hall Hospital – budynek ze szkła i stali, gdzie chorzy i umierający leżą na jedenastu oddziałach internistycznych oraz oddziale reanimacji i intensywnej terapii. Właśnie do tego szpitala, na najwyższe piętro, trafiła natychmiast po przewiezieniu agentka specjalna Marie Parks. To tu chirurdzy zmieniali się, oczyszczając i zszywając jej rany. Przez siedem kolejnych dni leżała w łóżku, a pielęgniarki zmieniały jej opatrunki i podawały kroplówki z antybiotykami. Przez tych siedem dni Park zasypiała w przyjaznym ciepłe pokoju, a budziła się na krzyżu, w mrocznej krypcie. Przez tych siedem dni odzyskiwała siły w dobrze znajomym środowisku, gdzie słyhać było pracę elektrokardiografów i wózki salowych przetaczające się po korytarzu. Przez siedem nocy miotała się na krzyżu i wyła, czując wbijające się w ciało gwoździe. Parks nie chciała przyjmować neuroleptyków, które zaordynowali jej lekarze, aby osłabić siłę wizji. Nie ma nic gorszego niż eksplozja takiej wizji pod wpływem leków – to wizje w zwolnionym tempie, w których każdy szczegół jest wyolbrzymiony, niekończący się koszmar, wydłużający cierpienie. O świcie ósmego dnia Parks obudziła się spokojna i wypoczęła. Wizja zniknęła, pozostały tylko oczy Kaleba pałające w mroku krypty. Jedno dodatkowe wspomnienie wśród wiehi innych Z tą różnicą, że Kaleb został zabity przez FBI, więc wizje jego morderstw wkrótce powinny zacząć zniknąć. Chyba że Kaleb wciąż żył. Marie próbowała odsunąć tę myśl. Ale wciąż słyszała natrętny głosik, który rozbrzmiewał w jej głowie za każdym razem, kiedy się bała. Głos

Marie z lat dzieciństwa, głos, jakim mówiła do swoich lalek.

Rzym, Watykan, szósta rano

Kardynał Oscar Camano lubi tę chwilę dnia, gdy czerwone smugi świtu stopniowo rozpraszają granat nocy. Co rano, mijając

Koloseum, gdzie tylu znamienitych chrześcijan przelało krew dla chwały Pańskiej, poleca kierowcy zatrzymać limuzynę na Piazza della Chiesa Nuova, a potem samotnie wędruje rzymskimi uliczkami w stronę mostu Świętego Anioła. Mógłby jechać wprost na plac Świętego Piotra, jak inni dostojnicy kościoła przecież młodsi od niego. Mógłby też iść najkrótszą drogą nad rzeką do Borgo Santo Spirito. A jednak, nie zważając na deszcz, wiatr czy artrozę kolana, która czasem potwornie mu dokucza, kardynał Camano zawsze nadkłada drogi, by przejść przez most Świętego Anioła. Potem skręca w lewo, na Via della Conciliazione, którą idzie aż do Watykanu, jak przybywający tu pielgrzymi. Te samotne przechadzki to przede wszystkim doskonałe przygotowanie do wyczerpującego dnia i natłoku spraw. Stojący na czele ściśle tajnego zakonu Legii Chrystusa, kardynał Oscar Camano jest wzbudzającym respekt prefektem Kongregacji do Spraw Cudów, jednej z najpotężniejszych struktur watykańskich. Tak potężnej, że nawet kardynał sekretarz stanu, a zatem premier Kościoła, nigdy nie zdołał wetknąć nosa w dokumentację Camano. Inni, równie wpływowi kardynałowie zaprzędaliby duszę diabłu, żeby mieć dostęp do archiwów Kongregacji do spraw Cudów. Bo przecież ci zżerani przez ambicję starcy wiedzieli, że właśnie ściśle tajny charakter zadań czynił kongregację jednym z najpotężniejszych organów państwa. Przed zaprzysiężeniem każdy sługa Kongregacji do spraw Cudów odbywał trzynastoletnie studia w seminariach Legii

Chrystusa. Potem, wybierając tylko najlepszych z każdego rocznika, zakon wysyłał ich na najlepsze uniwersytety, gdzie gromadzili doktoraty. Było to długie, wymagające wytrwałości kształcenie, które sprawiało, że ludzie Camana byli fachowcami duszą i ciałem oddanymi sprawie weryfikacji cudów i poszukiwaniu dowodów istnienia Boga, podstawowej misji ich kongregacji – badaniu widzialnych i niewidzialnych znaków. Kiedy napływała informacja o cudzie lub pojawieniu się Szatana, Camano wysyłał swych legionistów, aby sprawdzili, czy to rzeczywiście zjawisko nadprzyrodzone i czy nie istnieje groźba podważenia dogmatów wiary. Mogło się bowiem zdarzyć, że cud szkodziłby wyższemu dobru Kościoła. I Camano musiał dyskretnie się upewnić, czy boskie objawienia pozostawały w zgodzie z Pismem Świętym, a gdyby tak było, zdusić je w zarodku i nie dopuścić do zagrożenia powagi i stabilności Watykanu.

Po dokonaniu wstępnej weryfikacji doktorzy Legii Chrystusa sporządzali raport, który trafiał do Rzymu najtajniejszymi kanałami kościelnymi. Wtedy podwładni Camano wprowadzali dane do komputera i sprawdzali, czy taki sam cud nie wydarzył się już w innym miejscu lub czasie. Najczęściej ich praca nie przynosiła pozytywnych wyników. Zjawisko poddawano dalszej obserwacji i zajmowano się kolejnym.

Czasami zdarzało się jednak, że komputery podsuwały jakiś cud albo przejaw istnienia złych mocy, który powtarzał się regularnie od wielu stuleci. Wychodząc z założenia, że spełnia się to, co zapisano w Piśmie i że być może Bóg chce

przypomnieć ludziom o sobie, Legia Chrystusa ogłaszała stan pogotowia i sprawa była natychmiast zamykana przez papieża, który składał na aktach swój apostołski podpis. Troską Camana było uzyskanie uznania cudu lub działania złych mocy, zanim inne kongregacje albo (co gorsza) dziennikarze wywęszą sprawę. Gdy miał wątpliwości, doprowadzał do przypieczętowania przez papieża zjawiska potwierzonego przez Kongregację Cudów w pierwszej instancji. Potem, jeśli okazało się, że sprawa nie jest godna uwagi, prosił o uznanie danego faktu za zjawisko pospolite. Dlatego Camano był przepracowany, i dlatego miał wielu wrogów.

Ale misja kongregacji nie sprowadzała się wyłącznie do szukania dowodów istnienia Boga – za tą pracą, która musiała trwać wiecznie, kryła się inna, tak tajemnicza i niebezpieczna, że nawet wrogowie kardynała nie domyślali się jej wagi. Kiedy bowiem okazywało się, że identyczny cud powtarzał się od wielu wieków, a przede wszystkim, że ten cud za każdym razem stanowił reakcję na działania szatańskie (jakby te przeciwne sobie siły staczały zaciekle bój, chcąc się pokonać), oznaczało to, że być może jedna ze starych przepowiedni zaczyna się spełniać i że nad światem zawisło niebezpieczeństwo. Wtedy legioniści Chrystusa przeszukiwali archiwa, gdzie gromadzono pisma i znaki zapowiadające wielkie kataklizmy: potop, upadek Sodomy, plagi egipskie i pieczęcie Apokalipsy św. Jana, a także odnoszące się do przyszłości przepowiednie Nostradamusa, Malechiasza, Leonarda z Pizy i wielkich świętych chrześcijaństwa. Były tam także zapowiedzi gniewu bożego, które ludzie Camana mieli uwzględniać niejako na marginesie swych oficjalnych zadań. Właśnie takie oznaki wielu legionistów Chrystusa dostrzegło przed kilkoma miesiącami w Azji, Europie i w Stanach Zjednoczonych. Były to stygmaty Męki Pańskiej, tajemnicze uzdrowienia, krwawiące posągi i zbiorowe opętania oraz profanacje cmentarzy i składanie ofiar z ludzi. A także rytualne zabójstwa. Seryjne morderstwa o wspólnym schemacie. Zabójstwa tym bardziej niepokojące, zdaniem Camana, że dotyczyły wyłącznie zakonnic. I to nie byle jakich. Ten ostatni szczegół wydał mu się niezwykle istotny i doprowadził do pełnej mobilizacji sił: od kilku tygodni tajne raporty napływające z odległych placówek Legii donosiły o zamordowaniu trzydziestu sióstr z zakonu pustelnic. Go jeszcze bardziej niepokojące, wszystkie mniszki zostały ukrzyżowane, ich ciała zbezczeszczone, a potworny stan zwłok dowodził działania nadludzkiej siły. Zabójca wypalał na ich klatkach piersiowych litery INRI, łaciński skrót, który Rzymianie umieścili nad głową Chrystusa. Jednak na torsach zadręczonych ofiar obok liter widniał pentagram z demonem o łbie kozła w środku. To był symbol Bafometa, najpotężniejszego z rycerzy zła, archaniola w szeregach Szatana.

Do tej pory rytualne zabójstwa zdarzały się za murami ściśle strzeżonych klasztorów i Watykan zdołał wyciszyć sprawę. Jednak nie na długo. Camano wiedział, że schemat tych morderstw został opisany w przepowiedniach z archiwów Kongregacji Cudów, to zaś oznaczało powrót złodziei dusz. Camano wysłał legionistów tam, gdzie według jego służb wywiadowczych mordy na pustelnicach niepokojąco się mnożyły. Od tego czasu zmuszał się do cierpliwego oczekiwania.

Nad tym wszystkim rozmyśla kardynał Camano, wchodząc na most Świętego Anioła. Przystaje, by spojrzeć na wody Tybru i wtedy dzwoni jego telefon komórkowy. Monsignore Giuseppe, jego apostolski protonotariusz, człowiek stary, ale w pełni sił, mówi z takim przejęciem, jakby przed chwilą zobaczył diabła. Odważnie patrząc w oczy kamiennym aniołom, które strzegą mostu, Camano słucha. FBI odnalazła zwłoki czterech młodych kobiet, zamordowanych w okolicach Hattiesburga w Maine: Mary-Jane Barko, Patricii Gray, Sandy Clarks i Dorothy Braxton, czterech sióstr z Kongregacji Cudów, które Camano wysłał przed kilkoma tygodniami do Stanów Zjednoczonych, aby podjęły śledztwo w sprawie zabójstw pustelnic.

–To wszystko?

–Nie, Eminencjo. FBI zdołało zabić mordercę. To zakonnik, zamknąwszy oczy, Camano prosi protonotariusza o opisanie schematu zbrodni. Czuje szybsze bicie serca. Podobnie jak pustelnice, których losy miały ustalić, młode siostry były torturowane i konały na krzyżu, z wypalonym na piersi napisem INRI.

Kardynał rozłączył się. Na próżno usiłował wyzbyć się słodko-gorzkiego smaku, smaku krwi w ustach. Teraz nie ma już wyboru. Musi jak najszybciej powiadomić Jego Świątobliwość, że spełnia się jedna z najstraszliwszych przepowiedni w dziejach

Kościola. I to na kilka godzin przed rozpoczęciem Soboru Bkańskiego III! Kilka tygodni temu wezwano setki kardłów i biskupów na jedno z największych zgromadzeń chrześcijaństwa, by wypowiedzieć się w sprawie dogmatów i

przyszłości Kościola. Setki kapłanów w czerwonych sutannach przybywały już z całego świata, wypełniając plac Świętego Piotra i korytarze Watykanu.

Camano dyskretnie skinął na limuzynę, która jechała w ślad za nim. Zanim wsiadł, spojrzął jeszcze na archanioła Michała, strzegącego forticy papieży. W świetle wschodzącego słońca włócznia w dłoni pierwszego rycerza Boga wygląda, jak zanurzona w kadzi świeżej krwi. Kardynał nie może sobie pozwolić na powątpiewanie.

Podtrzymywana przez Bannermana Parks mruży oczy w jaskrawym świetle jarzeniówek. Osłonięte prześcieradłem ciało Kaleba leży na stole sekcyjnym, a doktor Mancuzo i Stanton, dwaj najlepsi koronerzy FBI, szykują się do pracy. Marie pracowała już z nimi nad kilkoma sprawami, gdy okazało się, że lekarze sądowi nie potrafią wydobyć niczego ze zmarłych. Dzięki Mancuzowi i Stantonowi dziesiątki seryjnych zabójców spały teraz w więzieniu albo w zaplombowanych trumnach. A wszystko wyłącznie na podstawie badania narządów wewnętrznych i analiz krwi. Tajemnice hormonów, sekrety komórek...

Podczas gdy Mancuzo wkładał kombinezon, maskę chirurgiczną i okulary z pleksiglasu, Stanton odkrył zwłoki Kaleba. Parks drgnęła, patrząc na zmasakrowaną przez kule snajperów twarz tego, który chciał ją zabić. Rana wylotowa wybiła prawe oko, inna kula roztrzaskała skroń. Pocisk dużego kalibru w potylicy wgniół czaszkę, powodując jej pęknięcie. Dwie kule, wystrzelone z bliska, ugodziły Kaleba tuż nad uchem i zmiażdżyły mu szczęki. Właściwie w tej twarzy można było rozpoznać tylko niebieskie oko, część czoła, jeden policzek, połowę nosa. Reszta przemieniła się w krwawą miazgę ciała, z którego sterczały odłamki kości i zębów. Kaleb był niższy niż jej się wydawało. I bardziej krępy. Mięśnie miał zwarte jak węzły, nogi drwała, ramiona robotnika, który dzień w dzień przerzuca łopatą tony ziemi, tors kowala. Tylko

lata ciężkiej pracy mogły stworzyć człowieka o tak niesamowitej sile.

Spojrzenie Marie przesuwają się po ciele Kaleba. Jego członek leży na czarnym zaroście podbrzusza. To kawał mięsa, tak gruby, że Marie zapiera dech w piersi. Nawet po śmierci Kaleb jest uosobieniem brutalności. Lecz nie tylko ciało ogra i penis gwałciciela przerażają Parks. Jest jeszcze coś, co nie pasuje. Coś tak oczywistego, że Marie trudno to dostrzec. I dopiero gdy jej oczy skupiają się na skórze mordercy, zaczyna rozumieć, że Kaleb się starzeje. Zaczyna się, Marie, znowu bredzisz. A jednak... Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że zwłoki Kaleba rozkładają się szybciej od innych. Ale jeśli przyjrzeć się uważniej, widać, że jego skóra wiotczeje i zaczyna schnąć, jak źle utrzymywana sakwa.

Marie przypatruje się dłoniom Kaleba, dłoniom, które doskonale zna, bo widziała je z bliska, kiedy przybijały ją do krzyża. Wydaje się, że paznokcie mordercy urosły, jak u trupów, które ekshumuje się po kilku miesiącach od złożenia w grobie. Drży i zagryza usta-jest pewna, że pierś zmarłego poruszyła się. To był niemal niezauważalny ruch. Zamiera, widząc, jak ręka mordercy z lekka się uniosła. – Wszystko w porządku, Marie? Podskakuje, czując, jak palce Bannermana zaciskają się na jej ramieniu. Otwiera oczy. Ręka Kaleba opadła na stalowy stół. Jego klatka piersiowa wydaje się nieruchoma. Mój Boże, Kaleb nie umarł...

Wchodząc do głównego skrzydła pałacu papieskiego, kardynał Camano ścisną wiotką dłoń monsignora Dominici, osobistego sekretarza i spowiednika Ojca Świętego. Monsignore wykrzywia się z bólu, bo ręka kardynała miażdży mu kości. Camano patrzy prosto w jasnopiwe oczy spowiednika. Najbardziej znienawidzonym człowiekiem nie jest w Watykanie ani papież, ani żaden z kardynałów wszechwładnej Kurii, ale ten spasiony karzeł, który wysłuchuje najskrytszych wyznań głowy Kościoła.

Camano zwalnia uścisk i uśmiecha się do Dominiciego bladym, pozbawionym radości uśmiechem.

–I cóż, monsignore, jak miewa się dziś Jego Świątobliwość?

–Papież jest zatroskany, Wasza Eminencjo. Proszę ująć sprawy jak najkrócej, bo przecież to schorowany, zmęczony starzec.

–Podobnie jak Bóg. Mimo to wciąż sprawuje władzę.

–To nie zmienia faktu, że obawiam się o jego zdrowie i że będę się opowiadał za odciążeniem jego kalendarza.

–W trakcie soboru i w obliczu problemów, z którymi przyszło nam się zmierzyć? To jakby żądać od kapitana okrętu, by udał się do kajuty i odpoczął, gdy woda wdziera się pod podkład.

–Eminencjo, chyba się nie zrozumieliśmy. Jego Świątobliwość to starszy człowiek, który nie może już brać na siebie tylu obowiązków, ile wypełniał w pierwszych latach pontyfikatu. Camano tłumi ziewnięcie.

–Nudzi mnie ta rozmowa, Dominici. Z papieżami jest jak ze starymi samochodami – używa się ich, dopóki się da, a kiedy wysiadają, kupuje się nowe. Może ojciec wspierać go duchowo, jeśli mu to pomaga, resztę proszę jednak zostawić kardynałom i Kurii.

Camano odszedł, pozostawiając osłupiałego spowiednika, i skinął głową szwajcarom, którzy podnieśli halabardy. Zamknąwszy za sobą drzwi apartamentów papieskich, od razu zwrócił uwagę na niezwykle spokój tego miejsca, jeszcze tonącego w mroku. Słońce, które wschodziło nad placem Świętego Piotra, przedzierało się przez ciężkie zasłony z czerwonego weluru. Stojąc w półcieniu, przy oknie, Jego Świątobliwość rozkoszował się tą chwilą gdy dachy Watykanu wyłaniały się z mroku. Dominici miał trochę racji – papież jest u kresu sił.

Camano przystanął, gdy parkiet zaskrzypiał pod jego nogami. Ramiona papieża lekko drgnęły, jakby właśnie wyczuł jego obecność. Camano zobaczył, że bierze głęboki oddech, a potem usłyszał schrypnięty, starczy głos.

–Powiedz, Oscarze, czy ciągle tak lubisz jasny tytoń z Wirginii?

–Jaka szkoda, że to nie grzech, Wasza Świątobliwość. Cisza. Papież odwraca się z wolna. Patrząc na jego pomarszczoną, poważną twarz, Camano ma wrażenie, że w ciągu jednej nocy przybyło mu dziesięć lat.

–Jakie masz dziś dla mnie wiadomości, przyjacielu?

–Najpierw pomówmy o zdrowiu Waszej Świątobliwości.

- O czym tu mówić? Jestem stary, wkrótce umrę i chciałbym się wreszcie dowiedzieć, czy Bóg istnieje.**
- Wasza Świątobliwość, jak można w to wątpić?**
- Przychodzi mi to równie łatwo, jak wiara w Niego. Albowiem Bóg jest jedyną istotą, która nie musi istnieć, żeby panować.**
- Święty Augustyn?**
- Nie, Baudelaire. Milczenie. Camano dyskretnie chrząka.**
- A wieści nie są dobre, Wasza Świątobliwość. Cuda i przejawy satanizmu mnożą się na całym świecie.**
- Czy mają coś wspólnego z przepowiedniami?**
- W ciągu kilku ostatnich miesięcy zamordowano wiele sióstr pustelnic, a cztery agentki Kongregacji Cudów, które wysłaliśmy do Stanów Zjednoczonych, odnaleziono ukrzyżowane. Prowadziły śledztwo w sprawie tych zabójstw.**
- I...?**
- FBI zdołało zabić sprawcę. To zakonnik, na którego przedramionach widniały satanistyczne znaki. Piekielne ognie wokół liter INRI. To symbol złodziei dusz.**
- Na Boga, co ty mówisz?**
- Camano podbiegł, by podtrzymać Ojca Świętego, który zachwiał się, jakby był bliski omdlenia. Wspierając się na ramieniu kardynała, starzec doszedł do łóżka i z trudem usiadł.**
- Czy Wasza Świątobliwość wie, dlaczego złodzieje dusz mordują pustelnice?**
- Oni... oni chcą odzyskać ewangelię, którą Kościół zagubił przed z górą siedmiuset laty.**
- Co zawiera ta ewangelia? Papież patrzył na niego posępnie, ale milczał.**
- Wasza Świątobliwość, muszę wiedzieć, z jakim przeciwnikiem mam do czynienia, aby móc z nim walczyć.**
- To bardzo stara historia.**
- Zamieniam się w słuch.**

Koroner Mancuzo mówi do mikrofonu połączanego z magnetofonem, który zamocował przy pasku. Zapala się zielona lampka. Kiedy błysnie czerwona, będzie wiedział, że taśma się skończyła. Stanton przygotowuje mikroskopy i wirówki, w zimnym pomieszczeniu rozbrzmiewa głos Mancuzo.

–Badanie post mortem zabójcy z Hattiesburga. Liberty Hall Hospital w Bostonie. Autopsji dokonują koronerzy Bart Mancuzo oraz Patrick Stanton na zlecenie szeryfa hrabstwa Hattiesburga i prokuratora generalnego stanu Massachusetts. Należy zaznaczyć, że Stuart Crossman, dyrektor FBI, polecił objąć śledztwo klauzulą tajności i uznać za sprawę federalną. W związku z tym nagranie winno zostać przepisane przez funkcjonariusza uprawnionego do udziału w sprawach utajnionych.

Mancuzo odkaszlnął, a w sali rozbrzmiał pełen powagi, dobitny głos Stanton.

–Celem autopsji nie jest ustalenie przyczyn śmierci, te bowiem nie budzą wątpliwości, ale zgromadzenie wszelkich danych, które mogą pomóc w identyfikacji osobnika oraz wyjaśnieniu motywów, jakimi się kierował, mordując ofiary. Trzask flesza i pisk baterii kończą tę frazę. Stanton fotografuje rany wylotowe po seriach strzałów oddanych w krypcie przez agentów FBI.

–Na zwłokach stwierdzono sześćdziesiąt siedem ran wlotowych i sześćdziesiąt trzy wylotowe, rozrzucone nierównomiernie po całym ciele. Większość tych ran spowodowały kule pod-dźwiękowe kalibru 9 mm oraz pociski bojowe kalibru 5,56, wystrzelone seriami z odległości około trzydziestu pięciu metrów. Pozostałe, skupione w półkulach mózgowych oraz pniu mózgu i rdzeniu, spowodowane zostały przez kule kalibru .45 magnum oraz 9 mm parabellum, wystrzelone z bliska, pojedynczo.

–Pociski jak na bizona – mruknął Mancuzo, wsuwając cały palec do dwóch ostatnich ran czaszki. – Ej, Parks, dlaczego twoi kumple nie załatwili go po prostu z bazooki? Parks przymyka oczy, słysząc dźwięki, jakie towarzyszą wsunięciu palców do ran głowy Kaleba. Koroner grzebie w otworach, a tymczasem Stanton przygotowuje narzędzia. Palce Mancuzo wysuwają się z rany po nieudanej próbie wydobycia pocisku, i koroner sięga po pęsetę, by dotrzeć dalej w głąb ciała. Po chwili w jaskrawym świetle błyska hartowany pocisk.

–OK, doktor Mancuzo i doktor Stanton zgodnie podejmują decyzję o rezygnacji z dalszych prac ustalających przyczyny śmierci i skupieniu się na drobiazgowej autopsji. Mancuzo i Stanton podświetlają ekrany, na których ich asystenci rozmieścili zdjęcia radiologiczne szkieletu i szczęki Kaleba. Zapewne z powodu drobnej awarii jeden z ekranów zaczyna migać, więc Stanton uderza lekko w szklaną powierzchnię. Lampa przez chwilę trzeszczy i rozpala się jasnym światłem. Głos Stanton:

–Analiza zdjęć rentgenowskich wykonanych o czwartej rano, pośmiertnie. Czaszka i uzębienie. W obszarach nieuszkodzonych przez kule dostrzegamy

znaczące ubytki i skrajne zaniedbanie higieny jamy ustnej. Ocalałe zęby nie były leczone ani plombowane, co nasuwa przypuszczenie, że denat nigdy nie przekroczył progu gabinetu stomatologicznego. Należy zwrócić uwagę na brak pęknięć i zaokrągleń, typowych dla osób spożywających twarde pokarmy, a także na słabe jak na mężczyznę tej postury umięśnienie szczęk. Oznacza to, że dieta denata była głównie wegetariańska. Manipulując haczykiem i pęsetą w ustach zmarłego, Mancuzo uzupełnia konstatację Stanton:

–Szkliwo jest matowe i spękane. Zębina miękka. Szyjki zębów obnażone i dziąsła cofnięte. Widoczne liczne owrzodzenia jamy ustnej, charakterystyczne dla długotrwałego niedoboru witaminy C.

Stanton z niedowierzaniem oświetla miejsce wskazane przez Mancuza palcem w dwóch rękawiczkach. Kontynuuje:

–Koroner Stanton potwierdza, że u denata widoczne są zmiany typowe dla skorbutu. W dzisiejszych czasach choroba ta występuje jedynie w krajach dotkniętych długotrwałymi i głębokimi klęskami głodu. Denat zapewne odżywiał się głównie bulwami, korzeniami i gotowanymi jarzynami. Dieta pozbawiona lub prawie pozbawiona owoców, a także mięsa. Kładąc rękę na mikrofonie, by przerwać nagranie, Mancuzo pyta półgłosem:

–Skorbut? A może jeszcze trąd, żebyśmy mieli nad czym dumać? Kiedy po raz ostatni rozpoznałeś skorbut u zmarłego w Stanach?

–Ten przypadek jest pierwszy w mojej karierze.

Drzwi papieskiego apartamentu uchylają się. Podłoga skrzypi. Pochylając się do ucha Jego Świątobliwości, jego sekretarz osobisty mówi szeptem, że przybyli już wszyscy kardynałowie i ceremonia otwarcia Soboru Watykańskiego III zacznie się zgodnie z planem o godzinie szesnastej. Papież kiwa głową i słabo porusza ręką. Sekretarz podaje mu karafkę z wodą na srebrnej tacy i wychodzi, zamykając za sobą drzwi. Dzwony bazyliki biją na Anioł Pański. Kiedy milkną, do apartamentów znów wdziera się daleki szmer – głosy turystów tłumnie zgromadzonych na placu Świętego Piotra. Camano i Jego Świątobliwość siedzą w skórzanych fotelach. Papież wychyla się w stronę rozmówcy.

–To, co ci teraz powiem, musi pozostać w tych czterech ścianach. Zwłaszcza podczas soboru, gdy tyle ciekawskich uszu nasłuchuje w watykańskich korytarzach. Czy to jasne?

–Tak, Wasza Świątobliwość.

Papież unosi karafkę, napełnia wodą dwie kryształowe szklanki i podaje jedną z nich kardynałowi, który stawia ją na niskim stoliku.

–Ta najpilniej skrywana tajemnica Kościoła zrodziła się w dniu śmierci Chrystusa. Pismo Święte potwierdza, że zanim oddał życie, konający Jezus zatracił święte wizje. Do tej chwili wystarczyło, by zaniknął oczy, a widział Raj i Aniołów Pańskich.

Lecz kiedy utracił ten dar, umierając, mógł ujrzyć ludzi takimi, jacy byli – zobaczył u swych stóp wyjący tłum, kordon Rzymian, którzy otoczyli krzyż, obelgi i plucie, i wtedy uświadomił sobie, że dla tej ludzkości umiera. Biblia mówi, że Chrystus wznosił oczy ku niebu, krzycząc: "Eloi, Eloi, lema sabachthani?".

–„Boże mój, czemuś mnie opuścił?”.

–To jego ostatnie słowa. Potem Chrystus wyzionął ducha. To wersja oficjalna. Cisza.

–W czym problem?

–Problem, kochany Oscarze, polega na tym, że znaleźliśmy wersję oficjalną, ale nikt nie wie dokładnie, co stało się z Chrystusem po śmierci.

–Nie rozumiem, Ojcze.

–Ewangelie podają, że Rzymianie oddali jego ciało uczniom, aby ci mogli go pochować zgodnie z nakazami religii żydowskiej w grobowcu zamkniętym głazem. Według tej oficjalnej wersji trzy dni po śmierci Chrystusa jego zwłoki zniknęły z tego grobu, choć nikt nie odsunął kamienia, który zamykał wejście. Potem

Chrystus zmartwychwstały objawił się apostołom. Przekazał im moc Ducha Świętego i wysłał aby nauczali narody.

–I?

–W Piśmie Świętym istnieje luka między chwilą śmierci Chrystusa na krzyżu a momentem, gdy uczniowie zastają otwarty

męka i wydanie na śmierć znajdują potwierdzenie w księgach lub tysiącach relacji naocznych świadków. Wszystko da się sprawdzić. Oprócz tych trzech dni. Otóż cała

nasza wiara opiera się właśnie na tym, co wydarzyło się w ciągu tych trzech dni. Jeśli Chrystus naprawdę zmartwychwstał, to my również zmartwychwstaniemy. Załóżmy jednak, że Chrystus nigdy nie powrócił z krainy zmarłych...

–Wasza Świątobliwość, co mówisz?!

–Załóżmy, że umarł na krzyżu, a te trzy dni to zmyślenia apostołów, którzy pragnęli, aby jego dzieło nie umarło i aby jego nauki trafiały do ludzi na całym świecie.

–Czy o tym opowiada ewangelia według Szatana?

–O tym i o innych sprawach. Cisza.

–To znaczy?

–Ta ewangelia mówi nie tylko, że Chrystus nie zmartwychwstał. Utrzymuje też, że gdy zatracił niebiańskie wizje, wyparł się na krzyżu Boga, a uczyniwszy to, przeistoczył się w Janusa, wyjąca bestię, którą Rzymianie dobili, gruchocząc mu kończyny. Jezus, syn Boga, i Janus, syn Szatana.

–Wasza Świątobliwość chce powiedzieć, że tego dnia zwyciężył Szatan? Papież spojrział na niego posepnie.

–Ależ, Ojciec Święty, nie po raz pierwszy mamy do czynienia z takimi herezjami. Podobnych ewangelii powstały już setki, a pojawią się kolejne. Wystarczy temu zaprzeczyć i zmobilizować armię uczonych, by poparli naszą sprawę. Wspólnota chrześcijan wierzy przede wszystkim w papieża, dopiero potem w Boga. Jeżeli Ojciec Święty mówi, że coś jest prawdą, to jest to prawdą. Zawsze tak się działo i nie ma powodu, żeby teraz było inaczej.

–Nie, Oscarze, tym razem sprawa jest poważniejsza.

Opierając się na zdjęciach rentgenowskich, koronerzy Mancuzo i Stanton poddają szczegółowemu badaniu szkielet Kaleba. Nieco flegmatyczny głos Mancuza podsumowuje to, co obaj lekarze ustalają w prowadzonych półgłosem rozmowach:

–U denata widoczne są liczne blizny i ślady dawnych urazów kostnych, które leczono prymitywnymi metodami, o czym świadczą nieregularne zgrubienia wokół złamań. Mamy najprawdopodobniej do czynienia z osobnikiem w wieku czterdziestu lat biologicznych, przedwcześnie postarzałym ze wewnątrz z powodu zaniedbania, które doprowadziło do wycieńczenia organizmu. Być może to włóczęga, który dawno zerwał więzi ze współczesnym społeczeństwem. Dlatego należałoby się skupić w śledztwie na marginesie społecznym wielkich miast, a także na włóczęgach z wiejskich terenów stanów Maine i Massachusetts. Coś jeszcze?

–Owszem. Kaleb się starzeje.

Mancuzo i Stanton drgnęli, słysząc głos Parks. Mancuzo przerwał nagrywanie.

–Mówiłaś coś, Parks?

–Kiedy byłam z nim w krypcie, wyglądał na najwyżej trzydziestoletniego osiłka.

–Myślałam, że nie widziałaś jego twarzy?

–Ale widziałam ręce.

–Co masz na myśli? Że przybyło mu dziesięć lat, kiedy leżał w chłodni?

–Owszem, właśnie to miałam na myśli. Mancuzo położył rękę na ramieniu Parks i przytulił ją.

–Już dobrze, słoneczko. Przybił cię do krzyża, potem przeleżałaś tydzień na intensywnej terapii, a teraz jesteś przekonana, że świat jest paskudny, że zabije nas broń jądrowa i że Giantsi nie zagrają w kolejnym Superbowlu. I wcale się nie dziwię. Dlatego coś ci zaproponuję – dokończę sekcję zgodnie z zasadami nauki, opierając się na obserwacji i analizie. I jeżeli ten gość naprawdę się starzeje, postawię ci kolację w najlepszej restauracji, a potem odprowadzę cię do domu i nawet nie spróbuję cię przelecieć. Zwracając się do Stanton, dodał:

–Ej, Stanton, masz ochotę pokroić dziś jakiegoś cholernego ducha?

–Do pioruna! Trup, który wykituje ze starości, jeżeli nic nie zrobimy, pewnie, że mam ochotę! A potem Stanton, już poważnie, mówi do mikrofonu:

–Zakończono badania radiologiczne. Kontynuujemy. Uzbrojeni w podświetlane szkła powiększające, koronerzy oglądają skórę Kaleba. Mancuzo mówi:

–Denat ma zmiany skórne typowe dla włóczęgów – świerzb, grzybicę, liszajec, blizny po źle leczonej ospie wietrznej i prawdziwej. Epiderma jest zniszczona.

Odnotujemy także rytualne okaleczenia na przedramionach: rany cięte wykonane ostrym narzędziem, a następnie wypełnione trwałym tuszem. Rysunek wyobraża płomień otaczający czerwony krzyż wznoszący się nad stosem. Blisko stawu, tam, gdzie zbiegają się linie

otaczające krzyż, płomień wiją się i tworzą słowo, a raczej skrótowiec. I... N...

R... I.

-To titulus.

-Co?

Gdy Mancuzo zwrócił spojrzenie na Parks, wydało mu się, że jej oczy się powiększyły, jakby zahipnotyzowały ją te leżące na stole zwłoki, w które uporczywie się wpatrywała. Kiedy Marie wreszcie przemówiła, każde padające z jej ust słowo układało się w obłok pary w lodowatym powietrzu.

-Titulus. To taka tabliczka, którą zawieszano na szyjach niewolników na rzymskim targu albo przybijano nad ukrzyżowanymi, żeby wszyscy wiedzieli, czym zasłużyli sobie na taką karę.

-A INRI?

-To titulus, który Poncjusz Piłat kazał umieścić nad głową Chrystusa, w języku łacińskim, greckim i po hebrajsku, aby mieć pewność, że każdy będzie mógł odczytać napis. INRI skrót łacińskiego tekstu. Ponieważ łacina nie знаła litery J, titulus znaczył "Iesus Nazarenus Rex Iudaeorum", „Jezus Nazarejczyk, Król Żydowski”.

-Nauczyłaś się tego wszystkiego na religii?

-Nie, mam licencjat z historii religii.

-A płomień otaczający czerwony krzyż, to twoim zdaniem co?

-Ogień Piekielny.

-Słucham?

-Taki rysunek na aramejskim grobie oznaczał, że spoczywający w nim zmarły jest potępiony i że nie wolno pod żadnym pozorem otwierać grobu, to mogłoby bowiem spowodować uwolnienie ducha zmarłego, który będzie nękał ludzi.

-Jeżeli dobrze zrozumiałem, okaleczenia ciała oznaczałyby, że...

-...Jezus Chrystus jest w Piekle.

–Jak poważna, Wasza Świątobliwość?

Papież pograżył się na chwilę w zadumie i tylko tykanie zegara zakłócało ciszę. Potem Ojciec Święty przemówił szeptem tak cicho, że Camano musiał się pochylić, by go usłyszeć.

–Ewangelia według Szatana głosi, że po śmierci Chrystusa uczniowie, którzy byli świadkami wyparcia się przez niego Boga, zamordowali Rzymian strzegących krzyża. Potem zabrali ciało Janusa, by pochować je w grocie na północy Galilei. Z tego co wiemy, kruszyli skałę grotę, w której się skryli, i w tej skale złożyli zwłoki Janusa, a następnie zamurowali jamę. Na ścianie tego grobu wyryli czerwony krzyż w ognistym kręgu, a nad nim święty skrót INRJ.

–Skąd ten tytuł Chrystusa, skoro pogrzebali Janusa?

–Dla Rzymian oznaczał "Iesus Nazarenus Rex Iudaeorum" „Jezus Nazarejczyk, Król Żydowski", ale dla świadków wyparcia oznaczał „Janus Nazarenus Rex Infernorum", co można przetłumaczyć: "Janus Nazarejczyk, Król Piekła". Camano poczuł zawrót głowy. Głos papieża unosił się gdzieś daleko w pokoju.

–To w tych grotach uczniowie Janusa spisywali swe ewangelie, kolejno relacjonując to, co widzieli tego dnia. Potem, ścigani przez Rzymian, ruszyli do Azji Mniejszej i osiedli w monasterze, w grotach gór Kapadocji. Stamtąd rozsyłali misjonarzy, by głosili herezje na całej ziemi. Wiemy, że z czasem sekta zniknęła, zapewne wybita przez zarazę.

–A ewangelia?

Papież ciężko dźwignął się z fotela i podszedł do kotar osłaniających okno. Odsunął jedną z nich, żeby przez chwilę obserwować ruchliwy tłum turystów na placu.

–W roku 452, kiedy Hunowie zagrozili Rzymowi, papież Leon Wielki spotkał się z Attylą na wzgórzach Mantui. Zaoferował mu dwanaście wozów złota za pokój. Attyła przyjął propozycję, a na znak szacunku wręczył papieżowi manuskrypty i pergaminy, które jego wojownicy znaleźli, grabiąc monastery w Azji Mniejszej. Leon Wielki zabrał ten niezwykle dar do Rzymu, a tam zamknął się z pismami w swych apartamentach i wyszedł z nich dopiero po tygodniu, błądy i wychudzony. Natrafił na bardzo stare dzieło, wielce przebiegłe, na którego skórzanej oprawie umieszczono pięcioramienną gwiazdę, otaczającą demona o łbie kozła. Teraz wiemy, że była to ewangelia według Szatana, którą Hunowie odnaleźli pośród zwłok członków kapadockiej sekty. Manuskrypt jest tak mroczny, ziejący złem, że przerażony Leon Wielki postanowił go ukryć jak najdalej od ludzkich oczu. Cisza.

–Dlatego powołał dwa ściśle tajne zakony, które przetrwały do dziś – zakon rycerzy archiwistów, któremu powierzył misję przemierzania Imperium w poszukiwaniu zwojów i ksiąg i przewożenia ich w bezpieczne miejsce, oraz nieznanego światu zakonu

pustelnic, które zamieszkały w wysokogórskim klasztorze. To im powierzył troskę, o przechowanie tych pism i studiowanie ich w ścisłej tajemnicy. Potem rozkazał wywieźć ewangelię według Szatana na wielką Pustynię Syryjską, by nie wpadła w ręce barbarzyńców. Kilka lat później archiwistów wysłanych w tę misję bez powrotu zdziesiątkowała ta sama choroba, która wyniszczyła uczniów Janusa. Ewangelia popadła w zapomnienie.

Papież z wysiłkiem przeszedł od okna do fotela i usiadł. Kiedy znów się odezwał, kardynał zauważył, jak bardzo jest wyczerpany.

–Upłynęło siedemset lat, a zakon archiwistów niezmiernie przemierzał Europę, by ratować skarby myśli ludzkiej przed barbarzyńskimi hordami, które atakowały świat chrześcijański. Bezценne manuskrypty odnajdowano w ruinach klasztorów, zniszczone pergaminy poniewierały się w zgłiszczach miast, papiirusy czekały na ratunek przed ogniem. Tyle dzieł, które przewożono nocami do ufortyfikowanych klasztorów na szczytach gór, gdzie pustelnice naprawiały zniszczone oprawy i przy świecach kopiowały cenne inkunabuły, poczerniały w ogniu, by następnie ukryć je w swych bibliotekach. Po chwili milczenia podjął:

–Przez cały ten czas ewangelia według Szatana, zapomniana przez ludzi, drzemała w piaskach pustyni. W roku 1104 odnalazła ją awangarda pierwszej krucjaty. Przywieziono ją do Akki i ukryto w skalnym schowku. Niestety, Akka wpadła w ręce wroga i trzeba było czekać do trzeciej wyprawy Ryszarda Lwie Serce, by sztandary Chrystusa znów załopotwały nad murami miasta. Jest rok 1191. Akka padła po wielu miesiącach

oblężenia. Lwie Serce, pragnąc jak najszybciej ruszyć na Jaffę i Askalon, pozostawił miasto templariuszom, a ci je przetrząsnęli. Robert de Sabie, wielki mistrz zakonu, odnalazł przypadkiem ewangelię w podziemiach twierdzy.

Zęby papieża szczękały, gdy popijał wodę. Skrzywił się. Woda miała ziemisty smak. Czuł, jak spływa mu po przetyku. Ogarnęła go fala nudności. Odstawił szklanekę i ciągnął.

–Wiemy, że Sabie otworzył ewangelię i że odkrył coś, co wykorzystał, żeby wzbogacić zakon, kupcząc z Demonem. Po części dzięki temu manuskryptowi potęga Świętyni wyrosła nad królów, a bogactwo nad Kościół. Ale w roku 1291 ostateczny upadek Akki wyznaczył kres wypraw krzyżowych i przesądził o utracie Ziemi Świętej. Cisza.

–Przez całe lata templariusze, którzy znaleźli schronienie we Francji, przenikali do Watykanu przekupując kardynałów z otoczenia papieża. Ich celem było przejęcie kontroli nad konklawe, aby wybrać papieża wiernego kultowi Janusa, takiego, który ujawniłby światu wyparcie się Jezusa na krzyżu. Taki kataklizm pograżyłby Zachód w chaosie, a w efekcie doprowadziłby do upadku Kościoła i rozbicia królestw. Wobec śmiertelnego zagrożenia wiary emisariusze Rzymu spotkali się z wysłannikami króla Francji w zamku na szwajcarskim odludziu. Umowa

zawarta w wyniku tych rozmów głosiła, że król zobowiązuje się oddać papieżowi

ewangelię według Szatana. W zamian Jego Świątobliwość zrzekał się praw do bajecznego skarbu templariuszy. Następnie, o świcie 13 października 1307 roku wszyscy templariusze we Francji zostali pojmani i uwięzieni. Tej samej nocy szpiegdy króla Francji w Watykanie wymordowali biskupów, którzy przyjęli przeklętą regułę zakonu. Pozostało tylko kilku, bo ich przynależność do zakonu nie została ujawniona. Działając skrycie, ci kardynałowie, należący do grona najpotężniejszych, założyli tajne bractwo, zwane Czarnym Dymem Szatana.

–Dobrze się czujesz, Parks?

Z trudem odrywając spojrzenie od zwłok, Parks zwróciła podkrążone oczy na Mancuza.

–Słucham?

–Pytam, czy dobrze się czujesz. Jesteś bardzo blada.

–Nie, Mancuzo, nic mi nie jest.

–Może lepiej idź sobie kupić kanapki.

–Dla mnie z pieczenia na zimno i majonezem.

–Zamknij się, Stanton!

–Przecież to nie ja wysyłam ją po żarcie, kiedy bierzemy się do krojenia jej wielbiciela. Po chwili spokojny głos Stantonowi mówi do mikrofonu:

–OK, przechodzimy do badania narządów wewnętrznych. Czarnym flamastrem Mancuzo wyznaczył na torsie Kaleba linię, która ma posłużyć Stantonowi za punkt odniesienia, gdy wprowadza między czwarte i piąte żebro długą, skośnie ściętą igłę. Marie patrzy zafascynowana, jak ostrze przebija opłucną i znika w klatce piersiowej. Gdy igła zagłębiła się na trzy czwarte długości, Stanton oznajmił, że dotarł do osierdzia.

–Wykonujemy punkcję w celu pobrania dziesięciu centymetrów sześciennych krwi komorowej. Dłoń koronera zatrzymuje się, a potem wprawnym ruchem podnosi tłok strzykawki, czyniąc to tak, by skompensować brak ciśnienia krwi. Strzykawka wypełnia się brązowym płynem, który Stanton umieszcza w czterech próbkach z siarczkiem sodowym, neutralizującym wytwarzanie się alkoholu w procesie rozkładu. W tym czasie Mancuzo pobiera próbki krwi z aorty, żyły głównej górnej i ramienia, aby je porównać. Następnie Stanton uruchamia wirówkę, a Mancuzo wkłada sięgające łokcia gumowe rękawice. Wytycza na klatce piersiowej Kaleba czerwoną linię, a potem sięga po nóż chirurgiczny i otwiera zwłoki, obnażając kości. Następnie, posługując się okrągłą piłą, której zgrzyt wypełnia salę, starannie rozcina kości klatki piersiowej Kaleba. Drobnie okruchy pryskają na jego okulary, gdy ostrze zmaga się z ostatnim stawiającym opór punktem. Głuchy trzask – ostrze obraca się gwałtownie w powietrzu. Klatka piersiowa Kaleba

otwiera się, bucha z niej silna woń rozkładu.

Aby zwalczyć mdłości, Mancuzo nanosi sobie warstewkę maści mentolowej pod nos i pochyla się nad ciałem. Spoglądając z niedowierzaniem na Marie, która bacznie obserwuje przebieg sekcji, kontynuuje nagrywanie, ale jego głos nie jest już tak spokojny.

–OK, koroner Mancuzo przejmuje pałeczkę. Stwierdzamy silną degradację tkankową i zaawansowany rozkład organiczny. Główne organy są jeszcze nienaruszone, ale trzewia wydają się ulegać przyspieszonemu rozkładowi. Jakby ciało znalazło się w nietypowym środowisku, a tkanki uległy rozkładowi pod wpływem tlenu. Oględziny skóry denata wykazującej

zwiotczenie i wędnięcie. Dostrzegamy także anormalny wzrost paznokci oraz włosów. Obraz kliniczny przypomina proces mumifikacji, z jakim spotykamy się, gdy zwłoki nie podlegają gniciu, pozostając w środowisku gorącym i suchym – szybka degradacja tkanek miękkich oraz parowanie płynów organicznych i wysuszenie narządów. Podsumowując, gdybym miał określić czas zgonu wyłącznie na podstawie stanu zwłok i zaawansowania rozkładu wewnętrznego, powiedziałbym, że denat zmarł ponad... pół roku temu.

Słyszając te słowa Parks, zatoczyła się pod wpływem nagłego zawrotu głowy, a stojący obok niej Bannerman wytrzeszczył szkliste oczy człowieka bliskiego torsji. Podczas gdy Mancuzo wycierał piłę i wkładał ją do etui, Stanton umieścił dwa stalowe rozszerzacze, żeby rozsunąć otwór w klatce piersiowej Kaleba. Żebra zmarłego zgrzytały, przemieszczając się pod naporem narzędzia. Kiedy Stanton uznał, że odsłonił wystarczającą powierzchnię, zablokował rozszerzacze i ustąpił miejsca Mancuzowi, którego palce zanurzyły się w ciele, by wydobyć płuca. Zrobił kilka nacięć i położył płuca na metalowym stole. Rozciął je skalpelem i ostrożnie rozdzielił płaty. Znowu powiedział do mikrofonu.

–Oględziny powierzchni płucnej denata. Nastąpił częściowy rozkład narządów oddechowych. Widoczne pęcherzyki płucne są stosunkowo czyste i szerokie, ale doszło do znaczących zaników u podstawy płuc, co świadczy o chronicznej i zaawansowanej niewydolności oddechowej. Poświadczają to zdjęcia rentgenowskie. Denat z pewnością był astmatykiem. Uwagę zwraca całkowity brak zanieczyszczeń chemicznych, typowych wśród nowoczesnych społeczeństw, substancji smolistych występujących w spalinach. Potwierdzają to wyniki badań radiologicznych. Badanie ścianek wskazuje, że denat nigdy nie paliła i nie przebywał wśród palaczy. Widoczne są jednak złogi węglowe oraz ślady sadzy, jakby wdychał dym spalonego drewna i to przez wiele lat. Dostrzegamy też specyficzne blizny występujące współcześnie tylko u członków wyizolowanych plemion z Amazonii i Borneo, a także w zakątkach odciętych od świata, gdzie drewno jest jedynym dostępnym źródłem ciepła. Denat niewątpliwie jest przedstawicielem społeczności prymitywnej. Za taką hipotezą przemawiają również liczne zrosty i zwapnienia płuc. To z pewnością zmiany po przejściu nieleczonych albo źle leczonych chorób, jakby denat nie miał dostępu do nowoczesnej medycyny. Teza włóczęgotwa wydaje się więc wątpliwa, zwłaszcza że na ogół nie rodzimy się jako włóczędzy.

Zakończywszy badanie, Mancuzo dokładnie złożył płaty płucne i dołączył do Stanton, który nacinał nieokaleczone oko Kaleba. Marie zrobiło się niedobrze, kiedy zobaczyła, jak gałka oczna się spłaszcza, a ostrze skalpela rozcina soczewkę. Stanton pobrał skrawek rogówki i umieścił pod mikroskopem, ustawiając go na maksymalne powiększenie. Po chwili cicho gwizdnął. Dał znak Mancuzowi, który spojrzał w mikroskop.

–Widzisz to, co ja?

Nie tracąc czasu na odpowiedź, Mancuzo dmuchnął w mikrofon, by wznowić nagrywanie. Otarł strużkę potu z czoła.

–Przeprowadzamy badanie rogówki oka zabójcy z Hattiesburga. Wycinek charakteryzuje się anormalną koncentracją ko mórek z jądrem pałeczkowatym wyspecjalizowanym w widzeniu nocnym. Komórki czopkowe, czyli komórki widzenia dziennego, są nieliczne i słabo wykształcone. Pozwala to przypuszczać, że denat spędził większość życia w ciemnościach i jego oczy zdążyły się zaadaptować do braku światła. Można zaryzykować stwierdzenie, że był praktycznie ślepy w świetle dziennym i wystawiał się na jego działanie tylko, gdy było to konieczne.

Niepewny głos Bannermana przerwał monolog koronera.

–Czy chce pan przez to powiedzieć, że był jakby... wampirem?

–Nie, szeryfie. Po prostu żył w ukryciu, być może pod ziemią, i wychodził wyłącznie nocą. Ten facet zaczynał widzieć o zmierzchu. Trochę jak Indianie Chiacahua znad Orinoko. To plemię żyje w sercu dżungli. Podróżnicy odkryli je dopiero w roku 1930. Chiacahua żyli głęboko w lesie, gdzie przez korony drzew przenikały śladowe ilości światła. Zaobserwowano, że większość Indian z tego plemienia nie posługiwała się wzrokiem. Ich soczewki mętniały. Tę cechę przekazywano potomstwu, toteż większość dzieci przychodziła na świat ze zdolnością widzenia w ciemności. To oczy nocy.

–Co dalej, Wasza Świątobliwość? Co się wydarzyło? Papież długo milczy. Już od z górą godziny snuje opowieść i Camano obawia się, że nie wystarczy mu sił, by doprowadzić ją do końca. Po chwili milczenia zapatrzony w dal starzec podejmuje:

–Nazajutrz po aresztowaniu templariuszy i wydaniu na śmierć kardynałów, którzy przyjęli kult Janusa, ewangelia według Szatana została odesłana pod silną eskortą do klasztoru Matki Bożej z Cervin. Tam pustelnice studiowały ją przez z górą czterdzieści lat, aż do 1348, kiedy wybuchła epidemia dżumy. Nocą 13 na 14 stycznia tego straszliwego roku, wykorzystując chaos, w jakim klęska pogrążyła wsie, mnisi bez własnego zakonu i bez Boga w duszy napadli na klasztor i wymordowali pustelnice. Dziś wiemy, że przybyli po ewangelię według Szatana.

–Złodzieje dusz? To byli oni?

–Tak. Są zbrojnym ramieniem kardynałów Czarnego Dymu. Zapewne potomkowie templariuszy, którzy przeżyli likwidację zakonu. Milczenie.

–A ewangelia?

–Wiemy, że tej nocy, gdy odbyła się rzeź kongregacji z Cervin, stara mniszka zdołała uciec z manuskrypcem. Wiemy także, że przeszła część Alp i zdołała dotrzeć do zagubionego w Dolomitach klasztoru augustianek. Tam urywa się jej ślad. Nie wiemy, co się stało z ewangelią. Już nigdy nikt o niej nie słyszał.

–I z tego powodu od wieków pustelnice padają ofiarą mordów?

–Tak. Kardynałowie Czarnego Dymu z pewnością sądzą, że Kościół odzyskał ewangelię i że papież znowu powierzył ją pustelnicom. W czasach, kiedy jej strzegły, zdążyły skopiować fragmenty tekstu, te zaś, z woli moich dawnych poprzedników, trafiły do różnych klasztorów tego zakonu w Europie, a następnie w Afryce i Ameryce, gdy te kontynenty były chryścianizowane. Ale ani odległości, ani czas nigdy nie stanowiły przeszkody dla złodziei dusz i zabójstwa wciąż się powtarzały. Aż do dziś.

–Wasza Świątobliwość chce powiedzieć, że Czarny Dym Szatana nadal istnieje i umacnia się w Watykanie? Papież wolno skinął głową.

–Ostatnie zabójstwa wydarzyły się około roku 1900. Myśleliśmy, że to już koniec. Ale przepowiednia znów zaczyna się sprawdzać. Zaraza i morderstwa. Mamy nadzieję, że to umarło, a jednak wraca. Wciąż wraca. Cisza.

–Ojcze Święty, czegoś jeszcze nie rozumiem.

–Czego?

–Jak wyjaśnić taki upór i zaciekłość Czarnego Dymu w poszukiwaniu starej księgi, która sama przez się niczego nie dowodzi?

Papież dźwignął się ciężko z fotela i podszedł do sejfu, w którym przechowywał ściśle tajne dokumenty.

–Po przeczytaniu ewangelii w podziemiach Akki Robert de Sabie wysłał templariuszy do północnej Galilei, gdzie według manuskryptu tysiąc lat wcześniej uczniowie wyparcia pochowali doczesne szczątki Janusa.

–I...? Camano usłyszał zgrzyt masywnych, stalowych drzwi. Potem papież wrócił, niosąc welurowe etui. Podał je kardynałowi. Camano rozwiązał

otaczający je sznur. Ujrzał osmolone w ogniu szczątki kości piszczelowej. Czuł, jak ściska mu się serce, kiedy papież podjął opowieść.

–To szczątki szkieletu odnalezionego przez templariuszy we wspomnianych grotach. Nosił on wszelkie stygmaty Męki Chrystusa, a także liczne złamania, do jakich doszło, gdy Rzymianie kijami bili Janusa po rękach i nogach, aby przyspieszyć jego zgon. Szkielet doskonale się zachował w suchej grocie, na czaszce pozostała korona cierniowa.

–Boże...

–Ty to powiedziałeś.

–Czy to wszystko, co pozostało z tego... Janusa?

–Tylko tyle zdołaliśmy ocalić po rzezi pustelnic z Cervin, które strzegły i ewangelii, i tych szczątków. Jeden z inkwizytorów prowadzących wówczas śledztwo w sprawie zbrodni odnalazł te kości w kominku klasztoru. Sądzimy, że pustelnice zdążyły zniszczyć resztę, by relikwie nie dostały się w ręce złodziei dusz. Wyjątek stanowi tylko czaszka Janusa, którą przełożona nieszczęsnego zakonu wyniosła, uciekając z ewangelią Szatana.

–Domyślam się, że wiek tych szczątków został ustalony.

–Analizy wykonano wielokrotnie.

–Z jakim wynikiem?

–Ponad wszelką wątpliwość pochodzą od człowieka zmarłego za czasów Chrystusa.

–Nie dowodzi to jednak, że to on. Papież zwiesił głowę i milczał. Jego ręce drżały.

–Wasza Świątobliwość, czy dowiedziono, że to fragment szkieletu Chrystusa? Papież wolno uniósł głowę. W jego oczach lśniły łzy.

–Ojcze Święty, bez względu na powagę i znaczenie tego, co ma Ojciec do wyjawienia, ja muszę poznać prawdę.

Pochylony nad zwłokami Stanton naciął ścianę żołądka i zanurzył palce w zgniętej mazi wypełniającej worek. Sprawdził pH płynu za pomocą paska testującego i pobrał kilka gramów rozkładającej się substancji, by nanieść ją na szkiełko i obejrzeć pod mikroskopem.

–Przeprowadzamy badanie gładkiej kieszonki ściany żołądka.

Stwierdzamy obecność jagód i korzeni, a także resztek chudego mięsa i bulw pieczonych na ogniu. Denat odżywia się skromnie i prymitywnie. Zauważalne także włókna bobu i bulw ziemniaka oraz ślady skrobi i...

Twarz Mancuza stała się blada jak wosk, jego ręka zastygła na mikroskopie.

–O cholera, Mancuzo, spójrz na to! Zajmując jego miejsce przy mikroskopie, Mancuzo obejrzał powiększenie wybrane przez kolegę. Jego głos narasta, gdy mówi do mikrofonu:

–Widzę włókna protein i charakterystyczne fragmenty DNA. Potwierdzam obecność mięśni i wnętrzności ludzkich w treści żołądka.

–Do diabła, niezły kannibal z tego wegetarianina...

–To nie wszystko.

–Co znowu?

Mancuzo chwycił pęsetę i znów zaczął szperać w otwartym żołądku Kaleba. Oszołomiony koroner rozciął żołądek aż po ujście przełyku i wprowadził do przewodu pokarmowego kamerę. Wciąż nic. Elektryczny skalpel Mancuza wykonał kolejne nacięcie aż do dwunastnicy i szczątków jelit. Odrażający smród wydobył się spod jego palców, gdy peseta natrafiła w końcu na

coś twardego. Wyjął narzędzie, które zaśniło w świetle jarzeniówek, i zobaczył owalne, włókniste ziarno, z którego wyrastały korzonki.

–Cholera...

–Co to jest?

–Tuberculis perenis, roślina uprawiana w grotach, bez światła, a następnie długo gotowana w wodzie z octem, co powodowało, że miękła. Rzymianie i druidzi utrzymywali, że bulwy tej rośliny leczą wewnętrzne rany i odpędzają dżumę.

–W czym problem?

–W tym, że nie uprawia się jej od XV wieku, a jedyne zachowane, wysuszone okazy przechowuje się w muzeach i laboratoriach botanicznych. A ta bulwa jest prawie zielona. Jeżeli powiążesz to z faktem, że nasz umarłak praktycznie się nie leczył, że w płucach ma złogi smół i widział nocą, to zabrniesz w ślepy zaułek.

–Co znaczy?

–Cóż... jeśli ograniczę się do zawierzenia własnym oczom i zebrania faktów i będę postępował zgodnie z nakazami nauki. będę zmuszony stwierdzić, że mamy do czynienia z osobnikiem, którego większa część życia przypadła na późne średniowiecze. Stanton przerwał nagrywanie i zdjął słuchawki.

–Ten cholerny trup zaczyna mi grać na nerwach.

–Mnie też.

Przeciągły dźwięk. Wirówka zakończyła cykl pracy – mogli już poznać skład krwi Kaleba. Stanton sięgnął po próbkę i lekko nią potrząsnął. Potem umieścił niewielkie ilości płynu na kilku szkiełkach i kolejno kładł je na stoliku mikroskopów fotonowych. W sali sekcyjnej zapanowała grobowa cisza, gdy soczewki wysuwały się i chowały w tubusach. Szmer strumienia fotonowego wypełnił pomieszczenie. Dokonuje się istne bombardowanie krwi Kaleba, mające się zakończyć rozpoznaniem jej konstytutywnych składników. Kiedy procedura się zakończyła, Mancuzo i Stanton nanieśli na każde szkiełko preparat chemiczny mający wyizolować składniki krwi poprzez ich zabarwienie.

Sygnal dźwiękowy. Drukarka wypluwa metrową listę, którą Mancuzo uważnie czyta. Słychać trzaski, kiedy koroner nagrywa wyniki.

–Temat: analiza krwi zabójcy z Hattiesburga. Zaawansowany rozkład części płynnej. Brak lub śladowy poziom cukrów, krwinki czerwone w stanie rozpadu, poziom znacznie poniżej normy, znacznie podwyższony poziom leukocytów. Pobrane próbki nie zawierają żadnych powszechnie stosowanych leków typu aspiryna, środki przeciwzapalne, uspokajające, żadnych substancji używanych w leczeniu psychiatrycznym. Jak wskazywały już wyniki wcześniejszych badań, krew denata nie zawiera przeciwciał występujących po powszechnych szczepieniach, co oznacza, że nie miał on odporności nabytej wobec żadnej ze współczesnych chorób. Stwierdzamy natomiast obecność antygeny typu F1.

Stanton spojrzął na Mancuzę, jakby ten oznajmił mu właśnie, że nieboszczyk to daleki kuzyn znaleziska z Roswell. Dotknął ręką mikrofonu, aby przerwać nagranie:

–Kompletnie ci odbiło? Pograżony w zadumie Mancuzo drgnął.

–Mówiłeś coś?

–Stwierdziłeś obecność antygeny F1. Upiłeś się, czy może to początek depresji?

–

–Ani jedno, ani drugie, Antygen F1. Potwierdzam. Stanton chwycił kartkę, którą podał mu Mancuzo. Uważnie przeczytał wyniki, a potem dokończył nagranie:

–Koroner Stanton potwierdza: brak nowoczesnych środków chemicznych, pozostałości leków, antyciał wytworzonych na skutek szczepień. Wyjątek stanowi antygen F1, który pojawia się po długotrwałej ekspozycji na pałeczkę *Yersinia pestis*.

–Mówiąc prościej – pałeczkę dżumy. Rozgorączkowany Stanton przygotował nową próbkę krwi,

dodając do niej katalizator. Wszyscy milczą, gdy obaj koronerzy czekają na wynik. Głos Stantona:

–Obecność pałeczki *Yersinia* potwierdzona. Bakteria czynna.

Denat jest nosicielem – uodporniony, mógł zarażać.

Gdy Mancuzo przygotowuje w wirówce kolejne próbki, Stanton upewnia się, czy jego maska jest szczelna i sięga po szkiełko podstawowe, na które nakłada kroplę czystej gliceryny. Potem przez chwilę czeka w milczeniu, ogląda próbkę, wytrzeszczając

oczy nad mikroskopem i obserwując zjawisko, które staje się coraz bardziej oczywiste.

–Reakcja na H⁺ po trzydziestu sekundach. Mamy do czynienia z odmianą pałeczki *Yersinia pestis*, wywołującą przyspieszoną fermentację gliceryny. Podsumowuję – dżuma ze szczepu kontynentalnego, bakteria pochodząca z Azji Centralnej.

Nie odrywając oczu od mikroskopu, Mancuzo, który dodał kilka kropli roztworu azotanu do innej próbki, oznajmia głuchym głosem:

–Silna reakcja azotanu w obecności bakterii. Stwierdzamy

szybkie wytwarzanie azotynu z azotanu, któremu towarzyszy wydzielanie się kwasu azotowego, jako produktu oddychania bakterii czynnej. Wniosek: dżuma kontynentalna, szczep Antigua. Oznacza to, że natrafiliśmy na dżumę dymieniczą rzymską, która zdziesiątkowała basen Morza Śródziemnego w VI wieku naszej ery.

–Co takiego?

–To pierwsza wielka epidemia w historii, moja droga Parks. Zaraza epoki Justyniana, o której Prokop napisał, że o mały włos nie wyniszczyła rodzaju ludzkiego. Pochylony nad ostatnią próbką Stanton wpadł mu w słowo, mówiąc głosem drżącym z podniecenia:

–Obecność drugiego typu bakterii potwierdzona. Kurwa, Mancuzo, to *Yersinia 2!* Pałeczka kontynentalna, fermentacja gliceryny. Śladu reakcji azotanu, żadnej reakcji ze stężonym roztworem melibiozy. Potwierdzam: drugi typ bakterii. Pałeczka kontynentalna typu Medievalis.

–Mój Boże, wielka zaraza...

Marie Parks czuje zawrót głowy, wpatrując się w Kaleba, którego zmasakrowana twarz zdaje się uśmiechać w świetle jarzeniówek. Tymczasem Mancuzo sięga po telefon komórkowy, aby jak najpilniej powiadomić o sytuacji dyrektora FBI.

Papież sięgnął po szklankę i wypił łyk wody. Ziemisty smak zniknął. Kiedy Ojciec Święty podjął opowieść, jego głos rwał się ze zmęczenia.

–Kilka godzin po tym, jak uczniowie Janusa wykradli ciało Chrystusa, człowiek zwany Józefem z Arymatei odnalazł u stóp krzyża gwóźdź, którego użyli jego oprawcy. Owinął ten zbrukany krwią gwóźdź w gałganek i ukrył pod tuniką. Cisza.

–Wiemy, że Józef z Arymatei oddał ten gałganek Piotrowi, przywódcy apostołów, któremu Chrystus nadał godność pierwszego papieża chrześcijaństwa. W ten sposób gwóźdź trafił do Rzymu i przetrwał stulecia oraz wielu papieży.

–Boże Mój, czy chcesz powiedzieć, Ojciec Święty, że jesteś w posiadaniu tego gwoździa?

–Spoczywa w bezpiecznym miejscu wraz z innymi ukrywanymi relikwiami, które zebrali Maria i apostoł Jan, stojący w chwili śmierci Chrystusa tuż pod krzyżem. W ścisłej tajemnicy poddaliśmy analizie DNA z gwoździa. Kilka włókien ciała, bardzo stara krew. Potem porównaliśmy wynik z DNA ze szkieletu Janusa.

–Z jakim skutkiem?

–Uczniowie wyparcia pochowali w grocie na północy Galilei Chrystusa.

–Boże... A święty całun turyński? A drzazgi z Krzyża Prawdziwego? Wszystkie te relikwie, które, jak twierdziliśmy, zostały odnalezione i były wystawiane w kościołach i katedrach?

–I jeszcze święty Graal?

–Słucham?

–Skoro posunęliśmy się już tak daleko, pokażę ci kiedyś tajne komnaty Watykanu. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak dużo autentycznych i fałszywych relikwii spoczywa w tych pomieszczeniach. Relikwii i znalezisk archeologicznych.

–Znalezisk archeologicznych?

–W początkowym okresie ewangelizacji Azji natrafiliśmy na ślady misjonarzy Janusa w Chinach i Azji Centralnej. Dotarli aż na Syberię i tam nagle trop się urywa.

–Jakie to ślady?

–Gliniane tabliczki, ołtarze, freski i świątynie wznoszone ku chwale Janusa.

Wiemy, że w tamtym okresie owi misjonarze mieli dość czasu, by nauczać wędrownie ludy, jak choćby Mongołów, i że ci szerzyli wyparcie niczym śmiertelnościaną epidemię. Znowu cisza.

–Przez kolejne stulecia archiwiści niezmiernie przemieszczali najodleglejsze krainy, zacierając ślady po poprzednikach. Burzyli świątynie, niszczyli freski na murach, rozbijali ołtarze i zabierali wszelkie przedmioty kultu, które można było przetransportować, aby zamknąć je w tajnych komnatach Watykanu. Była to długa i żmudna praca, wydaje się

jednak, że w tej części świata nie zachowało się już nic, co wiąże się z kultem Janusa. A w każdym razie nic rozpoznawalnego.

–Ale...?

–Ale w XV wieku, kiedy konkwistadorzy Nowego Świata podbijali rozległe terytoria Azteków i Inków, odnaleźli... pewne rzeczy. Dziwne rzeczy.

–Jakie, Wasza Świątobliwość?

–Dwa marmurowe krzyże, podziemne świątynie i freski ku czci Janusa.

–Boże Wszchemogący, Boże Miłosierny! Ojczy Świąty, czyżbyś chciał mi powiedzieć, że misjonarze Janusa przeprawili się przez Atlantyk?

–Nie. Sądzimy, że podobnie jak kilka stuleci wcześniej plemiona mongolskie, które stały się potem Indianami z Ameryki, przeszli przez skutą lodem Cieśninę Beringa i ruszyli wzdłuż wybrzeży Pacyfiku, docierając na tereny dzisiejszego Meksyku. To jak epidemia. Szerzy się.

Kiedy papież i inkwizytorzy z Salamanki dowiedzieli się, że misjonarze wyparcia dotarli do Nowego Świata na długo przed karawelami Kolumba i Vespucciego, władcy Hiszpanii i Portugalii zaczęli wysyłać coraz liczniejszych konkwistadorów, dając im wolną rękę w zagarnianiu ziem, byle tylko odzyskiwali świadectwa kultu Janusa. W zamian za tę usługę dali im prawo czynienia niewolnikami podbitych ludów i zachowania wszystkich zdobytych skarbów. I przez całe lata pływały konwoje z Nowego Świata, przewożąc do Rzymu i do Hiszpanii przedmioty kultu Janusa. Tymczasem konkwistadorzy niszczyli to, czego nie mogli przetransportować, a po wybiciu Azteków i Inków dopuszczali się rzezi na wszystkich plemionach, które przyjęły nauki misjonarzy wyparcia.

–Czy wszystkie ślady po nim zniknęły?

–Wciąż zachowujemy czujność i do dziś finansujemy prace archeologiczne na całym świecie, aby upewnić się, że nie przetrwało nic, co mogłoby przypominać o Janusie. Od niemal trzystu lat o niczym takim nie donoszono. Ale ostatnie dziewicze lasy wciąż się kurczą i kto wie, co pewnego dnia wykopią buldożery, usuwając korzenie starych drzew?

Cisza.

–Proszę o wybaczenie, Wasza Świątobliwość, ale to wszystko nie dowodzi, że Chrystus nie zmartwychwstał. Nie dowodzi to też, że na krzyżu wyparł się Boga.

–Jeżeli ma się datowaną ewangelię, której autentyczność zostałaby potwierdzona, a która podważa prawdy wiary, i czaszkę w koronie cierniowej, odnalezioną w miejscu wskazanym w manuskrypcie? Zdołasz to wytłumaczyć wiernym? Do pioruna, ocknij się wreszcie, Camano! Rozejrzyj się wokół! Jak sądzisz, co by się stało, gdyby kardynałowie Czarnego Dymu weszli w posiadanie tych relikwii i ujawnili wiernym całego świata, że być może Kościół okłamywał ich od dwóch tysiącleci?

–Dlaczego mieliby to zrobić?

–Bo są fanatykami i postanowili zawładnąć Kościołem, jednak nie po to, żeby pojąć jego siłę, ale żeby zniszczyć go od środka. Wiedzą jednak, że nie uda im się to, dopóki nie mają kontroli nad Watykanem, dopóki na Piotrowym tronie nie zasiada

jeden z nich. Wówczas mogliby już wszystko ujawnić. Aby osiągnąć cel, muszą przede wszystkim odzyskać ewangelię według Szatana, ponieważ to w niej kryją się wszystkie dowody, których potrzebują.

–Nikt im nie uwierzy.

–Jesteś pewien? Czyż nie ty powiedziałeś przed chwilą, że skoro papież nazywa coś prawdą, to jest to prawdą?

–Tak, jeśli pozostaje to w zgodzie z Pismem Świętym.

–Mylisz się, Oscarze. Pismo to tylko atrament i papier. Jeżeli papież Czarnego Dymu otworzyłby ewangelię według Szatana podczas Eucharystii i gdyby przedstawił jej treść ogółowi wiernych, to ręczę, że uwierzyliby mu, a wszystko, w co dotąd wierzyli, uleciałoby jak dym.

Papież przymknął oczy. Jego klatka piersiowa unosiła się tak słabo, jakby konał. Po chwili starzec wyszeptał:

–Cóż zatem proponujesz, Oscarze? – Wieść o zabójstwach pustelnic wkrótce się rozejdzie i nic na to nie poradzimy. Co do cudów i zjawisk satanistycznych, jak dotąd panujemy nad mediami, które wypytyują nas o oficjalne stanowisko Kościoła. Zwołamy konferencję prasową, by zyskać na czasie, i poinformujemy, że sobór zbada tajemnicze zdarzenia, aby ustalić, czy są emanacją Boga, czy też skutkiem działań wykraczających poza sferę religii i naszych kompetencji.

–Masz rację. Każdy wie, że Nasz Pan nie chce naszej krzywdy. Dlatego musimy się skupić na zjawiskach satanistycznych. Jeżeli bowiem chodzi o zbiorowe opętanie, a nie o napady

–Opętanie przez Szatana?

–Daj Boże, abyśmy nie z tym mieli do czynienia. Po chwili milczenia odezwał się Camano:

–Ojciec Święty, jaką decyzję podjął ojciec w sprawie czaszki Janusa?

–Trzeba zacząć śledztwo od zera. Musimy użyć wszelkich środków, aby odzyskać te relikwie, zanim wpadną w ręce złodziei dusz, i zniszczyć dowody kłamstwa. Natychmiast zmobilizuj swoich najlepszych legionistów do pracy nad tą pracą.

–Już to uczyniłem, Wasza Świątobliwość.

–Do kogo się zwróciłeś?

–Do najlepszego z nich. To ojciec Alfonso Carzo. Egzorcysta, który był moim uczniem. Potrafi odróżnić woń świętych od smrodu Szatana. Jeżeli ktoś może odnaleźć źródło szerzącego się zła – to tylko on.

CZĘŚĆ CZWARTA

60

Na ziemiach Indian Yanomani, w sercu Amazonii

Czternaście godzin później ojciec Alfonso Carzo dotarł do misji katolickiej w Sao Joachim w Pernambuco, zagubionej w amazońskiej dżungli. Tam, nie rozbierając się ani nawet nie zamieniając z nikim słowa, ułożył się w hamaku, w którym zawsze sypiał jak zabity. Dziewiczy las, który otaczał go zewsząd, był pogrążony w głuchej ciszy. Już od trzech tygodni Kongregacja Cudów wysyłała go w najdalsze zakątki świata, by analizował przypadki satanistycznych opętań, których było coraz więcej. Przez te trzy tygodnie spędzał bezsenne noce w pociągach ekspresowych i kiepskich hotelach. Przez trzy tygodnie sprawdzał każdy ślad i tropił legiony demonów, których niespotykana moc wskazywała na przebudzenie się Zła.

A wszystko zaczęło się niemal niepostrzeżenie od stygmatów Męki Pańskiej, które pojawiły się na ciałach starych mniszek i mnichów. Potem, w różnych stronach świata, figury Matki Bożej zaczęły płakać krwawymi łzami w kościołach, a krucyfiksy płonęły podczas mszy. Zdarzały się cuda, objawienia, niepojęte uzdrowienia. W końcu rozpętała się piekielna machina i coraz więcej było szatańskich dzieł, a przypadki opętań mnożyły się w niepokojącym tempie. Anonimowa ręka wykręciła numer klasztoru pod wezwaniem Matki Bożej Synajskiej, gdzie u cystersów, na wzgórzach San Francisco, miał swą bazę wypadową ojciec Alfonso Carzo. Klasztor Matki Bożej Synajskiej nie był klasztorem, jakich wiele, a w obrębie jego murów, których nigdy nie przekroczył żaden świecki, zaznawało wytchnienia pięćdziesięciu emerytowanym egzorcystów, których organizmy i umysły wyczerpała zażarta walka ze złymi mocami. Pensjonariuszy łączyło doświadczenie w zmaganiach z archaniołami Piekieł, a także to, że każdy z nich choć raz w swej karierze został opętany. Zarażenie poprzez kontakt – ręka opętanego wyrwała się nagle z pasów i chwyciła za gardło. Działo się to zawsze pod koniec egzorcyzmów, wtedy ryzyko rosło, a demon stawał się naprawdę groźny. Z pokoju, w którym rycerz boży toczył walkę z Bestią, dobiegały ryki i wycia, a uczestnicy tego wydarzenia często stali jak wryci, siwieli w jednej chwili, zmarszczki postarzały ich twarze po tym, co ujrzeli. Właśnie takie przejścia miał za sobą każdy z pensjonariuszy klasztoru. Ci drżący starcy wciąż mieli przed oczyma przerażające sceny spotkania z demonem. Żyli, lecz zarazem byli już martwi, więc powierzano ich troskliwej opiece sióstr z bliźniaczego zakonu żeńskiego. Kongregacja Cudów wzywała ojca Carzo, gdy przypadek opętania całkowicie wymykał się spod kontroli. Wydarzyło się to przed trzema tygodniami, kiedy siedział na ławce, wdychając słone powietrze znad zatoki. Właśnie wrócił z podróży do Paragwaju, gdzie poddał egzorcyzmom biedaka utrzymującego, że jest wielkim demonem Astarothem, szóstym archaniołem Piekieł, księciem huraganów. Jedenaście nocy zażartej walki, po której Astaroth niespodziewanie oddał zdobycz. Poszło zbyt łatwo, jakby duch usłuchał rozkazu i jakby to opętanie miało

tylko ściągnąć Carza na drugi koniec świata. Dywersja – myślał kapłan, pakując sprzęt egzorcysty. Wsiadł do pierwszego samolotu, jaki odlatywał do San Francisco, gdzie znów znalazł się wśród swoich starców i gołębi. A potem zadzwonił telefon.

Siedział w parku, wraz z dziesiątką drzemiących na ławkach egzorcystów, gdy skontaktował się z nim kardynał Camano. Było chłodno, a światło zmierzchu, przebijające się przez chmury, przypominało deszcz krwi.

Rzucił ostatnią garść ryżu gołębiom, które gruchały, drecząc u jego stóp i spojrzął na nadchodzącą zakonnice. Staruszka podała mu telefon bezprzewodowy. Ciężko westchnął, a potem możliwie obojętnym głosem powitał rozmówcę.

–Wasza Eminencjo, czyżby nasi legionieści znowu przestraszyli się trzaskających okiennic i skrzypiących drzwi?

–Nie, Alfonso. Tym razem sprawa jest poważniejsza. Musisz jak najszybciej ruszyć w drogę. Na twarzy Carza widać było napięcie.

–Słucham.

–Naliczyliśmy pięćdziesiąt przypadków szatańskiego opętania, odpornych na rytuał egzorcyzmów Watykanu II.

–Boże! Aż pięćdziesiąt?

–Jak dotąd.

–Jakie są symptomy?

–Opętani mają stygmaty wyższych złych mocy. Posiedli dar języków, nie mówią swoimi głosami i przenoszą przedmioty na odległość.

–Czy ich ciała i twarze ulegają transformacji?

–Tak. Wydają się także obdarzeni nadludzką siłą. A poza tym... przede wszystkim...

–Przede wszystkim?

–Wiedzą o rzeczach, o których nie powinni wiedzieć. O rzeczach z zaświatów, o tajemnicach.

–To znaczy?

–Objawienia Matki Bożej w Medjugorie, w Fatimie, w Lourdes i Salem. O tym, czego nigdy nie podawano do wiadomości publicznej. Oni wiedzą, Alfonso. Wiedzą o Piekło i o Raju.

–Ależ Eminencjo, demony nie wiedzą nic o Raju.

–Jesteś o tym przekonany?

Zapadło długie milczenie. Potem w słuchawce rozbrzmiał głos Camana:

–Najgorsze zostawiłem na koniec. Wszyscy opętani mają te same objawy i wypowiadają dokładnie te same zdania w tym samym języku. Wiemy, że się nie znają, nigdy się nie kontaktowali

i mieszkają w różnych rejonach świata. A raczej mieszkali.

–Jak to?

–Oni nie żyją, Alfonso. Wszyscy zmarli na kilka godzin przed opętaniem. Ich bliscy czuwali przy nich, gdy pojawiły się pierwsze oznaki.

–Ależ Eminencjo, doskonale ojciec wie, że to niemożliwe! Złe Moce nie potrafią ożywiać ani przejmować władzy nad zmarłymi!

–Dlaczego zatem twierdzą, że cię znają, Alfonso? I dlaczego właśnie z tobą chcą

rozmawiać? Tylko i wyłącznie z tobą? Musisz jak najszybciej wrócić. Słyszysz? Musisz... wró...

–Halo? Wasza Eminencjo? Czy Wasza Eminencja mnie słyszy?

Ze słuchawki dobywały się tak głośne trzaski, że Carzo musiał odsunąć ją od ucha. Potem hałasy ucichły równie nagle, jak się pojawiły i zapadła głucha cisza. W tej samej chwili mroźny wiatr pochylił korony drzew, a w nozdrza egzorcysty uderzył zapach fiołków. Carzo aż za dobrze znał ten zapach.

–Eminencjo?

–Nie mieszaj się w to, Carzo. Karm spokojnie swoje gołębie albo pożrę twoją duszę.

Carzo poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie na dźwięk tego grobowego głosu, który rozbrzmiał w słuchawce.

–Kim jesteś?

–Przecież wiesz, Carzo.

–Chcę, żebyś to powiedział.

Skamieniałemu egzorcyste odpowiedzią porykiwania i pomruki. Wycia opętanych, których przywiązywano do łóżek i

którzy wyszczekiwali jego imię, aby go zwabić. W tym oceanie krzyków egzorcysta słyszał głosy wołające po łacinie, hebrajsku i arabsku imiona demonów trzech religii Księgi. A potem stary egzorcysta, który drzemał na ławce w parku, uniósł głowę, a inne znajome Carzowi głosy wydobywały się z jego nieruchomych ust:

–Me imię brzmi Ganesz.

–Jam jest Podróżny.

–Loki, Masterma, Abrahel i Alrinach.

–Jestem Adramelech, wielki kanclerz Piekieł.

–Adag! Jam jest Niszczyciel!

–Czy pamiętasz mnie, Astarotha, Carzo?

–Belial, jam jest Belial.

–Me imię brzmi Legion.

–Jesteśmy Ali, Muti i Humtaba.

–A my to Seth, Lucyfer, Mamon, Belzebub i Lewiatan.

–Azazel, Asmug, Artyman, Durga, Tiamat i Kingu. Jesteśmy tu, jesteśmy tu wszyscy.

Potem broda starego księdza opadła na pierś i wydawało się, że mężczyzna znowu śpi. Na linii coś pisnęło. Carzo zamierzał się rozłączyć, gdy zauważył, że niebo zasnuło się niezwykle ciemnymi, czarnymi chmurami. Tymczasem przybyło gołębi, które karmił przed kilkoma minutami, i setki ptaków siedziały na trawnikach w parku. Niczym armia, której żołnierze gruchały i wściekle biły skrzydłami, okrążając go.

–Ojciec, uciekaj! Uciekaj!

Krzyk starej zakonnicy wyrwał Carza z osłupienia. Egzorcysta podniósł głowę i zrozumiał, że to, co uważał za burzową chmurę, było zwartym stadem ptaków, z których pierwsze już pikowały na park i klasztor. Szlachetna zakonnica osłaniała

Carza własnym ciałem niczym murem obronnym, on zaś tymczasem wbiegł na schody wiodące do budynku. I właśnie wtedy ptaki runęły na śpiących starców i mniszkę, która odstraszała je, wymachując rękami. Sam bezpieczny w klasztorze Carzo patrzył przez okno na tę wirującą chmarę, na pióra i dzioby uderzające w ofiary. Usłyszał krzyki nieszczęsnej kobiety, której gołębie wydziobały oczy. Z ustami pełnymi piór padła na kolana, jęki ucichły.

Carzo chciał pospieszyć jej z pomocą, gdy grad kul uderzył o szyby klasztoru. W pierwszej chwili sądził, że to gwałtowna ulewa, potem jednak zamarł, widząc, że park poczerniał, zasłany trupami ptaków i że niektóre z nich rozbijały się o ściany. Po oknach opływała krew. I wtedy znowu odrażająca won fiołków wypełniła jego nozdrza. Carzo zrozumiał, że otwierają się bramy Piekieł.

Misja Sao Joachim była niczym mały czarny punkt w bezkresnym dziewiczym lesie. To tu trafił ojciec Carzo po pokonaniu szlaku opętanych Camana, w miejscu wskazywanym przez wszystkich jako siedlisko najwyższego opętania. Carzo przyleciał w wilgotną noc z Manaus i czekała na niego piroga, którą płynął w górę Rio Negro. Z tej podróży egzorcysta zachował dość mgliste wspomnienie – dusząca mgła, która pełzała po rzece, plusk wiosel, chmary komarów, gorączka i strach, od którego drżała łódź... I jeszcze krzyki. Niemal ludzkie wycia rozlegające się na brzegach. Potem, gdy już zbliżali się do misji, w lesie zapanowała cisza. Jakby wszystkie zwierzęta wymarły albo może umknęły w obawie przed niewidzialnym zagrożeniem.

O zmierzchu Carzo zobaczył garstkę Indian Yanomani, którzy wypatrywali go z pontonu rzuconego na mętne wody Rio Negro. A zatem z drapaczy chmur San Francisco trop doprowadził go tu, na brzegi, gdzie czekała na niego Bestia. Nie po raz pierwszy Carzo odwiedzał Indian Yanomani i nie po raz pierwszy rozmawiał z ich szamanami o demonach lasu oraz biegu rzek. A także o halucynogenach, które się żuło, żeby zobaczyć, jak dusze zmarłych włóczą się w ciemnościach. Diabelskie moce boga Jaguara, jadowitych pająków, nocnych ptaków. Złoczyste siły podobne tym, które egzorcysta zwalczał w „świecie bez drzew”, tak podobne, że czasami Carzo używał zaklęć i wywarów Yanomani, aby odpędzić własne demony. To właśnie szamani powiadomili misję w Pernambuco o wystąpieniu u młodej dziewczyny z ich plemienia symptomów

najwyższego opętania. Dotknęło ono księżniczki Yanomani o imieniu Maluna, której głos i ciało zaczęło się przeistaczać, gdy zachodził księżyc.

Kilka dni wcześniej dziwna choroba spadła na las, który zaczął zatruwać źródła i zabijać zwierzęta. Wojownicy wracający z krańców terytorium Yanomani opowiadali, że szara pleśń pojawiła się na pniach wielkich drzew – cuchnący trąd, który zżerał korę i zatruwał soki olbrzymów.

Potem choroba dotknęła małpy i ptaki, których sztywne ścierwa spadały z drzew. Następnie brzemiennie kobiety z plemienia zaczęły ronić i szamani musieli grzebać w ziemi małe, zdeformowane ciała, przedwcześnie wypchnięte z łona matki. Wtedy właśnie księżniczka Maluna zaczęła się przeistaczać i wykrzykiwać ohydne rzeczy w języku misjonarzy. Dlatego szamani ruszyli w drogę, żeby uprzedzić białych ojców, iż nieznane demony wdarły się do lasu, przynosząc wielką chorobę, która trawiła świat bez drzew.

–Obudź się, ojciec.

Zlany potem ojciec Alfonso Carzo otworzył oczy i zobaczył czerwoną twarz ojca Alamedy, przeora misji, który pochylał się nad nim, Carzo skrzywił się, czując jego oddech – pocziwina znowu popijał palmowe wino, żeby wyzbyć się strachu. Egzorcysta przymknął oczy i westchnął, zmęczony. Każda komórka ciała błagała go, żeby nie wstawał, żeby zasnął kamiennym snem. Ma ochotę ulec tej rozkosznej pokusie, ale masywne ręce Alamedy znowu nim potrząsają.

–Ojciec, musisz walczyć. To Bestia chce, żebyś spał.

Podnosząc zbolące powieki, ojciec Carzo odwrócił się ku odsuniętej kotarze wiszącej u wejścia do chaty. Jest brzask. Mgła unosi się znad Rio Negro i ogarnia polanę, na której stoją budynki misji – kaplica z bali i szereg trzciniowych chat. Nie ma tu ambulatorium ani lekarza, nie ma generatora prądu ani nawet moskitiery. Właśnie taka jest misja Sao Paolo: chata w ogrodach Edenu.

Ojciec Carzo z trudem usiadł na hamaku i wsłuchał się w ciszę. Zwykle przed świtem papugi i małpy budzą się i podnoszą zgiełk, dając całemu lasowi sygnał, że czas wstawać. Ale ojciec Carzo na próżno nadstawia ucha – las tonie w ciszy. Egzorcysta wstaje i zanurza ręce w misce z ciepłą wodą, którą przyniósł dla niego Alameda. To sucha woda. Takie wrażenie ogarnia Carza, gdy płucze nią twarz – pieszczota tej wody, kiedyś tak miła i ożywcza, teraz nie usuwa nawet poczucia lepkości i odrętwienia, w jakie popadł. Wycierając się skrawkiem sutanny, Carzo zajrzał do kosza z owocami, który podsunął mu Alameda. Ćwiartki papai, plastry ananasa, z którego misjonarz usunął grubą skórę, by pozbyć się warstewki pleśni, ogarniającej tu już wszystko... Carzo odgryza włóknisty kęs owocu i bez najmniejszej przyjemności żuje tę pozbawioną smaku pulpę. Tak jak woda, zazwyczaj soczyste pokarmy dziś smakują, jakby wyssano z nich wszystko, co wartościowe. Las kona.

Ojciec Carzo dokonał przeglądu skromnego liturgicznego „uzbrojenia”, które zebrał, szykując się do rychłej walki – różaniec, butelka z wodą z Fatimy, książka egzorcyzmów. Teraz rusza za ojcem Alameda w stronę opustoszałych budynków misji. U stóp wysokich drzew, na tym gigantycznym cmentarzys* ku gałęzi i mchów, powietrze przesiąknięte wonią grzybów i pleśni jest nieruchome i ciężkie. Najlżejszy podmuch nie porusza liśćmi. Nawet szuranie ich sandałów na suchej ściółce nie jest w stanie zakłócić posępnej ciszy. W większości chat, które mijają mężczyźni, obrzmiałe zwłoki leżą w hamakach, a ich pozycja mówi, że ci ludzie umarli śmiercią nagłą, jakby poraził ich grom z jasnego nieba. Na pół obłąkany alkoholik Alameda jest jedynym, który przeżył. Las zdaje się schnąć na oczach Carza. Gruba warstwa szarej pleśni, która – jak sądził – przeniknęła też jego serce, teraz jest widoczna na obrzeżach misji, a liany, na których niegdyś wisiały owoce, zwisają jak stare sznury. Także ziemia zmieniła

kolor. Światło, które przenikało przez listowie, nagle utraciło blask. Carzo osłonił

oczy dłońmi – wszystko wokół ma barwę popiołu, ta szarość spowija las, skórę jego rąk i bladozielone zarośla.

–To tu.

Zwracając oczy w kierunku wskazanym przez Alamedę, Carzo przekonuje się, że droga prowadzi do skalistego wzgórza. U podnóża ściany widać prześwit – wejście do prekolumbijskiej świątyni, przysłonięte bujną roślinnością, która zapewne uchroniła to miejsce przed wieloma pokoleniami podróżników. Drzewa wokół budowli wyglądają jak spalone, ziemia przypomina popiół powstały po potężnym, trwającym wiele dni pożarze.

Carzo mruży oczy i widzi, że nad wrotami świątyni ciągnie się kamienny murek, spojony wysuszonym błotem i słomą. Dwie kolumny wspierające portyk przedstawiają pradawne bóstwa – boga lasu Quetzacoatla, oraz Tlaloka, władcę deszczu, czyli ósmego pana dnia i dziewiątego pana nocy. Carzo czuje mocniejsze bicie serca. To świątynia Azteków.

–Ojcie Alamedo, co tu jest?

Starając się nie patrzeć w oczy egzorcysty, Alameda spogląda na opary wydobywające się z paszczy budowli. Kiedy Carzo powtarza pytanie łagodnym głosem, misjonarz drży.

–Ojcie Alamedo, kiedy ojciec widział opętaną po raz ostatni?

–Przed tygodniem.

–Czy już wtedy zaczęła się przeistaczać? Śmiech, który dobył się z ust misjonarza, zmroził krew w żyłach Carza.

–Przemieniać? Na cholernego Boga, ojcie, tydzień temu jej nogi wyginały się jak łapy, twarz przypominała...

–Co, ojcie Alamedo? Jak wyglądała jej twarz?

–Jak pysk nietoperza, ojcie Carzo. Wyobraża sobie ojciec? Pieprzonego nietoperza!

–Uspokój się, bracie.

–Mam się uspokoić?

I ścisnął ramię Carza tak mocno, że egzorcysta skrzywił się z bólu.

–Zobaczmy, czy ojciec zachowa spokój po wejściu do świątyni. Bo ja zlałem się jak siusiumajtka, i czułem, że jaja wlały mi do żołądka, kiedy to zobaczyłem.

–Mówiła do ojca? Alameda skamieniał ze strachu. Carzo powtórzył:

–Czy to „coś” do ojca przemówiło?

–Zapytała, po co tu przyszedłem. Boże, gdyby ojciec słyszał jej głos, kiedy o to pytała...

–Co ojciec odpowiedział?

–Ja... nie pamiętam... Chyba wtedy... Nie, naprawdę nie pamiętam.

–Czy to coś ojca dotknęło?

–Nie wiem... Carzo chwycił misjonarza za kołnierz sutanny.

–Do pioruna, Alameda, gadaj – dotknęła cię, czy nie?! Alameda już poruszył ustami, żeby odpowiedzieć, gdy z głębi ziemi dobył się potworny jęk. Na oczach

Carza włosy misjonarza posiwały, jego twarz wykrzywił grymas.

–Słyszysz? Wykrzykuje twoje imię! Jest głodna. O Boże! Ten potwór kona z głodu.

–Alameda, czy „ta rzecz” cię dotknęła?

–Wessała moją duszę, Carzo. Pokazała mi to, czego nie powinienem był nigdy zobaczyć i zgasła płomyk, który palił się we mnie.

–Co ojcu pokazała?

–Wkrótce się dowiesz, ojczulku. O tak! Ta bestia pożre twoją duszę i wtedy będziesz wiedział.

Puściwszy sutannę Alamedy, Carzo zapalił pochodnię i przekroczył próg świątyni. Wewnątrz było tak zimno, że oddech egzorcysty natychmiast zamieniał się w obłok pary. Chuchając na palce, żeby je rozgrzać, Carzo mszył kamiennym korytarzem, który łagodnie opadał w dół, w ciemności. Kiedy oddalił się o kilka metrów, podmuch mroźnego powietrza przyniósł wrzaski Alamedy, który stał jak zjawa w drzwiach:

–Bóg jest w Piekło, Carzo! Rozkazuje demonom, rozkazuje duszom skazanym na potępienie, rozkazuje duchom zbłąkanym w mroku! To właśnie widziałem, kiedy mnie dotknęła!

Wszystko jest kłamstwem. Wszystko, co nam mówiono, jest kłamstwem. Okłamali nas, Carzo! I ciebie, i mnie!

Echo schrypniętego głosu Alamedy długo rozbrzmiewało w podziemiach. Potem zapadła grobowa cisza. Ojciec Carzo szedł, trzymając pochodnię w górze.

Parks spoglądała na bostońskie ulice zza przyciemnianej szyby limuzyny FBI. Smętnymi, szarymi chodnikami podążał tłum ludzi, przyspieszających kroku, by uciec przed zimnym deszczem, który uderzał w szyby auta.

–Dokąd jedziemy?

Brak odpowiedzi. Parks obejrzała się, żeby w bladym świetle lampy spojrzeć na Stuarta Crossmana. Dyrektor FBI miał bladą zmęczoną twarz człowieka, który rzadko widuje światło dzienne. To człowiek średniego wzrostu, o smukłych dłoniach i delikatnych rysach. Nie ma w sobie nic z atlety, chociaż zwykle to takich przyjmuje się do FBI. Wystarczy jednak raz spojrzeć mu w oczy, by zapomnieć o niepozornym wyglądzie, bo jego czarne jak węgiel, okrągłe oczy potrafią paraliżować. Trzymając przy uchu miniaturowy magnetofon, Crossman słucha raportu z sekcji Kaleba. Kiedy decyduje się w końcu odpowiedzieć, mówi tak cicho, jakby wypowiadał słowa tylko dla siebie.

–Na lotnisko. Samolot United do Denver startuje za dwadzieścia minut.

–A co pańskim zdaniem mam robić o tej porze roku w Kolorado? Fotografować lawiny?

Stuart Crossman otwiera teczkę i przegląda zapiski. Potem spogląda chłodno na Parks.

–Cztery młode kobiety zamordowane przez zabójcę z Hat-tiesburga były zakonnicami jednej z najtajniejszych kongregacji Watykanu. Władze Rzymu wysłały je, by przeprowadziły śledztwo w sprawie serii morderstw w amerykańskich klasztorach.

–To ma być żart?

–Wyglądam, jakbym żartował?

–Co to za agentki Watykanu? Zakonnice w cywilu z garot-tami przerobionymi na różańce i spluwami w torebce?

–Coś w tym stylu.

Po chwili milczenia Crossman mówi:

–Telefonowałem dziś rano do kardynała arcybiskupa Bostonu, prosząc go o wyjaśnienia. Powiedział, że Watykan ma własną policję, a Stolica Apostolska nie musi się przed nikim tłumaczyć.

–A te zabójstwa, których miało dotyczyć śledztwo zakonnice?

–Kiedy wylegiwała się pani w szpitalu, przetrząsnęliśmy pokoje w motelach i mieszkaniach, które wynajęły cztery ofiary po przyjeździe do Hattiesburga. Analizując twarde dyski, dowiedzieliśmy się, że zakonnice tropiły Kaleba od wielu miesięcy i że utrzymywały stały kontakt, dając ogłoszenia do gazet – ważnych dzienników ogólnokrajowych albo prasy lokalnej, zależnie od miejsca pobytu. W ten sposób podążały za sobą z kraju do kraju i spotykały się zawsze, kiedy zachodziła potrzeba.

–Po co dawać ogłoszenie do gazet, mając do dyspozycji najnowocześniejsze komputery i Internet?

–Skąd mam wiedzieć? Znowu chwila milczenia.

–Ostatnie wiadomości, jakie odnaleźliśmy, pochodziły od Mary-Jane Barko i pojawiły się w „Boston Herald” parę tygodni temu. To kilka linijek wśród ogłoszeń o spotkaniach i ofertach pracy.

–Jakie to były informacje? Crossman wyjął jedną kartkę z teczki i głośno przeczytał:

–„Moje drogie. Wydaje się, że trafiłam na trop Dziadka w Hattiesburgu w Maine. Przyjeżdżajcie szybko”.

–Dziadka?

–To szyfr. Tak nazywały Kaleba. Po tym ogłoszeniu trzy pozostałe zjawily się w Hattiesburgu.

–Co dalej?

–Mary-Jane Barko zaginęła przed ich przybyciem. Musiały zacząć śledztwo od punktu, w którym się urwało. Podobnie jak ona, zatrudniły się jako kelnerki i czekały, aż zabójca się pojawi. Ostatnie ogłoszenie w „Hattiesburg News” pochodzi z 11 lipca. Nazajutrz po zaginięciu Patricii Gray czytamy: „Droga Sandy. Brak wieści o kuzynce Patricii. Czy mogłabyś spotkać się ze mną dziś wieczorem tam, gdzie zwykle?”.

Wiadomość pochodziła od Dorothy Braxton, a była przeznaczona dla Sandy

Clarks, ostatniej zakonnicy przybyłej do Hattiesburga. Sądzymy, że te dwie siostry spotkały się wieczorem na skraju lasu Oxborne i tam zniknęły.

–Jak Rachel. Crossman pokiwał głową, przewracając kartki.

–Na dobę przed śmiercią Rachel także zamieściła ogłoszenie w „Hattiesburg News”. Prawdopodobnie natrafiła na anonse zakonnicy, prowadząc śledztwo w sprawie ich zaginięcia. Naśladowała ich styl, podpisała się własnym imieniem.

Wyznaczała spotkanie zaginionym kuzynkom.

–Nie powinna była tego robić.

–Postąpiłaby pani tak samo.

–Co poza tym?

–Nasi agenci przetrząsali materace i szperali w ich rzeczach. Znaleźli grubą teczkę akt, a raczej ich cztery kopie, po jednej u każdej z kobiet. Były tam raporty ze śledztw, zdjęcia, portrety pamięciowe, tworzone w miarę postępu prac. W ten sposób dowiedzieliśmy się, że wszystkie interesujące je zabójstwa zostały popełnione w klasztorach zakonu pustelnic, działającego w ścisłej tajemnicy. Były to nieszkodliwe staruszki, żyjące z dala od świata, w klasztorach jak twierdze, wysoko w górach. Nie widywały się z ludźmi, złożyły śluby milczenia. Oficjalnie poza modlitwą za zbawienie naszych dusz miały poświęcać czas trosce o stare manuskrypty z kościelnych zbiorów, jak Biblie po arabsku czy średniowieczne traktaty o torturach.

–Co z tego wynika?

–Zbrodni dokonano zgodnie ze schematem przyjętym przez Kaleba w Hattiesburgu.

–Cholera...

–Ostatnie zabójstwo, nad którym pracowały te cztery kobiety do chwili, kiedy zawisły na krzyżach, wydarzyło się w niedostępnym klasztorze w Górach Skalistych, niedaleko od Denver w Kolorado. Dlatego samolot United czeka na panią ze startem.

–Rozumiem. To już wszystko?

–Nie. Wiemy, że cztery zamordowane z Hattiesburga odkryły związek między wszystkimi zabójstwami.

–Zemsta?

–Raczej klątwa.

–To znaczy?

–Wszystkie zamordowane pustelnice były bibliotekarkami i zajmowały się restauracją manuskryptów z kościelnego indeksu, takich, które Watykan od stuleci ukrywa w tajemnych salach klasztorów. Wiemy, że morderca szukał jednego z tych dzieł.

–Chce pan powiedzieć, że te kobiety umarły z powodu jakiejś książki?

–Nie byle jakiej, Parks. To bardzo stary manuskrypt, najprawdopodobniej zawierający treści groźne dla pozycji Kościoła.

–Czy ta książka ma jakiś tytuł?

–Ewangelia według Szatana.

–Psiakość, wcale się nie dziwię, że Watykan woli, żeby to się nie rozeszło.

Limuzyna jechała przez chwilę slalomem między kałużami i wkrótce zatrzymała się przed halą odlotów bostońskiego lotniska. Parks wysiadła i zabrała torbę podróżną, którą podał jej kierowca Crossmana.

–I jeszcze coś. Dziś rano miałem telefon z Białego Domu.

–Kto?

–Bancroft, ten upierdliwy doradca prezydenta. Oświadczył mi, że śledztwo w sprawie zabójcy z Hattiesburga należy do lokalnych władz Maine, ponieważ cztery zakonnice zostały zamordowane na ich terenie. Sądzę, że Watykan naciska na prezydenta, żeby wyciszyć sprawę.

–Co mu pan powiedział?

–Żeby mnie pocałował w zadek.

–A poza tym?

–Powiedziałem temu dupkowi, że te zabójstwa przekraczają nie tylko granice Maine, ale nawet granice Stanów i całego kontynentu.

–Czyli...?

Crossman podał Parks jedną z kopii akt, znalezionych wśród rzeczy zamordowanych sióstr z Hattiesburga.

–Kiedy pielęgniarki z Liberty Hall łątały panią, my wpadliśmy na pomysł, żeby pogrzebać w archiwach najważniejszych dzienników na całym świecie. Znaleźliśmy sporo podobnych ogłoszeń, opublikowanych przez tych detektywów w habitach w piętnastu gazetach. Potem zwróciliśmy się do policji państw, do których wiodły te tropy, żeby ustalić, czy nie odnotowano tam analogicznych zaginięć albo rytualnych zabójstw.

–I co?

–W ciągu ostatniego półrocza doszło do co najmniej trzynastu identycznych zbrodni.

-Zakonnice?

-Pustelnice, Parks. Trzyńście starych mniszek przybitych do krzyża, z wyprutymi flakami.

Przyciemniana szyba podniosła się, zasłaniając bladą jak wosk twarz Crossmana. Parks stała w strugach deszczu, patrząc, jak limuzyna oddala się w strumieniu innych aut.

Ojciec Carzo przemierza ciemne wnętrza, spoglądając na jasną plamę światła padającego z pochodni na strop. Zatrzymuje się. Ściany i strop podziemi pokryte są freskami i reliefami, które stanowią dowód obecności Azteków w dolinie Amazonki. Z pewnością było to plemię, które opuściło płaskowyż Jukatanu, uciekając przed konkwistadorami. Bezcenny skarb przetrwał wieki pośród tych cichych skał.

Carzo unosi pochodnię tak wysoko, że płomień muska sklepienie. Otwiera szeroko oczy. Pierwszy fresk przedstawia jakiś zagubiony w dziewiczym lesie ogród, istic rajski zakątek, gdzie parawan roślin osłania jezioro i spadające do niego kaskady źródlanej wody. Drzewa, które uginają się pod ciężarem owoców, rzucają cień na bujną trawę. Na plaży nad brzegiem jeziora kobieta i mężczyzna, których nagość nie może pozostawać obojętna, zarzucają sieci. To Olmekowie, przodkowie Azteków. zapewne wykonali te freski, żeby opowiedzieć o tym, co spotkało ich przodków. Miał więc przed sobą testament Olmeków.

Przyglądając się dalej freskom, Carzo uświadamia sobie, że Indianie zarzucający sieć to Kai i Kella. Po chwili dostrzega, że coś tu się nie klei. Egzorcysta nie wiedział jeszcze, co to takiego, ale w jego mózgu już zapaliła się lampka alarmowa.

Zmrużył oczy i skoncentrował się na Indiance. To, co zobaczył, zmroziło mu krew w żyłach.

Wody jeziora sięgają kolan mężczyzny i ud kobiety. Nad łonem Indianki na gładkim, płaskim brzuchu nie ma żadnej kreski czy kropki tam, gdzie artysta powinien namalować pępek. Carzo przypatruje się brzuchowi mężczyzny. Gładka, napięta skóra ciągnie się od krocza po splot słoneczny, bez śladu pępka. Carzo ociera pot, który zrosił jego czoło. Jak na chrześcijańskich wizerunkach Adama i Ewy w ogrodach Edenu, brak pępka na ciele dwojga Olmeków oznacza, że nie zrodzili się z łona kobiety, nie zostali poczęci przez ludzką parę, nie żywiło ich matczyne łóżko. To prarodzice, stworzeni przez Boga. To zaś oznacza,

że krajobraz o nieco wyblakłych kolorach, który ogląda Carzo, to utracony raj Olmeków.

Idąc krok za krokiem, egzorcysta przypatruje się kolejnym freskom. Na reliefie, którego wypukłości zatarł czas, świetliste bóstwo wskazuje olmeckiej kobiecie owoc na drzewie, z którego nie wolno jej jeść. Jednak, pchnięta przez boga Jaguara, który nawiedził ją we śnie, młoda Indianka nie słucha Światła i Światło gaśnie na zawsze. Wtedy nadchodzi kataklizm, huragan, a może trzęsienie ziemi. Niebo jest czarne, a na kolejnym fresku wodospady nad jeziorem plują krwią. Pozbawione światła drzewa marnieją, na ich pniach pojawia się warstwa pleśni. Takiej samej szarej pleśni, jaka dziś trawi terytoria Yanomani.

Carzo wytrzeszcza oczy. Na następnym fresku młoda Indianka wydaje niemy krzyk, gwałcona przez boga Jaguara na rumowisku raj. Carzo nie może oderwać oczu od tej sceny. Jest bogiem Jaguarem. Niemal czuje, jak jego męskość pozbawia dziewictwa młodą Indiankę, czuje, jak wbija się w nią ze zwierzęcą brutalnością. To Zło absolutne – jakby fresk był przesiąknięty świętokradztwem, które ukazuje. Carzo idzie dalej. Owoc boga Jaguara zaokrąglił brzuch kobiety. Wgnana z raj. Dwójka

Olmeków bląka się po dżungli. Dotarli nad ocean i Carzo dostrzega zmiany na ich twarzach, przygarbione karki, ręce, które zwisają niemal do ziemi. Wieki przesuwiają się przed oczyma Carza w świetle pochodni.

Wulkany, zatopione wyspy. Ogromne ptaki szybujące po niebie. Carzo widzi rozgwieżdżony bezkres nieba, gwiazdozbiory i komety, które mkną niczym ogniste kule. Widzi także potomstwo boga Jaguara, które zaszywa się na mokradłach. Egzorcysta nieruchomieje – kolejny fresk przedstawia ol-meckich wojowników, którzy klęczą w grocie. Niebiański wysłaniec, którego oblicze przesłania ognisty obłok, unosi się nad nimi. Carzo podnosi pochodnię. Posłaniec, którego ręce ciskają błyskawice, wyjawia Olmekom tajemnicę ognia. Oczy egzorcysty zaokrąglają się ze zdziwienia, w miarę jak płomień wzbija się pod sklepienie. Carzo wspina się na palce, by zobaczyć twarz posłańca. – Boże, to niemożliwe...

Ten posłaniec nieba, którego Carzo rozpoznał w blasku pochodni, jest tym samym, któremu Bóg polecił zwiastować narodzenie Jezusa Marii Pannie. Tym, który w sześćset lat później zainspirował Mahometa do napisania Koranu – archaniołem Gabrielem.

Rzym, Watykan

Trzy godziny. Według zegara dokładnie od trzech godzin Jego Świątobliwość nie może już się poruszać, nie jest w stanie wypowiedzieć słowa. Stało się to nagle, gdy starzec wyciągnął rękę, by chwycić dzwonek leżący na nocnej szafce. Początkowo ten prosty gest nie sprawiał mu trudności, starcza ręka wysuwała się w stronę przedmiotu, łokieć się prostował, mięśnie ramienia rozciągały się z bólem. Potem, kiedy palce Jego Świątobliwości zetknęły się z metalową powierzchnią dzwonka, nagle ustało odczuwanie zimna. A przecież ten głupi dzwonek wciąż tu był, zniknęło tylko wrażenie jego istnienia. Jakby cząsteczki, które go tworzyły, nagle się rozpadły w niewidzialny, bezszelestny deszcz. Potem odrętwienie ogarnęło całą rękę i bark, a Jego Świątobliwość zrozumiał, że dzieje się coś złego. Gdzieś w głowie usłyszał trzask. Jakby jakaś żyła nabrzmiała i pękła na powierzchni półkul, jakby krew zaczęła się wylewać, wypełniając puszkę mózgową, uciskając na ośrodki mowy i ruchu. W ten sposób starzec został uwięziony w zakątku własnego jestestwa. Odtąd, z oczyma szeroko otwartymi na świat, którego obraz docierał jakby z innej galaktyki, Jego Świątobliwość wsłuchiwał się w tykanie zegara odmierzającego sekundy.

Hałas. Papież nasłuchuje. W dali dzwony Bazyliki św. Piotra dzwonią na Anioł Pański. Południe. I nagle sobie przypomina... Przypomina sobie spotkanie o świcie z kardynałem Camano. Przypomina sobie, jak sekretarz postawił na niskim stoliku karafkę z wodą. Przypomina sobie ziemisty posmak, który poczuł w gardle, i nudności skręcające żołądek. Po wyjściu Camana Jego Świątobliwość położył się, żeby odpocząć przed rozpoczęciem soboru. Papież usnął. Śnił o Czarnym Dymie i złodziejach dusz, o Janusie wyjąłym na krzyżu i o pustym niebie nad światem. Serce biło mu słabo, wzrok jakby się pogorszył. Dlatego chciał sięgać po dzwonek. Z powodu tego smaku ziemi w ustach. „Boże, zmiłuj się nade mną...”. Teraz oszalały ze strachu papież próbuje poruszać rękami i nogami. Słyszając czyjeś kroki, przerywa te wysiłki. Podmuch wiatru muska jego twarz. Szepty. Ludzie pochylają się nad nim, jakaś ręka bada puls. Rozpoznaje twarz swojego osobistego lekarza, pokryte zmarszczkami czoło służącej, skupione oblicza protonotariuszy apostolskich, których zamglone oczy wróżą jak najgorzej.

Przez kilka sekund trwają szepty, odległe twarze wirują, potem lekarz sięga po stetoskop i przykładą metalową końcówkę do piersi papieża. Nie słyszy bicia serca. Wolno kręci głową i odkłada przyrząd. Ogarnięty paniką papież próbuje dać tym wszystkim idiotom jakiś znak, ale oni uważają go za martwego. Wystarczyłoby drgnięcie, zmrużenie powiek, albo nieznaczna zmiana wyrazu oczu. Tak, to jest wyście! Uczucie, jakaś prosta emocja,

słaby płomyk na szklistej powierzchni oczu. Starzec usiłuje przebić tę warstewkę lodu, która pokryła jego

oczy, i wtedy oślepiający blask przenika przez jego źrenice, rozpalając mózg, w którym schroniła się chyba cała dusza. Uzbrojony w latarkę lekarz obserwuje jego źrenice. Nie zwężają się pod wpływem światła. Starzec słyszy westchnienie lekarza,

który oznajmia, że Jego Świątobliwość odszedł. Papież walczy ze wszystkich sił, żeby po raz ostatni zwrócić jego uwagę. Słyszy skrzypnięcie drzwi. Znowu kroki. Szepty milkną, ludzie pochyleni nad Ojcem Świętym rozstępują się, by zrobić miejsce dla nowo przybyłego. Twarz kamerlinga papieskiego zajmuje coraz większą część pola widzenia starca. To właśnie do tego kardynała należy oficjalne stwierdzenie zgonu papieża. Drogi stary Campini. On zauważy, że Ojciec Święty jeszcze nie umarł. Podniesie alarm. Potem papież zostanie przewieziony do kliniki Gemelli, gdzie umieszczą go na oddziale intensywnej terapii, a tymczasem półtora miliarda wiernych będzie się modlić na całym świecie o powrót starca do zdrowia. Tak właśnie się stanie. Toteż gdy Campini przykłada do ust papieża lusterko, ten znowu mobilizuje wszystkie siły, by wydać

tchnienie, które poświadczy, iż życie jeszcze się tli w jego ciele. Czuje, jak ściska mu się gardło i gdy kamerling zabiera lusterko, by obejrzeć jego powierzchnię, dostrzega warstewkę pary. Campini z pewnością zorientuje się, że coś jest nie tak. Nie może przeoczyć tego śladu, który już zaczął znikać w zetknięciu z chłodnym powietrzem pokoju. Tak! Papież wyczytał z oczu kardynała, że dostrzegł parę. Ale dlaczego zwleka, dlaczego nie mówi lekarzowi, żeby jak najpilniej przewieźć papieża do szpitala?

Spoglądając przez półprzymknięte powieki, Jego Świątobliwość analizuje blask w oczach szambelana – nadzieja i radość? Krew zastyga mu w żyłach. Nie, ten ogień, który zapalił się w oczach watykańskiego dostojnika, to coś innego. To rozkosz. Rozkosz i nienawiść. „Mój Boże, on udaje, że niczego nie zauważył...”.

Kamerling przetarł lusterko i schował je do kieszeni sutanny, a potem spojrzął we wpatrzone w niego, martwe oczy. Pochylił się i szepnął papieżowi do ucha: – Wasza Świątobliwość, wiem, że mnie słyszysz. Wiedz, że

jeszcze do niedawna, gdy papieżom nie usuwano wnętrzości przed pochówkiem, wielu twych znakomitych poprzedników konało, dusząc się w grobach. Ty masz więcej szczęścia, bo przybędą tu ludzie, którzy zajmą się balsamowaniem i wyprują ci flaki. Podziękuj Bogu i przestań toczyć tę beznadziejną walkę, zbliża się bowiem godzina, gdy Czarny Dym Szatana znów ogarnie świat.

Widząc rękę Campiniego zbliżającą się do swej twarzy, papież wie, że to już koniec. I gdy jego powieki zamykają się niczym grób pod palcami kamerlinga, starzec wydaje przeciągły jęk, który zamiera mu na ustach.

Idąc wolno przez podziemia azteckiej świątyni, ojciec Carzo ogarnia spojrzeniem ostatnie freski, które wyłaniają się z ciemności. Plemiona, które nie otrzymały świętego ognia, ukradły go Olmekom. Potem podbiły ich lud, zniewoliły go i przegnały za wielką rzekę, by wznosił tam świątynie i ogromne miasta ku chwale leśnych bogów. Tych szczęśliwców, którym udało się uciec, ścigali zbrojni. Carzo z biciem serca patrzył na rozstępujące się wody rzeki, która pozwalała Olmekom przejść na drugi brzeg. Nurt zamykał się za nimi, porywając ścigających.

Kolejny fresk. Prowadzeni przez gwiazdy Olmekowie wędrują przez dżunglę do nowej ziemi. Szaman, który ich wiezie, wspina się na szczyt wulkanu. Tam Światło, które dało jego przodkom ogień, obdarza go glinianymi tabliczkami pokrytymi prastarym pismem, którego Carzo nie potrafi odczytać. Wejście do świątyni to już tylko mały jasny kwadrat za plecami egzorcysty.

Płomień pochodni oświetla następny fresk. Olmekowie dotarli do ziemi utraconej. Wybudowali wspaniałe miasta ku chwale Światła. Mijały wieki. Upojeni bogactwem i pychą, poczuli wznosić ogromną piramidę, żeby przebić chmury i dotrzeć do słońca. Znow odwrócili się od Światła, które ich stworzyło, i Światło zagasło. Pojawiło się coś, coś, co Olmekowie rozbudzili

i co wyłoniło się z dżungli. Właśnie to ukazują ostatnie freski: wielkie Zło spadło nagle na olmeckie miasta wzniesione ku chwale Światła. Na miasta z kamieni i złota, których budowle zasłane były teraz trupami. Wielkie Zło, wobec którego bezsilne są strzały i odwaga. Tłumy kobiet i dzieci zaczęły uciekać z miast, aby schronić się w dżungli. Ale dżungla chorowała, szara pleśń porosła drzewa. W świetle pochodni ojca Carzo gasła cywilizacja Olmeków. Nie zostało po niej nic oprócz lian i mchów, które z czasem zarosły wymarłe miasta. Carzo zatrzymał się przy ostatnim malowidle – krwistoczerwonym fresku, który ukazywał piramidę w ogniu zachodzącego słońca. Na szczycie budowli wznosiły się trzy drewniane krzyże, a na nich trzej ukrzyżowani, okrutnie spaleni przez słońce i czekający na śmierć. Ze środkowego krzyża mężczyzna o ziejącej nienawiścią twarzy patrzy na tłum, który obrzuca go obelgami. Ma brodę, jest wychudzony, a jasna cera różni go od dwóch pozostałych skazańców. Kolec cierniowej korony wyklął mu oko. „Pan Jezus wszechmogący i miłosierny”. W świetle pochodni oczom egzorcysty ukazała się twarz Chrystusa. Chrystusa, którego tłum wydał na śmierć. Ale nie Chrystusa z Ewangelii, dobrego pasterza, Mesjasza wyrozumiałego dla zbłąkanych ludzi, którzy go mordują. O nie. Ten Chrystus, wyjący jak zwierzę, wijący się na krzyżu i przeklinający Niebiosa, to sam Diabeł. To bicz na Olmeków. Pochodnia zaczyna dogasać. Carzo zdążył jeszcze odczytać znaki, jakie Aztekowie umieścili nad krzyżem, by przestrzec ludzkość i opowiedzieć o tym, co się wydarzyło, by nie spotkało to już następnych pokoleń. Ogień, krew i śmierć, symbole wiecznego potępienia.

Na dole data – szesnasty dzień osiemdziesiątego drugiego roku siódmego cyklu słonecznego. Carzo czuje lodowaty powiew, przenikający jego duszę. Każdy cykl kalendarza słonecznego Azteków odpowiada czterystu latom ziemskim, a zatem ten kat Olmeków umarłby 3 kwietnia 33 roku według kalendarza katolików. W dniu

śmierci Chrystusa. Carzo wyciąga rękę, by dotknąć twarzy ukrzyżowanego, lecz wówczas rozlega się takie wycie, jak wówczas, gdy pobiełały włosy Alamedy. Ten głos brzmi w ciemnościach. Bestia go

wzywa, jest tuż obok.

Carzo rusza w dalszą drogę. Przechodzi kilka metrów i staje w progu groty wykutej we wnętrzu góry. Pochodnia zgasła. W dali widać ustawione w kręgu świece, których płomyki migoczą w ciemnościach. Stojąca w tym świetlistym kręgu rzecz, która była Maluną, patrzy na zbliżającego się kapłana oczyma pałającymi nienawiścią.

Chłostany przez ulewę, która rozpętała się nad miastem, samolot United 554 do Denver ciężko odrywa się od pasa startowego i znika w gęstych chmurach nad Massachusetts. Woda zalewa okienka, kadłub jęczy, gdy maszyna nabiera wysokości. Parks zaciska ręce na oparciach fotela i drży, gdy światła w kabinie gasną, pogrążając w mroku blade twarze pasażerów. Silniki wyją pośród burzy. Błyskawica rozdziera niebo po prawej stronie. Parks zamyka oczy i próbuje się odprężyć, wykonując głębokie wdechy. W kabinie unosi się dziwna woń, jakby słaby zapach zgnilizny. Nie, ten zapach zbliża się do niej. Parks nie zdążyła otworzyć oczu, gdy poczuła, że siada obok niej coś, co cuchnie śmiercią. Chciałaby otworzyć oczy, ale powieki odmawiają jej posłuszeństwa. Zaciska pięści. Nie chcę wiedzieć, co jest tam, przy mnie, Boże, spraw, żeby to sobie poszło!... Parks czuje, że włosy tego czegoś dotykają jej ramienia. Odwraca się i serce podchodzi jej do gardła, bo na sąsiednim fotelu widzi trupa Rachel. Kobieta siedzi ze zwieszoną głową, jej włosy lepią się od błota, które pokrywa także twarz. Błyskawica rozrywa niebo, a Rachel podnosi głowę i patrzy na Parks pustymi oczodołami. Z jej ust wydobywa się głos ogra. – Dokąd to, Marie?

Parks znowu zamyka oczy i koncentruje się, żeby położyć kres tej wizji. Czuje, że dłoń Rachel dotyka jej ramienia, a lodowate palce zaciskają się na nadgarstku. Potem smród rozkładu bucha jej w twarz, Rachel pochyla się nad nią. Jej obrzmiałe wargi poruszają się zaledwie parę centymetrów od ust Marie.

–Myślisz, że pozwolę ci robić, co chcesz, kochaneczko? Parks już rozchyła usta do krzyku, gdy nagle światło dzienne wlewa się przez okienko. Boeing 737 wynurza się z chmur. Marie otwiera oczy i podskakuje, widząc błękitne oczy ślicznej stewardesy, która pochyla się nad nią.

–Wszystko w porządku, proszę pani?

–Słucham?

–Krzyczała pani.

Zapach perfum stewardesy pomaga przegnać smród padliny, który Marie wciąż jeszcze ma w pamięci. Wdycha tę miłą woń i stara się uśmiechnąć.

–To tylko zły sen.

–Zły sen? Powiedz raczej, że to był cholerny koszmar, kochana Marie.

Parks drętwieje ze strachu, widząc, że stewardesa szczerzy w uśmiechu kły. Znowu zamyka oczy i odpędza wizję. Unosi powieki i widzi, że stewardesa znowu ma normalne zęby. I głos.

–Przepraszam, ale czy na pewno nic pani nie jest?

Marie uspokajająco kiwa głową. Potem patrzy, jak stewardesa odchodzi i głęboko oddycha, by uspokoić skołatane serce.

Nigdy dotąd nie miała tak wyrazistych wizji, zupełnie jakby tworzący je obszar rozszerzał się na inne obszary drzemiące w mózgu.

Wyobrażając sobie od dawna to rozedrganie pod sklepieniem czaszki, Parks nauczyła się widzieć swój mózg jako ogromną, pełną pustyni planetę z zielonymi

oazami obszarów, w których neurony są aktywne od urodzenia. Pole mowy, rozumienia, koordynacji, równowagi... Drobne plamki rozrzucone po miliardach kilometrów kwadratowych nieruchomych piasków mózgu. I grom, który uderza w sam środek tej pustyni – to, co stało się w dniu, gdy Marie miała wypadek. Huk grzmotu, kiedy przednia szyba roztrzaskuje się tuż przed jej twarzą. Błysk światła na niebie, a potem nicość...

W skali wszechświata drobne wyładowanie elektryczne, które pobudziło martwe obszary, było błyskawicą długości wielu kilometrów, potężnym ładunkiem, który uderzył w pustynne rejony mózgu Parks. Od tego czasu była przekonana, że ta energia wciąż krąży pod jej czaszką, a bezczynne neurony

zapalają się niczym miliony światełek na pustyni. Dlatego jej wizje coraz trudniej poddawały się kontroli. Niedostępny obszar mózgu, który tworzy wizje... Kobieta próbuje przełknąć tę kulę, która dławi ją w gardle. Co znajdowało się obok tego pierwszego martwego obszaru? Ten, który mógłby czytać w myślach ludzkich, ten, który rozwiązałby równanie z tysiącem niewiadomych, czy może ten, który przesuwają budynki? Czuje w skroniach pulsowanie – zapowiedź nadchodzącej migreny.

Odwraca się do okna. Dziób boeinga 737 lekko się opuszcza, samolot leci ślizgiem. Silniki nie pracują już pełną mocą, ich warkot przemienia się w szmer. Marie mruga oczyma, wpatrując się w ciemny błękit nieba i słońce, którego promienie błyszczą na skrzydłach maszyny. W dole chmury są tak gęste, że czuje się, jakby świat zniknął pod grubą warstwą śniegu.

Marie Parks rezygnuje z posiłku, który podsuwa jej stewardesa, prosząc tylko o jabłko i butelkę wody mineralnej, a potem skupia się na lekturze akt przekazanych jej na lotnisku przez dyrektora

FBI. Dwieście stron notatek i zdjęć. Wzdycha – Crossman nigdy nie tracił czasu na selekcję danych.

Pierwsze strony akt poświęcone były szturmowi FBI na kryptę. Oddziałem dowodził agent specjalny Browman. Nie należał do mięczaków, a już na pewno nie poświęciłby koleżanki, sztywno trzymając się rozkazów.

Kolejne strony to seria zdjęć wykonanych tuż po szturmie. Na jednym z nich pozuje agent specjalny Browman. Oparł nogę na trupie Kaleba i patrzy w obiektyw, trzymając na ramieniu karabin. W gruncie rzeczy ten Browman to głupia świnią.

Następne strony. Serce Parks ściska się na widok przybitej do ławki Rachel. Gwoździe weszły tak głęboko, że trzeba było ciąć drewno wokół kończyn dziewczyny, żeby ją zabrać. Marie zamyka oczy i słyszy krzyki Rachel, odgłos jej kroków, kiedy szła bosą przez zarośla, szloch przerażonej dziewczyny i

wołanie o pomoc. To szczątki wspomnień, które rozplywają się jak mgła w słońcu.

Spogląda na kolejne zdjęcia i widzi siebie upamiętnioną na krzyżu. To było tuż po tym, jak zemdląca. Podczas kiedy ekipa wyciągała gwoździe, żeby ją uwolnić, lekarz sądowy fotografował ją w najróżniejszych ujęciach. Zmagając się z mdłościami, Parks ogląda siebie nagą, zdeformowaną na tych belkach, ze strugami krwi spływającymi z nadgarstków i kostek. Ma nieprzyjemne wrażenie, że patrzy na cudze zdjęcia. Na jedną z tych anonimowych ofiar seryjnych zabójców, które widywała w całej swej karierze.

Obok niej, na innych krzyżach, cztery zaginione kobiety z Hattiesburga zdają się wpatrywać w mrok. Ich nabrzmiałe twarze pobladyły w jaskrawym świetle fleszy. Cztery zmasakrowane, rozkładające się zjawy. A pośrodku ona, naga, zalana krwią.

Parks przewraca kartki. Ostatnia część poświęcona jest wstępnemu śledztwu przeprowadzonemu przez ludzi Crossmana, kiedy ona dochodziła do siebie w szpitalu. Małe, zaniedbane mieszkanko, które Mary-Jane Barko wynajęła, kiedy z jedną walizką, w czerwonej chustce na głowie przyjechała do miasta. Pokój opłacony z góry przez Sandy Clarks w paskudnym motelu na obrzeżach Hattiesburga. Przyczepa i poobijany pick-up, którym

Patricia Gray dojeżdżała co wieczór do pracy. Zaaranżowana szopa, którą Clarence Biggs pokazał Dorothy Braxton, gapiąc się przez przyciemniane szkła okularów na jej pośladki. Przyjeżdżając kolejno do Hattiesburga, cztery zaginione podążały tropem Kaleba. Zacieśniały otaczający go krąg, bo wiedziały, że teraz wybrał sobie Maine. Ale dlaczego właśnie Hattiesburg? Ze względu na stację Texaco? A może Kentucky Fried Chicken, gdzie roilo się od karaluchów, albo

papiernię? To wszystko nie trzymało się kupy. Chyba że Kaleb upatrzył sobie właśnie to pustkowie, lasy i bagna, żeby wciągnąć w pułapkę zakonnice agentki. Tak, na pewno kierował się właśnie tym. Wykopując zwłoki na cmentarzach, zostawił dość śladów, żeby je tu zwabić. A potem zamordował jedną po drugiej. W końcu zabił Rachel. Marie przymknęła oczy. Trop hattiesburski

urywał się w głębi lasu, tam gdzie zginęły cztery zakonnice i gdzie zastrzelono Kaleba. Kurtyna. Teraz trzeba było szukać rozwiązania w klasztorach pustelnic. Podążać śladami mordercy, wcielić się w niego, odkryć, co mogły wiedzieć ofiary, zanim przyjechały do Hatties-Burga. Bo ta wiedza oznaczała dla nich wyrok śmierci.

Sygnal z głośników wyrywają z zamyślenia. Metaliczny głos kapitana oznajmia, że 737 przelatuje nad Wielkimi Jeziorami. Podnosząc oczy znad papierów, Parks gryzie jabłko i wpatruje się w okienko. Gęste warstwy chmur zniknęły. Nisko, pod samolotem, widać teraz południowy brzeg jeziora Michigan i drapacze chmur w Chicago. Wypija łyk wody, żeby pozbyć się smaku skrobi, jaki pozostawiło jabłko, a potem skupia się na wpiętych przez Crossmana do akt raportach, które znaleziono w pokojach zaginionych. Pięćdziesiąt stron podsumowywało śledztwo wszczęte przez Watykan po fali zabójstw, jaka dotknęła pustelnice w Afryce, Argentynie, Brazylii i Meksyku. Sprawa dotyczyła rozrzuconych po krańcach świata klasztorów, w których Kościół przechowywał najpilniej strzeżone manuskrypty. I nie były to fortece, jak w Europie czy Stanach Zjednoczonych, ale skromne klasztory kryte trzcina, zagubione w dżungli lub na

sawannie. Trzydzieści starych kobiet konało na krzyżach po okrutnych torturach. „Kaleb Podróżnik” – tak cztery zaginione z Hattiesburga nazywały ściganego. Pełnił trzydzieści morderstw w ciągu półrocza. To już imponujący kalendarz zając seryjnego zabójcy. Ale Kaleb nie zdawał się na przypadek, wybierając ofiary. Szukał manuskryptu, który pustelnice przechowywały w jednym z klasztorów, manuskryptu, który musiał odzyskać za wszelką cenę – ewangelii według Szatana. Marie czyta ogłoszenia, które zaginione dawały podczas tego polowania. Pierwsze pojawiło się pół roku temu w „Liberia Post” w Monrowii. Ramka pośród nekrologów i informacji o narodzinach.

Drogi kuzynki.

Babcia zmarła śmiercią tragiczną w swym domu w Buchanan. Obecność na pogrzebie konieczna. Serdeczności. Dorothy.

Skoro Braxton postanowiła zamieścić ogłoszenie w afrykańskiej gazecie, to pozostałe siostry musiały prowadzić śledztwo na tym kontynencie. Z wyjątkiem Mary-Jane Barko, którą Sandy Clarks powiadomiła poprzez ogłoszenie w „Daily Telegraph”. Barko odpowiedziała w najbliższym numerze: *Przylecę do Buchanan lotem o 13 z Londynu. Kuzynka Mary-Jane.*

Parks przegląda raport liberyjskiej policji, wpięty nieco dalej przez szefa FBI. Odnaleziono zwłoki starej zakonnicy, zamordowanej w klasztorze w Buchanan, pustelnicy, najprawdopodobniej „babci” z ogłoszenia Dorothy Braxton, zamieszczonego w gazecie „Liberia Post”. Można wznowić polowanie. Oznacza to jednak, że zabójstwo w Buchanan nie było pierwszym w serii i że cztery siostry były na tropie Kaleba przed przyjazdem do Liberii.

Marie przegląda akta, szukając informacji o zabójstwie wcześniejszym od tego z Buchanan. Nic. Jakby wszystko zaczęło się właśnie na białych plażach Liberii. Potem jej spojrzenie zatrzymuje się na ogłoszeniu wcześniejszym o dwa miesiące w dzienniku z Caims, małego australijskiego miasta, leżącego między zatoką Carpentarie a Wielką Rafą Koralową. *Moje drogie, Dziadek wrócił. Przyjeżdżajcie. Mary-Jane.*

„Dziadek wrócił”. Pierwsze zabójstwo, to, którego szukała. Hasło do polowania.

Rozgorączkowana Parks otwiera skoroszyt znaleziony przez FBI w pokoju Barko: „Podróżnik powrócił...”. Czytając zdanie, które zakonnicą skreśliła na pierwszej stronie notatnika, Marie poczuła palący strach. Pismo Mary-Jane jest niezdarne, prawie nieczytelne, jakby pisała te słowa ogarnięta niesamowitym lękiem. Ale zdanie, świadczące o przerażeniu, dowodzi także, a może przede wszystkim, że pierwsze zbrodnie dokonały się na długo przed tymi z Cairns i Buchanan. Tak jak Marie ściagała swoich cross-killerów po całym globie, tak cztery zakonnicze od lat czekały na ponowny atak Kaleba. Parks przeglądała kartki notesu, na których Mary-Jane Barko nabazgrała inne bezładne słowa. Daty, nazwiska i adresy z różnych miast, do których zawędrowała w pogoni za zabójcą. Serce Marie zaczęło bić coraz szybciej. Kolejne strony pokryte są makabrycznymi rysunkami. Ukrzyżowane staruszki, otwarte groby, krzyże ciągnące się niczym las. Z Mary-Jane Barko działo się coś złego, trochę jak z tymi agentami FBI, którzy sypią się psychicznie, gdy odnajdują magazyn trupów seryjnego zabójcy.

Marie przewraca ostatnie kartki i natrafia na zdanie napisane przez Mary-Jane wielkimi literami: TO WRACA. TO ZAWSZE WRACA. MYŚLIMY, ŻE UMARŁO, ALE WRACA. Parks zamyka oczy. Tak, właśnie – kiedy pisała te słowa, była na granicy załamania nerwowego.

Po anonsie w Liberii cztery zakonnice nie dawały znaku życia przez prawie trzy tygodnie. Dwadzieścia dni milczenia i samotnej wędrówki na południe, wzdłuż Zatoki Gwinejskiej. Wszystkie były na tropie Kaleba.

Kolejne ogłoszenie pojawiło się 7 sierpnia w państwowym dzienniku w Demokratycznej Republice Kongo. Podpisała je Sandy Clarks. Zaszyfrowany tekst informował, że stara czarnoskóra pustelnica została zamordowana w klasztorze w Kinszasie. Trzy agentki dołączyły do Sandy nazajutrz i razem przetrząsnęły celę zmarłej. Sądząc z akt, Kaleb zdołał odzyskać fragmenty ewangelii według Szatana, przepisane przez pustelnice w średniowieczu, przed zaginięciem manuskryptu. Fragment zawierał wystarczająco dużo tajemnic, żeby uzasadniać rzeź kobiet, które strzegły go od stuleci,

Parks przewróciła kartkę i natknęła się na wiadomość, którą Sandy Clarks opublikowała po miesiącu w południowoafrykańskim dzienniku „Mail Guardian”. Dotarła na wybrzeże Pacyfiku do portu Durban, gdzie prowadziła śledztwo, skupiając się na dzielnicach sąsiadujących z dokami. Coś znalazła. Bardzo krótkie ogłoszenie brzmiało: *Kochane kuzynki, Ciocia Jenny ciężko zachorowała. Addington Hospital w Durbanie. Przyjeżdżajcie szybko.*

Marie przejrzała raport porucznika Mike'a Douweya z policji kryminalnej hrabstwa Durban. Funkcjonariusz opisywał okoliczności nagłej hospitalizacji starej pustelnicy, którą odnaleziono ukrzyżowaną w celi klasztoru w prowincji Kwazulu-Natal. Biedaczkę odnalazła młoda kobieta podająca się za jej siostrzenicę. Kuzynki dołączyły do niej już następnego dnia i na zmianę

czuwały przy łóżku umierającej. Staruszka wyzionęła ducha tuż przed świtem, a cztery młode kobiety zniknęły bez śladu. Sprawę umorzono z braku wszelkich dowodów. Parks westchnęła. Trzy zakonnice nie traciły nawet czasu na zamieszczanie odpowiedzi na anons Sandy Clarks. Przybyły z Botswany, Namibii i Mozambiku na pomoc siostrze, która niemal dopadła Kaleba. Pojawiła się o parę minut za późno i ta chwila kosztowała życie jeszcze jednej pustelnicy. Z notatek znalezionych w mieszkaniach ofiar z Hatticsburga wynikało, że ukrzyżowana staruszka tuż przed świtem odzyskała przytomność. Zdążyła tylko powiedzieć, że ukrzyżował ją mnich, który miał na przedramionach symbole złodziei dusz. Dodała, że otwały się Bramy Piekieł i armia Bestii wyległa na ziemię. Mary-Jane Barko pochyliła się nad nią, aby zapytać, czy Kaleb zabrał coś z celi. Wtedy staruszka próbowała ją udusić. Trzy kobiety rzuciły się na nią, chcąc skrępować ją pasami, ale oszalała pustelnica broniła się tak zaciekle, że siostry czuły, jak jej kości łamią się pod naciskiem ich dłoni. Zawyla nieludzkim głosem i skonała. Parks zamknęła oczy. To wszystko jakieś brednie. Pustelnica była pewnie stukniętą staruszką, jedną z tych, które zamyka się

w szpitalach psychiatrycznych. Nie widziała przecież armii Szatana. No nie. Nie mogła ich widzieć. Marie znów pograżyła się w lekturze. Z Durbanu cztery zakonnice ruszyły za Kalebem wzdłuż wybrzeży Afryki Południowej. Tysiąc sześćset kilometrów do Przylądka, tropem zjawy, której ślad zaciera się, jak odciski stóp na piasku.

Szesnastego października siostry dotarły na wysoki, skalisty Cap Point na południe od kontynentu afrykańskiego. Cztery młode, ciche i bardzo zmęczone kobiety wpatrywały się w ciemne wody Przylądka Dobrej Nadziei, gdzie kontenerowiec płynący z zatoki False toczył zaciętą walkę z prądami morskimi. Tam urywał się ślad Kaleba. Na krańcach Czarnego Kontynentu, w miejscu, gdzie fale Atlantyku zlewają się z wodami Oceanu Indyjskiego, tworząc zimną pustynię wody, która ani przez chwilę nie zastyga w bezruchu.

Cztery tysiące kilometrów na południe zaczynała się Antarktyka z jej wiecznymi lodami. I na całym tym obszarze nie było nic, nawet małej wysepki, ani skał wystających ponad zimne wody. W kierunku zachodnim osiem tysięcy kilometrów oceanu dzieliło Afrykę od kontynentu południowoamerykańskiego. Także na wschodzie, by dotrzeć do wybrzeży Australii, trzeba było przemierzyć równie rozległe obszary. Tego dnia Mary-Jane Barko zanotowała:

Oby Bóg nam wybaczył I oby chronił nas dzisiaj Przed potęgą Zła, które Ogarnia świat.

Głośniki w kabinie obwieściły, że samolot przekroczył granicę Nebraski, temperatura spada, co oznacza, iż nad Górami Skalistymi szykuje się śnieżyca. Parks oderwała oczy od akt i znowu Aire

przywarła twarzą do okienka. Zielony ocean rozległych równin ciągnie się aż po horyzont. Marie spojrzała na cienką warstwę szronu, który utworzył się na powierzchni samolotu i powoli zamazywał krajobraz. Gęsty dym wydobywa się z silników,

skrzydła błyszczą w mroźnym powietrzu. Marie nasłuchuje – szmer silników staje się coraz głośniejszy, pilot dodaje gazu, aby zrównoważyć ciężar lodu tworzącego się na kadłubie. Kobieta przeklina Crossmana na myśl o podróży po tej mroźnej krainie aż do jakiegoś cholernego klasztoru w sercu Gór Skalistych. Pogrąża się w lekturze.

Po Durbanie żadnego znaku życia w prasie światowej. A z notatnika Mary-Jane Barko wynika, że polowanie zakończyło się na afrykańskim cyplu. Oczy Parks robią się większe na widok zamieszczonego kilka stron dalej raportu południowoafrykańskiej policji morskiej. Rozpadający się dokument opisuje liczne niezwykle zjawiska zaobserwowane u wybrzeży wysp Tristan da Cunha, archipelagu na środku Atlantyku, w odległości dwóch i pół tysiąca kilometrów od wybrzeży Afryki Południowej. Wszystko to wydarzyło się nocą 27 na 28 października, a więc półtora tygodnia po tym, jak zakonnice zagubiły trop Kaleba.

Przyjąwszy wezwanie na pomoc z Melchiora, kontenerowca, który płynął do Argentyny po opuszczeniu portu na Przylądku, statek pasażerski Sea Star wyłącza silniki, zbliżając się do Melchiora. Wygląda na to, iż jednostka dryfuje. Marynarze Sea Star wchodzi na pokład kontenerowca, przeszukują opustoszałe pokłady. Potem czyjś głuchy głos oznajmia przez radio, że dywany w korytarzach są przesiąknięte krwią i wszędzie widać ślady walki. Śrut jest wbity w ścianki działowe, kule tkwią w drzwiach kajut. Marynarze Sea Star natrafiają na cztery potwornie zmasakrowane, poćwiartowane ciała, co wydaje się wręcz niepojęte. Idą na mostek, gdzie chwilowe schronienie znaleźli niektórzy członkowie załogi. Tam ich to dopadło.

Zgłoszono, że brakuje szalupy ratunkowej, więc kapitan Sea Star przez potężną lornetkę wpatruje się w morze, ale na próżno. Sea Star powiadamia o przestępstwie morską policję południowoafrykańską i rusza w dalszy rejs na zachód.

Rozgorączkowana Parks przegląda raport Crossmana, porównując daty. Dwa miesiące milczenia od Durbanu, potem nowe ogłoszenie Patricii Gray w dzienniku „La Nación” w Buenos Aires... Znow zaczyna się polowanie. Marie cofa się o kilka stron i sprawdza, jaki był docelowy port Sea Star – Punta Arenas, port na Ziemi Ognistej na krańcach Ameryki Południowej. Zamyka oczy, zmagając się z zawrotem głowy. Kaleb wypłynął z Przylądka na pokładzie kontenerowca Melchior, tego, który zakonnice obserwowały z lądu, gdy zmagał się z prądami morskimi u wybrzeży Afryki. Zapewne ukrył się w ładowniach statku. Potem, kiedy kontenerowiec zbliżał się do archipelagu Tristan da Cunha, prawdopodobnie jego obecność wykrył któryś z marynarzy i wtedy Kaleb wymordował załogę. Dostrzegł światła Sea Star przez

brudne szyby kabiny na mostku, gdzie dopadł pozostałych przy życiu marynarzy Melchiora. Spuścił na wodę szalupę i skoczył do morza, a potem płynął najszybciej, jak mógł, aby niepostrzeżenie dostać się na pokład Sea Star. Tam zaszył się w jakimś kącie i czekał, aż dotrą do celu podróży. Setki urlopowiczów spały spokojnie nad głową Kaleba. Parks poczuła zawrót głowy, kiedy wyobrażała sobie, co by się stało, gdyby jakiś marynarz rozbudził Bestię na pokładzie Sea Star.

Dowiedziawszy się o rzezi na Melchiorze, cztery zakonnice poleciały na południe Chile. Wylądowały na lotnisku Carlos Ibanez de Punta Arenas na kilka godzin przed przybyciem Sea Star. Udały się do portu i z daleka wypatrywały przybycia statku. To Dorothy Baxton zauważyła go jako pierwsza, gdy wolno sunął po białych wodach Cieśniny Magellana. Zakonnice wpatrywały się przez lornetki w pokłady, na które wylęgały setki pasażerów. Oglądały twarz po twarzy, obserwowały ludzi schodzących na ląd po mostkach przerzuconych przez marynarzy. Ani śladu Kaleba.

Cztery siostry czekały do wieczora, aby wślizgnąć się na pokład Sea Star i z latarkami w rękę przeszukały ładownie. Znalazły kryjówkę Kaleba w przewodach wentylacyjnych, poniżej linii zanurzenia. Już od wielu miesięcy postępowały w ten sposób – zdawały się na śmierć i rozpacz, którą po sobie zostawiał. Trupy szczurów, martwe insekty, muchy. Ale tym razem ich uwagę

przykuł inny ślad – tkwiąc w ciemnościach przez szesnaście dni rejsu, Kaleb wyrysował na ścianie las krzyży i ocean twarzy, które wykrzywiały się, krzycząc z przerażenia. Chór potępieńców. A pod freskiem zamieścił łaciński napis, który zakonnice sfotografowały: Ad Maiorem Satanae Gloriam. Ku chwale Szatana...

Zakonnice przeszukały labirynt przewodów wentylacyjnych, docierając aż do maszynowni. Na próżno. Kaleb musiał wyskoczyć ze statku dość daleko od brzegu, ale zostawił ślady pozwalające podjąć polowanie.

Parks znów zerknęła na ogłoszenie zamieszczone przez Patricję Gray 16 listopada w dzienniku „La Nación” w Buenos Aires. Od zawinięcia „Sea Star” do portu minęło kilka dni. *Kochane,*

Ciotka Marta zmarła. Przyjeżdżajcie jak najprędzej.

Jeszcze jedna pustelnica ukrzyżowana w klasztorze. I wciąż żadnych informacji o treści tej ewangelii, której poszukuje Kaleb, mordując zakonnice.

Kolejne ogłoszenia pojawiają się w regularnych odstępach czasu w wielu południowoamerykańskich gazetach: „Globo” w Sao Paulo w Brazylii, „Ultima Hora” w Asunción w Paragwaju, i „La Razón” w boliwijskim Santa Cruz. Potem zabójca wędruje na północ, w stronę równika, o czym świadczy ogłoszenie z listopada w „La República” w peruwiańskiej Limie, a także w „La Patria” w Kartagenie.

Parks przegląda raporty policji kolumbijskiej dotyczące makabrycznego mordu dokonanego na matce Esperanzy, przełożonej pustelnic z Kartageny. Patrząc na zdjęcia z miejsca zbrodni, Marie czuje suchość w ustach. Kaleb posunął się do takiego bestialstwa, że już tylko ścięgnię trzymały nieszczęsną ofiarę na krzyżu. Stara zakonnica została nie tylko ukrzyżowana, ale była też torturowana aż do śmierci, jakby morderca chciał wydobyć z niej informacje nieznane nikomu innemu. Najwyraźniej inne zamordowane pustelnice nie miały aż tak cennej wiedzy. Marie przegląda zapiski Crossmana, odnoszące się do tej zbrodni. Podobnie tak wcześniejsze ofiary, matka Esperanza była bibliotekarką swojego klasztoru. To ona przechowywała

klucze od sekretnych sal, gdzie zakon ukrywał najniebezpieczniejsze manuskrypty z indeksu.

Parks wciąż czyta. Z Kartagenu szlak zabójstw wiedzie do Meksyku i Stanów Zjednoczonych. Kongregacja Corpus Christi w Teksasie i ta z Phoenix w Arizonie. Ostatniego zabójstwa dokonano w Kolorado, w twierdzy zakonu w Górach Skalistych. To tam cztery zakonnice niemal dopadły Kaleba. Kilka dni później natrafiły na jego ślad w Hattiesburgu, dokąd przybyły kolejno, by położyć kres szaleńczej wędrówce mordercy. W okolicy nie było żadnego klasztoru pustelnic, tylko cuchnące bagna i lasy aż po horyzont.

Aby zwabić cztery siostry na to odludzie, Kaleb zaczął wyciągać trupy z grobów na małych cmentarzach, i przenosić je do krypty w lesie Oxborne. Te profanacje były tematem numer jeden w lokalnej prasie, potem także w gazetach wielkich miast. Aż wreszcie zakonnice dowiedziały się o nich, przeglądając dzienniki. Parks wygodnie oparła się o zagłówek fotela. Tak, w ten właśnie sposób cztery zamordowane z Hattiesburga same wpadły w paszczę lwa.

Potem odnaleziono ich ubrania na skraju lasu. To było dziwne – po co Kaleb podjął takie ryzyko? Dlaczego nie ulotnił się po zamordowaniu ścigających go zakonnice? Dlaczego? Może chciał ją zwabić, chciał aby ruszyła śladem Rachel i odkryła zmarłych z krypty. Oczywiście, tylko po co? Marie nie zna odpowiedzi na to pytanie. Wyczerpana, przymknęła oczy i wsłuchiwała się w warkot silników. Głośniki trzeszczały. Ledwie usłyszała głos kapitana, który poinformował o wejściu w strefę turbulencji. Marie zapada w sen wolny od wizji.

CZĘŚĆ PIĄTA

75

Igarape do Jamanacari, doływ Rio Negro, lasy Amazonii

Śpiący czuje, jak promienie słońca łagodnie muskają jego powieki. Piroga sunie pod zwartym dachem gałęzi, przez które przebija się światło. Jego plamy przecinają rozległe obszary cienia. Łódka płynie po gęstych wodach igarape, sennej rzece, wijącej się pośród drzew.

Śpiący czuje woń wioślarzy, którzy pracują tuż obok niego. Fale gorzkawego potu unoszą się z ich ciał, mieszają się z zapachem kwitnącej wody i roślinności. Tylko chlupot wiosła i regularny oddech wioślarzy przerywają absolutną ciszę lasu. Nie słychać krzyków małp ani śpiewu ptaków. Ale owady wróciły i ich bzyczące chmary znów krążą wśród zarośli. Ukryty za murem powiek, śpiący czuje, jak komary obsiadają jego nogi i gołe ramiona. Jest głodny. Potworne pragnienie piecze jego gardło. Tysiące kropelek wydobywają się z jego ciała i spływają po skórze. Słucha szmeru rzeki pod dnem pirogi, uderzeń gałęzi o burty, chlupotu zanurzających się w ciepłej wodzie wiosła. Chce poruszyć ręką i nagle uświadamia sobie, jak bardzo jest zmęczony. Wyczerpanie paraliżuje jego ciało, a umysł otępia i pogrąża w mroku. Ma wrażenie, że przez całe wieki był nieprzytomny. Usiłuje przywołać wspomnienia, ale jego pamięć jest pusta. A raczej – okruchy obrazów, które ocalała, są niedostępne, jakby zamazało je coś innego. To mroczna, zwarta reminiscencja bez obrazów, bez zapachów i dźwięków, jak butelka atramentu, który wylał się na książkę, albo warstwa świeżego cementu na starym

fresku. Śpiący podrywa się. Stary fresk... Gorączkowo zdrapuje tę warstwę, która pokryła jego wspomnienia. Jak archeolog stuka w warstewkę cementu, kruszy ją i usuwa, aż ujrzy pod spodem czerwono-niebieskie freski na sklepieniu piwnicy, w blasku pochodni. Tak, śpiący pamięta. Jego powieki drżą. Ręce zaciskają się, paznokcie drapią dno pirogi. Olmeccy pierwsi ludzie, utracony raj, archanioł Gabriel obdarzający ogniem wybrane plemię. Przemierza wieki i zatrzymuje się przed ostatnim freskiem. Trzy krzyże na szczycie olmeckiej piramidy. Ogarnia go strach. Przed oczyma staje mu ten Chrystus, który patrzy na tłum, wijąc się na krzyżu i wrzeszcząc na tłum. Plaga Olmeków.

–Boże, już sobie przypominam...

Chlupot wiosła słabnie, piroga zwalnia. Brodata, znużona twarz pochyla się nad śpiącym. Mówi z okropnym akcentem, mieszkanką portugalskiego, niemieckiego i indiańskich dialektów doliny Orinoko.

–Witaj wśród żywych, ojciec Carzo. Długo modliliśmy się o zbawienie twej duszy, gdy staczałeś walką z mocami mroku.

–Kim jesteś?

–Pastor Gerhard Steiner. Prowadzę misję protestancką w San José da Constanza. Myśliwi odnaleźli cię, gdy błąkałeś się po dżungli, a helikopter armii brazylijskiej przywiózł cię do nas.

–Gdzie jesteśmy?

–Płyniemy właśnie igarape Jamanacari w kierunku Rio Negro. Jesteśmy w

okolicach Manaus. Carzo chwyta Steinera za rękaw.

–Yanomani! Trzeba pospieszyć im z pomocą. Opalona twarz pastora blednie.

–Wojsko wysłało patrol do Sao Joachim. Usłyszałem ich raport radiowy. Zostały tylko trupy. Dżuma... zabiła wszystkich. Teraz szerzy się w głębi lasu, przesuwa się do delty Amazonki.

–A ojciec Alameda? Twarz pastora posmutniała.

–Powinieneś odpocząć.

–Steiner, mów, co z ojcem Alameda!

–Odnależliśmy jego zwłoki. Powiesił się na gałęzi drzewa.

Czerwone mrówki zjadły jego twarz. – Boże...

–Co tam się stało, ojciec Carzo? Co Yanomani obudzili w sercu lasu?

Carzo zamyka oczy. Szuka innych wspomnień na rumowisku pamięci. Fresk...

Chrystus o ziejących nienawiścią oczach... Pochodnia, która skwierczy i gaśnie. Droga w ciemnościach do otwartej groty w trzewiach góry... Krąg świec. Coś stoi pośrodku. Coś, co...

–Ojciec Carzo, pamiętasz, co się stało?

–Nie wiem, nie pamiętam...

–Spróbuj, ojciec. Błagam.

Carzo się koncentruje. Rozedrgane płomienie świec. Woń padliny i siarki. To coś, co było Maluną, stoi w kręgu światła, fearzo drży, czując, jak mrok tej złoczynnej siły zżera jego duszę. Agonia duszy i śmierć Boga. I Carzo już wie, że jego wiara jest bezsilna wobec takiego ogromu Zła. Wchodzi w krąg światła, staje przed postacią i wciąga w nozdrza odrażający smród, który ziej z jej paszczy. Ostatnim wspomnieniem, jakie zachował, jest dziwne osłupienie, które ogarnia jego umysł. Potem uginają się pod nim nogi i pada na kolana u stóp postaci. Wszystko, co wydarzyło się później, na zawsze zatarło się w jego pamięci. Pozostały tylko strzępy obrazów, jakieś dźwięki i zapachy.

Carzo czuje, że pod pirogą burzy się woda. Żywy, szybki, kapryśny nurt. Otwiera oczy. Nad jego głową dach gałęzi rozrywa się, brzegi rzeki są coraz bardziej oddalone. Piroga wypływa z leniwych, błotnistych wód igarape na bystry prąd Rio Negro. Z przodu dobiega ich krzyk. Wyczerpany Carzo unosi się i spogląda za wyciągniętą ręką tubylca Maturacasa. Za rozpraszającą się mgłą widać drewniany pomost i chaty na palach. Dalej port, w którym stare barki o pokrytych rdzą kadłubach czekają na ładunek kauczuku. Jeszcze dalej dachy miasta i strzelista wieża jezuickiej katedry Nossa Senhora da Imaculada Conceicao (Matki Bożej Niepokalanego Poczęcia).

–Manaus! Manaus! – wrzeszczy tubylec, klaszcząc w ręce.

Carzo układa się w pirodze i zamyka oczy.

Denver, międzynarodowe lotnisko Stapelton Powietrze wydychane przez Parks zamienia się w parę już w drzwiach samolotu. Mróz szczypie policzki. Wokół wirują płatki śniegu.

W budynku lotniska Marie udaje się do biura wynajmu samochodów, sięga po kartę kredytową od Crossmana i wybiera z oferty cadillaca escalade, trzytonowe monstrum wyposażone w szerokie opony. Idealny na zaśnieżone drogi Kolorado. Potem szybko opuszcza przeszklony terminal i wychodzi na parking, gdzie oczekują dziesiątki limuzyn i wozów z napędem na cztery koła.

Wsiada do cadillaca, przekręca kluczyk i wsłuchuje się w warkot silnika, a tymczasem system elektroniczny automatycznie ustawia wysokość pedałów, fotel i lusterka. Marie zapina pas i 6-litrowe V8 już toczy się po asfalcie. Zręcznie manewrując, Parks wyjeżdża z parkingu i oddala się od lotniska przez Pen Boulevard, a następnie Interstate 70 w stronę Denver. Marie uśmiecha się do dziewczynki, która stroi do niej miny zza tylnej szyby toyoty. Potem zjeżdża na prawy pas i stawia ogranicznik prędkości na pięćdziesiąt mil. W dali widać szczyty Gór Skalistych. Marie tłumii ziewnięcie i włącza radio. Wybrany program to KOA, stacja informacyjna. Nosowy głos prezentera pogody wypełnia kabinę:

„Właśnie otrzymaliśmy ostrzeżenie ze stacji meteorologicznej w Cheyenne. Przekazano nam, że na północy Wyoming rozpętała się zamieć i już w tej chwili w parku Yellowstone leży czterdzieści centymetrów śniegu. Podobnie jest u podnóża Bighorn Mountains. Uwzględniając siłę wiatru, front dotrze do gór Laramie i granic Kolorado w ciągu czterech godzin. Będzie się kierował na Boulder i Denver i spowoduje nieprzejezdność dróg górskich oraz tras wiodących przez dolinę”. Prezenter kończy informacje stosownymi wskazówkami. Marie wyłącza radio. Cztery godziny... Ma zatem tylko chwilę, żeby zahaczyć o biuro FBI i zaraz potem jechać do klasztoru pustelnic od Świętego Krzyża. Ale już za mało, żeby myśleć o powrocie, a to oznacza, że będzie musiała przeczekać tam zamieć i być może utknie na wysokości dwóch i pół tysiąca metrów, wśród

kobiet, które żyją jak w średniowieczu, większość czasu poświęcając analizom satanistycznych tekstów. Obawa, że stare czarownice, obcując na co dzień z takimi potwornościami, kompletnie powariowały, wydała jej się uzasadniona. Dlatego nieco wystraszona Parks wyobraziła sobie pierwszą stronę „Holy Cross News”:

Masakra w klasztorze: po straszliwej zamieci, która szalała nad regionem przez kilka dni, policja odnalazła szczątki Marie Megan Parks, agentki specjalnej FBI, zajmującej się ściganiem seryjnych zabójców. Wstępne wyniki śledztwa wskazują, że uzyskawszy gościnę u zakonnic od Świętego Krzyża, kobieta została pożarta żywcem podczas seansu egzorcyzmów, który skończył się dla niej fatalnie. – Skończ z tymi bzdurami, Marie... Żeby dodać sobie otuchy, Marie głośno wypowiedziała te słowa, ale chrapliwy dźwięk, który usłyszała, przyprawił ją o dreszcz. Zerknęła w lusterko wsteczne, żeby się upewnić, że na tylnym siedzeniu nie ma nikogo. Potem otrząsnęła się z tego przykrego wrażenia i skoncentrowała uwagę na drodze. Prawdę mówiąc, to nie pustelnice wzbudzały jej obawy. No i nie perspektywa spędzenia

jednej czy dwóch nocy w górach. Nie, przerażała ją ta wewnętrzna pewność, że Kaleb nie umarł, że jego duch ją ściga. Przypominało to trochę wrażenie, jakiego doznał niemal każdy, idąc kiedyś nocą po pustym parkingu, ów strach, który nagle nas ogarnia, choć właściwie nie przyszło nam na myśl nic niepokojącego. Oglądamy się, ale w pobliżu nikogo nie ma. Nieuzasadniony strach mrozi serce niczym tchnienie rozgniewanych zmarłych – to drgnienia powietrza, które ocierają się o nas w ciemnościach. Właśnie to czuła od wyjazdu z Bostonu – oddech Kaleba. Oprócz tych wizji, w których wczuwała się w rolę ofiar seryjnych zabójców, czasami prześladują ją jeszcze trudniejsze do zniesienia, takie, o których nigdy nikomu nie wspominała, nawet lekarzowi z Kalifornii, który rozpoznał u niej reaktywny syndrom medium. Od wybudzenia ze śpiączki zdarza się jej widywać zmarłych.

Manaus. Piroga opuściła główny nurt Rio Negro i płynie odnogą rzeki przez miasto. Cumuje przy pływającym pomoście, między łódkami rybackimi a płaskodennymi barkami poławiaczy piranii. Ojciec Carzo zwraca oczy na nabrzeże. Nigdy jeszcze nie widział takich kłębow mgły napływających nad miasto.

–Zło się szerzy.

Patrzy na pastora stojącego w łodzi. Steiner w słomkowym kapeluszu, z brodą zasłaniającą część twarzy, przypomina szaleńca, który wyniknął się ze szpitala. Przyjąwszy amulet, który jeden z Indian Maturacas założył mu na szyję, egzorcysta odchodzi w stronę katedry Nossa Senhora da Imaculada Conceicao, której dzwonnice wznoszą się w dali. Tam uzyska wsparcie" i poradę ojca Jacomino, wybitnego znawcy Złego i mrocznej strony ludzkiej duszy.

W starym mieście, gdzie gorący oddech lasu łączy się z mgłami znad Rio Negro, panuje upał i sandały ojca Carzo pozostawiają odcisnięty ślad w asfalcie. Jego habit przesiąka potem, robaczki świętojańskie wirują mu przed oczyma. Zbliżając się do katedry ma wrażenie, że światło się odmienia. Na bladym niebie słońce traci blask. To zimne słońce.

Carzo przyspiesza kroku. Sylwetka katedry rośnie przed nim. Nagle dostrzega ciszę, która zapanowała nad miastem, ciszę, na którą składają się podmuchy wiatru, ujadanie psów, trzask okiennic, jakby serce amazońskiego miasta przestało bić. Potem uświadamia sobie, że z alei, którą idzie, zniknęli przechodnie, a w sklepach opuszczono stopy. Wózki handlarzy przypraw stoją, jakby porzucono je w popłochu. Tylko kilka starych Metysek w łachmanach mija kapłana, wlokąc za sobą półnagie dzieci. Carzo przytrzymuje jedną z kobiet za rękaw i pyta, co się stało. Staruszka wskazuje niebo i odpowiada szeptem, że nadciąga burza. Potem, dostrzegając krzyż na sutannie Carzo, pada na kolana i całuje go w rękę. Kapłan czuje, jak jej łzy spływają po jego skórze. Kobieta wygląda na przerażoną.

–O Diabo! O Diabo entrou na igreja!

„Diabeł wszedł do kościoła”. Metyska powtarza te słowa,

całując rękę kapłana drżącymi ustami. Carzo zwraca spojrzenie we wskazanym przez nią kierunku i czuje, że włos jeży mu się na głowie. Schody i wejście do kościoła obsiadła chmara ptaków. Ta dziobata armia wystrojona w barwne pióra zdaje się strzec wrót katedry. Kolibry i niezliczone papugi siedzą na asfalcie i latają po alei, igrając z prądami powietrznymi, jakby słuchały głosu, który nakazuje im bronić dostępu do budowli. Lodowaty wiatr mrozi krople potu na czole Carza. Egzorcysta chce iść w dalszą drogę, ale czuje, że dłoń staruszki zaciska się na jego palcach ze zdumiewającą siłą. Krzywi się z bólu i próbuje wyrwać rękę, a gdy mu się to nie udaje, chwyta kobietę za włosy i unosi jej głowę. Widzi białe oczy i skórę twarzy, która rozpada się, niczym woskowa maska pod działaniem płomieni. Grobowy głos dobywa się z nieruchomych ust:

–Nie wchodź tam, Carzo. Powiedziałem, żebyś trzymał się od tego z daleka.

Uprowadziłem, żebyś nie stawał mi na drodze. Ale nie usłuchałeś.

Carzo drży, rozpoznając głos, który słyszał w słuchawce w San Francisco. Głowa

Metyski opada. Puszcza rękę kapłana i pozostaje na klęczkach, na środku ulicy.

Ściskając amulet i wzywając bogów lasu, egzorcysta zbliża się do ptaków, których ruchliwa, hałaśliwa chmara skupia się, wściekle popiskując. Papugi fruwią o kilka centymetrów od jego twarzy. Gdy stawia nogę na pierwszym stopniu schodów, głosy nagle milkną. Niebo nad katedrą jest czarne, wiatr, który omiata teraz plac, unosi tumany pyłu. Egzorcysta uważnie patrzy na fasadę świątyni. Wściekle uderzając skrzydłami, żeby utrzymać równowagę, ptaki opanowują wieżyczki, siadają na okapach i dachach, a ich odchody spadają na chodnik. Carzo zamierza wejść na drugi stopień, gdy dzwon katedry podrywa do lotu stada siedzących gołębi Carzo wolno wchodzi na kolejne stopnie. Ptaki rozstępują się przed nim, ale zaraz potem znów zacieśniają szeregi. Kapłan podąża tą ruchomą ścieżką, nie zważając na odchody spadające mu na ramiona, włosy i twarz. Raz po raz wyciera się rękawem habitu.

Marie Parks zaczęła widzieć zmarłych kilka dni po wynudzeniu ze śpiączki. Zaczęło się od starej Hazel, która leżała w pokoju 789, na końcu korytarza. Parks przystanąła w progu i zerknęła do środka. Stara kobieta leżała w łóżku, zabezpieczona pasami, a do jej ramion i wychudzonych piersi biegły plastikowe rurki. Obok aparatura wspomagająca oddychanie wpychała do jej zanieczyszczonych po czterdziestu latach palenia płuc po kilka centylitrów tlenu, który piekł i prowokował ataki kaszlu. Chorowała na ziarnicę złośliwą, ale ta nazwa niezbyt dobrze pasowała do zjadliwego nowotworu, który dawał przerzuty do całego organizmu, wywołując kolejne ogniska choroby. Hazel była w ostatnim stadium choroby.

Patrząc szeroko otwartymi oczyma, wyrażającymi ból i smutek Hazel skinęła ręką i Marie na palcach weszła do pokoju. Powietrze było przesiąknięte zapachem formaliny. W łóżku, w głębi pokoju, jęczała druga konająca, a wciśnięta do jej gardła rurka odciągała wydzielinę zalegającą w oskrzelach. Marie podeszła do Hazel. W oczach staruszki było tyle dobroci i szlachetności, że Parks przysiadła na łóżku i pozwoliła wziąć się za rękę. Poczuła, jak jej stawy trzeszczą w uścisku, zobaczyła nienawistny grymas na ustach Hazel i usłyszała metaliczny głos, dobywający się z rurki wystającej z krtani.

–Kim jesteś, podła dziwko, jak to możliwe, że mnie widzisz?

Nie powinnaś mnie widzieć! Słyszysz? Nie możesz mnie widzieć!

Parks walczyła ze wszystkimi siłami, żeby wyrwać się wariatce. Potem Hazel nagle ją puściła i Marie uciekła. W korytarzu padła w ramiona pielęgniarki i szlochając, opowiedziała jej, że stara wariatka z pokoju 789 chciała ją zabić.

–Jaka stara wariatka?

–Hazel. Przeczytałam to na jej karcie. Zapadła cisza. Marie czuła, że serce pielęgniarki gwałtownie przyspieszyło.

–Martha Hazel z pokoju 789?

–Tak.

–Poproszę lekarza, żeby przepisał ci coś na uspokojenie, kochanie, Tymczasem połóż się i odpocznij. Parks wyrwała się z objęć kobiety.

–Do diabła, przecież mówię, że ona usiłowała mnie zabić!

–To niemożliwe.

–Dlaczego?

–Ponieważ nie żyje od przeszło tygodnia, kotku.

Marie kręciła głową. Potem złapała pielęgniarkę za rękę i zaciągnęła ją do pokoju.

Kiedy Parks weszła, stara Hazel siedziała po turecku na łóżku, całkiem naga, z obwisłymi piersiami i owłosieniem na łonie widocznym między wychudzonymi udami. W przebarwionych od nikotyny palcach trzymała papierosa, a smużka dymu wydobywała się z rurki w jej krtani po każdym machu. Przerazona Marie zatrzymała się, pokazując ją palcem.

–A nie mówiłam! To ona usiłowała mnie zabić! Jednak pielęgniarka ledwie

spojrzała we wskazanym przez młodą pacjentkę kierunku – łóżko, które zajmowała Martha Hazel było puste, a maszyna, która pomagała jej oddychać, została już zabrana do magazynu. Materac na łóżku przykryto plastikowym pokrowcem. Pielęgniarka położyła rękę na ramieniu Parks.

–Kochanie, przestań zadawać sobie ból. W tym łóżku nikogo nie ma. Ona umarła, została już pochowana, uwierz mi. To było tydzień temu.

Ledwie słysząc głos pielęgniarki, Marie zasłoniła sine pręgi na nadgarstkach. Potem spojrzała prosto w oczy Marthy Hazel, która obserwowała ją przez kłęby dymu. Z rury w krtani znów dobiegł metaliczny głos.

–Nie męcz się, kochana Marie, ta gruba krowa nie może mnie zobaczyć ani usłyszeć. Ty wracasz od umarłych. Zostawiłaś tam część siebie. Dlatego mnie widzisz. Ale i ja ciebie widzę, wstrętna zdiro. Jesteś trochę zamazana, a jednak Atak kaszlu zgiął starą wpół, strużka krwi spłynęła jej po brodzie i szyi.

–Kurwa, jakie to smutne – pety straciły smak, a ja dalej kaszlę, chociaż nie żyję! Dałabyś wiarę? Widząc uśmiech Marthy Hazel i odsłaniające się w nim kły,

Parks zemdląca w ramionach pielęgniarki. Marie wciska hamulec, żeby wpuścić wyprzedzającego ją pick-upa i drży na wspomnienie starej Hazel – swojej pierwszej zmarłej. Od tamtego dnia spotykała ich już tak wielu! Zmarli snuli się po ulicach, siedzieli nieruchomo w kawiarnianych ogródkach, rozkładające się dzieci bawiły się skakanką na szkolnych dziedzińcach, starcy błakali się po cmentarzach, sinozielone kobiety w niemodnych sukienkach sączyły kawę z przykurzonych filiżanek, siedząc pośród gości restauracji. Zmarli, którzy nie zaznali spokoju, bo nie udało im się odnaleźć przejścia w zaświaty.

Marie zjeżdża z Międzystanowej 70 w Colfax Avenue, w stronę denverskiego zoo. Pierwsze płatki śniegu proszą już na trawnik. Po chwili Parks skręca w Stout Street i jedzie do skrzyżowania z Brighton, gdzie cudownym zbiegiem okoliczności jakiś pick-up wyjeżdża z parkingu i zostawia jej szerokie miejsce tuż przed wejściem do biura FBI. Włącza silnik i patrzy na zegarek – jest siedemnasta.

Pchając ciężkie skrzydło drzwi katedry, ojciec Carzo poczuł silny, drażniący zapach żywicy i spalonego mięsa. Dym kadzidła unosi się w powietrzu, setki świec i świeczek lśnią w wonnej mgiełce. Jeśli nie liczyć tych żółtych płomyków, katedra tonie w niemal kompletnych ciemnościach, których nie rozproszyłoby światło dzienne, przedzierające się tu przez witraże.

Egzorcysta zamiera. Słodki, duszący zapach fiołków drażni jego nozdrza. To woń diabła. Carzo przez chwilę stoi nieruchomo w progu. Dla przeciętnego wiernego ten średniowieczny zapach nic nie znaczy, ale egzorcysta rozumie, skąd pochodzi.

Wonności

boże przeciwko słodkiemu smrodowi diabła. Ojciec Jacommo i jezuici pozwolili czemuś takiemu przeniknąć do katedry. Carzo wciąga jeszcze raz ten zapach, starannie go analizuje. W końcu wzdycha z ulgą. Olejki i tłusta woń świec niemal przegnały zapach fiołków i spalonego mięsa, ale nie w pełni. Jezuici wygrali pierwszą rundę. Niestety, jeżeli zło czynne wonie przetrwały w zapachu świętych, oznaczało to, że Bestia, choć ranna, nadal tu jest i nie została pokonana. Carzo wolno idzie do ołtarza, wsłuchany w echo swoich kroków. Po obu stronach głównej nawy widać połamane ławki i klęczniki. Rozrzucone deski i welurowe poduszki dowodzą, że wszystko to zostało wyrzucone na dużą wysokość, a ławki roztrzaskiwały się, spadając.

Usłyszawszy szelest papieru pod stopami, kapłan spojrzał na posadzkę. Święte obrazki i karty modlitewników poniewierały się po całej świątyni. Zauważyła też, że setki bukszpanowych kulek, niczym perły z ogromnego naszyjnika toczą się po marmurze. Podnosi jedną z nich i ogląda – to ogniwa różańca. Carzo zamyka oczy. Wierni modlili się, kiedy wtargnęła tu Bestia, i owinięte wokół ich palców różańce nagle się rozpadły za sprawą złej mocy, która zawładnęła katedrą, Egzorcysta idzie do chrzcielnicy przy jednej z kolumn. Cofa się, czując silną woń siarki bijącą od stęchłej, wciąż jeszcze burzącej się na dnie wody. Zatyka nos, muska wodę palcem i błyskawicznie go cofa, gryząc się w język, by nie zakląć z bólu – ta dawniej święcona woda jest wrząca. Idąc w stronę chóru stwierdza, że po obu stronach katedry konfesjonały z litego drewna są rozbite, a zasłony wyglądają, jakby strawił je niesłychany żar. Spogląda w górę. Nad nim wychylają się z murów anioły, nadstawiając ucha na wyznania grzeszników. Dalej posągi są okryte czernią. Carzo zrywa płótno z Madonny. Staje jak wryty. W migotliwym świetle świec widzi strużki krwi spływające z oczu po marmurowej twarzy i szacie, i kałuże u stóp figury.

Dochodzi do końca nawy i zatrzymuje się. Kolejny, ostami znak wzmaga jego czujność. Po obu stronach ołtarza powinny palić się światełka – symbol obecności Boga. Są zgaszone. Oczy Carza świdrują ciemność. W tym rozpasaniu zapachów, które drażnią jego nozdrza, brakuje jeszcze jednego, takiego, który powinien zdominować wszystkie inne. Ta woń jest tak piękna i szlachetna, że ktokolwiek ją wdycha, czuje, że jego dusza rozkwita jak kwiat – to woń róż, towarzysząca zawsze

Przenajświętszemu. Tu nie było ani śladu róż Bożych i ambry archaniołów. A nawet lekkiej woni konwalii świętych czy subtelnych lilii Marii Panny. I zrozumiał, że

wydając jezuitów Bestii, Bóg i jego niebiański dwór opuścili katedrę. I już poddałby się smutkowi, gdyby z oddali, z podziemi katedry, nie dobiegło go wycie. Carzo spojrzął w dół i dostrzegł, że stoi na kracie wentylacyjnej, która układa się pod jego sandałami w arabeski z kutego żelaza. Pochylił się i wyczuł silny zapach olejków i fiołków buchający z podziemi budowli Kolejny ryk stłumiony przez odległość przedarł się przez kratę – walka w podziemiach wciąż trwa.

Biura FBI są wyludnione. Parks podeszła do oszklonego pokoiku, w którym siedziała recepcjonistka. Pokazała jej legitymację i włożyła służbową broń do metalowej szufladki, która się wysunęła. Dyżurna cofnęła szufladkę, wyjęła broń i odłożyła ją do szafy. Bez glocka 9 mm, którym posługiwała się w swojej jedenastoletniej karierze setki razy, Marie poczuła się naga. Kobieta podsunęła jej formularz do podpisania.

–Gdzie jest dyżurna ekipa?

–Na górze jest czterech agentów. Pozostali prowadzą śledztwo w sprawie serii profanacji, do jakich doszło ostatnio. Jakby wszyscy wyznawcy Szatana od Kolorado po Wyoming umówili się, żeby wykopać zmarłych i podrzynać gardła kozłom, w dodatku na cmentarzach.

–Macie tu wielu satanistów?

–W Boulder istnieje duża kongregacja. Tacy faceci w czarnych szatach, którzy malują na murach pięcioramienne gwiazdy i piją piwo, wypowiadając łacińskie formuły, ale od końca. Moim zdaniem, jeżeli Szatan istnieje, to z takimi wielbicielami nie ma nic wspólnego. A co panią do nas sprowadza?

–Wielbiciel Szatana.

–Żartuje pani?

–Ani mi to w głowie. Ale mój jest w dodatku seryjnym mordercą i moim zdaniem Szatan z pewnością traktuje go bardzo poważnie.

–Niesamowita zwierzyna. To musi być gorsze od dzieciobój-ców, prawda?

–Potrzebny mi komputer i szybkie łącze internetowe. Urażona tą oschłą odpowiedzią Parks, dyżurna wskazała jej pokój informatyczny w końcu korytarza, opatrzony numerem 1119.

Marie słucha odgłosu kroków tłumionych przez wykładzinę dywanową. W pokojach biurowych, które mijala, ekrany komputerów pozostawiono włączone, a walkie-talkies trzeszczały na stolikach. Prawie wszędzie dzwonią telefony. Parks zamyka drzwi pokoju 1119 i włącza komputer stojący wśród rozmaitych dokumentów i kartonowych kubeczków. Przypięte do ścian portrety najniebezpieczniejszych przestępców z Kolorado i Wyoming sąsiadują ze zdjęciami zaginionych przed wielu laty dzieci. Pośrodku, pod wizerunkiem prezydenta, w zakurzonej gablocie leży Konstytucja Stanów Zjednoczonych. Po prawej widnieje wydrukowana na glansowanym papierze lista ten most wanted, dziesięciu przestępców, najbardziej poszukiwanych międzynarodowymi listami gończymi. Nagrody wynoszą od stu tysięcy dolarów za zabójcę z kartelu, niejakiego Pabla Tomasa de Limassol, do miliona za przemytnika materiałów promieniotwórczych, posługującego się nazwiskiem Robert S. Dennings. Parks gwizdnęła przez zęby. Gdyby specjalizowała się w takich sprawach, mogłaby kupić sobie kasyno w Vegas. Szkoda, że cross-killerzy, których ścigała, nie zasługiwali według amerykańskich władz ani na nagrody, ani na wywiady z agentami.

Weszła do bazy danych laboratoriów, które FBI miało w Stanach, Meksyku i

Europie. Trafiały tam informacje o wyjątkowo brutalnych zbrodniach, których zagadki nie udało się rozwikłać policjom całego świata, wyrafinowanych i nieuchwytnych seryjnych zabójców, z którymi służby kryminalne posługujące się konwencjonalnymi metodami nie potrafiły sobie poradzić. Mogły tylko liczyć ich ofiary. Szczególnie skomplikowane były sprawy cross-killerów, bo żeby mieć szansę przygwożdżenia takiego

przeciwnika, trzeba podążać labiryntem jego myśli i znaleźć wyjście, zanim on sam do niego dotrze. W przeciwnym razie można na zawsze utknąć w tej plątaninie korytarzy i ścieżek. Parks o mało nie wpadła w pułapkę, prowadząc śledztwo w sprawie Gilliana Raya, nowojorskiego studenta, który zafundował sobie dwumiesięczne wakacje w Australii. Przez dwa miesiące włóczył się autostopem po niekończących się drogach, które wiją się po rozpalonych pustyniach, suchych i gorących, jak nigdzie indziej. Dwa tysiące trzysta kilometrów rozpalonego piasku, kamienie i płaskowyże między Darwin i Cape Nelson... Jedenaście zabitych ofiar w ciągu dwóch miesięcy, ich zwłoki rzucone padlinożercom i wężom.

Ojciec Carzo podnosi dźwignię pod ołtarzem i patrzy, jak figura świętego Franciszka z Asyżu przesuwa się na cokole. W ścianie pojawia się wąska szpara, ukryte przejście do podziemi,

o którego istnieniu wiedzieli tylko jezuici z Manaus i on. Przed kilkoma miesiącami, jakby obawiając się czegoś złego, tę tajemnicę wyjawiał mu Jacomino.

Egzorcysta wciska się w ten przesmyk i podnosi inną dźwignię, aby zamknąć przejście. Słyszy, że święty Franciszek znowu się obraca. Potem głuchy trzask i już tylko cisza. Gdy idzie po schodach, dobiegające z dala krzyki stają się bardziej wyraziste i czytelne. To strach i cierpienie, po portugalsku i po łacinie. Huragan głosów, które odpowiadają sobie, nawołują, milkną. Sądząc po gniewie, jaki wyziera z tych słów, które rozlegają się w podziemiach, odbywa się tam seans zbiorowych egzorcyzmów, ceremonia zakazana, której nie wolno organizować począwszy od mrocznych czasów średniowiecza. Dotarłszy na dół, ojciec Carzo wchodzi w płataninę korytarzy wykutych w fundamentach katedry. Kierując się nasileniem dźwięków, wybiera najszersze i najstarsze przejście. Ten korytarz oświetlają pochodnie, których blask kładzie się na murach.

Kapłan węża powietrze. Zapach Zła wyraźnie dominuje teraz nad wonią świętości. Jezuici zapędzili Bestię w koniec tunelu, ale Bestia nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Carzo czuje ciepły podmuch owiewający mu nogi. Spogląda w dół. Kamienne paszcze otwierają się tuż nad ziemią, wyrzucając strumienie powietrza z przewodów wentylacyjnych. Tu znajdują się cele. Tu portugalscy zdobywcy więzili tubylców i piratów z Amazonki. W celach kapłan widzi przerdzewiałe łańcuchy i pierścienie, które zaciskano na szyjach więźniów. Wsuwa pochodnię przez kraty. Szczury biegają pod murami, piszcząc ze strachu. Wyciągając rękę najdalej, jak może, oświetla napisy na murach – obelgi, pożegnania, rzędy kresek, które skazani na śmierć kreślili, zanim skonali na szubienicy. Ojciec Carzo cofa rękę i wtedy światło pochodni pada na kształt przyciśnięty do muru. Egzorcysta popycha kratę i wchodzi do celi. Na ziemi trup jezuity w czarnym habicie wpatruje się w mrok pustymi oczodołami. Sądząc z ułożenia ciała, jakaś nadludzka siłą skręciła mu kark i połamała kości. Carzo z najwyższym trudem rozpoznaje tę wykrzywioną z przerażenia twarz. To brat Ignacio Constenza, nieprzeciętny jezuita, który stosował egzorcyzmy i miał dar wyczuwania demonów. Tak jak ojciec Alameda przy wejściu do azteckiej świątyni, nieszczęśnik osiwił z przerażenia. Carzo położył palce na powiekach Ignacia i odmówił modlitwę za zmarłych. Potem opuścił celę i skierował się tam, skąd dobiegały krzyki.

Aby nie poddać się strachowi, egzorcysta liczy metry dzielące go od końca tunelu. Gdy stawia dwunasty krok, słyszy jęk agonii, który wypełnia podziemia. Staje i wdycha woń fiołków, teraz niezwykle silną. Nie czuje już zapachu mirry ani kadzidła. Jezuici przegrali.

Stukanie butów. Carzo dostrzega w dali zbliżającą się ogromną postać. Nigdy jeszcze taki mrok nie przeniknął jego serca, a z potęgą nicości i pustki zetknął się tylko w azteckiej świątyni. To, co się zbliża, jest uosobieniem najwyższego Zła. Idzie,

zdmuchując kolejne pochodnie, pochłaniając ich światło. Kapłan stoi skamieniały. Na spotkanie wyszła mu noc. Potem, gdy woń fiołków staje się dusząca, egzorcysta wyrwa się z osłupienia, cofa się do celi, w której skonał brat Ignacio, wciska się w jej kąt i zasłania twarz rękami.

W korytarzach nasila się szelest, popiskiwanie i przenikliwe głosy, które towarzyszą pogoni małych łapek po ubitej ziemi. Spod przymkniętych powiek kapłan widzi stada szczurów, które umykają przed nadciągającym niebezpieczeństwem. Kilka z nich wciska się do celi i atakuje ciało jezuita. Carzo przegania je kopniakami. Znikają za kratą, dołączając do stada, które się oddala. Zapada cisza.

Skrzypienie butów. Lodowaty podmuch w korytarzu. Zapach fiołków nasila się i drażni nozdrza kapłana. Przyciskając ręce do twarzy, Carzo rozsuwa palce, żeby spojrzeć na to, co pojawiło się w jego polu widzenia. Ma czarną mnisią burkę z kapturem i ciężkie buty pielgrzyma. Pręży się. To złodziej dusz. To właśnie jego jezuita wpuścili do katedry.

Serce egzorcysty tłucze się w piersi, gdy czeka przez długie minuty, by wstać z ukrycia. Pociąga nosem. Bestia odeszła. Carzo przyspiesza kroku. W końcu korytarza widzi uchylone drzwi, czuje zapach pastowanego drewna i kurzu, zapach archiwum.

Z wolna oswajając się z ciemnością, Carzo wchodzi do dużej biblioteki z kolumnami pełnej półek i stolików. Wycięte w stropie okna z szybami z matowego szkła wychwytyują odległe promienie słońca i rzucają je na podłogę długimi, przykurzonymi smugami. Egzorcysta domyśla się, że ta sala musi się znajdować w podziemiach.

Na marmurowej posadzce dostrzega niebieskawe litery, które układają się w łacińskie zdanie Ad Majorem Dei Gloriam. Ku chwale Boga. Nieco dalej, w promiennym słońcu, widnieją inne czarne litery: IHS – Iesus Hominum Salvator. Jezus Zbawiciel Ludzi – dewiza jezuitów.

Carzo przechodzi między przewróconymi półkami. Pergaminy i rękopisy poniewierają się po posadzce. Przystając na tym pobożowisku, kapłan wsłuchuje się w ciszę. Jego uwagę zwraca regularne stukanie. Dobia ze środka sali, gdzie blask światła rozrywa mrok. Egzorcysta widzi blat do pisania i grubą otwartą księgę. Karty manuskryptu ociekają krwią. Jej krople skapują z blatu na posadzkę. Carzo staje w kręgu światła i ogląda księgę: „Traktat o Piekło”,

bezcenny podręcznik egzorcyzmów, spisany w XI wieku i otwarty drżącą ręką na stronie opisującej obrządek Mroku. To niezwykle niebezpieczny i tajemniczy ceremoniał, stosowany wyłącznie w walce z najpotężniejszymi demonami, i tylko wówczas, gdy zawiodą wszystkie inne środki. Kapłan wyciąga rękę i zatrzymuje ją nad manuskrytem. Plusk. Kropla krwi spada na jego dłoń i układa się w jaskrawo-czerwoną arabeskę. Carzo spogląda w górę i odskakuje przerażony, dostrzegając ojca Ganza, którego blada twarz błyszczy w półmroku. Powieszono go głową w dół na belce stropowej, a następnie poderżnięto mu gardło. Carzo patrzy w szkliste oczy umęczonego – wyrażają bezgraniczny strach, jaki widział już na twarzy ojca Ignacia. Złodziej dusz. Chce odczepić ojca Ganza, ale w ciszy rozbrzmiewa jęk.

Odwraca się i widzi sylwetkę człowieka pod ścianą w głębi sali. To ojciec Jacomino zdaje się przypatrywać mu w tym mroku, wisząc z rozkrzyżowanymi ramionami metr nad ziemią.

Gillian Ray zawsze stosował ten sam schemat postępowania – chłopak o twarzy anioła i muskulaturze windsurfera jeździł autostopem z rolnikami z buszu, którzy zapraszali go na swoje farmy, położone z dala od innych. Wtedy uszczęśliwiony Ray jadł i pił, prawił komplementy gospodyni, bawił się z dziećmi, potem szedł spać, a o świcie zabijał wszystkich siekierą i ruszał w dalszą drogę. Tyle że dla zmylenia śladów przejeżdżał motocyklem przez busz, do najbliższej drogi i tam znowu wcielał się w rolę autostopowicza. Było to tak skuteczne, że choć australijska policja uganiała się za mordercą, on wciąż pozostawał nieuchwytny i dokonywał swoich rzezi w miejscach tak od siebie oddalonych, że kryminalni nie mogli się w tym wszystkim połapać.

Zainteresowana raportem wysłanym do laboratorium w Bostonie, Marie Parks rozpoznała styl tego, którego poszukiwała od kilku miesięcy – zabójcy niezwykle groźnego, którego twarzy i

nazwiska nie знаła, a który najwyraźniej wykorzystywał wakacje za granicą, by dać upust niecnym pragnieniom, rozprawiając się z ofiarami zgodnie z niezmiennym rytuałem. To oznaczało, że

Ray osiągnął już stały rytm podróży i że wypracowany sposób działania satysfakcjonował go. Dzięki temu Parks zdołała go wytropić i podążała szlakiem jego zbrodni od Turcji przez Brazylię, Tajlandię i Australię. Jednak od ostatniego morderstwa w okolicach Woomera Gillian Ray dorzucił pewien element, który australijska policja zanotowała na marginesie raportu, nie przywiązując do niego większej uwagi. Zwykle Ray pozostawiał ofiary w pozycji, w jakiej je zabił, tym razem jednak Marie zauważyła, że posadził je na kanapie i w fotelach w salonie, a potem włączył telewizor i dopiero wtedy wyjechał. Oznaczało to, że Ray zaczyna się nudzić i szuka urozmaicenia, lekko zmieniając scenariusz. Właśnie ta faza ewolucji cross-killera czyni go najniebezpieczniejszym – gdy zachowanie podlega modyfikacjom, i pojawia się chęć eksperymentowania, zmienia się także sposób działania i powstaje ryzyko zgubienia tropu przestępcy. Dlatego Parks poleciała do Australii pierwszym samolotem.

Gdy dotarła do Alice Springs, założyła adidas i już przed lotniskiem wcieliła się w autostopowiczkę. Postanowiła tak zrobić, żeby iść śladem Gilliana Raya: chciała poczuć, jak ciepły wiatr rozwiewa jej włosy, jak gorący asfalt ugina się pod stopami, jak powstają zakwasy w zmęczonych mięśniach, kurcze chwytają łydki, a pasy plecaka wpijają się w ramiona. Chciała przeżyć to samo, co Gillian Ray, za każdym razem, kiedy słyszał za plecami warkot nadjeżdżającego samochodu. To rozkoszne pieczenie w trzewiach, które powoduje skok adrenaliny. Pragnienie wampira, które pali w gardle i tak rozkosznie nieznośne napięcie seksualne. Właśnie to czuje cross-killer typu Gilliana Raya, gdy spotyka przyszłą ofiarę. Parks przez kilka dni szła jego śladem. Czowała, jak ich dusze się łączą, w miarę jak się do niego zbliżała. Kierował się nad ocean, znacząc szlak coraz bardziej krwawymi i makabrycznymi zbrodniami. Gillian nie rozumiał zachodzących w nim zmian, kierował się impulsami, które wyrwały się spod jego kontroli.

Był rozwścieczony. I właśnie to odkryła Marie w jego ostatniej inscenizacji. Frustrację i gniew. Gillian był w trakcie metamorfozy, przekształcał się w coś innego. W tym momencie zdołała wejść w skórę mordercy.

Stało się to o zmierzchu, gdy słońce jeszcze muskało kolczastą sawannę. Parks wsiadła do półciężarówka pewnej studentki, która wybrała się z wizytą do mieszkającej w Perth ciotki. Była młoda i ładna, a spod chustki, którą miała na włosach, widać było opaleniznę. Nosila króciutkie szorty i bawełnianą bluzeczkę, która rozchyłała się na piersiach. Obserwując ją kątem oka, Parks nagle poczuła gwałtowne podniecenie, tak silne, że aż wyschły jej usta. Przed oczyma miała teraz śmierć – nagie ciała, zwłoki w kałużach krwi. Uświadomiła sobie, że w jej piersi bije cudze serce, serce Gilliana, i że połączyła się z jego duszą. W ostatniej chwili stłumiła ogarniające ją instynkty i zrozumiała, że lada chwila się zagubi. Przyśpieszyła kroku, żeby dopaść Gilliana przed wybrzeżem. Po dwóch tygodniach polowania na mordercę, który w tym czasie popełnił trzy zabójstwa, odnalazła go wreszcie na wyludnionej plaży Cap Nelson. Może to byłaby ostatnia zbrodnia w ciemną noc, ostatni gwałt na zimnym piasku, ostatni cios noża wymierzony w ostatni brzuch, a potem powrót do Nowego Jorku jutrzejszym lotem, gdzie padłby w ramiona narzeczonej, Nancy, na kolejny spokojny rok akademicki. Aż do kolejnych szalonych wakacji Gilliana Raya.

Morderca właśnie czesał włosy ofiary, kiedy Parks zaszła go od tyłu. Przystawiła mu lufę pistoletu do głowy, tuż za uchem, i szepnęła „FBI”. Nie za głośno, tylko tak, żeby usłyszał pomimo szumu fal. Zrobił to, na co liczyła – wyciągnął nóż, którego ostrze błysnęło w świetle księżyca. Wtedy Parks zamknęła oczy i oddała strzał z bliska. Usłyszała trzask kości czaszki Gilliana i zobaczyła, jak krew chlusnęła na piasek. Czowała zapach spalonego mózgu. Potem zmusiła się do otwarcia oczu i popatrzyła na jego ciało, a nawet dotknęła go, żeby poczuć, jak uchodzi z niego życie. A dzięki łzom, które trysnęły z jej oczu, Marie znalazła wreszcie wyjście z labiryntu.

Zbliżając się do jezuitę, Carzo wyraźniej zobaczył całą scenę, podziej dusz powiesił półżywego ojca Jacomino na belce i przybił do niej ramiona, łokcie i dłonie mnicha. Sześć potężnych gwoździ, których ostrza przebijały sobie drogę przez stawy, a potem wciskały się w sękate drewno.

Kapłan przystanął o kilka centymetrów od zwisającego w powietrzu ciała. Rany i strugi krwi pokrywały szyję i tors starca. Egzorcysta zbliżył się do jezuitę i wtedy silna woń amoniaku wypełniła jego nozdrza. Uniósł strzępy habitu Jacomina i stwierdził, że złodziej dusz rozpruł mu brzuch na długości kilku centymetrów od pępka w dół, odsłaniając jego jelita, które wciskają się w ranę, ale nie wypadają. To była powolna śmierć. Nagle Carzo spostrzegł, że strugi krwi wciąż się poszerzają, jakby serce starca biło szybciej.

–Ojcze Jacomino, słyszy mnie ojciec? Głowa konającego wolno się unosi i Carzo patrzy prosto w puste oczodoły jezuitę.

–Ojcze Jacomino, to ja, Alfonso. Chrapliwy oddech. Słaby głos starca rozlega się w sali.

–Mój Boże, on nadchodzi, Alfonso. Wraca po mnie. Zabij mnie, zanim zabierze moją duszę.

–Kto nadchodzi?

–On. Wraca po moją duszę i zabierze ją ze sobą. Oni tak robią. Dławią duszę i porywają ją. Nie pozwól mu na to, Alfonso. Zabij mnie teraz, zanim stracę wiarę i „to” zabierze mnie ze sobą

–Ojcze Jacomino, nie mogę tego zrobić. Przecież ojciec wie, że nie mogę. Ukrzyżowany starzec pręży się i wyje z rozpacz:

–Panie Wszchemogący, nie wierzę już w Boga, Alfonso! Słyszysz mnie?! Moja wiara gaśnie, spalę się w piekle, jeżeli natychmiast mnie nie zabijesz!

A potem ciało Jacomina opada całym ciężarem. Krew z ran kapie na posadzkę. Z oczyma pełnymi łez Carzo pochyła się i szepcze.

–Ojcze, sam zabijesz swoją duszę, prosząc, abym odebrał ci życie. Pamiętaj, że Bóg na ciebie patrzy i że wedle twej agonii osądzi twą wiarę. Pamiętaj także, że nie ma takiego grzechu, którego Nasz Pan nie mógłby wybaczyć, że może odpuścić winy najgorszemu zbrodniarzowi. Czy chcesz, bym wysłuchał twej spowiedzi, zanim staniesz przed Stwórcą? Jacomino unosi głowę. Jego wytopione oczy zdają się baczenie wpatrywać w mrok.

–Nie mamy już czasu na takie rzeczy. Złodzieje dusz wrócili i wielkie Zło znowu się szerzy. Moje zbawienie w zamian za to, co ci wyjawię. Będziesz się za mnie modlił. Dopilnujesz, by odprawiały się msze za spokój mojej duszy.

–Ojcze, ocali cię żal za grzechy, nie wyrzuty sumienia.

–Milcz, nieszczęsny głupcze, nie masz pojęcia, co się zbliża. Carzo prostuje się. Głos starca ulega przemianie.

–Słucham.

–Misja jezuitów w Manaus, podobnie jak wiele innych na całym świecie, jest jednym z punktów przesyłania tajnej poczty, którą mamy rozkaz kierować do

Watykanu. Ta zaszyfrowana korespondencja jest wysyłana przez kardynała z papieskiego otoczenia, który zdołał przed laty przeniknąć do tajnego bractwa działającego od wczesnych lat po krucjatach i rozrasta się niczym rak w sercu Watykanu.

–Spisek przeciwko Kościołowi? Jak nazywa się to bractwo?

–Czarny Dym Szatana. To sekta zrodzona z niedobitków templariuszy. Dziś ci ludzie chcą zawładnąć Stolicą Piotrowa
Złodzieje dusz to ich zbrojne ramię.

–Czy zna ojciec członków Czarnego Dymu?

–Nikt nigdy nie widział ich twarzy. Ani nawet tego kardynała, który wniknął do organizacji. Nie znam jego nazwiska. Wiem tylko, że zajmują większość kluczowych stanowisk w Watykanie i że nawiązali ściśle kontakty z sektami satanistycznymi na całym świecie. Realizują plan zrodzony kilkaset lat temu. Grapa liczy trzydziestu kardynałów rozproszonych po całym świecie, a obecnie wystarczająco potężnych, by pokierować konklawe. Wiedzą, że Kościół skłamał, i chcą przejąć kontrolę nad Watykanem, żeby powiedzieć wszystkim o tym kłamstwie.

–O jakim kłamstwie?

–Wszystko... Wszystko jest w Komnacie Tajemnic. To pomieszczenie, do którego wiedzie ukryte przejście z wielkiej sali archiwów w Watykanie. Ta komnata nie widnieje na żadnym planie. Tam przechowuje się tajną korespondencję papieży i dowody spisku. Aby otworzyć przejście, należy przesunąć książki w bibliotece... Trzeba wyjąć siedem z nich, z różnych półek, zgodnie z układem łacińskich cytatów związanych z każdym z tych dzieł. Kardynał z Czarnego Dymu przekazał mi kopię tej listy. Ze względu na bezpieczeństwo wysłałem dokument w pewne miejsce w Stanach Zjednoczonych. Będziesz musiał się tam po niego udać.

–Ojciec...

–Milcz, Alfonso, mamy mało czasu. Carzo otarł czoło Jacomina. Starcowi brakło sił.

–W zeszłym tygodniu otrzymałem ostatnią przesyłkę szybkim kanałem. Kardynał odkrył coś ważnego, ale nie zdążył mi tego przekazać.

–Co takiego?

–Wszystko znajdziesz w dokumentacji, którą pozostawiłem w skrytce bagażowej na lotnisku w Manaus. Bo tajna korespondencja wędruje przez takie skrytki. Znajdziesz tam także bilet lotniczy do Stanów Zjednoczonych. Zamierzałem lecieć dziś wieczorem, żeby odebrać listę cytatów przed udaniem się na sobór, który odbędzie się w Watykanie. Ale teraz jest już za późno.

Carzo chciał powiedzieć, że czuje lodowaty podmuch na nogach. Starzec wyprężył się. Drzwi biblioteki w końcu otworzyły się.

–Boże, to on, nadchodzi!

–Ojciec Jacomino, czy to kłamstwo, którym chce się posłużyć Czarny Dym, ma związek z plagami Olmeków? Stary jezuita drgnął.

–Coś ty powiedział?

–Odkryłem bardzo stare freski w świątyni, w dżungli. Te freski ukazują pierwszych ludzi świata i archanioła Gabriela, który daje ogień plemionom indiańskim. Większość fresków opowiada o przyjściu i śmierci Chrystusa pełnego nienawiści i goryczy. Coś, co mogłoby wyzwolić wielkie zło. Czy

dokumenty przechowywane w Komnacie Tajemnic mają z tym związek?

–Boże, sprawa jest poważniejsza, niż sądziłem... Słysząc odgłos kroków. Ktoś idzie po marmurowej posadzce biblioteki. Carzo odwraca się i widzi, jak światła migają i gasną jedno po drugim. Wciąga powietrze. Czuje kurz unoszący się z rozrzuconych po pomieszczeniu archiwaliów i silny zapach fiołków.

–Nie teraz, Carzo. Odejdź, nie oglądając się za siebie. Tu jest jego duch, nie powłoka. Jeżeli się pospieszysz, nie zdoła ci nic zrobić.

–Ojcze, nie odpowiedziałeś na pytanie o Olmeków. Co się stało w lesie? Ojcze? Ojcze!

Jacomino wydaje chrapliwy jęk, jego głowa opada na pierś. Carzo kładzie rękę na głowie jezuita i szeptem udziela mu ostatniego namaszczenia. Ledwie wypowiedział ostatnie słowa, a starzec unosi głowę, uśmiecha się i pyta odmienionym głosem:

–Kto tu jest?

Egzorcysta cofa się o kilka kroków, a tymczasem to, co zawładnęło starcem, wyczuwa jego zapach.

–To ty, Carzo? Co ci powiedział ten stary wariat?

–Sam go zapytaj. Z ust starca dobywa się pogodny śmiech.

–Carzo, twój przyjaciel nie żyje, a ja nie mam mocy czytania z serc zmarłych.

–W takim razie uwolnij jego duszę, a ja ci odpowiem.

–Za późno.

–Za późno.

–Kłamiesz. Wiem, że ona wciąż jeszcze tu jest.

–A skąd miałbyś to wiedzieć, nieszczęsny głupcze? Carzo spojrzał w górę, na ręce ukrzyżowanego, które zaciskają się na gwoździach.

–Te dłonie jeszcze krwawią – jego serce nadal bije. Z gardła starca znowu wydobywa się śmiech.

–Tak, ale wkrótce zdechnie. A ja pożrę jego duszę razem z twoją. Nie spuszczać z oczu istoty, która usiłuje ustalić jego pozycję, kapłan wolno cofa się ku blatowi, gdzie leży Traktat o Piekło.

–Dokąd to się tak skradasz, Carzo?

Głos Bestii zdradza lekkie zaniepokojenie. Egzorcysta okrąża blat i wyciera krew z manuskryptu. Śmiech Otchłani. Tekst jest napisany w języku starożytnym, wręcz ginącym w mroku dziejów. Carzo szuka potrzebnej formuły. Znajduje ją i skupia się, aby odegnąć ogarniający go strach. Potem wyciąga rękę ku istocie i woła mocnym głosem:

–Antenach tah! Enla amalach nerod!

Na te słowa ciało Jacomina wije się z bólu.

–Och, to pali! Co mi robisz, Carzo?

–Dlaczego wyłupiłeś mu oczy?

–To nie ja! To on! Sam to sobie zrobił dużą drzazgą, zanim pożarłem jego duszę!

–Wiesz, dlaczego to zrobił?

–Pali, Carzo!

–Zrobił to, żeby jego ciało stało się twoim więzieniem. Bo żaden duch nie może umknąć ze ślepego ciała, dopóki ono nie umrze. Taki jest rytuał Otchłani. Usta istoty drżą.

–On skona, Carzo. Wkrótce umrze, a ja porzucę jego powłokę, żeby zająć twoją.

–Jego dusza już do ciebie nie należy. Wypowiadał się ze swych grzechów i otrzymał ostatnie namaszczenie.

–Co z tego, Carzo!?

–Popełniłeś zbrodnię opętania duszy odkupionej przez Boga. Jego śmierć cię nie wyzwoli. Antenach tah. Enla amalach nerod. Tymi słowy skazuję cię na wieczne uwięzienie. Agonalny jęk wyrywa się z ust Jacomina. – Ktoś przyjdzie mnie oswobodzić, Carzo. Ktoś odkryje ciała twoich przyjaciół i zostaną uwolniony.

–Nikt poza jezuitami, których zamordowałeś, nie zna prowadzącego tu przejścia. A ja zamknę je, wychodząc, i będziesz tu wył aż po kres czasu.

Wypowiedziawszy sentencję, Carzo oddala się od istoty, która gestykuje, aby wyrwać gwoździe. Jest w połowie biblioteki, gdy dopada go niesamowity krzyk:

–To jeszcze nie koniec, Carzo! Słyszałeś? Gra dopiero się zaczyna!

Egzorcysta trzaska drzwiami biblioteki. Głos Bestii ściga go przez całe podziemia, potem wycie cichnie, a Carzo zbliża się do szczytu schodów pod chórem katedry. Wychodząc na zewnątrz, uszkodza mechanizm zamaskowanego przejścia. Postument z hukiem obraca się, posąg nieruchomieje przy trzasku zawiasów i osi, na zawsze zamykając wejście do grobowca jezuitów.

Sygnal dźwiękowy informuje Parks, że połączenie z laboratorium w Quantico zostało nawiązane. Jej palce biegają po klawiaturze, wpisuje hasło, następuje identyfikacja morfologiczna. W formularzu, który pojawia się na ekranie, Marie zakreśla opcje zgodne z profilem Kaleba – mężczyzna, trzydzieści pięć, czterdzieści lat, biały, cera jasna, brunet, oczy niebieskie. Odciski palców Kaleba nie zostały uwzględnione w systemie, więc Parks pomija kilka pól i przechodzi od razu do cech uzębienia. Wypełnia także pola kośćca i umięśnienia i dodaje cechy morfologiczne mordercy – nos, brodę, rozstaw oczu, kształt brwi.

Po wypełnieniu wszystkich pól Marie otwiera akta Crossmana i wyjmuje zdjęcia twarzy Kaleba po strzelaninie. Skanuje zbliżenie i wysyła do banku danych. Potem włącza specjalny program, wykorzystujący fotografię i wskazówki z formularza, aby odtworzyć brakującą połowę twarzy. Najpierw dolna ćwiartka – owal brody, kształt ust, żuchwa. Potem szczęki, które wyłaniają się wolno, na oczach Parks. I wreszcie zęby, odtwarzające się razem z dziąsłami uszkodzonymi przez kule, a teraz stopniowo zamykającymi się wokół zębów.

Komputer kilkakrotnie pika, potem zaczyna się obróbka górnej partii twarzy – rekonstrukcja nosa, skroni, oczodołów i czoła, z uwzględnieniem rozstawu oczu i odtworzenia włosów. Na oczach Parks otwarte rany na owłosionej skórze głowy znikają,

czaszka się scala. Program wolno odbudowuje skórę zmasakrowanej twarzy. I wreszcie łączy te wszystkie elementy, żeby zaprezentować ostateczny efekt na ekranie. Marie czuje ściskanie w gardle, widząc prawdziwą twarz Kaleba. Przygląda się głęboko osadzonym oczom, ich zimnemu spojrzeniu spod krzaczastych brwi. Twarz zabójcy z Hattiesburga jest usiana czyrakami i bliznami. Parks bez większej nadziei wprowadza wizerunek do archiwum i zaczyna poszukiwania. System porównuje tę twarz z innymi, figurującymi w kartotekach policji całego świata. W prawej części ekranu pojawiają się cztery portrety, ale znikają po dokładniejszym porównaniu. Potem wyświetla się komunikat: „No match found”. Zgodnie z przewidywaniami Marie Kaleb nie figuruje w archiwach.

Parks wprowadza teraz próbkę DNA zabójcy i zaczyna, poszukiwania w informatycznej bazie danych. Przed jej oczami pojawiają się setki tysięcy kodów genetycznych ze zbiorów, ale ta praca też kończy się niepowodzeniem. Parks masuje sobie skronie i spogląda przez okno na zachmurzone niebo. Wzdycha, a potem jej palce znowu biegają po klawiaturze. Rezygnuje z poszukiwań na liście morderców i skupia się na cechach zbrodni, żądając od systemu analizy zabójców zarejestrowanych w rubryce „Zabójstwa mistyczne”, ale ogranicza krąg do profanacji cmentarzy i psychopatów, których czyny wiążą się z religijnym rytuałem ukrzyżowania. Szuka przede wszystkim mnicha lub człowieka z tatuażem. Obawiając się zbytniego zawężenia kręgu poszukiwań, rezygnuje z tych ostatnich kryteriów. Potem wprowadza „dziesięć lat” w pole „Okres, którego dotyczą poszukiwania”, i wciska Enter. System przetrząsa dane w pamięci i wyświetla osiemnaście spraw, które Parks zaczyna przeglądać. To zabójstwa satanistyczne z pierwszych stron

gazet w roku 2000, z przełomu tysiącleci. W sylwestrową noc szaleńcy na całym świecie zbierali się w lasach i katakumbach wielkich miast, by wzywać złe moce. Składano rytualne ofiary, krzyżując dziewice i bezdomnych, żeby zyskać przychylność Szatana. Parks wprowadza okres trzydziestu lat w pole poszukiwań. Czternaście wyników miga wśród pięćdziesięciu podobnych

przypadków. 1969-1972 – czternaście morderstw pastora Parkusa Merry'ego, szalonego kapłana, który wbił sobie do głowy, że Chrystus wrócił i że trzeba go jak najszybciej ukrzyżować po raz drugi, żeby obwieścić światu dobrą nowinę. Ale w wersji pastora Chrystus miałby powrócić do komuny homoseksualistów z Zachodniego Wybrzeża. Tak doszło do czternastu zabójstw na osobach uprawiających prostytucję ze środowiska gay underground, od San Francisco po Wielkie Równiny. Za każdym razem schemat zbrodni był identyczny: Merry zaczął ofiarą na ulicy albo w barze dla gejów, potem faszerował faceta narkotykami i zaciągał na odludzie, żeby go ukrzyżować i odmawiać modlitwy, patrząc, jak wije się na krzyżu i umiera.

Siedemnastego listopada 1972 roku doszło do czternastego, ostatniego morderstwa Parkusa Merry'ego w okolicach Boise w Idaho. Schwytany na gorącym uczynku, kiedy przybijał ofiarę, kapłan przez jedenaście lat gnął w celi śmierci. Potem, któregoś dnia o świcie, przywiązano go do krzesła elektrycznego.

Na tylnym siedzeniu starej taksówki, której resory nieznośnie skrzypią, ojciec Carzo zmaga się z ogarniającą go sennością. Dudni mu w skroniach. W ustach czuje metaliczny smak, ból rozsadza mu głowę. Po spotkaniu z demonem takie objawy są normalne. To jakby metabolizm przemienił się w piec i nagle spalał wszystkie kalorie i witaminy, jakie da się wyciągnąć z organizmu, wywołując potworne pragnienie i głód. A do tego dochodzi duchowa pustka. To wrażenie, że jest samotny pośrodku ogromnej pustyni, samotny i nagi. Przez brudną szybę, która drga na wybojach, ojciec Carzo wpatruje się w sznur samochodów sunących Avenida Constantino Nery w kierunku lotniska. Taksówka wyjechała już z centrum

Manaus, z kolonialnych dzielnic pięknych, choć dziś niszczących domów, i teraz wokół ciągnęły się smętne, szare

miasteczka biedoty. Pełno tu było domków z falistej blachy, ustawionych tak ciasno, że wydawało się, iż ściana jednego wspiera dach sąsiedniego. Nie było tu ani anten satelitarnych, ani klimatyzacji, ani zasłon, ani nawet okien. Tylko po parę sznurków sztucznych pętelek w drzwiach i palety zamiast schodów. Nie było tu ulic, tylko błotniste rynsztoki wijące się między tysiącami chat przyklejonych do zboczy. To tam bawiły się bosonogie dzieci z Ma-naus, grając w piłkę albo wcielając się w bandytów, a wszystko między szczurami, na ziemi pełnej zardzewiałych gwoździ i igliwia.

Kapłan mruży oczy. Pośród plątaniny krzykliwych reklam zalana strugami deszczu tablica informuje, że od lotniska dzieli ich jeszcze osiem kilometrów. Taksówka, trąbiąc, toruje sobie drogę pomiędzy poobijanymi pick-upami i starymi, hałaśliwymi fiatami. Gęste kłęby czarnego dymu buchają z rur wydechowych.

Kapłan opiera się o zagłówek i skupia na zapachach wypełniających taksówkę. W tle woń niedomytych genitaliów i spoconych nóg. W ten sposób, wynajmując samochody prostytutkom z ubogich dzielnic, zmieniających się nocami na tylnym siedzeniu, taksówkarze z Manaus dorabiają, żeby przetrwać miesiąc. Polowa honorarium przypada kierowcy, który śpi z przodu, kiedy samochód skrzypi, rozkołysany przez kochanków.

Ojciec Carzo zamyka oczy. W kabinie są i inne, znacznie słabsze zapachy, ulotne jak wspomnienia. Woń róży i hibiskusa. Zapach pięknych umysłów, który zapisał się na tapicerce. Na przykład Marii, młodej prostytutki z przedmieść, dziewczyny o dużych, piwnych oczach, oddającej swoje ciało za trochę cukru albo przeterminowane leki. Maria, która w ciągu dnia wydawała zupę dla biedoty i leczyła bose nogi dzieciaków, smarując je jodyną... Carzo drgnął, widząc twarz nieznanym dziewczyny. Otwiera oczy. Nigdy dotąd zdolność wyczuwania zapachów nie umożliwiała mu ujżenia twarzy ani ustalenia imienia osoby. Wydawało się, że jego dar zyskuje moc albo się przemienia. A może coś w niego wniknęło i wsparło swą mocą dar Carza. Egzorcysta potrząsnął głową, żeby się rozbudzić. Twarz Marii rozplynęła się. Gwałtowne hamowanie. Kierowca

trąbi i znowu przyspiesza. Samochód podskakuje na wybojach. Za brudną szybą przesuwają się drzewa. Powieki Carza są takie ciężkie.

Parks gasi papierosa i postanawia poszerzyć krąg poszukiwań na cały XX wiek. System przez kilka sekund porównuje dane, a potem na ekranie wyświetla się lista. Sto siedemdziesiąt dwa wyniki do sprawdzenia. Sataniści, mormońscy serial-killerzy i nawiedzeni. I oczywiście trupy, mnóstwo trupów. Marie przegląda dane w przyspieszonym tempie, czyta urywki tekstów przewijających się przez ekran.

Dziewiętnasty kwietnia 1993 – masakra sekty Dawida w Wa-co w Teksasie. Sześćdziesięciu czterech uczniów Davida Koresha popełnia samobójstwo podczas szturmów FBI. Dwunasty czerwca 1974 – trzynaście szkieletów rozrzuconych po piwnicach sekty ludożerców w Wilmington w Arkansas. Dwudziesty trzeci września 1928 – zbiorowe samobójstwo sekty adwentystów z Greensboro w Alabamie. Sześćdziesięcioro nawiedzonych, którzy odkryli bramy Niebios. Ukrzyżowali swego guru, a następnie odebrali sobie życie, nabijając się brodami na rzeźnicze haki.

Marie gwizdnęła przez zęby, patrząc na czarno-białą fotografię, wykonaną przez policję z Greensboro. Sześćdziesiąt ciał wiszących niczym rozplątane krowy w rzeźni.

Czuje, że serce podchodzi jej do gardła, gdy jej spojrzenie padło na relację z innego śledztwa. Zatrzymuje przeglądanie i klika myszką. Interesujący ją tekst pojawia się na środku ekranu. Dwudziesty szósty sierpnia 1913 – stara zakonnica ukrzyżowana w klasztorze w Kanab w Utah. Parks dalej klika. Wycinek z „Kanab Daily News” z dwudziestego siódmego sierpnia pojawia się na ekranie. Na stronie tytułowej pismo informuje o odnalezieniu w klasztornym parku starej mniszki przybitej do drzewa, z wyprutymi wnętrznościami. To siostra Angelina, pustelnica. Parks z wypiekami na twarzy wprowadza jak najwięcej danych

do formularza, aby uściślić poszukiwania: zakonnice z zakonu pustelnic, zamordowane przez ukrzyżowanie w latach 1912- 1913-1914; morderca z tatuażem; mnich; znak szczególny INRI. System przetwarza dane i wyświetla cztery migające na czerwono punkty na mapie obejmującej zachodnie wybrzeże Kanady i Stany Zjednoczone.

Kwiecień 1913 – pierwszy mord w klasztorze pustelnic w Mount Waddington w Kolumbii Brytyjskiej. Jedenasty czerwca tegoż roku – pustelnica ginie w klasztorze na górze Rainier w okolicach Seattle. Trzynasty sierpnia – kolejne zabójstwo w klasztorze Lassen Peak pod Sacramento. Po dwóch tygodniach w Kanab zamordowano siostrę Angelinę. Parks przetrząsa archiwum, "Kanab Daily News". Dwudziestego ósmego sierpnia 1913, a zatem nazajutrz, pojawia się wiadomość o zatrzymaniu przez ludzi szeryfa mordercy siostry Angeliny, który zamierzał przekroczyć granicę stanu. Marie ogląda czarno-białe zdjęcie ilustrujące artykuł. Policjanci na koniach prowadzą na łańcuchu mnicha, a tłum notabli z Kanab zdejmuje cylindry, lży go i pluje mu w twarz. Na następnym zdjęciu ktoś przerzuca sznur przez gałąź. Mnich siedzi na koniu ze związanymi z tyłu rękami, a zastępca szeryfa zakłada mu pętlę na szyję. Zdjęcie jest niewyraźne i przybrudzone po tylu latach, ale Parks wyraźnie widzi, że domniemany morderca uśmiecha się, patrząc w obiektyw. Ten uśmiech zdaje się przeznaczony dla fotografa stojącego przy statywie, a raczej dla

wszystkich, którzy mieli przez kolejne lata oglądać tę fotografię. Marie powiększa zdjęcie. Podczas gdy system dodaje trochę pikseli i poprawia kontrast, żeby zdjęcie było nieco wyraźniejsze, Parks ogląda podobiznę Kaleba, którą poddała retuszowi dzięki programowi morfologicznemu. Potem włącza inny program i wydaje polecenie odmłodzenia twarzy Kaleba. Na jej oczach oblicze zabójcy rozjaśnia się, znikają czyraki i blizny. Potem pojawia się informacja o zakończeniu procesu odmładzania o piętnaście lat na podstawie wyjściowych cech morfologicznych. Odmienione zdjęcie pojawia się na ekranie obok czarno-białej fotografii wykonanej w roku 1913. Marie wpatruje się w czarne oczy mordercy. Kaleb i zabójca z Kanab są podobni jak dwie krople wody.

Stojąc przed oszkloną ścianą terminalu odlotów na lotnisku w Manaus, ojciec Carzo patrzy na maszynę, która manewruje na pasie startowym. Stare, zardzewiałe samoloty linii transamazońskich, czartery, kilku pasażerów lecących do odległych miast nad Amazonką... Dalej widać ścianę drzew, na skraju dziewiczego lasu. Z głośników dobiega zapowiedz delty 8340 z Quinto. Carzo spogląda na zegarek. Już czas. Jeszcze rzut oka na boeinga 767, który wylania się z mgły i ląduje. Potem kapłan odchodzi od szyby i idzie w kierunku przechowalni bagażu w drugim końcu terminalu. W ręce ściska klucz, który znalazł w rzeczach ojca Jacomino – stary klucz z kauczukową końcówką, mocno wytartą. Szafka numer 38. Kapłan toruje sobie przejście w tłumie podróżnych. Na tablicy świetlnej pojawia się informacja o starcie czterech maszyn do Belem, Iquitos, Santa Fe i Guayaquil. Pachnący tłum z koszami drobiu i przewiązаныmi sznurkiem pudłami spieszy do wyjścia. Dalej luksusowe hale rejsów międzynarodowych, oddzielone ścianą z pancerneho szkła.

Zbliżając się do przechowalni, ojciec Carzo czuje, jak zapach tłumu opanowuje jego umysł. Tysiące woni, które się mieszają, tworząc jedną – przerażającą, przesiąkniętą brudem i podłością duszy. Dusząc się w tym smrodliwym huraganie, Carzo widzi już tylko brudne szyje i wykrzywione gęby, las ust, które się poruszają, tworząc kakofonię dźwięków. Szafka 38. Carzo przekręca klucz, czując, że pot spływa mu po skroniach. Trzask. Wewnątrz znajduje grubą teczkę i białą kopertę, którą wsuwa do torby. Lodowaty podmuch owiewa jego kark. Odwraca się i widzi starą Metyskę, która siedzi samotnie na fotelu. Zasycha mu w gardle. Rozpoznaje żeb-raczkę z Manaus, która o mało nie zmiażdżyła mu ręki, gdy szedł do katedry. Jej oczy są białe i mętne. Oczy niewidomej. Usta starej rozchylają się, ten uśmiech. „Boże, ona mnie widzi...”.

Carzo rusza w stronę Metyski. Tłum podróżnych tarasuje mu drogę i zasłania starą. Łokciami toruje sobie przejście przez tę masę ciał i bagaży, ale kiedy dociera do celu, fotele są puste. Mctyska zniknęła.

Chwiejnym krokiem egzorcysta idzie do toalety. Zamyka się w kabynie i otwiera kopertę. Bilet bez daty do Stanów Zjednoczonych i sto dolarów amerykańskich w drobnych banknotach. Drży, słysząc, że drzwi do toalety zatrzasnęły się za kimś. Słyszy szuranie. Silna woń moczu drażni jego nozdrza. Bose stopy zatrzymują się przed drzwiami kabiny, dwie stare stopy kobiety o wykrzywionych, brudnych paluchach. Dłonie dotykają drzwi. Carzo czuje, że włosy jeżą mu się na głowie, gdy zza drzwi dobiega gniewny szept starej: – Dokąd się wybierasz, Carzo?

Kapłan chce już zatkać sobie uszy, ale zza drzwi toalety znów dochodzą odgłosy z terminalu. Śmiechy. Drzwi się zamykają. Carzo słyszy kobiecy głos i śmiech dziecka. Otwiera oczy. Bose stopy Metyski zniknęły, pozostał jednak ich ślad na posadzce. Wychodzi z kabiny. Młoda kobieta uśmiecha się do niego, gdy staje przy umywalce, obok dziewczynki, która zalewa posadzkę bawiąc się strumieniem wody. Kapłan myje zimną wodą ręce i zwilża twarz. Drży, bo znowu trzaskają drzwi jednej z kabin. Unosi głowę, patrzy w lustro. Przez ściekające mu z rzes krople wody widzi, jak dziewczynka suszy ręce. W kabynie, do której weszła, śpiewa jej mama. Carzo

odpręża się. Musi przestać myśleć. Zakręca kran i znowu patrzy w lustro. Dziewczynka wróciła i obserwuje go białymi, mętnymi oczyma. Jej usta rozchylają się, odsłaniając poczerniałe zęby. – No, Carzo, dokąd to się wybierasz?

CZĘŚĆ SZÓSTA

88

Kiedy Parks wyjeżdżała z Denver w stronę gór, wirujące w mroźnym powietrzu płatki śniegu przemieniły się w gęsty śnieg. W Bakerville zebrało się już około trzech centymetrów puchu, a mieszkańcy, którzy szli ulicami zgięci wpół, tak silne stały się nagle porywy wiatru, włożyli ciepłe buty, żeby zrobić ostatnie zakupy.

Marie podążyła drogą stanową numer 70, której kręta wstęga szybko znika pod śniegiem. W Bighorn, gdzie droga skręca na południe, tak jak tory kolejowe, nie widać już ani krawężników, ani chodnika. Ostatnie posterunki policyjne, które mija, uprzedzają kierowców, że burza przekroczyła już góry Laramie i że miasto Boulder pokryła trzydziestocentymetrowa warstwa śniegu.

Parks jedzie teraz na południe po grubej, białej pokrywie. Zatrzymuje się tylko raz, żeby wypić filiżankę kawy i wypalić papierosa. Światła Holy Cross City pojawiają się w jej polu widzenia. Po zapadnięciu nocy w reflektorach samochodu widać teraz istną ścianę śniegu, a wycieraczki ledwie zdążają oczyszczać szyby.

Parks ustawia najwyższą moc ogrzewania, żeby pozbyć się pary z przedniej szyby. W dali dostrzega światła kolumny spychaczy śniegu, które usuwają biały pył z jezdni na chodniki, gdzie tworzą się potężne zaspasy. Przy skrzyżowaniu trzy pojazdy odłączają od kolumny i skręcają w prawo, na drogę wiodącą do klasztoru Świętego Krzyża. To ostatni przejazd przed szczytem zamieci. Biorąc pod uwagę, że każda z tych maszyn to trzydzieści ton żelastwa na gąsienicach i że każda ma potężne zderzaki,

lepiej poczekać, aż wykonają pracę i zjadą, i dopiero potem ruszać na górę.

Parks zauważa migający neon przydrożnego baru. Wciska się między dwa przysypane śniegiem auta. Nie wyłączając wycieraczek ani silnika, opiera się o zagłówek i spogląda na niebieskie cyfry zegara na tablicy rozdzielczej. „20:00:07”. Powinna się zdrzemnąć przed dalszą podróżą, choćby kilka minut. Walczy z tą rozkoszną pokusą, próbuje się skupić na ciepłym strumieniu klimatyzacji, który owiewa jej twarz, słucha warkotu silnika samochodu, który jedzie na łańcuchach. Potem się poddaje i zapada w głęboki sen.

Wstrząs. Parks otwiera oczy i patrzy na zegar. 20:00:32. Spała zaledwie kilka sekund, a suche gardło pali ją, jakby trwało to wiele godzin. Zapina palto i wsuwa dłonie w rękawiczki. Potem otwiera drzwi i krzywi się, czując mroźny podmuch wdzierający się do kabiny.

Idzie w stronę baru, nasłuchując, jak jej buty skrzypią na śniegu. Powietrze pachnie miętą i przemarzną korą. To zapach mrozu. Popycha drzwi baru. Wewnątrz cuchnie rozpalonym olejem i kawą. Jest to jeden z tych długich i wąskich lokali z plastikową ladą, na której piętrzą się tace z sandwiczami i pojemniki z sosami. Pod oknami ustawiono rząd obitych sztuczną skórą krzesel i stoliki o blatach zniszczonych stawianymi bezpośrednio na nich gorącymi dzbankami z kawą. Kilku zmęczonych klientów przeżuwa tłuste hamburgery i popija kawę z tekturowych kubków. Pod ścianą w głębi stoi stara szafa grająca, z której sączy się muzyka country-gospel. Jeśli Marie może jeszcze ufać przemarzniętym uszom, to grają Blind Boys of Alabama.

Parks siada przy stoliku i rozgląda się, szukając kelnerki. Podmucha zimnego powietrza owiewa jej kark, rozchodzi się woń perfum... Marie odwraca głowę ku kobiecie, która przysiadła się do jej stolika. Ciemne włosy, ładne, szare oczy, mlecznobiała cera i lśniące zęby, za rozchyłonymi, różowymi wargami.

–Czego pani sobie życzy?

–Zjeść z panią kolację. Nie cierpię jeść w samotności. Głos młodej kobiety harmonizuje z pełną wdziękiem sylwetką. Jest łagodny, ale władczy. Nie czekając na zaproszenie, nieznajoma zdejmuje kurtkę, pod którą ma obcisły wełniany sweter. Na jej szyi błyszczą delikatny złoty łańcuszek z krzyżykiem.

–Nazywam się Marie. Marie Parks. Nieznajoma podaje jej rękę, a Marie krzywi się, czując jej dotyk, bo dłoń kobiety jest lodowata, jakby długo chodziła po mrozie bez rękawiczek.

–A pani?

–Jestem zakonnicą. Pracuję dla Kongregacji Cudów w Watykanie. Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstw pustelnic i jadę za panią od Bostonu, by panią chronić. Ręka Parks zaciska się na dłoni młodej zakonnicy.

–Przed czym mnie pani chroni?

–Przede wszystkim przed panią. A także przed pustelnicami. Choć pani o tym nie wie, grozi pani niebezpieczeństwo.

–Czego pani ode mnie oczekuje?

–Ma pani niewielkie szanse, by dostać się do klasztoru Świętego Krzyża, jeśli sama nie jest pani mniszka i nie zna zasad panujących w tego typu zakonach.

–To znaczy?

–Pustelnice nie są zwyczajnymi zakonnicami. To bardzo stary zakon, założony w Europie we wczesnym średniowieczu. Gdy w połowie XIX wieku powstawały jego amerykańskie „filie”, przeniesiono tu niezmienną regułę. Strażniczki zakazanych przez Kościół manuskryptów odnoszą się do tajemnicy z czcią, której zapewne nie zdoła pani pojąć. Od najdawniejszych czasów przywykły nikomu nie ufać i nie lubią,

gdy ktoś wtyka nos w ich sprawy.

–Czy to ma znaczyć, że pustelnice byłyby zdolne zabić, broniąc swych tajemnic?

–Powiedzmy raczej, że podczas pobytu w ich domu będzie pani całkowicie uzależniona od wspólnoty. To one będą się panią opiekowały w razie wypadku, one wezwą pomoc, gdyby groziła pani śmierć. Powinna pani wiedzieć, że zakony pustelnic mieszczą się w starych mrocznych gmachach o rozległych podziemiach.

Nie ma tam ani elektryczności, ani wody, żyje się tak, jak w średniowieczu, z dala od świata. Dla nich ten zewnętrzny świat i jego prawa nie mają żadnego znaczenia. Nie wiedzą, czym jest telewizja, prasa, Internet. Niech mi pani wierzy, Marie Parks, w takim miejscu wszystko może się zdarzyć.

–Co mi pani radzi?

–Nigdy nie opuszczać celi po zachodzie słońca, bo pustelnice nie śpią. Z wejściem do zakazanej biblioteki proszę czekać do mszy i wtedy szukać dzieł, nad którymi pracowała tuż przed śmiercią zamordowana mniszka. Znajdują się w tajnej komnacie zwanej Piełem. W tych manuskryptach znajdzie pani klucz do zagadki.

–Jakiej zagadki?

–Po długim i niezwykle trudnym śledztwie doszliśmy do wniosku, że Kościół od stuleci usiłuje ukryć pewne kłamstwo. Coś, co wydarzyło się podczas trzeciej krucjaty. To kłamstwo jest tak potworne, że gdyby wyszło na jaw, unicestwiłoby chrześcijaństwo. Na tym właśnie polega misja pustelnic – ukryć wielkie kłamstwo i nie dopuścić, by posiadli je złodzieje dusz.

–Złodziej dusz?

–Kilka tygodni temu, kiedy prowadziłyśmy śledztwo w klasztorze Świętego Krzyża, moje siostry i ja natrafiłyśmy na liczne fragmenty ewangelii według Szatana, nad którymi pracowała

zmarła pustelnica. To średniowieczne pergaminy, które ten tajny zakon bada od wieków, starając się odnaleźć oryginalny manu-skrypt. Dlatego te „coś”, co zamordowało nas w Hattiesburgu. zabija pustelnice. Parks ogarnęła paniczny strach.

–Co pani powiedziała?

–Nie rozumiem...

–Powiedziała pani, że „coś” zamordowało was w Hatties-burgu.

–Marie, czyżby jeszcze pani nie zrozumiała? Parks spogląda na szybę i widzi tylko swój profil. Krzeselko naprzeciwko niej jest puste. Czując dławienie w gardle, zwraca twarz ku nieznamym, która wciąż się uśmiecha. I nagle przypomina sobie twarz brunetki, którą widziała, przeglądając akta zaginionych z Hattiesburga... i tę samą twarz, ale zmasakrowaną i opuchniętą, na krzyżu w mrocznej krypcie... twarz siostry Mary-Jane Barko.

–Boże, to niemożliwe...

Uśmiech młodej zakonnicy zastyga, jej twarz i usta pokrywają się ranami. Odzywa się, a Marie wyraźnie słyszy przemianę w jej głosie.

–Niemożliwe? Agentko Marie Parks, nie ma pani daru widzenia rzeczy, które nie istnieją, ale widzi pani te, których inni nie mogą zobaczyć. Dostrzega pani różnicę?

–Dość tych bredni, Barko, czy kimkolwiek pani jest. Wyleciałam przez przednią szybę przy stu czterdziestu na godzinę i odtąd mam wizje. Widuję zmarłych, posiekane dziewczyny w piwnicach, więc niech mi pani nie zawraca głowy tymi teoriami o widzialności i niewidzialności. Jest pani po prostu wizją, jak wiele innych, i kiedy impuls elektryczny, z którego się zrodziła, zaniknie w moim mózgu, zniknie pani.

–Zapytam tylko o jedno, Marie: skąd pani zdaniem bierze się ten ciepły podmuch, który podczas naszej rozmowy owiewa

–Słucham?

–Ten lekki powiew, który porusza pani ślicznymi, ciemnymi tokarni, co to jest?

Nagle Parks zauważa, że jej twarz muska strumień ciepłego powietrza. Rozgląda się, szukając nawiewu powietrza. Ale nigdzie nie ma klimatyzacji. Gdy zakonnica ponownie się odzywa, Marie odnosi wrażenie, że ten głos wydobywa się z jej własnej głowy.

–A teraz proszę spojrzeć na parking. Właśnie pani przyjechała.

Parks znowu patrzy w szybę i mruży oczy, żeby w zamieci zobaczyć auto. Nad maską i z rury wydechowej unosi się biała para. Wycieraczki omiatają śnieg i wtedy Marie dostrzega siebie opartą o zagłówek, z twarzą oświetloną światłem lampy. – Zasnęła pani, Marie. A ten powiew na twarzy to klimatyzacja w samochodzie. Rozwiewa pani włosy. Czas się obudzić. Nie może pani tracić ani chwili. Nadciąga potężna zamieć. Parks budzi się gwałtownie i chwyta za kierownicę terenówki. Śnieg na zewnątrz wciąż sypie. Przez okna baru widać biegające kelnerki i klientów, którzy kończą posiłek. Marie ma ochotę rozplakać się z przerażenia, bo w kabinie czuć subtelny zapach róż. Zerka we wsteczne lustro. Jest w samochodzie sama. „Boże, co się ze mną dzieje?”.

Droga do klasztoru Świętego Krzyża jest powolna i trudna. Uczepiona kierownicy, starając się równoważyć potężne podmuchy wiatru, od których kołysze się samochód, Parks opiera się na wskazaniach GPS-u, którego ekran świeci uspokajająco pośród bezkresu bieli. Od klasztoru dzielą ją już tylko trzy kilometry. Jeszcze kilka zakrętów nad przepaścią i będzie na miejscu.

Nie odrywając oczu od drogi, Parks zapala papierosa i zbiera w myślach wszystko, co wie o pustelnicach. Ich dzień zaczyna się o trzeciej nad ranem od jutrzni, po której następują długie studia i czas refleksji, aż do laudy. Potem wolno im spożyć posiłek złożony z miski zupy i kromki suchego chleba. Następnie oddają się lekturze i konserwacji zakazanych ksiąg, a odchodzą od zajęć na prymę i tercję, o pierwszej i trzeciej godzinie po wschodzie słońca. Około dziesiątej wracają do badania tekstów, by przerwać je na sekstę, nonę, wieczornicę i kompletę-nużące nabożeństwa, których czas wyznacza zachód słońca i zapadnięcie nocy. Identyczny rytuał trzystu sześćdziesięciu pięciu dni roku, bez chwili wytchnienia i odmiany, bez wakacji ani nadziei na inny dzień. Pustelnice składają śluby bezwzględnego milczenia. Nigdy ze sobą nie

rozmawiają, nie patrzą na siebie, nie okazują uczuć ani sympatii. Są jak zjawy przesuwające się w ciszy po klasztorze starym jak świat. Nierzadko prowadzące taki żywot kobiety popadają w szaleństwo, wsłuchując się w zawodzenie wiatru, który wdziera się do celi. Krążą pogłoski, że wtedy, przenosi się je do podziemi klasztoru i zamyka w celach o murach i dość grubych, by stłumić wycia.

Inne pustelnice, które złożyły także śluby ciemności, żyją w lochach, do których nigdy nie dociera światło. Czterdzieści lat w ciemnościach, bez choćby dalekiego blasku świecy. Podobno tak długie pozbawienie kontaktu ze światłem powoduje, że ich | oczy stają się białe jak ich cera. Stare, wychudłe, brudne kobiety cierpliwie czekają w ciasnych, mrocznych celach na śmierć. Parks czuje, że strach skręca jej trzewia, bo przecież do tego miejsca zmierza.

Z zadumy wyrывa ją pisk GPS-u, który sygnalizuje, że dotarła do celu. Parks rozgląda się – droga kończy się zakolem. Parkuje cadillaca i patrzy na oświetloną reflektorami wozu bramę – ciężką, drewnianą, otoczoną kamiennym łukiem, chyba wykutym w skałach. Kobieta zwraca oczy ku szczytowi zbocza i przez gęsty śnieg widzi mury. Za bramą są prawdopodobnie schody, po których trzeba wspinać się do klasztoru. Zakratowane okienko w furcie to jedyny łącznik ze światem, którego pustelnice się wyrzekły. Po drugiej stronie wciąż trwa średniowiecze.

Parks wyłącza reflektory. Samochód znika w ciemnościach. Śnieg cicho sypie z nieba, wiatr wyje... Marie włącza radio i zmienia stacje, szukając ludzkiego głosu. Jakieś trzaski wydobywają się z głośników, gdy skaner wychwytuje fale. Żadna stacja tu nie dociera, nawet z potężnych nadajników w Denver i Fort Collins. Jakby wielkie miasta zdusiła ta potężna śnieżycą.

Marie sięga po telefon komórkowy i patrzy na ekran. Tylko jedna kreska wskazuje słaby zasięg, ale i ona po chwili migotania znika. Brak zasięgu, prawdopodobnie z powodu wysokości i zamieci. Wyłącza radio i sprawdza broń przed schowaniem jej do torebki. Potem zapina palto i wychodzi na śnieżycę.

Od furty dzieli ją czterdzieści metrów. Zmagając się z zamiecią, Parks odnosi przykre wrażenie, że pustelnice obserwują ją przez kratę. Nie, właściwie czuje, że patrzy na nią cały klasztor, złowieszczą potęgą, którą obudziły światła reflektorów i która teraz uczyni wszystko, żeby jej nie wpuścić. Ani nie dać wyjść. „Przestań svirować, Marie. Najprawdopodobniej spotkasz tu miłe starsze panie, które robią hafty i jedzą ciasteczka, popijając rumianek”.

Parks dochodzi do furty. Nie może się teraz wycofać. Spogląda na ciężką kołatkę ze wspartą na małym cokole głową z brązu. Krzywi się, czując, jak lodowaty metal parzy jej dłoń i uderza czterokrotnie, a potem przytyka ucho do furty, słuchając, jak to pukanie odbija się echem w klasztorze. Czeka przez chwilę i ponownie chwytą pierścień kołatki. Przy trzecim uderzeniu drewniana okiennica otwiera się z trzaskiem, za kratą pojawia się migotliwe światło pochodni. Dwoje czarnych oczu patrzy na Parks, która przystawia do kraty legitymację FBI i stara się przekrzyczeć wiatr:

–Siostró, agentka specjalna Marie Parks. Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa popełnionego w kongregacji.

Przyjechałam z Bostonu.

Zakonnica przez chwilę patrzy na legitymację, jakby miała przed oczyma dokument sporządzony w nieznanym sobie języku. Potem jej oczy znikają, za kratą widać pomarszczone usta.

–Te rzeczy nic u nas nie znaczą. Idź swoją drogą i zostaw nas w spokoju.

–Proszę wybaczyć, że nalegam, siostró, ale jeśli siostra natychmiast mnie nie wpuści, będę zmuszona wrócić tu jutro z setką uzbrojonych jak kowboje agentów, którzy z radością

przetrząsną każdy kąt tego klasztoru, od strychu po piwnice.

Czy tego siostra chce?

–Ten klasztor ma dyplomatyczny status świętej ziemi Waty

kanu i bez zgody Rzymu lub matki Abigail, naszej przełożonej,

nikt nie może tu wejść. Życzę szczęśliwej drogi i niech Jezus nad tobą czuwa,

dokądkolwiek zmierzasz. Stara zakonnica zamyka okiennicę, gdy Parks decyduje się zagrać va banque.

–Niech siostra powie matce Abigail, że to, co zamordowało waszą pustelnicę,

umarło w Hattiesburgu. Okiennica zatrzymała się gwałtownie i otworzyła na oścież.

Znowu pojawiła się w niej starcza twarz.

–Co powiedziałaś?

–Kaleb nie żyje, siostrzo. Obawiam się jednak, że jego duch wciąż jest wśród nas.

Pośród wycia wiatru Parks słyszy, jak ktoś gorączkowo potrząsa pękiem kluczy.

Potem szcękają kolejne zamki, a w końcu ciężka

furta zgrzyta na zawiasach i otwiera się. Marie zwraca oczy na starą mniszkę,

która stoi przed nią, przygarbiona. „Boże, ileż ona może mieć lat?”.

Schody do klasztoru nikną w ciemnościach. Te schody są równie stare i

nieprzyjazne, jak wiodące do krypty, w której Kaleb ukrzyżował swe ofiary w

Hattiesburgu. Parks zamyka oczy i wdycha zimne powietrze. Potem przechodzi przez

furtę i stawia stopy na ubitej ziemi przedsionka. W tej chwili doznaje wrażenia, że

spada w przepaść, jakby całe jej ciało zaczęło nagle cofać się w odległe czasy.

Wewnątrz ciemności są jeszcze głębsze niż na otwartej przestrzeni. Powietrze

wydaje się tu bardziej przejrzyste, a płomień pochodni żywszy i jaśniejszy. Pachnie

tu siarką, piwniczką z warzywami i fekaliami. Odór średniowiecza. Słyszac

skrzypienie zamykanych drzwi, Marie z trudem opanowuje panikę. Wie, że weszła do

grobowca.

–Proszę iść za mną, w żadnym razie nie tracąc mnie z oczu.

Pustelnica z pochodnią, która strzela i trzeszczy, rusza po schodach. Setki stopni wykutych w kamiennym ciele góry.

Parks zwalnia oddech, żeby dostosować tempo wędrówki do

mniszki, której sprawność ją zaskakuje. Ma wrażenie, że gdyby mniszka nie niosła pochodni, ruszyłaby na czworakach i galopem pokonała schody. „Przestań bredzić, Marie...”. Parks zaczyna tracić poczucie czasu. Bola ją łydki i kolana. Kilka metrów przed nią po ścianie przesuwają się ogromne cienie rzucane przez pochodnię. Jej blask zdaje się jednak oddalać, jakby pustelnica przyspieszyła kroku. Agentka nie chce się forsować. Jest przerażona, brakuje jej tchu. Jak wtedy, kiedy jako ośmiolatka wykopała tunel w wydmach. Był tak długi i wąski, że tylko jej stopy pozostały na zewnątrz, kiedy piasek w końcu się osunął. Idąc za pustelnicą, doznaje tego samego wrażenia, co wówczas, dusząc się. Ostatni stopień schodów. I dalsza wspinaczka pochyłym korytarzem. Po naprężeniu łydek i pozycji stóp Parks wyczuwa, jak znaczny jest kąt nachylenia. Przyspiesza kroku, nie odrywając oczu od płomienia, którym targają mroźne podmuchy. W blasku światła dostrzega ciężkie drzwi cel. Serce podchodzi jej do gardła, włos jeży się na głowie – zauważyła uczezione krat ręce jak szpony, blade twarze, które zwracają się ku niej. Słyszy szepty. Marie idzie coraz szybciej, żeby zrównać się z oddalającą się pochodnią. Ale na końcu korytarza znowu są schody i zakonnica znalazła się już o kilka metrów nad agentką. Parks potyka się na pierwszym, niewidocznym w ciemnościach stopniu, gryzie się w język, żeby nie zakląć i w ostatniej chwili chwytą się kraty jednej z cel. Opiera się o nią. Za plecami coś się porusza, szeleści ubranie. Uświadamiając sobie, że popełniła błąd, chce się odsunąć, ale coś zimnego zaciska się na jej szyi. To ręka, chuda ręka, której kościste palce miażdżą jej gardło ze zdumiewającą siłą. Bliska uduszenia Parks próbuje otworzyć torbę, żeby wyjąć broń. „Ty kretynko, dlaczego nie zostawiłaś magazynka w samochodzie, byłoby ci jeszcze łatwiej!”. Cuchnący oddech owiewa twarz Marie, a to coś, co ją dusi, przywiera twarzą do krat:

–Kim jesteś, wścibska gnido?

Manipulując palcem przy suwaku torebki, który się zaciął. Marie wydusza z siebie:

–M... Marie Parks. FBI.

–To mówi? Panie, to mówi! I istota wyje w mroku:

–Siostry, schwytałam Szatana! Schwytałam Szatana, a on do mnie przemówił!

Koncert cmokania i mlaskania wypełnia korytarz, Marie widzi szereg białych rąk wysuwających się z cel, szereg twarzy przy kratkach, wykrzywione usta, z których wydobywają się wrogie wrzaski.

–Rozerwij mu gardło, siostro! Nie pozwól, by się wymknął!

Oddział zamkniętych pod wzmożonym nadzorem w szpitalu psychiatrycznym – oto, co przychodzi na myśl Marie, kiedy

mąci się jej wzrok i kiedy uginają się pod nią kolana. W końcu

udaje się jej wsunąć rękę do torebki i chwycić broń. Rzut oka w

lewo – płomień podskakuje w dali – pustelnica biegnie po schodach najszybciej jak może. Parks wyciąga pistolet i opróżnia

magazynek, strzelając w górę. W słabym blasku detonacji z przerażeniem dostrzega, że za kratami roi się od bladych twarzy i wyciągniętych rąk. Bliska omdlenia, po omacku wsuwa nowy magazynek i przeładowuje broń, przyciskając lufę do twarzy napastniczki.

–Daję ci... trzy sekundy. Masz mnie puścić, bo twoja sztuczna szczęka wyskoczy razem z kulą. Marie czuje oddech na policzku.

–Nie możesz mnie zabić, Parks. Nikt nie może. Rzut oka w lewo. W miarę jak zbliża się płomień pochodni, coraz więcej twarzy oddala się od krat, a ruchy tych istot stają się kocie. Marie gotowa jest nacisnąć na spust, ale wtedy słyszy szept:

–Tym razem ci się udało, ale nie ujdiesz z życiem z tego klasztoru. Zrozumiałaś, Parks? Wszłaś tu, ale nigdy stąd nie wyjdiesz.

Potem ucisk na gardło nagle ustępuje, a istota oddala się z szelestem. Marie osuwa się po kratkach na ziemię, ciężko dysząc. Zamyka oczy i słucha coraz bliższych kroków pustelnicy. Stara zakonnica pochyla się nad nią i gniewnie syczy:

–Postradała pani rozum? Dlaczego użyła pani broni? Parks otwiera oczy i patrzy na pustelnicę, która trzęsie się ze złości.

–Może raczej siostra wyjaśni mi, co te zakonnice robią w lochach i jakich dopuściły się zbrodni, by zasłużyć sobie na tak niehumanitarne traktowanie?

–Jakie zakonnice? O czym pani mówi? Te cele są puste od z górą stu lat.

–Dlaczego w takim razie jedna z nich próbowała mnie zamordować, a pozostałe wyły jak szalone?

–Pozostałe? Kto?

Zaintrygowana staruszka przysuwa pochodnię do krat celi. Izdebka jest brudna i pusta. Pięć metrów kwadratowych bez żadnych sprzętów i zakamarków. Pustelnica odzywa się po chwili, a jej głos brzmi donośnie w cichych podziemiach:

–W tych celach spokoju zaznawały te z naszych sióstr, których rozum szwankował po latach odosobnienia. Zamykano je tu, żeby reszta wspólnoty nie słyszała ich przerażających krzyków. Ale to było ponad sto lat temu. W dzisiejszych czasach

obłąkane trafiają do szpitala psychiatrycznego Świętego Krzyża. Na pewno nic pani nie jest? Marie Parks zatacza się. Czuje, że sama jest bliska obłądu.

Korytarz rozwidniał się coraz bardziej, w miarę jak kobiety zbliżały się do szczytu. Szara plama mroku, wyjście na dziedziniec i Parks znowu ujrzała wirujące w powietrzu płatki śniegu. Owiał ją lodowaty wiatr. Mrugając oczyma spojrziała na budynki otaczające dziedziniec. Kamienne posągi śpią pod śniegiem. Ukrzyżowany na środku tego placu gigantyczny Jezus szeroko otwartymi oczyma patrzy na przechodzące kobiety. Zerkając na niego, Parks zastanawia się, co mogą czuć pustelnice, przechodząc po tym skrawku bruku dzień w dzień, i zawsze pod zimnym okiem tej figury z brązu. Zakonnica wchodzi na krużganek klasztoru. Po śladach na śniegu Marie domyśla się, że staruszka nosi zdarte skórzane sandały. Pustelnica tupie, żeby otrzepać podeszwy z grubej warstwy śniegu. Potem przechodzi przez wykutą w kamieniu bramę, wiodącą do głównego budynku. Idąc jej śladem, Parks

także otrzepuje buty. Czując na plecach spojrzenie Chrystusa, wchodzi do przestronnego przedsionka, pachnącego kurzem i pastą do podłogi. Na ścianach portrety wielkich świętych sąsiadują z płaskorzeźbami przedstawiającymi Mękę Pańską Marie znowu natyka się na spojrzenie ukrzyżowanego, ukazanego na wielu obrazach, które teraz spowija półmrok. Gniew i desperacja – oto co dostrzega w oczach Chrystusa, namalowanych przez artystów. Rozgląda się na wszystkie strony –gdziekolwiek zatrzyma się wzrok pustelnic, obserwuje je oko Boga. – Przyjmie panią matka Abigail. Parks drga, słysząc pustelnicę z końca korytarza. Odłożyła pochodnię i pcha ciężkie drzwi, za którymi widać już gabinet o ścianach obitych starymi tapiseriami.

Marie wchodzi. Czuje ciężki zapach wosku, przesączający powietrze. Na kominku trzeszczą palące się polana. Drzwi się zamykają, a Parks idzie po skrzypiącym parkiecie w stronę dębowego biurka, na którym stoją stare kandelabry. Bije od nich woń miodu. Matka Abigail sztywno siedzi w fotelu, obserwując gościa. Ta drobna staruszka cechuje się zdumiewającą brzydota i rysami tak surowymi, jakby wykuto je w twardej, zimnej skale. Na policzkach ma niewielkie, pionowe blizny, nieco podobne do ran, jakie pozostają na twarzach obłąkanych, którzy drapią się do krwi.

–Kim pani jest i czego pani chce?

–Agentka specjalna Marie Parks, matko. Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa popełnionego w tym klasztorze. Abigail kwituje tę odpowiedź lekceważącym machnięciem ręki.

–Czy powiedziała pani zakonnicy, która tu panią przyprowadziła, że „to”, co zamordowało naszą siostrę, zginęło w Hattiesburgu?

–Owszem, matko. Zostało zabite przez agentów FBI. Nosilo imię Kaleb. To był mnich.

–To znacznie więcej niż mnich. Matka Abigail wzdycha z zatroskania.

–Skąd pewność, że to on zamordował naszą siostrę?

–Dzięki tym, które go tropiły. Dzięki zakonnicom prowadzącym śledztwo z woli Watykanu.

–Chce pani powiedzieć, że Mary-Jane Barko i jej siostry w

końcu go odnalazły?

–Nie, matko. Kaleb porywał je kolejno i mordował przez ukrzyżowanie.

–Gdzie teraz jest?

–W kostnicy Liberty Hall Hospital w Bostonie. Matka Abigail uniosła się w fotelu, jak rażona prądem.

–Boże, czy to ma znaczyć, że nie został spalony?

–A powinien zostać?

–Tak. W przeciwnym razie powraca. To zawsze powraca. Sądzymy, że umarło, ale to wraca.

–Co wraca, matko?

Stara mniszka zaczęła gwałtownie kasłać. Zasłoniła usta ręką. Kiedy odzyskała głos, Parks słyszy chrapliwy świst wydobywający się z jej oskrzeli. Matka Abigail cierpi na rozedmę.

–Agentko specjalna Marie Parks, może zechce pani wyjaśnić mi dokładniej powód swej obecności wśród nas.

–Muszę zbadać dzieła, nad którymi pracowała tuż przed śmiercią ta pustelnica. Jestem przekonana, że klucz do zbrodni znajduje się w klasztornej bibliotece.

–Odnoszę wrażenie, że nie zdaje sobie pani sprawy z zagrożenia, jakie nad panią wisi.

–Czy to znaczy „nie”?

–To znaczy, że potrzeba przynajmniej trzydziestu lat pracy, by zrozumieć cokolwiek z tych pism.

–Słyszała matka o złodziejach dusz?

Matka Abigail wtula się w fotel, a Parks wyraźnie słyszy drżenie w jej głosie.

–Moje dziecko, są takie słowa, których lepiej nie wypowiadać w środku nocy.

–Może skończymy z tymi bzdurami? To już nie średniowiecze, wszyscy doskonale wiedzą, że Bóg umarł, kiedy Neil Armstrong postawił stopę na powierzchni Księżyca.

–Kto taki?

–Zapomnijmy o tym. To moja wina, źle to wyjaśniłam. Nie przyjechałam tu, żeby urządzić sobie Halloween albo nauczyć się latania na miotle, ale żeby prowadzić śledztwo w sprawie zabójstwa zakonniczki z waszej kongregacji. To jedno z wielu zabójstw na długiej liście pewnego sprawcy, który, jeśli wierzyć we wnioski czterech zabitych z Hattiesburga, przez wieki morduje pustelnice, jak inni nawlekają perełki na sznurek. A zatem jedno z dwojga: albo udostępni mi matka waszą bibliotekę, albo będę musiała tu wrócić z nakazem rewizji i ciężarówkami, które przewiozą wszystkie satanistyczne dzieła do siedziby FBI w Denver.

Zapadła cisza. Parks dostrzega iskry w oczach matki przełożonej, która patrzy teraz na nią jak na zniechęconego wroga. Jeżeli pustelnice są tak szalone, jak słyszała, to właśnie wydała na siebie wyrok śmierci.

–Agentko specjalna Parks, tylko miłosierdzie każe mi udzielić pani gościny w naszym domu do czasu ustania zamieci. Zakonnica, która tu panią wprowadziła, wskaże pani celę naszej zamordowanej siostry. Obecnie to jedyna wolna izba. Nie

leży w mej mocy ułatwienie pani śledztwa, mogę tylko usilnie doradzać, żeby nie opuszczała pani tej celi, dopóki wiatr nie ucichnie i nie przestanie sypać śnieg. To miejsce nie jest bezpieczne dla ludzi, którzy nie wierzą w Boga.

–Czy to groźba?

–Nie, przestroga. Kiedy się roz pogodzi, powinna pani niezwłocznie stąd wyjechać. Tymczasem proszę nie zakłócać spokoju sióstr.

–Matko, nikt nie może czuć się bezpieczny wobec zabójcy, który zadręczył tę mniszkę. Jeżeli to sekta, która zagraża waszej kongregacji, to mordercy powrócą i z pewnością nie powstrzymają ich wasze modły.

–Pewnie pani uważa, że bardziej skuteczna okaże się pani broń albo odznaka?

–Tego nie powiedziałam.

Gniewnie zaciskając usta, stara zakonnica wstaje z fotela. Jej głos grzmi w półmroku.

–Agentko specjalna Parks, Kościół jest instytucją o wiele wiekowej historii, ma swoje tajemnice i zagadki. Od przeszło dwudziestu stuleci prowadzimy ludzkość przez mroki jej przeznaczenia. Przetrwaliśmy herezje i upadek imperiów. Od zarania dziejów święci modlą się na kolanach w naszych opactwach i klasztorach, aby przegnać Bestię. Widzieliśmy, jak gasły miliardy dusz, zaznaliśmy dżumy, cholery, przeżyliśmy krucjaty i tysiąc lat wojen. Czy naprawdę pani wierzy, że sama zdoła stawić czoło groźbie, która nad nami zawisała?

–Mogę wam pomóc, matko.

–Tylko Bóg może tego dokonać, moje dziecko. Nie zdając sobie z tego sprawy, Marie cofa się o kilka kroków, jakby uciekała przed krzykiem matki Abigail. Drzwi gabinetu otwierają się, zgrzytając. Gdy Marie odwraca się, by iść za swą przewodniczką, matka przełożona dodaje:

–Wierzy pani w aurę? Parks zatrzymuje się, patrzy znów na matkę Abigail i pyta:

–Co takiego?

–Aura. To barwy duszy, które promieniają z ciała i otaczają je jak poświatą. Wokół pani widzę tylko niebieski i czarny.

–I co to znaczy?

–Znaczy to, że wkrótce pani umrze, agentko specjalna Marie Parks.

–Zostawiam pani pochodnię i garść świec. Proszę używać ich bardzo oszczędnie, a skanujący wosk zbierze w naczyniu, bo nie dostanie pani więcej światła.

Zatrzymując się w drzwiach, Parks wdycha cuchnące stęchlizną powietrze.

Potem zwraca się do mniszki.

–A siostra?

–Ja?

–Jak odnajdzie siostra drogę w ciemnościach?

–Proszę się o to nie martwić. Niech się pani teraz prześpi. Wrócę o świcie.

Powiedziawszy to, stara mniszka zamyka drzwi i przekręca klucz w zamku. Kiedy szuranie jej sandałów ucichło, Parks zastyga, słysząc gdzieś w dali jęk stłumiony przez grube mury. To krzyki ludzi. Zamyka oczy. Nie wpadać w panikę, nie w środku nocy. I nie w tym klasztorze pełnym zwariowanych staruszek, które tkwią tu na wysokości dwu i pół tysiąca metrów, na odludziu, w pustce. Marie próbuje się uśmiechnąć.

Na dworze szaleje wichura. Pewnie wzięła zawrodozenie wiatru za jęk ludzi. Z gabinetu matki Abigail szła w ślad za mniszką po siedemdziesięciu dwóch stopniach kręconych schodów, Prawdopodobnie znajduje się więc na drugim, trzecim, a może czwartym piętrze budynku, od strony wystawionej na podmuchy. Ten wiatr, który nie natrafia na żadną przeszkodę, uderza w klasztor z całą siłą, jak fala rozbijająca się o burtę statku. Wsłuchując się w walkę żywiołów, Parks czuje się tu niemal tak samotna, jak wówczas, gdy była uwięziona w śpiączce. Wewnętrzna cisza i odległy pomruk świata zewnętrznego. Wosk trzaska w ogniu, płonące krople skwierczą na posadzce. Marie przygniata je butem. Potem bierze pochodnię i rozgląda się po izdebce, która ma być jej schronieniem, dopóki nie ustanie zamieć.

Mury zostały wzniesione z granitowych bloków pobielonych wapnem, w które wbito rząd żelaznych haków do zawieszania ubrań. Na posadzce laskowany krzyż wytarty przez niezliczone stopy, pomalowany na szafranowo i złoto – symbol pustelnic. Parks zatrzymuje się pośrodku tego krzyża. W głębi celi, nad siennikiem i nocnym stolikiem wisi kalendarz. Na stoliku piętrzą się zakurzone książki. Po lewej stronie kamienny blat wystający ze ściany i drewniany taboret tworzą kąt do pracy. Na wprost miednica, na której już dawno popękała emalia, i stary dzban zastępują łazienkę. Nad nimi upstrzone rdzawymi plamami lustro, w którym odbija się wiszący na ścianie krucyfiks. Zimnoszara, metalowa szafa dopełnia wystroju wnętrza.

Parks ustawia dziesięć świec na kamiennym stole w stojących tam świecznikach. Pociera zapalkę o trzaskę i przypatruje się małej kulce siarki, która rozpała się w jej palcach. Potem kolejno zapala świece, krzywiąc się z bólu, gdy płomień coraz krótszej zapalki parzy jej palce. Mrok się rozprasza, miła woń rozgrzanego wosku wypełnia celę. Marie kończy przegląd. Nie ma tu ani toalety, ani bieżącej wody. Żadnych zdjęć, żadnego, choćby czarno-białego zdjęcia z dawnego życia pustelnicy. Żadnych wspomnień o tym, jaka była, zanim przywdziała habit, jakby jej pamięć została wymazana, gdy zatrzasnęła się za nią klasztorna furta.

Marie spogląda na przypięty do ściany kalendarz – jeden z tych, w których zdziera się kartki, by przejść do kolejnego dnia. Sobota szesnastego grudnia, data śmierci pustelnicy. Nikt nie odważył się zdzierać dalszych kartek. Prawdopodobnie to jakiś przesąd. Marie przerzuca kartki aż do aktualnej daty. Starannie oddziela je od reszty i oblicza – od dnia zabójstwa minęły sześćdziesiąt trzy dni. Marie wysuwa szufladkę w stoliku nocnym i wrzuca tam wydarte kartki. Potem siada na materacu i przegląda książki, które stara zakonnica czytała na kilka godzin przed śmiercią. Prace dotyczą mitu założycielskiego religii. Parks zapala papierosa i wybiera jedną z nich.

Ma przed sobą angielski manuskrypt z XIX wieku. Autor opisuje odnalezienie tysięcy glinianych tabliczek podczas prac archeologicznych na terenie Niniwy, starożytnego miasta w Mezopotamii. Na jedenastej tabliczce archeolodzy odkryli epopeję o sumeryjskim królu Gilgameszu. Legenda głosi, że Gilgamesz wyruszył na poszukiwanie jedyne go człowieka, który przeżył kataklizm, jaki wstrząsnął ziemią w roku 7500 przed Jezusem Chrystusem. Ulewne deszcze sprawiły, że morza i oceany wystąpiły z brzegów.

Jak głosiły owe tabliczki z Niniwy, tuż przed potopem legendarny bohater o imieniu Utnapisztim został uprzedzony we śnie o nadchodzącym kataklizmie przez sumeryjskiego boga Ea. Tenże Utnapisztim, jak nakazał mu Ea, zbudował wielką łódź, na którą zabrał po parze zwierząt z każdego gatunku, a także ziarna wszystkich roślin oraz nasiona kwiatów, jakie rosły na ziemi. Parks poczuła dławienie w gardle. To potop ze Starego Testamentu, Arka Noego ratująca zwierzęta przed gniewem Bożym, opowieść stara jak świat.

Rozgorączkowana, kartkuje kolejne dzieło, przekład Sata patha Brahmana, jednej z dziewięciu świętych ksiąg hinduizmu z VII wieku przed Jezusem Chrystusem. W tym zbiorze, opatrzonym licznymi adnotacjami mniszki, Noe nazywa się Manu, a bóg Wisznu pod postacią ryby przestrzega go o nadciągającym

Potopie i nakazuje wybudować łódź. To unicestwienie nie wynika z gniewu Bożego, ale, jak zwą to Hindusi, jest tchnieniem Brahmy, tego, który tworzy wydychając, a następnie niszczy swe stworzenie, wdychając powietrze, które posłuży mu do następnego procesu kreacji.

Czy to jednak tchnienie Brahmy czy nie, niebo zapłonęło i gdy siedem gorejących słońc wysuszyło ziemię i oceany, zaczęło lać przez długich siedem lat. Znowu liczba siedem... Parks przypała papierosa od niedopałka poprzedniego. W następnej książce Noe Persów nazywa się Jima, a bóg Ahura-Mazda uprzedza ludzi o zagładzie. Jima chroni się w fortecy ze swymi najlepszymi ludźmi i najdorodniejszymi zwierzętami, zabierając najokazalsze rośliny. Nadchodzi straszliwa zima, a śnieg, który pokrywa ziemię, topi się, tworząc na długo warstwę zlodowaciałej wody.

Marie kładzie książkę na posłaniu i sięga po kolejną – zbiór napisany przez etnologów i podsumowujący wyniki prac prowadzonych wśród pierwotnych ludów świata. Wszędzie, od australijskich pustyń po najgęstsze lasy Ameryki Południowej, natrafiano na opowieść o potopie, który wydarzył się kilka stuleci przed naszą erą. To tak, jakby najbardziej archaiczne cywilizacje dotknęła katastrofa, która stała się legendą, lecz naprawdę wydarzyła się ona w niepamiętnych czasach. Takie lektury czytywała do poduszki stara zakonnica. Parks już miała zamknąć ostatnią z książek, kiedy jej uwagę zwróciła notatka zrobiona przez pustelnicę na marginesie strony:

Bezimienny powraca. Bezimienny zawsze powraca. Sądzimy, że to już umarło, ale to wraca.

„Sądzimy, że to już umarło, ale to powraca...”. Te słowa wyszeptała matka Abigail, gdy Parks powiedziała jej o Kalebie. Marie gasi papierosa w glinianej miseczce i podchodzi do szafy, której drzwi są uchylone. Wewnątrz znajduje plik

kartek, na których staruszka rysowała sceny ze swoich koszmarów – ukrzyżowane kobiety, otwarte groby, lasy krzyży. Zupełnie jak Mary-Jane Barko w swoim notesie.

Na każdym szkicu zakonnica narysowała czerwony krzyż w płomieniach, a na jego ramionach widać było wyraźne litery INRI, tytuł Chrystusa. Powyżej skrótu pustelnica bazgrała jego pełne brzmienie i przekład:

IANUS NAZARENUS REX INFERNORUM Ten jest Janus, Król Piekieł

Parks czuje, że ogarnia ją przerażenie. To właśnie oznaczały tatuaże Kaleba. Nie Jezus, syn Boży, ale Janus, jego odpowiednik, władca Piekieł. Bezimienny. Zamykając drzwi szafy, Marie zauważa, że równolegle do nóg szafy podłoga była wytarta, jakby mebel często przesuwano, żeby z powrotem postawić go na dawnym miejscu. To musiał być manewr powtarzany wielokrotnie, zawsze precyzyjny. Opierając się o ścianę, Parks popycha szafę, żeby jej nogi znalazły się na końcu śladów. Potem dokładnie ogląda odsłonięty kawałek ściany. To granit, którego chropowata powierzchnia drapie jej dłoń. Nagle natrafia na inną strukturę. Idzie po świeczkę i ponownie ogląda ścianę. Tam granit jest twardy i zimny, tu nagle staje się gładki i wyraźnie cieplejszy. Marie opukuje ścianę. Dźwięk jest taki, jakby pod spodem była pusta przestrzeń. To musi być deska pokryta wapnem. Odrywa ją palcami i znajduje wykutą w ścianie niszę wielkości dużej cegły. Stara pustelnica musiała mozolnie kruszyć kamień, a potem dyskretnie pozbywać się odłamków na klasztornej dziedzińcu. Zapewne poświęciła tej pracy wiele nocy, a musiała przy tym zachowywać się bardzo cicho. Szperając w schowku, Parks wyczuła pod palcami skórę starej oprawy, przewiązaną kawałkiem tkaniny. Wyciąga ją do światła. Wewnątrz plik pergaminów nadszarpniętych zębem czasu, postrzępionych na brzegach. Marie rozkłada je na kamiennym stole i tak przysuwa świecznik, by oświetlić tekst, nie narażając

manuskryptu na osmalenie. Potem siada na taborecie i zaczyna czytać niskim głosem linijki, a wykaligrafowane gęsim piórem słowa tańczą jej przed oczami.

Pierwszy pergamin opatrzone datą jedenastego lipca tragicznego roku 1348, roku wielkiej zarazy. To tajny raport wysłany do Awinionu przez Wielkiego Inkwizytora Thomasa Landegaarda, któremu Jego Świątobliwość papież Klemens VI powierzył śledztwo w sprawie rzezi pustelnic w fortecy Matki Bożej z Cervin, w czas zarazy. Klasztor wznosił się w górach, nieopodal szwajcarskiej wioski Zermatt. Z raportu Landegaarda wynikało, że nocą z czternastego na piętnastego stycznia 1348 roku błędni rycerze napadli na zagubiony w górach klasztor i wymordowali nieszczęsne mniszki, najpierw poddając je okrutnym torturom. Tylko jedna pustelnica, staruszka, zdołała uciec i zabrać ów bardzo cenny manuskrypt

ewangelii według Szatana. Parks wytrzeszczyła oczy. Jeśli wierzyć inkwizytorowi, rycerze zabili zakonnice z Cervin, aby zdobyć ten manuskrypt. Tę samą księgę pragnął zagarnąć Kaleb, gdy mordował mniszki, odbywając szaleńczą podróż przez Afrykę i Stany Zjednoczone. Identycznych zbrodni dokonano po siedmiuset latach spokoju. Marie odłożyła książki. Tej styczniowej nocy 1348 roku zaginęła pustelnica, której udało się ująć przed rzezią. Zapewne przekroczyła granicę Italii, wędrując wzdłuż szczytów, ponieważ inkwizytor twierdził, że tam urywa się jej ślad i że nikt nie wie, co się stało z tajemniczą ewangelią. Drugi pergamin, także podpisany przez Landegaarda, pochodzi z piętnastego sierpnia 1348 roku. Został wysłany z miasta Bolzano przez kuriera. Inkwizytor podążał tropem pustelnicy już od czterech tygodni. Szedł górskim szlakiem, który ona mogła przemierzyć pół roku wcześniej. Jak zdołała przetrwać straszliwą zimę 1348 roku, oprzeć się mroźnemu wiatrowi i miazmatom wielkiej zarazy, które nosił? Landegaard nie potrafił tego wyjaśnić.

Odpowiedź padła nieco później – Landegaard ustalił, że znajdowała schronienie w kongregacjach mających swe klasztory po drugiej stronie Alp – fortecy mariawitów w Ponte

Leone, trapistów z Maccagno Superiore, wznoszącej się nad lodowatymi wodami jeziora Maggiore, Santa Madonna di Carvagna nad jeziorem Como, wspólnocie karmelitańskiej Pia San Giacomo, czy wreszcie w Cima di Rosso i w Matinsbriick na pograniczu z Tyrolem. Te klasztory były atakowane wkrótce po odejściu mniszki, ich mieszkańców torturowano i krzyżowano. Takich oto makabrycznych odkryć dokonał Landegaard, wędrując przez wiele tygodni śladem pustelnicy. A to oznaczało, że błędni rycerze wytropili ją znacznie wcześniej. Nie... Czytając przerażającą relację inkwizytora, zrozumiała, że za starą mniszką szedł pół roku wcześniej ktoś inny. Samotny zabójca, łowca, który podstępnie zakradał się do klasztorów i nocami mordował zakonników. Mnich, a raczej coś, czego nie da się nazwać, a co przywdziało święty habit Parks cofnęła się o kilka wersów, aby zdobyć pewność, że to, co przeczytała, nie było tworem jej wyobraźni. To był mnich.

Ostatnie fragmenty raportu Landegaarda niemal całkowicie wyblakły. Z tego, co się udało odcyfrować Marie, inkwizytor informował Jego Świątobliwość, że zgubił trop pustelnicy w Dolomitach, w ogromnych, zdominowanych przez czarną sosnę lasach, pośród których wznosi się stary klasztor augustianek. Udaje się tam. Parks odkłada pergamin i czyta następny. Trzeci września 1348 roku. Trzeci raport inkwizytora Thomasa Landegaarda. Pismo jest ściśle, świadczy o głębokim niepokoju. Parks półgłosem czyta dokument.

Wasza Świątobliwość, niestety, od mego wyjazdu z Awinionu upłynęło już tyle dni, a do końca tego burzliwego roku pozostaje coraz mniej wschodów i zachodów słońca. Jakie o tym mówić, nie roniąc łzy nad krainą rozpacz, którą przemierzamy? Wszędzie czarna śmierć spowiła mrokiem żałoby nasze miasta z kamienia, miasta ciszy, a na jej szlaku pozostał tak odrażający smród, że marynarze, jak słyszałem, czują go nawet w Pireusie.

Mówi się, że zaraza zawładnęła teraz północną Europą, spustoszyła Paryż i zbliża się do Hamburga oraz murów Nijmegen.

Panie Wszchemogący, jaki los spotkał zatem Awinion i Rzym, tak bliskie miejsc, gdzie wybuchła ta epidemia, o której przed moim wyjazdem mówiono, że wystarczą maści starych zielarek i wonne kadzidła, by ją pokonać?

Wasza Świątobliwość, czy światło Twej mądrości promieniuje jeszcze w świętym pałacu, i czy gołębie, które mają dostarczać Waszej Świątobliwości informacje ode mnie, nie krążą dziś ruinami?

Szelest kart. Parks sięga po kolejny pergamin.

Co się zaś tyczy śledztwa, które prowadzimy z rozkazu Waszej Świątobliwości, pragnę powiadomić, że trop pustelnicy urywa się w klasztorze augustiańskim, o którym wspominałem w poprzednim raporcie wysłanym z Bolzano. Aby dotrzeć do tych odludnych miejsc, godzinami jechaliśmy po lesie tak gęstym, że nie słysząc było, jak kopyta naszych rumaków uderzają o ziemię. Tylko wycie wilków i odległe krakanie kruków wskazywało nam drogę ku rozległej polanie, na której wznoszą się mury klasztoru.

Widząc chmary padlinożerców kołujących nad wieżami, domyśliliśmy się, że śmierć wybrała sobie te mury na swe siedlisko. Zadaliśmy w róg pośród głębokiej ciszy, by uprzedzić tych, którzy może przetrwali, a potem wyważyliśmy bramę. Musieliśmy spinać konie ostrogami, by zmusić je do wejścia, a one rżały, strzygły uszami i opierały się, jakby wyczuwając złowrogą aurę.

Nasze obawy okazały się słuszne – na spotkanie nie wyszła nam żywa dusza, toteż przeszukaliśmy klasztor, wędrując mrocznymi korytarzami i wykrzykując po łacinie imię Waszej Świątobliwości.

Otwierając drzwi kolejnych cel, znajdowaliśmy zaschnięte kałuże krwi i szczątki ludzkie.

Następnie wyszliśmy na przyklasztorny cmentarz i ujrzelśmy czternaście dość świeżych grobów, z których trzynaście, jak się

zdaje, zbezczeszczono. Otworzyliśmy czternasty, nienaruszony grób i tam odnaleźliśmy wreszcie pustelnicę z Ceruin. Lecz po przekłętej ewangelii, którą ze sobą zabrała, nie było ani śladu. Dlatego przetrząsnęliśmy klasztor i przewróciliśmy do góry nogami bibliotekę. Nadaremnie.

Górna część kolejnego pergaminu wyglądała na osmaloną w ogniu. Atrament wyblakł pod wpływem gorąca i dwa zdania były praktycznie nieczytelne. Marie zdołała rozszyfrować słowa „żał” i „strach”. Potem następował dalszy ciąg relacji.

Opuściliśmy cmentarz, by przetrząsnąć fortece aż po podziemia. Tam właśnie odnaleźliśmy trzynaście ciał z trzynastu grobów. Zwłoki trzynastu mniszek, które zdawały się błędzić w ciemnościach, aż ponownie padły z wyczerpania. Celowo napisałem, że „ponownie padły”, ponieważ wszystkie spowite były całunami, jakby złożono je do ziemi w owych trzynastu grobach na cmentarzu, zanim powstały z martwych, by nawiedzać te miejsca, do których nie dociera światło. Nurtuje mnie inna kwestia. Otóż większość trupów klęczało pod ścianą, trzymając się dłońmi szczelin w murze, jakby nieumarłe resztki sił poświęciły obmacywaniu ścian w poszukiwaniu czegoś.

Zgodnie z rytuałem przenieśliśmy zwłoki poza mury klasztoru, by pogrzebać je w lesie i aby ich niespokojne dusze nigdy już nie nękały spoczywających w poświęconej ziemi cmentarza. Nie mamy niestety wieści o matce przełożonej tych biedaczek, niejakej Izoldzie z Trydentu, której śmierci nie potwierdziły ani nagrobki, ani księgi kongregacji. Może uciekła w pośpiechu po tym, jak jej mniszki zostały wymordowane? Może i ona wymknęła się, zabierając ze sobą ewangelię? W chwili, gdy piszę te słowa, sprawa ta pozostaje równie tajemnicza, jak cała reszta.

Podsumowując, choć nie mam dziś klucza do tej zagadki, muszę stwierdzić, Wasza Świętobliwość, iż do serc naszych zakradło się wielce niepokojące przekonanie, że za tajemniczymi wydarzeniami kryje się diabeł i że wciąż jeszcze krąży po tych miejscach.

Się przez umyślnego te słowa, które Wasza Świętobliwość będzie mógł wkrótce przeczytać w swym pałacu, jeśli ten ocalał w morowy czas. Kolejny list, jeśli celowym okaże się przesianie go przed moim powrotem do Awinionu, zanieś mój ostatni gołąb.

Ludzie z eskorty są zbyt zmęczeni, by ruszać w dalszą drogę w dogasającym świetle dnia, toteż pozostaniemy w tym miejscu na noc i aż do świtu będziemy się zmieniać, czuwając, by ogień nie zagaśł, a strach nie zawładnął naszymi sercami.

Nie jest to dla mnie miła perspektywa, lękam się bowiem, że złowroga siła, która zadała śmierć augustiankom, czeka jedynie na nadejście nocy, by się obudzić. Zarazem jednak pozwoli mi to odejść z czystym sumieniem, bo każą pilnować

cmentarza, by upewnić, że zmarli, którzy tam spoczywają, nie powstają z grobów przy pełni księżyca.

Całuję ręce Waszej Świątobliwości i ufam, że Bóg zechce nas prowadzić i wspierać Ciebie, Ojczy Świąty, w walce z ciemnościami, które ogarniają świat, mnie zaś w mozolnej wędrówce przez tajemniczy świat, której etapem stało się to cmentarzysko dusz.

Parks sięgnęła po ostatni raport. Dotąd staranne, pismo inkwizytora jest tym razem nierówne i pochyłe, świadczące o strachu czy wręcz przerażeniu. Wiadomość powstała w kilka godzin po poprzedniej.

Wasza Świątobliwość!

Księżyc wzeszedł nad trzewiami Piekieł, bo piekłem stało się to porzucone przez Boga miejsce. Nie pomogły ognie, które rozpaliliśmy na poświęconej ziemi cmentarza, coś zdołało wymordować tę garść ludzi, która mi jeszcze została. Do tej pory słyszę rozdzierające krzyki tych, których „to” zarzytało. Zabijał ich mnich. Mnich bez twarzy i bez duszy.

Obecnie schroniłem się w najwyższej izbie wieży i pisząc te słowa, widzę mych martwych braci, gdy błakają się, szukając mnie.

Zapewniam Waszą Świątobliwość, że te słowa, pisane pod wpływem strachu, nie są jednak słowami szaleńca: W tej minucie słyszę kroki mych braci, którzy wchodzą po schodach, wrzeszcząc

me imię. Przypuszczam, że dostrzegli mą twarz, gdy obserwowałem ich przez okno. Wołają mnie. Nadchodzą. Wasza Świątobliwość, diabeł zamieszkał w tych murach. Tu kończy się moja droga, tu umrę. Zanim drzwi ustąpią, powierzę ostatnie już słowa gołębiowi, którego zaraz wypuszczę. Jeśli ta wiadomość trafi do rąk Waszej Świątobliwości, zaklinam, Ojczy Świąty, byś przysłał tu Twą szlachetną gwardię, rozkazując zrównać klasztor z ziemią, a fundamenty zalać wapnem z wodą święconą. O Boże, drzwi lada chwila ustąpią! Panie, już tu są!

Marie ponownie przeczytała słowa inkwizytora. A zatem dobiegła kresu droga nabożnego śledczego, w tym samym klasztorze, który udzielił schronienia konającej pustelnicy! Wyczerpana, położyła się na sienniku i wpatrzyła w sufit. Nadstawiła ucha, wsłuchując się w wycie wiatru. Zawieja przybierała na sile. Ogarnęło ją dziwne odrętwienie. Przez chwilę próbowała je przełamać, potem, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, zapadła w niespokojny sen.

W ciemnościach skwierczy pochodnia. Ojciec Carzo przemierza podziemne korytarze azteckiej świątyni. Jest zimno. Freski, które ukazują się w świetle, pokrywa szron. Pierwsi ludzie, zniszczenie Raju, prehistoryczny posłaniec, piramidy i wielkie miasta Olmeków, wznoszone ku czci Światła. Na końcu korytarza przed kapłanem otwiera się rozległa jaskinia. W kręgu świec stoi jakaś postać. Carzo podchodzi bliżej. „To” patrzy na niego.

Ojciec Carzo przewraca się we śnie. Kolejna wizja: zachód słońca nad dżunglą, czerwone niebo i rogalik słońca zawieszony tuż nad horyzontem. Wyszły rzeki, a w ich zasłanych ścierwem zwierząt korytach leży mnóstwo zdechłych much. Drzewa obumarły, a ziemię pokrywa gruba warstwa popiołu. Nigdzie nie

słychać kwilenia ptaków ani nawet bzyczenia owadów. Zaraza pokonała ten świat. Kapłan idzie pomiędzy uschniętymi drzewami. Gałęzie łamią się, kiedy je odsuwa, by utworzyć sobie drogę. Zniknęły kolory, pochłonięte wraz z życiem, które odzwierciedlały. Egzorcysta idzie dalej, a spod jego sandałów unosi się pył. Mimo niesamowitego upału na jego czole nie pojawiła się ani kropla potu, a habit na plecach pozostał idealnie suchy. Duchowny ledwie czuje, że pasy plecaka wpijają mu się w ramiona. Idzie wpatrzony w szczyt ogromnej piramidy, którą przesłaniają tylko suche konary drzew. Oumaxaya, zaginione miasto wyniszczone przez wielką zarazę, jaka padła na Olmeków, kiedy odwrócili się od Światła... Warstwa popiołów pod stopami ojca Carzo twardnieje. Egzorcysta stanął u podnóża piramidy. Wznosi oczy, spogląda z daleka na trzy krzyże na jej wierzchołku. Tarcza słońca rozświetla przedwieczornym, szkarłatnym blaskiem ten widok. Z każdym pokonanym stopniem schodów robi się coraz goręcej. Carzo stoi teraz ponad dżunglą, odwraca się, by ogarnąć ją wzrokiem. Uschnięte drzewa i popiół, jak sięgnąć okiem. Od szczytu dzieli go zaledwie dwadzieścia schodów. Wyraźnie widzi twarze ukrzyżowanych, którzy obserwują jego wspinaczkę. Ciała dwóch umęczonych Olmeków są straszliwie spalone przez słońce. Ich powieki spękały, oczy wypłynęły z oczodołów. A jednak jeszcze nie umarli, uśmiechają się. Carzo wpatruje się w wiszącego na środkowym krzyżu Chrystusa. To twarz i oczy Zbawiciela z Ewangelii. Jego broda, jego długie, pozlepiane włosy. Tylko spojrzenie jest inne. Te oczy zieją nienawiścią, są przebiegłe. Kapłan stoi jak wryty, gdy z ust ukrzyżowanego wydobywa się bezdźwięczny głos: – To jeszcze nie koniec, Carzo! Słyszałeś? To dopiero początek!

Kapłan rzuca się przez sen, a po chwili, już rozbudzony, siada prosto w fotelu. Szmer silników, lekkie drgania kabiny samolotu, który znalazł się w strefie turbulencji. Na pokładzie boeinga 767 panuje półmrok, ale dziwne szarawe światło przenika przez plastikowe żaluzje w okienkach.

Carzo zerka na tablicę świetlną, gdzie ukazują się informacje o przebiegu lotu. Maszyna wystartowała z Manaus przeszło osiem godzin temu i obecnie znajduje się nad ciepłymi wodami Zatoki Meksykańskiej. Za kilka minut przeleci nad Hawaną. Carzo podnosi żaluzje i dostrzega w dali światła stolicy Kuby. Patrzy na zegarek. Jeszcze trzy godziny lotu, a on już się wyspał. Wyciąga rękę w górę i wciska przycisk. Mleczne światło lampy oślepia go na chwilę. Na stoliku leży opakowana w

celofan kanapka, obok butelka wody mineralnej i teczka z dokumentami, które zabrał z przechowalni bagażu na lotnisku w Manaus – trzydzieści stron oraz niewyraźne zdjęcia wykonane w hotelikach na krańcach Australii i w Stanach Zjednoczonych, a także w przytulnych salonach najwspanialszych hoteli na całym świecie – Sułtan of Doha w Katarze, Manama Pałace w Bahrajnie, Bello Horizonte w Los Angeles i Karbów w Sankt Petersburgu.

Z dokumentacji wynika, że to w tych oddalonych od Rzymu miejscach odbyły się ostatnie potajemne zgromadzenia Czarnego Dymu, w których uczestniczyła garstka kardynałów podróżujących incognito, a jednak uchwyconych przez oko kamery. Carzo wzdycha, przeglądając ponownie plik załączonych do raportów zdjęć. Nie znajduje na nich niczego oprócz zamazanych twarzy i źle wykadrowanych sylwetek. Egzorcysta w zadumie obraca grubą, wyściełaną kopertę, w której znajdowały się zdjęcia. Wydawało mu się, że jest pusta, ma jednak wrażenie, że coś jeszcze się w niej znajduje. Ogląda ją, przyciska w kilku miejscach. Nagle jego palce się zatrzymują. Natrafił na coś twardszego, jakby miejsce wypełnionej powietrzem folii pod warstwą papieru zajął jakiś przedmiot.

Carzo rozdziera papier i wyciąga drugą kopertę, cienką, najpospolitszą. Rozkleja ją. Wewnątrz są dwa zdjęcia i czysta kartka gruboziarnistego papieru. Kapłan rozkłada ją na stoliku. Przesuwając dłoń po papierze, opuszkami palców wyczuwa zagłębienia – niewidoczne, wyryte piórem bez atramentu. Delikatnie zamazuje kartkę ołówkiem, aby znaki wyłoniły się na jego tle. Wszystko nabiera kształtu: stara pieczęć z krzyżem i lilią w lewej dolnej części pola. Przesuwa ołówek coraz niżej.

Odsłania się puste miejsce, potem pojawiają się inne znaki, w sumie dziewięć linijek znanych mu symboli. Na moment przerywa pracę, zatrzymując ołówek na końcu ostatniego wersu, potem zamalowuje kartkę do samego dołu. Znowu puste pole, a dalej jakby wierzchołek figury geometrycznej, która stopniowo nabiera kształtu. Cztery ramiona układające się w V, zbudowane z dwóch zachodzących na siebie trójkątów, w górnym V kropka. W tej samej górnej części trójkąt po prawej jest zamalowany. Środek tworzy taki sam krzyż, jak ten z pieczęci. Carzo wykonuje teraz bardziej zamaszyste gesty, żeby odsłonić poprzeczne ramiona figury, a zbliżając się do dołu kartki, zakreśla znowu węższy obszar. Zachodzące na siebie trójkąty pojawiają się na czterech krańcach krzyża. Carzo unosi kartkę do światła i ogarnia spojrzeniem cały dokument.

Jeżeli pamięć go nie zawodzi, to tak wyglądała pieczęć templariuszy u schyłku epoki wypraw krzyżowych i w czasach, gdy siedziba zakonu znajdowała się we Francji, na kilka lat przed konfliktem, który doprowadził do wydania braci na śmierć.

Figura geometryczna pod wersami to z całą pewnością jeden z krzyży ośmiu błogosławieństw, używany przez templariuszy symbol Kazania na Górze. Każdy wierzchołek każdego z trójkątów symbolizuje jedno z ośmiu błogosławieństw, jakich naucza! swych uczniów Pan. W rzeczywistości jednak ten tajemniczy krzyż pojawiał się już w pradawnych czasach, a na taki sam natrafiono na najstarszej z meksykańskich tabliczek, pochodzącej sprzed wielu tysięcy lat przed naszą erą. Był to krzyż zwany

w górnym V kropka. W tej samej górnej części trójkąt po prawej jest zamalowany. Środek tworzy taki sam krzyż, jak ten z pieczęci. Carzo wykonuje teraz bardziej zamaszyste gesty, żeby odsłonić poprzeczne ramiona figury, a zbliżając się do dołu kartki, zakreśla znowu węższy obszar. Zachodzące na siebie trójkąty pojawiają się na czterech krańcach krzyża. Carzo unosi kartkę do światła i ogarnia spojrzeniem cały dokument. Jeżeli pamięć go nie zawodzi, to tak wyglądała pieczęć

templariuszy u schyłku epoki wypraw krzyżowych i w czasach, gdy siedziba zakonu znajdowała się we Francji, na kilka lat przed konfliktem, który doprowadził do wydania braci na śmierć.

Figura geometryczna pod wersami to z całą pewnością jeden z krzyży ośmiu błogosławieństw, używany przez templariuszy symbol Kazania na Górze. Każdy wierzchołek każdego z trójkątów symbolizuje jedno z ośmiu błogosławieństw, jakich nauczał swych uczniów Pan. W rzeczywistości jednak ten tajemniczy krzyż pojawiał się już w pradawnych czasach, a na taki sam natrafiono na najstarszej z meksykańskich tabliczek, pochodzącej sprzed wielu tysięcy lat przed naszą erą. Był to krzyż zwany

piramidalnym, jak bowiem głosi legenda, miał przedstawiać cztery strony starożytnych piramid. Co ciekawe, identyczny odnaleziono nad jeziorem Titicaca w Boliwii, a także w niektórych azteckich świątyniach, gdzie był symbolem prekolumbijskiego boga Quetzacóatla.

Aż do procesu templariuszy w roku 1307 osiem takich krzyży krążyło między komandoriami zakonu, a zatem jeden krzyż odpowiadał jednemu błogosławieństwu. Był zatem krzyż ubogich, krzyż cichych, cierpiących, sprawiedliwych, miłosiernych, krzyż czystego serca, czyniących pokój i prześladowanych. Osem krzyży, które najwyżsi dostojnicy nosili pod tunikami na znak wdzięczności, ale nie tylko... Ów klejnot ze złota, wysadzany rubinami, służył przede wszystkim prowadzeniu tajnej korespondencji, bo szyfr stosowany przez templariuszy opierał się na tworzących go figurach geometrycznych. Dlatego właśnie krzyż błogosławieństw templariuszy składał się z różnych geometrycznych elementów oddzielonych liniami bardziej lub mniej pogrubionymi. Skomplikowana kombinacja trójkątów inkrustowanych rubinami i złotego rombu zwróconego ku zachodowi zawierała tajemnicę szyfru. O dziwo, łucznicy króla Francji nie odnaleźli w niezliczonych komandoriach, przeszukiwanych równocześnie o świcie trzynastego października 1307 roku, ani jednego z tych krzyży, zupełnie jakby nagle zapadły się pod ziemię wraz z bajecznym skarbem templariuszy, tuż przed największą w dziejach

operacją policyjną. Jednak inkwizytorom udało się w końcu odzyskać część ksiąg rachunkowych, a także pergamin z wzorcem krzyża ubogich, w którym jedynie prawy trójkąt górnego ramienia był wypełniony. Pierwsze z ośmiu błogosławieństw. Carzo miał przed oczyma kopię tego rysunku odnalezionego w roku 1307 – widoczną stronę pierwszego krzyża, nadrzędnego wobec pozostałych. Choć dysponowano szkicem, szyfr templariuszy przez wieki opierał się najlepszym kryptologom świata chrześcijańskiego. Potem, w efekcie analizy wielu hipotez i ich porównywania z napisami, jakie uwięzieni templariusze wyryli na ścianach cel w Gisors i Paryżu,

gdzie czekali na egzekucję, widoczna część szyfru przestała stanowić tajemnicę dla watykańskich matematyków i teologów. Był to kod alfabetyczny. Ale ze względu na brak symboli cyfrowych uznano, że to zapewne rewers krzyża zawierał te znaki. Dlatego nigdy nie udało się odczytać informacji przekazanych przez uwięzionych członków zakonu. I dlatego nie odnaleziono ich skarbu, który ukryli przed opuszczeniem Ziemi Świętej. Bo żeby trafić do tego miejsca, trzeba było dysponować ośmioma zbiorami znaków tego szyfru, czyli ośmioma zaginionymi krzyżami. To one były mapą wiodącą do skarbu templariuszy.

Po odkryciu klucza do szyfru templariuszy przez watykańskich specjalistów symbole zapisane w krzyżu ubogich znane były wyłącznie kilku wtajemniczonym, do których grona należał Carzo. Szyfr pozostawał ścisłą tajemnicą, a inne krążące wersje stanowiły tylko marną namiastkę watykańskiej wiedzy i były pozbawione najważniejszych elementów. Problem polegał na tym, że rycina odnaleziona w roku 1307 została pocięta na cztery części, które przechowywano osobno w sejfach banków w Szwajcarii, na Malcie, w Monaco i San Marino. Teraz trzeba było zatem ustalić, w jaki sposób tak wierna reprodukcja krzyża ubogich mogła trafić do rąk Carza i lecieć wraz z nim jedenaście tysięcy metrów nad Zatoką Meksykańską. Chyba że ten, kto ją narysował, był szczęśliwym posiadaczem uważanego za zaginiony przed wiekami krzyża... To oznaczałoby zaś, że był dziedzicem dostojników zakonu.

Ojciec Carzo opuścił stolik przed sąsiednim fotelem i rozłożył na nim części dokumentów. Potem otworzył notes i odtworzył dwadzieścia cztery figury geometryczne, wchodzące w skład krzyża ubogich. Ponieważ każda z nich odpowiada literze alfabetu, rozpisał je, umieszczając obok właściwej litery. Wreszcie przystąpił do rozszyfrowania informacji, dbając, by przy każdym symbolu tak ustawić krzyż, by złoty romb i kropka zwrócone były we właściwym kierunku. Jak każdy skomplikowany szyfr, także ten używany przez templariuszy miał być niemożliwy do złamania bez klucza, ale łatwy do stosowania, jeśli się nim dysponowało. Już po dziesięciu minutach egzorcysta odczytał dwa pierwsze wersy tekstu. Napisano go po łacinie. NOVUS ORDO MUNDI VBNIT

Nowy ład zapanuje wkrótce na świecie. Można uznać to za przestrożę, albo za dewizę jakiegoś tajnego stowarzyszenia o wielowiekowej tradycji.

Cztery kolejne wersy sprawiły mu nieco większy problem. Pierwsze próby zakończyły się powstaniem zbioru liter i słów, które nic nie znaczą. Trudno nawet ustalić, w jakim napisano je języku. Potem, dokonując szeregu korekt, nagle poznał dwa pierwsze słowa, te zaś okazały się kluczem do geometrycznej zagadki czterech kolejnych wersów. O dziwo, tekst napisano po angielsku, a więc w języku, którym Kościół rzymskokatolicki nigdy się nie posługiwał. Dlatego egzorcysta tak trudno było rozszyfrować te linie – spodziewał się przesłania łacińskiego EDINBURGH NEWS CATHAY PACIFIC Carzo zmarszczył brwi. Co robią w zaszyfrowanym tekście nazwy szkockiego dziennika i kompanii lotniczej? To zapewne trop pozostawiony przez kardynała z Czarnego Dymu. Egzorcysta skupia się teraz na trzech ostatnich wersach tekstu. Te napisano po francusku, w języku pierworodnej córki Kościoła, Kapłan bez trudu rozszyfrował ostatnie symbole, teraz unosi kartkę do światła, by ją odczytać:

NOVUS ORDO MUNDI VENIT EDINBURGH NEWS CATHAY PACIFIC
LA FUMÉE NOIRE GOUVERNE LE MONDE Czarny Dym rządzi światem... Tak, to naprawdę przestroga. Coś się wydarzy. Albo już się wydarzyło. Z tekstu wynika w każdym razie, że stanie się coś, co odmieni ład świata i odda ten świat we władanie Czarnego Dymu. O tym wiszącym już nad ludzkością niebezpieczeństwie mówi kardynał, który przeniknął do Czarnego Dymu, powierzając Jacominowi niezwłoczne przekazanie informacji do Watykanu. Natrafił na wiadomość tak wielkiej wagi, że użycie szyfru templariuszy wydawało się w pełni usprawiedliwione, podobnie jak wszczęcie alarmu. Z tą informacją musiały wiązać się dwa załączone do kartki zdjęcia. Carzo przygląda się pierwszej fotografii. To Fenimore Harbour Castle, kryty strzechą dworek, osamotniony na skalistym północnym cyplu Szkocji. Z dokumentów pozostawionych w przechowalni bagażu na lotnisku w Manaus wynika, że to tam odbyło się ostatnie spotkanie Czarnego Dymu przed soborem watykańskim III. Widok salonu, stary człowiek czyta gazetę, siedząc w skórzanym fotelu przed kominkiem. Sfotografowano go z profilu i widać tylko starczą sylwetkę, siwe włosy i mokasyn marki Berluti. Twarz mężczyzny jest zasłonięta zagłówkiem fotela. Carzo sięga po drugie zdjęcie, gdy jego uwagę przyciąga pewien szczegół – gazeta, którą

czyta nieznamy. Posługując się lupą, egzorcysta odczytuje: „Edinburgh Evening News”, poniedziałek, 22 stycznia. A zatem zdjęcie zrobiono dokładnie tydzień temu. Połowę pierwszej strony zajmuje informacja wydrukowana dużą czcionką: *Dramatic air crash in northern Atlantic. Flight Cathay Pacific 7890 from Baltimore to Roma disappeared early in the morning above the ocean. Destroyer USS Sherman arrived on location. Found no survivor.*

Kapłan czuje, że włos jeży mu się na głowie, gdy tłumaczy w myśli:

–Tragiczna katastrofa lotnicza nad północnym Atlantykiem. Samolot linii Cathay Pacific 7890 lecący z Baltimore do Rzymu rozbił się dziś w nocy na środku oceanu. Amerykański niszczyciel USS Sherman, który znajdował się w tym rejonie, nie odnalazł nikogo żywego.

Egzorcysta zamknął oczy. Teraz już sobie przypomina! Do katastrofy doszło nocą z niedzieli na poniedziałek i wciąż jeszcze się o niej mówiło, przede wszystkim dlatego, że jej przyczyn nie udało się ustalić, choć nurkowie amerykańskiej marynarki wojennej odnaleźli czarne skrzynki na głębokości czterech tysięcy metrów. Lecz także dlatego, że na pokładzie samolotu znajdowało się jedenastu biskupów i kardynałów, udających się na sobór do Rzymu. I nie byli to byle jacy kardynałowie, ale ci wierni, nieskazitelni i niezłomni, z najbliższego otoczenia papieża. Wracali z inspekcji w biskupstwach na kontynencie amerykańskim, gdzie oficjalnie mieli sondować nastroje wśród hierarchów przed rozpoczęciem soboru. Ale Carzo czuł, że w rzeczywistości prowadzili śledztwo w innej sprawie.

Był wśród nich kardynał Palatine, odpowiedzialny za funkcjonowanie kancelarii Listów Apostolskich, numer dwa wśród sekretarzy Państwa Watykańskiego. Kolejną ofiarą stał się szkocki kardynał Jonathan Galway, który zarządzał finansami Kościoła. Zginął również Jego Eksceleńcja Carlos Esteban da Almaguer, przewodniczący potężnej organizacji Opus Dei, której duchowni i świeccy członkowie przenikali wszystkie grupy społeczne, by głosić Słowo Boże i naprowadzać zbłąkane owieczki na dobrą drogę. Katastrofa samolotu Cathay Pacific pochłonęła także życie innego potężnego człowieka Kościoła, Jego Eminencji kardynała Miguela Luisa Centenario, arcybiskupa Kordoby, w którym widziano już następcę Jego Świątobliwości. Centenario miał w Kurii wielu wrogów, a także liczących się przyjaciół. Cieszył się przychylnością uczestników konklawe ze względu na potrzebę otwarcia Kościoła na problemy Ameryki Południowej, gdzie zamieszkuje jedna trzecia z trzech i pół miliarda chrześcijan całego świata. Jak mogłoby być inaczej w epoce, gdy wiara zanika na Starym Kontynencie, a miliony żarliwych katolików gromadzą się w

kościółach za Atlantykiem? Taki właśnie był plan obecnego papieża, który pragnął stworzyć

warunki do przekazania tronu Piotrowego Ojcu Świętemu z Ameryki Południowej. Czarny Dym nie mógł się pogodzić z taką ewentualnością.

Ojciec Carzo otarł dłonią spocone czoło. Ostatnie zdjęcie przedstawia tę samą scenę po pewnym czasie. Starzec, którego twarzy i tym razem nie widać, siedzi prosto, gazeta jest złożona. Mężczyzna trzyma w ręku szklankę whisky, w której

plywają kostki lodu. Carzo przypatruje się jego dłoni. Na palcu lśni pierścień – sygnet z ametystem, który wydaje się egzorcystycznie znajomy – kieruje strumień światła lampki na fotografię, którą zbliża do oczu, by zobaczyć herb – ryczący złoty lew na niebieskim tle. To herb kardynała kamerlinga Campiniego, drugiego w gronie najpotężniejszych ludzi Watykanu.

Nozdrza Marie Parks drżą. Zapach w celi jest teraz inny. Przez opary wosku, które tu dominują, daje się wyczuć woń brudu i zaniedbanych ciał. Kobieta wzmaga czujność. Ten odrażający smród zdaje się napływać ze wszystkich stron, całymi falami wdzierając się do ciasnej izdebki.

Parks otrząsa się z sennego odrętwienia, wciąga powietrze. Świst. Atak kaszlu. Otwiera oczy w ciemnościach. Mury jakby się kołysały, Marie ma wrażenie, że jej wzrok gwałtownie osłabł.

Zwraca oczy na stół i stwierdza z przerażeniem, że pergaminy Landegaarda zniknęły bez śladu. Z trudem chwytając powietrze, nastawia ucha, ale nie słyszy już zawodzenia wiatru. Cisza. Zawieja ustała. „O nie, ona po prostu jeszcze się nie zaczęła”. Parks potrząsa głową, żeby zmusić do milczenia ten głosik, który dobiega z jej mózgu. Próbuje wstać, ale osuwa się na posłanie i nagle uzmysławia sobie, jak głębokiej przemianie uległo we śnie jej ciało. Ma teraz krzywe uda i łydki, zwiotczałą skórę na wydatnym brzuchu, zapadnięte, obwisłe piersi. Czuje bijącą od niej woń starości, moczu, brudnego sromu. Właśnie

ten smród ją obudził, a teraz unosi się nad jej kroczem, bije z każdej fałdy skóry brzucha.

–Boże, co tu się dzieje?!

Aż podskakuje na dźwięk skrzeczącego głosu, który się wydobył z jej ust. To nie swoje nogi próbowała wysunąć z łóżka. To nie jej uda, biodra, tym bardziej brzuch. I nie swoich zębów dotykała językiem w ustach. Ale przede wszystkim ten głos, który usłyszała, nie jest jej.

Marie spogląda na kalendarz. Sobota, szesnasty grudnia. Dzień śmierci pustelnicy. Wyciągnąwszy rękę w stronę stolika, po kartki, które wyrwała po przyjsciu do celi, z przerażeniem patrzy na starczą dłoń, która porusza się zgodnie z jej wolą. Ta dłoń jest pokryta rdzawymi plamkami. Przeszukuje szufladkę. Kartki zniknęły.

Parks czyni wysiłek i w końcu wstaje. Rozgorączkowana, zapala zapalną, przybliżyła twarz do lustra i zamiera, patrząc na obcą kobietę. Siwe włosy, skóra zwiotczała i pomarszczona, wydatne usta, małe, czarne oczy, głęboko osadzone pod krzaczastymi brwiami. Zapalną dopala się z trzaskiem i gaśnie, a Parks czuje, jak jej pamięć zapełniają wspomnienia, które do niej nie należą.

Szesnasty grudnia. Dwa miesiące wcześniej. Tego dnia pustelnicą coś wyrwało nagle ze snu. Wstała z łóżka i podeszła do lustra. Tak jak Marie, musnęła palcami swe odbicie i wyszeptała:

–Boże, zasnąłam, a teraz on tu jest. Wdarł się do klasztoru.

Przyszedł po mnie. Boże, dodaj mi sił, abym zdołała wyrwać się z jego mocy.

Parks nagle zauważa, że w celi jest dziwnie ciepło. Tamten dzień był pogodny. Uświadamia sobie także, jakie przerażenie ogarnęło mniszkę. Pustelnica wie, że umrze. Odkryła coś w klasztornej bibliotece, ścisłą tajemnicę, którą przełożone kongregacji przekazywały sobie z pokolenia na pokolenie. Jednak przed śmiercią

pustelnica musi jeszcze coś zrobić. Musi dotrzymać przyrzeczenia.

Mniszka po omacku szuka na szafie klucza, wkłada go do dziurki i przekręca, starając się, by zamek obrócił się bez zgrzytnięcia. Parks odtwarza te gesty we śnie.

Drzwi otwierają się na zimny korytarz. Chwytając pochodnię z obręczy w murze, pustelnica przemyka ku schodom. Stopnie trzeszczą pod jej ciężarem, ogarnięta strachem, z trudem chwyta oddech. Dotarłszy na pierwsze piętro, przystaje przy otwartym oknie, w strumieniu chłodnego powietrza. Noc jest spokojna, niezwykle jasna. Oczyma zakonnicy Parks patrzy na Chrystusa z brązu, na środku dziedzińca. Twarz figury zwraca się ku niej i spogląda z uśmiechem. Jakiś szmer. Oczy pustelnicy stają się coraz większe, bo na dziedzińcu pojawia się postać odziana w czarną burkę i obszerny kaptur. Ta postać zbliża się, jakby sunęła po kamiennych płytach. Krew pulsuje coraz mocniej w skroniach przerażonej zakonnicy. Wyrывая się z odrętwienia, zbiega po schodach na parter i mija gabinet matki Abigail. Ogląda się. Postać weszła do klasztoru i idzie korytarzem w jej stronę.

Pustelnica pędzi po kręconych schodach wiodących do podziemi fortecy. To najkrótsza droga do biblioteki. U stóp schodów wąski korytarz. Zakonnica krzyczy z bólu. Skaleczyła dłoń zardzewiałym gwoździem. Sandały mnicha klapią na schodach. Pustelnica wyciera zakrwawioną rękę o habit i biegnie, rozpaczliwie macając mur przed sobą. Bez tchu wpada do przestronnej sali, pachnącej drewnem i alkoholem do palników. Chwyta lampę naftową, której płomyk ledwie się tli za szklanym kloszem, idzie, mamrocząc pod nosem. Światło pada na biurko i półki uginające się pod starymi księgami. W końcu sali podkręca lampę. Im dłuższy jest knot, tym większy krąg światła w bibliotece. Potem zakonnica unosi szklany klosz i oświetla reprodukcję Piety Michała Anioła – klęczącą Madonnę trzymającą w ramionach ciało Chrystusa. Parks widzi, jak palce pustelnicy zatrzymują się na oczach posągu. Chrapliwy szept:

–Tu musisz nacisnąć. Słyszysz? Tu musisz nacisnąć, żeby otworzyć przejście do Piekieł.

Marie gwałtownie się odwraca. Pustelnica wyszeptała tę wskazówkę, jakby świadoma obecności Parks. Nagle płomień zaczyna się kołysać. Ruch za jej plecami. Cichy jak westchnienie szelest szat. Lodowata ręka dotyka jej ust. Czuje smród bijący od mnicha. Rozumie, że to już koniec. Oślepiające

światło przesłania smutną twarz Matki Bożej. Potem jej palce prostują się, lampa upada na ziemię, szklany klosz roztrzaskuje się na kawałki. Charczenie konającej. Ugodzona sztyletem, stara kobieta osuwa się na kolana. Zamyka oczy. Pochylony nad nią mnich podśpiewuje, zadając ofierze kolejne ciosy. Parks czuje gwałtowny przyływ adrenaliny. Rozpoznała głos Kaleba.

Wybudzając się z wolna, Marie próbuje rozpoznać własne ciało. Wzdycha. To już koniec wizji. Tylko pozycja, w jakiej leży, pozostaje zagadką, ale zdając się na okrucy pamięci, Parks dochodzi do wniosku, że śniąc ten koszmar, spadła z posłania. Wdycha unoszące się w izdebce zapachy. Zniknął gdzieś smród bijący od pustelnicy i opary rozgrzanego wosku. Teraz Parks wyczuwa specyficzną woń nafty i drewna, tak jak we śnie. Powietrze w celi wydaje się świeże i nieco chłodniejsze. Marie nasłuchuje. W dali brzmia dzwony. Maca dłońmi podłogę. Cement, który był w celi, zniknął bez śladu. Parks otwiera oczy i w ostatniej chwili powstrzymuje się od krzyku, stwierdzając, że klęczy na zakurzonym parkiecie biblioteki. Widzi lampę naftową, płomyk drgający pod szklanym kloszem. Wstaje. Na dworze wciąż szaleje zamieć. Zapachy i chłód są takie, jak we śnie. Kobieta zagryza usta. Prawdopodobnie lunatykowała, odtwarzając gesty wykonane tamtej nocy przez pustelnicę. Chwyta się tej myśli. Jakby na potwierdzenie swej teorii, wyczuwa ciężar w kieszeni dżinsów. To klucz, który pustelnica zabrała z szafy. Parks musiała sięgnąć po niego we śnie. Jest tego niemal pewna, gdy krzywiąc się, wyciąga rękę z kieszeni – przeszywający ból promieniuje spomiędzy palca wskazującego i dużego. Parks zerka na paskudne skaleczenie, takie samo, jak tamtej nocy na ręce zakonniczki. Rana nadal krwawi. Owija palce chusteczką do nosa i próbuje się uspokoić. Tak dokładnie odtwarzała gesty zmarłej, że nawet okaleczyła się, biegnąc korytarzem do biblioteki. Tak, to jest wyjaśnienie. „Do cholery, głupia Marie, wyjaśnienia trzeba szukać gdzie indziej, i doskonale o tym wiesz”.

Podniosła lampę, wysunęła knot. Wokół rozszedł się silny zapach nafty. Wyciągając lampę przed siebie, obserwuje cienie, które poruszają się na granicy światła i mroku. Zamiera, dostrzegając kopię Piety Michała Anioła. Czuje, jak jej palce dotykają gładkiej powierzchni marmuru. Twarz Marii. Michał Anioł ukazał ją jako młodą, niemal dziecięcą, aby zachować czysty i nieśmiertelny charakter postaci. Jest tak smutna, że Parks niemal podziela jej rozpacz. I gniew. Muskając zimne usta Matki Bożej, przesuwa palce na marmurowe oczy. „Tu musisz nacisnąć, żeby otworzyć przejście do Piekieł”. I naciska. Oczy Marii zapadają się w marmur. Zgrzyt. Uchyła się kłapa w podłodze. To przejście do tajnej części biblioteki, tego miejsca, które pustelnice nazywają Piekieł. Marie oświetla przestrzeń pod kłapą i widzi granitowe schody. Przez chwilę stoi bez ruchu, czując zapach pleśni i saletry, który uderza ją w nozdrza. Potem unosi lampę nad głowę i stawia nogę na pierwszym stopniu, by zapuścić się w mrok. Po przejściu dziesięciu stopni Parks słyszy dziwny dźwięk. Postawiła stopę na mechanizmie zamykającym przejście. Nad jej głową opada ciężka kłapa, skrzypiąc, potem uderza o podstawę. Marie chichocze nerwowo.

Schody wiodą do ciężkiej, żeliwnej kraty, która strzeże wejścia do Piekieł. Marie zwraca uwagę na przyspawane do każdego z czternastu masywnych prętów gotyckie litery, dzieło średniowiecznych rzemieślników. Litery spletają się, tworząc łacińskie zdanie:

LIBERA NOS A MALO

Uwolnij nas od zła. Klasztor Świętego Krzyża został wzniesiony dopiero w połowie XIX wieku, a więc zakonnice zapewne zwróciły się do jednego ze swych europejskich domów z prośbą o podarowanie tej kraty. Podobnie musiało zresztą być z biblioteką tekstów zakazanych, przewiezioną tu w tajemnicy tuż po otwarciu klasztoru.

Marie napiera na kratę, która otwiera się, zgrzytając. Za nią widać ogromną, okrągłą grotę, którą wykuto w skale. To była praca dla gigantów i musiała zająć wiele lat. Agentka idzie, wyciągając przed siebie rękę z lampą. Pod ścianami stoi ogromna biblioteka wykonana z litego dębu. Na półkach piętrzą się manuskrypty. Parks usiłuje czytać wyłaniające się z mroku tytuły. Stare traktaty filozoficzne o tajemnych siłach oddziałujących na świat. Łacińskie rozprawy medyczne o aborcji i alchemii. Manuskrypty opatrzone pięcioramienną gwiazdą, których tytuły zamazano, żeby ukryć niegodny charakter tych tekstów. Podręczniki o egzorcyzmach na moce piekielne. Księgi czarnej magii, a także przeklęte biblie i zakazane ewangelie.

Na każdej z półek rzymskie cyfry wypisane na tabliczkach określają epokę przejścia przez Kościół ksiąg. Drugi, bardziej skomplikowany system segregacji, zapisany jest pod każdą księgą jako nacięcia w drewnie. To prawdopodobnie szyfr, który pustelnice odczytują przez dotyk w ciemnym wnętrzu, żeby łatwiej odnaleźć potrzebną pozycję. Studiują te księgi naznaczone piętnem demona. Półtora tysiąca lat cichej, przerażającej lektury... Jakże te nieszczęsne kobiety miałyby nie popadać w obłęd po pełnym wyrzeczeń życiu, poświęconym zgłębianiu tych wszystkich horrorów w ciemnej jaskini? Parks zwróciła uwagę, że ostatnie półki służą do przechowywania zakurzonych fiolek i słoików. Z jej ust wyrывa się okrzyk, bo w tych słoikach widzi płody, których wykrzywione twarzyczki i pomarszczona skóra pływają w roztworze formaliny z kamforą. Każdy słoik opatrzone imieniem i datą, które Marie kolejno odczytuje: siostra Harriet, 13 lipca 1891; siostra Mary Sarah, 7 sierpnia 1897, siostra Prudence, 11 listopada 1913... Imiona i daty, które są niczym epitafia na tym cmentarzu ciał w stanie zawieszenia.

Parks zauważyła widniejące pod niektórymi podpisami informacje, na które składa się krzyż – znak żałoby i kilka słów: „Zmarła w połogu”. Cofa się, aby policzyć takie formuły. W sumie jest ich trzydzieści.

Na ostatniej półce Parks zobaczyła siedem tomów ułożonych jeden na drugim. Sięgnęła po jeden z nich i dmuchnęła, by

usunąć kurz z oprawy. To księga narodzin z lat 1870-1900. Karta po karcie Marie odczytuje to, co starannie zapisano tu czerwonym atramentem. Imiona, daty, korespondencja, dziesiątki listów opatrzone pieczęciami bogatych angielskich i amerykańskich rodów, które oddały córki do klasztoru Świętego Krzyża, pozostawiając matce przełożonej troskę o to, by dziewczęta zmusić do złożenia

ślubów.

Siostra Jenny, 21 maja 1892, zmarła w połogu. Siostra Rebecca, 15 stycznia 1893, zmarła w połogu. Siostra Margaret, 17 września 1900, zmarła w połogu. Jezuu!

Marie już wie, kim są te małe, martwe istoty, których ciała od ponad stu lat tkwią w formalinie. Spędzone płody. A zatem w ten sposób pustelnice werbowwały nowe siostry. Przyjmując brzemiennie panny, odrzucone przez rodzinę! Potem obłąkane staruchy szydłami i wywarami z ziół doprowadzały do poronienia na siennikach w klasztornej celi, tak że niemal każda przywdziewająca habit była już bezpłodna. To dlatego pustelnice nigdy nie opuszczały klasztornych murów. A z obawy, że ktoś w końcu odkryje zagrzebane w ziemi szczątki, te haniebne dowody grzechu przechowywano w tajnej bibliotece. To była kongregacja okaleczonych, obłąkanych bab, które okaleczały inne, młodsze.

„Dobra, Marie, czas się stąd zbierać! Gdyby te stare potworzyce domyśliły się, że zwiedzałaś ich muzeum horroru, rozpałyby ognisko i z rozkoszą przypiekałyby cię całą noc żelazem i dźgały szydełkami. A potem wcisnęłyby cię do słoja z formaliną i pływałybyś sobie w nim do końca świata. Do cholery, Marie, czy tego sobie życzysz?”

Parks spojrzała na masywny stół, który królował na środku biblioteki. To tu pustelnice oddają się cichej lekturze pod okiem martwych płodów. Stronica 71 rejestru poronień za lata 1940- 1960. Słój 701. Siostra Marquerite-Marie, zamordowana pustelnica, wstąpiła do klasztoru 16 listopada 1957 roku. Jak nie popaść w obłąd, gdy trup własnego dziecka patrzy na ciebie szklistymi oczyma, mając gardło wypełnione formaliną? Marie podchodzi do stołu, na którym stoi dziesięć lichtarzy.

Kolejno zapala świece.

„Na Boga, Marie, co ty wyprawiasz? Musisz się stąd zmywać i to natychmiast, wrócić do Denver, postawić FBI na nogi”. W blasku świec Parks zobaczyła inne dzieła, których stara pustelnica nie zdążyła odłożyć na miejsce przed swoją śmiercią. Siada na jej miejscu, na ławce, i dotyka stołu tu, gdzie paznokcie biedaczki wydrapały głębokie rysy, gdy odkrywała potworny sekret, podpisując na sobie wyrok śmierci. Gdziekolwiek zwróciły się teraz oczy Marie, widać było podobne zadrapania, świeże i znacznie starsze, jakby wiele pokoleń pustelnic doznawało przerażenia, czytając zakazane w świecie chrześcijańskim księgi. Parks zamyka oczy. Teraz wie, że grozi jej niebezpieczeństwo.

Parks przegląda zakurzone księgi, w których pustelnica robiła adnotacje na kilka godzin przed śmiercią. Te nieczytelne zdania wydają się odpowiadać skomplikowanemu systemowi znaków, złożonemu z hieroglifów i fonemów. Przerzuca palcami kartki. W każdej z ksiąg zakonnica zakreśliła powtarzające się stale słowa, a każde z nich połączyła z notą na marginesie. Tak powstał gigantyczny rebus na tysiące stron. Parks wzdycha, zniechęcona. Po długich analizach tekstów z zakazanej biblioteki pustelnica natrafiła na szczegół, który zwrócił jej uwagę i stopniowo odciągał ją od innych prac. To musiała być myśl przewodnia, coś na tyle niepokojącego, by skłonić ją do miesięcy badań.

Przerzucając karty manuskryptu, Marie zaczęła odczuwać rozgorączkowanie, które ogarnęło staruszkę, gdy była już bliska rozwiązania zagadki. Musiała wstawać nocą, by kontynuować pracę, gdy inne siostry spały. Z pewnością tak odkryła sekret, którego znajomość przyplaciła życiem. Gdy Parks odkładała ostatnią księgę, wypadł z niej plik przezroczyстых kartek, na których pustelnica zapisała niedokończone symbole i figury, Tego typu znaki wystarczy nałożyć sa inne niedokończone symbole, żeby odczytać tekst To

jakby szyfr puzzlowy. Kładąc kartkę na przypadkowo wybranej stronicy manuskryptu, Parks stwierdza, że symbole idealnie do siebie przystają i że teraz może odczytać adnotacje pustelnicy. Dlatego znowu skupia się na lekturze i błyskawicznie odkrywa, że słowa

zakreślone przez mniszkę oznaczają jedną i tę samą złowrogą moc: Gaal-Ham-Gaala. Czarny książę, owoc Piekieł, wielkie Zło. To do niego odnoszą się wszystkie inne imiona, to on spłodził resztę demonów. Szepcząc do siebie, Parks wypowiada jak litanie imiona duchów Zła, których portrety kreśliła na marginesie pustelnica.

–Abbadon niszczyciel, zabójczy anioł Apokalipsy, książę demonów z siódmej hierarchii, władca studni dusz. Adramelech, kanclerz piekieł. Azazel, wódz piekielnych armii. Belial, Loki, Mastema, Astarot, Abrahel i Alrinach, władcy huraganów, trzęsień ziemi i powodzi. Marie przerzuca strony, przykładając do marginesów kalki. Czyta:

–Lewiatan, wielki admirał piekieł. Magoa i Majmon, potężni królowie zachodu. Samael, wąż, który skłonił Ewę do grzechu. Alu, Mutu, Humtaba, Lamastu, Pazuzu, Hallulaja i Attuku, siedmiu rycerzy burz, które nawiedzały Babilon. Tiamat i Kingu. Seth, książę demonów nękających starożytny Egipt. Ariman i Asmug z Persji, Hutgin i Ascik Pasza z Turcji, Tchen'Houang i Yen-Vang z Chin, Durga, Kali, Rakszasa i Sittim z Indii.

Listę zamyka Huitzilopochtli, bóg Słońca, któremu Aztekowie poświęcali tysiące więźniów, wyrywając im serca, aby nie zagasło światło. Dla pustelnicy wszystkie te imiona oznaczały jedną matrycę Zła, zarazę, która wymknęła się z piekieł, by nękać świat. Gaal-Ham-Gaala.

Parks przetarła oczy. Na stole została już tylko jedna księga, gruba i ciężka jak Biblia. Agentka otwiera ją na stronicy za-

znaczonyj przez pustelnicę świętym obrazkiem. To początek Księgi Rodzaju. Testament narodzin świata. – Na początku Szatan stworzył Niebo i Ziemię... Otrząsa się, słysząc, jak jej głos wypowiada te słowa. Jeszcze raz patrzy uważnie na początek zdania i dostrzega pod słowem Szatan różnicę zabarwienia papieru. Przesuwając paznokciem po literach, wyczuwa zgrubienie i chropowatość, jakby ktoś wydrapał tekst, a potem, wprawną ręką, zastąpił słowo „Bóg” słowem „Szatan”, idealnie naśladowując charakter skryby. Na wprost tego fundamentalnego dla religii Księgi wersu pustelnica wypisała coś pismem klinowym w języku tak starym, że transkrypcji można było dokonać wyłącznie przy użyciu symboli, bo każdy znak oznaczał dźwięk albo narzędzie, które mogło wydać taki dźwięk. Był to język starożytnego Sumeru, cywilizacji, która zniknęła ponad półtora tysiąca lat przed naszą erą.

Parks odczytała tytuł księgi: Opowieść dzieci Kaina, fragmenty szkoły tajemnic. Z adnotacji zakonnicy wynikało, że manuskrypt przekazywały sobie od wieków heretyckie sekty i tajne bractwa. Potem przejął go Kościół, gdy za Innocentego III krzyżowcy zdobyli twierdzę katarów. Dzieci Kaina. Badania prowadzone przez zakonnicę zmusiły ją do cofnięcia się w czasie do roku 8300 przed Jezusem Chrystusem, a zatem do zarania dziejów człowieka. To w tych pradawnych czasach przekłete potomstwo Kaina miało zgodnie z legendą osiąść nad obecnym Morzem Czarnym, w smutnym, wrogim miejscu zwanym Acheronem. Tam wykopali jamę w brzuchu ziemi i założyli królestwo, nad którym nigdy nie wstaje słońce. Lecz kiedy kopali coraz głębiej, owi synowie Kaina natrafili na wrota Otchłani, dzielące nas od krainy podziemi. To oni uwolnili Gaal-Ham-Gaala, a cała ziemia znalazła się w jego mocy.

Marie przerzuca karty nadgryzione zębem czasu. Dopiero po dłuższej przerwie znów natrafiła na adnotacje pustelnicy. Widząc, że demony wymknęły się z piekła przez groty królestwa Achero-nu, Bóg postanowił unicestwić swe dzieło, zanim Zło weźmie górę. Dlatego sprawił, że przez wiele dni padało. To był zimny deszcz, nieprzerwana ulewa, która

sprawiła, że wody oceanów przelały się do Morza Śródziemnego i Morza Marmara, a te wezbrały tak bardzo, że przelały się przez Bosfor do dzisiejszego Morza Czarnego. Biblijny potop pochłaniał lądy, zalewał groty Acheronu, gdzie miały zginąć dzieci Kaina. Brama Otchłani zamykała się stopniowo pod naporem wód.

O świcie dnia pierwszego ziemia zniknęła pod wodami bożymi i tylko najwyższe szczyty wystawały jeszcze ponad ich taflę. Ale demon, którego uwolniły z Piekieł dzieci Kaina, przetrwał potop i gdy woda opadła, on zagarniał świat.

Opowieści starych wariatek. Tak przynajmniej stara się myśleć Parks, jednak po chwili natrafia na kartki, które pustelnica starannie układała w plastikowych koszulkach. Były to wyniki prac naukowych, prowadzonych w XX wieku przez Amerykanów nad wielkim potopem, do jakiego doszło w mezolocie w rejonie Morza

Czarnego. Parks szybko przegląda tekst.

Według amerykańskich uczonych z całą pewnością taka katastrofa naturalna miała miejsce i w dniu, gdy skalna zaporą Bosforu ustąpiła pod naporem fali powodziowej, słone wody gwałtownie zmieszały się ze słodkimi wodami późniejszego Morza Czarnego, które wówczas było zaledwie jeziorem. Strumień o sile czterystokrotnie przewyższającej potęgę wód Niagary spowodował podniesienie poziomu wody o sto trzydzieści metrów w ciągu dwóch lat. Sto tysięcy kilometrów kwadratowych ziemi uległo zniszczeniu.

Aby udowodnić swe hipotezy, archeolodzy pobrali liczne próbki z warstw osadowych Morza Czarnego. Na głębokości ponad dwustu pięćdziesięciu metrów, odpowiadającej okresowi od roku 7500 do 7200 przed naszą erą, znaleźli osady zawierające muszle słodkowodne, a w wyższych warstwach, aż do głębokości odpowiadającej czasom 7000 do 6500 przed naszą erą, już tylko osady muszli morskich. To dowodzi, że morze rmarą rzeczywiście zalało jezioro w latach 7200-7000 przed naszą erą.

Ta sama grupa archeologów odkryła pokłady żwiru i glinki na głębokości stu dwudziestu pięciu metrów. Były to brzegi starożytnego słodkowodnego jeziora, które wylało, dając początek

Morzu Czarnemu około 7100 roku przed naszą erą. Pustelnica ustaliła, że tego roku dzieci Kaina uwolniły demona Gaal-Ham-Gaala.

Parks sięgnęła po następny raport naukowy. Dwanaście lat później rosyjska wyprawa odkryła sieć grot sto metrów pod powierzchnią Morza Czarnego. Podwodne groty ciągnęły się tak głęboko pod ziemią, że żadne reflektory nie mogły już rozproszyć ciemności. Wysłano podmorskie roboty, których nie udało się już odnaleźć. Wysłano także nurków ze sprzętem do penetracji głębin, ciężkimi łożanymi pasami i reflektorami halogenowymi. Przyjęto założenie, że w grotach muszą istnieć kieszenie powietrzne, które umożliwią uzupełnienie zapasów tlenu. Nie powrócił żaden z wyjątkiem jednego, który wynurzył się na poły obłąkany. Z nosa i ust krew tryskała na szklaną osłonę jego kasku. Biedak zdołał tylko powiedzieć, że ujrzał na dnie przepaści niebieskawe światło, w którym poruszały się ogromne cienie jakichś morskich potworów uwięzionych w głębinie. Potem dostał konwulsji i zmarł. Parks zamknęła oczy. Rosyjscy archeolodzy odkryli groty Acheronu.

Marie Parks ugryzła się w język, żeby nie zakląć, gdy podnosiła z podłogi Biblię dzieci Kaina, która wypadła jej z rąk. Kładąc ją na stole, spostrzegła, że przy upadku pękły nici, którymi zszyto oprawę. Wsunęła palce pod skórę oprawy i wyczuła nierówne brzegi pergaminu, zapewne ukrytego przez pustelnicę, aby nikt go nie odnalazł. Musiała co wieczór rozpruwać skrytkę, aby wyjąć tajemniczy skarb, a o świcie zaszywać ją identyczną złotą nicią.

Na pergaminie lśniły dziwne czerwone linie. Właściwie to lśniły one w pergaminie, jakby pióro, którym je nakreślono, zdołało przeniknąć miąższ, nie zostawiając śladu na powierzchni. Wyjmując dokumenty ze skrytki, Parks zauważyła, że czerwone linie bledną. To prawdopodobnie złudzenie optyczne – teraz, oglądając je z bliska, stwierdziła jednak, że pergamin jest czysty, bez śladu atramentu w załamaniach i szczelinach.

Uniosła kartkę przed płomień świecy, ale światło ledwie przebiło się przez grubą warstwę. Tak gruboziarnisty był pergamin z Perugii, wycinany z najpiękniejszych arkuszy. Zazwyczaj przeznaczano go na święte księgi lub spisanie tajemnic, które zasługiwały na ocalenie przed niszczącym działaniem czasu. Jednak ta karta pozostała dziewiczo czysta, bez śladu atramentu, bez żadnego szkicu. Zbliżając arkusz do płomienia, Parks poczuła wydobywający się spomiędzy jej palców zapach spalenizny. Klnąc, odwróciła pergamin. Ani śladu nadpalenia. Mimo to Marie była pewna, że ogień przez kilka sekund osmałał kartkę. Dotknęła jej dłonią, którą natychmiast cofnęła. W miejscach, które zetknęły się z ogniem, pergamin parzył.

Odsuwając arkusz od świecy, agentka wytrzeszczyła oczy ze zdumienia – czerwone linie znów się pojawiają, jakby tusz, którym pisano, bał się światła, albo raczej – jakby był do tego stworzony – jest widzialny tylko w ciemnościach. Parks zgasła stojące najbliżej świece i obserwuje blask czerwonych liter. Potem osłania dłońmi arkusz, aby dodatkowo chronić go przed światłem, i odczytuje głośno lśniącą wiadomość.

Siedemnastego października roku Pańskiego 1307 My, Mahaud de Blois, przełożona pustelnic od Matki Bożej z Ceruin, rozpoczynamy tego dnia pracę nad przekładem i kopiowaniem najbardziej bluźnierczej i przerażającej ewangelii, jaką dane nam było przechowywać w tym uświęconym miejscu. Dzieło, o którym szeptano, iż napisane zostało ręką samego diabła, odnaleźli łucznicy króla Francji w fortecy zakonu templariuszy po tym, jak bracia popadli w niełaskę. Ponieważ zaś owi heretycy nie ujawnili nam tajemnicy manuskryptu, zmuszeni jesteśmy poddać analizie tę odrażającą księgę. Wypełniwszy zadanie i zapoznawszy się z tym, co zdołamy przeczytać, nie tracąc rozumu, odeślemy przeklętą księgę pod silną eskortą do domu bractwa trapistów w Maccagno Superiore, gdzie zostanie pokryte wieloma warstwami skóry, a następnie zaopatrzone w zawierający truciznę florencki zamek, aby pewna śmierć ugodziła każdego, kto próbowałby poznać jego treść. My, matka Mahaud de Blois, za przyzwoleniem Ojca

Świętego Klemensa i Jego Eminencji biskupa Aosty, podejmiemy następnie decyzję o ukryciu tej ewangelii w najbardziej niedostępnych pomieszczeniach

fortecy Cervin. Niechaj Bóg prowadzi nasze oczy i ręce, gdy wypełniać będziemy to niebezpieczne zadanie, i niechaj pod karą poćwiartowania na zawsze zmusi nas do milczenia, by żadne z bluznierstw, które kryją te karty, nie dotarło nigdy do ludzkich uszu.

Parks sięga po drugi pergamin. Zamiera z wrażenia, widząc, iż jest to fragment ewangelii skopiowanej w średniowieczu przez pustelnice z Cervin. Ten urywek zaczyna się od przestrogi. EWANGELIA WEDŁUG SZATANA O STRASZLIWYCH NIESZCZĘŚCIACH, ŚMIERTELNYCH PLAGACH I WIELKICH KATAKLIZMACH.

TU ZACZYNA SIĘ KRES, TU KOŃCZY SIĘ POCZĄTEK. TU DRZEMIE TAJEMNICA POTĘGI BOŻEJ. PRZEKŁĘTE I OGNIEM WYPALONE NIECHAJ BĘDĄ OCZY, KTÓRE ZWRÓCĄ SIĘ NA TEN TEKST.

Na początku wieczna Otchłań – Bóg nad bogami, pustka, z której wszystko się wyłoniło, stworzył sześć miliardów światów, aby pokonać nicość. Potem tym sześciu miliardom światów przydała układy, słońca i planety, ze wszystkiego i z niczego, z pełni i pustki, ze światła i ciemności, Następnie tchnęła w nie najdoskonalszą równowagę, w której rzecz może istnieć tylko, gdy współistnieje z nierzeczą.

Tak oto wszystkie rzeczy wyłoniły się z nicości Otchłani wiecznej. A każda rzecz wyrażała się poprzez nierzecz i sześć miliardów światów osiągnęło harmonię. Aby jednak te niezliczone rzeczy mogły splodzić mnogość rzeczy, które miały dać życie, trzeba im było wektora doskonałej równowagi, przeciwieństwa przeciwieństw, matrycy wszelkiej rzeczy i nierzeczy, Dobra i Zła, a także nadnierzeczy, Zła absolutnego. Nadrzeczy nadał imię Bóg. Nadnierzeczy nadał imię Szatan. I tchnął w te duchy przemożną wolę wiecznego zmagania się ze sobą, aby utrzymać sześć miliardów światów w równowadze.

A potem, gdy wszelka rzecz mogła już istnieć w utrzymującej ją równowadze, której nie burzył brak równowagi, odwieczna

Otchłań uznała, że tak jest dobrze, i zamknęła się. Przeminięło tysiąc wieków w pokoju światów, które rosły. Lecz nadszedł niestety dzień, gdy Bóg i Szatan, pozostający jedynymi, którzy dyrygują światami, poznali siebie nawzajem tak dobrze, i tak bardzo się sobą znudzili, że lekceważąc zakazy Otchłani, Bóg postanowił stworzyć we własnym imieniu jeszcze jeden świat. Świat niedoskonały, który Szatan począł niszczyć wszelkimi metodami, aby ów sześćo-miliardowy pierwszy świat nie zburzył, poprzez brak swego przeciwieństwa, ładu wszystkich innych. Dlatego to walka Boga z Szatanem nie toczy się już tylko wewnątrz świata, którego odwieczna Otchłań nie przewidziała, i równowaga innych światów poczęła się chwiać. innych światów poczęta się chwiać.

Szelest kart. Parks sięga po ostatni zapisany błyszczącym atramentem pergamin. To fragment stworzenia świata. Jakby ci, którzy pisali tę ewangelię, podążali tropem oficjalnej Biblii, opowiadając, co się naprawdę stało.

Pierwszego dnia, gdy Bóg stworzył niebo i ziemię, a także słońce, by oświetliło jego świat, Szatan stworzył pustkę między ziemią a gwiazdami, następnie zaś pogrążył świat w ciemnościach.

Drugiego dnia, gdy Bóg stworzył oceany i rzeki, Szatan dał im moc wzbierania, aby mogły zatopić dzieło Boga. Trzeciego dnia, gdy Bóg stworzył drzewa i lasy, Szatan stworzył wiatr, by je powalać, a gdy Bóg stworzył rośliny, które leczą i koją, Szatan stworzył trujące i uzbrojone w kolce. Czwartego dnia Bóg stworzył ptaka, a Szatan węża. Potem Bóg stworzył pszczołę, a Szatan szerszenia. I tak dla każdego gatunku powołanego przez Boga Szatan tworzył drapieżnika, który niszczy ten gatunek. Potem, gdy Bóg uwolnił zwierzęta na niebie i ziemi, aby się mnożyły, Szatan dał swym stworzeniom pazury i zęby i rozkazał im zabijać zwierzęta Boga.

Szóstego dnia, kiedy Bóg uznał, że jego świat jest gotów do wydania życia, stworzył dwie istoty na swe podobieństwo i nazwał je mężczyzną i kobietą.

W odpowiedzi na tę zbrodnię przeciwko ładowi światów Szatan rzucił czar na nieśmiertelne dusze. Potem zasiał zwątpienie oraz rozpacz w serca i wydzierając Bogu władzę nad jego stworzeniem, skazał na śmierć ludzkość, która miała się zrodzić ze związku mężczyzny z kobietą.

Pojąwszy, że walka z przeciwnikiem jest próżna, siódmego dnia Bóg wydał ludzi na pastwę zwierząt ziemi, aby te zwierzęta ich pożarły. Następnie, uwięziwszy Szatana w głębinach chaotycznego świata, którego odwieczna Otchłań nie uwzględniała w swym planie, odwrócił się od swego stworzenia, a Szatan pozostał sam, by nękać ludzi.

Ewangelia według Szatana. Uwięzienie Gaal-Ham-Gaala. Szósta mowa z Księgi Zła.

Czytając ostatnie zdania z pergaminu, Parks zaczęła drżeć z zimna w bibliotece. Demon Gaal-Ham-Gaal, władca Piekieł, któremu dzieci Kaina umożliwiły ucieczkę z głębin świata, niepokonany na równi z Bogiem, to Szatan.

Parks wsunęła pergaminy zapisane świecącym tuszem pod okładkę, a następnie wróciła do opowieści dzieci Kaina. Gdy Gaal-Ham-Gaal zrzucił okowy, jego złoczynny wpływ szerzył się po świecie, by nękać ludzi. Marie tropi demona w najstarszych cywilizacjach, w wielkich kataklizmach i zabójczych epidemiach, które pozostawiły po sobie trwałe blizny w pamięci ludzi. Od Australii, gdzie odnaleziono wyobrażenia Gaal-Ham-Gaala na ścianach jaskiń, aż po rozległe równiny Ameryki Północnej, przez Afrykę i płaskowyże Kordylierów i Andów archeolodzy natrafiali na ślady katastrof, które wstrząsały wczesnym okresem dziejów ludzkości – zalania lądów przez gwałtowne fale morskie, trzęsienia ziemi,

erupcje wulkanów. A także straszliwej, nieznannej zarazy, swoistego trądu drzew, który niszczył lasy i zabijał ludzi. Czarny demon o tysiącu twarzy stopniowo pustoszył pamięć ludzi, odciskając na religiach i umysłach piętno silniejsze od Bożego. Działo się tak, dopóki znużony postępami Gaal-Ham-Gaala Bóg nie postanowił znowu zrzucić go do otchłani. Upływały długie wieki, a nikt o nim nie mówił ani nie słyszał. A piętno, które odcisnął na religiach, zaczęło zanikać wraz z pamięcią strachu, jaki zasiał w ludzkich sercach. Na podstawie przeprowadzonych badań pustelnica doszła do wniosku, że Gaal-Ham-Gaal odzyskał wolność za panowania faraona Tutmozisa III, założyciela Szkoły Misteriów, gdzie potajemnie spotykali się wszyscy uczeni, filozofowie i alchemicy starożytnej Grecji i Egiptu. W mrocznej sali, w wielkiej piramidzie Sakkara, zgromadził ich ten władca, aby przywoływać niewidzialne moce, które mogłyby wyjawić mu sekrety wszechświata. Nieprzypadkowo wybrał tę piramidę, ponieważ zgodnie z najdawniejszymi tradycjami symbolizowała ona pierwotną górę, z której egipski bóg Atum stworzył świat. Ponadto według wyliczenia wielkiego kapłana Imhotepa, budowniczego piramidy, Sakkara leżała dokładnie w centrum stwórczego dzieła boga Atuma i stanowiła jego fundament. Dlatego piramida Imhotepa pełniła rolę sekretnego przejścia między widzialnym i niewidzialnym, przejścia łączącego dwa wymiary, które nigdy nie powinny ze sobą współistnieć, bo doprowadziłoby to do chaosu, który zniszczyłby oba światy. To te wrota uczeni Tutmosisa III ujrzeli w podziemiach piramidy, wypowiadając w mroku kolejne zaklęcia. Tak oto przejście do Piekieł mogło się otworzyć, uwalniając Gaal-Ham-Gaala, który spustoszył Egipt, powodując trwające ponad rok wylewy Nilu i zrzucając miliony skorpionów na zalane pola. Parks gorączkowo przerzuca ostatnie zapiski pustelnicy, porównując opowieść dzieci Kaina z tym, co zakonnica wiedziała o ewangelii według Szatana. Jej zdaniem Gaal-Ham-Gaal po raz ostatni pojawił się na samym początku naszej ery, gdy jego syn zajął miejsce Chrystusa na krzyżu – Jezus, syn Boga, i Janus, syn Szatana. Ta opowieść dzieci Kaina przez wieki krążyła po tajnych bractwach i satanistycznych sektach, a kult Janusa

i Gaal-Ham-Gaala był zarzewiem wielkich herezji, które miały odmienić oblicze świata chrześcijańskiego. To ta historia stała się przyczyną mordu na pustelnicach z Cervin w pewną styczniową noc roku 1348. W tej sprawie sprzed siedmiu wieków tropy wiodły przez Alpy i Dolomity do pewnej fortecy, potem ludzie zapomnieli o

ewangelii według Szatana. W cienkiej skórzanej okładce agentka znalazła cykl średniowiecznych grawiur i rycin wykonanych przez notariuszy Inkwizycji podczas procesów za zamkniętymi drzwiami, w których sądzono zabójców mniszek.

Pierwsza grawiura pochodzi z roku 1412 i odnosi się do procesu wędrownego mnicha, którego pojmano w Kalabрії po masakrze w klasztorze pustelnic w Cervione. Druga powstała po stu latach, gdy w roku 1511 morderca wdarł się do klasztoru pustelnic w hiszpańskiej Saragossie. Rok 1591 to kolejny zbiorowy mord, tym razem kongregacji pustelnic z San Domingo. Śledztwo prowadziła hiszpańska Inkwizycja. W każdym przypadku zabójcę skazywano na najgorsze męki i powolną śmierć – łamano go kołem, rozdzierano, wieszano, gotowano we wrzącym oleju. Potem obcinano mu głowę, aby nie mógł odnaleźć wyjścia z grobu. I za każdym razem po kilkuletniej przerwie dopuszczano się identycznych morderstw w innej części świata.

Uzbrojona w lupę Marie porównuje teraz twarze skazańców widzianych okiem notariuszy Inkwizycji w chwili ogłoszenia wyroku. Zawsze jest to ta sama twarz – twarz Kaleba.

Pochłonięta lekturą Parks zatraciła poczucie czasu. Gdy oderwała oczy od kolejnej stronicy, zobaczyła, że świece wypaliły się do połowy, a grube sopele wosku zastygły na lichtarzach. Teraz spojrzała na zegarek. Jest wpół do piątej. Musi się spieszyć, jeżeli nie chce, aby zakonnice przyłapały ją w bibliotece.

Zamyka opowieść dzieci Kaina i odkłada ją na półkę. Dostrzega, że jej oddech zamienia się w biały obłok w zetknięciu z

powietrzem sali, gdzie temperatura gwałtownie spadła, dostrzega też warstewkę szronu na grzbietach ksiąg. I ten szloch w ciemnościach. Marie widzi postać siedzącą na miejscu, z którego przed chwilą wstała.

Stara zamordowana pustelnica wodzi palcami po bruzdach, które jej paznokcie wyryły w blacie. Parks przesuwając rękę w kierunku broni i patrzy na biedaczkę, która pośród spazmów szepcze niezrozumiałe słowa. Agentka wyciąga broń i trzyma ją przyciśniętą do uda. Staruszka wolno unosi głowę. Jej twarz to już tylko poczerniała miazga, mimo to Parks widzi w martwych oczach tyle smutku i bólu, że na moment zapomina o strachu. Z ust zjawy wydobywa się schrypnięty, bełkotliwy głos:

–Widzisz mnie? Marie kiwa głową. Pustelnica zamyka oczy:

–Co teraz zrobisz?

–Powiadomię władze.

–Nie starczy ci na to czasu, moje biedne dziecko.

–Słucham?

Marie odwraca głowę. Daleko, nad jej głową, rozlega się jakiś trzask. To kłapa biblioteki. Parks zaczyna drżeć na całym ciele, słysząc szaleńczy śmiech pustelnicy.

–On tu idzie. Marie wznosi pistolet.

–Kto taki?

–Przestań walczyć, moje dziecko, i strzel sobie w usta, żebym mogła cię zabrać ze sobą do Piekła. Bo wobec tego, który nadchodzi, jesteś całkowicie bezsilna. W dali słychać kroki – ktoś idzie schodami wiodącymi do zakazanej biblioteki. Skradając się jak kot, Parks zwraca lufę w kierunku wejścia.

–Na Boga, niech mi siostra powie, kto tu idzie! Agentka odwraca się w stronę stołu. Zakonnica zniknęła. Słyszcząc zgrzyt kraty, Parks kuca w ciemnościach, wciąż celując w wejście do grotty.

Ogromny cień „czegoś” sprawił, że płomienie świec zakołysały się, gdy „coś” wchodziło do biblioteki. Jest ubrane w czarną burkę i sandały. Jego twarz skrywa się pod mnisim kapturem. Oczy zdają się lśnić, gdy przegląda półki. Parks kładzie dłoń na ustach. „Boże, to niemożliwe...”.

Muskając palcami grzbiety manuskryptów, mnich idzie wolno przez bibliotekę. Potem zatrzymuje się. Znalazł to, czego szukał. Wyjmuje z półki opasy wolumin i kładzie go na stole. W rozedrganym świetle Parks widzi, jak rozpruwa oprawę i wyjmuje z niej kopertę. Usiłując wstrzymać oddech, Parks zastanawia się, ile tajnych dokumentów ukryły w ten sposób na przestrzeni wieków pustelnice.

Prawdopodobnie tysiące. Mnich rozdziera kopertę, wyjmuje kartkę i czyta w blasku

świec. Po chwili unosi głowę. Błyszczącymi oczyma przeszukuje ciemne wnętrza. Parks pręży się jak do skoku. To „coś” wykryło jej obecność. Agentka kładzie palec na spuście i wyłania się z mroku.

Mnich nawet się nie porusza na widok wymierzonej w siebie broni. Marie celuje w niewidoczne miejsce, między błyszczącymi oczyma zabójcy, który teraz wolno unosi rękę, jakby zamierzał się modlić.

–Zrób mi przyjemność, kanalio, rusz jeszcze ręką, zanim ci każę, a rozwalę ci ten czerep. Westchnienie. Chrapliwy oddech.

–Ta broń na nic by się nie przydała, gdybym naprawdę był tym, za kogo mnie pani bierze. Ten głos... Marie czuje, że jej dłonie pocą się na rękojeści.

–Kim pan jest?

Mężczyzna wolno zdejmuje z głowy kaptur i odsłania zmęczoną, uśmiechniętą twarz. Palce Parks zsuwają się ze spustu.

–Nazywam się Alfonso Carzo. Jestem egzorcystą i działam w imieniu Kongregacji Cudów w Watykanie. Przyjechałem z Manaus i jestem tu, żeby pani pomóc, agentko specjalna Marie Parks.

–Skąd ojciec wie, kim jestem?

–Wiem o pani bardzo dużo, Marie. Wiem, że ma pani dar widzenia rzeczy, których inni nie widzą. Wiem, że odkryła pani sekret, którego nie powinna pani poznać. I wiem, że teraz grozi pani wielkie niebezpieczeństwo.

–Czy nadużyję cierpliwości ojca, pytając, jaką księgę wziął ojciec z biblioteki?

–Listę greckich i łacińskich cytatów. Dokument, który bardzo się pani przyda w naszym dalszym śledztwie.

–Naszym?

–Później odpowiem na resztę pani pytań, Marie. A teraz musimy się pospieszyć.

Parks otwiera usta, żeby coś jeszcze dodać, ale właśnie wtedy do jej uszu dobiega stłumiony przez grube skały dźwięk klasztornej dzwony. Carzo zagryza usta.

–Co to, ojcze? Pierwsza poranna msza?

–Nie, to coś innego.

Egzorcysta wznosi oczy ku sufitowi i wsłuchuje się w dobiegający aż tu dźwięk.

–Boże, biją na trwogę.

–Co takiego? – To alarm.

Hałas wysoko nad nimi. Kłapa biblioteki otwiera się. Szelesty. Tupanie. Ktoś pędzi po schodach. Parks czuje, jak ręka zakonnika ze zdumiewającą siłą chwyta ją za ramię.

–Chodźmy, jeżeli zależy pani na życiu. Gdy kapłan ciągnie Parks korytarzem, do którego wiedzie przejście ukryte za biblioteką, dociera do niej wreszcie, co się stało – te hałasy i nawoływania nad nimi to zgraja pustelnic pędzących po schodach i wściekle wrzeszczących. biegnie przez podziemia ile sił w nogach. Raz po raz potyka się na śliskiej podłodze, a utrzymuje równowagę tylko dzięki kapłanowi, który mocno trzyma ją za rękę. Przebiegli ponad czterysta metrów w ciemnościach i Marie jest już pewna, że zakonnice zrezygnowały z pościgu. Ciężko dysząc, chce zwolnić, ale

ojciec Carzo ciągnie ją i zmusza do utrzymania tempa.

–Niech pani nie zwalnia.

W tej samej chwili Parks słyszy w dali tupot sandałów. Kapłan przyspiesza.

–Biegnij, biegnij ile sił w nogach!

Własny oddech tłumi inne dźwięki, więc Parks nadstawia ucha i słyszy głośny tupot. Krzyki i wściekłe pomruki. Pustelnice są coraz bliżej. Jak stare mniszki mogą biec tak szybko? „One nie biegną, ale galopują”. Głos Carza znów brzmi w ciemnościach.

–Nie, Marie! Nie oglądają się za siebie!

Za późno. Jak dziecko ścigane przez potwora, nie zdołała się powstrzymać. A to, co zobaczyła, omal nie zważyło jej z nóg. Pochodnie. Stare maski o wykoślawionych ciałach galopują ryki. Na czele tej sfory gniewnie ujada matka Abigail. Z piersi Marie wyrywa się szloch przerażenia. W dali dostrzega szarawe światło. To podnosi ją na duchu. Wyjście z podziemi rysuje się na tle bielejącego nieba. Marie biegnie najszybciej, jak może, skupia się, żeby nie słyszeć coraz bliższego wycia pustelnic. Ale potworzyce, które galopują korytarzem, nagle milkną. Ich sandały wciąż kłapią, jednak mniszki przestały ujadać, oszczędzają siły, żeby dopaść ofiary przed wyjściem z tunelu.

Matka Abigail nagle przyspiesza i odłącza się od sfory. Parks słyszy, jak jej szczęki kłapią o parę metrów za nimi. Wtedy, niczym zmęczone dziecko, czuje, że opada z sił. Chciałyby się zatrzymać i uklęknąć na ziemi. Ojciec Carzo zmuszają do biegu.

–Wytrzymaj, Marie, jesteśmy już bardzo blisko. Od wyjścia dzieli ich zaledwie trzydzieści metrów. Kobieta nie czuje już bólu mięśni i kurczy, które usztywniają jej nogi. Biegnie, dostosowując tempo do księdza i oddychając przez usta, jak sprinterka.

Im widniej robi się w tunelu, tym wyraźniej porykiwania matki przełożonej zamieniają się w jęki bezradnej wściekłości, a wreszcie w pisk przerażenia. Sandały kłapią coraz wolniej, a podziemia wypełniają się jękiem, gdy Parks i ojciec Carzo wybiegają na otwartą przestrzeń.

Świt zaróżowił ośnieżone góry. Zamieć ustała. Wściekłe ujadanie i krzyki rozpaczliwie rozbrzmiewają w tunelu. Buty Parks grzęzną w śniegu, gdy wraz z egzorcystą biegnie po zboczach na parking. Agentka ma wrażenie, że wrzeszczące pustelnice wzajemnie się rozszarpują i pożerają.

CZEŚĆ SIÓDMA

111

Międzystanowa siedemdziesiątka. Oparta czołem o szybę limuzyny FBI, Marie Parks spogląda na Góry Skaliste, których zaśnieżone szczyty czerwienieją w świetle zachodzącego słońca. Siedzący za nią Crossman i ojciec Carzo słuchają trzasków dobiegających z głośnika.

Wczesnym rankiem, uciekwszy przed pustelnikami, Parks i Ca-rzo jechali tą drogą do Holy Cross City. Stamtąd skontaktowali się z filią FBI w Denver. Crossman był już na miejscu. Zabrano ich, a późnym popołudniem do klasztoru udała się helikopterami grupa specjalna. Właśnie tę operację agentka i kapłan śledzą na bieżąco przez radio. Dźwięk lądujących helikopterów. Rozkazy rzucane przez mikrofony. Skrzypienie śniegu pod butami, gdy elitarna jednostka FBI otacza klasztor. Potem głos dowodzącego akcją.

–Niebieski, tu Niebieski dwa. Siły zostały rozlokowane. Wciąż opierając czoło o szybę, Marie słyszy, że Crossman wciska guzik walkie-talkie.

–Tu Niebieski. Szturmujcie.

Eksplozja. Trzask. Federalni wysadzają bramę, używając materiałów wybuchowych. Szepty, odgłos kroków. Oddechy świszczące w mikrofonach. Jeden oddział rusza podziemnym korytarzem do biblioteki, liczniejsze siły pędzą tymczasem po schodach wiodących do klasztoru. Parks wsłuchuje się w odgłos kroków, by ocenić tempo przemieszczania się agentów. Weszli już na pierwszy poziom, teraz pędzą galerią wzdłuż cel, gdzie coś próbowało ją udusić. Parks przymyka oczy. Z tyłu Crossman i Carzo słuchają w milczeniu. Znowu nasila się tupot nóg na stopniach. Oddział zaczął drugi etap wspinaczki.

–...tych cholernych schodów, Parks? Marie drgnęła, słysząc zimny głos dyrektora FBI.

–Słucham?

–Pytam, co jest u szczytu tych cholernych schodów, bo mam wrażenie, że nigdy się nie skończą.

–Równie cholerny klasztor.

Parks wpatruje się tępo w zaśnieżone szczyty, które przesuwają się za oknem. Nie chce oderwać od nich oczu. Jeśli to zrobi, wchłoną ją te dobiegające z głośnika dźwięki. I tak wdzierają się do jej uszu i mogą w każdej chwili wywołać wizję, która ją tam przeniesie. Wszystko, tylko nie to. Słyszy, że Crossman znowu włącza nadajnik.

–Tu Niebieski. Uzyskałem informację, że schody prowadzą do klasztoru._

Agenci są już na górze. Świst wiatru. I znowu głos dowódcy1 oddziału:

–Co dalej? Crossman zwalnia przycisk walkie-talkie.

–Co dalej, Parks?

–Figura Chrystusa z brązu, brama i długi korytarz. Schody prowadzą do cel pustelnic, ale nie tam je zastaną.

–A gdzie?

–Muszą iść prosto do biblioteki i działać równocześnie z tamtym oddziałem.

Crossman przekazuje te informacje oddziałowi ze schodów, potem łączy się z dowódcą, który ruszył ze swymi ludźmi przez podziemia.

–Niebieski trzy, tu Niebieski. Proszę o raport. Trzaski. Ledwie słychać szepty agenta specjalnego Woomaka.

–Tu Niebieski trzy. Przeszliśmy czterysta metrów tunelu. Brak kontaktu wzrokowego.

–Do diabła, Woomak, głos ci drży. Co się tam dzieje?

–Szkoda, że sam pan tego nie widzi.

–Czego, Woomak?

–Krwi, szefie. Jak Boga kocham, tyle tu krwi, jakbyśmy byli w rzeźni. Druga grupa dociera do klasztornej biblioteki.

–Niebieski, tu Niebieski dwa. Otwarta kłapa w podłodze biblioteki. Schody. Poirytowany Crossman zdejmuje palec z przycisku.

–Parks, do cholery, co to znowu za pieprzone schody?

–To zejście do Piekła.

–Bez pierdoła! Mam im tak powiedzieć?!

–Pustelnice tak nazwały swoją tajną bibliotekę. Crossman unosi walkie-talkie.

–Niebieski do Niebieskiego dwa. Ruszajcie tymi schodami i nawiążcie kontakt z oddziałem Woomaka. Tylko ruszcie tyłki, nie ma czasu.

–Przyjąłem, Niebieski.

Podeszwy agentów uderzają o schody. Zgrzyt kraty. Głos Woomaka znowu dobiega z podziemi:

–Jezus Maria,...

–Woomak, do pioruna, gadaj, co tam widzisz! Marie wpatruje się w szczyty. Wizja jest coraz bliższa. Już dogasa światło. Już plastik drzwiczek zaczyna się zamieniać pod palcami agentki w coś twardszego, chropowatego, jak kamień. Jej oczy się zamykają. Błysk.

Ciemności. Woomak wszedł właśnie do tajnej biblioteki. Parks jęczy. Za jej plecami agenci masowo ściągają z głów kominiarki i wymiotują na ściany groty. Woomak bełkocze:

–Niebieski trzy do Niebieskiego. Kontakt nawiązany. Pustelnice są tu, szefie.

–I co?

Zgrzyt kraty. Drugi oddział dotarł do Piekła. Marie otwiera oczy i zaciska pięści, żeby odpędzić tę wizję. Zatyka uszy, nie chce słyszeć głosu Woomaka. Straszliwie okaleczone, zmasakrowane ciała znikają przed jej oczu. Zmusza się do patrzenia na ośnieżone szczyty za oknem.

Trzaski ucichły. Limuzyna w ciszy sunie drogą. Tablica informacyjna obwieszcza, że od lotniska w Denver dzieli ich ponad piętnaście kilometrów. Parks rzuca okiem w lusterko wsteczne. Twarz Crossmana jest blada i kamienna, oczy zapatrzone w dal. Nie powiedział ani słowa, odkąd zerwała się łączność z klasztorem w Denver. Dźwięk telefonu przerywa ciszę. Crossman odbiera. Nie wypowiada ani słowa. Po chwili rozłącza się i chrząka, żeby pozbyć się chrypki.

–Dziesięciu koronerów zbiera na miejscu szczątki ciał i próbuje zrozumieć, co mogło się tam wydarzyć. Odnaleźli już odpowiednik czternastu ciał. Powiedziałam „odpowiednik”, ojciec, ponieważ koronerzy nie są w stanie złożyć tego wszystkiego do kupy. Mają kawałki rąk, dłonie, palce i cholerne strzępy poszat-kowanych nóg, ale nie wiedzą, do którego trupa dołożyć ochłap mięsa. Dlatego proszę mi wybaczyć pytanie, które ojcu zadam: co się tam wydarzyło? Chwila ciszy. Ojciec Carzo patrzy w oczy dyrektora FBI.

–Panie Crossman, czy wierzy pan w Boga?

–Tylko w niedzielą. Dlaczego ojciec pyta?

–Bo toczy się tu gra sił, których nie potrafimy ogarnąć ani pojąć, jeśli usiłujemy wyjaśnić wszystko, słuchając wyłącznie rozumu.

Zimny uśmiech wykrzywia usta Crossmana. Wyjmuje z kieszeni kopertę i kładzie ją na stoliku przed egzorcystą.

–Dobrze, ojciec, skoro chce się ojciec tak ze mną bawić, zgoda. To bilety pierwszej klasy, jak ojciec prosił, do Genewy. Samolot Lufthansy ze Stampelton startuje o osiemnastej. Ma ojciec niewiele czasu, żeby mnie przekonać i uzyskać zgodę na tę podróż z moim agentem. Potem albo spokojnie wsiądzie ojciec do samolotu, albo wsadzę ojca za kratki za utrudnianie śledztwa. Cisza. Głos Carza:

–Od kilku miesięcy jesteśmy świadkami niespotykanego wzrostu liczby opętań przez Szatana, co sprawia, że obawiamy się spełnienia najstarszej przepowiedni chrześcijaństwa, i to już w najbliższym czasie.

–Jeżeli chodzi o powrót Szatana, to chętnie podam ojcu jego adres – pracuje na Wall Street, a latem surfuje w Kalifornii.

–Proszę darować sobie żarty z tych spraw, panie Crossman. Bestia istnieje, a pańscy agenci doświadczyli tego na własne oczy. Ale Szatan może przybierać różne oblicza i, jak Bóg, nade wszystko lubi posługiwać się ludźmi dla osiągnięcia własnego celu.

–Czy ta przepowiednia ma coś wspólnego z ewangelią, którą Kościół zagubił w średniowieczu?

–Wiemy, że tajne bractwo kardynałów przeniknęło do Watykanu. Ta loża nosi nazwę Czarny Dym Szatana. Ewangelia należy do nich i zrobią wszystko, żeby ją odzyskać.

–Co zawiera manuskrypt?

–Kłamstwa. Coś, co papież ukrywają od stuleci, a co Czarny Dym chce rozpowszechnić, żeby obalić chrześcijaństwo. To fanatycy, kardynałowie sataniści. Władza ich nie interesuje, motywacją jest dla nich wyłącznie chaos. Sądzymy, że

zechcą wykorzystać sobór, żeby przejąć kontrolę nad Kościołem.

–Czy może ojciec podać choć jedno nazwisko?

–A obieca mi pan, że ta informacja nie wydostanie się z tej limuzyny?

–Kpi sobie ojciec? A może ojciec myśli, że mam prawo zachowywać taką wiedzę wyłącznie dla siebie? Gwarantuję jednak, że nigdy nie podamy tego nazwiska do wiadomości publicznej.

Carzo wyjął z kieszeni sutanny kopertę zawierającą szyfr templariuszy. Po chwili wahania podał ją Crossmanowi. Dyrektor FBI rozłożył kartkę i przeczytał. Potem zerknął na zdjęcia i zwrócił pytające spojrzenie na kapłana.

–To wiadomość sprzed tygodnia. Przekazał ją kardynał, któremu z polecenia Watykanu udało się przeniknąć do Czarnego Dymu. Posługuje się szyfrem opartym na symbolach geometrycznych.

–Co dalej?

–W tym liściku wspomniany kardynał mówi o katastrofie lotu Cathay Pacific 7890.

–Z Baltimore do Rzymu?

–Tak, podaje także nazwę szkockiego dziennika, "Edinburgh Evening News". Tę gazetę czyta starzec ze zdjęcia.

To numer

z dnia po katastrofie.

–Nie rozumiem.

–Miejsce, w którym wykonano zdjęcie, to Fenimore Harbour Castle, dworek na północy Szkocji. Z naszych informacji wynika, że tam odbyło się zebranie Czarnego Dymu przed soborem. Nazajutrz po wypadku.

–Nadal nie rozumiem.

–Doskonale pan rozumie, panie Crossman. Palce dyrektora FBI poruszają się po klawiaturze laptopa. Łączy się z bazą danych FBI i wybiera listę pasażerów, którzy zginęli w katastrofie. Znów patrzy na Carza.

–To jakiś głupi żart?

–A wyglądam jak ktoś, komu się chce żartować?

–Mówi mi ojciec, że ten Czarny Dym pozwala sobie organizować zamachy w powietrzu, żeby załatwić kilku kardynałów lecących na sobór?

–To nie byli byle jacy kardynałowie, panie Crossman, tylko watykańska elita. Najwierniejsi papieżowi, a takich, proszę mi wierzyć, jest niewielu. Jednak moją uwagę zwraca przede wszystkim kardynał Miguel Luis Centenario, który cieszył się przychylnością uprawnionych do udziału w konklawe, i był wymieniany jako niemal pewny następca papieża.

–I to oznacza, że Czarny Dym zorganizował zamach, żeby pozbyć się pretendenta do tronu Świętego Piotra, który mógłby wygrać?

–I że kandydat Czarnego Dymu pozostał obecnie jedynym kandydatem, gdyby doszło do konklawe. Cisza.

–A ten starzec ze zdjęcia?

–Kardynał kamerling Campini.

–Ten, który sprawuje pełnię władzy w Watykanie, gdy umiera papież? Zdaje sobie

ojciec sprawę, co to oznacza?

–Jednak Ojciec Święty musiałby zejść z tego świata, aby Stolica Apostolska pozostała bez władzy.

–Przykro mi, że muszę ojcu przekazać tę wiadomość... Ojciec Święty zmarł wczoraj w południe czasu rzymskiego. Jeżeli ta opowieść o bractwie jest prawdziwa i jeśli naprawdę dokonało

ono zamachu na samolot, którym leciał potencjalny następca papieża, to Czarny Dym ma możliwość uczynienia swego kandydata głową Kościoła. A ponieważ kardynałowie przybyli już na sobór, zwołanie konklawe będzie czystą formalnością.

Carzo zamknął oczy, by otrząsnąć się z szoku, a Crossman sięgnął po telefon, by pilnie się z kimś połączyć. Czekał dość długo, zanim usłyszał głos:

–Kwatera Główna w Langley, słucham.

–Mówi Stuart Crossman, proszę mnie połączyć z dyrektorem CIA.

–Pan Woodward łowi teraz ryby, gdzieś w Arizonie.

–Słucham?

–Ma wolny dzień, panie Crossman.

–W takim razie proszę mu powiedzieć, żeby rzucił wędkę do wody i natychmiast wracał. Mamy problem.

–Chwileczkę, przełączam rozmowę na jego telefon komórkowy. Trzaski. Głos Stanleya Woodwarda dobiega jak zza ściany:

–Cześć, Stuart, co się stało?

–Mamy na łbie kod H.

–Alarm z powodu zamachu stanu? Gdzie? W Afryce? Ameryce Południowej?

–W Rzymie, w Watykanie. Cisza.

–Robisz ze mnie durnia?

–Zbieraj się, Stan. To pilne.

Watykan, godzina pierwsza w nocy

Monsignore Ricardo Ballestra budzi się nagle i siada na łóżku. Śniło mu się, że śmiertelna zaraza szerzy się na świecie i dziesiątkuje całe miasta. Koszmar był przerażająco realistyczny. Zgodnie z zaleceniami kardiologa Ballestra oddycha spokojnie przez nos, żeby obniżyć sobie ciśnienie. Ale okrucy tego koszmaru wciąż tkwią mu w pamięci.

Zaraza padła najpierw na wędrownie ptaki. Tysiące łabędzi i dzikich gęsi wyleciały z Afryki, przenosząc zarazę w rejony o bardziej umiarkowanym klimacie. Niektóre padły przed dotarciem do celu, choroba, którą niosły, zabiła je nad oceanem. Inne ginęły, dusząc się w gigantycznych sieciach, które rządy półkuli północnej rozpięły dla powstrzymania epidemii. Jednak główne siły tej armii dotarły do łądów i zaraza błyskawicznie szerzyła się we wsiach i miastach.

Wkrótce w szpitalach zaczęło brakować miejsc, więc w pośpiechu wytyczano obszary kwarantanny, żeby opanować sytuację. Potem wezwano na pomoc wojsko, żeby otoczyło miasta i strzelało do każdego, kto podejmie próbę ucieczki. W ostatnich dniach wielkiego nieszczęścia widziano nawet myśliwce, które wystrzeliwały rakiety i bomby zapalające na Paryż, Nowy Jork i Londyn, żeby zniszczyć zdziesiątkowane przez zarazę dzielnice. Mówiono też, że azjatyckie rządy dokonały ewakuacji ludności ze stolic, a następnie unicestwiły je, używając broni jądrowej. A potem wszystko się skończyło jak nożem uciął i na świecie zapanowała głucha cisza. Ballestra przypomina sobie, że pod koniec snu z Rzymu" pozostało ogromne, ciche cmentarzysko, nad którym unosiły się tysiące błotniaków, plac Świętego Piotra i kopuły bazyliki pokrywały odchody ptaków, w alejach Wiecznego Miasta rozkładały się ludzkie trupy. I wtedy pojawiła się Bestia – mnich, za którym fruwały chmary kruków, szedł Via della Conciliazione w kierunku pałacu papieskiego. Monsignore Ballestra obserwował to z okna swego gabinetu. Gdy Bestia minęła łańcuchy otaczające święty plac, mroźny wiatr rozszalał się nad Watykanem, a w dali Ballestra ujrzał wzburzone, wzbierające wody Tybru. Czerwone, cuchnące, przelewały się i sunęły ku bazylice, wciskając się między kolumny i zalewając bruk. Wydawało się, że całe miasto krwawi. Potem mnich zatrzymał się na środku placu i rozdzwoniły się dzwony u Świętego Piotra. Ballestra spojrział na budzik – dwie minuty po pierwszej. Niespełna trzynaście godzin temu Ojca Świętego odnaleziono martwego, w łóżku, z szeroko otwartymi oczyma. To był pełen smutku dzień i zapewne tym należało tłumaczyć koszmar, który przyśnił się Ballestrze.

Głęboko oddychając, by uwolnić się od strachu, który wciąż go dławił, przypominał sobie poruszenie, jakie zapanowało w Watykanie, gdy w południe dzwony zabiły na Anioł Pański. Wkrótce martwa cisza, która zapanowała nad miastem, wypełniła się szeptami dostojnych kapłanów i szelestem sutann. Duchowni krążyli po całym placu, aby dyskretnie rozgłaszać nowinę. Tylko wtajemniczeni wiedzieli, co się działo. Skupieni w sali konferencyjnej dziennikarze słuchali, jak kardynał Camano opowiada im brednie o ektoplazmie i innych paranormalnych

zjawiskach. Nie widzieli ani nie słyszeli niczego, co było naprawdę istotne. I dopiero gdy tłumy rzymian zaczęły się gromadzić na placu Świętego Piotra, ruszyły teleksy i faksy w agencjach prasowych na całym świecie. Monsignore Ballestra wśliznął się między dostojników wolno przesuających się korytarzem pałacu apostolskiego, by złożyć hołd zmarłemu. Składając pocałunek na czole papieża, zdziwił się, że jego skóra jest tak ciepła. Zapewne to ogrzewanie opóźniało wychładzanie i sztywnienie ciała. Potem, gdy się prostował, poczuł strumień powietrza, który musnął jego szyję, unosząc się jakby od nieruchomych, rozchylnych warg. Przez moment wpatrywał się w twarz nieboszczyka, oczekując na znak, który się nie pojawił. A zatem to był tylko przeciąg. Ale, choć Jego Świątobliwość rzeczywiście wyglądał na martwego, Ballestra odnosił wrażenie, że jego powłoka cielesna nie była... pusta. Ostatnie sekundy obecności duszy. Subtelny kontrast między ciałem, które dopiero umarło, a zwłokami, które składa się w ziemi. To czuł Ballestra, całując czoło starca. Jakby papież wciąż żył jeszcze. Albo raczej jakby nie był w stanie umrzeć.

Unosząc się z wolna, dostrzegł dziwną warstewkę popiołu na nozdrzach Ojca Świętego. Taką, jak na czołach wiernych, gdy znaczy się je krzyżem na początku Wielkiego Postu. Potem, czując, że dłoń kamerlinga zaciska się na jego ramieniu, Ballestra oddalił się, zadając sobie pytanie, czy to, co widział, mogło być jedynie wytworem jego wyobraźni. Opuszczał apartamenty papieskie, gdy przybyli ludzie mający zająć się balsamowaniem

zwłok. Wkrótce usuną z ciała wnętrzności. Bo – czy podobało się to Ballestrze, czy też nie, papież nie żył i odwróciła się jeszcze jedna karta w wielkiej księdze Kościoła. Otwierała się nowa, posępna, bo na świecie rozszalały się moce Zła. O tym wszystkim rozmyślał, usiłując otrząsnąć się z koszmaru. Chciał wrócić do łóżka i zyskać jeszcze kilka godzin snu, gdy dzwonek telefonu rozdarł ciszę. Ballestra po omacku odnalazł słuchawkę na nocnym stoliku i klnąc w myśli, odebrał.

–Prefektura Archiwów Watykańskich, monsignore Ballestra, słucham. Zakłócenia na linii. Potem daleki, rwący się głos.

–Eminencjo, mówi ojciec Alfonso Carzo.

Ballestra zapalił lampkę nocną i sięgnął po okulary.

–Alfonso? Gdzie się, do diabła, podziewasz? Kardynał Camano wszędzie cię szuka. Zamartwialiśmy się o ciebie.

–Dzwonię z lotniska międzynarodowego w Denver. Za chwilę wylatuję do Europy.

–Tron Piotrowy jest pusty, Alfonso. Jego Świątobliwość odszedł od nas wczoraj, po krótkiej agonii.

–Wiem o tym, a ta wieść jest znacznie gorsza niż może sobie eminencja wyobrazić.

–Jakże mogłaby być gorsza?

–Monsignore, proszę mnie uważnie posłuchać. Jezuci z Ma-naus zostali wymordowani. Tuż przed śmiercią ich przełożony zdążył mi powiedzieć o spisku w łonie Watykanu. To tajne bractwo noszące nazwę Czarnego Dymu Szatana. Ballestra milczy.

–Alfonso, to bardzo stara historia, ale nie sądzę, aby to była odpowiednia chwila na jej przywoływanie.

–Moim zdaniem żadna inna godzina nie będzie równie właściwa, monsignore. Przedtem jednak proszę o otwarcie tajnych archiwów papieża. Muszę się koniecznie dowiedzieć, co w średniowieczu odkryły pustelnice z Cervin, zanim doszło do rzezi ich wspólnoty.

–Alfonso, te archiwa są objęte ścisłą tajemnicą, podobnie jak objawienia Matki Bożej i siedem pieczęci końca świata. Nikt poza Ojcem Świętym nie ma do nich dostępu. Zresztą nikt nie wie, gdzie są przechowywane.

–W Komnacie Tajemnic, monsignore. Tam trzeba szukać.

–Mój chłopcze, ta komnata to tylko bajki starców. Wszyscy o niej mówią, ale nikt nie wie, czy kiedykolwiek istniała.

–Istnieje. Przeor Jezuitów z Manaus powiedział mi, gdzie jest wejście do niej i podał szyfr.

–Szyfr?

–Właśnie przesyłam go faksem.

Ballestra wstał z łóżka i podszedł do biurka. Faks się włączył. Po chwili drukarka wypluła kartkę i archiwista zerknął na nią.

–Greckie i łacińskie cytaty?

–Každy z nich odpowiada jednej z książek na półce dużej biblioteki archiwum. Te dzieła należy przesunąć, aby otworzyć wejście do komnaty. Ballestra westchnął.

–Alfonso, jeśli ta komnata istnieje i jeśli naprawdę kryje tajne archiwa papieskie, jest opieczętowana pieczęcią Ojca Świętego. Každy, kto waży się złamać tę pieczęć, zostanie obłożony ekskomuniką. Zwłaszcza w tym trudnym czasie, gdy Stolica Apostolska pozostaje bez Ojca Świętego.

–Monsignore, muszę bezwzględnie zdobyć te informacje. To kwestia życia i śmierci.

–Zrozum wreszcie, jeśli ktoś przyłapie mnie na lekturze tych dokumentów, moja kariera zawiśnie na włosku.

–Z całym szacunkiem, ale to Wasza Eminencja nie rozumie, bo jeżeli to, czego się obawiam, jest prawdą i Czarny Dym Szatana znów zacznie rozszerzać swoje wpływy na świecie, nad nami wszystkimi zawiśnie znacznie poważniejsza groźba. Ballestra spogląda na podświetlany ekran budzika.

–Zobaczę, co mogę zrobić. Jak się z tobą kontaktować?

–Zatelefonuję. Ale proszę działać szybko, czas nagli, a ja... Trzaski zagłuszają słowa Carza. Ballestra krzywi się.

–Alfonso?

–...ostatnia ważna sprawa: proszę się strzec kardynała... to na pewno on... czy... mnie słyszy?

–Halo! Carzo?

Połączenie zostało przerwane. Ballestra patrzy przez chwilę na słuchawkę, zastanawiając się, przed kim chciał go ostrzec Carzo. Potem przypomina sobie chmury kruków nad Watykanem i krwiste fale Tybru, zalewające ulice. Tej nocy z pewnością już nie zaśnie.

Watykan, w pół do drugiej nad ranem

Monsignore Ballestra przechodzi przez ogromne sale kolumnowe biblioteki watykańskiej, gdzie wiele pokoleń archiwistów gromadziło i strzegło przelanej na papier pamięci ludzkości. Jak okiem sięgnąć stały na półkach dzieła, które kopiści minionych wieków ratowali przed zniszczeniem i zapomnieniem. Tysiące dzieł sztuki, których oryginały spoczywały w spokoju w podziemiach.

Na końcu ostatniej sali stalowa krata wyznaczała obszar dostępny wyłącznie dla zaprzysiężonych archiwistów. Na widok Ballestry dwóch olbrzymów w błękitnych kaftanach i trójgranas-tych hełmach wzniosło halabardy. Dalej ciągnęły się schody, których stopnie wytarły miliony butów tych, którzy podążali do tajnych archiwów. To tam, w labiryncie sal i ciemnych korytarzy, archiwiści od wieków przechowywali najpilniej strzeżone sekrety Kościoła.

Przed schodami Ballestra pchnął kute w żelazie drzwi wiodące do ogromnej sali pełnej szaf bibliotecznych i sejfów. O tej porze nikt tu nie pracował, a wewnątrz pachniało pastą do podłogi i kurzem. Ballestra stanął na środku sali. Jeśli wierzyć jezuitom z Manaus, to wejście do Komnaty Tajemnic właśnie tu powinno się znajdować.

Legenda głosiła, że tę ukrytą salę wybudowano w średniowieczu, aby złożyć w niej skarby zdobyte podczas krucjat. Strażnicy zamurowali architekta, żeby tajemnica nigdy nie wyszła na jaw. Sekret, który poznali tylko kolejni papieże zgodnie z procedurą papieskiej pieczęci: gdy papież umierał,

kamerling papieski ogłaszał *sede vacantis*, okres bezkrólewia na Stolicy Piotrowej, czas żałoby i konklawe, kiedy to nie mogła zapaść

żadna ważna decyzja. Kardynałowie ograniczali się do załatwiania bieżących spraw, a kamerling udawał się do papieskich apartamentów i pieczętował sejf zawierający dokumenty i tajemnice, które mógł poznać tylko nowy papież. Każdy z dokumentów był opieczętowany papieską pieczęcią. Pierścień oraz matryca, która do tego służyła, były niszczone przez kamerlinga tuż po stwierdzeniu przez niego zgonu Ojca Świętego, nikt nie mógł więc zapieczętować ani otworzyć tajnych dokumentów do czasu objęcia władzy przez jego następcę.

W chwili gdy ten był już wybrany, watykańscy złotnicy wykonywali nowy pierścień rybaka z herbem nowego papieża. Ojciec Święty w towarzystwie szambelana udawał się do swych apartamentów, by uczestniczyć w otwarciu sejfu i upewnić się, że żadna pieczęć nie została naruszona podczas konklawe. Następnie otwierał te dokumenty, z którymi pragnął się zapoznać, a potem opatrywał je własną pieczęcią. Dzięki temu nowy papież nie tylko zyskiwał pewność, że nikt oprócz niego nie miał dostępu do tajemnic, ale także dowiadywał się, kiedy i przez którego z poprzedników dany dokument był ostatnio przeglądany.

Ta ściśle przestrzegana procedura przez całe stulecia umożliwiawała papieżom przekazywanie następcy tajemnic, do których nikt inny nie powinien mieć dostępu – objawienie dwunastu wielkich tajemnic, przestroga Matki Bożej, tajny kod Biblii, siedem pieczęci końca świata oraz poufne raporty na temat spisków w Watykanie.

Dzięki temu, jeśli na przykład papież obawiał się o własne życie i pragnął uprzedzić następcę, że i jemu grozi niebezpieczeństwo, list szedł przez wieki opatrzony pieczęcią papieską.

Zdarzało się jednak, że ów sejf się przepełniał, tak wielkie bywało upodobanie papieży do tajemnic. Legenda głosi, że wówczas Jego Świątobliwość korzystał z ukrytego przejścia, łączącego jego apartamenty z Komnatą Tajemnic, gdzie w alkowach poprzedników składał część dokumentów. Dlatego tyle

mitów narosło wokół tajemniczej komnaty, która według pokoleń duchownych miała znajdować się albo pod grobem świętego Piotra, albo w katakumbach lub też w rzymskich kanałach. Tę salę miał odkryć Ballestra. Myśl o tym gnębiła go, gdy zbliżał się do ogromnej biblioteki na ścianie w głębi sali. Przechowywano

tam większość oryginalnych manuskryptów kościelnych. Była to istna baza danych archiwistów.

Ballestra zatrzymał się przed biblioteką i skupił myśli. W dali były dzwony San Giorgio Maggiore. Odpowiedziały im te z San Lorenzo fuori le Mura. Uzbrojony w listę cytatów, którą przesłał mu ojciec Carzo, archiwista wszedł na jedną z drabinek i bez trudu odnalazł księgi, do których odesłały go cytaty. Siedem zakurzonych woluminów wysunęło się kolejno o kilka centymetrów każdy, a każde przesunięcie spowodowało charakterystyczny zgrzyt starego mechanizmu kół zębatach. Ballestra zszedł z drabiny, wyciągnął siódmy tom, znajdujący się na wysokości jego ręki i usłyszał, jak zaczyna skrzypieć cała biblioteka. Potem rozległo się przeciągłe skrzypienie zawiasów z głębi muru. Cofnął się o kilka kroków i zobaczył, jak ciężki mebel rozdziela się na dwie części w obłoku kurzu, i otwiera się przejście do Komnaty Tajemnic, z której, niczym tchnienie giganta, wydobyło się zatęchłe powietrze.

Wstrzymując oddech, jakby w obawie, że komnata wypełniona jest unoszącą się w powietrzu trucizną, monsignore Ballestra wchodzi między skrzydła biblioteki. Ma przy tym niemiłe wrażenie, że przekracza niewidzialną granicę między dwoma światami, które wszystko dzieli.

Ledwie przestąpiwszy próg komnaty, słyszy, jak siedem woluminów wraca na swe miejsce z charakterystycznym odgłosem pocierania skóry o skórę. Potem następuje seria głuchych zgrzytów i skrzypienie zamykających się skrzydeł biblioteki. Ballestra odwraca się ze ściśniętym gardłem. Wkrótce znika światło sali archiwum. Jeszcze tylko jedno trzaśnięcie i koła

zastygają, a stalowe zapadki blokują mechanizm: automatyczne zamknięcie potwierdza istnienie innego przejścia. To z biblioteki służy tylko wchodzącym, w żadnym wypadku nie pozwala na wyjście z komnaty. Taką nadzieję żywi przynajmniej monsignore Ballestra, włączając latarkę. Wbrew jego przypuszczeniom tajne przejście nie prowadzi bezpośrednio do komnaty, ale do wąskiego korytarza, który zdaje się przebiegać pod Watykanem. Jest niski, tak że mężczyzna ledwie może się w nim wyprostować, i umocniony przez średniowiecznych architektów potężnymi belkami. Idąc przez podziemia, monsignore Ballestra odlicza dwieście kroków w kierunku bazyliki. Potem echo jego sandałów staje się głośniejsze, przestrzeń większa, a powietrze świeższe – to Komnata Tajemnic. Ballestra zatrzymuje się i obraca, omiatając ściany światłem latarki.

Komnata jest bardziej przestronna niż sądził. Długa na czterdzieści metrów i ma około dwudziestu metrów szerokości. Jest niska, a jej łukowe sklepienia łączą się nad masywnymi kolumnami, mogącymi podtrzymać tak ogromny nacisk. Wydaje się to dowodzić, że komnata powstała pod wzniesioną już budowlą – bazyliką Świętego Piotra – i że architekci solidnie ją zabezpieczyli, aby na posadzce świątyni nie powstały rysy i pęknięcia, które w końcu zdradziłyby istnienie podziemi. Ballestra poruszał się w ciemnościach, a jego latarka oświetlała niezliczone freski na ścianach z białego granitu. Były to malowidła z dawnych stuleci, ukazujące walkę archaniołów z mocami Zła. Dalej gigantyczne obrazy przedstawiają znane procesy przed trybunałami Inkwizycji i tortury zadawane heretykom – łoże, na którym rozciągano aż do zerwania ścięgien, maszyny łamiące kości, rozpalana do czerwoności żelazna maska, szczytce i ruszty do przypalania ramion nasmarowanych tłuszczem, który spływając, podsyczał ogień. Ballestra skierował snop światła między dwie kolumny. W marmurowych alkowach stały pulpity z litego drewna i wysłane aksamitem półki. To tu spoczywają tajne archiwa wszystkich papieży od Leona Wielkiego po Jana Pawła II. Ballestra spostrzegł, że trzydzieści wnek wyłożono czarnym marmurem i wydaje się, że te alkowy służą archiwizacji dokumentów przekaza-

nych przez antypapieży i tych przeklętych; tych, którzy przyjmowali sakrę bezprawnie, gdy na stolicy Piotrowej zasiadał inny papież, i tych, którzy okryli się hańbą – wiarołomnych, trucicieli, rozpustników, apostatów.

Pośród białych i czarnych steli kardynał szedł przez stulecia aż do alkowy papieża Leona Wielkiego, który powołał do istnienia dwa okryte ścisłą tajemnicą zakony –

archiwistów, do którego należał sam Ballestra, oraz pustelnic. To właśnie wtedy wszystko się zaczęło.

Ballestra przykłąknął przed aksamitną zasłoną, która chroni tajną korespondencję Leona Wielkiego, dopiero potem ją odsunął. Zwoje i pergaminy pojawiają się w świetle latarki. Archiwista wyjmuje je jeden po drugim i układa na pulpicie. Papier szeleści między jego palcami, gdy ostrożnie je rozwija. Dokumenty są tak stare, że atrament, którym je spisano, zmienił barwę na bladoniebieską.

Zaczął od tajnej korespondencji prowadzonej przez Leona z Attylą w roku 452, kiedy Hunowie zagrażali Rzymowi. Krótkie listy mówią o przebiegu przygotowań do ich spotkania pod Mantuą.

Kolejne pismo opatrzone jest datą czwartego października 452 roku, nazajutrz po spotkaniu. Leon Wielki wrócił do Rzymu z dwoma wozami pergaminów, które Attyla przekazał mu na dowód szacunku. Wcześniej owe dokumenty zostały zagrabione przez Hunów w monastyrach na Wschodzie. Leon zamknął się w apartamentach, z których wyszedł dopiero po tygodniu, wycieńczony i wychudzony.

Przeszukując wnękę, Ballestra sięgnął po inne zwoje i złamał pieczęcie. Leon Wielki szeroko rozpisuje się o przeklętym manuskrypcie, który został odnaleziony w wozach Attyli, tekście tak wstrząsającym i mrocznym, że papież postanowił wysłać go jak najdalej od Rzymu. Powierzył go nowo utworzonemu zakonowi archiwistów, którego pierwsi członkowie zawieźli księgę do starego monasteru pod Aleppo, by popadł tam w zapomnienie.

Przed zasłonięciem alkozy Ballestra rozwinął jeszcze jeden zwój, nieco spękany i zawierający testament... nie, raczej przestrożę, którą Jego Świątobliwość adresuje do swych następców, zalecając utrzymanie treści pisma w ścisłej tajemnicy. List opatrzony jest datą siódmego listopada 461 roku, a zatem powstał zaledwie trzy dni przed śmiercią Leona Wielkiego. Litery

niemal całkowicie wyblakły, a zagłębienia, które powstały pod piórem, wypełniał tytko pył. Z tego, co Ballestra zdołał odczytać, jego Świątobliwość streszcza na użytek następców przerażający rękopis z wozu Attyli. Według niego jest to relacja o śmierci Chrystusa, ewangelia, która ciężko bluźni Stwórcy, zastępując inną historią tę, którą przeżył Mesjasz. Wedle tego tekstu Chrystus miałby na krzyżu wyprzeć się Boga Ojca i przemienić w wyjąca, bieżnierczą bestię, którą Rzymianie musieli dobić kijami. Wówczas na niebie pojawiły się znaki, gesty czarny dym wznosił się nad krzyżem i połączył z chmurami. To był czarny dym Szatana. Oczy archiwisty zaokrągliły się ze zdumienia na widok wykonanego przez papieża miedziorytu. Była to reprodukcja portretu zdobiącego stronę tytułową manuskryptu, a wyobrażała Chrystusa o potwornie wykrzywionej z nienawiści i bólu twarzy, przeklinającego tłum i Niebiosą. Pod miedziorytem Leon odtworzył także odmienne znaczenie tytułu przybitego przez Rzymian nad głową ukrzyżowanego: *Ianus Nazaremts Rex Infernorum*. Oto jest Janus, Król Piekieł. Ballestra drży, odczytując tytuł

nadany przez Leona Wielkiego rękopisowi, który nie był wcześniej zatytułowany: ewangelia według Szatana. Archiwista zamyka oczy. A zatem to, co powszechnie uważano za wyssaną z palca legendę, ten mesjasz piekieł wyjąca na krzyżu i ta ewangelia będąca czystą ekspresją Zła, poświadczająca jego istnienie – wszystko to

istniało.

Ballestra cofa się i kolejno przetrząsa alkowy następców Leona Wielkiego. Rozwija zwój po zwoju i czyta je w świetle latarki. W alkwie Paschalisa II natrafia wreszcie na ślad manuskryptu. Pieczołowicie przechowywana w klasztorze pod Aleppo, dokąd odesłał ją pod eskortą Leon, ewangelia Szatana pozostawała w zapomnieniu przez niemal siedemset lat. Aż do roku 1104, czyli do pierwszej krucjaty. Niejaki Wilhelm z Sarkopi, dowódca tylnej straży wojsk normandzkiego księcia Boemunda, odnalazł ją w piaskach, pośród szkieletów mnichów, którzy strzegli księgi.

Wtedy to Sarkopi wysłał do Rzymu list, powiadamiając o tym znalezisku papieża. I właśnie jego list z piętnastego września roku Pańskiego 1104 czyta głośno Ballestra:
Wasza Świątobliwość!

Dziś w pobliżu Aleppo natrafiliśmy na zbudowany z trzciny klasztor, którego liczącą jedenastu braci wspólnotę wyniszczyła jakaś osobliwa choroba. Odtwarzam poniżej herb bractwa, abyś mógł, Ojciec Święty, rozpoznać ów zakon. Dodam tylko, że towarzyszący mi mnisi nigdy podobnego nie widzieli, jakby ten zakon wcale nie istniał, albo jakby powołano go w tajemnicy z woli jakichś możliwych dostojników Kościoła. Co dziwniejsze, wydaje się, że kongregacja ta istniała wyłącznie, by chronić stare manuskrypty, których zbiór odnaleźliśmy w grotach klasztoru. Pośród dzieł opatrzonych symbolami Wschodu oraz piętnem Bestii szczególnie wyróżnia się jedno, wokół którego ciała leżały w krąg, jakby mnisi pragnęli go bronić do ostatniego tchu. Przed śmiercią przeor bractwa zdążył wypisać na piasku ostrzeżenie, ale kość jego palca utkwiała już na skraju ostatniej litery, którą zdołał jeszcze napisać. Wszystko to zachowało się doskonale, dzięki nieporuszaniu oraz wyjątkowo suchemu powietrzu w grotach. Oto, co mogłem przeczytać, gdy jeden z moich włoskich włóczników przetłumaczył tekst. Wydaje się bowiem, iż te listy z piasków napisane zostały w języku genueńskich najemników.

Szelest papieru. Ballestra przebiega wzrokiem tekst, który Sarkopi skopiował na podstawie inskrypcji wykonanych przed wiekami w piasku.
„Trzynastego sierpnia roku 1061. My, brat Guccio Lega de Palissandre, kawaler-archiwista w służbie Stolicy Apostolskiej, donosimy, że nieuleczalna choroba dotknęła naszą wspólnotę i jako jedyny żyjący z nas wszystkich, konając, proszę tego, kto odnajdzie nasze szczątki, by delikatnie obchodził się z manuskryptem, który ukryłem pośród naszych zwłok. Jest on bowiem dziełem Złego i musi zostać niezwłocznie przewieziony do najbliższej chrześcijańskiej fortecy, której mury ochronią księgę przed niepowołanymi oczyma. Z tejże fortecy należy wysłać ją pod silną strażą do Rzymu, wyłącznie Ojciec Święty potrafi bowiem zdecydować, co z nią uczynić. Wyrażam nadzieję, iż nikt nie dopuści się bluźnierstwa, otwierając ten przeklęty manuskrypt, gdyby zaś zamierzał to uczynić, niechaj wie, że jego oczy strawi ogień a dusza umrze na zawsze”.

Ballestra rzuca pergamin na podłogę i gorączkowo przeglądać następną, trzecią kartą z posłania Sarkopiego do Rzymu

Wasza Świątobliwość!

Zgodnie z powyższym zaleceniem, schowałem manuskrypt do płóciennej sakwy i obecnie wiozę go pod silną strażą do fortecy w Akrze, którą król Baldwin wyrwał z rąk Arabów. Tam czekać będę na rozkazy Waszej Świątobliwości, te bowiem przesądzą, co uczynić z rękopisem, który zdaje się zawierać tyle zła i mroku, że gotów jestem twierdzić, iż to on zabił swych strażników.

Kontynuując poszukiwania w alkwie Paschalisa II, Ballestra wyciągnął rulon przewiązany wstęgą. To list pisany własnoręcznie przez papieża. Listopad 1104. Po zapoznaniu się z pismem Sarkopiego Jego Świątobliwość rozkazał dowódcy garnizonu z Akry udusić go, a jego oddział wysłać na pierwszą linię, umożliwiając najemnikom znalezienie śmierci godnej sług bożych. Manuskrypt należy następnie zamurować w fundamentach fortecy. Ma tam pozostać do przyjazdu osoby upoważnionej do zabrania go.

Odkładając dokument, Ballestra niemal usłyszał, jak skórzany rzemień ze świstem zacisnął się na szyi młodego rycerza, którego jedyną zbrodnią było odnalezienie tego, co na zawsze powinno zostać ukryte. Widzi także saraceńskie strzały, godzące w ludzi wydanych na pastwę wroga podczas dramatycznego szturmu.

W dalszych alkwach archiwista nie natrafił już na żadne wzmianki o tej ewangelii. Dopiero w osiemdziesiąt lat później, gdy w roku 1187 wojska Saladyna zdobyły Akrę, zaczęły się budzić i te wspomnienia.

Ballestra odnalazł zagubiony trop w alkwie przeznaczonej dla papieża Celestyna III. Lipiec 1191 roku. Trzecia wyprawa krzyżowa pod wodzą Ryszarda Lwie Serce odbija Akrę po trwającym niemal rok oblężeniu. Wojska Saladyna uciekają, a krzyżowcy zajmują fortecę. Są wśród nich templariusze, których prowadzi sam wielki mistrz, Robert de Sabie. Templariusze przez wiele dni przetrząsają miasto w poszukiwaniu zaginionych relikwii i porzuconych kosztowności. Są znawcami wszelkiego rodzaju skrytek i tajnych komnat, nie jest im obca żadna z technik używanych przez Arabów i chrześcijan do ukrywania skarbów. Przy tej okazji odnajdują w końcu ewangelię, którą świętej pamięci dowódca garnizonu kazał zamurować w fundamentach fortecy. Zaledwie w kilka godzin po odzyskaniu księgi, gdy słupy czarnego dymu wzbijają się w niebo ze stosów, na których krzyżowcy palą trupy, Robert de Sabie wysyła do Rzymu gołębia pocztowego z wiadomością. Ten właśnie list, odnaleziony w alkwie Celestyna, czyta teraz Ballestra.

Wasza Świątobliwość!

Akra padła, a w jej murach odnaleźliśmy manuskrypt w niespotykanej oprawie, który skojarzył nam się z pewną księgą, którą jak powiadają, przywieźli tu pod strażą uczestnicy

pierwszej krucjaty Boemunda. Czy to legenda, czy też prawda, faktem jest, że ten manuskrypt został ukryty w fundamentach z taką pieczołowitością, że nie kazano by murarzom wykonywać tak precyzyjnie ich pracy, gdyby mieli ukryć skarb, a nie rzecz o złowieszczej mocy. Jako że znalezisko niebędące złotem ni srebrem wykracza poza ramy mej misji, pozwalam sobie poinformować o nim Waszą Świątobliwość, by przybyła tu eskorta złożona z archiwistów, którzy bez wątplenia wiedzieć będą, jaki użytek zrobić ze wspomnianej księgi. Czeka nas jeszcze przeszukanie zachodniego skrzydła fortecy, następnie musimy dogonić wojska Ryszarda Lwie Serce. Pozostaniemy w Akrze tak długo, jak Wasza Świątobliwość będzie potrzebował, by zorganizować powrót manuskryptu w miejsce mniej narażone na profanację i napaść niewiernych.

Dnia trzynastego lipca roku Krucjaty 1191

Robert de Sabie

Wielki Mistrz Templariuszy

Ballestra wyjmując z alkowy Celestyna III kolejną naręcz zwojów. Odpowiedź na list Sablego dociera do Akry 21, 22 i 23 lipca pod postacią wielu kopii jednego listu, niesionych przez kilka gołębi, co każe templariuszowi pojąć wagę dokonanego odkrycia.

Papież uprzedza go, że księgi nie wolno otwierać pod żadnym pozorem. Informuje go także, że grupa archiwistów wypłynęła już, aby ją zabrać. Jego Świątobliwość dziękuje Sablemu, a w uznaniu zasług i trudu przyznaje mu tysiąc odpustów. Zapoznawszy się z listem, Robert de Sabie szybko dokonuje obliczeń – odległość dzieląca Akrę od Rzymu nie może zostać pokonana w czasie krótszym niż miesiąc, a gołębie przemierzyły ją w ciągu czterech dni i trzech nocy, więc zostało mu nieco ponad trzy tygodnie na przekonanie się, czy tajemnice, które kryje manuskrypt, nie mogłyby mu się przydać

do realizacji własnych dążeń, zanim na wieki pochłoną je lochy Watykanu. Dlatego potwierdza odbiór papieskiego przesłania listem, a następnie zamyka się z najlepszymi spośród templariuszy w podziemiach fortecy, by przeczytać ewangelię. Omiatając snopem światła alkowę, Ballestra odkrywa inne dokumenty w grubej kopercie opatrzonej pieczęciami: to pięćdziesiąt arkuszy zapisanych przez Sabiego podczas gorączkowej lektury manuskryptu w podziemiach Akry. Początkowo zamaszyste i wyraźne, pismo templariusza zamienia się stopniowo w bazgraninę, co pozwala się domyślać, że Sabie działał pod wpływem potwornego strachu. Twierdzi, że ewangelia jest przeklęta i że według niej piekielna bestia zajęła miejsce Chrystusa na krzyżu. Jezus, syn Boży, Janus, syn Szatana.

Sabie utrzymuje też, że po wymordowaniu rzymskiego oddziału, który dokonał ukrzyżowania, uczniowie, którzy byli świadkami wyparcia się Boga przez Chrystusa, zabrali ciało Janusa i uciekli z nim. I wreszcie Sabie twierdzi, że godzina Bestii wkrótce wybije, a żadne góry nie są dość wysokie, żeby powstrzymać wiatr, który się zrywa.

Ballestra zwraca uwagę na charakter pisma – ostatnie stronicie są zapisane maczkiem, bez odstępów, bez akapitów. To ciąg mikroskopijnych znaków, bez kropek i przecinków. Wielki mistrz templariuszy pisze, że na ostatnich kartach ewangelii odkrył sekret tak potworny, iż nie śmie przelać go na papier. Potem informuje, że jeszcze tego samego dnia wysłał oddział templariuszy w tajemnicze miejsce na północy Ziemi Świętej, gdzie – jego zdaniem – - odnajdą potwierdzenie jego słów. Ostatnie zdania Sablego są niczym krzyk rozpacz, a Ballestra pojmuje, czytając półgłosem te słowa, że templariusz postradał rozum: – Bóg jest w Piekło. Rozkazuje demonom. Władza potępieńcami. Rozkazuje duchom, które błądzą w mroku. Wszystko jest kłamstwem. Panie! Wszystko, co nam powtarzano, jest kłamstwem!

Archiwista pochyla się, żeby zakończyć przeszukiwanie alkowy Celestyna III. Pozostał w niej już tylko jeden pergamin. W podenerwowaniu rozwiązuje otaczającą go wstęgę. To list wysłany do Watykanu przez Umberta di Brescia, kapitana archiwistów wysłanych do Akry po ewangelię, zaledwie na kilka godzin przed

śmiercią autora.

Ballestra siada po turecku na podłodze i słucha brzmienia własnego głosu w ciemnościach. Czuje się, jakby wędrował przez wieki i słuchał samego Brescii, gdy odczytuje list przed wysłaniem go do Rzymu.

Wasza Świątobliwość!

Po starciu z silnym sztormem na Morzu Egipskim nasze żaglowce przybiły wreszcie do brzegów Ziemi Świętej przed zachodem słońca trzydziestego trzeciego dnia podróży. Opływając

przylądek Hajfa, ujrzeliśmy słupy czarnego dymu wzbijające się nad Akrą, a gdy popiół opadł na nasze żagle, pojęliśmy, skąd pochodzi odrażający smród, który niósł wiatr – to był ludzki tłuszcz podsycający ogniska.

W przesmyku coś uderzało o burtę, wydając dziwne odgłosy. Wychyliliśmy się przez burtę i z przerażeniem odkryliśmy, że statek toruje sobie drogę w oceanie trupów, tak mocno ściśniętych, że trudno było dostrzec taflę wody. W końcu zdołaliśmy wpłynąć do portu w Akrze, nad którą wodami unosiła się mgła. Spowita obłokami dymu forteca wyglądała niczym piekielna twierdza, gdzie demony w zbrojach wciąż wyrzucają za mury zwłoki ludzi. Wobec tego nieokielznanego okrucieństwa wyszeptaliśmy, że Akra zawładnął diabeł.

Stojąc pod murami, zażądaliśmy widzenia z wielkim mistrzem templariuszy, którego uprzedziłeś listownie, Ojciec Święty, o naszym przybyciu. Jeździec ruszył galopem do południowej części miasta, gdzie urządzili swą kwaterę, my zaś musieliśmy czekać przez godzinę na odpowiedź, w której wyznaczono nam spotkanie u stóp fortecy. Robert de Sabie wyszedł do nas na niewielki cypel, z dala od wścibskich oczu. Znałem go z widzenia, wielokrotnie bowiem natykałem się na niego w

Rzymie i Wenecji, dlatego z niepokoiem spoglądałem na jego postarzałą twarz. Początkowo złożyłem to na karb walki i potwornych rzezi, których świadkami byli temp lariusze, gdy jednak wzięłem de Sablego w ramiona i ucałowałem, nie zważając na woń palonych ciał, która przesączyła jego szaty, wyczytałem z jego zaczerwienionych oczu, że być może dopuścił się zbrodni cięższej niż popełnione w tym przedpieklu. Dlatego też odtwarzam niżej kilka fragmentów naszej rozmowy, rękując słowem za wierność zapisu. Zacząłem od pytania:

–Na Chrystusa, Robercie, zaklinam, byś odpowiedział wprost na pytanie, które ci zadam. Czy dopuściłeś się grzechu otwarcia ewangelii, którą rozkazano mi zabrać do Rzymu? A jeśli tak, to czy ta nieostrożność stała się przyczyną szalejącej wokół nieokielznannej nienawiści i obłądu? Jeśli tak jest, Robercie, to czy naprawdę przeczytałeś te stronicę, na których nie powinno spocząć oko człowieka, bo ów człowiek oślepie, a co gorsza, może wyzwolić moce, które go przerastają. Słucham cię. Czy dopuściłeś się czynu o nieodwracalnych skutkach? Zadrżałem, słysząc głos, który wydobył się ust templariusza.

–Uciekaj, nieszczęsny szaleńcze, bo Bóg umarł pod tymi murami.

–Co rzekłeś, nieszczęsny?

–Powiedziałem, że Bóg umarł i ie tu zaczyna się panowanie Bestii. IM i powiedz swojemu papieżowi, ie wszystko jest kłamstwem. Okłamano nas, Umberto. Dusze palą się wiecznym ogniem i to Bóg podsycy ten ogień.

Moi archiwisci zasłonili twarze, gdy nieszczęśnik rozpostarł ramiona, żeby lżyć

Niebiosa, a ja zaklinałem go, aby oddał mi ewangelię i groziłem, że ściągnę inkwizytorów, którzy przegonią diabła z Akry. Wydawał się wzburzony i z pewnością żałował już swych słów. Obiecał, że manuskrypt zostanie dostarczony na pokład naszego statku przed nastaniem nocy. Nie uwierzyłem mu i powróciwszy do kajuty po spotkaniu z nim, piszę ten list, by podzielić się z Waszą Świętobliwością obawami.

Szelest. Ballestra rozwija ostatni pergamin z posłania Brescii.

Wasza Świętobliwość!

Do nocy pozostało jeszcze kilka godzin, będziemy więc czekać, wzmacniając strażę na pokładzie, ciekawi, czy Sabie dotrzyma słowa. Być może jednak, jak się obawiam, wyśle kilku zabójców ze swego zakonu, aby poderżnęli nam gardła, a zwłoki rzucili na płonące w mieście stosy trupów.

Odmawiając pozostawienia przekłętej ewangelii w rekach, które od tego szeszają, powierzam nasz los Bogu, to pismo zaś mojemu najlepszemu gołębiowi, żeby jeśli przyjdzie nam zginąć, Ojciec Święty mógł podjąć nieodzowne kroki i zaprowadzić ład w Akrze, przeganiając z jej świętych murów potwornego demona, który uczynił ją swoją siedzibą.

Dwudziestego sierpnia roku 1191 Krucjaty, Spisane piórem Umberta di Brescia, kawalera archiwisty, wiernego sługi Rzymu.

Na tym kończy się korespondencja z kapitanem. Według raportu sporządzonego tej nocy przez dowódcę garnizonu w Hajfie, wzdłuż wybrzeża dryfował szkuner, który zatonął, zanim wysłane mu na ratunek szalupy dopłynęły do niego. Zamykając oczy, Ballestra bez trudu domyślił się, co wydarzyło się tej nocy. Sabie rzeczywiście postradał rozum, a templariusze w ślad za nim stali się wyznawcami Szatana.

Ballestra spojrział na zegarek, którego wskazówki blado świecą w ciemnościach. Już od ponad czterech godzin szpera w Komnacie Tajemnic, a zostało mu dziesięć alków do przejrzenia. W pośpiechu rozwija pisma i gorączkowo czyta, przyświecając sobie latarką.

Przez całe stulecia po wymordowaniu archiwistów przez templariuszy w Akrze nikt nie słyszał o ewangelii według Szatana. Jest to okres wielkich niepokojów i rozpaczy, gdy krzyżowcy stopniowo tracą zajmowane przez chrześcijan twierdze, ale także czas nieprawdopodobnego bogacenia się

templariuszy, którzy gromadzą bajeczne skarby i wkrótce zaczynają wzbudzać zazdrość i zawiść możnych dłużników. W tym samym okresie templariusze przenikają do Watykanu i zyskują poparcie biskupów i kardynałów znajdujących ohydne kłamstwa, które Sabie wyczytał z ewangelii według Szatana. Utrzymując w tajemnicy swe odstępstwo, ci dostojnicy zaczynają knuć, by przejąć kontrolę nad Kościołem. Rozwijając inne pergaminy, Ballestra z zapartym tchem odkrywa tajemnicę spisku, który ostatecznie doprowadził do klęski wszechwładnego zakonu templariuszy. Szesnastego czerwca 1291 roku, a zatem niemal dokładnie sto lat po zdobyciu Akry przez krzyżowców Ryszarda Lwie Serce, armia egipskiego sułtana Al-Aszrafa ostatecznie odbiła twierdzę. Bitwa trwała przez wiele tygodni i zdarzało się, że templariusze, szpitalnicy i krzyżowcy odkładali na bok dawne waśnie, by ramię w ramię stawać w dwudziestu przeciw tysiącowi, broniąc wyłomów, które muzułmanie robili w murach.

Gdy Akra padła, a po niej oddano Sydon i Bejrut, Ziemia Święta była już utracona. Zakończyły się krucjaty. I wówczas templariusze popełnili błąd, osiadając we Francji, którą rządził ich najzagorzalszy wróg, król Filip IV Piękny, winien im ogromne sumy.

Piątego czerwca 1305 roku obwołany papieżem Klemens V obrał na swą siedzibę Awinion. To przyjaciel króla Francji. Templariusze znaleźli się w potrzasku. List Ojca Świętego z jedenastego sierpnia 1305 roku zapoczątkował szereg śledztw Inkwizycji w sprawie templariuszy podejrzewanych o knowanie z diabłem.

Dwunastego października. W swym pierwszym raporcie inkwizytor Adhémar de Monteil twierdzi, iż templariusze wyparli się Boga i oddają cześć Bafometowi z głową kozła, którego wizerunek noszą potajemnie na medalionach pod tunikami. Monteil utrzymuje, że zakon przeniknął do Watykanu, a jego dostojnicy spotykają się w sekretnych salach swych zamków, przygotowując zamach stanu w Kościele. Co gorsza, raport głosi, że Wielki Mistrz templariuszy, Jacques de Molay, posiada niezwykłą, przeklętą ewangelią, odnaniezoną podczas jednej z

krucjat. Tej księdze zakon miał zawdzięczać swą wielką potęgę i niesamowite bogactwo. Inkwizytorzy przetrząsnęli archiwa z tamtych czasów i w końcu odnaleźli listy wysłane z Akry przez kapitana Umberta di Brescia, na kilka godzin przed rzezią dokonaną przez templariuszy Sablego.

Te doniesienia przesądzają o losie templariuszy. Ludzie papieża i króla Francji spotykają się potajemnie w Szwajcarii, by omówić plan unicestwienia zakonu. Zgodnie z układem król zatrzyma skarb templariuszy w zamian za ewangelię. Po

zawarciu umowy w piątek trzynastego października 1307 roku o świcie wszyscy templariusze na terenie Francji zostali aresztowani i uwięzieni.

Ballestra oświetla alkowę Klemensa V. Pozostały jeszcze cztery zwoje. Wybiera jeden z nich i rozwiązuje wstęgę. Piętnastego października 1307, a więc w dwa dni po aresztowaniu templariuszy, szpiedzy króla Francji przekazali ewangelię emisariuszom Jego Świątobliwości w zamku pod Annecy. Tego samego wieczoru manuskrypt ruszył w górską podróż do klasztoru pustelnic pod wezwaniem Matki Bożej z Cervin.

Kolejny zwój to pilny, tajny list wysłany przez pustelnice pięć dni po przewiezieniu do ich klasztoru ewangelii, opatrzony datą dwudziestego pierwszego października 1307 roku. Pisany w pośpiechu, informuje o odnalezieniu zwłok czterech zakonnic powieszonych w celach oraz piątej, której ciało leżało pod murami. Właśnie te cztery pustelnice upoważniono do otwarcia ewangelii. Piąta to Mahaud de Blois, matka przełożona. Zanim skoczyła w przepaść, rozdrapała sobie paznokciami twarz i własną krwią wypisała na ścianie celi słowa, które Chrystus wykrzyknął tuż przed śmiercią: Boże, mój Boże, dlaczego mnie opuściłeś? Potem wydrapała sobie oczy piórem zanurzonym w atramencie i wyskoczyła przez okno.

Ballestra ociera pot z czoła. Cóż tak wzburzającego wyczytać mogła ta służebnica boża, by zatracić wiarę i wolę życia? Odpowiedź znalazł w przedostatnim dokumencie z alkowy Klemensa V. To pergamin z okresu wyprawy Ryszarda Lwie Serce, odnaleziony przez inkwizytorów w tajnych archiwach templariuszy.

Dokument z dwudziestego siódmego lipca 1191, a zatem cztery dni po złamaniu przez Sablego zakazu czytania manuskryptu, przyprawia Ballestrę o dławienie w gardle – to ten list zawiera klucz do tajemnicy.

Uczniowie, którzy uciekali, zabierając ciało Janusa, uczniowie, którzy byli świadkami wyparcia się Chrystusa, dotarli do góry Hermon, gdzie odkryli grotę tuż pod szczytem. To tam, pośród skał, spisali ewangelię według Szatana. Grotę tę odnaleźli templariusze wysłani przez Sablego na północ Galilei. Tej nocy zajeżdżili konie, pędząc galopem aż do świtu. List, który teraz czyta Ballestra, napisał templariusz Hubertin de Clairvaux. Powiadał Roberta de Sabie, że on i jego ludzie zapuścili się w głąb góry i dotarli do dużej, okrągłej groty, której ściany były pokryte złowieszczymi napisami. Idąc dalej, natrafili na ścianę z gliny i słomy, na której krwią wypisano tytuł Chrystusa w wersji przyjętej przez janusowych czcicieli. Clairvaux pisze, że kazał zburzyć ten mur i gdy jama się otworzyła, buchnął z niej żrący, palący podmuch, który spalił twarze czterech jego ludzi.

Kiedy trucizna się rozproszyła, ci, którzy przeżyli, weszli do części groty oddzielonej przez uczniów odszczepieńca i znaleźli tam grób z granitu, na środku którego ułożono gałęzie. Na tym posłaniu spoczywała ludzka postać owinięta całunem, pod którym widać było kości. Clairvaux opowiada, że templariusze rozpruli całun, aby zobaczyć szkielet. W kościach nadgarstków i kostek pozostały duże, zardzewiałe w kwaśnym powietrzu groty gwoździe. Stawy i kości były powykręcane i połamane. Czaszkę, roztrzaskaną kamieniem, ku przerażeniu templariuszy otaczała wyschnięta cierniowa korona, a jeden z cierni przebił łuk brwiowy umęczonego. Ciało Janusa. Oto, co templariusze Clairvaux odkryli w grocie – niepodważalny dowód na potwierdzenie tego, co Sabie przeczytał w ewangelii. Dowód, który pustelnica Mahaud de Blois wydobyla z archiwów templariuszy. Ballestra zamknął oczy. Cóż ta nieszczęsna

mniszka z epoki średniowiecza, zabobonna i pełna trwogi bożej, mogłaby uznać za większą potworność? Czytając te słowa zapewne nagle straciła wiarę. Ballestra doskonale rozumiał co przeżyła, bo i jego wiara słabła, a umysł wpadł w stan rozchwiania, niczym maszt podczas sztormu. – Bóg jest w Piekło. Włada demonami. Włada potępionymi duszami. Włada duchami, które błąkają się w mroku. Wszystko jest kłamstwem. Boże! Wszystko, co nam mówiono, jest kłamstwem!

Ballestra drży, słysząc, jak wypowiada te słowa. Niemal dokładnie powtórzył je za Robertem de Sabie, który postradał rozum w podziemiach Akry. Po czterech dniach otrzymał list wysłany przez Hubertina de Clairvaux z grot góry Hermon. Z tej smutnej opowieści pozostało zaledwie kilka linijek, wyblakłych pod wpływem czasu. Teraz Ballestra kończył już lekturę. Clairvaux pisał, że gdy członkowie ekspedycji chcieli zabrać kości Janusa, ściany jaskini wypluły tysiące skorpionów i jadowitych pająków, które rzuciły się na bezczeszczących grobowiec. Opowiada o nieludzkim wyciu templariuszy, które długo ścigało go z głębi ziemi, gdy szedł ku światłu, czując, jak przeżera go trucizna.

Znalazłszy się na powietrzu, zebrał resztki sił, by nakreślić tych kilka linijek, które

wsunął do torby. Zaraz potem uderzył konia w nadziei, że ten odnajdzie drogę do Akry. Potem, zrozpaczony tym, co zobaczył, wznosił ostrze miecza, oparł je o żebra i nabił się na nie.

Tak odnaleźli go templariusze z Akry. Na rozkaz Sablego wywołali lawinę kamieni, żeby zamknąć wejście do groty, w której spoczywało ciało Janusa. Potem templariusze przeżyli stulecie krucjat i rzezi, cierpienia i krwi, a jedyną ich pasją było gromadzenie skarbów tak cennych, by przekupić kardynałów uczestniczących w konklawe i osadzić na stolicy Piotrowej swego papieża. Papieża – antychrysta, który zniszczyłby chrześcijaństwo, by panowanie Chrystusa oddać Bestii. Wysłannikowi Janusa.

Ballestra sprawdza baterie dyktafonu, a następnie szepcze do mikrofonu, przeglądając nakazy aresztowań i akty oskarżeń wobec templariuszy, podpisane ręką Klemensa V. Trzynastego października 1307 roku o świcie, gdy trzy tysiące łuczników wyważało drzwi do rozrzuconych po całej Francji siedzib zakonu, szpiegdy króla w Watykanie podcinali gardła tym kardynałom, którzy przyjęli przeklętą religię zakonu. Ocalała tylko garstka odstępców, o których przynależności do templariuszy nikt nie wiedział. Odtąd kardynałowie ci działali potajemnie i założyli bractwo o nazwie Czarny Dym Szatana. Papieże za tamtych czasów opuścili Rzym i przenieśli się do Awinionu, dzięki czemu bractwo mogło rozkwitać w Watykanie.

Ballestra rozwinął zwój z Bergamo i spojrzał na odtworzony przez malarza Klemensa V herb Czarnego Dymu – krwistoczerwony krzyż otoczony przez płomień, których ozory splatają się, tworząc cztery litery przeklętego tytułu Janusa. Aramejski symbol wiecznego potępienia, symbol złodziei dusz. Wyjął jeszcze dwa zwoje z tajnych archiwów templariuszy i zaczął czytać półgłosem do mikrofonu.

Osiemnastego marca 1314 roku. Po przeprowadzeniu procesu, w którym wydano napisany już wcześniej wyrok, Jacques de Molay, ostatni Wielki Mistrz zakonu templariuszy, został skazany na oczyszczający ogień stosu za wycofanie zeznań. Stojąc bez

ruchu w płomieniach, przeklął króla i papieża i wezwał ich, by przed upływem roku stawili się przed sądem Bożym. Nikt nie wziął tej groźby na serio, może poza Klemensem V, który pozostawił po sobie pierwszą przestrożę dla następcy, wykorzystując procedurę papieskiej pieczęci. List opatrzony jest datą jedenastego kwietnia 1314 roku, a Ballestra odnalazł go w alkwie papieża Innocentego VI. Znakomity poprzednik tegoż utrzymuje, że w Watykanie rozrasta się tajna loża, a kardynałowie wyznający kult Szatana spiskują przeciwko Stolicy Apostolskiej. W swym liście Klemens V pisze o aresztowaniu templariuszy, o przeklętej ewangelii, którą odnaleziono w ich klasztorze, a także o klątwie, którą rzucił ze

stosu ostatni Wielki Mistrz Zakonu. Klemens uprzedza, że Czarny Dym Szatana zyskuje w Watykanie wpływy i że w przyszłości papieże muszą zwracać pilną uwagę na oznaki zapowiadające powrót Bestii. Na zakończenie ogłasza wszczęcie wewnętrznego śledztwa, które ma toczyć się przez wieki. Każdy papież winien wzbogacać akta o własne ustalenia i przekazywać je następcy pod tajemnicą pieczęci. Kolejny zwój z dwudziestego kwietnia 1314 roku. Dziewięć dni po wszczęciu śledztwa Klemens V zmarł w Roquemare na tajemniczą i gwałtowną chorobę. Z zapisków kamerlinga wynika, że Ojca Świętego odnaleziono w pośłaniu bez ducha, z szeroko otwartymi oczyma i tajemniczą warstewką pyłu na nozdrzach, przypominającą popiół.

–Panie Jezu...

Przerażony tym, co przeczytał, Ballestra łamie pieczęcie dziesięciu przypadkowo wybranych pism z archiwum papieskiego. W opatrzonym datą jedenastego kwietnia 1835 roku odnajduje listę papieży, którzy odeszli w równie dziwnych okolicznościach – dwudziestu ośmiu z nich odnaleziono w łóżku, z wytrzeszczonymi oczyma, bez

tchu i z warstwą pyłu na nozdrzach.

Poza listą zmarłych także dokument sporządzony przez Grzegorza XVI opisuje podstępne symptomy tej dziwnej, a nawracającej od wieków choroby – chłodna skóra, wytrzeszczone oczy „zmarłego”, a także łączące wszystkich, którzy przyszli złożyć mu ostatni raz hołd wrażenie, że jego dusza nadal jest obecna.

–Boże, błagam, spraw, żeby to nie było prawdą!

Trzy dni po napisaniu tego pisma kamerling Grzegorza XVJ odnalazł go bez tchu, z szeroko otwartymi oczyma i nozdrzami pokrytymi popiołem. On pierwszy wpadł na pomysł, żeby pobrać próbkę tego pyłu i zamknąć ją w hermetycznym pojemniczku, który spoczywa od wieków w cichych archiwach Komnaty Tajemnic.

Ocierając pot, który wystąpił mu na czoło, Ballestra wchodzi do ostatnich alków i rozkłada dokumenty, których coraz więcej poniewiera się po podłodze, bo z wściekłością rzucał je za siebie. W końcu odnajduje to, czego szukał – trzy kartki w szarej kopercie z pieczęcią Piusa X.

Lipiec 1908 roku. Ojciec Święty wznawia śledztwo zapoczątkowane przez Klemensa V i dodaje do listy zamordowanych papieży raport sporządzony w ścisłej tajemnicy przez szwajcarskich lekarzy po przebadaniu próbki pobranej przed stu laty przez kamerlinga Grzegorza XVI. Raport potwierdza, iż owa substancja świadczy o użyciu trucizny o powolnym działaniu, która powoduje pogrążenie ofiary w stanie świadomego letargu przypominającego głęboką śpiączkę. Śpiączkę tak głęboką, że po osłuchaniu osobnika lekarz stwierdzi zgon. To trucizna katalep-tyczna. W ten sposób kardynałowie Czarnego Dymu od setek lat uśmiercają papieży. Ballestra czuje, że jest bliski obłądu. Ilu pogrzebanych żywcem namiestników Piotrowych konało z pragnienia i głodu, patrząc w ciemność szeroko otwartymi oczyma? A gdy działanie trucizny ustawało, ilu żywcem pogrzebanych krzyczało, drapiąc ciężką granitową płytę, która oddzielała ich od świata? Co gorsza – ilu żyjących biedaków pozbawiono wnętrzości, odkąd obrządek pogrzebowy papieży obejmował balsamowanie? Ballestra upuścił latarkę i cofnął się o kilka kroków w mrok Komnaty Tajemnic. Musi za wszelką cenę stąd wyjść i powiadomić kamerlinga, że Czarny Dym Szatana zamierza przejąć kontrolę nad konklawe. Nie, nie kamerlinga, ale raczej redaktora naczelnego „Osservatore Romano”, albo lepiej „Corriere della Sera” czy „La Stampa”, czy któregośkolwiek liczącego się dziennika amerykańskiego, jak „Washington Post” i „New York Times”. Tak, musi to uczynić nawet za cenę ujawnienia światu tajemnicy, która będzie dla Kościoła wyrokiem śmierci. Każde rozwiązanie jest lepsze od dopuszczenia, by członkowie Czarnego Dymu wybrali kogoś ze swoich kardynałów na następcę świętego Piotra.

Ballestra schyla się po dyktafon i latarkę. Czuje owiewające mu kark powietrze. Chce się odwrócić, ale nie zdąża. Obdarzone nadludzką siłą ramię zaciska się na jego szyi, ostrze sztyletu wbija się w plecy, przed oczyma pojawia się oślepiające, białe światło. Gdy ostrze wysuwa się z jego ciała, by ugodzić ponownie, Ballestra szuka modlitwy, by zwrócić się do tego Boga, w którego tak mocno wierzył. Jednak z

niewypowiedzianym bólem stwierdza, że jego wiara umarła, jak umiera on sam. Stary człowiek wydaje chrapliwy jęk, którego echo milknie z wolna pod sklepieniem Komnaty Tajemnic.

Podziemia Bolzano. Ojciec Carzo puszcza rękę Marie, ale biegnie dalej. Ona go woła, wyciąga do niego rękę, ale on się oddala. Marie biegnie najszybciej, jak tylko może, jednak bołą ją nogi, nie ma już siły, zwalnia. Za plecami, coraz bliżej słyszy ziajanie matki Abigail.

Marie krzyczy z przerażenia, kiedy ręce przełożonej chwytają ją za szyję. Palce mniszki wbijają się w jej skórę. Marie osuwa się na kolana. Czuje oddech pustelnicy na twarzy, jej kły na szyi. Ciepły płyn spływa po brodzie szalonej staruchy. Marie próbuje krzyczeć, ale krew zalewa jej płuca i dławi głos. Rzucają się na nią pozostałe pustelnice. Warczą, ujadają, kłają. Pożrą ją. Marie wyciąga rękę w stronę wyjścia z tunelu. W dali ojciec Carzo zgasił właśnie lampę. Odwraca się. Jest uśmiechnięty.

Parks budzi się gwałtownie i szuka ukojenia w szmerze silników. Patrzy na swoje odbicie w okienku. Gdzieś w dole lodowate wody Atlantyku lśnią w poświacie księżycy. Marie spogląda na zegarek. Od ponad siedmiu godzin są w górze i niebo zaczyna się już rozjaśniać – różowa poświata otacza horyzont. Odwraca się do ojca Carzo, który szeroko otwartymi oczyma patrzy w ciemność. Wydaje się, że nawet nie drgnął od chwili startu. Parks zagryza wargi, wracając myślą do koszmaru, którego wspomnienie powoli się zaciera. Przeciąga się.

–A teraz, ojczu, proszę mi dokładnie wyjaśnić, co będziemy robili w Szwajcarii, albo zaraz wyskoczę z samolotu. Carzo otrząsa się, jakby pytanie Parks wyrwało go z głębokiej zadumy.

–Co chce pani wiedzieć?

–Wszystko. Odwraca się i uważnie rozgląda po kabinie. Wtuleni w fotele pasażerowie śpią. Kapłan nieco się odpręża.

–Jak już mówiłem, wysyłano mnie z jednego krańca świata na drugi, żebym badał przypadki opętania mnogiego, które zdawały się towarzyszyć mordom na pustelnicach.

–Przypadki czego?

–Opętania mnogiego. Opętani rozproszeni są po świecie, ale wszyscy przejawiają te same symptomy i wypowiadają dokładnie te same słowa w tym samym czasie, chociaż nigdy się nie spotkali.

–Tak jakby ten sam demon opętał równocześnie wiele osób w różnych rejonach świata?

–Coś w tym rodzaju. Z tym że chodzi o demony siódmej hierarchii – gwardię Szatana. Są to niezwykle rzadkie przypadki opętania, zwłaszcza jeśli dorzucić, że każdemu z tych diabelskich opętań odpowiadał przypadek osoby, która zdawała się być natchniona przez anioła, ducha bożego przemawiającego jej ustami, gdy jej ciało było na pozór pogrążone w głębokim śnie. Te przypadki cudownego natchnienia objawiały się dodatkowo stygmatami Męki Pańskiej – ranami na rękach, stopach i w boku, a także ranami na czole, potylicy i łuku brwiowym, od cierni. Takie przejawy my, egzorcyści, nazywamy przypadkami obecności.

–Są częste?

–Po raz ostami Kościół odnotował takie zjawisko w styczniu 1348 roku w Wenecji.

Ciało małej dziewczynki zwanej Toscana nagle pokryło się stygmatami Męki Pańskiej. Niskim, nabrzmałym łzami głosem Toscana obwieściła rychły wybuch epidemii dżumy. Mówiono, że nad jej udręczonym ciałem unosił się zapach róż. Także po tym rozróżniamy opętanie od obecności

–istoty ogarnięte obecnością rozciągają woń róż, oddech opętanych pachnie fiołkami. Po chwili milczenia Parks pyta:

–Czy to przypadki opętania każą ojcu wierzyć w rychłe spełnienie przepowiedni Kościoła?

–Prawdę mówiąc, wiemy, że ta przepowiednia właśnie się spełnia i że trzeba za wszelką cenę zapobiec jej zniszczeniu. Żeby jednak powstrzymać ten proces, najpierw musimy zrozumieć jego istotę. Dlatego trzeba koniecznie odnaleźć ewangelię według Szatana.

–A co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

–Odkryła pani tajemnice, których nie powinna pani posiadać, agentko specjalna Marie Parks. Niewielu było takich, którzy przeżyli godzinę, wiedząc to, co pani wie.

–Gdyby mi ojciec nie pomógł, już bym nie żyła.

–Być może. Ale i tak powinna pani umrzeć na długo przed dotarciem do klasztoru pustelnic. To odwaga, którą łączę z pani uporem. A także z pani darem.

–Słucham?!

–Widzi pani rzeczy, których inni nie mogą zobaczyć. Dlatego zaszła pani tak daleko tropem złodziei dusz. I dlatego Kaleb pani nie zabił, kiedy znalazła się pani w jego mocy w tej ciemnej krypcie.

Parks skoncentrowała się, aby nie okazać zdenerwowania, gdy egzorcysta czytał w niej jak z otwartej księgi.

–Skąd ojciec wie to wszystko?

–Kościół to wyjątkowo dobrze poinformowana instytucja.

–Co jeszcze ojciec wie?

–Prawie wszystko.

–To znaczy?

–Wiem, że pracuje pani w wydziale profilowania FBI, w departamencie cross-killerów. Wiem, że jest pani najlepsza w tropieniu wędrownych morderców. Wchodzi pani w ich skórę, zawłaszcza sobie ich mentalność, staje się pani swoim poszukiwanym.

Agentka wypła łyk wody, żeby uwolnić się od duszącego kłęбка, który rósł jej w gardle.

–Co jeszcze?

–Wiem, że widuje pani zmarłych i łyka pigułki nasenne, żeby się przespać. Wiem też, że miała pani poważny wypadek, po którym przez wiele miesięcy leżała pani w śpiączce. Wizje zaczęły się po tym szoku.

–Reaktywny syndrom medium. To wszystko?

–To wystarczy, żeby odnaleźć ewangelię, zanim dotrą do niej kardynałowie z Czarnego Dymu.

–Nadal nie wiem, jak mogłabym ojcu pomóc.

–Podejmiemy śledztwo Thomasa Landegaarda, aby ustalić, co wydarzyło się w lutowy dzień 1348 roku, kiedy ewangelia zaginęła.

–Tego inkwizytora, któremu papież zlecił śledztwo w sprawie śmierci pustelnic z Cervin?

–Wtedy wszystko się zaczęło. Dlatego musimy zacząć od tego punktu.

–Jak zamierza się ojciec do tego zabrać?

–Używając pani daru oraz mojego. Zahipnotyzuję panią, aby weszła pani w skórę Landegaarda.

Milczenie. Parks stara się powiązać docierające do niej informacje.

–Powiedział ojciec, że Kaleb nie zabił mnie w krypcie ze względu na, jak to ojciec nazwał, mój dar.

–Oczywiście, w przeciwnym razie nie siedziałaby tu pani teraz.

–Dobrze, ale skoro nie chciał mnie skrzywdzić, to po kiego diabła zadał sobie tyle trudu, żeby mnie ukrzyżować?

–To była tylko inscenizacja. Kaleb zamordował pani przyjaciółkę Rachel wyłącznie po to, żeby wywabić panią z lasu, a raczej wciągnąć do lasu. Gdyby nie to, nie ryzykowałby, odpowiadając na ogłoszenie, które ta biedna dziewczyna zamieściła w hattiesburskiej gazecie w przededniu śmierci.

–Twierdzi ojciec, że Kaleb wiedział, że policja jest na jego tropie?

–On nie rozumuje w takich kategoriach. Powiedzmy raczej, że wyczuł pani obecność i wiedział, że ruszy pani w pościg za nim.

–To jakieś brednie!

–Niestety nie, Marie. Kaleb wiedział, że pani i tylko pani ma moc odnalezienia go w ciągu kilku godzin tam, gdzie zwykli policjanci przez kilka tygodni przetrząsaliby las. I dlatego pani nie zamordował. Żeby panią zmusić do pójścia tropem pustelnic aż do ewangelii według Szatana. Pani jedna ma moc, by ją odnaleźć. I Kaleb o tym wie.

–Chce ojciec powiedzieć, że to jedyny powód mojej obecności w tym samolocie? Odnalezienie przekłętego manuskryptu zagubionego przez Kościół w mrocznej epoce średniowiecza? Ależ ojcie, ja już nawet nie pamiętam, którą ręką robi się znak krzyża!

–Słyszała pani może, że Trzej Królowie zostali opłaceni przez Heroda i mieli zamordować Jezusa?

–Co z tego?

–Bóg sam doprowadził ich do żłóbka, w którym leżał jego nowo narodzony Syn, żeby się nawrócili. Mógł pozwolić, by skonali z pragnienia na pustyni albo żeby ich rozszarpały bezpańskie psy. A jednak On poprowadził ich do Jezusa, żeby się pokajali i zdradzili Heroda.

o czego ojciec zmierza? – Do stwierdzenia, że niezbadane są ścieżki boże, moje dziecko. I że posługiwanie się złoczyńcami dla realizacji celu jest sztuką, którą ten niezwykle starzec ceni sobie nade wszystko.

Watykan, siódma rano

Kłęcząc w bazylice, kardynałowie w ciszy patrzyli na zwłoki monsignore Ballestry, ukrzyżowanego między marmurowymi kolumnami grobu świętego Piotra, na dębowym krzyżu, który morderca wznosił, używając lin. Ręce i stopy archiwisty były przebite długimi gwoździami. Strugi krwi sączyły się jeszcze z ran i z poderżniętego gardła. Zabójstwa dokonano więc niedawno.

Nieszczęśnika odnalazła zmiana wart, która zobaczyła kałużę krwi u stóp ołtarza. Dowódca gwardii szwajcarskiej polecił obudzić papieskiego kamerlinga Campiniego. Ten polecił wezwać Camano, a potem telefony rozdzwoniły się w całym Watykanie i ściągnięto prefektów dziesięciu kongregacji. Szwajcarzy zdjęli ciało z krzyża, a kardynałowie otoczyli kręgiem leżące na posadzce zwłoki Ballestry. Przyklękawszy, Camano pochylił się nad zwłokami i zwrócił się bezpośrednio do dowódcy gwardii, olbrzyma o twarzy doga i zimnych oczach.

–Zabito go tutaj?

–Nie znaleźliśmy śladów krwi poza kałużą pod krzyżem. Wiemy tylko, że strażę przy drzwiach archiwum widziały monsignore Ballestrę, gdy wchodził tam około wpół do drugiej w nocy. Nie wyszedł już z sal.

–A zatem tam go zamordowano?

–Tak sądzimy, jednak w sali archiwum nie odnaleźliśmy żadnych śladów – ani krwi, ani niczego, co wskazywałoby na walkę.

Wciąż wstrząśnięty, Camano dotknął opuszkami palców powiek Ballestry. Są dziwnie zwiotczałe, więc unosi je delikatnie. Cienkie strużki krwi spłynęły po białych jak papier skroniach zmarłego. Z ust kardynałów wyrzywa się jęk zgrozy, gdy Camano pochyła się, oglądając puste oczodoły. W ten sposób Inkwizycja karała w średniowieczu tych, którzy popełnili zbrodnię, czytając zakazane teksty.

Kardynał Camano położył rękę na brodzie Ballestry, by otworzyć jego zaciśnięte szczęki. Gardło archiwisty pełne było zakrzepłej krwi; Camano skierował światło latarki na usta, zobaczył, że język zamordowanego został obcięty u nasady. Ballestra jeszcze żył, kiedy zabójca go obcinał, zadając mu karę zarezerwowaną dla tych, którzy bezprawnie posiadli sekret, aby nie mogli go zdradzić. Wszystko wskazuje, że sposób działania mordercy jest zgodny z rytuałem Świętej Inkwizycji. A zatem musi on być duchownym lub historykiem wieków średnich. Najprawdopodobniej – jednym i drugim. Kardynał wytarł palce o sutannę Ballestry i westchnął.

–Gdzie został zabity?

–Nie sposób ustalić, Eminencjo. Wydaje się, że ciało przeniesiono, a nie przywleczono z miejsca zbrodni.

–I morderca nie pozostawił za sobą śladu krwi ani nie został schwytany przez pańskich gwardzistów, gdy szedł z trupem na plecach przez plac Świętego Piotra?

Dowódca gwardii szwajcarskiej bezradnie rozłożył ręce. Teraz Camano ogląda sandały Ballestry. Wilgotna ziemia i bardzo drobne kamyki wypełniają nacięcia na podszwach.

–Czy ktoś wie, czy w nocy padało?

Dowódca szwajcarów kręci głową. Kontynuując oględziny, Camano dostrzegł, że na sutannie archiwisty pozostały smugi kurzu. Przeczesuje ręką włosy ofiary i patrzy w świetle lampy na swoje palce: to tynk i stare pajęczyny, jakby Ballestra szedł przez piwnice, zanim spotkała go śmierć. Camano pochyla się i wyczuwa dziwną woń spalonego mięsa, która unosi się nad zwłokami. Kardynałów przebiega dreszcz, gdy rozsuwa sutannę Ballestry. Tors archiwisty jest zwęglony, a zabójca wypalił na nim żelazem cztery litery INRI. Dowódca szwajcarów głośno tuma[^] czy te znaki w półmroku bazyliki:

–Ten jest Jezus, Król Żydowski.

–Nie. Ten jest Janus, Król Piekieł. Prostując się i patrząc kolejno na wszystkich kardynałów[^] Camano dodaje:

–A to oznacza, szacowne Eminencje, że Czarny Dym Szatana znów spowija świat i że jego członkowie uczynią wszystko, żeby zdominować konklawe. A chcecie usłyszeć coś bardziej pikantnego? Szmer wypełnia świątynię.

–Najbardziej pikantne jest to, że najpotężniejsi watykańscy kardynałowie są tu obecni i słyszą moje słowa. Idę o zakład, że przynajmniej jeden członek owego Czarnego Dymu także mnie słucha.

–Co Wasza Eminencja proponuje?

–Ponieważ kardynałowie uczestniczący w konklawe są już w Watykanie, proponuję zrezygnować z okresu oczekiwania i zwołać konklawe natychmiast po pogrzebie Ojca Świętego.

–Czy postępując tak, nie spełniamy oczekiwań wroga?

–Wydaje mi się, że naszą jedyną szansą na przejęcie kontroli nad konklawe jest zmuszenie członków Czarnego Dymu do szybszego, niż się spodziewali, wyłożenia kart na stół. A to może spowodować, że popełnią błąd i zdemaskują się. Poza tym, jeżeli zjednoczymy głosy i w ciągu kilku godzin wybierzemy godnego zaufania papieża, Czarny Dym przegra tę partię. Po chwili milczenia kamerling papieski, Campini, zapytał z wahaniem:

–A w sprawie Ballestry? Czy należy powiadomić karabinierów?

–Rzymską policję? A może FBI, skoro już mamy mieszać w to cały świat! Konklawe wkrótce się zacznie, bramy Watykanu zostaną zamknięte. Będziemy musieli załatwić tę sprawę sami.

Czy wyrażam się dość jasno, panowie? Ani słowa o tym, co tu widzieliście. A co do pana, komendancie, proszę dopilnować swoich szwajcarów albo otworzę ambasadę w Teheranie wyłącznie po to, żeby mieć was dokąd wysłać, i to z największą przyjemnością.

–Takie tajemnice powodują zwykle, że trup ściele się gęsto, Eminencjo.

Kardynałowie aż podskoczyli, słysząc kobiecy głos. Rozwścieczony Camano skierował strumień światła latarki na postać, która szła środkiem nawy głównej, stukając obcasami. Ujrzał smukłą, wysoką brunetkę ubraną w czarną garsonkę i biały

plaszcz. Za jej plecami w bazylice ustawilo się czterech karabinierów i kilku policjantów w cywilu. Kim pani jest i czego pani chce?

–Komisarz Valentina Graziano, Wasza Eminencjo. Miałam rozkaz zapewnić bezpieczeństwo waszym owieczkom. Sądzę, że obecni tu rozumieją, że morderstwa, które usiłujecie zakamuflować, nie skończą, się na tym nieszczęśniku.

–Przykro mi, moje dziecko, ale choć jest pani rzymianką i komisarzem, to Watykan pozostanie niezawisłym państwem, a pani nie wolno tu wkraczać bez pisemnej zgody Ojca Świętego.

–Dziś, gdy świat oplakuje Jego Świątobliwość, ten dokument trudno byłoby zdobyć. Będziemy więc musieli jakoś się bez niego obejść.

Podchodząc do kobiety, aby nie dopuścić jej do zwłok, Camano poczuł woń perfum, którą roztacza pani komisarz.

–Nie zrozumiała mnie pani. Ta zbrodnia jest sprawą we wewnętrzną, podlegającą wyłącznie jurysdykcji niezależnego państwa, jakim jest Watykan. Dlatego też proszę, aby niezwłocznie opuściła pani to miejsce.

–To Wasza Eminencja nie rozumiał. Wasze dostojne trybunały są właściwe do unieważniania małżeństw i rozpatrywania spraw o naruszenie dogmatów, ale w żadnym razie do spraw kryminalnych. Oto moja propozycja: jeżeli zgodzicie się na współpracę z władzami włoskimi, gwarantuję zachowanie pełnej dyskrecji.

–A jeśli odmówię?

Flesze strzelają, gdy policyjni specjaliści dokonują wstępnych oględzin i fotografują zwłoki.

–Jeżeli Eminencja odmówi, zdjęcia martwego monsignore Ballestry pojawią się jutro na tytułowych stronach gazet całego świata. I wszyscy poznają długą listę zamordowanych pustelnic, chociaż Watykan od kilku tygodni stara się wyciszyć tę sprawę.

–To ohydny szantaż, pani Graziano. Zapewniam panią, że powiadomię o tym pani przełożonych. Kobieta westchnęła.

–Eminencjo, proszę okazać mi odrobinę życzliwości i zwracać się do mnie po imieniu.

Odwrócona do okienka Parks wpatruje się w ocean, którego fale odcinają się w półmroku. Kry i ogromne lodowce dryfują pośród szarych wód. Nagle grzywy fal jakby zastygły zmrożone i Marie dostrzegła w dali postrzępione wybrzeża Grenlandii. Patrzy na zegarek. Jeszcze cztery godziny lotu. Potem czeka ją nieznane, spacer w stronę Piekła śladami pustelnicy, która zmarła w średniowieczu.

Parks drgnęła. Myśląc o tej zimnej drodze bez powrotu, która ją czeka, przypomina sobie kolację z przyjaciółmi w pewnej restauracji, kiedy to zgodziła się, żeby Cyganka przepowiedziała jej przyszłość. Wydawało się jej, że całkiem zapomniała o tym epizodzie. Działo się to na miesiąc przed wypadkiem. Deszcz odraży przebiegł jej skórę, kiedy szponiaste palce wróżki zamknęły się na jej dłoni. Przyjaciele przez chwilę dowcipkowali, a potem uśmiech zamarł na ustach Marie, gdy poczuła, że Cyganka coraz mocniej ściska jej rękę. Kiedy podniosła wzrok, dostrzegła przerażenie w oczach wróżki. Śmiech przyjaciół ucichł i zapadła grobowa cisza.

A potem Cyganka wywróciła oczy i zaczęła szczekać zębami. „Boże, ta kobieta ma atak padaczki”, pomyślała Marie, gdy Cyganka runęła na podłogę.

Parks wpatruje się w odchodzącą noc. W tydzień po tej kolacji Cygance udało się do niej zadzwonić. Wymknęła się pielę-

niarzem z oddziału psychiatrycznego, na który trafiła. Marie zapytała, co jej się stało tamtego wieczoru. Po długim wahaniu kobieta odparła, że zobaczyła pięć ukrzyżowanych ciał w krypcie. I znowu zapadła cisza. Potem głos Cyganki znów rozległ się w słuchawce. Była przerażona.

–Proszę uważnie słuchać. Mam mało czasu. Zbliżają się złodzieje dusz. Szukają pani. Zginą cztery kobiety. Pani będzie prowadziła śledztwo. Nie wolno pani zapuszczać się do lasu. Słyszysz pani? Proszę absolutnie nie wchodzić do lasu!

–Dlaczego?

–Bo ta piąta ukrzyżowana to pani.

Parks otarła łzę. Kilka dni potem ta biedaczka odebrała sobie życie. Zostawiła zeszyt pełen rysunków ukazujących tę wizję – stare ukrzyżowane kobiety, rozkopane groby, lasy krzyży. I wiele szkiców fortecy na szczycie góry – klasztor. Klasztor pustelnic z Cervin.

Marie zamknęła oczy. Ojciec Carzo miał rację – porywając cztery zaginione z Hattiesburga i porzucając ich ubrania na skraju lasu, Kaleb wiedział, że to do niej zadzwoni tej nocy szeryf Bannerman. Dlatego zamordował Rachel. Zmęczona tymi wspomnieniami Parks zasnęła. Kiedy obudziła się po kilku godzinach, samolot przelatywał nad Alpami.

CZĘŚĆ ÓSMA

128

Wenecja, godzina trzynasta

Ubrani w peleryny, ze srebrnymi maskami na twarzach, przybili do nabrzeża przed palazzo Canistro na pokładach kutrów, których przyciemnione okna odbijały niespokojne wody laguny. Aby nie zwracać na siebie uwagi, przyплыwali kolejno, w różnych odstępach czasu i różnymi łodziami. Nie znali się, nigdy się nie widywali, nie słyszeli brzmienia głosu swoich towarzyszy.

Wybrali Wenecję, bo karnawał był w pełni, więc nikogo nie dziwiło siedmiu ludzi w czarnych pelerynach w tłumie sukien i masek, od których zaroilo się na uliczkach i mostach, wśród tańczących do białego rana na setkach balów. Gdy szli po nabrzeżu w kostiumach z dawnych epok, nikt się nie domyślał, że to siedmiu spośród najbardziej wpływowych kardynałów świata chrześcijańskiego. Po ogłoszeniu soboru opuścili swe biskupstwa na końcu świata – w Australii, Brazylii, Afryce Południowej i Kanadzie. Gdy spotykają się w największych pałacach albo dyskretnych dworkach, a czynią to jeden raz w roku, nikt nie może się domyślać powodu ich obecności w wybranym w ostatniej chwili miejscu. I dlatego podróżują incognito, a na miejsce przybywają zamaskowani, z aparaturą zniekształcającą głos. Tak odbywają się tajne spotkania zakonu. Toteż nie znają się wzajemnie i nie próbują

się poznać. Stawką jest przetrwanie Czarnego Dymu Szatana. Lokaje zaprowadzili ich do zaciszego salonu, gdzie czeka przygotowany posiłek. Tam, nie odzywając się do siebie ani słowem, duchowni zasiedli w wygodnych fotelach, pomiędzy którymi krążyli dyskretnie kelnerzy.

Godzinę po nich na miejsce przybywa Wielki Mistrz Czarnego Dymu Szatana. Wysiada z szybkiej łodzi, która czeka z włączonym silnikiem. Czterech szwajcarów w kostiumach arlekina wysuwa mostek i czuwa, obserwując okolicę, dopóki mistrz nie przekroczy progów palazzo. Szambelani eskortują go do sali tajemnic, dokąd przeszli kardynałowie na wieść o jego przybyciu. Milkną szepty. Wszyscy wstają i kłaniają się nowo przybyłemu, a następnie zasiadają przy kwadratowym stole nakrytym przez lokajów do kolacji. Zebrani w milczeniu zjadają przepiórki w winie i ciasta ułożone na paterach. Gdy Wielki Mistrz uzna, że dość już zjedli, potrząsa srebrnym dzwoneczkiem. Wszyscy odstawiają kielichy wina, cichnie szcęk sztucców.

Wielki Mistrz chrząka i mówi, używając elektronicznego urządzenia zamontowanego w masce zniekształcającego głos.

–Umiłowani bracia, zbliża się godzina, gdy papież Czarnego Dymu Szatana zasiądzie wreszcie na tronie świętego Piotra. Szmer przebiegł zgromadzenie, zamaskowani mężczyźni z satysfakcją kiwają głowami.

–Jednak przedtem musimy przejąć kontrolę nad konklawe, które zacznie się dziś wieczorem. Do tej operacji przygotowaliśmy się od dawna, mnożąc pożyteczne nominacje i kosztowne prezenty. Większość kardynałów obojętnie odnosi się do tych pochlebstw. Stare sutanny wierne uzurpatorowi nie mogą w żadnym razie wziąć góry w głosowaniu. W pokojach hotelowych znajdziecie adresy ich krewnych i bliskich

przyjaciół. Natychmiast przekazacie je swoim ludziom, żeby mogli wyrzucić stosowną presję. Postaramy się, aby zainteresowani kardynałowie dowiedzieli się, że los ich bliskich zależy od głosowania.

–A ci, którzy nie mają rodzin? – zapytał kardynał o nosowym głosie.

–Takich jest najwyżej trzech czy czterech. Musimy się postarać, żeby nie mogli uczestniczyć w konklawe.

–Czy tyle ataków serca nie wzbudzi podejrzeń?

–Wrogowie wiedzą o naszym istnieniu, ale nie znają naszej tożsamości.

Wyzyskamy ich przerażenie i żal, aby osiągnąć cel. Kardynałowie zastanawiają się nad tym, co usłyszeli. Po chwili Wielki Mistrz podejmuje.

–I jeszcze coś. Tej nocy prefekt tajnego archiwum watykańskiego zdołał wejść do Komnaty Tajemnic. Obawiamy się, że nas przejrzał, musieliśmy więc polecić, by go zamordowano, a następnie ukrzyżowano jego zwłoki w bazylice.

–Czy nie byłoby lepiej, żeby zniknęły?

–Chodzi o strach, umiłowani bracia. Strach jest naszym najlepszym sprzymierzeńcem, a widok tego wykrwawionego durnia wzbudził go w sercach naszych wrogów. Teraz wiedzą, że potrafimy uderzać nawet w samym Watykanie. Pozostaje jednak główny problem – naszej ewangelii, którą musimy odnaleźć, zanim uczyni to wróg. Wiemy, że do Europy przyleciał egzorcysta z Kongregacji Cudów i że towarzyszy mu ta agentka FBI... Jak ona się nazywa?

–Marie Parks, Wielki Mistrzu. Odkryła wiele tajemnic w klasztorze pustelnic w Denver. To jeszcze jedno poważne zagrożenie dla naszego zakonu.

–Ten problem był nieunikniony. Pamiętajcie, że teraz ona jest naszą jedyną szansą na dotarcie do ewangelii. Musimy więc skoncentrować się na ojcu Carzo i tej Parks. Czuwajcie, żeby nic im się nie stało, dopóki nie odnajdą ewangelii.

–Co potem?

–Potem będzie już za późno. Cisza.

–Jeszcze jedno, zanim się rozstaniemy. Jeden z kielichów, z których dziś piliście, zawierał śmiertelną dawkę trucizny, którą przez wieki posługiwało się nasze bractwo. To kielich Judasza. Po tych słowach rozległy się pełne przerażenia okrzyki, a przy końcu stołu jeden z kardynałów chwycił się za gardło charcząc.

–Armondo Valdez, kardynale arcybiskupie Sao Paulo, oskarżam cię o zdradę wobec Czarnego Dymu. To ty wyjawiałeś ojcu Jacomino, jezucie, informacje o Komnacie Tajemnic. Czyniąc to, postąpiłeś nie tylko jak zdrajca, ale i jak głupiec. Przez ciebie będziemy musieli teraz zdobyć siłą to, co chcieliśmy osiągnąć podstępem.

Kardynał Valdez zdołał wstać i zerwać maskę, odsłaniając wykrzywioną z bólu twarz. Potem z ust buchnęła mu czarna krew i runął na ziemię. Jego nogi drgały, ale mózg już nie żył.

Parks i ojciec Carzo wynajęli wóz terenowy i mszyli w kierunku Zermatt Z każdym kolejnym pokonywanym zakrętem Marie miała coraz silniejsze wrażenie, że zimna, przytłaczająca masa Matterhornu miażdży horyzont Zwróciła oczy na kapłana, ten jednak wyglądał na zatroskanego i smutnego. Gdy przed godziną wysiedli z samolotu na lotnisku w Genewie, podszedł do kabiny telefonicznej, mówiąc, że ktoś z Watykanu ma mu przekazać niezwykle istotne informacje. Parks obserwowała, jak wybiera numer i puka palcami w szybę, czekając, aż ten ktoś podniesie słuchawkę. Potem widziała, jak zmienia się wyraz jego twarzy, a kiedy wyszedł, zrozumiała, że stracił przyjaciela. Zermutl. Pozostawiwszy samochód na pustym parkingu u podnóża szlaków, Parks i Carzo ruszyli ścieżką mułów, która pnie się po zboczach Cervin. Dzień jest pochmurny i szczyty gór znikają w coraz gęstszych kłębach mgły. Podeszwy piechurów skrzypią na drobnych kamieniach. Zadyszana Parks otwiera usta, żeby oznajmić, że nie przejdzie już nawet metra, ale w tej samej chwili Carzo przystaje i pokazując palcem punkt we mgle, oznajmia:

–To tam.

Marie podnosi głowę. Na próżno wpatruje się w ścianę, widzi tylko szare, zimne skały.

–Jest ojciec pewien?

Skinienie głowy. Mrużąc oczy, Marie dostrzega w końcu stare mury, odcinające się od skał. Ogarniając wzrokiem resztę zbocza, stwierdza, że z oblodzonych ścian nie wystają żadne uchwyty. Ciężko wzdycha, a para z jej ust momentalnie zamarza.

–Od jak dawna klasztor jest opuszczony?

–Nikt tu nie mieszka od rzezi pustelnic. Tylko siostry trapistki znalazły tu schronienie po wybuchu drugiej wojny światowej.

–Ale tu nie zostały?

–Pod koniec wojny oddział armii amerykańskiej wysadził wrota klasztoru.

Wewnątrz żołnierze odnaleźli ciała zakonnic. Jedne były straszliwie okaleczone, inne powieszono. Uznano, że biedaczki wzajemnie się pozabijały, a ogarnięte szaleństwem pozostałe przy życiu jadły ciała ofiar i w końcu popełniły samobójstwo.

–Zupełnie jak pustelnice ze Świętego Krzyża? Egzorcysta nie odpowiedział.

–Dobra, dzięki za podniesienie na duchu. Jak się tam wdrapiemy?

–Tędy.

Idąc wzdłuż ściany, natrafiają na stalowe poręcze. Metal parzy ich dłonie, gdy wchodzą na szczyt.

Po lodzie Carzo i Parks przechodzą nad przyprawiającą o zawrót głowy przepaścią i, niemal ocierając się o mur, odnajdują wyłom, przez który można precyzyjnie się bokiem. Kiedy Parks wsuwa się w szczelinę w ślad za egzorcystą, wyjący w górach wiatr jakby się oddala. Za murem mroźne powietrze jest nieruchome.

Wysłuchana w odgłos własnych kroków na kamiennych płytach, Parks zamyka oczy i wdycha zapach wilgotnej ziemi i kurzu, wypełniający korytarz. I jeszcze woń skóry. Tak, wyraźnie dominuje tu zapach skóry, jakby ukrywane od wieków zakazane

manuskrypty przesączały swą wonią mury klasztoru. Pamięć kamieni. Parks skupia uwagę na pochodni, którą zapalił ojciec Carzo. Płomień trzeszczy w podmuchach powietrza, jakby gdzieś na górze otworzyły się drzwi.

Idą teraz szerokim, łagodnie wznoszącym korytarzem. Wpatrując się w sufit, Parks dostrzega niezliczone pomarańczowe kulki, które pochodnia zdaje się rozpalać na ich drodze. Szelest skrzydeł. Ostry pisk rozlega się w tunelu. Ultradźwięki.

–Na Boga, Carzo, niech ojciec natychmiast zgasi tę cholerną pochodnię!

Egzorcysta odruchowo przystaje i podnosi pochodnię. Początkowo światło zdaje się niknąć w gęstym listowiu porastającym sufit i ściany, potem ta gęstwa zaczyna wściekle łopotać w

powietrzu, niczym las skrzydeł i najeżonych kłami paszczy.

–Panie Jezu Wszechmogący i Miłosierny, niech pani zakryje twarz i biegnie ile sił w nogach!

Sufit i ściany zdają się walić, gdy nietoperze rozpościerają skrzydła. Ojciec Carzo wymachuje pochodnią, torując sobie drogę. Odurzona smrodem spalenizny, który wypełnia tunel, Parks chwyta za sutannę egzorcysty, czując pazury wpijające się jej we włosy. Przerażona, wyciąga pistolet i oddaje trzy strzały w skrzydlatą bestię. Trzy krótkie detonacje niemal ją ogłuszają, a martwe zwierzę spada jej na kark.

–Nie zatrzymuj się albo będzie po nas!

Parks czuje ogarniającą ją wściekłość. Nie ma najmniejszej ochoty skończyć tu, pożarta żywcem przez wampiry, które ogryzłyby ją do kości. Posłuszna krzykowi Carza, wrzeszczy gniewnie i ze wszystkich sił popycha kapłana do przodu.

Rzym, godzina czternasta

Komisarz Valentina Graziano zamyka drzwi pokoju monsignore Ballestry. W powietrzu unosi się zapach wody kolońskiej starszego pana. Z tego, co widać w mroku, całe umeblowanie to szerokie łóżko z czerwoną tapicerką, nad nim krucyfiks ozdobiony suchymi gałęziami, a na prawo od łóżka ciężka szafa z drewna wiśniowego i taki sam niski stolik. Jest jeszcze łazienka oddzielona zasłoną. Na biurku stos dokumentów, komputer i drukarka.

Z raportu nocnych wart wynika, że Ballestra przestąpił progi archiwum około wpół do drugiej w nocy. Osobliwa pora na pracę. „Bez przesady”, skwitował w bazylice kardynał Camano, dodając, że Ballestra cierpiał na bezsenność i często zdarzało mu się wykorzystywać noc na nadrobienie zaległości w pracy. Valentina pokiwała głową, pozwalając kardynałowi wierzyć, że jest aż tak naiwna. Kiedy już wyszła ze świątyni, połączyła się z komisariatem głównym i poprosiła o przesłanie tej listy numerów, z których telefonowano do archiwisty, a także wybieranych przez niego między dwudziestą pierwszą a pierwszą w nocy. Jej szef, Pazzi, z którym rozmawiała, o mało się nie udławił.

–A może wolisz, żebym od razu dał ci nasłuch z Białego Domu?

–Muszę się tylko dowiedzieć, czy ofiara odbyła jakieś rozmowy w ciągu kilku godzin przed śmiercią. Mam gdzieś, czy ofiara była kardynałem, astronauta czy kanadyjskim drwalem.

–Valentina, wysłałem cię tam, żebyś zadbała o bezpieczeństwo uczestników konklawe, a nie żebyś mąciła jak w Mediolanie i Trewirze.

–Guido, gdybyś naprawdę chciał, żeby obyło się bez zamieszania, wysłałbyś tam każdego, tylko nie mnie.

–Tylko uważaj na siebie. Tym razem śledztwo nie dotyczy sędziów ani skorumpowanych polityków. Pamiętaj, do cholery, że jesteś w Watykanie! Bądź uprzejma dla duchownych i żegnaj się, przechodząc przed ołtarzem, albo przeniosę cię do Scorta Palermo, żebyś zapewniała ochronę skruszonym ojcom chrzestnym.

–Nie bądź wulgarny i wyślij mi ten billing.

–Zawracasz mi głowę, Valentina. A przede wszystkim, skąd wiesz, że to to?

–Co?

–Morderstwo.

–Tylko wyjątkowo zdesperowany samobójca przybiłby się sam do krzyża, dwanaście metrów nad ziemią, przedtem podrzynając sobie gardło i wykluwając oczy. Co o tym sądzisz?

–OK, zaraz ci to wyślę, jeżeli obiecasz, że będziesz grzeczna. Po dziesięciu minutach Valentina dostaje SMS-em listę rozmów, które Ballestra odbył w ciągu kilku godzin przed śmiercią. Pierwsze i najliczniejsze były te pomiędzy dziewiątą a dziesiątą wieczorem. Głównie wewnętrzne rozmowy z Watykanem, kilka z Rzymu i wielu włoskich oraz europejskich miast. Było to zupełnie normalne w niespokojnym okresie po śmierci papieża. Sześć rozmów między dziesiątą a jedenastą i długo nic. Dwie minuty po pierwszej. Ten telefon z lotniska międzynarodowego w Denver

obudził archiwistę w środku nocy. Valentina doszła

do tego wniosku, sprawdzając, na którą Ballestra ustawił budzik. Zamierzał wstać o piątej, a zatem starszy pan był rannym ptaszkiem, i zapewne nie cierpiał na bezsenność. Pani komisarz rozgląda się, szukając śladów, jakie przed wyjściem z pokoju zostawił Ballestra. Pościel była w nieładzie, piżama poniewierała się obok kapci, które rzucił w pośpiechu. Wskoczył szybko w sutannę, włożył sandały. Dotknęła ręką wnętrza umywalki. Ani śladu wilgoci. Suche były także kran i szczoteczka do zębów, po której włosiu powiodła palcem. Podniosła ciężki szklany flakonik i powąchała – woda kolońska o zapachu ambry, ta, którą poczuła, wchodząc do pokoju. Monsignore Ballestra znalazł jednak chwilę, by skropić się ulubioną wodą. Potem wyszedł, zapominając zamknąć flakonik.

Zauważyła leżący na stole telefon bezprzewodowy. Przysiadła na brzegu łóżka i wcisnęła przycisk automatycznego wybierania ostatniego numeru: 789-907. Ten sam zamykał listę przekazaną przez Pazziego. To połączenie wewnętrzne – wykonano je o wpół do szóstej rano, a więc ponad cztery godziny po wejściu Ballestry do archiwum. Po kilku sygnałach w słuchawce rozlega się głos: – Archiwum, słucham.

Silny szwajcarski akcent. Pani komisarz rozłącza się i odkłada słuchawkę na stolik. Wzdycha. Jedno z dwojga – albo Ballestra wrócił zatelefonować przed śmiercią, ale w takim razie ktoś zobaczyłby, jak wychodzi żywy z archiwum, albo ktoś inny korzystał z telefonu w tym pokoju. Ktoś, kto wiedział, że Ballestra nie żyje. Na przykład jego zabójca.

Gdy Parks i Carzo zwątpili już, że uda im się dotrzeć do końca tunelu, wpadli na dębowe drzwi wiodące do dawnego klasztornego refektarza. Broniąc się przed ugryzieniami i zadrapaniami nietoperzy, w końcu uchylili je na tyle, żeby się prześlizgnąć i zdołali je zatrzasnąć pod naporem hałaśliwej chmary. Mimo to około dziesięciu zwierząt wdarło się do wnętrza na plecach uciekinierów. Dwa wbiły zęby w ramię i gardło Carza, a Marie

musiała je zabić, bo nie zamierzały puścić ofiary. Inne odleciały, łopocząc skrzydłami. Parks wzięła je kolejno na muszkę i wpakowała obu w brzuchy po kuli kalibru dziewięć milimetrów. W refektarzu zapanowała cisza. Kiedy egzorzysta zapalał pochodnię. Parks padła na kolana i uważnie rozejrzała się po sali. Refektarz pustelnic został wykuty w sercu góry i miał ponad dwieście metrów długości i sześćdziesiąt szerokości. Cztery rzędy masywnych stołów ciągnęły się wzdłuż sali. To tu średniowieczne mniszki zbierały się, by w ciszy zasiadać wspólnie nad soczewicą, która była jeb codzienną strawą.

W samym końcu sali, na podwyższeniu obitym czerwoną tkaniną, stał cudem ocalały przez te wszystkie wielu drewniany fotel. Na prawo od niego niewielki stół i wyściełany taboret królowały pośród kurzu i szurzących odchodów. Ty zasiadała wyznaczona mniszka, by czytać zebranych fragmenty ewangelii lub wstrząsające listy apostołskie, a wszystko to przy szczęku łyżek i odgłosach przeżuwania.

Przymknąwszy oczy, Parks czuje, jak woń odległych czasów wypełnia jej nozdrza, a zapomniane dźwięki brzmią w uszach. Kroki egzorzysty cichną, myśli Marie są już daleko. Otwierając oczy stwierdziła, że ojciec Carzo zniknął, a refektarz wypełniło blade światło. W zimnym powietrzu unosił się zapach wosku i lampy olejowej. Parks stłumiła okrzyk zdumienia na widok siedzących przy stołach pustelnic. Słyszy, jak ich saboty szurają po posadzce, widzi ręce unoszące do ust łyżki, których zawartość pochłaniają z siorbaniem. Spogląda na fotel i widzi siedzącą w nim wiekową mniszkę. Staruszka zamknęła oczy i zdaje się drzemać. Obok lektorka czyta urywki Pisma Świętego. Jedna z zakonnicek, zapewne rozdrażniona siedzeniem tuż obok innych siostr, wydaje zwierzęcy ryk, na który pozostałe odpowiadają z pełnymi ustami chóralną drwiną i chichotem. Sala wypełnia się śmiechem wariatek, którego lektorka nie jest w stanie uciszyć. To istny koncert mlaśnień, warknięć, gulgotu. A wszystko dzieje się na oczach Marie, której krew zastyga w żyłach, gdy słyszy bijący na alarm dzwon. Drzwi refektarza otwierają się gwałtownie, do środka wpada zadyszana pustelnica. Jedzące

wypuszczają z rąk łyżki i zwracają twarze ku przełożonej, która otworzyła oczy. Teraz Parks już wie, że to noc napaści na klasztor – czternastego stycznia 1348 roku, tuż po pierwszej wieczornej mszy.

Parks zasłania twarz, gdy spłoszone mniszki z krzykiem uciekają z refektarza. Czuje te wszystkie ciała, które się o nią ocierają, czuje ich zapach. Drętwieje. Jakaś ręka dotyka jej ramienia.

Valentina oświetla latarką biurko monsignora Ballestry. Pod papierami pulsuje czerwona lampka. Pani komisarz przesuwa dokumenty i znajduje automatyczną sekretarkę, której ekran sygnalizuje dwie odebrane wiadomości – pierwszą dwie minuty po pierwszej, drugą o wpół do szóstej. Ta druga to połączenie z aparatu Ballestry z archiwum. Valentina czuje ogarniające ją podniecenie. Niepokojony w środku nocy Ballestra dość długo nie odbierał, aż włączyła się automatyczna sekretarka. Bardziej intrygujące wydało się jej, dlaczego sekretarka nagrała także rozmowę wychodzącą o wpół do szóstej. Najprawdopodobniej jakaś pomyłka w ustawieniach, chyba że stary archiwista miał zwyczaj nagrywać wszystkie rozmowy. Może niektóre ponownie odsłuchiwał albo po zakończeniu notował umówione terminy spotkań. A może się czegoś obawiał.

Valentina podnosi słuchawkę i łączy się z komisariatem. Odbiera dyżurny.

–Słucham.

Valentina uśmiecha się, słysząc, że sekretarka automatycznie włącza się, żeby rejestrować rozmowę.

–Komisarz Graziano. Są dla mnie jakieś wiadomości?

–Nie, pani komisarz, ale generał Pazzi prosił o pilny kontakt. Valentina odkłada słuchawkę. Ekran sekretarki informuje teraz o trzech nagranych wiadomościach. Valentina kasuje swoją i zaczyna odsłuchiwanie od rozmowy z godziny pierwszej, tej z Denver. Sygnał. Metaliczny głos archiwisty.

Słucha rozmowy do chwili, gdy głos Carza zanika wśród trzasków. Potem przez chwilę siedzi z zamkniętymi oczyma, wsłuchana w bicie własnego serca. Jeżeli to, czego się właśnie dowiedziała, nie jest wytworem jej wyobraźni, ta na pozór zwykła sprawa kryminalna okaże się elementem szeroko zakrojonego spisku tajnej organizacji w Watykanie. To prosta droga do stanowiska generała dywizji. Albo do kostnicy. Kobieta zerka na faks. Przy odrobinie szczęścia archiwista nie wiedział, że nowoczesne fakсы przechowują w pamięci ostatnie odebrane wiadomości. Valentina wciska guzik powielania. Z drukarki wysuwa się kartka. Pani komisarz chwytają. Bingo! Siedem cytatów do siedmiu manuskryptów, które trzeba przesunąć na półkach archiwum. Wkłada kartkę do kieszeni i wciska inny guzik, żeby odsłuchać rozmowę z wpół do szóstej. Sekretarka się włącza. Sygnał. Oddech w słuchawce. Valentina chce wierzyć, że słyszy głos Ballestry, ale przypomina sobie jego zmasakrowane zwłoki w świetle fleszy, na podłodze bazyliki. Ostami sygnał. Ktoś podnosi słuchawkę.

–Archiwum watykańskie, słucham.

Valentina drży. Poznaje ten silny szwajcarski akcent i głos, który odezwał się, gdy powtórzyła ostatnie połączenie. Głos nieznanego z piątej trzydzieści odpowiada:

–Załatwione. Cisza.

–Kto mówi?

–Ja.

–Ty?

–Tak.

–Skąd dzwoniysz?

–Z jego pokoju.

–Oszalałeś? Natychmiast się rozłącz i zatrzyj wszelkie ślady tej głupiej wizyty.

Masz listę cytatów?

–Wciąż szukam.

–Do diabła, musisz ją znaleźć i wynosić się stamtąd, zanim ktoś cię zauważy.

Trzask. Ten z archiwum odłożył słuchawkę. Valentina rozkoszuje się cudownym zawrotem głowy, którego doznaje. Bal-lestra wpadł w pułapkę, przedtem jednak odkrył coś i wydał na siebie wyrok śmierci. Pozostaje ustalić, co to takiego. W tym celu będzie musiała zapuścić się do watykańskich archiwów.

–Proszę się obudzić, Marie. Otwiera oczy i widzi pochyloną nad sobą twarz ojca Carzo.

–Proszę nie zamykać oczu, dopóki nie powiem.

–Dlaczego?

–Bo to w tej sali pustelnice były torturowane i mordowane tamtej nocy, a miejsce nie jest bezpieczne dla tych, którzy potrafią ożywiać miniony czas.

–To przypominało sen.

–Ale nie było snem.

–Słucham?!

–Marie, musi pani zrozumieć istotę śmiertelnego niebezpieczeństwa, na jakie jest pani narażona w transie. Pani dar sprawia, że jest pani tam nie tylko myślą, ale całą sobą. W każdej chwili może zostać pani uwięziona w swej wizji albo doznać jakiejś krzywdy.

Parks przypomina sobie potworny ból, jaki odczuwa zawsze, gdy przeżywa udrękę ofiar seryjnych zabójców, których tropi. Ojciec Carzo ma rację – ona staje się nie tylko obserwatorką, ale częścią wizji.

Prowadzona przez egzorcystę podchodzi do fotela i siada. Stare sprężyny skrzypią pod jej ciężarem. Ojciec Carzo otwiera niewielką torbę i napełnia przezroczystym płynem strzykawkę.

–Co to takiego?

Egzorcysta zakłada jej opaskę uciskową na ramię i wciska tłok strzykawki, żeby pozbyć się powietrza.

–Narkotyk stosowany przez szamanów. Rozluźnia mięśnie.

Czarownicy Yanomani używają go, aby nawiązać kontakt z duchami lasu. Pomoże pani rozluźnić się i zmniejszyć szok, jaki te wizje stanowią dla umysłu.

Marie krzywi się, czując, jak igła wbija się w jej skórę. Płyn, który wnika do jej żył, jest tak palący, że niemal śledzi jego przepływ, gdy zaczyna krążyć po organizmie. Potem to wrażenie mija, świat zaczyna falować. Marie patrzy na ojca

Carzo i wydaje

się jej, że jego głowę otacza dziwna, błękitna aureola. Odrętwiałymi wargami pyta:

–Co teraz?

–Starą pustelnicą, która uciekła tamtej nocy z ewangelią według Szatana, była matka Gabriella. Z archiwów dowiedzieliśmy się, że to ona stała na czele kongregacji po samobójczej śmierci matki Mahaud de Blois.

–Tej, która rzuciła się z murów po przeczytaniu ewangelii?

–Tak. Idę o zakład, że matka Gabriella siedziała w tym fotelu, gdy wieczorem złodzieje dusz zaatakowali klasztor.

–Widziałam ją.

–Słucham?

–Przed chwilą, w tamtej wizji. Była tu.

–To nam pomoże nawiązać z nią kontakt.

–Z nią?

–To znaczy, z jej duchem. A raczej pamięcią.

–Nie rozumiem.

–Na ziemi istnieje wiele niezwykłych miejsc, które mocno przesiąkły dramataми, jakie się w nich rozegrały. To nawiedzone domy, zaklęte lasy i klasztory, jak ten, którego mury do dziś pamiętają potworne wydarzenia, zapomniane przez ludzi.

–Pamięć kamienia?

–Można to tak nazwać.

–Sądziłam, że chce ojciec nawiązać kontakt z inkwizytorem Landegaardem?

–Później. Najpierw muszę się dowiedzieć, co zaszło tamtego dnia. Marie, niech pani pamięta, że wszystkie siostry z Cervin zginęły nocą czternastego stycznia 1348 roku. Ocalała tylko matka Gabriella. Cokolwiek by się działo, nie wolno pani wpływać na przebieg wydarzeń, które rozegrają się na pani oczach. Skoncentruje się pani wyłącznie na Gabrielli. Gdyby wpłynęła pani na losy zakonnic, matka Gabriella mogłaby umrzeć. A pani umarłaby wraz z nią. Parks milczy.

–Jest pani gotowa? Twierdząco kiwa głową, choć strach chwyta ją za gardło.

–Proszę zamknąć oczy. Niech pani odsunie od siebie wszystkie myśli. Musi pani pozbyć się strachu i gniewu. Agentka stara się wyzbyć napięcia.

–A teraz proszę słuchać tylko mojego głosu. Nic innego już się nie liczy. Mój głos poprowadzi panią ścieżkami wizji. Gdy wejdzie pani w głęboką hipnozę, nie będzie pani świadomie słyszała mojego głosu, mimo to każde słowo będzie docierało do pani podświadomości. Dlatego tak ważne jest, żeby pani zasypiała, słuchając mnie. Bo tylko mój głos może panią tu sprowadzić, gdyby ten eksperyment przybrał zły obrót. Coraz słabiej walcząc z ogarniającą ją ociężałością, Marie wypowiada kilka słów, które nasuwają się jej na myśl.

–Co mam robić, gdybym znalazła się w niebezpieczeństwie?

–Cii. Nie powinna pani nic już mówić. Gdyby coś pani zagrażało, proszę tylko zacisnąć ręce, a ja panią sprowadzę. Teraz chcę, żeby skupiła się pani na matce Gabrielli. Siedzi w tym fotelu. Jej ręce dotykają oparcie, na których leżą pani ręce. Widzi ją pani?

Zrywa się wiatr. Głos ojca Carzo oddala się, Parks czuje, że jej brzuch się powiększa, piersi wiotczeją w biustonoszu, łydki tracą sprężystość, ciało pływa w ubraniu. Szorstka tkanina sukni zastępuje dżinsy i kurtkę. Marie ma teraz rozłożyste biodra, a jej pochwa jakby się skurczyła. Czuje, że zęby zaczynają się ruszać i psuć. Kwaśna woń drażni nozdrza. Ten sam zapach obudził ją w zakonie Świętego Krzyża.

Im pełniej zanurza się w ciele matki Gabrielli, tym wyraźniej słyszy szcęk łydek, szuranie sabotów, mlaskania jedzących pustelnic. Otwiera oczy. Salę oświetla blade światło pochodni. Czternasty stycznia 1348 roku, wielka zaraza... Tego wieczoru, ukołysana drżącym głosem mniszki, która odmawia litanie demonów, matka Gabriella przysnęła. Przez tych kilka sekund śniła

o strumieniach deszczu, o rzuconych do rzek trupach, o bezpańskich psach, których sfory panoszyły się w wyludnionych przez zarazę miastach. Widziała także jeźdźców w mnisich habitach i kapturach, którzy galopowali z pochodniami w rekach

do klasztoru. Ze snu wyrwało ją trzaśnięcie drzwi refektarza. Zakonnica, która wbiegła do sali, gestykulowała, wskazując coś w ciemnościach. Tego wieczoru matka Gabriella zrozumiała, że jeźdźcy się zbliżają.

Powiadomiwszy kardynałów o niezwłocznym rozpoczęciu konklawe, kamerling polecił zamknąć ciężką bramę Watykanu, by odizolować dostojników od tłumu wiernych, którzy wciąż przybywali na plac Świętego Piotra. Potem ustawił szwajcarów przy wejściu do bazyliki, aby czuwali nad sprawnym przesuwaniem się kolejki pragnących uklęknąć przed trumną Ojca Świętego. Było ich wielu, czekali już przy moście San Angelo, i tak będzie przez kilka dni, choć w Rzymie pada. Torując sobie drogę w tłumie, komisarz Valentina Grazziano dociera wreszcie do budynku archiwum. Wyciąga przepustkę i mija kordon wartowników, których halabardy lśnią w deszczu. Wewnątrz biblioteki posągi są pokryte kirem i Valentina czuje się, jakby szła przez cmentarz. Na jej widok oficer dyżurny rozkazuje strażom przy drzwiach sali archiwów zastrzeżonych skrzyżować halabardy. Potem wyciąga rękę po przepustkę, którą okazuje pani komisarz.

Gdy oficer sprawdza dokument, Valentina zastanawia się, gdzie wcześniej widziała tę gębę buldoga. Unosi głowę – ten olbrzym, który obraca przepustkę w rękach, to dowódca watykańskiej gwardii szwajcarskiej we własnej osobie. Widziała tego rosłego mężczyznę u boku kardynała Camano, kiedy wkroczyła do bazyliki. Zapamiętała go tym lepiej, że zdziwił ją, wycofując się w półmrok, jakby wolał, żeby nie widziała jego twarzy. Dziwne było też, że oficer tej rangi marnuje czas, pilnując wejścia do archiwum, podczas gdy w bazylice rozpoczęły się modły.

Komendant przygląda się uważnie Valentinie, która z trudem wytrzymuje jego spojrzenie. Te lodowate oczy pozbawione są ludzkich uczuć. Szwajcar poleca jej czekać i podnosi słuchawkę. Szepcze coś. Valentina rozwija gumę do żucia i wsuwają do ust, żeby ukryć zniecierpliwienie. Olbrzym doskonale wie, że przepustka jest autentyczna, bo sam ją

podpisywał. A to znaczy, że próbuje zyskać na czasie, a jego ludzie być może robią już porządki w tajnym archiwum. Przeżuwając gumę, Valentina czeka, obserwowana przez obojętnych halabardzistów. Dzwoni telefon. Dowódca odbiera i wysłuchuje odpowiedzi. Valentina zaciska pięści w kieszeniach płaszcza. To nie rozmowa z sekretarzem stanu, ale raczej ze współnikiem, który informuje, że wszelkie ślady zostały usunięte. „Skończ z tymi urojeniami, Valentino, ten głupkowaty niedźwiedź w kubraczku po prostu pracuje”. Komendant odkłada słuchawkę i zwraca pani komisarz przepustkę.

–Proszę uważać, schody są śliskie, a nie chciałbym, żeby rozbiła pani tę śliczną główkę, spadając z nich w ciemnościach. Valentina aż podskakuje, słysząc waloński akcent olbrzyma. To on odebrał, gdy powtórzyła połączenie z aparatu Ballestry i gdy zabójca archiwisty telefonował z pokoju ofiary.

–Coś się stało?

–Słucham?

Valentina jest bliska omdlenia, gdy oczy olbrzyma znów ją świdrują.

–Zbladła pani.

–To tylko lekka gorączka. Chyba złapałam grypę.

–W takim razie powinna pani wrócić do domu, póki jeszcze

czas – oświadcza z tnącym walońskim akcentem.

W jego oczach zapala się błysk ironii. Valentina dałaby głowę, że pałają one też czystą nienawiścią. Nie, to raczej szaleństwo. Facet jest stuknięty, wariat, opętaniec, kompletny świr. „Do diabła, Valentina, przecież widzisz, że on już wie. Na pewno postawił na dole wartowników. Cholera, co ty sobie wyobrażasz? Że pozwoli ci dotrzeć śladem Ballestry do siebie?!”.

Valentina waha się, czy się nie wycofać, ale mężczyzna nagle się odwraca, rozkazując strażom unieść halabardy. Kobieta czuje, że uginają się pod nią nogi. Powinna się stąd wynosić. Wyjść pod byle pozorem, ściągnąć karabinierów, aresztować tych łajdaków. „Założyć kajdanki komendantowi watykańskiej gwardii podczas uroczystości żałobnych? Na jakiej podstawie? Bo na taśmie nagrał się głos z walońskim akcentem? Boże,

przecież to Szwajcarzy, wszyscy mówią ze szwajcarskim akcentem. Valentina, skończ z tym szaleństwem!”. Gdyby jednak usłuchała krzyku swojego instynktu, kopnęłaby tego gnojka obcasem w jaja, a potem wzięłaby nogi za pas. Mimo to, słysząc, jak skrzypią stalowe zawiasy ciężkich drzwi archiwum, czuje, że jej nogi same niosą ją ku mrocznej paszczy schodów.

Kłęcząc przed Parks, która się wije w fotelu, ojciec Carzo coraz bardziej się niepokoi. A przecież wprowadzenie w trans się powiodło, Marie wydawała się spokojnie spać. Jednak teraz jej twarz wykrzywia grymas przerażenia, a mięśnie ramion prężą się, a przede wszystkim, choć egzorcysta nie potrafi w to uwierzyć, Parks gwałtownie się starzeje. Zaczyna się od rysów twarzy, która wiotczeje i pokrywa się zmarszczkami. Teraz starzeje się jej szyja, zapadają się policzki. Carzo usiłuje przypisać to wrażenie chwiejnemu światłu pochodni, ale kiedy włosy młodej kobiety zaczynają siwieć, egzorcysta musi przyznać, że Parks się zmienia. Nagle zaczyna wykrzykiwać silnym, nieswoim głosem:

–Precz, przekłęci! Nie możecie tu wejść! Te słowa padły z ust matki Gabrielli, gdy stojąc na murach, zwracała się do jeźdźców, którzy zwarli szyk przed szturmem na klasztor. Byli to błędni mnisi bez wiary i bez przewodnika, rabusie i heretycy, którzy w ten morowy czas zdziczeli i zamiast prawa bożego słuchali tylko prawa miecza. Prychając i bijąc kopytami, setka koni zatrzymała się u stóp zbocza, gdy matka Gabriella powtórzyła ostrzeżenie. Mnisi podnieśli głowy, słysząc krzyk z góry. Ich oczy pały jak rozpalone węgle, a może raczej jak robaczki świętojańskie w świetle księżycy. Parks spogląda na to mrowie ogników, gdy matka Gabriella pochyliła się, stojąc na murach. Potem usłyszała głos jednego z jeźdźców. Ten głos brzmiał głucho, jak zza grobu:

–Spuśćcie liny, abyśmy mogli wejść! Spuśćcie liny albo pożremy wasze dusze!

Pustelnice uczone murów zaczęły krzyczeć i matka Gabriella musiała je uciszyć. Potem znów wrzasnęła, wychylając się ku przybyszom.

–Czego szukacie w tym miejscu, wy, którzy grabicie i palicie jak bezpańskie psy?

–Szukamy ewangelii, którą nam zrabowano, a którą bezprawnie przechowujecie w tych murach. Matka Gabriella zadrżała. Zrozumiała, kim są ci mnisi i jaki manuskrypt chcą zdobyć.

–Księgi, które znalazły się w tym klasztorze, należą wyłącznie do Kościoła, i wszystkie noszą piętno Bestii. A zatem odejdźcie w pokoju, jeżeli nie macie rozkazu rekwizycji od Ojca Świętego Klemensa VI, który panuje nam z Awinionu.

–Mam coś lepszego, suko. Mam rozkaz podpisany ręką samego Szatana. Spuśćcie liny albo klnę się na demony, które nas prowadzą, będziecie błagały o śmierć!

–Wracajcie do diabła, skoro od niego przybywacie, i powiedzcie mu, że ja słucham tylko Boga! Wrzaski złodziei dusz wzbły się w górę. Można by pomyśleć, że są ich tysiące i że ich głosy odbijają się szerokim echem. Potem zapada cisza, zakonnica znów się wychyla, a to, co widzi, mrozi jej krew w żyłach – wbijając paznokcie w szczeliny

między granitowymi blokami, złodzieje dusz wdrapują się po pokrytej lodem ścianie klasztoru z taką łatwością, jakby szli po drabinie.

–Marie, proszę się obudzić.

Ojciec Carzo potrząsa ramieniem kobiety. Jej oddech jest świszczący i urywany.

Matka Gabriella biegnie. Prowadzi mniszki do podziemi klasztoru. Gdy ma już zniknąć za ukrytym wejściem, odwraca się. Wiele mniszek, które skamieniały z przerażenia, pozostało w tyle. Niektóre rzucają się w przepaść, aby uniknąć gorszego losu. Tym, które padły na kolana, zalewając się łzami, gdy cienie przeskakiwały już nad murem, złodzieje dusz przetrącają karki, a ich ciała rzucają w przepaść.

Carzo unosi powieki Parks. Oczy kobiety zmieniły kolor. Narkotyk rozszerzył jej źrenice, spojrzenie stało się martwe, jakby cała jej świadomość przeniknęła pustelnicę. Dokonała się niezwykle rzadka fuzja umysłów, jaką Carzo widywał dotąd z całych sił. Musi za wszelką cenę wyrwać ją z transu, w przeciwnym razie kobieta może skończyć przywiązana do łóżka w szpitalu psychiatrycznym, a jej dusza i umysł na zawsze utkną w umyśle i duszy starej mniszki, która nie żyje od sześciuset lat.

–Marie Parks, słyszysz mnie? Musisz się natychmiast obudzić!

Egzorcysta prostuje się, gdy ręka Parks odrywa się od poręczy i chwyta jego dłoń z zaskakującą siłą. Próbuje uwolnić palce z tego miażdżącego uścisku. Potem zastyga, dysząc głuchy głos wydobywający się z menichomych ust agentki

–Och, mój Boże, oni nadchodzą...

Matka Gabriella i jej pustelnice schroniły się w zakazanej bibliotece fortecy. Tu, między zakurzonymi półkami i kominkami, w których palą stosy rękopisów, zakonnice tworzą łańcuch, podając sobie kolejne dzieła. Ostatnia ciska na palenisko przeklęte dzieła, których nie powinno widzieć ludzkie oko.

Pozostawiając im to zadanie, matka Gabriella otwiera następne zamaskowane drzwi i wślizguje się do drugiej tajnej sali. Przejście się zamyka, a wtedy przełożona klęka i wyjmuje granitową płytę, za którą znajduje się skrytka. Wewnątrz leżą skrzynki. Ustawia je na ziemi, potem kolejno otwiera i wyjmuje zawiniątka w woskowanym płótnie i Inie. Rozwija je, wyjmując kolekcję kości i czaszkę w cierniowej koronie. Ręce matki Gabrielli zaczynają drżeć. Przypomina sobie ten dzień... To było przed czterdziestu laty. To ona znalazła zwłoki matki Mahaud de Blois u podnóża murów. I ona starła napis, który samobójczyni wypisała własną krwią na ścianie celi. Po odkryciu powodów tego potwornego czynu na kartach ewangelii według Szatana matka Gabriella zaalarmowała papieża, który natychmiast wysłał do Ziemi Świętej tajną grupę, by dostała się tam, gdzie byli już wyłącznie muzułmanie. Dominikanie i archiwiści odnaleźli wejście do grot w górze Hermon. Wyposażeni w środki uodparniające na jad pajaków i skorpionów, od których aż się tam roiło, dokonali ekshumacji zwłok Janusa i rozdzielili między siebie kości, a następnie ruszyli – każdy z osobna – w drogę powrotną. Szczątki te rycerze konwojowali następnie aż do podnóża Mont Cervin, aby powierzyć je pustelnicom. To było czterdzieści lat temu. Włożywszy czaszkę do skórzanej sakwy, matka Gabriella wsuwa kości do kieszeni habitu i wraca do mniszek, które wciąż dorzucają do ognia kolejne księgi i zwoje. W powietrzu unosi się smród palonej skóry. Zakonnice patrzą, jak przełożona ciska w ogień kości. Już wiedzą, że są zgubione. Przelykają łzy i ostro biorą się do pracy. Gdy mają się pozbyć najcenniejszego manuskryptu z biblioteki, rozlega się łomot przy drzwiach biblioteki. – O Boże, już tu są...

Matka Gabriella, zarumieniona od gorąca bijącego z kominka, tuli do piersi ewangelię według Szatana, której czerwone filigrany błyszczą w półmroku. Ze smutkiem spogląda na palenisko, kiedy drzwi zaczynają trzaskać pod naporem złodziei dusz. Płomienie nie zdążą strawić manuskryptu, to niestety pewne. Dlatego przełożona ukrywa księgę w etui i wraz z czaszką Janusa rzuca ją do zsypu na śmieci. Słucha, jak pakunki spadają kamiennym kanałem, który kończy się dwieście metrów niżej, w fosie pod górą. Potem zamiera, słysząc krzyki pustelnic – drzwi nie wytrzymały. Matka Gabriella odwraca się. Dowodzący złodziejom dusz idzie w jej stronę. W ręku trzyma ociekający krwią sztylet, którym zadźgał usiłujące zagrozić mu drogę pustelnice. Matka przełożona czuje bijący od niego smród. Mężczyzna ma na nogach ciężkie buty do jazdy konnej, jego twarz ginie w głębokim kapturze i tylko oczy świecą w ciemnościach. Oczy i masywny srebrny medalion, który kołysze się na jego piersi – pięcioramienna gwiazda wokół demona o łbie kozła. Znak czcicieli Bestii. Gdy się zbliża, matka Gabriella patrzy na

głębokie blizny na jego nadgarstkach i przedramionach. Te nacięcia w kształcie

krwistoczerwonego krzyża w kręgu ognia, który wije się i układa w titulus Chrystusa, zrobiono ostrym sztyletem.

–Kim jesteś, panie? Grobowy głos dobiega spod kaptura.

–Zwą mnie Kaleb. Jestem wędrowcą. Pustelnica czuje, że ogarniają bezgraniczny strach. Wie, że od tego demona nie może oczekiwać żadnej litości. Krzyczy z bólu. Zraniła się. Pięść Kaleba uderza ją w szyję. Światła wirują wokół starej mniszki. Kobieta osuwa się na ziemię. Czuje na ustach oddech Kaleba.

–Nie martw się, matko Gabriello, wkrótce umrzesz. Przedtem jednak powiesz mi, gdzie jest ewangelia.

–Marie, czy pani mnie słyszy?

Carzo zagryza usta, żeby nie krzyknąć, gdy Parks zaciska ręce na jego palcach. Przyglądając się jej, dostrzega szeroką strugę krwi ściekającą po jej przedramieniu i kapiące na podłogę krople. Fuzja osiąga stan nieodwracalności.

–Dokąd nas prowadzą? Panie, dokąd nas prowadzą?

Egzorcysta wbija paznokcie w rękę Marie, by się jej wyrwać.

Palce kobiety rozwierają się. Carzo masuje zbolące dłonie, a potem rozrywa opakowanie strzykawki i napełnia ją zawartością małego flakonu. To antidotum ma wywołać szok i zmusić Parks do powrotu. Na wychudzonych ramionach Marie pulsują doskonałe widoczne żyły. Carzo mocno przewiązuje jej rękę opaską i wbija igłę, ale naczynia krwionośne są tak twarde, że dopiero za drugim razem udaje mu się wkłuć. Wstrzykuje połowę dawki i Parks zaczyna wyć jak szalona. Gestykułuje, jakby walczyła z niewidzialnym przeciwnikiem.

Złodzieje dusz wygasili ogień i przetrząsnęli drwa, szukając resztek ewangelii, a potem zawlekli żyjące pustelnice do refektarza i przywiązali je do stołów. Matkę Gabriellę skrępowali w fotelu, aby nie uroniła nic ze spektaklu, a następnie zaczęli znęcać się nad mniszkami, przypalając je ogniem pochodni i tnąc rozgrzanymi do czerwoności ostrzami. Ponieważ nie uzyskali oczekiwanych odpowiedzi, oślepiali je i łamali im palce szczypcami. Gdy i to nie wystarczyło, maczugami miażdżyli im stopy i przebijali nogi i ręce wielkimi, zardzewiałymi gwoździemi.

–Marie, błagam, obudź się!

Większość pustelnic skołała podczas tortur. Inne, ogarnięte szaleństwem, krzyczały tak głośno, że złodzieje dusz dobijali je, by ucichły. Potem rzucili się na matkę Gabrielle. Pozostawili ją na stole i wyszli z refektarza, żeby przetrząsnąć klasztor. Cisza. Słychać tylko płonące pochodnie i popiskiwanie szczurów, które uganiają się w ciemnościach, spijając z posadzki krew. Uwięziona w ciele starej pustelnicy, Parks czuje ból. Matka Gabriella ma głęboko poranione ciało i próbuje wstrzymać oddech, żeby jak najszybciej skończyć. Nie udaje się. Zaczyna więc szarpać sznury, zamiera w bezruchu... Jeden z węzłów puścił. Mniszka ciągnie mocniej i oswobadza zakrwawione ramię. Jeszcze przez kilka minut wije się na stole, zaciskając zęby, żeby nie krzyknąć, aż w końcu podnosi się i stawia okaleczone stopy na kamiennej posadzce. Przechodzi przez refektarz. Drzwi. Za nimi korytarz. Matka Gabriella, utykając, przemierza około stu metrów, do ogromnej tapiserii Mortlake'a. Unosi ją zostawiając na ścianie krwawy ślad. Zgrzyt. Sekretne przejście jest już otwarte. Pustelnica przeciska się przez nie. Mur zamyka się za nią.

–Marie, słyszysz mnie?

Kręcone kamienne schody wiodą w dół, do wnętrza góry. Idąc przez ukryte sale, pustelnica przystaje na chwilę i wsłuchuje się w głosy złodziei dusz, którzy nawołują się w oddali. Coś znaleźli – to zwęglone kości na palenisku. Teraz będą przeszukiwać półki i mury, bo domyślają się, że i tam są liczne skrytki. Upłynie wiele godzin, zanim

się zorientują, że ewangelii już tam nie ma. A potem wrócą do refektarza, żeby torturować przełożoną.

Matka Gabriella idzie dalej. Krzywiąc się z bólu, Parks kuśtyka z nią przez mrok, przy każdym kroku powstrzymując krzyk. Po zejściu ze schodów stara zakonnica skręca w wąski korytarz

wiodący do dołu na śmieci i gorączkowo przetrząsa jego zawartość. Czuje, jak jej starcze dłonie zaciskają się na płóciennej torbie i dotykają skóry. Potem na czworakach wdrapuje się po rampie i dociera do łagodnie opadającego po zboczu zejścia ku dolinie. Właśnie wtedy Parks czuje, że jej umysł odłącza się od staruszki. W tej samej chwili ból dręczący jej ciało zaczyna ustępować. Marie zostaje sama i już tylko patrzy za pustelnicą, która utykając, zmierza do wylotu tunelu. Agentka drży. Z oddali, z ciemności, dobiega głos: – Parks, na Boga, obudź się!

Antidotum krąży po jej organizmie, a ciało młodnieje na oczach Carza. Skóra na twarzy Marie znów jest gładka i jędrna, włosy czernieją. Potem kapłan obserwuje, jak jej piersi zaokrąglają się, a ona wstaje i chwyta powietrze, jak ktoś, kto niemal utonął. „Boże, ona się dusi...”.

Carzo pchnął ją i ze wszystkich sił uderzył w plecy, żeby przywrócić jej oddech. Zakrztusiła się. Gdy w końcu jej klatka piersiowa się uniosła, Parks przeciągle krzyknęła z panicznego strachu.

Będąc już w tajnym archiwum watykańskim, Valentina zdejmuje pantofle na wysokich obcasach, żeby nie zacierać śladów. Przez moment delektuje się chłodem parkietu. Potem wsuwa dłonie w gumowe rękawiczki i wędruje wzdłuż cedrowych półek, na których spoczywają pergaminowe i papierowe zwoje, ułożone chronologicznie. Wokół panuje tak głęboka cisza, że Valentina

ma wrażenie, iż przez przypadek dała się zamknąć na noc w wielkim sklepie i krąży po opustoszałym wnętrzu, pośród regałów z towarami. Słyszała, że to w tej sali miałyby być przechowywane akta procesu Galileusza i Giordana Bruna, a także mowa Kolumba do uczonych z Uniwersytetu w Salamance, którzy nie chcieli uwierzyć, że Ziemia jest okrągła. Zatrzymuje się pośrodku sali i wzdycha, zniechęcona. Jeżeli naprawdę miałyby odnaleźć siedem ksiąg wskazanych na liście

Carza pośród tych wszystkich rękopisów, pod którymi uginają się półki, to nie wyszłyby stąd przez okrągły rok. Dlatego najpierw musi ustalić, w której części sali się znajdują. Z tego, co pamięta, ojciec Carzo zaznaczył w rozmowie z Ballestrą, że chodzi

o manuskrypty z dużej biblioteki archiwum, Valentina obraca się i widzi co najmniej sześć takich, ale tylko jedna, ogromna, ciągnie się wzdłuż całej ściany w głębi sali. Trzymając latarkę w zębach, przesuwa palcem po dolnej półce pierwszej z bibliotek. Ani źdźbła kurzu. Podchodzi do szóstej, tak wysokiej, że wyposażono ją w cztery przesuwane drabiny. Wszędzie wokół parkiet odbijał światło lampy jak lustro, ale im bliżej biblioteki podchodzi pani komisarz, tym mniej lśniąca jest odbicie, jakby w tym miejscu podłoga była inna, albo po prostu jakby ten, kto ją froterował, zatrzymał się w tym miejscu. Warstewka kurzu pokrywająca parkiet staje się coraz grubsza tuż przy bibliotece.

Valentina kuca i dotyka drewna palcem. Do rękawiczki przylegają czarne grudki i pajęczyny. Można by powiedzieć, że w tym miejscu otworzyły się jakieś rzadko używane drzwi i że to one naniósł na podłogę cały ten brud. Przyświecając sobie latarką, Valentina wkrótce dostrzega odcisnięte w kurzu ślady sandałów. Przesuwając się po nich, strumień światła po chwili nieruchomieje na ostatnim – to tylko pół podeszwy, reszta ginie pod biblioteką. Ktoś stał w obłoku kurzu, kiedy to przejście się otworzyło.

–Na pewno chce pani tam wrócić. Parks wolno kiwa głową. Przerazenie, jakie czuła podczas pierwszego seansu hipnozy, jeszcze teraz przyprawia ją o szybsze pulsowanie krwi w skroniach. Carzo wzdycha.

–Najbardziej niepokoją mnie te stygmaty.

–Co takiego? Kapłan unosi rękę Marie. Rana, która pojawiła się w fazie transu, jest już tylko delikatną blizną w kształcie półksiężyca.

–Co to?

–Rana, która pojawiła się, gdy Kaleb ugodził matkę Gabrielle nożem. Zaczęła się goić, kiedy się pani ocknęła, a to oznacza, że ma pani większą moc, niż przypuszczałem i że wchodzi pani w trans przypominający najsilniejsze opętanie. Gdybym o tym wiedział, nigdy nie wysłałbym pani na to spotkanie ze złodziejami dusz. Dlatego pytam, czy naprawdę jest pani pewna, że chce nawiązać kontakt z inkwizytorem generalnym Landegaardem. To może się okazać niebezpieczne.

–Nie tak bardzo, dopóki nie dotrze do klasztoru w Bolzano. Czytałam jego tajne raporty u pustelnic z Denver.

–Tylko część raportów. Bóg jeden wie, czy nasze urocze bibliotekarki nie zniszczyły obszernych fragmentów dokumentacji.

–I dlatego chce mnie tam ojciec wysłać, prawda?

–Tak.

–Zaczynajmy. Ale tym razem bez narkotyków. Ojciec Carzo wyjmuje z torby cztery pasy z dużymi klamrami oraz zabezpieczeniami zamków.

–Co ojciec robi?

–To pasy bezpieczeństwa używane w szpitalach psychiatrycznych.

–Wolałabym obrączki.

–Ja nie żartuję, Marie. Kiedy nawiązała pani kontakt z matką Gabriella, omal nie połamała mi pani palców, chociaż była to tylko łagodna staruszka. Teraz wcieli się pani w duszę inkwizytora generalnego, mężczyzny w kwiecie wieku, trzydziestolatka, który mógłby gołymi rękami ogłuszyć byka. Egzorcysta zakłada pasy na ramiona i kostki Parks i zapina je na klamrę, mimo to kobieta nie czuje, że jest skrępowana, chociaż nie może poruszyć rękami ani nogami.

–To jakieś niesamowite urządzenie.

–Specjalnie je tak skonstruowano, żeby pobudzeni pacjenci nie czuli się przywiązani do łóżka. Dzięki temu nie doznają zbędnego stresu. Używam tych pasów, gdy mam do czynienia z pacjentami w najwyższym stopniu opętania. Jak dotąd, żaden jeszcze nie narzekał.

Parks stara się uśmiechnąć, ale uniemożliwia jej to obezwładniający strach.

–A gdyby sprawy przybrały zły obrót? Jak tym razem mnie ojciec ściągnie?

–Jeszcze nie wiem, ale coś wymyślę. Milczenie.

–Jest pani gotowa? Zamyka oczy i kiwa głową.

–Dobrze. Teraz odsyłam panią do dnia jedenastego lipca 1348 roku. Właśnie wtedy Landegaard dotarł do klasztoru, wysłany przez Jego Świątobliwość papieża

Klemensa VI, by przekonać się, jaki jest powód milczenia pustelnic z Cervin.

–Klemens najwyraźniej nie był szybki w działaniu.

–Cii, proszę już nic nie mówić. Obudzi się pani w rok po wielkiej epidemii, która szalała w Europie. Gdy zaraza dogasła we Włoszech i Szwajcarii, zmarłych liczone w tysiącach, miasta były wyludnione, na wsi słyszało się tylko krakanie padlinożernych ptaków i wycie wilków.

Słowa Carza docierają do niej jak przez mgłę. Czuje, że stopniowo traci kontakt z rzeczywistością. Ma wrażenie, że jej ciało się wydłuża, jakby z całych sił wyprężała ręce i nogi.

–Rok 1348. To wówczas, wiosną pełną smutku i rozpacz, Landegaard opuścił w towarzystwie swoich notariuszy Awinion, zabierając więzienne wozy i straż, aby dokonać inspekcji w klasztorach, które przetrwały zarazę. Jego misja miała dwojaki cel i była w swej istocie okrutna, miał bowiem nie tylko sprawdzić.

czy te wspólnoty wciąż istnieją, ale też upewnić się, czy rozpacz i osamotnienie nie skłoniły ich członków do paktowania z demonem. Landegaard otrzymał wszelkie uprawnienia do przeprowadzania śledztw i skazywania na stos tych zakonników i sióstr, którzy dopuścili się grzechu odstępstwa. Głos Carzo jest coraz dalszy, a Parks ma wrażenie, że jej ciało już się nie wydłuża. Teraz rosną mięśnie jej ramion, silne i twarde jak stal. Słyszy trzask kości i ścięgien klatki piersiowej, która staje się potężniejsza. Powiększają się jej szyja i twarz, a

zatracając resztki świadomości, czuje jeszcze, że grubsze są teraz także jej uda. Potem zwięża się jej miednica, brzuch robi się twardy jak kamień, a między nogami wyrasta członek. Głos Carza brzmi jeszcze i dociera do niej:

–Dodam pewien ważny drobiazg – zanim pani zaśnie, musi pani zrozumieć, kim był w tych niespokojnych czasach inkwizytor, inaczej nie wcieli się pani w duszę Landegaarda. W roku 1348 ci słudzy papieża byli przede wszystkim śledczymi i poszukiwali prawdy. Wbrew temu, co głoszą legendy, rzadko stosowali tortury, a na spalenie na stosie skazywali tylko w ostateczności. Ich głównym zadaniem było zbieranie zeznań i prowadzenie uczciwego śledztwa, jak dziś czynią to sędziowie śledczy. Dlatego, gdy powierzono im śledztwo w szczególnie drażliwej sprawie, jaką było opętanie wspólnoty zakonnej przez demona, przybywali na miejsce pod maską zbłąkanych podróżnych. Taką obrali technikę infiltracji, by osobiście obserwować szaleństwa, o które oskarżano mnichów. Głos Carzo zaczyna niknąć, a Marie czuje falę nowych zapachów. Cuchnie potem i tłuszczem, i tej woni nie usunął ani kamień ałunowy, ani drobny piasek. Śmierdzą też ubrania. Ostra tkanina o grubym splocie drażni skórę, cuchnie stęchlizną i dymem ogniska.

–Taka misja mogła trwać od kilku dni do kilku tygodni i nierzadko zdemaskowanego inkwizytora mordowali członkowie wspólnoty, do której przeniknął. Najczęściej mordercy ćwiartowali ofiarę i rozrzucali jej szczątki. Takim zbrodniarzom wydawało się, że gdyby inny inkwizytor pojawił się parę dni później z wozami i strażnikami, to udałoby im się uniknąć kary. Nie wiedzieli jednak o pewnym istotnym elemencie działania tej swoistej policji bożej: kiedy inkwizytor czuł się śmiertelnie zagrożony przez wspólnotę albo gdy dokonał ważnego odkrycia, wypisywał na kamieniu przy wyjściu z klasztoru lub na dwunastej kolumnie wiadomość, posługując się szyfrem, znanym wyłącznie inkwizytorom.

Świat wokół Parks staje się coraz rozleglejszy, coraz bogatszy w zapachy. Niektóre z nich są bardziej wyraziste i silniejsze od wszystkich, jakie dotąd znała. Pachną rozgrzane kamienie i wilgotna trawa. Pachną grzyby, mięta i sosny. Niedawno padało,

więc nasyciona wodą ziemia oddaje wszystkie wonie, które w sobie miała. Marie nadstawia ucha, by wsłuchać się w głos Carza, który szepcze pośród wiatru:

–Do tego celu inkwizytorowi służyło specjalne etui z dwudziestoma pięcioma młoteczkami, których końcówki mają kształt liter, co pozwala szybko wykonać napis w kamieniu. Dwudziesty

piąty młoteczek służy do podpisania tej wiadomości poprzez wykucie w kamieniu herbu inkwizytora. Wiemy, że ze względu na tajny charakter swojej misji pustelnice także otrzymały zezwolenie na stosowanie tej procedury w razie zagrożenia. Klasztor Matki Bożej z Cervin nie oparł się działaniu czasu i mrozu, więc takich znaków powinna pani tam szukać. Matka Gabriella z pewnością pozostawiła wiadomość, uciekając, a Lan-degaard wykuł ostrzeżenie dla ludzi ze swojego zakonu, którzy szli jego tropem przez góry. Proszę pamiętać, że prowadzimy wyścig z czasem i że musi pani wrócić, zanim Landegaard opuści klasztor...

Cisza. A potem szum wiatru. I uderzenia kropel opadających z drzew na zwiędłe liście. W dali zagrzmiało. Konie rżą i parskają, nie chcą iść po zboczach. Im cichszy staje się głos Carza, tym wyraźniej resztki świadomości Parks wychwytyują nowe sygnały i stukot kopyt, tarcie cugli na owłosionych, pokrytych odciskami rękach, żylaste i silne przedramiona, umięśnione uda oparte o boki konia. Choć tego dnia padało, to ani krople deszczu przesiąkające przez habit, ani grzmoty nie zwały spokoju inkwizytora, który drzemał, pochylony na koniu. Thomas Landegaard otwiera oczy, spogląda na czerwieniejące w promieniach zachodzącego słońca niebo, prostuje się i głęboko oddycha powietrzem, w którym

unoszą się zapach żywicy i ziół. W dali nad wioską Zermatt góry rysowały się we mgłę. Landegaard uśmiechnął się z lekka. Jeśli Bóg pozwoli, dziś wieczorem położy się do prawdziwego łóżka, a przedtem naje się do syta pieczonym udźcem kozicy, którą jeden z kuszników ustrzelił kilka godzin temu. Myśląc o tych prostych radościach życia, inkwizytor nawet sobie nie wyobrażał, co go czekało.

Kłęcząc na parkiecie w sali tajnego archiwum, Valentina potrząsa flakonem lakiem i rozpyła go po śladach, jakie sandały Ballestry odcisnęły na zakurzonej podłodze. Po chwili środek zastyga, a pani komisarz oznacza ślady numerami od jednego do siedmiu, wskazując kierunek, w jakim podążał archiwista. Potem sięga po cyfrowy aparat fotograficzny. Flesz raz po raz rozdziera ciemności. Powstaje seria zdjęć w zbliżeniu. Następnie pani komisarz dotyka pierwszych śladów, wyraźnych i głębokich, znajdujących się tuż obok siebie w smudze światła, które nieco dalej odbija się od świeżo wyfroterowanego parkietu. To w tym miejscu stał archiwista, otwierając sekretne przejście.

Dalsze ślady są mocniej odcisnięte na poziomie pięt i palców. Tak odciska się stopa w mchu. Valentina przesuwając strumień światła – odblask znika, co oznacza, że w tych miejscach kurz pokrył podłogę, zanim stanął na niej Ballestra. W odległości kilku centymetrów od biblioteki pojawia się druga seria głębokich, blisko usytuowanych śladów, a parkiet jest matowy. Tuż przed wejściem do pasażu kapłan jeszcze raz się odwrócił, zapewne wahając się i próbując przeniknąć ciemność. Flesz Valentyny trzeszczy. Czubki podeszwy ostatniego śladu giną pod biblioteką – Ballestra przeszedł na drugą stronę, zanim te tajemne wrota się zamknęły. Pani komisarz spogląda na listę cytatów i wodzi oczyma po tytułach. Czternaście metrów długości i sześć wysokości, a zatem około sześćdziesięciu tysięcy książek. Dokonuje szybkich obliczeń. Siedem tytułów do wybrania spośród sześćdziesięciu tysięcy oznacza, że przy każdej próbie szansa wynosi 1 do 8752. A kiedy już odnajdzie książki, musi ustalić właściwą kolejność ich wyciągania z półek, co daje 823 853 możliwości. Krótko mówiąc, szansa, że odtworzy właściwy układ, przypadkowo wyjmując książki, to 1 do 700 miliardów. Żaden skarbiec na świecie nie zapewnia bezpieczeństwa, które można by porównać z systemem wymyślonym w średniowieczu, nawet

najlepiej strzeżone banki szwajcarskie czy pancerne podziemia, w których spoczywają rezerwy federalne Stanów Zjednoczonych czy silosy Banku Światowego nie tworzą tak trudnych do pokonania barier. A do tego, żeby zmienić kombinację, wystarczy zastąpić siedem książek siedmioma innymi, zgodnymi z nową listą cytatów. Valentina czuje w ustach smak ziemi. Dzień w dzień przez całe wieki tysiące archiwistów przenosiło i odstawiało tysiące ksiąg, a żadne z ich działań nie mogło umchomić mechanizmu. Pani komisarz rozgląda się po sali tajnego archiwum. Jak w każdej bibliotece świata, i tu musi znajdować się pełny katalog zbiorów. Przechodząc między regałami, dostrzega ekran komputera w stanie czuwania. Przesuwając się po nim zdanie: „Salve Regina, Mater Misericordiae” – pierwsze słowa łacińskiej wersji modlitwy „Zdrowaś Mario”. Valentina wciska klawisz, wrywając

komputer z tej drzemki. Na ekranie pojawia się komunikat „Podaj hasło”.
–Cholera, co to ma znaczyć! Za kogo mają się ci dumie? Za organizację szpiegowską?

Wsuwa dłoń pod stolik, szukając duplikatu hasła. Na próżno. Podejmuje kilka prób na chybił trafił – podaje daty, rzymskie cyfry, terminy religijne, które

przychodzą jej na myśl, ale za każdym razem komputer informuje ją o błędzie.

Zniechęcona przerywa, a po chwili, uśmiechając się, mruczy:

–Boże, spraw, żeby to było aż tak proste! Błyskawicznie uderzając w klawiaturę, wpisuje tekst powitania: „Salve Regina, Mater Misericordiae”. A potem wciska Enter i z biciem serca słucha pracy twardego dysku.

–Grazie, signore...

Teraz na ekranie pojawiają się ikony. Valentina wybiera ikonę bank danych. Przed jej oczyma przewijają się tysiące tytułów w języku greckim i łacińskim. Nad listą pojawiło się okienko wyszukiwania. Valentina wprowadza pierwszy cytat. Komputer mruczy, sygnalizując przeszukiwanie dysku twardego i wybór dzieł zawierających frazę. Sygnał dźwiękowy. Na ekranie pojawia się dwanaście tytułów. Valentina przegląda odpowiedzi. Dwie książki zawierają całe zdanie, inne

powtarzają je jako cytat Jeden z tych dwóch jest łaciński, drugi to przekład na grekę. Cytat Carza był łaciński, a zatem Valentina wybiera go i po chwili zna już odpowiedź: Prima Secundae, drugi tom Summy Tomasza z Akwinu. Bank danych archiwistów wskazuje, że cztery tomy tego obszernego dzieła znajdują się w bibliotece, a dokładne usytuowanie pojawia się obok tytułu – rząd dwunasty, trzeci poziom, półka szósta. Valentina wprowadza kolejny cytat i natychmiast uzyskuje przekład: „W tym to czasie manna spadać będzie z nieba”. Fragment Apokalipsy syryjskiej Barucha, judaistycznej księgi spisanej sto lat przed narodzinami Chrystusa. Rząd pięćdziesiąty, poziom jedenasty. Półka czwarta. Valentina powtarza tę samą operację, wprowadzając kolejne cytaty i notuje informacje. Wytrzeszczonymi oczyma czyta ostatni tekst na ekranie. „I ujrzałem Bestię wychodzącą z morza i przejmującą władzę nad ziemią. W jego trzewiach żyła istota wyższa, człowiek nieprawy, syn

zatracenia. Ten, którego Pismo zwie Antychrystem i który wyłoni się z nicości, aby siać zamęt na świecie”. Fragment Apokalipsy świętego Jana. Rząd sześćdziesiąty drugi, poziom pierwszy, półka druga. Było to ostatnie dzieło z listy, to, które uruchamiało mechanizm otwierający przejście po jego odblokowaniu przez poprzednie księgi. Podchodząc do biblioteki, Valentina przesuwa ciężką drabinę przed rząd dwunasty i wchodzi na wysokość trzeciego poziomu. Trzyma w zębach latarkę i w jej świetle dość szybko znajduje oprawne w czarną skórę tomy Summy teologicznej Tomasza z Akwinu. Chwyta książkę i delikatnie wysuwa ją z półki. Wytęża słuch. Dociera do niej głuchy dźwięk, jakby trzask masztu okrętowego, który się gnie pod naporem sztormu. Zostawia manuskrypt lekko wysunięty, schodzi z drabiny i przesuwa ją, wyciągając kolejne książki, czemu za każdym razem towarzyszy charakterystyczny zgrzyt starego mechanizmu. Potem odstawia drabinę na bok i patrzy na stojącą na wyciągnięcie ręki Apokalipsą świętego Jana. Wreszcie wstrzymuje oddech

i wolno wysuwa książkę, uruchamiając ostami mechanizm, a ze ściany wydobywa się przeciągły zgrzyt kół i piast. Ciężka

biblioteka rozsuwa się w obłokach kurzu, Valentina czuje podmuch chłodnego powietrza.

Inkwizytor generalny Landegaard opuścił Awinion przed miesiącem, zabierając ze sobą karoce, rycerzy i notariuszy. Ruszył na północ, do Grenoble, a stamtąd do Genewy, by przez Alpy przeprowić się do Włoch. W kieszeni habitu miał listę kongregacji, w których polecono mu dokonać inspekcji, od jeziora Serre-Poncon po odległe Dolomity. Czternaście klasztorów i mo-nasterów nie odpowiadało na pisma Jego Świątobliwości. Cervin to szósty etap podróży po Alpach. I najbardziej ryzykowny. Mimo że inkwizytor zna osobiście matkę Gabrielle i z pewną życzliwością odnosi się do cichego zakonu, który służy najszczytniejszym celom Kościoła, wie także, że w tych murach przechowywana jest ewangelia według Szatana wraz z kośćmi Janusa – relikwie, których zdobycie jest marzeniem niezliczonych wrogów wiary. Milczenie pustelnic po zarazie staje się z tego względu tym bardziej niepokojące, toteż szósty etap podróży nabiera szczególnej wagi. Inkwizytor prosił Jego Świątobliwość, by zezwolił mu udać się bezpośrednio do tego klasztoru, jednak Klemens uznał, że jazda do Cervin bez postojów w innych kongregacjach na trasie mogłaby niepotrzebnie zwrócić uwagę na rzeczywistą misję pustelnic.

Kilka godzin po jego wyjeździe ze stolicy papieży inkwizytor i jego ludzie minęli ostatnie otwarte groby, które strudzeni grabarze zalewali wapnem. Potem przemierzali opustoszałe miasteczka i wsie, nie spotykając żywego ducha. Milczenie i poczucie osamotnienia towarzyszyły od dawna nielicznej grupie, gdy zbliżała się do Zermatt – od kilku mil specyficzny zapach poczerniałych dachów i wygasłego ognia unosił się w powietrzu, drażniąc nozdrza jeźdźców, którzy rozglądali się, szukając jego źródła.

Jako pierwszy spalone ruiny miasteczka dostrzegł Landegaard. Czterej strażnicy, którzy dowcipkowali, jadąc na tyłach kolumny, zamilkli nagle na ten straszliwy widok – zgliszcza

domostw i stodół, które runęły, przygniatając całe rodziny, zwęglone szkielety na pogorzeliśkach. Inkwizytor zwrócił oczy ku klasztorowi, którego mury wznosiły się w dali na tle czerwieni zachodu słońca. Chmary kruków krążyły wokół wież. Landegaard bez słowa skierował konia na ścieżkę mulników, biegnąca po zboczu Cervin.

Zatrzymawszy się o strzał z łuku od klasztoru, Landegaard wznosił oczy ku szczytowi i opustoszałym murom. Przytknął do ust róg i zadał w niego czterokrotnie. Kruki poderwały się do lotu i wzbily pod zamglone niebo. Inkwizytor wytężył słuch w nadziei, że zaraz rozlegnie się skrzywienie żurawia, ale wokół panowała cisza, którą mąciło tylko krakanie i wycie wiatru. Sprawdzały się jego najgorsze przeczucia – nikt nie spuścił z góry liny, by przybysze mogli się dostać na szczyt. Landegaard bacznie wpatrywał się w okienka strzelnicze i blanki. Ani żywego ducha. Zwracając się do notariuszy, by odnotowali w rejestrach, że Cervin milczy, zauważył, że nieco dalej, u podnóża mum, leży coś ciemnego. Spiął konia, który parsknął i pogalopował.

Będąc już dość blisko, Landegaard wyprężył się w siodle – rozpoznał habitę pustelnic. Jedenaście ciał leżało na skałach. Widać było, że mniszki spadły jedna na drugą, skacząc z tego samego miejsca na murach. Landegaard spojrzał w górę i bardzo wysoko zobaczył parapet. Przypadkowy upadek był wykluczony ze względu na balustradę – żeby skoczyć, trzeba było się na nią wspiąć.

Koń parsknął i nerwowo grzebał kopytami, gdy Landegaard pochylił się, patrząc na zwłoki. Poczerniała skóra biedaczek wskazywała, że zamarzyły tu zimą. Gdy śniegi zaczęły topnieć, ciała uległy mumifikacji. To wyjaśniało przykrą woń unoszącą się w powietrzu i względnie dobry stan zwłok. Inkwizytor generalny zsiadł z konia i pochylił się nad mniszką, której szkliste oczy wyrażały ogromny strach. Być może tak bardzo przerażała ją przepaść i bliskość śmierci. Nie, było

inaczej. Odchylając habitę, Landegaard zobaczył, że jej szyję rozszarpały jakieś potężne szczęki. Obmacał ranę czubkami palców w rękawiczkach. Była za szeroka, by przypisać ją wilkowi, za mała na niedźwiedzia. Gdyby ciało było już zamarznęte, nie doszłoby do takiego ugryzienia, a poza tym nie widać było innych ran, co oznaczało, że zakonniczka pokąsała coś, co rzuciło się na nie na murach i rozdarło gardła, zanim kobiety runęły w przepaść. Landegaard zauważył błyszczący przedmiot w rozmiękłym po roztopach ciele. Wyciągnął z kieszeni szczypce, przez chwilę grzebał nimi w ranie, wyjął z niej tę rzecz i uniósł do światła. Skamieniał. Tym, co błyszczało teraz w promieniach zachodzącego słońca, był ludzki ząb.

Komisarz Valentina Graziano idzie tajnym przejściem, które biegnie podziemiami Watykanu. Jest tak ciemno, że czuje się, jakby pływała w basenie napełnionym atramentem. Wcześniej te mroczne korytarze przemierzał Ballestra. Aby nie zgubić jego tropu, Valentina założyła noktowizor, którego szkła nadają ciemnościom niebieskawy odcień. Dzięki nim pani komisarz widzi ślady, które archiwista pozostawił na ziemi i ślady termiczne jego dłoni na murach. Z wolna oswaja się z wonią starego kamienia i wilgoci. Wyczuwa także woń cynamonu i tabaki – to woda toaletowa Ballestry. Sądząc po niejednakowej głębokości śladów stóp idącego wolnym krokiem archiwisty, zatrzymywał się on wielokrotnie, rozglądając się po wnętrzu.

Gdy echo jej kroków staje się słabsze, a korytarz się rozszerza, Valentina zwiększa moc noktowizora. Zerka na dokładne plany watykańskich podziemi, które ze sobą zabrała. Pod Stolicą Apostolską pełno jest katakumb z czasów starożytnych. Niektóre powstały za panowania Nerona i ciągną się pomiędzy istotnymi punktami miasta, jak ruiny Senatu czy pałacu cesarskiego. Inne, przeważnie zasypane, wiodą ku siedmiu rzymskim wzgórzom. Ostatnie, najnowsze, łączą budynki watykańskie z obiektami

należącymi do Kościoła na terenie Rzymu. Pani komisarz na próżno szuka na planie korytarza, którym wędruje i który powinien być zaznaczony pod placem Świętego Piotra. Wodzi palcem po mapie i po liczbie kroków oraz dwóch zakrętach, które pokonała, ocenia, że Komnata Tajemnic znajduje się gdzieś pod bazyliką. Aby dotrzeć do bazyliki z archiwum tak krótką i prostą drogą, należało tunel poprowadzić pod placem. Ale z mapy wynika, że w tym miejscu podziemia są wykorzystane do granic możliwości. Co dziwniejsze, szeroki tunel w fundamentach bazyliki nie został nigdzie zaznaczony, chociaż groty watykańskie, miejsce pochówku papieża, widać na planie Valentyny jako ogromne, białe plamy. Oznacza to, że Komnata Tajemnic oraz wiodące do niej podziemia zostały wykopane potajemnie. Ten sekret udało się zachować przez wieki, a stary człowiek, który go odkrył, przypłacił tę wiedzę żydem.

Valentina idzie przez salę. Jeżeli nie pomyliła się w obliczeniach, najprawdopodobniej jest właśnie pod grobem świętego Piotra, w odległości kilku metrów od miejsca, gdzie teraz spoczywa na katafalku papież, żegnany przez tłumy wiernych. Pani komisarz przykładła ucho do środkowej kolumny Komnaty Tajemnic i wychwytuje dźwięki organów, dobiegające aż tu. Przymyka oczy, wyobraża sobie szuranie butów ludzi, którzy wolno zbliżają się do katafalku. Morze zboliałych wiernych, przychodzących przy brzmieniu Stabat Mater Pergolesiego, tej muzyki, której dźwięki spadają w obłokach dymu kadzideł niczym łzy.

Valentina otwiera oczy i rozgląda się po sali. Jak okiem sięgnąć, między kolumnami stoją tabernacula okryte welurem i najwyraźniej gorączkowo przez kogoś przeszukiwane. W marmurze, nad alkowami, widnieją imiona papieża. Pani komisarz unosi tkaninę osłaniającą kilka tabernaculów. Z alków zniknęło to, co w nich złożono. Zgodnie z tym, co Carzo powiedział Ballestrze, to tu od zamierzchłych czasów gromadzone są najgłębsze sekrety Kościoła. Właśnie tu morderca dopadł archiwistę,

bo przed alkwą Piusa X widnieją świeże plamy krwi. Valentina ocenia, że mogło jej być nawet do czterech litrów. Tutaj zabójca torturował archiwistę, a potem podciął mu

gardło i wpadł na pomysł, by przenieść zwłoki w inne miejsce. Valentina powiodła oczyma po strugach, które ciągnęły się w głąb sali. Noktowizor wychwytuje jakiś cień pod alkwą. Pani komisarz pochyla się i uśmiecha. Zabójca Ballestry był zbyt zaprzątnięty wyniesieniem zwłok z Komnaty Tajemnic i nie zauważył dyktafonu cyfrowego, który archiwista postawił na podłodze. Podnosi go i wciska przycisk czytnika. Aparat wydaje dźwięk. Potem słyhać pełen przerażenia szept Ballestry.

–Marie?

Z rozchylonych ust kobiety wydobywa się obłok pary. Carzo drży. Od kilku minut temperatura w refektarzu spada, jakby zimny wiatr wdarł się do klasztoru. Nie, to coś innego, coś, czego Carzo nie chce dostrzec tak bardzo, jak nie chciał przyznać, że zmieniał się kolor ścian i zapachy. Bo znów pojawia się zapach wełny i łajna. Podmuchy niosą też ludzkie wonie, a wraz z nimi

wraca wspomnienie pustelnic. Klasztor się budzi. Carzo unosi głowę, słysząc szepty rozbrzmiewające w cichych przed chwilą wnętrzach, głuche odgłosy, nawoływania, nabożne pieśni. I jeszcze szuranie sandałów, bicie dzwonów, trzaskanie drzwiami. Klasztor pamięta. Jakby trans Parks przenosił egzorcystę w przeszłość, wraz z tymi murami, zapachami i całą resztą.

–Marie, słyszy mnie pani?

Wciąż ten przyspieszony oddech. Wciąż para wydobywająca się z ust kobiety. I żyła tętniąca na skroni śpiącej Parks, która teraz toczy jakąś walkę.

Carzo słyszy trzask pasów, które przytrzymują ręce kobiety. Patrzy w dół i zamiera. Przedramiona Parks pokrywają się sińcami, tak wielki napór jej mięśnie wywierają na skórę. Chwyta Parks za ramiona i chce nią potrząsnąć, ale jest tak wyprężona, że nawet nie drgnęła.

–Marie, to zaszło za daleko! Musi się pani obudzić! Parks otwiera oczy. Ma rozszerzone źrenice. Jej głos drży pośród ciszy.

–Zbliża się. Boże, on się zbliża...

–Nazywam się Ricardo Pietro Maria Ballestra. Urodziłem się czternastego sierpnia 1932 roku w Toskanii. Moją matką była Carmen Campieri, ojcem Marcello Ballestra. Moje tajne imię zakonu archiwistów brzmi brat Benedetto z Messyny. Mówię to, by wszyscy wiedzieli, że jestem autorem tego nagrania. Komisarz Valentina Graziano przykłada dyktafon do ucha, aby lepiej słyszeć szept Ballestry.

–Tej nocy, około pierwszej, obudził mnie ojciec Alfonso Carzo, który zatelefonował po wyjeździe z Amazonii, dokąd posłano go, by przeanalizował szczególnie trudne przypadki opętania. Twierdził, że odkrył prastare malowidła ściennie w ruinach azteckiej świątyni, ukazujące sceny biblijne. Wydaje się to podważać relacje konkwistadorów, którzy po Kolumbie przybili do brzegów Ameryki. Tubylcy, którzy wyszli im na spotkanie, powitali ich jak bogów. Z tych relacji wynika, że biały człowiek bardzo dawno temu pojawił się już na tych ziemiach, a tubylcy czekali na jego powrót. Potwierdza to tezę prezentowaną przez wielu badaczy, którzy mówią o przybyciu katolickich misjonarzy do Ameryki na długo przed Hiszpanami, z tym że malowidła widziane przez Carza w amazońskiej dżungli nie przedstawiają Chrystusa z Ewangelii, ale jego szatańskiego sobowtóra – okrutną bestię, którą przodkowie Azteków ukrzyżowali na szczycie jednej z piramid, ową istotę, która spowodowała zniszczenie ich cywilizacji. Janus, syn Szatana, bicz na Olmeków.

Valentina podgłaśnia, bo szelest kartek, które archiwista przerzuca, zagłusza jego

słowa.

–Tuż po telefonie ojca Carzo odkryłem w podziemiach bazyliki Komnatę Tajemnic, której tak wielu szukało już przede mną. To tu spoczywa tajna korespondencja papieża, listy i dokumenty, które od stuleci każdy z nich przekazuje następcy, wykorzystując procedurę pieczęci papieskiej. Zerwałem pieczęcie i dowiedziałem się o szeroko zakrojonym, trwającym od kilkuset lat śledztwie, którego celem jest zdemaskowanie knowań Czar-nego Dymu, spisku kardynałów, istniejącego w Watykanie. Już od ponad sześciu wieków bractwo usiłuje odnaleźć ewangelię według Szatana, manuskrypt mający dowodzić niesłychanego kłamstwa, którego ujawnienie doprowadziłoby do upadku Kościoła. Zdołałem ustalić, że Czarny Dym prawdopodobnie intryguje i morduje, żeby odzyskać czaszkę człowieka, którego rany zadałyby kłam słowom ewangelistów.

Valentina przymknęła oczy. Sprawa wydaje się poważniejsza, niż sądziła.

–Jeżeli wierzyć manuskryptowi, po tym, jak Chrystus wyparł się Boga na krzyżu, jego uczniowie zabrali ciało Janusa i złożyli je w grotach na północy Galilei. Tam mieliby też spisać tę ewangelię i wybrać misjonarzy, którzy mszyliby na północ głosić słowo Antychrysta. Dziś wiemy już, że ślady ewangelizacji wiodą przez Mongolię i Syberię. Stamtąd, przez skutą lodem Zatokę Beringa, owi apostołowie mszyli na kontynent amerykański i przemierzali go wzdłuż wybrzeży Pacyfiku. Dotarli do Meksyku i dalej, do Kolumbii oraz Wenezueli. Taką tezę wysunęli amerykańscy badacze, aby wyjaśnić istnienie motywu potopu i mitów o stworzeniu w cywilizacjach, które nie stykały się ze sobą. Wówczas Kościół zlekceważył i odrzucił tę teorię. A przecież wiedział... O Boże! Szelest papieru – Ballestra rozwija inne zwoje.

–Odnalazłem w alkowie papieża Hadriana VI stare oprawne w skórę kajety, przypominające księgi pokładowe, w których zdobywcy Nowego Świata spisywali swe odkrycia. Valladolid okręt admirałski Hernana Corteza... Jeden z kajetów zawiera bardzo starą mapę żeglarską, pokrytą grubą warstwą wosku, przedstawiającą prawdopodobnie prądy morskie i gwiazdozbiory. W drugim kajecie także pojawia się mapa, tym razem lądu, a na niej symbole Azteków i Majów oraz krwistoczerwone krzyże, które wydają się wskazywać na jakieś szczególne miejsca w Andach oraz na płaskowyżach Meksyku. Szelest papieru. Ballestra szepcze coś, odczytując dokumenty. Potem jego głos znów staje się dobrze słyszalny:

–W tej samej alkowie odnalazłem listy Corteza do hiszpańskiej Inkwizycji oraz duchowieństwa z uniwersytetu w Salamance. Listy te Cortez pisał w chwili, gdy wraz ze swymi konkwistadorami dotarł do serca imperium Azteków, które miał rozkaz podbić, uciekając się do postępu. Cortez wyjaśnia, że władca Montezuma uważa ich za bogów, którzy obiecali powrócić. Dlatego Cortez zostaje zaproszony w gościnę do swych wrogów, a ci dopuszczają go do udziału w niezwykłym obrzędzie religijnym. Aztecką świątynię, w której odbywa się owa ceremonia, zdobi masywny, marmurowy krzyż zwieńczony koroną cierniową, której kolce spływają krwią, a sam obrzęd uderzająco przypomina mszę świętą. Kapłan w szacie przystrojonej piórami odprawia

obrządek przed ołtarzem, wnosząc modły w języku stanowiącym mieszaninę różnych dialektów i języków, od tureckiego po łacinę. Ale to nie wszystko – pod koniec ceremonii Cortez ujrzał, jak aztecki kapłan napełnia dwa złote kielichy – jeden ludzkim mięsem, drugi czerwonym płynem wyglądającym jak krew. Potem na oczach konkwistadora wierni ustawiają się w dwóch szeregach i klękają przed kapłanem, by przyjąć komunię. Chwila ciszy. Potem znów rozbrzmiewa głos Ballestry, najwyraźniej znużonego.

–Boże, to dowodzi, że Aztekowie rzeczywiście zostali „nawróceni” przez heretyków na długo przed przybyciem Kolumba. Uzasadnia to także istnienie malowideł, które ojciec Carzo odkrył w amazońskiej świątyni i dowodzi, że apostołowie wyparcia dotarli do wybrzeży Meksyku przez Cieśninę Beringa. To oni wpoili Aztekom wiarę, że Janus był biczem na Olmeków i że powinni go czcić, jeśli nie chcą podzielić losu odległych przodków. Oto, co Kościół próbuje ukryć od wielu stuleci. Niesłychane kłamstwo.

Valentina zaczyna sobie uświadamiać, w co wdepnęła. Słyszy, jak Ballestra przetrząsa kolejne alkowy.

–Boże, spraw, żebym się mylił... Szelest papieru. Głos archiwisty załamuje się.

–Mam w ręku dowód na to, że aby ukryć kłamstwo i za wszelką cenę odzyskać ewangelię według Szatana, kardynałowie Czarnego Dymu od czternastego wieku mordowali papieży. Ich pierwszą ofiarą był Jego Świątobliwość Klemens V, otruty w Roquemare dwudziestego kwietnia tysiąc trzysta czternastego roku. Z dokumentów, które znalazłem w ostatnich alkowach,

wynika, że lista zgładzonych przez Czarny Dym obejmuje dwudziestu ośmiu papieży, władających Kościołem przez niespełna pięćset lat.

Trzask. Archiwista odkłada dyktafon na ziemię, żeby mieć wolne ręce. Przez chwilę jego słowa zagłusza szelest rozwijanych w pośpiechu zwojów. Kapłan znajduje raport ekspertów z roku 1908 i komentuje go na gorąco.

–Trucizna stosowana przez bractwo to silny neuroleptyk, który wprowadza ofiarę w stan katalepsji graniczącej ze śmiercią. Ale środek, niewykrywalny podczas rutynowych analiz, pozostawia ślad łatwy do identyfikacji dla tych, którzy wiedzą, czego szukają. To specyficzny węglowy osad w nozdrzach ofiary. Dokładnie taki, jaki zauważyłem, pochylając się nad naszym zmarłym papieżem. Valentina słyszy odgłos rzucanej na ziemię pochodni.

–Boże, trzeba za wszelką cenę ujawnić te fakty, zanim Czarny Dym zawładnie Watykanem...

Ballestra oddala się, słyhać, jak coś szepcze. Potem zbliża się do dyktafonu. Szelest sutanny, uderzenie, zduszony krzyk. Metaliczny dźwięk i coś, co nasuwa skojarzenie z ciosami zadawanymi nożem. I jeszcze jęk, który odbija się echem w krypcie. A potem cisza. Valentina odsuwa dyktafon od ucha. Tu kończy się droga Ballestry. Kobieta pochyla się, by z bliska spojrzeć na ślady jego agonii i w tej właśnie chwili zauważa cień przemykający między filarami Komnaty Tajemnic.

Landegaard wkłada do kieszeni makabryczne znalezisko i rozkazuje ludziom, by przy użyciu lin i haków przygotowali drogę, którą notariusze i ich skrzynie z dokumentami dotrą na szczyt. Sam nie zamierza pozwalać, by ciągnięto go jak muła i tylko

przepasuje się liną, żeby o własnych siłach pokonać zbocze. – Odwagi, panowie! Jesteśmy już blisko celu. Inkwizytor dociera do szczytu murów i zeskakuje po drugiej stronie, wspierając się na ręce jednego ze swych ludzi. Potem wychyla się i spogląda w przepaść, aby głosem wspomagać wystraszonych notariuszy, których żołnierze wciągają na linach. Ciała pustelnic wpatrują się z dołu w niebo. Gdy cała grupa stoi już na dziedzińcu, Landegaard rusza ku ciężkim, żelaznym wrotom wiodącym do klasztoru. Zagląda przez otwarte okienko furty. Widzi przestronną salę o ścianach bielonych wapnem. Nie dobiegają stamtąd żadne szmery, tylko wiatr świszczę, wdzierając się przez okna, które pustelnice pozostawiły otwarte.

Inkwizytor przez chwilę manipuluje wytrychem w zamku, a potem jego ludzie rozchodzą się po klasztorze – garstka z nich udaje się na piętra, pozostali towarzyszą inkwizytorowi i schodzą do sekretnych sal. Tu, widząc wyłamane drzwi i powywracane półki, Landegaard pojmuje, że stało się najgorsze. Klęka przed kominkiem i patrzy na stertę popiołu, który wiatr rozwiewa po całej sali. W przewodzie kominowym utworzył się lód i najprawdopodobniej nikt nie palił tu od wielu miesięcy. Rozgarniając popiół pogrzebaczem, Landegaard wydobywa skrawki nadpalonego papieru i opraw. Pociąga palcem po sadzy, która zebrała się na ścianach. Bez trudu rozpoznaje specyficzną,

przykrą woń palonej skóry, w którą oprawione były rękopisy. Inkwizytor spogląda na poprzewracane półki. Znalazłszy się w pułapce, pustelnice ściśle wypełniły zasady obowiązujące w tajnych bibliotekach – raczej zniszczyć księgozbiór, niż dopuścić, by wróg go zagarnął.

Landegaard nadal rozgarnia popioły. Na spodzie znajduje twarde, białe odłamki. Zbiera je i ogląda w milczeniu. Wydaje się, że to kości. Potem natrafia na znacznie większy fragment tej samej materii i wydobywa go, używając szczypiec. To ludzka piszczel, krucha i wypalona. Wkłada tę zdobycz do aksamitnego etui, a potem skupia się na oględzinach posadzki, gdzie pośród śladów sandałów widać też odciski ciężkich butów do jazdy konnej, których ubłocone podeszwy skalały święte miejsce.

Ślady sandałów prowadzą także do ściany, w której wprawne oko inkwizytora dostrzega ledwie widoczny zarys futryny. Dotykając ściany, szybko wykrywa mechanizm wahadłowy, który umożliwi otwarcie drzwi. Skrzydło porusza się, skrzypiąc. Ukryte pomieszczenie. I identyczne ślady sandałów na zakurzonej posadzce.

Otwarta skrytka w ścianie. Na środku izby Landegaard widzi otwarte kufry i woskowane płótno. Teraz już wie, że kości, które spalono w kominku, pochodzą ze szkieletu Janusa. Ale inkwizytor stwierdził już, że w popiele nie było ani zębów, ani szczęk i to daje mu nadzieję. Przy odrobinie szczęścia pustelnica, która wyniosła stąd kości, zdołała może ocalić czaszkę Janusa. O ile nie zginęła podczas tej

napaści, bo wtedy relikwie wpadłyby w ręce wroga, a to byłaby katastrofa, jaka nigdy dotąd nie spadła jeszcze na Kościół. Bo gdyby tajemnice zapisane w ewangelii Szatana wyszły na jaw w czas zarazy i chaosu, w ciągu kilku tygodni runąłby cały chrześcijański świat. Miasta, kraje spłynęłyby krwią, padałyby królestwa i imperia, hordy żebraków paliłyby Kościoły i wieszały duchownych, by w końcu ruszyć na Rzym i obalić papieża. Ziemia pogrążyłaby się w mroku na tysiąc lat. Nastalyby rządy Bestii. Landegaard zawraca, by wyjść z ukrytej izby. I właśnie wtedy rozbrzmiewa dźwięk rogu, gdzieś na górnych piętrach klasztoru. Oddział, który miał przeszukać tę część budynku, coś znalazł.

Zabójca idzie przez Komnatę Tajemnic, jakby unosił się nad podłogą. Ma na sobie mnisi habit z kapturem, spod którego nie widać jego twarzy.

Valentina ukrywa się za filarem i wyciąga broń, a potem nasłuchuje. Mnich porusza się bezszelestnie. Szacując, że zabójca znajduje się w odległości około pięćdziesięciu metrów od niej, wychyla się i celuje w postać, widoczną przez noktowizor w niebieskawym świetle. – Policja! Stój! Mnich praktycznie nie reaguje na ostrzeżenie. Valentina czuje,

jak strach ściska jej żołądek. Albo facet jest głuchy, albo wyjątkowo głupi. Położyła palec na spuście.

–Powtarzam po raz ostatni – stój, bo strzelam! Zobaczyła, że mnich rozplata ręce i dostrzegła blask ostrza w mroku. Ogarnęła ją fala gniewu podszytego strachem.

–Słuchaj uważnie, ty cholerny świrze! Albo natychmiast rzucisz broń, albo zabiję cię jak psa.

Mnich podnosi głowę. Valentina widzi teraz blask jego oczu pod kapturem. Czuje parcie na pęcherz. Zabójca uśmiecha się. Pani komisarz oddaje cztery strzały, trafiając mnicha w ramię. Pierwszy zatrzymuje go, trzy kolejne zmuszają do cofnięcia się o kilka kroków. Valentina słyszy, jak łuski spadają na posadzkę. Podnosi oczy i patrząc przez obłok dymu z lufy, uświadamia sobie, że mnich znowu się zbliża. Próbuje wyrównać oddech i uspokoić rozkołatanę serce. Wycelowuje w gardło mężczyzny. Potem, cofając nogę o pół kroku, jak na ćwiczeniach, strzela jeszcze dziewięć razy, a pociski rozrywają klatkę piersiową mnicha. Widzi, jak krew leje się strumieniami, mężczyzna pada na kolana. Dziewięć dymiących łusek leży na posadzce. Valentina otwiera oczy. Zapach prochu drażni jej nozdrza. Kobieta drży, widząc, że mnich z wolna się podnosi. Chwieje się przez moment, a potem rusza, przyciskając dłoń do ran. „Boże, to niemożliwe...”.

Kciuk Valentyny uwalnia pusty magazynek, który upada na ziemię. Mnicha dzieli od niej najwyżej dziesięć metrów. Wsuwa nowy magazynek i zaczyna strzelać, krzycząc jak szalona:

–Do stu diabłów, zdechniesz wreszcie, ty cholerny sępie!

Kaptur jakby zapada się po serii, która zmiażdżyła twarz mnicha, a on zatacza się i upuszcza sztylet, pada na kolana i w końcu osuwa się na ziemię.

Valentina wyrzuca drugi pusty magazynek, wkłada ostatni zapasowy i przeładowuje broń. Chwytając powietrze jak ryba, wolno podchodzi do zabójcy. Celując w zakrwawiony kaptur, oddaje jeszcze cztery strzały, które odbijają się głośnie echem pośród głębokiej ciszy. Potem, już pewna, że mnich nie wstanie, wybucha płaczem.

Robi się coraz zimniej. Ojciec Carzo patrzy na sine pręgi, które skórzane pasy odcisnęły na przedramionach Parks. Oddech dziewczyny wciąż jest świszczący, ale rytm, w jakim unosi się jej klatka piersiowa, nie współgra z rytmem jej oddychania, jakby coś oddychało poprzez nią, coś, co zawładnęło jej ciałem, albo raczej, jakby stopniowo przejmując kontrolę nad Parks, to coś stawało się coraz bardziej... obecne. Tak, właśnie to mrozi krew w żyłach Carza, gdy twarz młodej kobiety się wykrzywia- rzecz, która narasta w Parks, bierze nad nią górę.

–Marie?

Chrapliwy, głęboki świst. Skórzane pasy naprężają się pod naporem rak. Carzo odwraca głowę – kolory w refektarzu zmieniają się, znów widać stare tapiserie, które zdobiły wnętrza w średniowieczu. Teraz ich wzory zakrywają jaśniejsze plamy, które zostały po nich na murach. Ciężkie tkaniny, pełne kurzu i wspomnień. Carzo podskakuje, słysząc w dali jęk rogu. Zwraca oczy na Marie i widzi, że kobieta bacznie go obserwuje.

–Marie?

Kapłan wpatruje się w twarz młodej kobiety. Ale te oczy nie są jej.

–Na Boga, Marie! Musi się pani natychmiast obudzić! Znowu panią tracę!

Cisza. A potem dźwięk rogu w ciemnościach. Carzo wypręża się, słysząc tupanie butów na schodach fortecy.

–Marie? Niski, melodyjny głos wydobywa się z gardła Parks.

–Zwę się Thomas Landegaard, jestem inkwizytorem generalnym ziem Aragonii, Katalonii, Prowansji i Mediolanu.

–Marie, bądź tak miła i ocknij się wreszcie! Pasy pękają z trzaskiem, kobieta wstaje i podchodzi do jednego ze stołów.

Zostawiając zwłoki mnicha w Komnacie Tajemnic, Valentina podąża wzdłuż krwawego śladu, który został po tym, jak morderca włókł zwłoki Ballestry. Przechodzi przez tajemne drzwi, które pozostały otwarte.

W miarę jak pani komisarz zbliża się do szczytu schodów, nasila się dźwięk potężnych organów św. Piotra. W końcu Valentina opuszcza korytarz i dokładnie przygląda się wąskiemu tunelowi, do którego dotarła. Rozpoznaje oświetloną wnękę, gdzie spoczywają szczątki świętego Piotra. A zatem doszła do otwartej dla wszystkich galerii pod grobem w bazylice. Valentina chowa broń i pokonuje kilka stopni dzielących ją od powierzchni.

Pani komisarz wchodzi w tłum pielgrzymów przy pierwszych dźwiękach Pasji Bacha, wykonywanej na organach. Opiera się o kolumnę – po wilgotnym i stęchłym powietrzu w Komnacie Tajemnic ta woń kadzidła i ogłuszająca muzyka przyprawiły ją o zawrót głowy. Wystawioną przed ołtarzem trumnę ze zwłokami papieża otacza kordon gwardii szwajcarskiej w galowych strojach. Przed nią klęczą w czterech rzędach kardynałowie w purpurowych sutannach, a tę armię dostojników kościelnych mijają wierni, którzy okrążają katafalk, by wolno skierować się do

wyjścia. Wsparta o filar Valentina zastanawia się, co zrobiłyby skupiony

1 smutny tłum, gdyby nagle wykrzyknęła, że ma dowód, iż papieża zamordowano, a dopuścili się tego kardynałowie. Zamyka oczy, żeby nie patrzeć na przesuwaną się obok niej zjawy.

Gdyby wykrzyknęła to przy dźwięku organów, na pewno tysiące anonimowych twarzy zwróciłyby się ku niej, pobłażliwie się uśmiechając, jak to często bywa, gdy jesteśmy świadkami czyjegoś szaleństwa. Potem, kiedy tłum mszyłby znowu w cichej procesji, szwajcarzy łagodnie wyprowadziliby ją ze świątyni i przekazali swemu komendantowi. „Nie. Rzuciliby się na mnie i rozerwali na strzępy”.

Valentina drży. Przyznała przed sobą, co zmusza ją do milczenia, dlaczego pozwala, żeby tłum poniósł ją ku wyjściu. Jednak zerka jeszcze przez ramię i zauważa, że komendant gwardii szepcze coś do ucha kamerlinga Campiniego, który klęczy na klęczniku. Starzec słucha ze spuszczoną głową. Potem

odpowiada, również szeptem i na ucho. Wygląda na rozwścieczonego. Olbrzym prostuje się i daje znak grupie szwajcarów, którzy dyskretnie wymykają się przez ukryte drzwi. Kobieta usiłuje rozepchnąć tłum łokciami, żeby szybciej wydostać się ze świątyni, ale strumień ludzki jest tak zwarty, że jedynym efektem tych działań są pełne wyrzutu spojrzenia i karcące szepty. Po dziesięciu minutach, gdy staje wreszcie na smaganym przez deszcz dziedzińcu, szwajcarzy są już na miejscach. Komendant obserwuje przechodzący tłum ze szczytu schodów. Nie, on przypatruje się twarzom. Valentina drży, owiana zimnym wiatrem. Chętnie by zawróciła, ale tłum jest zbyt gęsty. Dlatego chroni się pod czyimś parasolem, uśmiecha się do niosącego go mężczyzny, a gdy ten uprzejmie podaje jej ramię, korzysta z okazji i tuli się do niego, przechodząc obok gwardzistów. Czuje spojrzenie olbrzyma na parasolu. Starając się nie tulić zbyt mocno do swego przygodnego towarzysza, Valentina przesuwa się wraz z innymi. Nareszcie dociera na plac. Szybko wtapia się w uliczny tłum, zerkając jeszcze przez ramię. Olbrzym patrzy w innym kierunku, więc Valentina opuszcza uprzejmego kompana i przemyka między otaczającymi plac kolumnami. Potem biegnie po mokrym bruku Borgo Santo Spirito i zatrzymuje się przy moście nad Tybrem. Tu, szczękając zębami, w ulewnym deszczu, włącza telefon komórkowy i łączy się z Mariem Canale, redaktorem naczelnym „Corriere della Sera”.

Słyszając dęcie w róg, inkwizytor i jego ludzie pędzą po schodach wiodących na górne piętra klasztoru. Docierają do szerokiego korytarza, którego posadzka łagodnie unosi się w górę. U jego końca są drzwi do refektarza. Rozpędzony inkwizytor niemal wyrywa je z zawiasów, otwierając je gwałtownie. Trębacz klęczy na ziemi. Pozostali żołnierze są trupio bladzi. Ciała zamordowanych pustelnic leżą przywiązane do stołów konopnymi sznurami. Wzdęte, zaczęły się rozkładać, gdy nadeszły roztopy. Smród rozkładu miesza się z odorem zapleśniałej zupy, której resztki pozostały w miskach.

Przechodząc od stołu do stołu, Landegaard długo przypatruje się zwłokom, a w miarę jak uświadamia sobie ogrom cierpień zadanych mniszkom, nasila się jego przerażenie. Wyłupane oczy, wyrwane języki, skalane łona, odarte ze skóry kończyny... To najgorsze z tortur, do jakich niekiedy ucieka się Święta Inkwizycja. Ale tu te męki stosowano z tak skrajną zaciekłością i nienawiścią, z takim bestialstwem, że dokonać tego mogli jedynie słudzy Szatana albo żoldacy, którzy zostali zabójcami, Ludzie, którzy napadli klasztor, chcieli nie tylko zmusić zakonnice do mówienia, ale i zemścić się za coś, jakby kiedyś i ich poddano podobnemu przesłuchaniu. Landegaard szpera w pamięci. Ostatnio Inkwizycja uciekała się do takich praktyk przed czterdziestu laty, we francuskich lochach, gdy przez kilka miesięcy torturowano templariuszy, by zmusić ich do przyznania się do zbrodni.

Inkwizytor zwraca się do jednego z żołnierzy, który podchodzi, by podać mu medalion znaleziony na ziemi. Owijając łańcuchem palce, Landegaard przygląda się zdobieniom. Pięcioramienny krzyż, a w jego środku demon z łbem kozła. Symbol złodziei dusz.

Landegaard ogląda pozostałe zwłoki. Wśród tych zmasakrowanych twarzy i udręczonych ciał na próżno szuka matki Gabrielli. Czternaście trupów. I siedem biedaczek, które złodzieje dusz żywcem zepchnęli z murów, a zatem dwadzieścia jeden służebnic bożych, które zgładzono tej nocy. Landegaard podchodzi do notariusza, który właśnie odnalazł księgę klasztoru. Oprócz mniszki, która wczesną zimą zmarła na grypę, brakuje tylko matki przełożonej. Żołnierze nie natrafili nigdzie na jej ślad.

Inkwizytor zbliża się do ostatniego stołu. Jest pusty, ale poplamiony krwią. Mężczyzna pochyla się, żeby podnieść sznury, które spadły na posadzkę. To na tym stole dręczono matkę Gabrielle, gdy tuż obok torturowano inne mniszki. Gdy okazało się, że żadna nie wyzna tego, czego chcieli się dowiedzieć oprawcy, ci rozbiegli się po fortocy, aby ją przetrząsnąć. Wtedy matka przełożona skorzystała z okazji i uciekła.

Landegaard powiódł wzrokiem po zaschniętej na posadzce smudze krwi. Stara pustelnica zdołała zebrać siły, żeby przejść przez refektarz aż do drzwi wiodących do klauzury. Podążając jej śladem, Landegaard przystaje przed ogromną tapiserią Mortlake'a. Tu trop się urywa. Inkwizytor unosi tkaninę i zauważa krwawe odciski rąk, które mniszka pozostawiła, dotykając ściany. Kładzie palce dokładnie w tych samych miejscach. Zgrzyt. Zimny podmuch wdziera się przez szparę, która utworzyła

się w ścianie. Za nią widać schody, które nikną w ciemnościach. Takie ukryte przejścia istnieją we wszystkich fortecach mieszczących klasztory i opactwa w świecie chrześcijańskim, a architekci zwać je drogą ucieczki. Zakony i kongregacje mają obowiązek użyć tego przejścia w obliczu śmiertelnego zagrożenia. Wylot ukrytego korytarza znajduje się zwykle w odległości wielu kilometrów od klasztoru. Tędy wymknęła się matka Gabriella.

Idąc przez most nad Tybrem, Valentina słucha rozbrzmiewającego w słuchawce dźwięku. Mija dłuższy czas, ale w końcu odzywa się Mario. Wyczuwając w głosie Valentyny niepokój, redaktor naczelny „Corriere” przerywa jej:

–Domyślam się, że nie dzwonisz, żeby pogadać ze mną o deszczu?

–Mario, wpakowałam się w paskudną sprawę.

–Słucham.

Pani komisarz krótko przedstawiła mu sytuację. Potem Mario przez chwilę milczy.

–Dobra, zaraz dzwonię do redakcji, żeby wstrzymali druk i zmienili stronę tytułową.

–Co mam zrobić?

–Czekam na ciebie za dziesięć minut na tarasie hotelu Abruzzi, przed Panteonem.

Przynies nagranie Ballestry.

–Dlaczego nie chcesz, żebym przyszła prosto do redakcji?

–Wspomniałaś, że ludzie z Czarnego Dymu mogą cię śledzić?

–Owszem.

–I dlatego tak będzie bezpieczniej. Jeżeli kamerling należy do spisku, każe pilnować wejść do redakcji rzymskich dzienników. Staraj się rozpląnąć w tłumie, przemknij się jak mysz i spotkaj się ze mną przy Panteonie. Milczenie.

–Valentino?! Jeżeli papież naprawdę został zamordowany przez Czarny Dym, zagraża ci śmiertelne niebezpieczeństwo. Dobrze pilnuj swego tyłeczka i trzymaj się w cieniu. Hałas. Valentina drży, słysząc czyjeś kroki za plecami. Odwraca się. Nie ma żywego ducha. W dali przesuwa się rzeka świateł, zmierzająca ku bazylice Świętego Piotra. Całe miasto okryło się żałobą. Patrząc na tych idących ramię przy ramieniu pielgrzymów, Valentina uświadamia sobie nagle, że pierwszy lepszy morderca mógłby zabić ją w tłumie. Cios nożem w plecy, potem pchnięcie ciała przez balustradę i zniknęłaby w mętnych wodach Tybru... Tak łatwo umrzeć w gęstym tłumie!

–Marie?

Ojciec Carzo wie gdzie jest za Parka, która chodzi po refektarzu, oglądając stoły. Pochyliła się. Znalazła coś na podłodze. Prostuje się i jej ręka jest pusta, a jednak Marie wpatruje się w nią. Potem idzie dalej, patrząc teraz na ziemię, jakby podążała dawno zatartym śladem. Przed zaśniedziałymi drzwiami, które wiodą do klauzury, zdaje się wyczuwać woń powietrza. Carzo

idzie za nią. Marie zatrzymuje się tuż przed ścianą i dotyka jej opuszkami palców. Zgrzyt. Ściana się rozsuwa. Marie bierze z rąk Carza pochodnię i oświetla bardzo stare schody, które nękają w ciemnościach. – Dokąd prowadzi to przejście, Marie?

Unosząc pochodnię, którą podali mu jego ludzie, Landegaard rusza śladem pustelnicy po schodach. Nieco niżej stara mniszka oparła się o ścianę. Sądząc po plamie krwi, jaka pozostała w tym miejscu, matka Gabriella długo tu odpoczywała, zapewne szukając w sobie sił, by iść dalej.

Płomień pochodni kołysze się, gdy inkwizytor omiata nim ściany i podłogę, szukając kolejnych śladów i zanurzając się we wnętrzu góry. Na ścianach widzi szron. Gdy stawia nogę na ostatnim stopniu, ma wrażenie, że wędruje tą drogą od wielu godzin. Mury korytarza zaginają się. Inkwizytor dochodzi teraz jakby do przełęczy – węższy tunel, który wybiera, cuchnie odpadami. To klasztorny zsyp. Wyciąga rękę i oświetla ściany. Widać na niej zamrożone ślady krwi – matka Gabriella wspinała się po tej pochylni. Inkwizytor uśmiecha się, przypominając sobie, że w jednej z ukrytych sal klasztoru widział klapę zsypu. Zapewne tam pustelnica cisnęła ewangelię i czaszkę Janusa, zanim sama wpadła w ręce złodziei dusz. Landegaard już po kilku krokach natrafia na ślady pozostawione przez pustelnicę, gdy wracała po przeszukaniu zsypu. Płomień pochodni coraz mocniej łamie się w przeciagu, a inkwizytor pokonuje około kilometra, spoglądając ku jasnej plamie wyjścia, która rysuje się w oddali. Pustelnica straciła tyle krwi, że Landegaard liczy się z możliwością odnalezienia jej zwłok gdzieś w pobliżu. A jednak nie. Obdarzona przez Boga nadludzką siłą, wytrwała.

Wkrótce Landegaard nie potrzebuje już pochodni. Dławi płomień obcasem i rzuca pochodnię za siebie, a potem w kilku susach dobiega do ciężkiej kraty, zamykającej tunel. Trochę krwi na zardzewiałych prętach, trochę na zamku, przy którym m pulowała, wkładając klucz. Uzbrojony we własny wytrych, rozprawia się z zamkiem i popycha kratę. Przed nim roztacza się widok na alpejskie szczyty.

Z oczyma łzawiącymi w oślepiającym świetle, w którym biel śniegu staje się zbyt jaskrawa, Landegaard kładzie rękę na płaskim kamieniu. Gdyby miał tędy uciekać, właśnie na tym kamieniu zostawiłby wiadomość dla inkwizytora. Wciąż wpatrując się w ośnieżone szczyty Alp, wodzi palcami po chropowatej skale i rzeczywiście odnajduje informację o celu wędrowki pustelnicy. Opactwo Maccagno Superiore,

kongregacja trapistów, których klasztor wznosi się nad zimnymi wodami jeziora Maggiore. Bracia ci wyprawiają zwierzęce skóry, a także parają się sztuką introligatorską. To im pustelnice powierzyły manuskrypt, by pokryli go kilkoma warstwami skóry, a następnie zaopatrzyli okładkę w zamek, w którym kryła się trucizna. Potem nabożne niewiasty wypisały na skórze czerwone filigrany, ukazujące się tylko w ciemnościach. Wykrzywiając w uśmiechu posiniałe z zimna usta, inkwizytor sięgnął po zawieszoną u pasa trąbkę i zadał w nią, ile sił w płucach. Gdy echo jego wezwania odbijało się od skał, on spoglądał na biegnącą granią drogę. Sześćdziesiąt kilometrów po oblodzonych, zdradzieckich ścieżkach, które wiją się daleko, aż do granicy Węgier. Najniebezpieczniejszy ze szlaków. W tamtą stronę uciekła pół roku temu pustelnica, zabierając ze sobą czaszkę i starą księgę.

Jest noc. Księżyc i gwiazdy kładą się na szczytach niesamowitym, niebieskawym światłem. Parks opada z sił, osuwa się na stelę, na której stara mniszka wskazywała cel swej wędrówki. Z tej płaskiej płyty, którą gładził Landegaard, pozostał dziś tylko stary, porośnięty mchem kamień.

–Marie, jak się pani czuje?

Parks szczęka zębami, owiewana przez zimny wiatr. Czuje, że dłoń Carza zaciska się na jej ramieniu. Chwyta się tej bliskości. Wizja już się skończyła, ale agentka wciąż czuje pulsowanie w skroniach. Jej nozdrza nadal drażni zapach Landegaarda. Pochyla się i wymiotuje. Nie tylko z powodu zapachu, ale i wspomnienia jego ciała. Jakby jej własne ręce i nogi nie zdołały jeszcze odzyskać normalnych rozmiarów. Marie Landegaard. Kolejny spazm zgina ją w pół. Unosi głowę i widzi, że kapłan patrzy na nią z niepokojem.

–Niech się ojciec nie przejmuj, już wróciłam.

I Marie aż podskakuje, bo jej głos jest równie obcy, jak to ciało.

Valentina toruje sobie przejście przez gęsty tłum wiernych i skręca w lewo, ku wyludnionym uliczkom Rzymu. W niespełna dziesięć minut dociera do Piazza Navona, tam jednak znowu natyka się na procesję. Idzie przez morze świec, których blask pada na zapłakane twarze, na śpiące w ramionach rodziców dzieci. Valentina wynurza się z tłumu i przystaje, znęcona zapachem gofrów sprzedawanych w pobliskim sklepiku. Gdy morze świec zamyka się za nią, Valentina odwraca się i zamiera z przerażenia. Po drugiej stronie placu pojawili się dwaj mnisi, którzy teraz bez problemu przechodzą między wiernymi. Na głowach mają obszerne kaptury i z daleka widać tylko blask ich oczu. Valentina przebiega kilka metrów i znowu się ogląda. Mnisi są już w środku tłumu. Można by pomyśleć, że nie idą, ale suną po ziemi, a ludzie nawet ich nie zauważają. „Boże, to oni...”.

Już niemal oszalała z przerażenia, Valentina przyspiesza i wchodzi w uliczkę wiodącą do Panteonu. Gryzie się w język, żeby nie kląć z bólu, gdy niemal skręca kostkę, biegnąc na obcasach po bruku. Zdejmuje pantofle i pędzi. Ciężko dysząc, kieruje się ku świecącym w dali latarniom. Psy szczekają, ogłaszając jej obecność, jakby chciały pomóc złodziejom dusz. „Zapomnij o tych bzdurach, Valentino, po prostu biegnij!”. Tuż przed Panteonem pani komisarz odwraca się i spogląda w ciemną, zapłakaną ulicę. Nie ma nikogo. Potem widzi, jak Mario wysiada z taksówki, kilka metrów od hotelu Abruzzi. Zatrzymuje się. Dwaj mnisi zbliżają się od drugiej strony, zza Panteonu, i idą w jego stronę. Zamiast patrzeć przed siebie, redaktor wybiera jakiś numer z klawiatury komórki. „Mario, błagam, rozejrzyj się...”.

Mnisi są zaledwie trzydzieści metrów od niego. Valentina widzi, że jeden z nich wyciąga zakrzywiony, lśniący sztylet, który błyszczy w świetle latarni. – Mario! Do cholery, uciekaj!

Deszcz i wycie wiatru zagłuszają te słowa. Mnisi są o dziesięć metrów od Maria. Redaktor stoi w deszczu i ponawia próbę połączenia się z kimś. Potem, nie podnosząc głowy, przykłada

telefon do ucha i idzie. Valentina biegnie, nie zatrzymując się, odbiera telefon, który się rozdzwonił, czuje łzy cisnące się do oczu, gdy rozpoznaje głos Maria.

–Valentina! Gdzie się podziewasz?

–Mario! Uważaj! Przed tobą! Redaktor staje.

–Co? O czym ty mówisz?

–Do diabła, Mario! Mnisi! Zabiją cię! Widzi, jak dziennikarz unosi głowę i jak w tej samej chwili sztylet uderza go w brzuch. Mężczyzna upuszcza telefon i zwraca oczy na biegnącą mu na pomoc Valentine. Ale jest za późno -mnich wyrywa sztylet z rany, ociera go o marynarkę Maria i zwraca się twarzą do Valentiny.

CZĘŚĆ DZIEWIĄTA

158

Jeziro Maggiore, Włochy, godzina dwudziesta pierwsza

Parks i ojciec Carzo nie zamienili ani słowa, gdy ich terenówka mknęła pośród nocy, by nadgonić czas. Trzy godziny podróży przez Szwajcarię i Przełęcz Świętego Gotarda, aby pokonać drogę, którą Landegaard odbył ze swymi ludźmi w ciągu dziesięciu dni

Zaparkowali nad jeziorem, a potem podeszli do spalonych murów opactwa Maccagno Superiore. Z tej średniowiecznej fortecy trapistów, przez długie lata broniącej Mediolańczyków przed barbarzyńcami, pozostały tylko zewnętrzne ściany czterech walących się budynków i kilka metrów ginących wśród krzewów murów obronnych. I jeszcze ruiny klasztoru, w których miejscowa dzieciarnia urządzała sobie ogniska i snuła straszliwe opowieści.

Carzo spojrzął na Parks. Jakby nieobecna duchem, wskazała starą kapliczkę, której ruiny sąsiadowały ze szczątkami klasztoru. Poszli w tym kierunku. Parks usiadła w starym fotelu celebrycy. Nadszarpnięty zębem czasu mebel zaczął trzeszczeć pod jej ciężarem. Tak samo, jak trzeszczał fotel pustelnicy w refektarzu w masywie Matterhornu. Także obicie było niemal identyczne, z czerwonego aksamitu, tak samo zakurzonego i pachnącego minionymi czasami.

–Jest pani gotowa?

–Tak. Parks zwraca głowę ku otworom strzelniczym w murach

Maccagno. Przez wąską szczelinę zagląda księżyc, który odbija się w tafli jeziora. – Proszę zamknąć oczy. Marie po raz ostatni spogląda na wyszczerbione mury i przewracane kamienne ławy. Potem zamyka oczy i otwiera umysł na głos Carza.

–Wysyłam panią w to miejsce, dziesięć dni po masakrze na Cervin. Według dziennika podróży inkwizytor Landegaard i jego ludzie przybyli do fortecy Maccagno o świcie dwudziestego pierwszego lipca tysiąc trzysta czterdziestego ósmego roku. Wiemy, że coś tu się stało. Coś, czego Landegaard nie przewidział, ale nie mamy pojęcia, co to było. To, co się wydarzyło tamtego dnia, z pewnością stanowi klucz do zagadki ewangelii i wyjaśnia jej dalsze losy. Musi pani zachować szczególną ostrożność, wiemy bowiem, że Landegaard nie był tu mile widziany i omal tu nie zginął. Dlatego musimy koniecznie się dowiedzieć, jaki los spotkał trapistów po wizycie inkwizytora w Maccagno i dlaczego. Głos kapłana staje się coraz dalszy, a Marie znowu czuje, jak przemienia się jej ciało, jak ręce obrastają mięśniami, jak wydłużają się nogi. Na jej torsie pojawia się owłosienie, mięśnie naprężają się. W końcu wyczuwa także przykry zapach brudu, bijący z krocza. Tak jak w Cervin, powietrze z wolna wypełniają inne zapachy, które stopniowo, jak pociągnięcia pędzla malarza, układają się w obraz. Jest tam żywa woń rozgrzanych skał,

tańczenie owadów, rzenie koni, które buntują się, nie chcąc iść po stromiznach. Potem resztki świadomości Parks rozpoznają te same odczucia, jakie były jej udziałem, kiedy po raz pierwszy wchodziła w skórę Landeggaarda, Znow poczuła tarcie cugli w rekach i drżenie przebiegające rumaka, którego dosiadała. Tego dnia upał był potworny, jednak ani żar słońca, ani spragnione krwi komary nie zakłócały

odpoczynku inkwizytora generalnego, który znów drzemał w siodle, pochylony, z brodą na piersi. Od czasu do czasu Thomas Landegaard otwierał oczy i spoglądał na głębokie wody jeziora Maggiore. W dali, na tle utkanego czerwonymi smugami nieba, rysowały się wieże Maccagno Superiore.

Słońce i górskie powietrze sprawiły, że twarze ludzi Lande-gaarda i samego inkwizytora ogorzały podczas dziesięciodniowej podróży po alpejskich granicach i stromiznach Matterhornu. O świcie szóstego dnia karoca jednego z notariuszy stoczyła się w przepaść. Landegaard stanął w strzemionach i przechylił się, patrząc, jak wóz roztrzaskuje się o ściany. Nie zastanawiając się nad losem tych, którzy być może przeżyli, rozkazał ludziom ruszać. O zmierzchu, kiedy wszystkie oczy od dawna wypatrywały klasztoru mariawitów w Ponte Leone, którego wieże powinny pojawić się na horyzoncie, dotarli do spalonych ruin i tu rozbili nędzne obozowisko.

Landegaard długo krążył między kolumnami, aż w końcu odnalazł napis, którego szukał. Pustelnica rzeczywiście zatrzymała się tu i spędziła kilka godzin, dość, by opatrzyć rany. Potem mariawici odkryli relikwie, które niosła, musiała więc znowu podjąć samotną wędrówkę do Maccagno. Landegaard bez trudu domyślił się dalszego ciągu wydarzeń, gdy znalazł szczątki mariawitów, których ukrzyżowano na wrotach klasztoru. Oznaczało to, że złodzieje dusz ruszyli w pościg za pustelnicą.

Ludzie Landegaarda wyjechali z Ponte Leone o brzasku. Zeszli z grani w kierunku lśniącego w dolinie jeziora Maggiore. Dzień był upalny. Ponaglani przez inkwizytora, aż do bram Maccagno jego ludzie mogli pozwolić sobie tylko na krótkie postoje. Parks jęknęła przez sen. Poprzez pamięć inkwizytora odkryła smutek i tragizm tych dziesięciu dni. Obudziła się, gdy orszak był blisko opactwa.

Pod murami twierdzy inkwizytor ściągnął wodze i uniósł dłoń w rękawicze. Podążające za nim karoce zatrzymały się pośród turkotu i skrzypienia kół. Landegaard wsłuchuje się w ciszę. Nie dociera tu ani szum wiatru, ani krakanie ptaków. Unosząc się w

siodle, po trzykroć wzywa strażę z murów. Jego głos odbija się echem od wysokich ścian i dogasa pośród bzyczenia owadów. Landegaard znowu wyteża słuch. Cisza. Wskazuje więc widoczny przez kraty mechanizm mostu zwodzonego swoim kusznikom, ci zaś przygotowują broń do strzału. Wtedy z murów dobiega cienki głosik, który pyta, kto przybywa w ten czas zarazy. Zaskoczony Landegaard spina konia. Rumak staje dęba, wzbijając tumany kurzu. Inkwizytor spogląda w górę i dostrzega ogoloną głowę wystającą zza blanki. Przytykając ręce do ust, krzyczy: – Ej, tam na murach! Nazywam się Thomas Landegaard i jestem inkwizytorem generalnym ziem Aragonii, Katalonii, Prowansji i Mediolanu. Mam rozkaz dokonać inspekcji kongregacji górskich, aby się upewnić, że nic złego nie przytrafiło się cytadelom Pańskim. Wiedz, bracie, że dżuma przeniosła się na północ i nic nie usprawiedliwia faktu, że muszę tu wrzeszczeć jak kruk, żebyś zechciał opuścić most i przyjąć wreszcie ambasadora Awinionu.

U boku mnicha pojawiają się inne tonsury. Wiatr niesie do uszu Landegaarda strzępy zdań z gorączkowej narady trapistów. Zaczyna wpadać w gniew, gdy pierwsza tonsura znów wysuwa się nad blanką.

–Dzięki Bogu, Ekscelencjo, nasza kongregacja nie ucierpiała na skutek tej plagi. Kazano mi jednak powiedzieć, że powinienes

bez zwłoki udać się do opactwa Santa Madonna di Carvagna nad jeziorem Como. Słyszeliśmy od włóczęgów, że przed miesiącem zaraza siała śmierć i rozpacz wśród naszych braci cystersów.

Landegaard zwraca się do swych ludzi i wymienia z nimi uśmiechy, a potem mówi:

–Te słowa wydają mi się, oględnie mówiąc, podejrzone, bracie trapisto. Wiedz, że inkwizytor mojej rangi nie zważa na opinie włóczęgów co do drogi, jaką powinien obrać, by wypełnić swą misję. Nakazuję wam natychmiast opuścić most, abym mógł się przekonać, że zaraza was oszczędziła. Opuśćcie go, albo, klnę się na Boga, uczynią to moi kusznicy.

Teraz na murach wręcz roi się od tonsur. Inkwizytor dolicza się szesnastu, a dalej widzi dwunastu mnichów, którzy krążą, wymachując rękami. Po chwili zgrzytają łańcuchy, niewidoczni

ludzie podnoszą kratę. Landegaard rozkazuje kusznikom ustawić się przed oddziałem, a potem spina konia. Inkwizytor, a w ślad za nim karoce, wjeżdżają do fortecy. Landegaard przypatruje się zgromadzonym na dziedzińcu trapistom. Czterdziestu brudnych, wylęknionych braci cudem przeżyło zarazę, żywiąc się krukami i psim mięsem, jak można się domyślać, widząc czaszki i kości walające się po dziedzińcu. Truchła kotów i ogony szczurów gniją na ziemi. Są nawet szczątki sów, które starcy ogryzali do kości, aby oszukać głód. A zatem do tak haniebnych zachowań dżuma zmusiła dumnych introligatorów i garbarzy z Maccagno. Choć jednak trapiści stracili nieco na tuszy, to ich sutanny wciąż opinają się na brzuchach i daleko im do wychudzenia. Coś tu nie gra. Ta tusza i dziwny blask oczu braciszków.

Kusznicy zajęli pozycje, a Landegaard pochylił się ku żołnierzowi, który podszedł, by przekazać mu szeptem jakąś wiadomość. Potem wyprostował się w siodle i zwrócił do mnichów.

–Powiedziano mi że źródło, które zasila w wodę wasz klasztor, zostało skażone przez zwłoki zadżumionego. Oczekuję wyjaśnień.

Te słowa powitała grobowa cisza. Po chwili rozległ się schrypnięty głos:

–Panie, topiliśmy śnieg i piliśmy deszczówkę. Jeden z notariuszy otworzył grubą księgę w skórzanej oprawie i położył ją na kolanach Landegaarda. Inkwizytor przejrzał kilka stronic.

–Gotów jestem przyjąć te wyjaśnienia, jeśli odnoszą się do minionej zimy, jednak mam tu zapisy dotyczące deszczu prowadzone przez sędziów z Como i Cawagna, i wiem, że tej wiosny były zaledwie cztery burze. Znów zalega cisza.

–Racście podwinąć rękawy i pokazać ręce notariuszom. Mnisi wypełniają polecenie, odsłaniając liczne nacięcia na

brudnych przedramionach. Trapieni brakiem wody, zmuszeni byli pić własną krew. Gdy kusznicy zaczęli obracać korbami, by przygotować broń do strzału, mnisi padli na kolana, błagając inkwizytora, by zechciał ich oszczędzić. Uciszył ich, uderzając wodzami o siodło.

–Pozostawmy Bogu osąd nad tymi uczynkami, a On zapewne okaże miłosierdzie za grzechy, które kazaliśmy znosić naszym sumieniom w ten czas rozpacz i zatracenia. To nie wasze przewiny sprowadzają mnie do tego klasztoru. Szukam pewnej starej pustelnicy, która uciekła z klasztoru na Cervin w środku zimy. Wiem, że tędy szła i oczekuję, że dowiem się od was, jakie były jej losy. Milczenie. Landegaard zaczyna się niepokoić.

–Czyżbyście pożarli nawet własne języki? Z moich rejestrów wynika, że przełożonym tej kongregacji jest ojciec Alfredo Toledańczyk. Niechaj stanie przed mną.

Kłęczący mnisi szepczą między sobą. Stary zakonnik podchodzi z pochyloną głową. Landegaard unosi ją końcem szpicruty. Oczy mnicha uciekają przed wzrokiem inkwizytora.

–Poznaliśmy się niegdyś w seminarium w Pizie, don Alfredo. Jeśli pamięć mnie nie myli, ukrywałeś wówczas pod warstwą pudru paskudną szramę, która pozostała ci na policzku po nożu łotra. Czyżby głód i pragnienie zatarty ją na twoje twarzy?

–To czas, Ekscelencjo, czas ją zatarał. Szpicruta Landegaarda przecina powietrze i rozdziera skórę mnicha. Jego twarz zalewa się krwią. Nieszczęśnik krzyczy, osłaniając się dłońmi.

–Teraz znów masz swą bliznę, kłamliwy braciszku. I zwracając się do pozostałych zakonników, którzy drżą ze strachu, dodaje groźnie:

–Bando wieprzy! Daję wam tyle czasu, ile trzeba, by rzucony przeze mnie kamień dotknął ziemi, na wyznanie, co stało się z ojcem Alfredo. Potem będę zmuszony nakazać katom, aby poddali was przesłuchaniu. Z szeregu kłęczących dobiega

drżący głos:

–Ekscelencjo, ojciec Alfredo odszedł spośród nas przed miesiącem.

–A na co umarł, jeśli łaska?

–Taka była wola Boga. Zagasł, a my czuwaliśmy przy nim, następnie zaś złożyliśmy jego ciało w grobie. Landegaard porozumiewa się bez słów z notariuszami. Stary Ambrozio, który dobrze zna czarną stronę natury ludzkiej, gładzi brodę. Inkwizytor także nie wierzy w to, co usłyszał.

–Poprowadźcie mnie zatem na cmentarz, do jego grobu.

Widać błysk u stóp Landegaarda. Zraniony mnich wyciągnął sztylet i rzucił się na inkwizytora, a ten spiął konia. Ostrze ugodziło zwierzę w kark. Zaraz potem strzała z kuszy świsnęła w powietrzu i wbiła się w szyję trapisty. Landegaard zeskoczył z konia, zanim ten zwałił się na ziemię. Rozkazał żołnierzom otoczyć mnichów. Potem, zostawiając ich pod silną strażą, rozkazał otworzyć grób ojca Alfredo i bez zdziwienia stwierdził, że jest pusty. Rozkazał swoim ludziom przetrząsnąć cały klasztor.

Już po kilku minutach usłyszał dźwięk rogu z podziemi. Natychmiast udał się do swych ludzi, którzy odnaleźli w jednej z cel szczątki opata, którego pozbawiono rąk i nóg. Rany i celowo zrobione nacięcia natarto grubą solą, aby zapobiec psuciu się mięsa. Mnisi dzień po dniu wykradali kawałki mięsa z boków i pośladków Alfreda.

Landegaard zadrżał, wyobrażając sobie te bezzębne starcze usta przeżuwające ludzkie ciało.

Inkwizytor polecił torturować mnichów przez całą noc, aby wydusić z nich prawdę o straszliwym losie, jaki zgotowali pustelnicy. Pośród jęków i wycia dowiedział się w końcu, że stara mniszka pukała do furty klasztornej trzynastego dnia swej wędrówki. Krzyczała pod murami, że przybywa z Cervin i domagała się azylu na noc, ale trapiści jej nie wpuścili, ograniczając się do rzucenia staruszce skibki chleba i garści obelg. I jeszcze ją opluli.

Najmłodszy członek nędznej kongregacji był jak potępieniec, kiedy miażdżono mu kości. Wyznał, że słyszał, jak pustelnica uderza w kamień przy zwodzonym moście, jakby coś tam wykuwała. Potem widział, jak odchodzi na wschód.

–A potem? Co było potem?

Trapista wrzasnął z bólu, gdy inkwizytor posypywał solą jego rany.

–Mów, przeklęty!

–Po dwóch dniach u bram stanęli konni, krzyczeli, że szukają pustelnicy zbiegłej z Cervin. Powiedzieliśmy, żeby odeszli w pokoju, ale oni wspinali się po murach, jakby ich nogi były rozwidłone jak kopyta kozła.

–Nie przerywaj, psie! Dowiedzieli się, dokąd poszła mniszka, kiedy ją wypędziliście?

–Na Boga, Ekscelencjo! Zmusili nas, żebyśmy im to powiedzieli!

–A zatem dlaczego was oszczędzili? Śmiejąc się jak obłąkany, trapista uniósł

tułów i splunął inkwizytorowi w twarz.

–Co ty sobie myślisz, ty boży bękarcie? Wyparliśmy się Maryi i oddaliśmy cześć diabłu, żeby pozostawili nas przy życiu. Kaci kontynuowali tortury, a Landegaard wybiegł przed bramę. Szybko znalazł kamień, na którym pustelnica wykuła wiadomość. Gorączkowo wodził palcami po skale. Nagle zmarł.

–Boże Wszechmogący, Panie miłosierny, poszła do opactwa cystersów Santa Madonna di Carvagna!

–Obudź się, Marie!

–Nieszczęsna! Szła prosto w paszczę zarazy! Niski głos, który dobywa się z ust Parks, raz po raz powtarza te słowa. Kobieta siedzi w fotelu z odchyloną do tyłu głową, wywraca oczami. Już od kilku minut Carzo sprawdza jej puls. Cienka, niebieska żyła pulsuje coraz mocniej, a Parks tkwi uwięziona w głębokim transie. Nagle dostaje konwulsji i Carzo szybko wstrzykuje jej adrenalinę, żeby podtrzymać serce, które uderza teraz ponad sto siedemdziesiąt pięć razy na minutę.

–Trzymaj się, Marie, zaraz cię tu sprowadzę. Adrenalina pali tętnice Parks, która z krzykiem wyrывa się w końcu z kręgu wizji. Unosi powieki i chwyta powietrze jak człowiek, który się topił. Pot występuje jej na czoło. Carzo niezdarnie tuli ją do siebie i kołysze jak dziecko, żeby ją

uspokoić i ogrzać. Kobieta jest przerażona.

–Co tam się stało, Marie? Co pani widziała? Głosem, który jest jeszcze bardziej Landegaarda niż jej własnym, Marie opowiada ostatnie sceny wizji ojcu Carzo, który wpatruje się w nią oczyma pełnymi zdumienia. Nieczuły na łzy ludożerców, Landegaard rozkazał pogrzebać ich żywcem. Potem jego Ludzie podpalili klasztor i oddalili się granią, którą kilka miesięcy wcześniej szła w stronę Dolomitów pustelnica. Widząc łzy, które spływają po policzkach Parks, Carzo przytula ją mocniej. Wie, że stała się świadkiem okrucieństw Inkwizycji, i że upłynie sporo czasu, zanim zdoła przełknąć wszystko, co ujrzała.

–Powiedziała pani, że pustelnica szła do opactwa cystersów Santa Madonna di Carvagna. Czy tak?

–Tak.

–Dobrze. Na teraz wystarczy. Musimy to przerwać, bo kolejny trans mógłby panią zabić.

–Poddajemy się?

–Wykluczone. Ale teraz już wiemy, że pustelnica nie powierzyła manuskryptu żadnej ze wspólnot, które prosiła o gościnę podczas ucieczki.

–Może dotarła do cystersów z Carvagna i tam zostawiła ewangelię?

–Nie sądzę, żeby miała taki zamiar. A poza tym trapiści z Maccagno Superiore powiedzieli Landegaardowi prawdę przynajmniej raz.

–Kiedy?

–Gdy zapewniali, że opactwo w Carvagna zostało wyniszczone przez dżumę. Z archiwalnych zapisów wiemy, że wpuścili brzemienną kobietę, nie wiedząc, że jest zarażona. Jeśli pustelnica zapukała do bram opactwa, nikt jej nie otworzył, bo zostały tam tylko trupy. Dlatego przejdziemy od razu do klasztoru w Bolzano, gdzie Landegaarda i jego ludzi czekała śmierć i gdzie ostatecznie urywa się trop manuskryptu. Tam też urywa się ślad pustelnicy.

Parks myśli o ostatnim liście inkwizytora, który czytała w bibliotece pustelnicy w Denver. O tym, w którym inkwizytor powiadał papieża, że duchy jego ludzi dobijają się do drzwi wieży, w której się schronił.

–Nie mam dość sił, żeby to przeżyć.

–Niech się pani nie boi, nie jestem aż tak szalony, żeby wysłać panią do Landegaarda tuż przed jego śmiercią. Nie zmośłaby pani tego.

Przytulona do kapłana, Parks wsłuchuje się w bicie dwóch serc, które łączy się w ciszy. Wie, że skłamał. I znów łzy tryskają jej z oczu.

–Mimo to chciałabym wcielić się w pustelnicę, żeby odnaleźć ewangelię.

–Będę z panią.

–Nie, Alfonso, będę sama i sama muszę pazurami wrywać ziemię na cmentarzu, kiedy augustianie pogrzebią jego zwłoki. Będę sama i dobrze o tym wiesz.

Carzo czuje oddech Marie na policzku. Zatapia spojrzenie w jej przerażonych oczach. Usta Parks przywierają do jego ust

–Marie...

Jeszcze przez chwilę próbuje się opierać. Potem zamyka oczy i łączy się z nią w pocałunku.

Rzym, godzina dwudziesta druga

Siedząc w limuzynie, która przyjechała po niego do dzielnicy Koloseum, kardynał Patrizio Giovanni jest zaniepokojony. W Watykanie panuje niezwykła cisza, pustka i wyczekiwanie, jakby Kościół wstrzymał oddech. Nawet tłum pielgrzymów, którzy wciąż gromadzą się na placu Świętego Piotra, jest cichy niczym armia zjaw. Jednak teraz, gdy limuzyna z trudem toruje sobie drogę między procesjami, kardynała Giovanniego najbardziej niepokoi, że od śmierci papieża nic nie toczy się tak, jak zwykle. A w każdym razie nic z tego, co regulują święte zasady i nienaruszalne tradycje Kościoła. Przed kilkoma godzinami kamerling papieski zapowiedział nawet, że ciało Jego Świątobliwości zostanie niezwłocznie złożone w ziemi, a okres stosownego oczekiwania na konklawe nie będzie

zachowany. Coś takiego nie zdarzyło się od stuleci. Późnym popołudniem stary kamerling wszedł na mównicę, i ogłosił kolegium kardynalskiemu tę wiadomość, uzasadniając zaskakującą decyzję niepokojami, jakie ogarnęły chrześcijaństwo. Wybór nowego papieża powinien dokonać się jak najszybciej.

Giovanni przypomina sobie szepty poruszonych dostojników. Następnie Campini ogłosił rozwiązanie soboru z mocy kanonu 34 konstytucji apostolskiej Universi Dominici Gregis i zwołał konklawe, które miało się rozpocząć zaraz po pogrzebie. Od tej chwili w Rzymie panowała martwa cisza. Jakby coś wdarło się do Watykanu. Coś, co przejmowało kontrolę nad Stolicą Apostolską.

Kardynał Giovanni spogląda na mokre ulice starego miasta przez okna limuzyny. W kabinie pachnie skórą i dobrą whisky. To bentley z kolekcji należącej do kardynała Angela Mendozy, watykańskiego sekretarza stanu i premiera Państwa Kościelnego. Tuż po wystąpieniu kamerlinga, kiedy kardynałowie komentowali decyzję i w sali rozbrzmiewały szepty, pomarszczona ręka Mendozy położyła na pulpicie przed Giovannim kopertę, ten zaś schował ją, udając, że zbiera wszystkie swoje dokumenty. Potem odprowadził spojrzeniem starca, który odchodził, łopocząc sutanną, i tak otworzył kopertę, by nikt tego nie zauważył. Wewnątrz znalazł tylko jedną kartkę, na której Mendoza nabazgrał kilka łacińskich słów, znaczących: „Głupiec ma w głowie swojej oczy, ale mędrzec chodzi w ciemności”.

Giovanni uśmiechnął się, czytając tę nową wersję fragmentu Eklezjastesy, w którym stary Mendoza zamienił podmioty: „Mędrzec ma w swojej głowie oczy, ale głupiec chodzi w ciemności” – takie było pierwotne brzmienie maksymy. Teraz, ponownie rozkładając kartkę, którą czytał już w hotelowym pokoju, tuż po wyjściu z soboru, Giovanni nie ma ochoty się uśmiechać na widok wypisanych czerwonym tuszem zdań, które wirują mu przed oczyma. To fosforyzujący tusz, który pojawia się tylko w ciemnościach, gdy znika tekst oryginalny. Znak kawalerów zakonu archiwistów, którzy zawsze używają tej sztuczki pustelnic, by zachować sekret. Giovanni raz jeszcze

czyta czerwone słowa, jakby wtopione w strukturę papieru:

Moja limuzyna będzie czekała

o dwudziestej drugiej przy Via San Gregorio 12.

Proszę z nikim nie rozmawiać.

Grozi ojcu niebezpieczeństwo.

Giovanni złożył kartkę i wsunął ją do kieszeni sutanny. Kardynał Mendoza to numer dwa w hierarchii możliwych Watykanu, wierny przyjaciel zmarłego papieża, członek starej gwardii. To on pół roku temu rekomendował papieżowi Giovanniego, popierając jego wyniesienie do godności kardynała w dniu pięćdziesiątych urodzin, co czyniło go najmłodszym z ksiąząt Kościoła. I najbardziej naiwnym. Lecz nawet tak mało doświadczony wśród starych, sprytnych wyjadaczy, Giovanni szybko się nauczył, że lepiej zaufać jednemu, niż podejrzliwie odnosić się do wszystkich. Dlatego zawierzył temu, za sprawą którego osiągnął obecną pozycję. I dlatego wiadomość od Mendozy tak go zaniepokoiła oraz ta cisza, która spowiła Watykan.

Kardynał otworzył oczy. Limuzyna zatrzymała się przy zaułku, w którym na końcu widać było błyszczący neon trattorii. Kelner z parasolem czekał przed wejściem służbowym.

–Jesteśmy na miejscu.

Metaliczny głos szofera wyrywa kardynała z zadumy. Zwraca oczy na szybę dzielącą go od kierowcy, jednak ten patrzy przed siebie. Giovanni otwiera drzwi i spogląda na swoje mokasyny, które zanurzają się w kałuży. Wysiada z limuzyny. Wóz natychmiast rusza.

Kardynał wchodzi w zaułek. Kelner zbliża się do niego i pyta szeptem:

–Eklezjastes?

–Słucham?

Giovanni patrzy w zimne oczy mężczyzny, który czeka na odpowiedź. Kardynał otwiera usta, by jej udzielić, i właśnie wtedy dostrzega czające się w zaułku cienie. Czterech mężczyzn. Cofa się, rozpoznając stojącego najbliżej, na którego twarz padło światło latarni – to kapitan Silvio Cerentino,

kapitan gwardii zmarłego papieża.

–Do diabła, co tu się dzieje? Co robią szwajcarzy poza murami Watykanu?

–Zadałem pytanie. Czy ojciec jest Eklezjastesem? Głos kelnera jest ostry.

Giovanni drży, widząc, jak mężczyzna wsuwa rękę pod marynarkę, sięgając po broń.

Odpowiada:

–„Głupiec ma w głowie swojej oczy, ale mędrzec chodzi w ciemności”.

Na twarzy kelnera widać ulgę. Wyjmuje rękę z kłapy i przesuwa parasol, by osłonić kardynała.

–Kardynał Mendoza już czeka, Eminencjo. Giovanni zerka w zaułek. Gwardziści zniknęli.

Na placu Świętego Piotra tłum pielgrzymów gęstnieje. Teraz ludzi jest tak dużo, że szepty nabierają mocy grzmotu. Setki tysięcy ust modlą się w lesie płonących świec. To tak, jakby stanął tu potwór, hydra o tysiącach smutnych twarzy i nieruchomych ciał.

Ze szczytu schodów bazyliki kardynał Campini spogląda na morze ludzkich głów, które zbliża się jak fala. Ma wrażenie, że cały chrześcijański świat przybywa do Rzymu, jakby wierni czuli, że w Watykanie trwa wielka rozgrywka. Campini kątem oka dostrzega potężną sylwetkę komendanta gwardii, który stanął obok niego.

–Słucham.

–Trzej kardynałowie nie odpowiedzieli na wezwanie, Eminencjo. Campini z niepokojem zwraca ku niemu twarz,

–Którzy?

–Kardynał sekretarz stanu Mendoza, kardynał Giacomo z Kongregacji do spraw Biskupów i kardynał Giovanni.

–Dwaj pierwsi przekroczyli granicę wieku wykluczającą ich z udziału w konklawe.

–Mimo wszystko, Eminencjo, kardynał sekretarz stanu oraz przewodniczący Kongregacji do spraw Biskupów to numer dwa i sześć w Watykanie.

–Przypominam, że po śmierci numeru jeden, numer dwa i sześć znaczą tu tyle, co ich odpowiedniki w talii kart. Kiedy nie ma papieża, rządzi wyłącznie kamerling. A kamerlingiem jestem ja.

–Wasza Ekscelencja uważa, że coś wiedzą?

–Moim zdaniem wydaje im się, że wiedzą. Tak czy inaczej, cokolwiek knują, jest już za późno. Zapada milczenie.

–Czy są jakieś wieści o ojcu Carzo i tej Marie Parks, która widzi tyle rzeczy?

–Opuścili opactwo w Maccagno Superiore. Kierują się teraz do Bolzano.

–Ewangelia musi zostać odnaleziona przed uroczystą mszą, która będzie odprawiona tuż po elekcji Wielkiego Mistrza.

–Może powinniśmy wkroczyć?

–Niech pan nie ingeruje w sprawy, które pana przerastają. Niech nikt się nie waży tknąć ojca Carzo, dopóki nie nadejdzie czas.

–Co z kardynałami, którzy nie odpowiedzieli na wezwanie?

–Sam się tym zajmę. Campini jeszcze raz ogarnął spojrzeniem tłum.

–Proszę wzmocnić kordon ochronny i zamknąć bazylikę. Komendant skinął na swych ludzi, rozkazując im zewrzeć szyki. Potem pchnął ciężkie drzwi za szambelanem i zniknął w świątyni.

Kelner poprowadził kardynała do prywatnego saloniku trattori. Otworzył drzwi i usunął się, przepuszczając go. Giovanni przystanął w progu przytulnego pomieszczenia o ścianach obitych tkaninami, ze starym, przyjaźnie trzeszczącym parkietem. Przy jednym okrągłym stole, pośrodku salonu, siedzą kardynał Men-doza, kardynał Giacomo, prefekt Kongregacji do spraw Biskupów, oraz starszy pan w ciemnym garniturze i filcowym kapeluszu. Twarz staruszka jest tak pomarszczona, że wydaje

się stale uśmiechnięta.

Giovanni wdycha woń cygar i likierów, wypełniającą wnętrze. Właśnie w takich salkach rzymskich restauracji spotykają się wpływowi duchowni, by w spokoju, z dala od wścibskich obserwatorów, pomówić o sprawach wymagających zachowania dyskrecji. To, o czym nikt nie śmie nawet szepnąć na terenie Watykanu, tu mówi się między dwoma łykami likieru albo kawy. I tu rodzą się intrygi, tu decyduje się o klęsce ambitnych, niełasce dla zbyt potężnych, banicji dla pyszałków. Giovanni usiadł na wprost kardynała Mendozy. Kelner napełnia winem kieliszek i stawia przed nowo przybyłym talerzyk z kawałkiem ciasta. Potem pyta półgłosem, czy goście zamierzają zjeść kolację. Stary kardynał dziękuje gestem. Kelner wychodzi, zamykając za sobą drzwi.

–Pozwoliłem sobie zamówić to wyśmienite tiramisu oraz karafkę grappy z Abbruzji, które na pewno smakowałyby Naszemu Panu – uśmiechnął się Mendoza.

–A gdyby Eminencja zechciał mi najpierw powiedzieć, co się tu właściwie dzieje?

–Proszę spokojnie zjeść ciasto, potem porozmawiamy. Giovanni ulega namowom. Czekolada połączona z alkoholem drażni jego gardło. Potem kardynał spogląda na Mendozę, który obserwuje go przez dym cygara. Starszy pan w kapeluszu ledwie tknął deser. Teraz zwija papierosa, skleja go i zapala staromodną zapalniczką. Potem odwraca się do mężczyzny w garniturze, który wszedł do saloniku z grubą kopertą pod pachą. Pochylając się nad starszym panem, coś do niego szepcze i wychodzi. Giovanniego ogarnął niepokój. Sycylijczycy. Starszy podaje kopertę Mendozie.

–Słucham, Eminencjo – przerywa milczenie giovanni. – Po co mnie tu Eminencja ściągnął i kim są ci ludzie? Mendoza odkłada cygareto na brzeg popielniczki.

–Patrizio, mamy poważne podstawy do obaw, że Watykan wkrótce może przejść w obce ręce. Sobór był tylko pretekstem, a konklawe stanie się czystą formalnością.

–Czarny Dym Szatana?

–Wiemy, że to oni zamordowali Ballestrę. Wiemy także, że nasz stary przyjaciel odkrył coś w watykańskich podziemiach.

–Ale co?

–Mozolnie gromadzone od stuleci dowody spisku.

–A zatem?

–Po śmierci Ballestry, a także podejrzanym zgonie papieża, wydobyliśmy z naszych własnych archiwów akty zgonu papieży od XIV wieku i odkryliśmy, że dwudziestu ośmiu z nich skonało na tę samą, niezwykłą i gwałtowną chorobę.

–Czy Eminencja chce mi powiedzieć, że Jego Świątobliwość został

zamordowany?

–Obawiam się, że tak.

–I na co Eminencja czeka, zamiast położyć kres tej maskaradzie i ujawnić światu całą prawdę?

–To nie takie proste, Patrizio.

–Nie takie proste?! Eminencjo, wysłała po mnie Eminencja limuzynę, która zabiera mnie z Koloseum, informuje mnie o tym spotkaniu szyfrem archiwistów, na miejscu uzbrojony kelner wita mnie jak złoczyńcę i żąda podania hasła w uliczce, której strzegą szwajcarzy w cywilu, a potem częstuje mnie Eminencja grappą i oznajmia, że papież został zamordowany, a Czarny Dym zamierza przejąć władzę w Watykanie. Proszę sobie wyobrazić, że to zrozumiałem. Ale nie mogę zrozumieć, czego Eminencja ode mnie oczekuje i dlaczego rozmawiamy w obecności nieznanego, który szepcze coś na boku do Sycylijczyka.

Starszy pan w kapeluszu uśmiecha się. Mendoza sący grappę i spokojnie odstawia kieliszek.

–Patrizio, przedstawiam ci dom Gabriela.

–Mafia? Czy Eminencja oszalał?

–Ta mafia, jak powiedziałeś, to wielka rodzina, która ma kuzynów, wujów i zdrajców. Dom Gabriel reprezentuje gałąź Cosa Nostry z Palermo, tradycyjną mafię, z którą Kościół od z górą stu lat utrzymuje cenne i nieuniknione relacje. Zapewniam cię, że nic nie jest jednoznacznie naganne. Dom Gabriel to przyjaciel i człowiek wierzący. Przyszedł do mnie, ponieważ ma dla nas bardzo istotne informacje.

–Jakiego typu?

Starszy pan wypuszcza z ust kłęb dymu. Gdy zaczyna mówić, Giovanni czuje się, jakby słuchał bohatera filmu.

–Tej nocy sprzymierzone rodziny z Trapani, Agrigente i Messyny uprzedziły nas, że toczą się pertraktacje między zdradzieckimi gałęziami Camorry i Cosa Nostry. Nazywamy ich zgniłymi owocami, które spadły z drzewa.

–Nie bardzo pana rozumiem.

–Mafia, jak mówią ci, którzy nie umieją trzymać języka za zębami, składa się z pięciu głównych organizacji. Camorra i Cosa Nostra są najstarsze. Nienawidzimy się, ale zachowujemy się honorowo. Następna jest 'Ndrangheta, Kalabryjczycy. To źli ludzie, wyjątkowo okrutni. Kolejna to Stidda, co po sycylijsku znaczy gwiazda. To odszczepieńcy Cosa Nostry. Łatwo ich rozpoznać, bo ci kretyni tatuują sobie pięcioramienne gwiazdy pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem. Ich domena to azjatyckie narkotyki i dziwki z Europy Wschodniej. Są źli. Ale najgorsi, ci z Sacra Corona Unita, pochodzą z Apulii. To wściekłe psy. Prostytuują dzieci i mordują starsze panie. A może odwrotnie, sam nie wiem. Zdegustowany Giovanni spogląda na kardynała Mendozę.

–Czy naprawdę musimy tego słuchać?

–Dom Gabrielu, może zechce pan przejść do faktów. Starszy pan zaciąga się cygarem i zdejmuje okruchy tytoniu, które przyklepiły mu się do języka.

–W toczących się pertraktacjach, o których dowiedziała się Cosa Nostra, biorą

udział liczne klany Stiddy i Sacra Corona Unita. Mówi się, że tej nocy z pewnych brudnych rąk w ich łapy przeszły duże pieniądze. Jegomości w garniturach przyszli prosić tych rzezimieszków o wypełnienie dość szczególnej misji w zamian za walizki pełne banknotów. Takiego świętokradztwa Camorra ani Cosa Nostra nie dopuściłaby się za całe złoto świata.

–Jakie to świętokradztwo?

–Dziś w nocy, o pierwszej, uzbrojeni ludzie ze Stiddy i Sacra Corona Unita wzięli jako zakładników setkę rodzin zamieszkujących w różnych regionach Włoch i całej Europy. To rodziny kardynałów uczestniczących w konklawe. Niewątpliwie celem jest wymuszenie na nich głosowania zgodnie z wolą szantażystów i we wskazanym momencie.

Giovanni uniósł się lekko w fotelu.

–Nie zamierzam dawać wiary łgarstwom jakiegoś rzezimieszka.

–I popełnia Wasza Eminencja błąd, bo być może ten rzezimieszek, jak to Eminencja ujął, ocali głowę Eminencji.

–Zmarnowałem już dość czasu, jak na jeden wieczór.

–Usiądź, Patrizio. Giovanni uległ.

–Mimo wszystko nie powie mi Eminencja, że nie wierzy ojcu chrzestnemu mafii, gdy twierdzi, że watykańscy dygnitarze wysłali najemników, żeby wywrzeć nacisk na kardynałów i sterować głosowaniem podczas konklawe! Na znak Mendozy dom Gabriel podaje Giovanniemu grubą kopertę, którą przed chwilą przyniósł mu jakiś człowiek.

–Proszę to otworzyć.

Giovanni wyjmuje z koperty około dziesięciu zdjęć. Natychmiast rozpoznaje oliwną alejkę wiodącą do domu jego rodziców na wzgórzach Germagnano w Apeninach, a także klomby zdobiące stary, osiemnastowieczny budynek i drewnianą bramę. Na kolejnych fotografiach widzi rodziców siedzących na kanapie w salonie. Matka ma na sobie odwieczną sukienkę w kwiaty i wełniane kapcie, ojciec nosi starą myśliwską kurtkę i sztruksowe spodnie o rdzawej barwie. Oboje trzymają ręce na plecach – są związani, a usta mają zaklejone grubą taśmą samoprzylepną. Na ostatnim zdjęciu człowiek z Sacra Corona Unita przyciska lufę automatu do skroni zapłakanej staruszki. Młody kardynał obrzuca dom Gabriela nienawistnym spojrzeniem.

–Jak pan zdobył te zdjęcia?

–Słono za nie zapłaciłem.

–Skąd mam wiedzieć, że to nie pańscy ludzie są na tych fotkach?

–Moi ludzie nigdy nie chodzą zamaskowani

–Dość tego! Giovanni odsuwa fotel i zarzuca płaszcz.

–Dokąd to?

–Pokażę to karabinierom.

–Po co?

–A jak pan sądzi?

–Kardynale, ludzie Stiddy i Sacra Unita kontaktują się przez walkie-talkie co kwadrans i używają szyfru. Jeżeli karabinierzy podejmą próbę uwolnienia jednej z rodzin, wszystkie pozostałe zostaną natychmiast wymordowane. Czy tego Eminencja chce?

–Żaden mafiozo nie będzie mnie pouczał!

–Nie oddali się Eminencja nawet trzydzieści metrów od tego saloniku.

–To groźba?

Starszy pan znów wypuszcza kłęb dymu. Już się nie uśmiecha Do rozmowy włącza się kardynał Mendoza:

–Patrizio, wkrótce zacznie się konklawe. Nie mamy chwili

do stracenia. Być może jest pewien sposób, żeby powstrzymać Czarny Dym, ale musimy działać bardzo szybko. Daj mi parę minut, a spróbuję cię przekonać. Potem podejmiesz decyzję zgodną z własnym sumieniem.

Giovanni nie wiedział, co odpowiedzieć, więc usiadł, chwycił kieliszek grappy i opróżnił go niemal jednym tchem. Alkohol popłynął mu do gardła niczym lawa. Potem kardynał odstawił kieliszek i spojrzał Mendozie w oczy.

–Słucham.

166

–Czy słyszał ksiądz o organizacji Novus Ordo?

–Nie.

–Novus Ordo to ściśle tajna loża, założona u schyłku średniowiecza. Wciąż istnieje i skupia czterdzieści najbardziej wpływowych osób z całego świata. To swoisty klub władzy, bogatych przemysłowców i bankierów, którzy potajemnie rozstrzygają o losach ludzkości. Nikt nie wie, kim są ani jak wyglądają.

–Chyba nie zamierza mi pan prezentować historii o Panach świata?

–Kardynale Giovanni, gdy ktoś chce przekonać ludzi, że coś nie istnieje, najpierw rozsiewa plotki o istnieniu tej rzeczy, a następnie tak przeczy tym pogłoskom, by wszyscy uwierzyli, że to tylko plotki. Dzięki temu wszystko, co wydaje się dowodem, jest podważane jako nowy element plotkarskiej afery i utwierdza ludzi w przekonaniu, że tej rzeczy nigdy nie było. W ten sposób Novus Ordo mógł się spokojnie umacniać przez całe stulecia. Wszyscy o nim słyszeli, ale uważali, jak Eminencja, że to tylko bezpodstawna plotka.

–Twierdzi pan, że Novus Ordo otoczył się legendą, żeby się za nią bezpiecznie ukryć?

–Tak. To legenda Illuminati, wszechpotężnej loży, którą miał założyć w roku tysiąc siedemset siedemdziesiątym szóstym były jezuita z Weinbergu. Elita elity. Novus Ordo stworzył nawet symbol tego mitu – piramidę, której wierzchołek rozświetla oko najwyższej wiedzy. Oświecona elita i ciemny lud. Doprowadzono do umieszczenia tego symbolu oraz dewizy Illuminati na amerykańskich jednodolarówkach, aby wszyscy mogli je zobaczyć. Potem rozsiano plotkę o odpowiedzialności Illuminati za wszystko. A tymczasem Novus Ordo spokojnie rozkwitał.

–Założmy, że to prawda. Co to ma wspólnego z Czarnym Dymem?

–Novus Ordo został stworzony przez Czarny Dym u schyłku średniowiecza i sądzimy, że jego kardynałowie, a w każdym razie Wielki Mistrz, należą do tej elity.

–Pańskim zdaniem Czarny Dym to tylko watykańska gałąź Novus Ordo?

–Z biegiem czasu tym właśnie się stał – częścią potężnej sieci, którą sam stworzył. Ale nie byle jaką częścią, ponieważ Czarny Dym kieruje najważniejszą misją Novus Ordo.

–Jaką?

–Zniszczeniem Kościoła od wewnątrz. To podstawowy warunek przejęcia pełnej kontroli nad światem przez Novus Ordo.

–To kompletny absurd!

–Nie, Patrizio, to nie są plotki – wtrąca Mendoza. Zapada cisza.

–Jak to się zaczęło?

–Trzynastego października tysiąc trzysta siódmego roku- podjął Mendoza – w dniu pojmania templariuszy, agenci króla Francji, którzy przeniknęli do Watykanu, wymordowali

większość oddanych zakonowi kardynałów. Siedmiu potężnych popleczników templariuszy zdołało uniknąć śmierci. To oni założyli Czarny Dym Szatana. W tym samym czasie dygnitarze templariuszy uwięzieni we Francji trafili do lochów Paryża, Gisors

i Chinon, gdzie czekali na śmierć. Mieli zostać poddani torturom, a następnie spaleni. Tuż przed egzekucją udało im się powierzyć braciom z zakonu misję przewiezienia i ukrycia ośmiu krzyży z szyfrem templariuszy. Ośmiu krzyży ośmiu błogosławieństw. I znów zapada cisza.

–Uwięzieni dygnitarze wydrapali na murach lochów informacje o tym, gdzie znajduje się należący do każdego z nich krzyż. Tych osiem skrytek było znanych kolejnym pokoleniom templariuszy, a dowiedzieli się o nich kardynałowie Czarnego Dymu i ich emisariusze zdołali po latach odnaleźć rozproszone krzyże. Po chwili kardynał Mendoza dodał:

–Dzięki ośmiu krzyżom błogosławieństw kardynałowie Czarnego Dymu ustalili, gdzie templariusze ukryli po krucjatach swe skarby. Bo osiem krzyży wskazywało to miejsce.

–Gdzie to jest?

–Uważa się, że gdzieś w podwodnych grotach u wybrzeży wyspy Hierro, w archipelagu Wysp Kanaryjskich, w nadal dziewiczym i niezbadanym rejonie.

–Czy wiadomo, jaką wartość ma ten skarb?

–W apogeum bankierskiej dominacji zakonu templariusze gromadzili rocznie równowartość piętnastu miliardów dolarów. Udzielali pożyczek królom i możnym, byli bankierami i armatorami krucjat i posiadali własne statki. Prowadzili handel. Stworzyli banki, weksle, obrót wierzycielnościami, kredyty. A ponieważ działali bez przeszkód i z wielkim rozmachem przez czterdzieści siedem lat, ocenia się, że przez ich ręce mogło przejść niemal siedemset osiemdziesiąt miliardów dolarów według obecnego kursu. Oczywiście nie wszystkie pieniądze należały do nich, jednak biorąc pod uwagę dochody z dziewięciu tysięcy komandorii, majątków ziemskich, zamków, handlu, a także odsetek i obrotu długami, który uprawiali wobec zubożałych seniorów i zrujnowanych wojnami królów, można z

dużym prawdopodobieństwem założyć, że w chwili unicestwienia zakonu jego majątek sięgał stu siedemdziesięciu trzech miliardów dolarów w złocie i kamieniach szlachetnych. Uważa się więc, że wykorzystali swe statki handlowe, żeby przewieźć skarb do wybrzeży Hierro. Po chwili milczenia Giovanni zapytał:

–Co było dalej?

–W okresie tego powolnego i dyskretnego odzyskiwania skarbu kardynałowie wierni zakonowi milczeli. Prawdopodobnie poświęcili ten czas na budowę bractwa i nawiązywanie kontaktów z wielkimi bankierami średniowiecza

–Lombardczykami, Genueńczykami, Wenecjanami i Florentyńczykami. Każdy z możliwych rodów bankierskich otrzymał część skarbu oraz rozkaz, by co pomnażać i otwierać nowe banki w całej Europie. Dzięki tym ogromnym sumom bankierzy Novus Ordo przejęli rolę wierzycieli władców i możnych, których zbroili w okresie wojny stuletniej, a potem rujnowali, przejmując kontrolę nad ich finansami.

–Tak jak u szczytu potęgi zakonu? Mendoza skinął głową.

–Wiemy, że od połowy piętnastego wieku Novus Ordo tworzyło jedenaście rodów, których potęga ogarniała Italię i całą Europę. Ale rejon śródziemnomorski nie zaspokajał już ogromnych apetytów tych ludzi, zapragnęli zyskać nowe szlaki morskie. Dzięki bajecznym bogactwom, które zgromadzili, bankierzy Novus Ordo mogli budować coraz większe i coraz doskonalsze statki. To oni wyposażyli karawele Kolumba, Corteza i Pizarra. Oni sfinansowali wyprawy Cabrala i Magellana, których statki po raz pierwszy opłynęły kulę ziemską w roku tysiąc pięćset dwudziestym drugim. Złoto Inków, przyprawy z Indii, handel niewolnikami na wielką skalę

–w ten sposób Novus Ordo trwał przez wieki, budując potężne imperium.

Podporządkowane organizacji rody obalały królów, podsycaly rewolucje, a następnie finansowały amerykańską walkę o niepodległość, by w końcu dotrzeć za Atlantyk i stworzyć wielkie dynastie Nowego Świata. I wreszcie bankierzy doprowadzili do rewolucji przemysłowej, rozkwitu kolei żelaznej i transportu lotniczego, wydobywania ropy naftowej oraz

handlu międzynarodowego. Za wszystkimi tymi imperiami, za międzynarodowymi koncernami stał skarb templariuszy. Stulecia obrotu handlowego, pobierania procentów i dywidend. Te potężne rody przekazywały sobie pałeczkę, a elita, zawsze złożona z intelektualnych przywódców Novus Ordo, kontroluje dziś niemal cały obrót giełdowy i większość liczących się banków na świecie. Novus Ordo wprowadza demokrację i obala dyktatury. Finansuje rewolucje i destabilizuje rządy, których polityka jest sprzeczna z interesami organizacji. Podobnie jak w republikach Genui, Florencji czy Wenecji, skupia się na kontroli nad bogactwami świata i eksploatacji społeczeństw dla dalszego bogacenia się. Ale bogacenie to tylko skutek, nie cel sam w sobie. Bo przede wszystkim Novus Ordo dąży do zniszczenia religii i wyzwolenia dusz, by tym skuteczniej je podporządkować. Chodzi o władzę najwyższą. Giovanni przez chwilę wpatruje się w milczeniu w pusty kieliszek. Potem patrzy w oczy kardynałowi Mendozie.

–Mogę o coś zapytać?

–O co?

–Skąd Eminencja wie o tym wszystkim, nie należać do Czarnego Dymu?

Mendoza porozumiewa się wzrokiem z kardynałem Giacomo, który od początku spotkania nie powiedział jeszcze ani słowa. Stary kardynał z Kongregacji do spraw Biskupów kiwa głową i podejmuje:

–Na początku lat sześćdziesiątych, tuż przed Soborem Watykańskim II, udało nam się wprowadzić agenta do Czarnego Dymu. Nie po raz pierwszy Watykan podjął taką próbę. Na przestrzeni wieków odnaleziono zmasakrowane zwłoki jedenastu agentów, których misja się nie powiodła. Błąd naszych poprzedników polegał na niedocenianiu przeciwnika. Czy jednak można ich winić, skoro do dziś nie wiemy, z kim dokładnie mamy do czynienia?

Cisza.

–Wyciągając wnioski z tych niepowodzeń, przeanalizowaliśmy dane o wszystkich przyszłych biskupach i wybraliśmy tylko jednego – młodego protonotariusza Armonda Valdeza, którego wzorowa służba dowodziła niezłomnej uczciwości i wiary. Wezwaliśmy go i powiadomiliśmy o istnieniu Czarnego Dymu, by zaproponować przeniknięcie do tej organizacji. Nie kryliśmy, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo, jeśli podejmie się tej misji. Zgodził się, a my zadbaliliśmy o jego przygotowanie, kierując do Akademii Papieskiej oraz kilku trudnych nuncjatur w różnych zakątkach świata. Równocześnie nasi egzorcyci wprowadzili go w tajniki sił Zła i kultu nienazwanego. Milczenie, Kardynał Mendoza spogląda na Giovanniego.

–Upłynęły cztery lata – Valdez został biskupem, potem kardynałem. Robił błyskotliwą karierę, którą można było tłumaczyć jedynie poparciem Czarnego Dymu. Kilka tygodni po tej nominacji otrzymaliśmy od niego zaszyfrowaną wiadomość o przyjęciu go do bractwa. Ta infiltracja wymagała od nas siedmiu lat cierpliwości i nieprzespanych nocy. Znowu chwila ciszy.

–Zgodnie z naszymi wskazówkami kardynał Valdez przez trzy lata zachowywał bierność, aby przeniknąć jak najgłębiej struktury Czarnego Dymu. Potem, gdy powiadomił nas, że należy do najściślejszego kręgu ośmiu kardynałów kierujących bractwem, reaktywowaliśmy go. Wtedy zaczął zbierać informacje o tajemnicach Czarnego Dymu i przekazywać nam raporty za pośrednictwem misji, które miały rozkaz przesyłać je nam bezpiecznymi kanałami.

–Jakie to kanały?

–Najczęściej robi się to za pośrednictwem prostych misjonarzy, którzy mają odbierać raporty agenta ze skrzynek bagażowych na lotniskach i oddawać nam do rąk własnych.

–Co było w tych raportach?

–Kardynał Valdez wypełniał podwójną misję: miał rozpracować strukturę Novus Ordo na świecie i, w miarę możliwości, ustalić tożsamość siedmiu kardynałów stojących na czele Czarnego Dymu. Szczególnie zależało nam na zdemaskowaniu Wielkiego Mistrza. Problem polega na tym, że

przywódcy Czarnego Dymu nie znają się wzajemnie, a na zebrania bractwa

przychodzą w maskach, z urządzeniami deformującymi głos. Nie można zdradzić kogoś, kogo się nie zna. Choć Wielki Mistrz i najbardziej zaufany kardynał znają innych członków bractwa, jednak żaden z tych ostatnich nigdy nie widział twarzy współbraci. Ale wiemy, że przed tygodniem Valdez zdołał sfotografować jednego z nich w małym szkockim dworku. Wysłał przez liczne misje na całym świecie list, używając szyfru templariuszy, oraz wspomniane zdjęcia.

–Czy to Wielki Mistrz?

–Nie. To kardynał kamerling Campini, numer dwa Czarne Dymu. Zapadła głucha cisza.

–A kto jest numerem jeden?

–Wiemy tylko, że to on został wyznaczony przez bractwo na następcę papieża, jeżeli Czarny Dym zdoła rozstrzygnąć o wyniku konklawe. A wydarzenia, o których doniósł nam dom Gabriel, zdają się to potwierdzać, podobnie jak tragiczna śmierć najpoważniejszego kandydata na papieża w katastrofie samolotu Cathay Pacific nad oceanem.

–Kardynał Centenario? Boże, nie sądzi Eminencja, że to...

–To także ustalił kardynał Valdez. Dowiedział się o przygotowaniach do zamachu i jego przeprowadzeniu w przededniu ostatniego spotkania Czarne Dymu.

–Czyżby Wielki Mistrz był jednym z kardynałów piastujących ważne stanowisko w Watykanie?

–Być może. Z pewnością jest to ktoś, kogo doskonale znamy.

–A kardynał Valdez? Czy nie może uczynić nic, co powstrzymałoby ten proces od wewnątrz? Mendoza i Giacomo spojrzeli na siebie. Potem stary sekretarz stanu przemówił znużonym głosem:

–Dawno temu ustaliliśmy z kardynałem Valdezem, że gdyby miało mu się stać coś złego, otrzymamy zapieczętowaną przesyłkę, w której wskaże nam miejsce, gdzie znajdziemy całość dokumentacji zebranej przez trzydzieści lat jego pracy nad siatką Novus Ordo.

–I...?

Mendoza wyciągnął z kieszeni sutanny kopertę. Giovanni przymknął oczy,

–Ten list dostarczył nam minionej nocy specjalny kurier. Wysłano go z Lazio Bank na Malcie.

–A zatem wszystko przepadło.

–Być może nie.

–Ależ Eminencjo, Valdez nie żyje, Centenario i dziesięciu książy Kościoła zginęło w katastrofie lotniczej, a połowa uczestników konklawe dowie się, że ich rodzinom zagraża śmierć, jeżeli nie zagłosują na wskazanego kandydata. Do tego szambelan ma pełną kontrolę nad Watykanem do chwili rozstrzygnięcia konklawe, a my nawet nie wiemy, kto jest Wielkim Mistrzem Czarne Dymu!

–Chyba czas, żebym włączył się do rozmowy, Eminencjo. Giovanni zwrócił oczy na dom Gabriela, który znowu się uśmiechał.

–Chciałbym wiedzieć, jak się pan do tego zabierze.

–Moi ludzie zawiozą Eminencję na lotnisko, skąd helikopter zabierze ojca do Marina di Ragusa, na południe Sycylii. Tam wsiądzie ojciec na pokład trawlera płynącego na Maltę. Wyruszając natychmiast, zdąży Eminencja do La Valette na otwarcie Lazio Banku.

–Nie można pokonać całej drogi helikopterem?

–Nie, ponieważ moje terytorium kończy się w Marina di Ragusa, a helikoptery są hałaśliwe i łatwo spadają.

–A statki nigdy nie toną?

–Nie moje. Giovanni spojrzał na kardynała Mendozę.

–Zapominacie o pewnym istotnym szczególe.

–Jakim?

–Czekają na mnie na konklawe, w którym mam wziąć udział. Prawdopodobnie już teraz moja nieobecność wzbudza niepokój. Stary kardynał wręczył Giovanniemu tekturową teczkę z serią zdjęć wykonanych przez karabinierów na miejscu zdarzenia, do którego doszło wczesnym wieczorem w okolicach Rzymu. Na zdjęciach młody kardynał ujrzał zmiążdżonego jaguara między tirem i ciężarówką.

–Boże, to mój samochód! Pożyczyłem go przyjacielowi, biskupowi, który musiał jechać na krótko do Florencji. Miał go zwrócić dziś wieczorem.

–Monsignore Gardano. Zginął w tym karambolu. Opatrzność nad nami czuwała.

–Słucham?!

–Oficjalnie zmarłeś w karetce, która wiozła cię do rzymskiej kliniki Gemeili.

Chirurg zmarłego papieża potwierdzi to przed agentami Czarnego Dymu, którzy z pewnością zainteresują się twoją nieobecnością na konklawe. Zwłoki Gardana były w takim stanie, że oszustwo nie powinno się wydać przed upływem kilku godzin. Masz czas do świtu, żeby dotrzeć na Maltę i przywieźć dokumentację kardynała Valdeza.

–A jeżeli zorientują się, że w kostnicy Gemeili leży ciało kogoś innego?

–Okaże się, że przynajmniej w jednej sprawie miałeś rację.

–To znaczy?

–Że wszystko przepadło.

Ostatnie dźwięki organów wzbijają się w obłokach dymu kadzideł, trumna ze zwłokami papieża wędruje do grot, w których spoczywają namiestnicy Boga na tej ziemi. Liny przesuwają się w osłoniętych rękawiczkami dłoniach, a trumna obija się o ściany grobu. Kardynałowie pochylają się, by poczuć woń wieczności, unosząc się z watykańskich katakumb. Owiewa ich zimne powietrze, ale grabarze już zasuwają ciężką płytę. Kardynał Camano słucha głuchego dźwięku, z jakim tona marmuru opada na miejsce. Potem unosi głowę i spogląda na grono ksiąząt Kościoła.

Nie odrywając oczu od płyty, kamerling rozmawia półgłosem z wielkim penitencjariuszem, wikariuszem generalnym diecezji Rzymskiej i arcykapłanem bazyliki watykańskiej. Penitencjariusz wygląda na rozwścieczonego, Camano zna powód jego złości.

Zgodnie z prawem kościelnym uroczystości pogrzebowe Ojca Świętego powinny trwać przez dziewięć kolejnych dni. Okres żałobny wymagał co najmniej sześciu kolejnych dni zwłoki

przed zwołaniem konklawe, w tym czasie kongregacje powinny bowiem zebrać się w Pałacu Apostolskim, aby podjąć przygotowania do wyborów nowego papieża. W sumie należało zatem odczekać co najmniej dwa tygodnie, a najwyżej trzy od zgonu Ojca Świętego do otwarcia konklawe. A oto papieża grzebano niczym zadżumionego, aby tego samego dnia wieczorem zwołać konklawe, jakby to było spotkanie konspiratorów. Campini zachowuje kamienny spokój, nie zważając na te szeptaki i oburzenie. Znużonym głosem przypominał, jak trudne chwile przeżywa Kościół. Dlatego obowiązkiem szambelana jest jak najszybciej przywrócić temu statkowi kapitana. Arcykapłan bazyliki nie zamierza ustępować, ale Campini gwałtownie się odwraca i w półmroku cedzi przez zęby, że to nie czas i nie miejsce na takie dyskusje. Arcykapłan blednie i cofa się o kilka kroków.

Obserwując ukradkiem innych członków Kurii, Camano dostrzega, że wszyscy zerkają na siebie, jakby usiłowali odgadnąć, którzy kardynałowie należą do Czarnego Dymu. To największy problem z tym bractwem – nie ma żadnych znaków wyróżniających, żadnych tatuaży, symboli satanistycznych, niczego, po czym można by ich poznać. Dlatego Czarny Dym przetrwał tyle stuleci – nigdy na jego czele nie stało więcej niż ośmiu kardynałów, a ci nigdy nie podejmowali jawnych działań. Camano unosi głowę, bo zbliża się do niego protonotariusz. Blednie, słysząc, że kardynał arcybiskup Sao Paulo Armondo Yaldez zginął w drodze z weneckiej laguny.

–Kiedy?

–Dziś wieczorem. Trzeba wszystko przerwać, wasza Eminencjo. Trzeba odwołać konklawe i poinformować media. Sytuacja staje się zbyt poważna.

Kardynał Camano bez słowa wyjmuje z kieszeni kopertę i dyskretnie podaje ją rozmówcy. Wewnątrz są trzy zdjęcia, zrobione w okolicach Perugii. Stary dom porośnięty winem, młoda kobieta z trójką dzieci – wszyscy związani i zakneblowani – i trzech zbirów w kominiarkach, trzymających zakładników na muszce.

Protonotariusz pyta szeptem:

–Boże, co to za ludzie?

–Moja siostrzenica z dziećmi. Zabójcy to na pewno ludzie na żołdzie Czarnego Dymu. Większość uczestników konklawe otrzymała takie koperty z informacją, że wskazówki dotyczące głosowania zostaną im wręczone po rozpoczęciu konklawe.

–Czy zdaje sobie Eminencja sprawę, co to oznacza?

–Owszem. Jeżeli ktokolwiek poinformuje media albo policję, nasze rodziny zostaną natychmiast zamordowane.

–Co robić?

–Czekać do konklawe. Tam będziemy zamknięci i kandydat Czarnego Dymu będzie zmuszony się ujawnić. Wtedy zobaczymy, co da się zrobić.

Nagle uderzają dzwony Świętego Piotra. Kardynałowie z Kurii wracają do bazyliki. Na zewnątrz ten dźwięk wprawia w drgania bruk na placu i serca tysięcy pielgrzymów, którzy zgromadzili

(bardzo przepraszam, ale tu zapdziało mi się pół strony:/)

Trzy kilometry dalej parkuje przy kępie zarośli. Wyłącza silnik i wskazuje Parks ścieżkę. – To tam. Marie wysiada. Drzewa pachną wilgocią i mchem. Idąc za Carzem, omija kolczaste zarośla. Wokół panuje absolutny spokój – żadnego podmuchu, niezmacona cisza. Marie ma wrażenie, że powietrze jest tu czyste i świeże. Po chwili las rzednie, robi się widniej, bo księżyc znowu rozjaśnia okolicę. Ziemia, która ugięła się pod podszwami, teraz staje się twardsza. Wychodzą na wzgórze, naturalną polanę, na której nie rosną żadne drzewa. Tu wznosi się klasztor augustianek z Bolzano. To okrągła forteca, której mury, wyszczerbione przez porastające je zarośla, odsłaniają fragment okrągłego dziedzińca i lalka budynków w ruinie.

–To tu.

–Wiem.

–Papież zamordowany przez spiskujących kardynałów, wyznawców satanizmu? Naćpałaś się czy oszalałaś? Valentina Graziano unosi do ust filiżankę kawy, którą podał jej

Pazzi. Wypija łyk i delectuje się miłym odczuciem, gdy ciepły płyn wędruje po jej przełyku. Potem kładzie dyktafon Ballestry na biurku oficera i włącza odczytywanie. Pazzi siada wygodnie w fotelu, by wysłuchać nagrania, a Valentina przymyka oczy i myśli o kilku ostatnich godzinach, kiedy otarła się o śmierć. Gdy mordercy Maria ruszyli w jej kierunku, na moment skamieniała, ale zdołała zebrać siły i uciec. Na Piazza della Rotonda przed Panteonem nie było przechodniów. Agentka skręciła w stronę fontanny di Trevi, gdzie spodziewała się wmieszać w procesję, żeby łatwiej zgubić napastników. Ale na placu poniewierały się już tylko porzucone lampiony, ludzie się rozeszli. Ledwie dysząc, Valentina krzyknęła na widok mnichów, którzy wciąż byli o niespełna pięćdziesiąt metrów od niej, choć po prostu spokojnie szli.

Wyczerpana, miała ochotę się zatrzymać. Może lepiej uklęknąć na bruku i zrezygnować z walki? Ale nagle przed oczyma stari?? jej sztylet mnicha, wbijający się w brzuch Maria. Przypomniała sobie jego spojrzenie. Krzyknęła z gniewem i wymachując rękami, rzuciła się do ucieczki. Nie musiała się odwracać – była pewna, że mnisi wciąż idą za nią. Nie wolno się odwracać, pomyślała. Jeśli to zrobi, znowu sparaliżuje ją strach.

Lodowata woda rozpryskiwała się pod jej bosymi stopami, kiedy biegła po wzniesieniu Kwirynału w stronę centrum, przed pałac Prezydencki. Rozgląda się, szukając wartowników, którzy powinni stać przy bramie, ale nikogo tam nie ma, więc pędzi, nie zatrzymując się. W dali rysują się już mury Palazzo Barberini, gdy Valentina dostrzega sto metrów przed sobą dwóch innych zakonników. Skręca w uliczkę zastawioną śmietnikami. Widzi płomienie świec procesji na Via Nazionale. Czterej mnisi depczą jej już po piętach. Niebieskie światła – cztery wozy policyjne ochraniają procesję. Jeszcze odrobina wysiłku – Valentina przyspiesza, biegnąc resztkami sił. Wpadając w środek procesji, wyciąga broń i strzela w powietrze. Gorące łuski spadają na asfalt. Tłum rozpierzcha się pośród krzyku. Wciąż biegnąc w stronę karabinierów, którzy trzymają ją na muszce, Valentina podnosi rękę, pokazując odznakę i podając numer służbowy. A potem osuwa się w ramiona kaprała. Zerka jeszcze przez jego ramię, gdy inny okrywa ją wełnianym pledem. Mnisi zniknęli.

Na starym klasztornym cmentarzu w Bolzano Parks i Carzo stoją oparci o własne ramiona nad grobem starej pustelnicy. Na omszałej płycie dawno zatarł się napis, pozostał tylko laskowany krzyż, którego ornament także niemal zniknął. To tu w lutym 1348 roku augustianki pochowały starą zakonnice. Tego samego dnia Bestia wdarła się do klasztoru. Rozsuwając janowce, Marie znajduje inną omszałą płytę. Wodzi palcami po kamieniu i głośno odczytuje epitafium, które czas i mrozy niemal zatarły.

–Tu spoczywa Thomas Landegaard, Inkwizytor ziem Ara-gonii, Katalonii, Prowansji i Mediolanu. A zatem tu pogrzebano człowieka, którego losy dzieliła przez kilka chwil. Ogarnia ją dziwny smutek, jakby w tym groble spoczywała część jej samej. Albo raczej, jakby czuła, że inkwizytor nawet teraz pamięta straszliwe wydarzenia tamtego roku. Parks zastanawia się, o czym mógł myśleć w ostatnich chwilach życia, gdy jego zamordowani żołnierze szturmowali drzwi wieży. Czy rozmyślał o zakonnicach z Ponte Leone, ukrzyżowanych przez złodziei dusz? Czy wciąż słyszał wycia pogrzebanych żywcem trapistów? A może raczej wspominał tę kobietę woń, którą poczuł, gdy ocknął się w siodle i wciągnął zimne powietrze Cervin? W oczach Marie rozbłysły łzy. Tak, Landegaard myślał o niej, kiedy mordowali go jego ludzie i kiedy konał, jakby ten trans pozwolił mu pokonać czas i jakby pozostawiła w jego sercu jakiś ślad po sobie. Coś, co nie umarło. I co nigdy nie umrze.

Parks puszcza gałęzie janowców i ociera oczy, czując na ramieniu łagodną dłoń Carza. – Chodźmy, Marie. Jesteśmy już prawie na miejscu.

Valentina otwiera oczy, słysząc ostatnie nagrane słowa Balles-try. Na twarzy Pazziego nie widać poruszenia, gdy zabójca sztyletuje archiwistę. Jednym ruchem palca wyłącza dyktafon.

–W coś ty nas wpakowała, Valentina?

–Słucham?

–Wysłałem cię do Watykanu, żebyś zorganizowała ochronę konklawe, a ty wracasz z jakimiś cholernymi kośćmi, średniowieczną ewangelią i podejrzeniem spisku kardynałów.

–Zapominasz o zamordowanych pustelnicach i kłamstwie Kościoła.

–A ty, do cholery, zamiast wracać do firmy, dzwonisz do naczelnego «Corriere della Sera»? W dodatku z komórki!

–Znaleźliście jego ciało?

–Nie ma żadnego ciała.

–Co?!

–Ani śladów krwi na chodniku, ani śladu po mnichach na ulicy.

–A obsługa hotelu Abruzzi, przed którym zamordowano Maria? Przecież musieli coś widzieć.

–Zostali przesłuchani. Nic nie widzieli. Oboje milczą.

–A ty, Valentino?

–Co: ja?

–Co dokładnie widziałaś?

–Uważasz mnie za idiotkę?

–Valentino, oboje jesteśmy glinami. I oboje wiemy, jak to działa. Utknęłaś w tajnych przejściach pod Watykanem, nie wytrzymałaś napięcia i zaczęłaś sobie wyobrażać sale pełne sejfów i morderców w mnisich habitach. Nie mam racji? Valentina wyrywa dyktafon z rąk Pazziego.

–Cholera jasna, a to? Myślisz, że zrobiłam to nagranie w jakimś studio?

–Brednie starego archiwisty, zapijaczzonego i pogrążonego w depresji. To nagranie zrobi furorę w brukowcach! Już widzę te tytuły! „Porachunki w Watykanie – kapłan usunięty z Kurii wymyśla spisek, żeby zemścić się na kaście kardynałów”. Ocknij się, Valentino. Bez dokumentów, o których mówi, całe to

nagranie ma wartość filmiku reklamującego nową markę prezerwatyw!

–Jeżeli dobrze zrozumiałam, tym ludziom nie spadnie włos z głowy. Pochowają papieża, zmanipulują konklawe i wybiorą swojego człowieka na głowę Kościoła.

–A coś ty sobie wyobrażała? Że wyślę oddział spadochroniarzy do Watykanu? Sądziłaś, że skuję setkę kardynałów albo zabronię im pochować papieża? Do diabła! A może po prostu zatelefonuję od razu do bazy lotniczej w Latina i każę wystrzelić pocisk z głowicą nuklearną w bazylikę? Pazzi chwycił pilota i włączył stojący na regale telewizor. Zbliżenie bazyliki. Głos spikera towarzyszy obrazowi z jedenastu kamer Rai Uno, umieszczonych na stałe w rejonie Watykanu. Dziennikarz wyjaśnia, że właśnie pochowano papieża i że ze względu na niepokój w świecie chrześcijańskim natychmiast zacznie się konklawe. Zwarty tłum pielgrzymów na placu Świętego Piotra rozstępuje się przed kardynałami podążającymi do Kaplicy Sykstyńskiej. Bramy Watykanu zamykają się za nimi, a oddział szwajcarów ustawia się przed ogrodzeniem. Komentator Rai nie kryje zdumienia przed milionami widzów, którzy oglądają transmisję na całym świecie. Jego zdaniem jeszcze nigdy Kościół nie spieszył się aż tak bardzo z wyborem papieża. Jest to tym dziwniejsze, że watykańskie służby prasowe milczą i żadne informacje nie przenikają za zewnątrz. Pazzi wyłącza dźwięk.

–A nie mówiłam? Guido, sam widzisz, że oni przejmują kontrolę nad Watykanem!

–Co za „oni”? Marsjanie? Rosjanie? Możesz mi podać jakieś nazwisko? Dowody, odciski palców, próbki DNA albo cokolwiek, co mógłbym zamieścić w aktach, zanim obudzę sędziego, prosząc o nakaz?

–A zwłoki Ballestry?

–Zwłoki Ballestry dowodzą tylko jednego.

–Czego?

–Że Ballestra nie żyje.

–Guido, proszę tylko o dwadzieścia cztery godziny na zamknięcie śledztwa. Pazzi przygotowuje sobie whisky z kruszonym lodem. Potem patrzy Valentinie w oczy.

–Zwłokę, o którą prosisz, da ci konklawe. Jeżeli potrwa trzy dni, masz trzy dni. Ale jeśli skończy się po trzech godzinach,

będziesz miała tylko trzy godziny i ani minuty więcej, a chyba właśnie na to się zapowiada.

–Do diabła, przecież wiesz, że to za mało.

–Valentino, od chwili obwołania nowego papieża żaden włoski sędzia nie podpisze żadnego rozkazu, a twoi kardynałowie z Czarnego Dymu nie będą mieli powodu się nas obawiać. Potem możesz sobie puszczać to nagranie przez wszystkie głośniki w Rzymie, a obejdzie ich to tyle, co zeszłoroczny śnieg. Ale tymczasem, jeśli mówisz prawdę, to grozi ci śmierć.

Zabrzączał telefon, Pazzi podniósł słuchawkę. Sekretarka poinformowała go, że ktoś pragnie z nim mówić. Zapytał o nazwisko natręta. Osłupiał. Po chwili w drzwiach stanął średniego wzrostu mężczyzna o bladej cerze i przenikliwym spojrzeniu. Za jego plecami stało dwóch goryli w czarnych garniturach. Mężczyzna podał Pazziemu plik dokumentów wystawionych przez amerykański Departament Stanu i włoskie Ministerstwo Sprawiedliwości. Były to pełnomocnictwa i zezwolenia na prowadzenie śledztwa na terytorium całych Włoch. Gdy Pazzi zapoznał się z dokumentami, mężczyzna o orlich oczach sięgnął po dyktafon Ballestry i wyciągnął do Valentiny zmarzniętą rękę.

–Pani Graziano? Stuart Crossman, dyrektor FBI. Przyjechałem z Denver i potrzebuję pani pomocy, żeby dopaść kardynałów z Czarnego Dymu.

–Tylko tyle?

–Nie. Zaginęła jedna z moich agentek. Nazywa się Marie Parks. Jest pani rówieśnicą i tak jak pani ma śliczny uśmiech. Ale jeżeli nie zrobimy nic w ciągu kilku najbliższych godzin, umrze.

Carzo rusza schodami wiodącymi do podziemi fortecy. Przejście jest mroczne, wypełnia je zapach bluszczu i saletry.

Tchnienie wieków.

Na dole Carzo unosi pochodnię, by oświetlić mur. To tu, w podziemiach, Landegaard odnalazł zwłoki augustianek, trzynaście szkieletów, które paznokciami wydrapywały fundamenty, nim ponownie skonały z wycieńczenia. Idąca obok Parks myśli o przedostatnim liście, który Lande-gaard wysłał do papieża Klemensa VI:

„Celowo napisałem, że»ponownie padły«z rozmysłem, ponieważ wszystkie spowite były całunami, jakby złożono je do ziemi, w owych trzynastu grobach na cmentarzu, zanim wstały z martwych, by nawiedzać te miejsca, do których nie dociera światło”.

Parks siada na kamiennej ławce, którą wskazuje jej Carzo. Zamyka oczy.

–Dobrze, Marie, słuchaj uważnie, bo to bardzo istotne. Teraz wyślę cię tu, do dnia jedenastego lutego tysiąc trzysta czterdziestego ósmego roku. Od śmierci pustelnicy minęło trzynaście dni. Datę znaleźliśmy na ostatniej stronie księgi klasztornej, gdzie matka Izolda z Trydentu, przełożona augustianek z Bolzano, nabazgrała w pośpiechu parę słów. Pisała, że słońce chyli się ku zachodowi, więc to, co wymordowało mniszki, znowu się obudzi i powróci spośród zmarłych. Pisała też, że musi z tym skończyć, że nie ma wyboru. Prosi Boga, by wybaczył jej to, co zamierza uczynić, aby nie wpaść w szpony Bestii. To wszystko. Przetrzęsaliśmy cmentarze i księgi innych kongregacji w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Ani śladu matki Izoldy. Dlatego teraz musimy nawiązać z nią kontakt. – A jeżeli zmarła w tym dniu?

Marie czuje, jak wargi Carza dotykają jej ust, gdy ona zapada się w ciemność. Czuje szorstki dotyk jego sutanny, ciepło oddechu na powiekach, rękę na włosach. Potem jej piersi wiotczeją, ciało traci sprężystość. Mięśnie stają się twarde jak drewno. Ma wrażenie, że pływa w szacie z szorstkiej tkaniny przesiąkniętej zapachem ziemi i dymu. Marie czuje niesamowite pieczenie w gardle, jakby ktoś próbował ją udusić. Wspomnienia matki Izoldy.

Migotliwy blask świecy. Krople wody dudnią w ciszy. Wiatr szaleje w oddali, świszczę pośród murów. Matka Izolda stoi pochylona we wnęce, gdzie się zamurowała. Jest tu za nisko, żeby mogła się wyprostować, za wąsko, żeby usiąść. Stare, drżące od gorączki ciało zlewa się potem, każda cząstka jej jestestwa chciałaby zaszlochać z bólu. Stara mniszka odmawia modlitwy i czeka na śmierć. Cichutko błaga Boga, by wezwał ją do siebie. Szepcze, by zapomnieć o porażającym strachu, żeby nie myśleć, żeby uciec przed rzeczywistością. Wspomnienia matki Izoldy stopniowo wdzierają się w pamięć Marie. Z mgły wyłania się jeździec, który coś krzyczy. Wóz wjeżdża przez bramę, zatrzymuje się na klasztornym dziedzińcu. Matka Izolda pochyla się, dostrzegając leżącą między koszami z żywnością postać. To pustelnica. A zatem tak dotarła do Bolzano. Była u kresu sił i padła na ziemię o parę kilometrów od klasztoru, w lesie. Tam znalazł ją wieśniak. Matka Izolda się boi. Skórzany tobołek i płócienny woreczek wypadają z habitu pustelnicy, gdy mniszki przenoszą tę wychudzoną biedaczkę w ciepłe miejsce. Odtwarzając gesty matki Izoldy, Marie klęka na ziemi i czuje, jak palce starej zakonnicy rozplątują miękki sznur z tobołka. Czaszka Janusa. Wizja Izoldy eksploduje w głowie Marie. Upał, palący piasek, walenie młota o drewno i wycie Bestii. Marie otwiera oczy. Oślepia ją światło. Golgota. Trzy stojące obok siebie krzyże. Dwóch martwych łotrów. Chrystus krzyczy, krwawe łzy spływają po jego policzkach. Jest piętnasta godzina dnia. Niesamowite, czarne chmury gromadzą się nad krzyżem, robi się ciemno jak w nocy. Boi się. Jest mu zimno. Jest sam. Właśnie zniknęła dobroczytna wizja, która łączyła go z Bogiem. I wtedy zwraca oczy na tłum i widzi go takim, jaki jest – to zbieranina żalonych dusz, brudnych ciał, wykrzywionych twarzy. Pojmuje, że to dla tych morderców, złoczyńców i tchórzy umiera. Dla ludzkości, która jest z góry potępiona. Czuje gniew Boży. Słyszy grzmot, czuje grad, który siecze jego obnażone, złane potem ramiona. I kiedy krzyczy z rozpacz,

jego wiara gaśnie jak tchnienie konającego. Marie zagryza usta. Agonia i śmierć Boga. Tego dnia, gdy Chrystus stał się Janusem, ciemności zatriumfowały nad światem. Izolda zawija czaszkę i chwyta płócienny worek. Marie czuje w rękach mniszki ciężar – - to prastary manuskrypt, księga oprawna w czarną skórę i opatrzona masywnym, stalowym zamkiem. Ewangelia złodziei dusz. Skóra okładki jest ciepła, jakby nadal należała do żyjącego zwierzęcia. Z celi, do której augustianki zniosły pustelnicę, dobiega krzyk. Izolda biegnie korytarzami. Pochyla się nad konającą, a ta szepcze coś w obcym języku. Potem jej głos zamiera, oczy stają się szkliste. Matka Izolda prostuje się, gdy dłonie zmarłej wysuwają się spod prześcieradła i chwytają ją za gardło. Dusi się, zaciska palce na rękonożki sztyletu. Plama czarnej krwi pojawia się na płótnie, gdy ostrze trafia w szyję pustelnicy. Lodowaty wiatr wdziera się do celi.

Ślady butów. Wspomnienia matki Izoldy przesuwają się coraz szybciej. Widzi ciało siostry Soni przybite do muru, siostrę Klemencję, która wstaje z grobu i uśmiecha się w ciemnościach. Ślady jej stóp w błocie, odgłos kroków na schodach wieży, gdzie przełożona ukryła się wraz z najmłodszą siostrą. Trzyście nocy, trzyście

morderstw. W ten sposób Bestia rozprawia się z zakonnicami – każda z ofiar wstaje z grobu, by uśmiercić kolejną. Złodzieje dusz.

Wspomnienia z ostatniego dnia. Marie widzi ręce matki Izoldy grzebiącej ostatnią nowicjuszkę w rozmięklej ziemi na cmentarzu. Zabrała już ewangelię i czaszkę Janusa. Z trudem schodzi do podziemi klasztoru. Tam się zamuruje. Cegłami i zaprawą zamyka ścianę wnęki w fundamentach, gdzie się ukryła, zabierając tylko kilka drobiazgów i świece. Gotowe, matka Izolda wkłada ostatnią cegłę. Teraz pozostaje jej czekać na śmierć. Próbuje wstrzymać oddech, aby umrzeć jak najszybciej.

Otwiera oczy i odczytuje słowa, które wyryła na ścianie. Marie drży. Mnich, który wszedł do klasztoru, by zamordować augustianki, to Kaleb.

Stuart Crossman w milczeniu słucha nagrania Ballestry. Pewne fragmenty, szyc interesują go szczególnie, prosi więc Valentine, aby cofnęła taśmę, i ponownie słucha szeptów archiwisty. Blednie, gdy zmarły podaje listę papieży zamordowanych przez Czarny Dym. Nagranie się kończy. Crossman wzdycha.

–Sprawa jest znacznie poważniejsza niż sądziłem.

–Wystarczyłoby ujawnić to wszystko prasie.

–„Osservatore Romano” i oficjalne organy Watykanu natychmiast zdementowałyby te informacje. A poza tym...

–Poza tym?

–Co by się stało, gdyby półtora miliarda wiernych dowiedziało się, że przez całe wieki ich Kościół kłamał, a kardynałowie z tajnej organizacji chcą przejąć władzę w Watykanie? Proszę sobie wyobrazić, jaki szok wywołałoby to u setek tysięcy pielgrzymów, którzy gromadzą się wciąż na placu Świętego Piotra. Dwadzieścia wieków wiary umarłoby w ułamku sekundy! Doszłoby do zamieszek, jakich świat jeszcze nie widział.

–Pozostaje nam mieć nadzieję, że konklawe przebiegnie po myśli kardynałów wiernych Stolicy Apostolskiej.

–Nie liczyłbym na to. Crossman podaje Valentine kartkę.

–Co to takiego?

–Lista nazwisk jedenastu kardynałów i biskupów, którzy w ubiegłym tygodniu zginęli w katastrofie lotniczej nad Atlantykiem. Był wśród nich kardynał Centenario, uważany za naturalnego następcę zmarłego papieża. Dzięki temu Czarny Dym zyskał bezwzględna przewagę podczas konklawe. Na ekranie widać morze ludzkich głów na placu Świętego Piotra. Komentarze dziennikarzy, powtarzane w dwudziestu językach przez telewizje całego świata, przeplatają się z wypowiedziami znawców tematu, zdumionych takim przebiegiem wydarzeń. Kamery zwracają się na komin usytuowany na Kaplicy Sykstyńskiej, gdzie pojawi się dym obwieszczający wynik pierwszego i serii następnych głosowań. Biały dym oznaczałby, że już to pierwsze głosowanie wystarczyło, aby

powołać papieża, czarny, że kardynałowie potrzebują więcej czasu do namysłu.

Valentina spogląda na Crossmana:

–Na czym polega zadanie Parks?

–Miała odnaleźć ewangelię według Szatana, zanim uczynią to mordercy z Czarnego Dymu, Wiemy, że bractwo ma zamiar wykorzystać ten manuskrypt, aby obwieścić światu kłamstwo Kościoła tuż po wyborze papieża.

–Wie pan, gdzie może być w tej chwili?

–Ostatni raz widziałem się z nią na lotnisku w Denver, gdy wsiadała z ojcem Carzo do samolotu lecącego do Genewy.

–A potem?

–Ani słowa.

–Proszę się nie martwić. Ojciec Carzo jest egzorcystą. Potrafi obronić Parks

przed złodziejami dusz.

–Obawiam się, że to nie takie proste.

–Dlaczego?

–Tuż przed wylotem do Europy ojciec Carzo powiedział mi, że wraca z wyprawy do Amazonii, gdzie z polecenia przełożonych badał przypadki opętania na ziemiach Indian Yanomani. Wspomniał o dziwnej zarazie, która wybijała szamanów plemienia. Coś, co szerzyło się po dżungli, unicestwiając wszelkie życie na swej drodze. Dlatego skontaktowałem się z naszymi ludźmi w Brazylii, by doprowadzić do wysłania ekipy, która upewniłaby się, że tajemnicza choroba nie jest skutkiem „rozbudzenia” przez Indian jakiegoś zabójczego wirusa. Po kilku godzinach ekipa, która udała się na miejsce helikopterem, skontaktowała się ze mną, by poinformować o odnalezieniu na terytorium Yanomani notatnika ojca Carzo w ruinach starej świątyni Azteków. W tym notatniku kopiował freski i płaskorzeźby ze świątyni. Sądzimy, że to tam zetknął się z przypadkiem najwyższego opętania, ponieważ na dalszych stronach wypisywał złowieszcze zaklęcia i niespójne zdania. Są tam także satanistyczne rysunki. Na jednym z nich potwór stoi w świetlistym kręgu, dalej widać potępieńców i las krzyży. Zupełnie jakby najwyższe opętanie zwyciężyło i jakby tajemnicza siła zawładnęła jego duszą. Ale ostatni rysunek przedstawia co innego – tragiczne wydarzenie, do którego

doszło niedawno w Haraesburgu, a o którym Carzo nie mógł wiedzieć. – Co takiego?

Crossman wręcza Valentinie dokument z Amazonii. Ojciec Carzo narysował cztery zakonnice ukrzyżowane w krypcie oraz piąty krzyż stojący pomiędzy tamtymi. Wisi na nim młoda naga kobieta. Pod rysunkiem kapłan napisał czerwonym atramentem: Marie Parks musi umrzeć.

Myśli Marie powoli odrywają się od starej zakonnicy, która zamurowała się w podziemiach. Słabnie zapach wosku. Parks znowu czuje saletrę i wilgoć, jak na początku. Słyszy też skwierczenie pochodni, którą trzyma Carzo. Stopniowo odzyskuje świadomość w lochach Bolzano. Wciąż jednak ma wrażenie, że dotyka palcami ściany, jakby nadal była zamurowana z matką Izoldą, a równocześnie wie, że siedzi na kamiennej ławce, budząc się z transu. Nie otwierając oczu, pokasłuje.

–Alfonsa, już wiem, gdzie jest ewangelia.

–Ja też.

Marie drgnęła, słysząc głos Carza. Był głębszy, niższy, bardziej melodyjny, a zarazem chłodniejszy. Coś się zmieniło. Marie wyczuwa inną woń, woń krypty. Otwiera oczy. Ojciec Carzo stoi, zarzucił kaptur, zasłaniając nim twarz, a jego oczy słabo lśnią w ciemnościach.

–Bądź pozdrowiona, Marie.

Parks czuje, jak krew zastyga jej w żyłach – poznaje głos Kaleba. Próbuje sięgnąć po broń, ale uświadamia sobie, że nie może się ruszyć. Zamyka oczy. Gdzieś w głębi ducha wciąż ma te ręce matki Izoldy, które muskają ścianę w podziemiach.

CZEŚĆ DZIESIĄTA

177

Z tarasu restauracji nad brzegiem morza w Castellammare di Stabia Stuart Crossman podziwia Zatokę Neapolitańską. Przed dwiema godzinami, kiedy wrócił ze spotkania z Valentina Gra-ziano, portier poinformował go, że w recepcji czeka pilna wiadomość. Napisany po angielsku list brzmiał następująco:

Czarny Dym ma słaby punkt.

Jeżeli chce się Pan dowiedzieć jaki,

proszę być za godzinę na tarasie restauracji

Frascati w Castellammare di Stabia.

Proszę nie zawiadamiać policji.

Proszę nie tracić czasu.

Niech pan przyjedzie punktualnie.

Crossman nie wahał się ani chwili – polecił przygotować samolot, który stale czekał na niego na lotnisku Ciampino. W trzy kwadransy potem był już w Neapolu i wsiadł do limuzyny, żeby dojechać do Castellammare di Stabia. Rozkazał piętnastu swoim ludziom obstawić restaurację Frascati, która o pierwszej nad ranem była wciąż otwarta, choć inne lokale nad brzegiem morza dawno zamknięto. Wewnątrz nie było już nikogo. Crossman usiadł przy stoliku na tarasie i czekał.

Brzęczenie w słuchawce. Jeden z ludzi informuje go, że na plaży zacumował Zodiak.

–Pięciu ludzi na pokładzie, w tym jeden staruszek. Są uzbrojeni. Co robimy?

–Czekamy. Znowu brzęczenie.

–Uwaga, zbliżają się.

Crossman widzi w świetle latami pięć sylwetek. Czterech dobrze zbudowanych

mężczyzn i piąty, drobny i przygarbiony, utyka i idzie, wspierając się na ramieniu jednego z osiłków.

–Lider, tu snajper jeden. Widzę cel. Crossman zerka na dach pobliskiej restauracji, gdzie zajął pozycję snajper. Staruszek i jego ochroniarze zbliżyli się na odległość trzydziestu metrów. Dyrektor FBI odbezpiecza broń, którą trzyma pod blatem stolika.

–Lider, tu snajper jeden. Czekam na instrukcje. Crossman marszczy brwi, patrząc na przechodzących obok latami ludzi. Światło pada na twarz starca.

–Snajper jeden, nie strzelać.

–Proszę o potwierdzenie.

–Potwierdzam: nie strzelać.

Staruszek jest już bardzo blisko. Ochroniarze zostają przed restauracją, a on podpira się laską, idąc po schodach na taras. Uśmiecha się, siadając przy stoliku Crossmana.

–Dobry wieczór, Stuart.

–Dobry wieczór, dom Gabrielu.

U wybrzeży Malty, godzina czwarta nad ranem

Stojąc na rufie trawlera, który sunie z warkotem zmęczonego silnika, kardynał Giovanni wznosi oczy ku rozgwieżdżonemu niebu. Księżyc jest w pełni i rozświetla noc niezwykle, złotym blaskiem. Młody kardynał spogląda na odległe brzegi Malty.

Jeszcze godzina rejsu i stara łajba zawinie do portu w La Valletta. Przedtem muszą jeszcze dla pozorów zarzucić sieci kilka kilometrów od brzegu. Dopiero potem ludzie dom Gabriela będą mogli wysadzić na ląd ludzki ładunek.

Giovanni wsuwa dłoń do kieszeni sutanny i dotyka koperty z Lazio Bank. Jest w niej przezroczysta plastikowa karta elek-

troniczna zabezpieczona jedenastocyfrowym kodem i umożliwiająca wejście do

banku, oraz cyfrowy identyfikator rachunku. Jest też kod alfabetyczny do sejfu

Valdeza – to napis wygrawerowany na odwrocie Krzyża Ubogich, który kardynał

Czarnego Dymu dołączył do przesyłki. Krzyż jest ciężki, wysadzany rubinami, z masywnym srebrnym łańcuszkiem, który wisi teraz na szyi Giovanniego. Pozostaje

mieć nadzieję, że dokumenty okażą się dość cenne, by usprawiedliwić utratę

jedynego agenta, jakiego Watykan zdołał wprowadzić do Czarnego Dymu. Giovanni

czuje, że ktoś się do niego zbliża. To kapitan szwajcarów Cerentino. Oficer uparł się

towarzyszyć mu w tej podróży, a Mendoza na to przystał. Cerentino pochylił się do

ucha kardynała, aby ten usłyszał go mimo warkotu silnika. – Wasza Eminencjo,

musimy zejść pod pokład, bo zaraz zacznie świtać, a Sycylijczycy boją się, że ktoś

zauważy Eminencję, obserwując nas przez lornetkę, kiedy zarzucą sieci. Kardynał

bez słowa sięga po telefon komórkowy, który dostał w Rzymie od dom Gabriela. Gdy

kapłan zaoponował, mówiąc, że ma własną komórkę, mafiozo wyjaśnił, że telefony

Casa Nostra działają we własnej sieci, za pośrednictwem anten rozmieszczonych w

odległych rejonach półwyspu. Mafia używa telefonów powszechnie dostępnych we

Włoszech, prowadząc rozmowy mające dostarczyć policji błędnych informacji.

Giovanni wprowadził kod swojej komórki. Ekran rozbłysnął. Kapłan wcisnął

słuchawkę, by wyświetlić ostatni numer, z którym się łączono. Dom Gabriel

powiedział mu, że rozmówca oczekuje na połączenie punktualnie o czwartej

trzydzieści. Giovanni spojrzął na zegarek – było dwadzieścia dziewięć minut po

czwartej. Poczuł, że drgania pokładu stają się rzadsze, potem ustają. Sycylijczycy

wyłączyli silnik i zaczęli rozwijać sieci, a trawler cicho sunął po falach. Noc bladła.

Kardynał przez chwilę patrzył na światła Malty. Potem wcisnął klawisz. Telefon

automatycznie łączył się z ostatnim zapamiętanym numerem.

Dom Gabriel zwija papierosa i bierze go do ust. Crossman podaje mu ogień. Starzec pokasłuje.

–Nie chce mi się wierzyć, że natychmiast mnie poznałeś, Stuarcie! Minęło tyle lat!

–Jakbym mógł zapomnieć! Był pan jednym z najgroźniejszych mafiosów Cosa Nostry, i z powodu waśni z Camorrą przeniósł się pan do Stanów. Przysporzył nam pan dużo pracy.

–A ty już wtedy byłeś szefem biura federalnego w Baltimore. Pamiętam... To ty o mało mnie nie przyskrzywiłeś za jakieś drobiazgi.

–Tona drobiazgu w białym proszku rozsypanym do jedno-kilogramowych torebek.

–No cóż, jednak zmusiło mnie to do powrotu do kraju, gdzie trzeba było zrobić porządek.

–A teraz?

–Teraz jestem ojcem chrzestnym stu dwudziestu rodzin. Boją się mnie, a ja ich chronię. A ty zostałeś dyrektorem FBI. To dobrze.

–Dlaczego chciał pan się ze mną spotkać, dom Gabryielu?

–Wciąż jesteś teki niecierpliwy, prawda? Jak ten twój strzelec, tam na górze, który wciąż się zastanawia, czy powinien strzelić do starca.

–Nie robi tego, dopóki mu nie każę.

–To źle, Stuarcie. Powiedziałem przecież, że masz przyjść sam.

–Nie wiedziałem, że list jest od pana, dom Gabrielu.

–A gdybyś wiedział?

–Zabrałbym cztery razy więcej ludzi. Starzec uśmiechnął się.

–Ściga mnie tylu policjantów na całym świecie, że nie pomieściłby ich największy stadion piłkarski. Jeden więcej, jeden mniej...

–W liście pisał pan, że Czarny Dym ma słaby punkt. Jaki?

–Ktoś jest w drodze po dokumenty dotyczące bractwa. Wkrótce masz się z nim spotkać.

–Co to za dokumenty?

–Takie, które Czarny Dym chciałby zdobyć za wszelką cenę, gdyby wiedział o ich istnieniu.

–A ten ktoś? Kto to taki?

Komórka Crossmana zabręczała w kieszeni jego marynarki. Odebrał, zerkając pytająco na dom Gabriela.

–Stuart Crossman, słucham?

–Mówi kardynał Patrizio Giovanni. Otrzymałem pański numer od naszego wspólnego przyjaciela. Powiedział mi, że zna pan sprawę, która wymaga, abyśmy spotkali się jak najszybciej.

–Co pan proponuje?

–La Vallette. Gozo. Bar na placyku przy kościele Świętego Pawła. O szóstej trzydziści. To możliwe? Crossman znów spojrzął pytająco na dom Gabriela. Starzec skinął głową.

W Kaplicy Sykstyńskiej panuje grobowa cisza. Stu osiemnastu kardynałów elektorów zasiada w fotelach, które ustawiono na wprost siebie przy dwóch rzędach stołów nakrytych ciężkimi biało-czerwonymi obrusami. Nad milczącym zgromadzeniem rozpościerają się freski Michała Anioła, ukazujące stworzenie świata. Znad ołtarza scena Sądu Ostatecznego zdaje się przypominać kardynałom powagę ich zadania.

Konklawe oficjalnie rozpoczęło się przed dwiema godzinami od uroczystej mszy, podczas której proszono o opiekę Ducha Świętego. Potem kardynałowie zebrali się w Kaplicy Paulińskiej Pałacu Apostolskiego. Przy dźwiękach Veni Creator przeszli stamtąd do Kaplicy Sykstyńskiej. Procesja rozdzieliła się na dwa szpalery i wszyscy zajęli swe miejsca. Teraz najstarszy z kardynałów wstaje i wygłasza łaciński tekst przysięgi, składanej przed każdym konklawe. To ona zamknie usta kardynałom, zobowiązując ich, aby nigdy nie ujawnili żadnych szczegółów konklawe ani nie kontaktowali się z nikim z zewnątrz pod karą ekskomuniki.

Kardynałowie z uwagą słuchają starczego głosu dziekana. Gdy ten milknie, każdy z uczestników konklawe kładzie rękę na Biblii, którą ma przed sobą, i dopełnia przysięgi, uzupełniając jej część ogólną osobistym zobowiązaniem – pada sto osiemnaście krótkich i identycznych formułek. Znow zapada cisza. Za chwilę zacznie się głosowanie. Po słowach Extra omnes wszyscy, którzy w nim nie uczestniczą, muszą opuścić kaplicę. Wychodzi także papieski mistrz ceremonii, pozostawiając kardynałów sam na sam z tą wielką odpowiedzialnością, jaka na nich spoczywa. Wszyscy spoglądają na siebie. Bo niemal wszyscy wiedzą. Zanim tu weszli, większość otrzymała koperty z szokującą wiadomością – zdjęciami rodzin wziętych za zakładników przez zamaskowanych zbirów. Kartka wsunięta między zdjęcia informowała, że wskazówki dotyczące głosowania zostaną przekazane przed drugą turą. Wybrany wyciągnie z rękawa czerwoną chustkę i rozłoży ją przed sobą. Polecono także kardynałom, by przed wejściem na konklawe spalili koperty i całą ich zawartość. Uprzedzono, że jeśli ktoś zauważy choćby jedną z tych kopert, wszystkie rodziny zostaną natychmiast zgładzone.

Kardynałowie już wiedzą, że Watykan wpada w czyjeś ręce. To, co się już wydarzyło, to wystarczający powód, żeby odwołać konklawe i doprowadzić do głębokiego kryzysu w łonie Kościoła – kryzysu, który można w tej chwili spowodować jednym słowem, jednym uniesieniem ręki. A jednak nikt nic nie mówi, jakby wszyscy czekali na śmiałka, który rzuci się na głęboką wodę i zdemaskuje spisek. A może wszyscy modlą się w duchu, żeby nikt się nie odezwał. Za każdym razem, gdy spojrzenia kardynałów się spotykają, oni spuszczaają oczy. Wstydzą się. Wstydzą i boją.

Diekan kolegium kardynalskiego wstaje. Pyta, czy wszyscy są gotowi do głosowania i czy nie trzeba wyjaśnić wątpliwości, które nękają czyjeś sumienie. Camano, ku własnemu zdziwieniu, uśmiecha się. Ten czysto formalny zwrot przypomina mu formułę wypowiedzaną przed przypieczeniem ślubu. „Jeżeli ktoś wie o istnieniu przeszkód wykluczających zawarcie tego związku, niech przemówi

teraz lub zamilknie na wieki". Oczy kardynałów wędrują po twarzach zgromadzonych. Nadszedł czas, by przemówić. Dostrzegają krople potu na czole dziekana. Domyślają się, że on także otrzymał kopertę. Boi się. Nawet on nic nie powie. Zwieszają głowy. Dziekan prosi tych, którzy gotowi są głosować, aby podnieśli ręce. Sto osiemnaście rąk wolno unosi się ku freskom.

Lekarz naczelny kliniki Gemelli odrywa oczy od papierów, słysząc, że otwierają się oszklone drzwi. Staje w nich duchowny w czarnej sutannie. Ma okulary z grubymi szklami, a w ręku trzyma teczkę. Lekarz stara się zachować pozory obojętności. Dziwił się nawet, że duchowny tak długo się nie pojawia. Potem zaczął mieć nadzieję, że już nie przyjdzie. Ale teraz tu jest. Lekarz rzuca okiem na zegarek – za piętnaście piąta. Kardynał Giovanni potrzebuje jeszcze co najmniej godzinę na odebranie dokumentów Valdeza. Trzeba będzie działać bardzo szybko. Podeszwy duchownego nie wydają żadnego dźwięku na wykładzinie. Mężczyzna zatrzymuje się przy recepcji, chrząka, żeby zwrócić uwagę lekarza, który przegląda karty przyjęć pacjentów. A cenna będzie każda sekunda. Lekarz prosi nowo przybyłego o chwilę cierpliwości i robi jakieś adnotacje w papierach, które na pozór uważnie czyta. W końcu podnosi głowę i czuje ściskanie w gardle, tak lodowate jest spojrzenie duchownego. – Słucham?

–Pozwoli pan, że się przedstawię: monsignore Alois Mankel z Kongregacji Nauki Wiary.

Lekarz jest teraz nieco spięty. Kongregacja do spraw Doktryny Religii to współczesna Święta Inkwizycja. A zatem stojący przed nim człowiek to inkwizytor, obyty z obszernymi, tajnymi aktami. W dodatku jest protonotariuszem, używa tytułu monsignore, co stawia go na równi ze średniowiecznymi inkwizytorami generalnymi. Z kimś takim lepiej nie prowadzić swobodnych pogawędek ani nie odpowiadać wymijająco na jego pytania. Szef kliniki Gemelli spodziewał się spotkania z biskupem, a w najgorszym razie z lekarzem, ale nie z inkwizytorem, którego obecność dowodzi, że przynajmniej część Kongregacji do spraw Nauki Wiary przeszła na stronę Czarnego Dymu. Zapowiada się więc

trudna rozgrywka.

–Bardzo mi przykro, ale odwiedziny zaczynają się dopiero o ósmej rano. Lodowaty uśmiech wykrzywia usta duchownego.

–Przyszedłem odwiedzić zmarłego, a ich nie obowiązują żadne godziny.

–O kogo chodzi?

–Czyżbym nie podał jego nazwiska?

–Zapamiętałbym to.

Chwila ciszy. Zimne oczy inkwizytora świdrują spojrzeniem lekarza, jakby chciały przeniknąć jego myśli. Prymitywny podstęp okazał się nieskuteczny i najwyraźniej wprawiło to inkwizytora we wściekłość.

–Przyszedłem dokonać oględzin zwłok Jego Eminencji kardynała Patrizia Giovanniego.

–W jakim celu, jeśli mogę zapytać?

–Chcę się upewnić, że to rzeczywiście Jego Eminencja, by przygotować jego przewiezienie do rodzinnej Abruzji. Kolejny tandetny podstęp, bo Giovanni pochodzi z Germa-gnano w Apeninach. Protonotariusz dobrze o tym wie i chce sprawdzić, czy i lekarz ma tą świadomość. To nie byłby wprawdzie dowód, ale poszlaka. Właśnie tak działali inkwizytorzy – zbierali poszlaki, a potem potwierdzali je, dopóki nie uzyskali

przekonania, że tak właśnie jest Teraz duchowny podejrzewa lekarza o kłamstwo. Trzeba będzie zrobić wszystko, żeby w najbliższych minutach nie upewnił się co do tego.

–Gorąco panu? – pyta duchowny.

–Słucham?

–Poci się pan.

Lekarz widzi, że kapłan patrzy na jego czoło, na którym pojawiły się krople potu.

Ociera je wierzchem dłoni. Kolejna poszlaka.

–Przed chwilą wyszedłem z sali operacyjnej po czterech godzinach ciężkiej pracy.

Padam z nóg.

–Widzę.

Znów zapada cisza. Ta czterogodzinna operacja polegała na przygotowaniu ciała biskupa, który zginął w aucie kardynała Giovanniego. Kiedy przewieziono go do szpitala, miał zmasak-

rowaną twarz i poszatkowane ciało. Ponieważ Gardano i Giovanni byli mniej więcej rówieśnikami o podobnej budowie, lekarz zadzwonił do kardynała Mendozy i podsunął mu pewien pomysł. Sekretarz Stanu przyjął go z zadowoleniem. Potem wezwał Giovanniego do trattorii, żeby wysłać go po akta Valdeza. Po godzinie zadzwonił do lekarza i oznajmił, że Giovanni się zgadza. Lekarz odłożył słuchawkę, zabrał kartę Giovanniego i przez cztery godziny tworzył znaki szczególne na szczątkach biskupa – znamiona, dwie ceramiczne protezy, złotą koronkę... –
Idziemy? Lekarz drgnął. Pytanie inkwizytora wcale nie było pytaniem.

Zaczyna się głosowanie. Każdy z elektorów otrzymuje trzy kwadratowe arkusze z nadrukiem „Eligo in summum pontificem”^{*} i wykropkowanym miejscem, w którym należało wpisać nazwisko wybranego kardynała. Camano patrzy, jak elektorzy starannie wpisują nazwisko swego faworyta. Czeka na drugą turę, większość głosuje na siebie. Ale Camano wie, że niektórzy widzą w nim szansę zażegnania kryzysu, który wstrząsa Kościołem. Jest jednym z najbardziej wpływowych i najbardziej wtajemniczonych w życie Watykanu księży Kościoła. Kontroluje Legię Chrystusa i Kongregację Cudów. W dodatku cieszył się względami i przyjaźnią zmarłego papieża. Po śmierci kardynała Cen-tenario logika wskazywała go jako tego, na którego powinna przejść większość głosów w pierwszej turze. Było to tym bardziej oczywiste, myśleli kardynałowie, że gdyby wystarczająca liczba głosów wskazywała na niego, być może zdołaliby w drugiej turze odrzucić kandydata Czarnego Dymu. Chyba że prawie wszyscy kardynałowie otrzymali koperty, to wówczas Czarny Dym wygrałby z góry. Ale jak to możliwe, żeby w ciągu jednej nocy wziąć za zakładników rodziny ponad stu kardynałów? Oto pytanie, które wielu tu obecnych zadaje

* „Wybieram na najwyższego kapłana”.

sobie, spoglądając na Camana i nie wiedząc, że on również otrzymał przesyłkę.

Wskazówki Czarnego Dymu mogły wpłynąć dopiero na drugą turę, toteż Camano głosuje na siebie. Potem składa kartkę na pół i pozostawia na stole, by za chwilę wrzucić ją do urny. Kardynałowie odłożyli pióra i złożyli kartki. Kolejno podchodzą do urny i wracają na miejsce. Camano jest ostatni. Kiedy przychodzi jego kolej, wstaje i wolno zbliża się do ołtarza, unosząc rękę tak, by wszyscy mogli zobaczyć, że niesie tylko jedną kartę. U stóp ołtarza, gdzie stoją odpowiedzialni za liczenie głosów, wypowiada głośno przysięgę elektorską: – Ja, Oscar Camano, powołuję na świadka Chrystusa Pana, który mnie osądzi, tego, który w moim sumieniu winien być wybrany z woli Boga.

Potem podchodzi do ołtarza. Rolę urny pełni patena na hostie ustawiona na dużym kielichu. Camano kładzie kartkę na patenie, którą wolno przechyla, aby kartka zsunęła się do kielicha. Potem odkłada patenę, cofa się o kilka kroków i skłania przed ołtarzem.

Gdy wraca na miejsce, jeden ze skrutatorów unosi kielich i mocno nim potrząsa, aby przemieszczać kartki. Drugi wyrazistym gestem pojedynczo wyjmuje kartki i wrzuca je do przezroczystego kielicha, równocześnie przeliczając je na głos, aby się upewnić, że żaden z kardynałów nie oddał dwóch głosów. Sto osiemnaście kart trafia do naczynia, które stanie na stole przed ołtarzem, gdzie zasiada cała „komisja wyborcza”, aby odczytać głosy

Pierwszy ze skrutatorów sięga po jedną kartę, rozkłada ją i czyta, milcząc. Następnie przekazuje ją drugiemu, który już głośno odczytuje nazwisko. Potem podaje kartkę trzeciemu, a ten sprawdza, czy odczytane nazwisko jest tym, które wpisał elektor. Potem nawleka kartkę na nić z igłą. Po odczytaniu wszystkich nazwisk papierowy różaniec ze stu osiemnastu kart zostanie spalony na popiół w

kominku. Odczytywanie trwa. Otwarto już jedenaście kart W sześciu padło tyleż nazwisk, dwie wskazywały Camana, trzy na kardynała kamerlinga Campiniego, na którego teraz zwracają się wszystkie oczy.

Lekarz w milczeniu prowadzi monsignore Mankela pustymi korytarzami kliniki. Skręca ku schodom biegnącym w dół do kostnicy. Po chwili popycha dwuskrzydłowe drzwi, które z trzaskiem zamykają się za nim i za inkwizytorem. Mijają wiele sal z komorami chłodniczymi, w których zwłoki czekają na sekcję. Słychać tylko szum klimatyzacji. Lekarz wchodzi do ostatniej sali. Ciało w plastikowym worku leży na stole operacyjnym. Pielęgniarka myje posadzkę. Inkwizytor nie zwraca na niego uwagi. Gestem nakazuje lekarzowi otworzyć worek. Nie reaguje na widok zmasakrowanych zwłok nawet mrugnięciem powieki.

–To wszystko?

–Kardynał Giovanni zderzył się z trzydziestotonowym samochodem przy prędkości stu czterdziestu kilometrów. Potem najechał na niego mikrobus, równie szybki. Tak, to wszystko, co zostało.

–Czy przeprowadzono identyfikację na podstawie karty stomatologicznej?

–Po co? To był samochód kardynała Giovanniego, a zatem to musi być kardynał Giovanni.

–Mógł przecież pożyczyć komuś samochód.

–Gdzie w takim razie jest, skoro nie przybył na konklawe?

–Dobre pytanie.

Monsignore Mankel otwiera teczkę i wyjmuje grubą kopertę. Wyciąga z niej kilka fotografii kardynała Giovanniego – to dobry znak, bo prawdopodobnie inkwizytor raz czy dwa natknął się na młodego kardynała w watykańskich kuluarach, ale nie zna go osobiście. Właśnie dlatego Mendoza wybrał Giovanniego – niedawno wyniesiony do godności księcia Kościoła, miał wśród rzymskich dostojników niewielu bliskich znajomych. Lekarz czuje tym większą ulgę, że twarz biskupa została niemal całkowicie zmiądzona, więc zdjęcia, które ma inkwizytor, na niewiele się tu zdadzą.

–Czy pobrano krew do analiz? Pograżony w rozmyślaniach, lekarz drgnął.

–Słucham?

–Pytałem, czy pobrano krew do badań.

–Mamy taki obowiązek. Zgodnie z prawem należy przeprowadzić test na zawartość alkoholu.

–I?

–I stwierdzam jednoznacznie, że kardynał Giovanni nie wypił ani kropli alkoholu. Wciąż krążąc wokół ciała, inkwizytor nalega:

–Nie o to pytałem. Interesuje mnie, czy analiza krwi potwierdziła, że to zwłoki kardynała Giovanniego.

–Pracownia genetyki nie pracuje w nocy, monsignore. Wyniki otrzymam około dziesiątej.

–Wielka szkoda.

–Dlaczego?

Ignorując lekarza, inkwizytor ogląda znamiona i blizny na ciele, porównując je z opisanymi w dokumentacji medycznej Giovanniego. Lekarz uspokaja się. Mankel z

pewnością nie dysponuje tak szczegółowymi informacjami, jak te w karcie kliniki, gdzie leczy się młody kardynał. Potwierdza to fakt, że inkwizytor nie szuka wszystkich blizn, które lekarz odtwarzał w sali operacyjnej, ani nie ogląda wszystkich znamion. Właściwie skupia się na jednym – grudkowatym znamieniu na karku Giovanniego, wyglądającym jak duży płaski pieprzyk, którego rekonstrukcja była najbardziej pracochłonna, bo wymagała nakładania lateksu warstwa po warstwie, a potem modelowania i barwienia. Trzeba było też przefarbować rudawe włosy Gardana na czarno. Co do małego palca prawej ręki, którego kardynał nie ma, wystarczyło jedno cięcie skalpela. Potem trzeba było spoić skórę nad stawem i postarać się, żeby blizna nie wyglądała na świeżą. Lekarz naczelny wykonał kawał dobrej roboty chirurga plastycznego i był z siebie całkiem zadowolony. Inkwizytor już od paru sekund pociera palcem znamię i amputowany palec i w dotyku nic nie wzbudza jego podejrzeń. Wygląda na to, że i on zaczyna wierzyć, że ma przed sobą zwłoki Giovanniego. Zadaje ostatnie pytanie, ale to czysta formalność:

–A jego kapłańskie rzeczy?

–Ma pan na myśli pierścień kardynalski?

–I masywny krzyż, jaki zwykle noszą kapłani jego rangi.

–Miał tylko pierścień. Musiałem go przeciąć, żeby go zdjąć. Jest w kopercie na stoliku.

Inkwizytor sięga po kopertę. Otwierają i spogląda na szczątki pierścienia. Zamierza ją odłożyć, gdy dostrzega dziwne czarne plamy. Wygląda to na tusz. Nie, to nie plamy, ale ślady. A dokładniej – odciski palców, szereg koncentrycznych linii na papierze. Inkwizytor ogląda swoje dłonie. Czubki palców, którymi dotykał włosów zmarłego, są czarne. Patrzy na lekarza, który już wszystko zrozumiał: włosy zmarłych nie wchłaniają farby tak, jak włosy żywych. Można je ufarbować, ale konieczne jest długie ich suszenie.

–Gratuluję, doktorze, mało brakowało, a dałbym się nabrać. Mankel sięga po komórkę i wybiera jakiś numer. Potem zwraca oczy na lekarza i zamiera na widok czarnej lufy pistoletu, z którego pielęgniarz celuje mu teraz prosto w skroń. Dopiero w tej chwili mężczyzna ze sztucznymi wąsami, w ciemnych okularach rozpoznaje porucznika gwardii osobistej zmarłego papieża.

–Oszalał pan?

Kładąc palec na ustach, porucznik nakazuje inkwizytorowi milczenie. Jeszcze jeden sygnał. Potem ktoś odbiera i echo dalekiego głosu rozbrzmiewa w sali operacyjnej.

–Mówi kamerling, słucham. Inkwizytor przymyka oczy.

–To ja, Wasza Eminencjo.

–To znaczy kto?

–Mankel. Chwila ciszy.

–I co?

Inkwizytor drży, czując zimny dotyk lufy na czole. Porucznik szwajcarów kręci głową. Mankel chrząka.

–To rzeczywiście kardynał Giovanni, Wasza Eminencjo.

–Jesteś tego pewien?

Porucznik straży kładzie palec na spuście pistoletu i twierdząco kiwa głową.

–Tak, Eminencjo. Jestem tego pewien. Znow zapada milczenie.

–Co się dzieje, Mankel?

–Co Wasza Eminencja ma na myśli?

–Twój głos. Brzmi jakoś dziwnie.

–Po prostu... Inkwizytor zerknął na palec szwajcara na spuście.

–Co takiego, Mankel?

–Te zwłoki, Wasza Eminencjo. Są potwornie zmasakrowane i...

–Zemdliło cię, tak?

–Tak, Eminencjo, dokładnie.

–Weź się w garść, Mankel. Nie czas na słabostki. Trzask. Koniec połączenia.

Inkwizytor podskakuje, czując, jak ostrze igły wbija mu się w tętnicę szyjną. Pałący płyn wędruje naczyniami. Mężczyzna krzywi się. Jak przez mgłę widzi twarz lekarza.

Sam w swoim pokoju w Domu św. Marty, kamerling Campini delikatnie zamyka klapkę telefonu komórkowego. Nasłuchuje. Usytuowany tuż obok Kaplicy Sykstyńskiej, dom jest miejscem skupienia i modlitwy, gdzie mówi się szeptem, nigdy nie podnosząc głosu. To tu kardynałowie przychodzą jeść i odpoczywać pomiędzy głosowaniami. Zgodnie z uświęconym prawem Kościoła po rozpoczęciu konklawe uczestniczącym w nim kardynałom nie wolno kontaktować się ze światem zewnętrznym. Żadnych gazet, żadnych wiadomości, radia, nagrań, telewizji. No i przede wszystkim – żadnych telefonów. Troska o ścisłe przestrzeganie tych zasad należy do obowiązków kamerlinga. Toteż Campini doskonale wie, że podjął ogromne ryzyko, przemycając tu telefon. Lepiej jednak było zaryzykować, niż pozostawić w kostnicy fałszywego kardynała Giovan-niego. Dlatego kamerling wykorzystał przerwę po pierwszym głosowaniu i wrócił do pokoju w Domu św. Marty, żeby czekać na telefon od Mankela.

Wysłał do szpitala Mankela, bo był to człowiek niezrównany w wykrywaniu kłamstw. Podejrzenia Campiniego wzbudziła rozmowa Mendozy z dowódcą gwardii przed bazyliką. Co knuł

ten stary pies, ten przeklęty sekretarz stanu? Podobno Mendoza wrócił zaraz potem do willi pod Rzymem, żeby tam czekać na wynik konklawe. Campini kazał go dyskretnie śledzić. Z najnowszego raportu wynikało, że od powrotu z kolacji w mieście stary kardynał nie ruszał się z domu. Kolejny rozwiązany problem – w kostnicy kliniki Gemelli rzeczywiście leżały zwłoki Giovanniego. Tylko ten spięty głos Mankela podczas ich rozmowy... Zmuszony do szeptu, jak uczeń, Campini nie miał czasu na zadawanie kolejnych pytań. Teraz jednak był pewien, że w głosie Mankela pobrzmiwało przerażenie.

Kardynał usiłował stłumić obawy. Oczywiście, że widok zwłok Giovanniego wstrząsnął inkwizytorem. Tak, z pewnością. A jednak... Od kilku sekund kamerling rozważa wszelkie za i przeciw. Zastanawia się, czy warto ryzykować, telefonując jeszcze raz do Mankela, żeby rozwiązać wątpliwości. Doskonale wie, jak niebezpieczny byłby to krok, bo gdyby go przyłapano z komórką w ręku w Domu św. Marty, to nawet jego, kamerlinga, natychmiast wykluczono by z konklawe i ekskomunikowano. Ta druga kara najzwyczajniej rośmiesza Campiniego, ale pierwsza stanowi poważny problem, ponieważ pociągnęłaby za sobą automatyczne rozwiązanie konklawe i jego ponowne zwołanie w późniejszym terminie. Nie, to wykluczone. Mimo to ciekawość jest tak silna, że stary kardynał czuje, jak jego palce unoszą klapkę telefonu. Bezwiednie wybiera pierwsze cyfry numeru Mankela. Dotyka już klawisza, który spowoduje połączenie, gdy hałasy z korytarza wrywają go z zadumy – ktoś puka do kolejnych drzwi, wzywając kardynałów na drugą turę głosowania. Campini podnosi klapkę telefonu, przerywając połączenie. Odgłos kroków jest coraz dalszy. Kamerling gorączkowo owija telefon w ścierkę, kładzie go na podłodze i miażdży uderzeniem obcasa. Skrzywienie drzwi i kroki idących na konklawe zagłuszają trzask pękającego telefonu. Stary człowiek podnosi zawiniątko i wciska je na dno walizki, gdzie nikt nie będzie go szukał. Wychodząc z pokoju do kaplicy, czuje lekki żal. Teraz nie będzie

już mógł kontaktować się ze swoimi ludźmi, żeby nimi kierować. Trudno – wyniki pierwszego głosowania dają nadzieję na rychły koniec konklawe.

Świta. Tylko skrzypienie mokasynów Giovanniego i cichy odgłos kauczukowych podeszew Cerentina zakłócają ciszę pogrążonych we śnie uliczek La Valetty. Kapitan gwardii szwajcarskiej pozostaje o kilka metrów za kardynałem. Pod marynarką trzyma broń gotową do strzału. Chronieni na pewien dystans przez ludzi Crucia Malta, maltańskiej gałęzi Cosa Nostra, mężczyźni skręcają w Republic Street, stromą aleję, wzdłuż której ciągną się napierające na stare miasto nowoczesne domy. Tu nie czuć już słonego powietrza z okolic portu, ale tylko lekką, ciepłą bryzę. Okiennice są pozamykane. Nawet psom nie chce się jeszcze czekać. Nie słychać warkotu silników. Numer 79. Kardynał Giovanni przystaje. Po przeciwnej stronie ulicy widzi barokową kamienicę z bramą z litego drewna, strzeżoną przez kamery. Wstęp umożliwia karta magnetyczna. Na prawym skrzydle bramy, na tablicy z brązu, widnieją dwie splecione litery, a nad nimi korona: LB – Lazio Bank, dyskretna filia, w której obsługuje się najwyższe konta i elektroniczne sejfy. – Proszę tu na mnie poczekać. Kapitan Cerentino błyskawicznie rozgląda się wokół i kiwa głową. W odległości pięćdziesięciu metrów, po lewej, parkuje zielona kamionetka z czterema ludźmi Cosa Nostry. Po prawej, około czterdziestu metrów od banku, dwaj inni zamiatają ulicę, przebrani za pracowników oczyszczania miasta. Giovanni przeszedł przez ulicę i zatrzymał się przy bramie. Kamery obróciły się, gdy wsuwał kartę magnetyczną i wprowadził jedenastocyfrowy kod. Po kilku sekundach usłyszał charakterystyczny dźwięk. Brama otworzyła się, a potem zamknęła za kardynałem.

Znalazł się w wyłożonym marmurem holu, gdzie wygodne fotele czekały na klientów, a szerokie, biegnące łukiem schody prowadziły do oddzielonego szkłem kuloodpornym kontuaru. Tam, przy ekranach komputerów, siedziała młoda kobieta. Gio-

vanni podszedł do niej. Uniosła głowę i wskazała mu kolorową klawiaturę. Zimnym, profesjonalnym, beznamiętnym tonem powiedziała:

–Proszę podać identyfikator.

Giovanni wprowadził kod, który znalazł w kopercie wręczonej mu przez kardynała Mendozę, i wcisnął przycisk. Kobieta spojrzała na ekran, czekając na odpowiedź. Giovanni zerka na obrazy nad kontuarem – portrety starców, od najdawniejszych, po lewej, do coraz nowszych z prawej. Dynastia.

–Kim są ci ludzie?

–To kolejni fundatorzy, po Giancarla Bardiego, naszego obecnego dyrektora.

Giovanniego przebiega dreszcz. Rodzina Bardich. Mendoza wymienił to nazwisko, mówiąc o najpotężniejszych rodzinach związanych z Novus Ordo. To właściciele Lazio Banku i wielu innych firm na całym świecie. Krople potu zraszają czoło kardynała. To tu Valdez ukrył swoją dokumentację, w jaskini Iwa. Dzwonek. Zmarszczka, która pojawiła się na czole kobiety znika. Wciska guzik, otwierając drzwi po prawej stronie. Drzwi tak doskonale zamontowane w ścianie, że nikt nie domyśliłby się, iż tam są. Za nimi wyłożone chodnikiem schody prowadzą do podziemi banku. Kobieta znów spogląda na kardynała i nieco cieplejszym głosem mówi: – Proszę wejść, Eminencjo. Giovanni schodzi po schodach. Drzwi zasuwają

się za nim niemal bezszelestnie.

Na dole stalowa krata odsuwa się przed kardynałem automatycznie. Powiew powietrza z klimatyzacji. Giovanni wchodzi do ogromnej sali, którą zalewa światło z sufitu. Idzie aleją między sejfami. Każdy z nich oddzielony jest grubą ścianką ze stali, wyposażoną w komputer. Same sejfy są staromodne i bardzo masywne, a tylko ich zamki wymieniono na nowoczesne. Na niektórych widać jeszcze ślady po starych kluczach i pokrętła do wybierania kodu, zupełnie bezużyteczne, odkąd wszystkie sejfy Lazio Banku mają kod elektroniczny.

Rząd 12, blok 213. Giovanni zatrzymuje się przy sejfie kardynała Valdeza. To istna szafa wysokości dwóch, a szerokości jednego metra. Giovanni wprowadza symbole zapisane na odwrocie krzyża Ubogich. Ekran miga, a potem, po serii głuchych puknięć, przesuwają się blokady i otwierają się ciężkie drzwi.

Światło w sejfie zapala się automatycznie. Giovanni z przerażeniem stwierdza, że wewnątrz, na dwunastu półkach, leży tylko... kurz. Wspina się na palce i przesuwa dłońią po górnych półkach. Po chwili natrafia na cienkie plastikowe pudełko z wypisanymi czarnym flamastrem literami No. Wyjmuje je – to płyta CD. A zatem ogromny sejf kryje tylko ten kilkucentymetrowy krążek z danymi o siatce Novus Ordo. Efekty trzydziestu lat pracy nad tajemnicami Czarnego Dymu, zebrane na zwyczajnym krążku plastyku! Na twarzy Giovanniego pojawił się uśmiech. Do końca lat osiemdziesiątych Valdez musiał zebrać góry papierów zapisanych informacjami na temat organizacji. Gdy informatyka zaczęła się gwałtownie rozwijać, zapisał dane na wielu dyskietkach, następnie na dyskach CD o mniejszej pojemności, a w końcu na tym, zdolnym pomieścić zawartość stu tysięcy stron. Teraz Giovanni już rozumie, po co na ściankach pomiędzy sejfami zainstalowano komputery – tony papierów zalegających od wieków w Lazio Banku z biegiem czasu topniały, a ich miejsce zajęły dyski.

Giovanni wprowadza dysk Valdeza do komputera. Procesor trzeszczy i wyświetla spis zawartości. Zarchiwizowane dokumenty, teksty, księgi rachunkowe, rozliczenia, rejestry, te starsze pisane po łacinie i zapewne pochodzące ze średniowiecznych banków.

Pierwsze strony pokrótce omawiają wyniki trzydziestu lat pracy Valdeza i prezentują główne ogniwa sieci Novus Ordo, tak cierpliwie tkanej przez stulecia, a teraz oplatającej świat – banki, koncerny, najpotężniejsze na świecie firmy, pośrednicy, giełdy, fundusze inwestycyjne, kompanie lotnicze, żegluga, fabryki zbrojeniowe, laboratoria farmaceutyczne, giganci logistyki i informatyki... Gęsta sieć powiązań w świecie finansów, koncernów

naftowych, przemyśle ciężkim. A także w izbach rozrachunkowych. Do tego raje finansowe i sieć banków offshore, które pomnażają skarb templariuszy.

Novus Ordo to nie tylko potężny konglomerat finansowy. Organizacja, która początkowo wspierała średniowiecznych heretyków, stworzyła sekty przeciwników katolicyzmu. Za tymi wszystkimi organizacjami, powiązanymi ze sobą w sposób mniej lub bardziej jawny, stał skarb templariuszy i kardynałowie z Czarnego Dymu.

Gwałtowne drgnienie. Śpiący człowiek budzi się nagle. Wokół panuje zamęt. Jakieś hałasy i wibracje. Coś puka mu pod stopami. „Koła”. Przebudzony skupia się na tej myśli, która zaświtała mu w głowie. Zgrzyt wagonów, świst wiatru. „Pociąg”.

Ojciec Carzo otwiera oczy. Dotyka dłońmi ławki. Jest ciemno. Za oknem migają żółte światła. W przedziale jest pusto. Carzo układa w mozaikę okruchy wspomnień. Skrawki obrazów i urwane dźwięki.

Siedział w podziemiach Bolzano i gładził Marie po głowie, kiedy to się stało. Świat zawirował, zakręciło mu się w głowie, mąciło mu się w oczach, ugięły się pod nim nogi. Potem serce zaczęło bić wolniej. Sześćdziesiąt razy na minutę. Już tylko dwadzieścia. Potem dwa. Carzo osunął się na kolana, kiedy przestało bić. A kiedy nic już nie pulsowało pod jego skórą, on wciąż żył. Potem poczuł, że jego serce znowu bije. To były silne, rytmiczne uderzenia. Carzo dotknął nadgarstka, badając sobie puls. Nic. Dotknął szyi, ale tu skóra była lodowata. Jak u trupa. To nie jego serce zaczęło bić w jego piersi. Nie, ścięta krew torowała sobie teraz drogę przez jego tętnice i to inne serce i inna krew zawładnęły jego duszą. Przeniknęła go w podziemiach azteckiej świątyni – ta krew rzeczy – przyczaiła się, czekając, by przejąć nad nim kontrolę. Carzo otworzył oczy. Zmieniła się barwa światła. I zapachy. No i pojawiło się to mrowienie w palcach, gdy jego ręce zacisnęły

się na gardle Marie... Boże, jaką miał ochotę wbić zęby w to jędrne ciało i poczuć, jak krew młodej kobiety rozlewa się po jego ustach. Zapach Marie. Woda z lekką nutką imbiru. Kapłan zmagał się ze sobą, tłumiąc tę pokusę. Rzecz podskoczyła, wykrywając jego obecność. Niski, melodyjny głos zapytał:

–Czy to ty, Carzo? Cisza.

–Teraz jest moja, więc pozwól mi ją ukąsić albo pożrę jej duszę.

Właśnie wtedy Marie otworzyła oczy. Powiedziała, że wie, gdzie jest ewangelia. A rzecz odparła:

–Ja też.

A potem Carzo rozluźnił uścisk. Ciemność. Cisza.

Carzo mruga oczyma, oswajając się z półmrokiem. Drzwi przedziału tłuką się, niedomknięte. Po podłodze turla się puszką po piwie. Carzo podrywa się, słysząc odgłos zgniatanego metalu

–widzi, jak jego stopa naciska puszkę. Głos rzeczy rozlega się w przedziale. Wyczuwa się w nim zdziwienie.

–Jeszcze tu jesteś, Carzo? Głos kapłana odpowiada przez nieruchome usta rzeczy.

–Co zrobiłeś z Marie?

–A jak myślisz?

–Znam cię lepiej niż ty mnie, Ekenlacie. Carza przebiega dreszcz. Ekenlat w języku złodziei dusz znaczy martwa dusza. Kapłan wreszcie nazwał po imieniu głos rzeczy

–to demon, którego wielokrotnie pokonał w czasie odprawianych przez siebie egzorcyzmów w Kalkucie, Belem, Bangkoku, Singapurze, Melbourne, Abidżanie... A

jednak to rzecz zawsze wygrywała – Kaleb, księżę złodziei dusz. Duch stary jak świat, najpotężniejszy rycerz Zła, archanioł Szatana. Tak jak w azteckiej świątyni, gdy Carzo próbował przepędzić egzorcyzmami niezwykle potężnego ducha, okazało się, że jego wiara jest bezsilna wobec takiego mroku. Wyższe opętanie. Egzorcysta czuje, jak ogarnia go lęk. Widzi tamten krąg świec i

rzecz, która z uśmiechem obserwuje go, gdy idzie przez mrok.

Kaleb. To on siał opętanie na całym świecie. To przez niego wszyscy opętani powtarzali imię Carza. Litania zmarłych. W ten sposób Kaleb zmusił go do pogoni tropem wyższego opętania. Ten trop urwał się w sercu dżungli, na ziemiach Yanomani. Tam księżę złodziei dusz rozbudził wielką zarazę, a potem opętał Malumę. „O mój Boże...”.

Tego dnia, wchodząc w świetlisty krąg, Carzo padł na kolana przed Kalebem i oddał mu cześć. Wtedy demon go dosięgnął i wszedł w niego.

Kaleb zaśmiał się głośno.

–Widzę, że w końcu zrozumiałeś, Carzo. Czas umierać.

Oczywa Kaleba Carzo widzi manuskrypt, który własnymi rękoma rozwija z płótna. Ewangelia według Szatana, którą złodziej dusz wygrzebał z fundamentów Bolzano, by zabrać ją do Watykanu.

–Ale dlaczego? Bestia uśmiecha się w ciemnościach.

–Co „dlaczego”, Carzo?

–Dlaczego ja?

–Bo jesteś najlepszy. Czujesz smród świętych i zapach demonów. Podążam za tobą od chwili twych narodzin, Carzo. Kieruję twoimi myślami. Szepczę w twojej głowie. Byłem w szafie w twoim pokoju, kiedy zasypiałeś. W klasie siedziałem za tobą. Bawiłem się z tobą na boisku. Gdzie byłeś ty, tam byłem ja.

–Kłamiesz.

–A te dziwne zapachy, które czuleś, przechodząc obok ludzi. Woń nienawiści, smród dobroci, opary żądź? Ledwie kogoś poczułeś, a już wiedziałeś, czy jest dobry, czy przesiąknięty złem. Wiedziałeś, czy już zabił, czy też był wolontariuszem w organizacji charytatywnej. A czasem jedno i drugie. Jak Martha Jennings. Pamiętasz ją, Carzo? Ta gruba brzydka baba, taka miła,

z którą mama zostawiała cię czasem, kiedy byłeś mały... Ta, która pachniała mimozami i torbą na śmieci, którą ktoś napelnił i zostawił w pełnym słońcu? Trochę mimozy i dużo śmieci. Chcesz wiedzieć, dlaczego unosiły się nad nią te dwa tak różne zapachy?

–Milcz.

–Adoptowała dwójkę niedorozwiniętych bachorów. Dwoje malców, których nikt nie chciał. Stąd mimoza. A rozkładające się śmieci za to, że kiedy jej mąż wracał wieczorem i zalaływało od niego alkoholem, mamuśka Jennings rozkręcała telewizor na cały regulator, żeby nie słyszeć, co ten pijak robi małej w sąsiednim pokoju.

–Na Boga, czy możesz wreszcie stulić gębę? Cisza.

–A Ron Calbert, pamiętasz tego starego łachudrę? Nie, oczywiście, że go nie pamiętasz, miałeś wtedy tylko osiem lat. A może jednak...? Wysoki, chudy facet w okrągłych okularach, z długimi włosami. Otarłeś się o niego w kolejce do kina, kiedy przepchnął się przed ciebie i twojego ojca, żeby zająć lepsze miejsce. O mało nie zemdlaleś, tak cuchnął amoniakiem. To smród dzieciobójców. W ciągu dwóch lat zgwałcił i pogrzebał żywcem czternaścioro dzieciaków.

Carzo przymyka oczy. Pamięta. Tego dnia, kiedy dotknął ręki Rona Calberta i smród wypełnił jego nozdrza, zrobił się taki blady, że ojciec wyprowadził go z kolejki i zmusił, żeby usiadł na ławce.

–Tak, teraz pamiętasz. Piekielny Ron Calbert. On też wyczuł, że coś wtedy zauważyłeś. Nie odrywał od ciebie oczu, kiedy tata się tobą zajmował. Przyszło mu nawet do głowy, żeby wybrać cię na piętnastą ofiarę. Ale zrezygnował, kiedy wsiadłeś z ojcem do pick-upa, żeby wrócić do domu. Patrzyłeś na niego przez okno, kiedy samochód ruszał. Przypominasz sobie? Tak. Carzo pamiętał. Patrzył na Calberta. A morderca obserwował go, skinął mu ręką.

–Chcesz wiedzieć, dlaczego postanowił cię nie zabijać?

–Nie.

–I tak ci powiem. Ponieważ w kolejce, tuż przed tobą i ojcem, stała dziewczynka imieniem Melissa. Mała blondyneczka z warkoczykami. Dokładnie w typie Calberta. Dlatego zbliżył

się do niej, przepchnął się przed was. Chciał poczuć zapach włosów Melissy. Potem czekał, aż zgasną światła w sali. Uśpił Melissę i jej mamę chloroformem. Chcesz wiedzieć, ile jeszcze zamordował dzieci, zanim go złapano? Szkoda, że wtedy nic nie powiedziałaś?

–Nikt by mi nie uwierzył.

–Masz rację. Znow zapadła cisza.

–Poza tym był Barney.

–Kto?

–Barney Clifford. Przyjaciel z dzieciństwa. Ten, u którego przesiadywałeś wieczorami i w weekendy. Kochaliście się jak bracia. Razem rozrabialiście, byliście nierozłączni. Razem na dobre i na złe. Dzieliliście się nawet dziewczynami... Właśnie, ojczulku, nie tylko dziewczynami, prawda? Powiedz!

–Zamknij się. Kaleb gwiżdże przez zęby.

–Na wszystkie demony piekieł, Carzo, kochałeś się w Clif-fordzie? Cholera, to rewelacja! Jak daleko się posunąłeś?

–Stul pysk.

–Przykro mi. Bolesne wspomnienia... Dlatego zostałeś księdzem?

–Barney zginął w wypadku samochodowym. Miał dwadzieścia lat. Owszem, byłem w nim zakochany. Potem wstąpiłem do seminarium.

–To ja zabiłem Barneya. Musiałem. A właśnie, zapomniałbym, Barney jest tu z nami. Chcesz z nim pogadać?

–Odpieprz się.

Ojciec Carzo zaciska pięści, słysząc głos przyjaciela wydobywający się z ust Bestii.

–Cześć, stary, jak leci?

–Kaleb, przestań marnować mój czas. Dobrze wiesz, że to nie Barney. Kaleb wzdycha.

–Dobra, zacznijmy od nowa. Wstąpiłeś do seminarium i zostałeś księdzem. Potem nauczyłeś się rozpoznawać zapachy, więc zostałeś egzorcystą w Kongregacji Cudów. Najlepszym z najlepszych. Żaden demon nie potrafił ci się oprzeć. Poza mną. Prawdę mówiąc... prawie. Pamiętasz nasze ostatnie

spotkanie w Abidżanie? Zadałeś mi potworny ból, o mało mnie nie dopadłeś. Wtedy zrozumiałem, że jesteś gotów. Dlatego spowodowałem serię opętań ukierunkowanych tak, żeby zwabić cię do Amazonii.

–A Manaus?

–Co z Manaus?

–Zaniknąłem cię w zwłokach ojca Jacomino. Jak zdołałeś się uwolnić?

–Poczekalem, aż umrze. Potem pozwoliłem jego duszy odejść i stanąć przed tamtym.

-Tamtym?

-Zgorzkniałym starcem, który od wieków ma was gdzieś.

-Przed Bogiem?

-Tak. Ale nie wolno mi wypowiadać jego imienia.

-I co?

-A to, że twój ojczulek Jacomino musiał mieć duszę czarną jak smoła albo żyła węgla.

-Został potępiony?

-Nieodwołalnie. A to unieważnia twój sakrament i namaszczenie i dzięki temu mogłem wyrwać się z jego trupa.

-Chcesz powiedzieć, że Bóg nie odpuszcza grzechów, które kapłani odpuścili na tej ziemi?

-Carzo, twoja naiwność zaczyna mnie męczyć. Stary was nienawidzi, a wy tego nie widzicie. Wysłał syna na ziemię, bo miał wobec ludzi pewne plany. Ale przegrał. Odtąd interesuje się wami tak samo, jak ocean kroplami wody, które go tworzą. Mam ci powiedzieć, co was czeka po śmierci?

-Jeśli chcesz.

-Po śmierci wszystko zaczyna się od nowa.

-Co się zaczyna?

-Zmarli są tutaj, wokół was. Są tu wszyscy. Żyją, nie widząc was. Nie pamiętają was. Zaczynają nowe życie. I to się nazywa potępieniem. Bezśmierć, krąg życia. Chcesz pogadać z mamą? W nowym życiu jest niedorozwiniętą umysłowo dziewczynką. Tą adoptowaną córką Marthy Jennings.

-Wsadź sobie ten język w dupę, Kaleb.

Pociąg mknie pośród nocy. Podryguje. Zgrzyta.

–Powiedz mi. Carzo, jak egzorcysta zabiera się do auto-egzorcyzmów?

–Zdrowaś Mario, łaski pełna. Pan z Tobą...

–Janus, owoc żywota Twojego, jest przeklęty. Carzo, przestań, to łaskocze! Kaleb wybucha śmiechem.

–Naprawdę myślisz, że uda ci się przegnać mnie słowami?

–Credo in unum deum Patrem omnipotentem...

–Wierzę w odwieczną Otchłań, wzorzec wszechrzeczy i nierzeczy, w jedyne stwórcę światów widzialnych i niewidzialnych.

–Pater Noster qui es in coelis...

–Bóg jest w Piekło, Carzo, włada demonami, włada potępionymi duszami, włada zjawami, które błakają się w ciemnościach.

Ojciec Carzo czuje, że opada z sił i jest bliski utraty świadomości. Wie, że jeśli teraz ulegnie choć na chwilę, przegra całą walkę. A właśnie tego chce Kaleb – żeby Carzo ustąpił, pozwalając na zawsze zawładnąć swą duszą. Nieśmiertelną duszą w martwym ciele. W trupie, którego Kaleb porzuci w szczerym polu albo ciśnie do studni, kiedy nie będzie już potrzebował tej doczesnej powłoki. Toteż kapłan przerzuca w myślach karty obrządku Ciemności, który czytał w krypcie katedry w Manaus. Nie ma innego sposobu na ducha tak potężnego jak Kaleb.

–Na nic ci się to nie zda, Carzo.

Kapłan gwałtownie się obraca. Złodziej dusz czyta w jego myślach. Nie, on po prostu myśli równocześnie z nim.

–Powiedzieć ci dlaczego?

–Nie.

–Bo twoja wiara umarła, Carzo.

–Łżesz.

–Umarła, kiedy oglądałeś freski w świątyni azteckiej. Umarła w chwili, gdy klęczałeś przede mną i oddałeś cześć Szatanowi. Umarła, kiedy porzuciłeś Marie w ciemnościach.

–Marie...

–Poddaj się, nie możesz nic zrobić.

Przeciwnie. Coś jeszcze może. Może przynajmniej próbować. Zamyka oczy i koncentruje się. Kaleb spogląda na niego z niepokojem.

–Co ty tam kombinujesz, Carzo?

Przetrząsając mrok, który przenika myśli Kaleba, kapłan dostrzega słabe światełko, gdzieś w dali, jakby migający płomień świecy. Im silniej się koncentruje, tym większy jest ten płomyk. Oświetla ściany zamkniętej murem wnęki, gdzie widać twarz chyba śpiącej Marie. Zamknęła oczy, a w świetle błyszczą łyzy na jej rzęsach.

Świeca pali się, skwiercząc. Płomyk jest teraz tak słaby, że wygląda w ciemnościach ledwie na pomarańczowy punkt. Marie słyszy głos matki Izoldy, która od wielu godzin błaga Boga, by ulżył jej cierpieniom. Ale matka Izolda wciąż nie może umrzeć.

Starą mniszkę wyrywa z drzemki odgłos kroków na schodach. Nastawia ucha. Rozpoznaje głos siostry Bragancji, która powtarza jej imię. Sandały zmarłej uderzają o kamienne stopnie, słysząc, jak zakonnica szlocha. Przystaje pod schodami. Już nie płacze. Robi się cicho. Marie zaczyna się dusić. Pomarańczowy ognek gaśnie i ciemności otaczają mniszkę, która bezgłośnie płacze.

Szelest. Wiodąc ręką po ścianie, Bragancja szepcze jak dziecko, które bawi się w chowanego:

–Przestań uciekać, matko. Chodź z nami. Jesteśmy tu wszystkie.

Inne szepty wtórują głosowi Bragancji. Marie nasłuchuje. Trzyście par martwych dłoni maca mury wraz z Bragancją. Trzyście trupów z trzynastu grobów. Kiedy dłonie zatrzymują się przy wnęcie, Marie wstrzymuje oddech, żeby nie zdradzić swej kryjówki. Cisza. Za ścianą ktoś pociąga nosem. Przytykając wargi do muru, siostra Bragancja

znów szepcze:

–Czuję cię. Znów węszenie, ale bardziej intensywne.

–Słyszysz, stara suko? Czuję twój smród. Marie powstrzymuje krzyk. Nie, Bestia, która zawładnęła ciałem Bragancji, wcale jej nie czuje, po cóż bowiem miałyby wówczas nawoływać? Kurczowo chwyta się tej myśli. Potem uświadamia sobie, że wciąż wstrzymuje oddech i że zaczyna rzeźzić, bo spragnione płuca domagają się tlenu. Nie zdoła zdławić tych odgłosów. I gdy ciężkie łzy spływają po porośniętych brudem policzkach matki Izoldy, czuje, jak lodowate, starcze ręce zaciskają się na jej szyi. Próbuje się bronić, wyrwać z uścisku mniszki, która wbija pazury w jej ciało, żeby się szybciej udusić. Czuje strużki krwi spływające po szyi. Jest bliska śmierci. Zamyka oczy. Za ścianą Bragancja i pozostałe siostry gniewnie szepczą.

Dyskretne drzwi do bankowego holu otwierają się automatycznie, gdy Giovanni wchodzi na ostatnie stopnie schodów. Spędził na dole niespełna godzinę. Żegna skinieniem głowy pracownicę banku. Z płytą w kieszeni sutanny opuszcza budynek. Słońce już weszło i łagodne światło zalało uliczki. Robi się coraz cieplej.

Giovanni zerka na kapitana gwardii szwajcarskiej i zamiera – Cerentino kręci głową. Kardynał patrzy w prawo – ulicą wolno nadjeżdża limuzyna, mija go. Za szybą rozpoznaje Giancarla Bardi, dyrektora Lazio Bank. Starzec pilnowany przez trzech ochroniarzy siedzi z tyłu, czytając dokumenty. Podnosi głowę, zauważa Giovanniego i puszcza dokumenty, które bezładnie spadają mu na kolana. Limuzyna oddala się, a on wciąż się ogląda, jakby chciał możliwie najdłużej obserwować Giovan-niego. I nagle Giovanni uświadamia sobie, jaki popełnił błąd – tam, w podziemiach banku, po wprowadzeniu kodu do sejfu Valdeza, zapomniał ukryć krzyż ubogich pod sutanną.

Teraz ten krzyż kołysze się na łańcuchu, rzucając się wszystkim w oczy.

To on przyciągnął spojrzenie Bardiego, który rozpoznał klejnot. Szybkie spojrzenie w lewo. Limuzyna zatrzymała się kilka metrów dalej. Otwiera się brama parkingu. Giovanni patrzy na Cerentino, ale ten kręci głową, co oznacza „Proszę się nie ruszać”.

A potem kapitan pochyla się, żeby przemknąć, ukrywając się za sznurem zaparkowanych samochodów.

Nie czekając, aż szofer otworzy mu drzwi, Bardi gramoli się z samochodu. Podparty laską, otoczony przez goryli, idzie w stronę Giovanniego. Ludzie ze słuchawkami w uszach, ubrani w czarne garnitury, nie zauważają, że za ich plecami przez ulicę przechodzi Cerentino. Skupiają uwagę na zielonej kamionetce, która odjechała wolno uliczką. Rozwścieczony Bardi widzi tylko Giovanniego i krzyż ubogich, który kołysze się na jego sutannie.

Ciepłe powietrze rozdzierają cztery wystrzały. Dwaj goryle padają na ziemię, trafieni w plecy przez kapitana szwajcarów. Zdezorientowany trzeci ochroniarz pcha Bardiego pod ścianę, a kierowca błyskawicznie się odwraca i oddaje cztery strzały z bliska do Cerentina. Trafiony w szyję i klatkę piersiową, młody kapitan zdąża jeszcze zabić szofera strzałem między oczy. Bardi krzyczy:

–Krzyż, na Boga, niech pan odzyska krzyż! Goryl, który ochrania starca, trzymając go pod murem, wyciąga broń i celuje w kardynała. Giovanni stoi jak słup, wpatrując się w czarną paszczę, która zwraca się w stronę jego twarzy. Od uzbrojonego mężczyzny dzieli go zaledwie dziesięć metrów – odległość, z której trudno chybić. Ale nagle kamionetka zatrzymuje się z piskiem opon między Giovannino a ochroniarzem. Otwierają się tylne drzwi i dwóch zabójców Cosa Nostry otwiera ogień z pistoletów maszynowych. Bardi i jego goryl osuwają się na chodnik. Wokół pełno jest krwi. W dali słychać wycie syren. Zabójcy wyskakują z wozu, żeby dobić czołgającego się starca, a kierowca kamionetki woła Giovanniego.

–Proszę już iść, Eminencjo. Tylko nie biegiem, spokojnie. Proszę iść tą uliczką na wprost, potem skręcić w prawo, w stronę portu, i w lewo, do dzwonnicy kościoła św. Pawła. Tam

już czekają na Waszą Eminencję. My zajmiemy się resztą... Giovanni przechodzi na drugą stronę Republic Street. Zerka w prawo. W dali migają światła wozów policyjnych. Skręcając w uliczkę odwraca się i patrzy na zwłoki kapitana Cerentino, które ludzie Cosa Nostry wkładają do samochodu. Zauważa też młodą urzędniczkę z banku, gdy ta wybiega z bramy Lazio Banku. Zasłania twarz dłońmi i potwornie krzyczy, widząc zwłoki Giancarla Bardiego. Jeden ze zbirów zachodzi ją od tyłu i przystawia lufę do głowy. Krew tryska na chodnik. Kobieta osuwa się na kolana.

Giovanni odwraca oczy i skręca w uliczkę wiodącą do portu. Słyszy, jak

kamionetka odjeżdża z piskiem opon. Wycie syren jest coraz bliższe. Widać już dzwonnice kościoła św. Pawła. Giovanni przyspiesza kroku.

Gęsty, wonny dym kadzideł znów wzbija się ku sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej. Kamerling podchodzi do tego, który został wybrany w drugim głosowaniu konklawe. Wspina się na palce i pyta, czy kardynał gotów jest wziąć na siebie ciężar nowej funkcji. Nowy papież odpowiada, że jego wola zgodna jest z wolą bożą. Szambelan prowadzi go więc do pokoju, w którym zgodnie z tradycją elekt roni łzę, rozmyślając o obowiązkach, które na niego spadną. Jednak oczy tego papieża są suche. Campini pyta, jakie pragnie przyjąć imię. Elekt pochyla się i szepcze coś do ucha szambelana, którego twarz wykrzywia się w uśmiechu. Pomaga głowie Kościoła zdjąć kardynalski habit i zapiąć białą szatę. Potem, gdy notariusz konklawe pali karty z wynikami głosowania, szambelan poleca otworzyć weneckie okno wychodzące na plac Świętego Piotra. Nowy papież i stary kardynał wychodzą z kaplicy i podążają razem labiryntem korytarzy i schodów na pierwsze piętro bazyliki. Parkiet trzeszczy pod stopami tych, którzy idą za nimi. Po drodze elekt znów szepcze do ucha szambelana: – Każesz otworzyć bazylikę tuż po podaniu decyzji konklawe, aby natychmiast rozpoczęła się ostatnia msza.

Stary kamerling kiwa głową. W końcu korytarza otwarto już drzwi balkonu bazyliki. Z ulicy słychać szmer oczekującego tłumu.

–I jeszcze jedno. Wkrótce u bram Watykanu stanie mnich. Przyniesie ewangelię. Każ, aby wpuszczono go, nie czyniąc żadnych trudności.

–Tak się stanie, Wielki Mistrzu.

Syreny zamilkły. Giovanni skręca w lewo, w stronę dzwonnicy św. Pawła. Jego sutanna jest wilgotna od potu. Teraz kardynał idzie uliczką wciśniętą między stare kamienice, których okna uchylają zwabieni odgłosem kroków mieszkańcy. Jakiś staruszek patrzy na niego, stojąc w bramie. Giovanni robi się czujny. Nieopodal dostrzega mężczyznę w garniturze i ciemnych okularach. Nieznajomy wychodzi mu na spotkanie. Wsuwa rękę do kieszeni marynarki, wyjmując czarne skórzane etui i otwiera je, pokazując kardynałowi odznakę FBI.

–Agent specjalny Dannunzo, Wasza Eminencjo. Proszę iść prosto. Stuart Crossman już czeka. Giovanni rozgląda się po ulicy.

–Proszę się nie niepokoić. Nikt nie przejdzie, dopóki tu będę. Proszę iść, czas nagli.

Giovanni wypełnia polecenie. Po chwili znowu się odwraca. Agent specjalny Dannunzo wrócił do swojej bramy. Kardynał idzie, ale najchętniej ruszyłby biegiem. Kolejny agent wskazuje mu schody opadające do portu. Tu powietrze jest lżejsze. W dole widać placyk w cieniu lip. Przy metalowym stole siedzi mężczyzna w garniturze i okrągłych okularach. Kardynał podchodzi do niego.

–Stuart Crossman? Mężczyzna unosi głowę. Ma bystre oczy i bladą cerę.

–Czekałem na Waszą Eminencję.

Ekspres Trydent-Rzym przez całą noc pędził przez Toskanię. Podróż dobiegła kresu. Stojąc w korytarzu, ojciec Carzo spoglądał

na podrzymskie pejzaże, przysłonięte jeszcze poranną mgłą. Walczył z Kalebem, chwytając się wspomnienia Marie, tego pocałunku w ruinach fortecy Maccagno Superiore, zapachu jej skóry, dotyku dłoni, które go pieściły, kiedy kochali się w kaplicy.

Złodziej dusz stopniowo ulegał, a Carzo czuł, jak ciepło powraca do jego ciała. Krew znowu popłynęła żyłami, serce uderzało w piersi. Ból i rozpacz. To wtedy stracił kontakt z Marie. Marie zamurowaną we wnęce, gasnącą wraz z płomieniem świecy.

Na dworcu we Florencji, gdzie pociąg zatrzymał się na krótko, Carzo zawahał się, stojąc w otwartych drzwiach. Mógłby wysiąść, poczekać na pociąg jadący na północ, podjąć próbę ocalenia Marie. Albo jechać do Rzymu i doprowadzić do przerwania konklawe, dopóki nie będzie za późno. Czując w ręce ciężar ewangelii, zamknął oczy, by nie patrzeć, jak zamykają się drzwi, nie słyszeć ich trzasku ani obwieszającego odjazdu gwizdu. Decyzja zapadła. Od tej chwili ojciec Carzo wpatrywał się w okno. Rzym. Pociąg zwalnia. Koniec podróży. Carzo waży w dłoni broń Marie, którą ukrył w kieszeni habitu. Dziewięćmilimetrowy Glock z ceramiczną rękojeścią. Naśladując gesty agentki, odciąga w tył zamek, aby wprowadzić kulę do lufy. Potem sprawdza zabezpieczenie i wsuwa Glocka do kieszeni. Jest gotów.

Pociąg zatrzymuje się ze zgrzytem. Na dworcu Roma Termini ojciec Carzo otwiera drzwi i wdycha ciepłe powietrze, które wpada do wagonu. Pachnie deszczem. Woń imbiru pieści nozdrza egzorcysty na peronie, w tłumie podróżnych – to zapach skóry Marie.

Agenci FBI dyskretnie otaczają placyk, na którym spotkali się Crossman i Giovanni. Fontanna śpiewa. Ptaki kwilą na lipach. Cykady wtórują im z kęp tymianku. Crossman patrzy na ekran laptopa, zapoznając się z zawartością dysku Valdeza. Giovanni ociera pot z czoła.

–Proszę się odprężyć, Eminencjo. Tu nic nam nie grozi.

–A Bardi, pomyślał pan o nich?

–W czym problem?

–To wpływowa rodzina. Przeczeszą wyspę, żeby odszukać zabójców starego Giancarla.

–Proszę ich nie przeceniać. To przede wszystkim bankierzy, chociaż zawarli przymierze z niektórymi klanami mafii. Fakt, że Cosa Nostra i jej maltańska gałąź pomagały Eminencji w odzyskaniu dokumentów, dowodzi, że miały w tym interes i że nadal będą Eminencję chronić, dopóki ma Eminencja te dokumenty. A może nawet potem.

–Nie rozumiem.

Nie odrywając oczu od ekranu, po którym przewijają się materiały Valdeza, Crossman ciągnie:

–Dom Gabriel nie jest ani dobroczyńcą, ani naiwnym starcem. To ojciec chrzestny wszystkich mafiosów Cosa Nostry. Jest nietykalny, święty jak relikwie. Emiliano Cazano, głowa Camorry, to jego kuzyn. We dwóch mają władzę nad osiemdziesięcioma procentami klanów z Sycylii, Neapolu i Kalabrii. Przypuszczam, że ci bankierzy z Novus Ordo weszli im w paradę i dlatego dom Gabriel wam pomógł. Bez niego Wasza Eminencja nie dotarłby nawet do drzwi banku na Malcie. Crossman jeszcze przez chwilę analizuje strukturę sieci. Potem unosi głowę i spogląda na plac. Wygląda, jakby w ciągu dziesięciu minut postarzał się o dziesięć lat.

–No i?

–Im mniej Wasza Eminencja będzie o tym wiedział, tym bezpieczniej może się czuć.

–Panie Crossman, jestem kardynałem, księciem Kościoła w godzinie, gdy ten Kościół wpada w ręce Czarnego Dymu. Sądzę, że im mniej wiem, tym bardziej jestem zagrożony.

–No cóż, sam ojciec chciał. Chwila ciszy.

–Mówiąc pokrótce, Novus Ordo w nowoczesnej wersji jest siatką tak rozbudowaną, że jej kontury zaczynają się zacierać. To konstelacja złożona z łóż, grup nacisku, klubów miliarderów, wpływowych kół.

–Jednak te grupy są rozpoznawalne, prawda?

–Oczywiście.

–Które to?

–Na przykład Millenium. Zajmuje się sprawami finansowymi Novus Ordo. To oni nadzorują lokaty, banki offshore, fundusze emerytalne, inwestycje długoterminowe i OPA, dyskretnie przejmując kontrole nad przedsiębiorstwami, które jeszcze wymykają się z sieci. Przeniknęli do większości liczących się instytucji międzynarodowych. To potężni bankierzy, biznesmeni, finansisci, ministrowie. Spotykają się co cztery lata w najdroższych hotelach świata. Wtedy odbywa się balet limuzyn o przyciemnionych szybach, helikoptery lądują i startują z parków otaczających rezydencje. Ostatnio Millenium zebrało się w Wersalu, w biały dzień, na oczach całego świata. Rzecz jasna, pałac został zamknięty, a strzegła go armia ochroniarzy, mimo to dziennikarze i fotoreporterzy zdołali zrobić sporo zdjęć, gdy ci wpływowi ludzie przybywali na miejsce swoimi limuzynami.

–Czy to znaczy, że znamy ich twarze?

–Niektóre tak. Przede wszystkim dlatego, że nie chodzi o mózgi Novus Ordo. Poza tym dlatego, że ci ludzie dobrze wiedzą, że ukrywając się, spowodują, iż tym usilniej będą szukani.

Toteż pojawiają się, ale treść ich rozmów pozostaje tajemnicą. Ta pseudoprzejrzystość umożliwia rzeczywistym mózgom Novus Ordo pozostanie w cieniu. Ich nikt nigdy nie widział i nie zobaczy.

–Jak sławetnych Illuminati?

–Tyle że mózgi Novus Ordo naprawdę istnieją, a nikt nie stara się dowiedzieć, kim są, bo też niemal nikt nie wierzy w ich istnienie.

–Co poza tym?

–Im wyższa hierarchia, tym bardziej zamknięte kręgi. Jak Syrius Group, Nuclear Atomic Consortium czy Condor. To obszar badawczo-zbrojeniowy Novus Ordo.

Przemysł

zbrojeniowy, centrale atomowe, część dużych firm farmaceutycznych i ściśle tajne ośrodki specjalizujące się w technologiach nuklearnych, bakteriologicznych, chemicznych.

–Boże, aż trudno w to uwierzyć. Crossman uśmiecha się pobłaźliwie.

–W tym cały problem, Eminencjo. Dlatego nikt nie wierzy w istnienie Novus Ordo.

–Co dalej?

–Przeskakujemy o szczebel wyżej w hierarchii, do spółek niejawnych, jak Bettany, Goliath Club, uczniowie Andromedy, które dokonują selekcji i rekrutacji elit. To ezoteryczny obszar Novus Ordo, skupiony na okultyzmie, satanizmie, mistycyzmie. Oni są najgroźniejsi. A z pewnością najbardziej fanatyczni.

–To chyba nie wszystko?

–Wyżej są Wartownicy, Stróże i Strażnicy, tworzący trzeci krąg wokół mózgow Novus Ordo. To oni zacierają ślady i dbają o komunikację wewnątrz sieci. A raczej o brak komunikacji. Zatruwają media, rozsiewają pogłoski, tworzą legendy, szerzą plotki. Są zasłoną dymną, za którą nie da się dostrzec pierwszego kręgu. Ze schematów Valdeza wynika, że Wartownicy pośrednio kontrolują osiemdziesiąt procent mediów – gazet, radiostacji i telewizji świata. Kardynał Giovanni ociera czoło.

–Są jeszcze kardynałowie Czarnego Dymu. To drugi krąg. Kontroluje międzynarodowe sekty, południowoamerykańskie i azjatyckie kościoły, które odeszły od Watykanu, satanistów i neonazistów, Neue Reichu Chaos, Armagedona. Ich misją jest zdestabilizowanie religii, infiltracja Kościołów, i doprowadzenie w ich łonie do metastazy, na podobieństwo tej, która dokonuje się w organizmie zaatakowanym przez komórki raka. I wreszcie nad tym wszystkim stoją mózgi Novus Ordo, a Wielki Mistrz Czarnego Dymu jest jednym z nich. To grono liczy najwyżej czterdziestu ludzi, spotykają się potajemnie raz na sześć lat, aby ustalić ogólną strategię siatki. Nic o nich nie wiemy, nawet Valdez nie zdołał uzyskać żadnych informacji, tylko pogłoski i fałszywe tropy.

–Po jakie лихо dobierają się do Kościoła?

–Bo rozbitcie Kościoła doprowadzi do wielkich niepokojów, a Nowis Ordo zawsze zerowało na chaosie.

Valentina przez resztę nocy szukała ojca Carzo w tłumach anonimowych pielgrzymów, wypatrywała jego twarzy pośród morza innych, znużonych, o błyszczących oczach i pobladłych policzkach, na których łzy mieszały się z kroplami deszczu. O świcie śpiewy ucichły. Teraz tłum stał nieruchomo. Nawet ptaki nie wzbijały się w górę. Panowała cisza. Valentina przycisnęła palcem słuchawkę. Jeden z ludzi Crossmana składał właśnie raport. Rozejrzała się i wypatrzyła go za lasem kapturów. Stał oparty o kolumnę. Nie spuszczał go z oka, włączyła mikrofon i powiedziała, że także nie ma nic ważnego do zakomunikowania.

Nagle, gdy dzwony bazyliki drgnęły, gęsty kłęb białego dymu wzniosł się z komina nad Kaplicą Sykstyńską i rozproszył na rzymskim niebie. Wówczas ogłuszający pomruk, potem niemal krzyk, wydobył się z ust pielgrzymów, a tysiące rąk wzniosły się, wskazując otwarty balkon bazyliki. Wszyscy natychmiast zamilkli. Kamerling ogłasza przez megafon, że Kościół ma nowego papieża.

–Annuntio vobis gaudium magnum! Habemus Papam! Milknie, by echo tych słów wybrzmiało na placu. Potem jego głos znowu rozdziera ciszę, podając łacińskie imię kardynała i głowy Kościoła. Papież wolno zbliża się do niego.

–Eminentissimum ac reverendissimum Dominum, Dominum Oscar Sanctae Romanae Ecclesiae Cardinalem Camano, qui sibi nomen imposuit Petrus Secundus!

Petrus Secundus... Piotr II. To niesłychane świętokradztwo bruka pamięć pierwszego papieża chrześcijaństwa. Toteż gdy twarz kardynała Camano pojawia się w świetle i gdy nowy papież wznosi ręce, wrzawa, jak witała słowa kamerlinga, nagle przeradza się w głuchą ciszę. Krzyki i brawa zamierają. Tylko gdzieniegdzie klaszcze jeszcze ktoś, kto nie wszystko usłyszał. Papież ogarnia milczący tłum lodowatym spojrzeniem, a ka-

mery liczących się telewizji ukazują całemu światu osłupienie pielgrzymów. Komentatorzy i znawcy problematyki kościelnej gubią się w dygresjach, nie pojmując przerażającego wyboru, jakiego dokonał papież, przyjmując to imię. Głośniki trzeszczą i świszczą, gdy kamerling reguluje wysokość mikrofonu. Znow zapada cisza. A potem zimny głos papieża oznajmia, że zamknęła się kolejna karta w dziejach Kościoła i że zbliża się godzina ujawnienia wielkiej tajemnicy. Tłum zaczyna szemrać, widząc, że natychmiast potem opuszcza balkon. Cisza. Szum wiatru.

Dźwięk organów wypełnia plac, coraz silniejszy w miarę jak otwierają się drzwi bazyliki. Na placu ustawiono gigantyczne telebimy, aby retransmitować mszę dla tych, którzy nie zdołają wejść do bazyliki. I znowu wszyscy milkną. Valentina łączy się z kimś z komórki.

Crossman wzdycha, zamykając laptop. Giovanni zerka na niego:

–Co teraz?

–Nie rozumiem.

–Co pan zamierza?

–A cóż może działać kropla wody w oceanie? Novus Ordo to sieć tak rozbudowana, że nie zdziwiłbym się, gdybym, nic o tym nie wiedząc, sam do niej należał.

–Czyli to już wszystko?

–A co mam zrobić, Eminencjo? Aresztować podejrzanych o świcie, wtargnąć do domów ludzi, którzy nadzorują strefy satelickie Novus Ordo? Tak, to możemy zrobić.

–Ale?

–Ale po dwóch godzinach zastąpią ich nowi ludzie, których nie będziemy znali i trzydzieści lat pracy Valdeza pójdzie na marne. Nawet gdyby jakimś cudem udało się dopaść kogoś z grona „mózgów” organizacji, to będą to tylko jednostki i ich aresztowanie niczego nie zmieni. Takie organizacje są jak mafia, gdzie ojców chrzestnych w razie potrzeby natychmiast

zastępują nowi. Ale ta organizacja jest znacznie potężniejsza od mafii. Jak hydra Jazona – gdy jej obciąć głowę, w miejscu jednej wyrośnie sto nowych.

–Można ujawnić wszystko prasie.

–Jakiej? Lokalnym gazetkom, darmowym dziennikom czy pismom, które żyją z drobnych ogłoszeń?

–A poważne dzienniki?

–Przecież większość z nich należy pośrednio lub bezpośrednio do akcjonariuszy Novus Ordo. A co by to dało? Kolejną falę plotek i pogłosek?

–Przecież mamy szkic struktury organizacji opracowany przez Valdeza. To dowód!

–Nie, Eminencjo, to nie dowód, a jedynie domysły. Możemy oczywiście siać panikę w ich strukturach, publikując te informacje w Internecie, ale proszę się nie łudzić – nic nam to nie da.

Crossman chciał coś jeszcze dodać, gdy rozległ się dzwonek jego telefonu komórkowego. Odebrał. Szmery, szepty. Hałas jak w podekscytowanym tłumie.

–Panie Crossman, mówi Valentina Graziano.

–Valentina? Co się dzieje?

–Nic dobrego. Konklawe się zakończyło. Wybrano nowego papieża.

–Kto?

Crossman słucha odpowiedzi. Potem przez chwilę rozmówcy milczą. Głos Valentyny znów wznosi się nad zgiełk:

–Właśnie zaczyna się uroczysta msza w bazylice. Myślę, że to tu Czarny Dym ujawni istnienie ewangelii. Słyszysz mnie pan?

–Tak, słyszę. Proszę zaczekać, mam drugi telefon. Crossman

wybiera właściwy przycisk i uważnie słucha. Bez

słowa przełącza się na rozmowę z Valentina.

–Dobrze, Valentino, powiem pani, co robić. Wejdzie pani do bazyliki ze swoimi ludźmi i będzie mnie pani o wszystkim na bieżąco informowała. Chcę wiedzieć o każdym drobiazgu.

–Ale po co, na Boga! Widzi pan, że już za późno!

–Niech się pani uspokoi. To jeszcze nie koniec. Na razie nie mogę pani powiedzieć nic więcej. Na lotnisku na Malcie czeka

odrzutowiec. Zadzwońię do pani podczas lotu. Crossman odkłada telefon i spogląda na Giovanniego.

–Co się stało?

–Eminencjo, Wielki Mistrz Czarnego Dymu przejął kontrolę nad Kościołem.

–Kto?

–Kardynał Oscar Camano. Cisza.

–Jakie obrał sobie imię?

–Petrus Secundus.

–Imię Antychrysta? A zatem to już koniec.

–Może nie.

–Co pan ma na myśli?

–Drugi telefon, który teraz odebrałem, był od jednego z moich agentów obserwujących dworzec w Rzymie. Pięć minut temu zakonnik odpowiadający rysopisowi ojca Carzo wysiadł z pociągu, który rano przyjechał z Trydentu.

–Co to zmienia?

–Zdaniem mojego agenta pod pachą niósł manuskrypt.

Bazylika po prostu pękała w szwach. Ale największe rzesze wiernych, ci, którzy nie zdołali wejść do środka, wciąż stali na placu, zadowolając się obserwowaniem końcowych przygotowań do retransmisji uroczystej mszy na ogromnych ekranach, które watykańscy technicy właśnie ustawili. Zwarty kordon szwajcarów blokuje teraz drzwi świątyni. W wozach transmisyjnych głównych stacji telewizyjnych, które ustawiły się wokół placu Świętego Piotra, dziennikarze niecierpliwie czekają na zapowiedziane przez nowego papieża rewelacje. Dziś nic nie toczy się zgodnie z tradycją i obyczajem. Nie ma też żadnych oficjalnych depeesz ani komunikatów rzecznika prasowego Watykanu. Jakby nowy papież dokonywał właśnie gruntownych zmian.

W świątyni wyznaczono specjalne strefy, aby umożliwić kamerom telewizyjnym bezpośrednią transmisję mszy. Ta nie-

zwykła przychylność zdumiewa dziennikarzy, którzy przywykli do wykorzystywania przekazu watykańskich mediów. Rai i CNN uzyskały nawet możliwość instalacji kamer obrotowych tak, by ogarniały wszystkich zgromadzonych i robiły zbliżenia ogromnego ołtarza pod kolumnadą grobu Świętego Piotra. Najbardziej zdumiewa jednak i dziennikarzy, i wiernych martwa cisza, która wciąż panuje w Watykanie. Valentina Graziano przeciska się w głąb bazyliki. Drugi kordon szwajcarów ochrania obszar w odległości dziesięciu metrów od kolumnady. Wokół pani komisarz tłum jest tak zwarty, że pozostaje tylko wąska ścieżka w nawie głównej. Twarze są wciąż takie same – pielgrzymi wydają się nie tylko zmęczeni całonoc

nym czuwaniem, ale i osłupiali. Tak jak wtedy, gdy uciekała z bazyliki, wymknąwszy się zabójcy z Komnaty Tajemnic, Valentina ma wrażenie, że otaczają ją żywe trupy. Spogląda na klęczących przed ołtarzem kardynałów. Ministranci rozpalili już kadzidła i teraz chodzą z nimi wokół kolumn. Gęsty, szary dym spowija ołtarz, charakterystyczna woń unosi się w powietrzu.

Kardynałowie z Kurii, ubrani w czerwone szaty, przechodzą kolejno kręconymi schodami i ustawiają się za ołtarzem. Nie ma wśród nich praktycznie nikogo z otoczenia zmarłego papieża. Valentina ma przed sobą sztab główny Czarnego Dymu Szatana, spadkobierców zakonu templariuszy, wreszcie mogących przejąć kontrolę nad Watykanem i wyjść z cienia. Wydaje się, że i oni dopiero teraz poznają twarze współtowarzyszy i ukradkiem ich obserwują. Brakuje jeszcze tylko Wielkiego Mistrza.

Potężny głos organów wrywa Valentine z zamyślenia. Ubrany w białą szatę, z pastorałem, kardynał Camano wychodzi do wiernych. Powoli wstępuje na schody wiodące do ołtarza, potem odwraca się i omiata tłum zimnym spojrzeniem. Valentina zaciska pięści, myśląc, że miała tego starego łajdaka w zasięgu ręki, gdy udawał, że odkrył w bazylice zwłoki Ballestry. Nowy papież okazuje niezmacony spokój. Wygrał. Zasiada w swym fotelu, otoczony przez kardynałów z nowej Kurii. Zaczyna się msza.

Odrzutowiec Crossmana wystartował z Malty. Szef FBI żąda od kontroli lotów w Rzymie zwolnienia korytarza na małej wysokości. Potem rozkazuje pilotowi rozwinąć maksymalną prędkość. Obłoki przesuwają się błyskawicznie pod brzuchem maszyny.

Siedząc w wygodnym skórzanym fotelu, kardynał Giovanni podziwia przez okno wybrzeże Sycylii, do której zbliża się samolot. Potem maszyna przelatuje nad surowymi górami prowincji San Cataldo. Na wprost kardynała Crossman ze swymi ludźmi pracuje nad syntezą dokumentów Valdeza. To możliwie szczegółowa dokumentacja, która zostanie przetłumaczona na sto języków i udostępniona w Necie za pośrednictwem dużych sieci internetowych. Przy odrobinie szczęścia zanim ludzie Novus Ordo zdążą zareagować, dokumenty dotrą do milionów internautów, którzy potem będą je dalej rozpowszechniać. To może zdestabilizować siatkę i doprowadzić do kilku aresztowań, kilku samobójstw, upadku paru firm i rozżalenia.

Crossman odrywa oczy od notatek i zerka przez okienko. Odrzutowiec leci nad Palermo i północnym cyplem Sycylii. W dole widać błękitne wody Morza Tyrreńskiego, potem Rzym. Zgodnie z prawem kanonicznym, od chwili przyjęcia werdyktu konklawe przez nowego papieża, bramy Watykanu pozostają zamknięte. Oznacza to, że nawet wobec zamachu stanu żaden sędzia nie ma nad tą enklawą władzy. Odtąd wszystko zależy od dyplomacji i presji innych państw. Jednak Czarny Dym nie zamierza rządzić Kościołem, ale zniszczyć go od wewnątrz, aby wywołać chaos i konflikty religijne. I właśnie temu należy za wszelką cenę zapobiec. Aby to uczynić, trzeba przede wszystkim przechwycić ewangelię według Szatana. Crossman patrzy na zegarek. Agent specjalny Woomak, który zauważył Carza na rzymskim dworcu, powinien dzwonić jakiś czas temu. To wszystko trwa długo, stanowczo za długo. W końcu telefon się odzywa. Crossman odbiera. Giovanni widzi, jak blednie.

–Jak to: zgubił pan ojca Carzo? Kpi pan ze mnie?! Daję panu dziesięć minut na odszukanie go i zabranie ewangelii. Słyszysz mnie pan?!

–Zrozumiałem, szefie. W tej chwili idę uliczkami otaczającymi pałac na Kwirynale, żeby zejść do Fontanny di Trevi i Piazza Navona.

–Kurwa, Woomak, niech pan nie mówi, że oddalił się pan od głównych ciągów komunikacyjnych?!

–Musiałem. Ojciec Carzo przeszedł przez Palazzo Barberini. Tam go zgubiłem. Wszedł do budynku przy Via Vinimal i już stamtąd nie wyszedł. Kiedy ja tam wszedłem, już go nie było. Myślę, że wykorzystał jakieś ukryte przejście i że ruszył prosto do Watykanu.

–Czy w pobliżu są ludzie?

–Nie, szefie. Zupełnie jakby całe miasto zebrało się na placu Świętego Piotra.

–Niech się pan rozejrzy. Co pan widzi? Chwila ciszy, a potem:

–Nic.

–Nic czy nikogo? Woomak znowu się rozgląda.

–O Boże...

–Co jest? Co pan zobaczył. Woomak oddycha coraz szybciej. Biegnie.

–Dwóch zakonników, szefie. Wyszli chyba zza pałacu na Kwirynale. Myślę, że mnie śledzą.

–Niech się pan uspokoi, Woomak. Idzie pan w kierunku Watykanu?

–Tak.

–Proszę natychmiast skręcić w jakąś uliczkę po lewej, żeby jak najszybciej dojść do głównych ulic.

–Nie mogę.

–Dlaczego?

–Bo przebiegłem już ze dwieście metrów jak niezły sprinter, a oni ciągle depczą mi po piętach.

–Co pan plecie, Woomak?

–To prawda, szefie. Ja biegnę, a oni idą. I nie mogę się ich pozbyć.

Crossman słyszy, jak agent ładuje broń.

–Co pan robi?

–Staję, żeby ich załatwić.

–Woomak, nie rób tego.

Woomak nie słyszy. Wsunął telefon do kieszeni, a potem gwałtownie się odwrócił. Crossman wyobraża sobie, jak celuje w mnichów. Woomak to profesjonalista, najlepszy strzelec w swoim roczniku, zabójca o stalowych nerwach. Jeżeli ktoś potrafi ich zatrzymać, to właśnie on. Słychać dwa wystrzały, zaraz potem jeszcze dziewięć, z bliska. Łuski spadają na chodnik. Trzaski. I odległy głos Woomaka:

–Do diabła, to niemożliwe.

–Woomak?

Tupot. Woomak znowu biegnie. Wyciąga telefon z kieszeni. Wyrzuca pusty magazynek i wkłada nowy.

–Woomak, słyszy mnie pan?

Znowu ciężki oddech w słuchawce. Ale miarowy i chyba spokojny.

–Kiepsko, szefie. Wpakowałem cały magazynek w te dwa brzuchy, a oni nawet nie przystanęli. Chyba są naćpani.

–Szybko skręcaj w lewo, człowieku!

–Rozumiem, szefie. Skręcam we Via delia Consula w stronę Corso.

–Dobrze, poradzisz sobie.

Woomak zrozumiał. Teraz chwyta się rozmowy z szefem, uspokaja oddech, żeby nie poddać się panice, i wydłuża krok. Ale po chwili jego oddech gwałtownie przyspiesza.

–Cholera...

–Nie, Woomak, tylko się nie oglądaj!

–Boże, zaraz mnie dopadną. Każdy dostał co najmniej pięć kulek, a są tuż za moimi plecami. Chyba już po mnie, szefie.

Długo tego nie wytrzymam. Ja...

Uderzenie. Okrzyk zdumienia. Woomak upada. Stukot sandałów jest coraz bliższy. A potem nieludzkie wycie. Crossman na moment odsuwa słuchawkę od

ucha, ale zaraz znowu ją przytyka.

–Halo? Woomak! Cisza.

–Woomak, słyszysz mnie? Szuranie. Dyszenie. Zimny głos.

–Renuntiate.

Trzask. Połączenie zostało przerwane. Crossman zwraca oczy na Giovanniego, który wpatruje się w morze.

–Renuntiate? Kardynał patrzy teraz Crossmanowi w oczy.

–To znaczy „zrezygnujcie”.

Tak jak to robił dziesiątki razy, będąc ze swym starym przyjacielem kardynałem Camano, Carzo wędruje uliczkami wiodącymi w stronę mostu Świętego Anioła. Wieże papieskiej fortecy rysują się na tle szarego nieba. Kamienne anioły zdają się uśmiechać,

patrząc na niego. Pod pachą niesie ewangelię według Szatana, w kieszeni ciąży mu broń Parks. Podnosi mnisi kaptur i skręca w lewo, w Via della Conciliazione, i kieruje się ku otoczonemu przez tłumy Watykanowi.

Zbliżając się, dostrzega ogromne ekrany przed bazyliką. Z głośników płynie muzyka organowa. Msza już się zaczęła. Przy łańcuchach otaczających plac rozpoznaje oficerów gwardii szwajcarskiej. Jeden z nich wychodzi mu na spotkanie, pozostali stoją o kilka metrów dalej. Szwajcar sprawia wrażenie przerażonego.

–Ma ją ojciec?

Kryjąc twarz pod kapturem, Carzo kiwa głową. Oficer odsuwa kratę, aby wpuścić go pod arkady. Idąc, egzorcysta słyszy szepty i głuchy pomruk tłumu. Aż do schodów bazyliki towarzyszy mu głos kamerlinga, zapowiadający czytanie z ewangelii. Otoczony przez czterech szwajcarów Carzo przechodzi przez bramę. Jest spokojny. Nie czuje strachu.

–Valentino, słyszy mnie pani? Valentina dyskretnie przyciska palcem słuchawkę w uchu, żeby słyszeć głos Crossmana, mimo głośniejszej muzyki organów. Otacza ją zwarty, nieruchomy tłum.

–Jestem. Słabo pana słyszę.

–Właśnie wylądowaliśmy na lotnisku Roma Ciampino. Będziemy na miejscu za kwadrans. A co u pani? Valentina obserwuje taniec kardynałów, którzy przechodzą przed ołtarzem, żeby pokłonić się nowemu papieżowi. Szepcze:

–Msza trwa już dość długo, ale obrządek nie jest przestrzegany. Nie ma czytania, błogosławieństwa, znaków krzyża. I chyba nie będzie komunii. Nie widzę kielicha ani hostii. Mam wrażenie, że wszystko dzieje się szybciej niż zwykle. W bazylice zapada cisza. Organy milkną. Echo ostatnich dźwięków dogasa pod sklepieniem. Crossman mówi:

–Valentino, mam dla pani złą wiadomość.

–Jaką?

–Nasz agent zgubił ojca Carzo w rzymskich uliczkach. To oznacza, że ewangelia wciąż jest w jego rękach, coraz bliżej Watykanu.

Valentina chce odpowiedzieć, ale organy zagłuszają jej słowa. Papież wstaje i podchodzi do ołtarza. Jego oczy, wpatrzone w ostatnie rzędy wiernych, nagle się rozświetlają. Valentina odwraca się i dostrzega mnicha, który wchodzi w otoczeniu czterech gwardzistów. Inni halabardami rozsuwają tłum, by zrobić mu przejście. Mnich niesie gruby, stary manuskrypt. W uchu Valentyny znowu rozlega głos Crossmana:

–Jedziemy autostradą w stronę centrum Rzymu. Za dziesięć minut będziemy na miejscu.

–Za późno. On już tu jest

Valentina obserwuje mnicha, usiłując dojrzeć jego ukrytą pod kapturem twarz, ale widzi tylko błyszczące w mroku oczy. Głos Crossmana pyta:

–Ma ewangelię?

–Tak.

–Może go pani zatrzymać?

–Nie.

–Ilu ludzi mamy w bazylice?

–Czterech pańskich agentów. Jedenastu karabinierów w cywilu. Posiłki czekają w uliczkach poza Watykanem.

–Kto nimi dowodzi?

–Pazzi. Crossman błyskawicznie analizuje sytuację.

–Valentino, trzeba działać natychmiast. Eskorta zatrzymuje się. Halabardy uderzają o posadzkę bazyliki. Kordon gwardzistów wokół ołtarza rozstępuje się, aby przepuścić mnicha.

–Już za późno, panie Crossman.

Wściekle dźwięki organów wprawiają w drgania pachnące kadzidłem powietrze. Zwrócone na ołtarz kamery wychwytyują każdy szczegół. W stojących na zewnątrz wozach dziennikarze w słuchawkach komentują obraz dla setek stacji. Specjaliści w studiach zamilkli, wpatrzeni w monitory, i nawet nie próbowali niczego komentować ani wyjaśniać. Tylko jeden z nich wspomina mimochodem, że muzyka pod żadnym względem nie przypomina sakralnej. Właściwie to chaotyczna kakofonia dźwięków. A jednak ta bezładna symfonia ma w sobie coś wstrząsającego, niemal pięknego, co zdaje się rzucać czar na tłum.

Mnich zatrzymuje się u stóp schodów. Stoi twarzą do papieża, który na niego patrzy. Oddaje ewangelię według Szatana protonotariuszowi, a ten kładzie otwartą księgę na ołtarzu. Papież z namaszczeniem przerzuca kilka kart manuskryptu, a następnie zwraca oczy na tłum. Jego głos rozbrzmiewa z głośników:

–Ukochani bracia, Kościół od wieków ukrywa wielkie kłamstwo, które czas ujawnić, aby każdy mógł dokonać wyboru wiary. W rzeczywistości bowiem, powiadam wam, Chrystus nie zmartwychwstał, a życie wieczne nie istnieje.

Szmer przerażenia przebiega tłum. Pielgrzymi wymieniają spojrzenia, rozproszeni członkowie rodzin szukają się wzrokiem, zakonnicy padają na kolana, a staruszki żegnają się znakiem krzyża, szlochając. Kardynałowie elektorzy, skupieni w bocznych nawach, są trupio bladzi, a tę bladość podkreślają jeszcze ich czerwone szaty.

Kamery obracają się, omiatając tłum i robiąc zbliżenia twarzy.

Potem wszystkie obiektywy zwracają się na papieża, który wolno unosi ręce, zwracając otwarte dłonie ku niebu. Przy schodach wciąż stoi w bezruchu mnich. Nie zdjął kaptura, splótł ręce, wsuwając dłonie w rękawy habitu. Papież spuszcza oczy, patrzy na manuskrypt. Jego głos znów rozbrzmiewa z głośników. Głośno i dobitnie odczytuje tytuł ewangelii, i wskazuje fragment, który chce odczytać:

–Initium libri Evangelii secundum Satanam.

Panika ogarnia wozy transmisyjne i studia telewizyjne. Dziesiątki głosów mieszają się w słuchawkach dziennikarzy.

–Na Boga, co on powiedział? W studio Rai wzburzony specjalista szepcze do mikrofonu:

–Sądzę, że to znaczy „Początek drugiej Księgi ewangelii według Szatana”.

Producenci biegną do telefonów, żądają pomiaru oglądalności. Strzałki błyskawicznie idą w górę. We wszystkich stacjach w usta nowego papieża wpatruje się w natężeniu niemal czterysta milionów widzów. Producenci z CBS i Rai telefonują do szefów stacji.

–Co robimy? Przerywamy transmisję, czy jedziemy dalej? Szef Rai zastanawia się przez chwilę. Ten z CBS, zza oceanu, zapala cygaro. To on pierwszy podejmuje decyzję:

–Kontynuujcie.

Także szef włoskiej stacji postanawia nie przerywać programu, a jego realizatorzy przekazują do wozów transmisyjnych i kamerzystów w bazylice polecenia.

Głos papieża znów wypełnia bazylikę. Zaczyna się czytanie ewangelii.

–Szósta przepowiednia Księgi Zła.

Cisza. Kamera Rai skupia się na ustach Piotra II.

–Na początku odwieczna Otchłań, Bóg nad bogami, pustka, z której wszystko się wyłoniło, stworzył sześć miliardów światów, aby pokonać nicość. Potem tym sześciu miliardom światów przydał układy, Słońca i planety, ze wszystkiego i z niczego, z pełni i z pustki, ze światła i z ciemności. Następnie tchnął w nie doskonałą równowagę, w której rzecz może istnieć, jeśli współistnieje z nierzeczą. Tak oto wszelkie rzeczy wyłoniły się z nicości Otchłani wiecznej. A każda rzecz odpowiadała nie-rzeczy i sześć miliardów światów osiągnęło harmonię. W bazylice ktoś zaszlochał. Tuż przy ołtarzu zemdlą zakonnica. Przy drzwiach zrobiło się zamieszanie. Szwajcarzy i pielęgniarki wynosili zemdlone kobiety i wyprowadzili oszołomionych mężczyzn. Kamery znów skierowały obiektywy na papieża, który z bliskim w oku obserwował tłum, a po chwili znów zaczął czytać ewangelię.

–Aby jednak ta nieprzebrana mnogość rzeczy mogła dać początek nowym rzeczom zdolnym dawać życie, trzeba było wektora równowagi doskonałej, przeciwieństwa przeciwieństw, matrycy wszelkich rzeczy i nierzeczy. Dobra i Zła. Odwieczna Otchłań stworzyła więc rzecz idealną, Najwyższe Dobro, a także idealną nierzecz, Najwyższe Zło. Dobru nadała imię Bóg, Złu zaś imię Szatan. I obdarzyła te do głębi przeciwstawne rzeczy wolą wiecznej walki, aby utrzymać sześć miliardów światów w równowadze. Potem, gdy wszelkie rzeczy istniały, a równowaga nie ulegała już rozchwianiu, odwieczna Otchłań stwierdziła, że jej dzieło jest dobre, i zamknęła się. Tysiąc wieków upłynęło w spokoju rosnących światów.

Wolno odwracane przez papieża karty manuskryptu szeleszczą. Podejmuje:

–Nadszedł niestety dzień, kiedy, władając samodzielnie sześcioma miliardami światów, Bóg i Szatan tak dogłębnie poznali się nawzajem, iż, lekceważąc zakazy odwiecznej Otchłani, pierwszy z nich postanowił stworzyć samodzielnie własny świat. Był to świat niedoskonały, który Szatan zaczął niszczyć,

aby sześć miliardów pierwszego świata bez swego przeciwieństwa nie zburzyło ładu pozostałych. Tak oto walka Boga z Szatanem wykroczyła poza wszechświat stworzony

przez Otchłań, i równowaga pozostałych światów rozchwiała się.

Kamerzysta CBS, który pokazywał tłum, robi zbliżenie papieża i dostrzega, że stojący przed ołtarzem mnich odrzuca kaptur.

Coś błyszczący w jego ręce.

–Pierwszego dnia, gdy Bóg stworzył niebo i ziemię, a także słońce, aby oświetlało jego świat, Szatan stworzył pustkę między ziemią a gwiazdami, następnie zaś pograżył świat w ciemnościach. Cisza.

–Drugiego dnia, gdy Bóg stworzył morza i rzeki, Szatan dał im moc wzbierania, aby zatopić dzieło Boga.

Cisza.

–Trzeciego dnia, gdy Bóg stworzył drzewa i lasy, Szatan rzył wiatr, by je powalać, a gdy Bóg stworzył rośliny, które leczą i koją, Szatan stworzył trujące i uzbrojone w kolce. Cisza.

–Czwartego dnia Bóg stworzył ptaka, a Szatan węża. Potem Bóg stworzył pszczołę, a Szatan szerszenia. I tak dla każdego gatunku powołanego przez Boga Szatan stworzył drapieżnika, który niszczy ten gatunek. Potem, kiedy Bóg rozproszył zwierzęta po niebie i ziemi, żeby się mnożyły, Szatan dał pazury i zęby swemu stworzeniu i nakazał zabijać stworzenia boże.

Kryjąc twarz pod kapturem, ojciec Carzo słucha głosu Anty chrysta, rozbrzmiewającego w świątyni. Odkąd nowy papież zaczął czytać ewangelię, egzorcysta czuł, jak coś się w nim rozbudza i zrozumiał, że Kaleb jeszcze się nie poddał – próbował wrócić, znów zawładnąc tym, który do niego należał. Carzo czuł, jak zagarnia jego serce, bijące coraz wolniej, krew, która znów zastyga w żyłach, i nogi, które słabną. Głos papieża przenika

coraz głębiej jego umysł, jakby żywił się nim umysł Kaleba. Carzo wie, że musi zareagować, zanim opuszczą go siły. Ogarnia go strach, ale także wątpliwości i wyrzuty sumienia. To tchnienie Kaleba. Carzo mocniej ściska broń Parks, którą ukrył w rękawie habitu.

Czuje zimny dotyk stali w ręce. Nie odrywając oczu od papieża, unosi rękę i wolno odrzuca kaptur. Uśmiecha się. Już się nie boi.

Papież ciągnął tę dziwną litanie, gdy Valentina przeciskała się przez tłum, by zbliżyć się do kordonu szwajcarów przed ołtarzem. Osłupieli, oszołomieni tym, czego słuchali, pielgrzymi nie zwracali na nią uwagi. Z oczu płynęły im łzy, zaciskały się pięści, usta drżały. Właściwie nie widzieli, jak szła, przepraszając szeptem.

Valentina zatrzymała się na prawo od ołtarza. Teraz widziała twarz ojca Carzo z profilu. Z niechęcią przytknęła palec do słuchawki. Usłyszała głos Crossmana:

–Valentino, za trzy minuty będziemy na placu Świętego Piotra. Są ze mną kardynał Giovanni i kardynał sekretarz stanu Mendoza, który udzielił nam zezwolenia na podjęcie działań na terytorium Watykanu, gdyby zaszła potrzeba. Poinformowałem już o tym Pazziego, który gotów jest wkroczyć ze swymi

ludźmi.

Valentina zamierzała odpowiedzieć, gdy Carzo zrzucił kaptur. W jego ręce błysnął metal.

–Szóstego dnia, kiedy Bóg uznał, że jego świat gotów jest do wydawania życia, stworzył dwie istoty na swe podobieństwo i nazwał je mężczyzną i kobietą. W odpowiedzi na tę zbrodnię przeciwko łaadowi światów Szatan rzucił czar na nieśmiertelne dusze. Potem zasiał zwątpienie i rozpacz w ich sercach i, wydzierając Bogu władzę nad jego stworzeniem, skazał na śmierć ludzkość, która miała się zrodzić ze związku mężczyzny z kobietą.

Papież nie odrywał oczu od ewangelii, wciąż wznosząc ręce ku niebu, więc nie widział ani jak ojciec Carzo odrzuca kaptur, ani jak wymierzył w niego broń. Kończył lekturę Genesis.

–Pojąwszy, że walka z przeciwnikiem jest daremna, siódmego dnia Bóg wydał ludzi na pastwę zwierząt ziemi, aby te zwierzęta ich pożarły. Następnie, uwięziwszy Szatana w głębinach chaotycznego świata, którego odwieczna Otchłań nie uwzględniła w swym planie, odwrócił się od swego stworzenia, a Szatan pozostał sam, by nękać ludzi.

–Valentino, słyszy mnie pani?

Valentina unosi mikrofon, żeby odpowiedzieć Crossmanowi, ale słowa zamierają jej na ustach. Widząc glocka 9 mm w rękach Carza, który celuje do papieża, bez zastanowienia wciska guzik walkie-talkie:

–Cholera, do wszystkich, on ma spluwę!

Pomruk tłumu zagłusza krzyk Valentyny. Dowódca straży usiłuje obezwładnić napastnika. W nawach bocznych pojawiają się ubrani po cywilnemu gwardziści, którzy teraz próbują ustawić się tak, by wziąć Carza na muszkę. Kordon strzegących ołtarza halabardników odwraca się. Papież odrywa oczy od księgi. Z jego twarzy wyziera zdumienie. Valentina już wie, że jest za późno.

Ojciec Carzo spogląda na Antychrysta, który uniósł głowę po zakończeniu czytania. Jak mógłby chybić z tej odległości? Wonności drażnią jego nozdrza. Na zewnątrz bicie dzwonów obwieszcza światu to nowe objawienie. Egzorcysta patrzy w twarz papieża. Ledwie zauważa dowódcę gwardii szwajcarskiej. Nie zwraca uwagi na młodą, piękną kobietę, która usiłuje precyzyjnie się przez tłum. Może tylko przemyka mu przez głowę, że jest zdumiewająco podobna do Marie. Tak, właśnie o tym myśli ojciec Carzo, oddając kilka strzałów do papieża. Właściwie nie czuje, że kule gwardzystów trafiły go w bok i w brzuch.

Martwa cisza zapada w bazylice tuż przed serią strzałów. Wciąż wznosząc ręce ku niebu, papież patrzy na wycelowaną w siebie broń w ręku mnicha. Widzi, jak dowódca gwardii biegnie, chcąc powstrzymać zabójcę, jak kamerling Campini wysuwa się, by własnym ciałem osłonić głowę Kościoła. Kątem oka widzi też ubranych po cywilnemu szwajcarów, którzy wyciągają broń. I widzi jeszcze młodą brunetkę, która z krzykiem przedziera się przez tłum. Ale przede wszystkim widzi oczy zabójcy, wpatrzone w niego. Już wie, że to nie Kaleb. Zerka w lewo. Kamerling jest o dwa kroki od niego, kiedy rozlegają się strzały. Wytrzeszcza oczy, zdumiony, że grad kul rozdziera jego piersi, i widzi, jak Carzo uśmiecha się, spowity dymem, który unosi się nad bronią i zlewa z mgiełką kadzideł.

Papież pada przy ołtarzu niemal równocześnie z kamerlingiem, którego jedna z kul trafiła w szyję. Leżąc w kałuży krwi na marmurowej posadzce, Carzo wciąż się uśmiecha. Nie odczuwa bólu. Wysoko nad jego głową milkną wreszcie dzwony. Jak przez sen słyszy odległe krzyki, rozkazy, tupot nóg, a wszystko wydaje się toczyć w zwolnionym tempie. Czuje pomruk i falowanie tłumu, który to się zbliża, to oddala, jak rozwścieczony, wzburzony ocean. Widzi mundury karabinierów w bazylice. Powiew powietrza, blask światła-otwarto wszystkie drzwi, aby wypuścić wiernych, którzy wybiegli na plac.

Carzo widzi rozwścieczoną twarz dowódcy straży, aresztowanego przez policję. Padają rozkazy. Olbrzym wie, że wszystko jest stracone. Wolno odkłada broń, splata ręce na karku i klęka. Nagłe poruszenie, woń perfum. Przyspieszony oddech na policzku ojca Carzo. Wpatruje się w okoloną ciemnymi lokami, śliczną buzię, która pochyla się nad nim. Potem egzorcysta przymyka oczy i uświadamia sobie, że kałuża krwi pod jego plecami stale się powiększa. Ma wrażenie, że to on wypływa ze swego ciała, że ucieka życie, energia, wspomnienia, dusza. Czyjeś ręce potrząsają nim. Jest taki senny. Unosi powieki i widzi poruszające się usta młodej kobiety. Jej niski, melodyjny głos dociera do niego jak odległe echo. Ten głos pyta, gdzie jest Marie. Carzo próbuje się skoncentrować. Wygrzebuje z pamięci okruchy wspomnień. Mroczna wnęka, twarz biała jak płótno, łyzy błyszczące w blasku świecy. Kapłan czuje, że jego usta poruszają się, szepcząc coś w odpowiedzi. Kobieta uśmiecha się do niego. Jest chyba szczęśliwa. Carzo zamyka oczy. Tęskni za Marie.

Jednostki interwencyjne policji starają się kierować ruchem tłumów, które wylęgają na schody bazyliki i napierają na zgromadzonych na placu wiernych, Przewrócono już barierki, żeby ułatwić ludziom rozejście się. Z głośników płyną wezwania do zachowania spokoju. Via della Conciliazione jest czarna od ludzi, którzy falami przenikają w pobliskie uliczki. Ich śladem podążają dziennikarze z kamerami. Dzięki innym kamerom, które wciąż filmują, miliony widzów mogą obserwować działania karabinierów w bazylice. Crossman i jego ludzie idą z kardynałem Giovannim oraz sekretarzem stanu Mendozą środkiem nawy głównej tuż za Pazzim, który rzuca krótkie rozkazy, trzymając w ręce krótkofalówkę. Już po pierwszym strzale ubrani po cywilnemu karabinierzy otoczyli szwajcarów. Po krótkiej wymianie ognia, gdy dowódca gwardii złożyli broń i poddali się, wszelki opór ustał.

Crossman podchodzi do Valentiny, która wciąż klęczy przy ojcu Carzo i głaszcze go po głowie, nawet nie zdając sobie sprawy, że krew sięga już jej nóg i plami dżinsy. Przy księdzu są pielęgniarki. Podają mu kroplówki z plazmą i glukozą i przygotowują go do przewozu. Helikopter już ląduje. Valentina drży, czując dotyk czyjeś ręki na ramieniu.

–Wyjdzie z tego? – pyta Crossman. Wzrusza ramionami, nie mając odpowiedzi. Szef FBI zerka na ołtarz. Na posadzce bazyliki leży papież. Jego białą szatę znaczą siedem plam. Obok kona kamerling. Ma szeroko otwarte oczy. Giovanni wbiega po schodach i klęka przy starcu. Crossman nagle spostrzega, że fotele za ołtarzem są puste.

–Valentino, gdzie podziali się kardynałowie z Czarnego Dymu?

Nie spuszczać z oka ojca Carzo, którego pielęgniarki układają na noszach, pani komisarz wskazuje schody do podziemi bazyliki.

–Uciekli tędy? Valentina kiwa głową.

–Na Boga, Valentino, weź się w garść, musisz poprowadzić nas przez te podziemia.

Pani komisarz wstaje powoli, odprowadzając spojrzeniem nosze. Potem odwraca się do Crossmana. Jej oczy są zimne jak stal.

–Wiem, gdzie jest Marie.

–Gdzie? Valentina przeładowuje berettę.

–Najpierw kardynałowie.

Kamerling, któremu kula przeszła gardło, na pół leży u stóp ołtarza, czując wypływającą z ust krwawą pianą. Wie, że nie przeżyje. Patrzy na rozciągnięte na marmurowej posadzce zwłoki papieża. Kardynał Giovanni klęka przy nim i szepcze:

–Czy Wasza Eminencja pragnie się wyspowiadać? Starzec chyba dopiero teraz zauważył jego obecność. Wolno zwraca ku niemu twarz. Jego oczy pałają nienawiścią. Z gardła dobywa się charczenie:

–Wierzę w Szatana, Ojca Wszchemmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi. I w Janusa, syna Jego jedyne, który zmarł na krzyżu, przeklinając Boga. Serce Giovanniego ściska się z żalu i smutku. Nawet w obliczu

śmierci kamerling zabija swoją duszę. Młody kardynał przez chwilę zazdrości mu tej odwagi.

–A jeśli On naprawdę istnieje? Bracie, czy pomyślałeś o tym?

–Kto?

–Bóg. Stary kamerling gniewnie prychnął.

–Bóg... Bóg jest w Piekło. Rozkazuje demonom. Rozkazuje potępionym duszom i zjawom, które błakają się po nocy Wszystko jest kłamstwem, Giovanni. Oszukano nas. I ciebie, i mnie.

–Nie, Wasza Eminencjo. Chrystus naprawdę umarł na krzyżu, żeby nas zbawić. Potem wstąpił do niebios i zasiadł po prawicy Ojca, skąd przyjdzie sądzić żywych i umarłych.

–To kłamstwo.

–Nie, to wiara. I dlatego Kościół nie skłamał. Pomagał ludziom wierzyć w to, w co potrzebowali wierzyć. Wznosił katedry, budował miasta i miasteczka, dał światło stuleciom mroku i sens temu, co było go pozbawione. Cóż innego pozostało ludzkości poza wiarą, że nigdy nie umrze?

–Teraz jest już za późno. Ludzie poznali prawdę. I nie zapomną.

–Ależ, Eminencjo, wiara żywi się tym, co niewidzialne, a nie prawdą. Chrapliwy śmiech wstrząsa piersią kamerlinga.

–Jakiś ty naiwny, Giovanni.

Próbuje coś jeszcze dodać, ale dławi się własną krwią. Jego klatka piersiowa nieruchomieje, ciało się osuwa, źrenice za* snuwają się mgłą. Giovanni zamyka oczy starca. Potem odwraca się i obserwuje młodą brunetkę i Crossmana, gdy wraz z karabinierami ruszają do podziemi bazyliki. Wstając, czuje, jak lodowata dłoń zaciska się z nadludzką siłą na jego nadgarstku. Wyrywa się, próbuje się uwolnić. Kamerling patrzy na niego szeroko otwartymi oczami i szepcze:

–Ty będziesz następny.

–O czym Eminencja mówi?

To jeszcze nie koniec, Giovanni, to dopiero początek. Rozumiesz? To dopiero początek.

Kardynał zamyka oczy i walczy z czymś, co próbuje w niego wejść, z ciemnością tak głęboką, że mogłaby zdmuchnąć wiarę, jak wiatr świecę. Potem ręka starca opada. Giovanni unosi powieki. Kamerling leży tak, jak przed chwilą. Kardynał

zaczyna wierzyć, że przysnął na moment i śnił koszmar. Jest tego prawie pewien, a jednak czuje ból nadgarstka. Spogląda na swoją rękę. Zauważa lekkie zasinienie. „To dopiero początek...”.

Giovanni wstaje i spogląda na otwartą ewangelię na ołtarzu. Zamyka ją i przyciska do piersi. Pod sutanną czuje krzyż ubogich.

Valentina otwiera sekretne przejście, którego użyła, idąc do Komnaty Tajemnic, i natychmiast jej nozdrza drażni smród. W cichych korytarzach kroki karabinierów odbijają się echem, słysząc, jak pistolety maszynowe uderzają o siebie. Crossman i Valentina idą przez podziemia za karabinierami. Z przodu latarki omiatają światłem brudne mury. Valentina muska dłonią kamień, z którego wydaje się bić dziwne ciepło. Pierwsi karabinierzy docierają do kręconych schodów, które prowadzą jeszcze głębiej pod ziemię. Robi się coraz cieplej. Gorące powietrze niesie ze sobą wirujące iskry. Słysząc trzaski i skrzypienie. I pomruk ognia. Coś płonie w Komnacie Tajemnic.

Valentina i Crossman wybiegają przed karabinierów. Ci, którzy weszli do Komnaty jako pierwsi, cofają się, pobledli. Valentina wchodzi. Spogląda na stosy papierów, które podpalili kardynałowie z Czarnego Dymu. Płomienie strzelają wysoko, chwilami liżąc sklepienie, dym osmala kolumny i łuki. Płoną watykańskie archiwa, nie tylko prywatna korespondencja papieży i raporty z wewnętrznego śledztwa wszczętego przez Klemensa V, ale także całe półki tajnych dokumentów świata chrześcijańskiego, które kardynałowie rozkazali przenieść do Komnaty po konklawe. Niszczą wszystkie dowody. Ogień trawi dwadzieścia wieków historii i niepokoików.

Coraz trudniej oddychać. Karabinierzy starają się chronić Valentine, która wchodzi do rozpalonej komnaty, trzymając w ręce berettę. Za plecami ma Crossmana z gotową do strzału czterdziestkąpiątką. Valentina zamiera na widok pięciu kardynałów w czerwonych sutannach, którzy kończą układanie stosu manuskryptów i zwojów pod kolumną. Polewają dokumenty benzyną.

Pani komisarz dwukrotnie strzela w powietrze. Pożar jest tak głośny, że niemal nie słysząc detonacji. Jeden z kardynałów uśmiecha się, nie czując nawet, że żar rozpalił jego włosy. Czterej inni klękają przy wielkiej stercie papierów. Mają zwęglone od kontaktu z ogniem palce. Jeden z nich nie zauważył, że rękaw jego sutanny przesiąka benzyną. Właśnie on sięga teraz po zapalki, aby podpalić ostatni stos. Valentina krzyczy, ale zapalka już się pali, płomień liże rękaw sutanny, tkanina zajmuje się na całej długości ręki. Karabinierzy zatrzymują się, przerażeni tą sceną. Patrząc prosto w oczy Valentine, która błaga go, by się poddał, kardynał wsuwa swe ramię niczym pochodnię w stos papierów. Płonąca benzyna tworzy potężny ogień, który trawi dokumenty. Palą się skórzane oprawy, wielowiekowe zwoje zajmują się jak słoma. Valentina cofa się o kilka kroków, zahipnotyzowana widokiem klęczących w morzu ognia kardynałów, których twarze zdają się topić jak woskowe maski. Strzępy czerwonych szat unoszą się w powietrzu. Silna dłoń chwyta Valentine za rękę, w uchu grzmi jej głos Crossmana.

–Na Boga, Valentino, wynośmy się stąd, zanim ogień odetnie nam drogę!
–Krzyż błogosławieństw! Trzeba zabrać krzyż! Temperatura jest już tak wysoka, że ogień przenosi się samoistnie. Wkrótce pożar ogarnie całą komnatę. W powietrzu unosi się smród spalonych ciał. Valentina jeszcze raz spogląda na ognisko i dostrzega między papierami coś, co przypomina krzyż. Ale czuje, że Crossman z

całej siły odciągają w tył. Kobieta cofa się, rezygnuje.

Wycie syren. Sznur wozów strażackich z trudem przedziera się przez rzymskie ulice i mosty, na których tłoczą się ludzie. Nikt nie rozumie, co się dzieje.

Na placu kamery CBS i Rai na bieżąco filmują oddziały karabinierów, zajmujących pozycje wokół Watykanu. Gęsty czarny dym bucha z okien bazyliki i tajnego Archiwum. Komentatorzy twierdzą, że potężny pożar rozpętał się w podziemiach i ogarnia korytarze pod placem Świętego Piotra. Płoną archiwa. Dwa tysiące lat historii obraca się w popiół, który niczym deszcz opada na kopuły Watykanu. Zza kłębow czarnego dymu nie widać już słońca. Można by pomyśleć, że to głęboka noc.

Wozy hamują, strażacy rozwijają węże i zakładają maski przeciwgazowe, a potem znikają w budynku, by walczyć z ogniem. Wszyscy obserwują te manewry, więc żadna z kamer nie zwraca uwagi na oddział gwardii szwajcarskiej, który idzie drogą łączącą Pałac Apostolski z zamkiem Świętego Anioła. Ta droga

wiedzie szczytem murów, wzdłuż Via dei Corridori, osiemset metrów nad głowami gapiów. Tamtędy uciekali papieże, gdy Watykan był zagrożony. Ta ścieżka wartowników nie była używana od stuleci, ale na wszelki wypadek dbano o jej dobry stan. Okazało się, że troska nie poszła na marne. Kardynałowie Mendoza i Giovanni idą, otoczeni przez szwajcarów. Mendoza wspiera się o laskę. Giovanni niesie ewangelię według Szatana, zawiniętą w grubą, czerwoną tkaninę.

Helikopter włoskiej armii leci z maksymalną prędkością na północ. Crossman i Valentina siedzą z tyłu i wpatrują się w kręty nurt Tybru, który wiję się dolinami Umbrii. Maszyna przeleciała już nad Perugia. Teraz zbliża się do zimnych

Apeninów, których szczyty wznoszą się w dali. Crossman przymyka oczy. Myśli o Marie. Wyrzuca sobie, że wyciągnął ją z bostońskiego szpitala i wsadził do tego cholernego samolotu do Denver. Wiedział, że będzie walczyła do końca i że ma dar widzenia zmarłych, i wciela się w ofiary, których sprawy prowadzi. Marie odnalazła ewangelię, i prawdopodobnie przypłaciła to życiem. A wszystko przez ten cholerny dar, który Crossman zawsze na pozór ignorował.

Współpracowali ze sobą przez sześć lat, a tylko raz rozmawiali na ten temat – podczas uroczystego przyjęcia w Białym Domu, ale i wtedy niemal szeptem, żeby nikt postronny ich nie usłyszał. Tego wieczoru Crossman był podchmielony. Tonem zaczepki zapytał Marie, która trzymała się na uboczu, czy w tym tłumie żywych widzi zmarłych, ot, na przykład Waszyngtona, który popija szampana za tysiąc dolarów za butelkę. Drgnęła.

–Co pan powiedział?

–Zmarli, Marie. No, rozumie pani, generałowie wojny secesyjnej, Sherman, Grant, Sheridan. Albo poczciwy, stary Lincoln. Albo ten stary sukinsyn Hoover. Kto wie, może snuje się wciąż po kątach.

–Za dużo pan wypił.

–Cholera, jasne, że sobie popiłem. No i co, widzi pani zmarłych w tej bandzie idiotów?

Marie skinęła głową. Pomyślał, że tylko żartuje, ale potem spojrzał w jej smutne,

niebieskie oczy.

–Dziś wieczorem jest tu tylko jedna osoba. To kobieta –
odparła.

Crossman wysilił się jeszcze na żart, ale nie było mu do śmiechu.

–A przynajmniej ładna?

–Piękna. Stoi obok pana. Patrzy na pana. Ma błękitną sukienkę, a na ręce bransoletkę z agatów. Crossman poczuł zapach lawendy i łzy stanęły mu w oczach. Miał w sercu wielką, bolesną ranę, z którą musiał żyć do końca swych dni. Przed dwunastu laty jego żona, Sara, zginęła w wypadku samochodowym wraz z trójką ich dzieci. Cztery zwęglone ciała w zmiżdżonym buicku, który zmieściłby się w wannie. Tuż przed tą tragedią podarował jej bransoletę z agatów. Nikt o tym nie wiedział.

Po śmierci Sary Crossman pogrążył się w pracy, jak inni w alkoholizmie. I błyskawicznie robił karierę w FBI. Widząc wzburzenie szefa, Marie ujęła go za rękę, a on wyszeptał pytanie, absurdałne, bo odnosiło się do zmarłej:

–Czy ona... Czy dobrze się miewa?

–Tak.

Zapadła cisza, a Crossman tylko ścisnął dłoń Marie. Potem wyszeptał drżącym głosem:

–Czy czegoś jej trzeba?

–Nie. Ale pan wciąż potrzebuje jej. Sara próbuje z panem rozmawiać, ale pan jej nie słyszy. Próbuje powiedzieć, że od dwunastu lat jest przy panu. Nie przez cały czas, ale często. Wraca. Zostaje przez chwilę i odchodzi. Czując wzbierające łzy, Crossman wspomina wszystkie te chwile, kiedy czuł unoszącą się w powietrzu woń lawendy. Jak teraz, w tym ogromnym salonie w Białym Domu, gdzie alkohol lał się strumieniami.

–Co mówi?

–Że jest szczęśliwa tam, gdzie jest teraz, i chce, żeby pan także był szczęśliwy. Mówi, że nie cierpiała, umierając. Dzieci też nie. I mówi, że musi pan o niej zapomnieć, zacząć nowe życie. Crossmana dławi szloch.

–Boże, tak bardzo mi jej brakuje... Cisza.

–Czy... Czy może jej pani powiedzieć, że się postaram?

–Niech pan sam jej to powie. Jest tu. Słucha pana.

–A potem?

–Co „potem”?

–Czy wróci?

–Zawsze, gdy będzie panu potrzebna, pojawi się przy panu. A w końcu, kiedy ból przeminie, odejdzie.

–W takim razie proszę jej powiedzieć, że się nie zgadzam.

–Stuarcie, tak trzeba. Musi pan pozwolić, żeby już odeszła.

–Gdzie jest teraz?

–Przed panem.

Łagodnie unosząc rękę Crossman szepnął coś w gwarnym salonie. Powiedział

Sarze, że przeprasza, że tamtego ranka się z nią nie pożegnał, że jej nie pocałował. Po chwili milczenia opuszcza rękę i pyta: Czy wciąż tu jest?

–Odchodzi.

Crossman wciągnął powietrze, starając się zatrzymać znikający zapach lawendy. Założył ciemne okulary, żeby zasłonić oczy, i powiedział:

–Nigdy więcej nie będziemy o tym mówili, zgoda? Marie skinęła głową i już nigdy nie wrócili do tej rozmowy.

Mimo to Crossman wysłał Marie na drugi koniec świata, żeby wcieliła się w starą zakonnice, która zamurowała się w podziemiach klasztoru.

Drgnął, czując dłoń Valentyny na swym ramieniu. Zwraca na nią ukryte za ciemnymi szklami oczy i zamiera, dostrzegając, jak bardzo jest podobna do Marie. Chrząka, żeby pozbyć się kłębka, który rośnie mu w gardle. W dali, za oknem, widać zieloną dolinę Padu i szczyty Dolomitów. Tam, gdzieś w tych górach, jest Marie. Crossman wyczuwa silny zapach lawendy. Zamyka oczy.

Czarny dym nad Watykanem stopniowo rzednie i rozprasza się, w miarę jak strumień wody pokonuje płomień w podziemiach. Tłum zgromadzony na ulicach obserwuje przebieg akcji, kamery pracują bez przerwy. Nikt nie wznosi oczu w górę, nikt nie widzi dwóch kardynałów, którzy idą ścieżką wart w otoczeniu szwajcarów. Dotarli już prawie do murów fortecy Świętego Anioła, pozostało im ledwie kilka metrów, i oto kardynał Giovanni odwraca się i wzdycha.

–Teraz wszystko przepadło.

–Co takiego?

–Archiwa, zwoje, papieska korespondencja. Stary Mendoza uśmiecha się pobłażliwie.

–Watykan przetrwał większe nieszczęścia na przestrzeni wieków i szybko odradza się z popiołów. Poza tym nie to jest najważniejsze. To, co płonie w podziemiach, to tylko papiery.

Trochę starych książek i sfatygowanych zwojów.

–Co więc jest najważniejsze?

–Co więc jest najważniejsze?

–Czy me lepiej byłoby ją zniszczyć?

–Później, tak.

–Kiedy?

–Kiedy ją przeczytamy i zgłębimy jej tajemnicę. To nie-oszacowany skarb. Tylko ta ewangelia pozwoli nam poznać prawdziwą naturę naszych wrogów.

–Na cóż się nam zda ta wiedza, skoro ostami kardynałowie Czarnego Dymu nie żyją?

–Nie żyją? Czy Eminencja jest tego pewien?

–Co Wasza Eminencja ma na myśli?

–Że herezje nigdy nie umierają na stosach. Heretycy tak, ale nie herezje. Oni wrócą. Nie wiem, jak i kiedy, ale wrócą. A wtedy musimy być gotowi.

Cisza. Docierają do zachodniej wieży zamku Świętego Anioła. Krata zamyka się za nimi ze zgrzytem. Po kręconych kamiennych schodach idą w głąb ziemi. Robi się coraz chłodniej.

–Dokąd mnie Eminencja prowadzi?

–Do najtajniejszych zakątków Watykanu. Tam gdzie od wieków spoczywa to, co najważniejsze. Prawdziwe skarby chrześcijaństwa. Jak już powiedziałem, cała reszta to tylko papier.

Giovanni stracił rachubę czasu. Ewangelia ciąży mu w ramionach, jakby ważyła całe tony, jakby wiedziała, że zmierza ku ostatniemu miejscu, gdzie już na zawsze spowie ją mrok. Oddział dotarł do stóp schodów. Gwardziści zatrzymali się przed ciężką, spiżową kratą, przy której nieustannie pełnili wartę halabardnicy. Krata zgrzytała, rozsuwając się wolno. Mendoza wyjaśnił Giovanniemu, że poza papieżem i sekretarzem stanu nikt nie ma prawa przekraczać tej bramy.

–Tylko my wiedzieliśmy o istnieniu tego miejsca. Po śmierci

papieża, wobec dezorganizacji Kurii, ujawniam Eminencji sekret, którego należy strzec aż do śmierci. Rozumiemy się? Giovanni kiwa głową. Cztery potężne stalowe haki blokują kratę, która skryła się w kamiennej ścianie. Teraz widać tylko jej okucia. Powiew zimnego powietrza niemal gasi pochodnię w ręku Giovanniego, który idzie za Mendozą wąskim korytarzem wyku-tym w skale. Korytarz łagodnie spada w dół, mozaikowa posadzka lśni w świetle pochodni. Giovanni idzie tak przez minuty, które dłużą się jak godziny. Wsłuchuje się w stukot laski Mendozy, odbijający się echem w tej ciszy. Stary kardynał zatrzymuje się. Unosi pochodnię i oświetla Średniowieczną bramę, której grube jak ściana skrzydła i masywne zamki miały przetrwać szturm tarana. W drewnie wyryto inskrypcję:

TU ZACZYNA SIĘ KRES, TU KOŃCZY SIĘ POCZĄTEK. TU DRZEMIE TAJEMNICA POTĘGI BOŻEJ. PRZEKLĘTE I OGNIEM WYPALONE NIECHAJ BĘDĄ OCZY, KTÓRE ZWRÓCĄ SIĘ NA TEN TEKST. Giovanni wytrzeszcza oczy.

–Taki sam napis widnieje na ewangelii!

–To dewiza pustelnic, ostatnie ostrzeżenie powtarzane przez wieki szaleńcom i głupcom, którzy chcieliby sprofanować tajemnicę wiary. Dlatego Inkwizycja oślepiła ludzi, którzy poznali takie sekrety.

–Co jest za tymi drzwiami?

Dotykając florentyńskiego zamka, który uruchamia ciężkie sztaby w skrzydle drzwi, kardynał do połowy wsuwa klucz, a następnie przekręca go o ćwierć obrotu w prawo. Zgrzyt. Teraz wsuwa klucz do końca i dwukrotnie obraca go w lewo, a potem raz w prawo. System blokad porusza się, słychać głucho zgrzyty i uderzenia – blokady przesuwają się w łożyskach, a drzwi zaczynają się otwierać.

–Proszę tu na mnie poczekać.

Giovanni odprowadza wzrokiem Mendozę. Po chwili kroki starego kardynała cichną w sali, która jest tak duża, że widoczna w dali pochodnia przypomina zapałkę. Starzec dotarł do ściany. Giovanni czuje się, jakby został sam. Widzi, jak pochodnia pochyla się i przekazuje płomień innej. Potem już ogień przenosi się sam i łańcuch pochodni na ścianie oświetla wnętrze dzięki genialnemu systemowi knotów nasączonych woskiem.

Giovanni rozgląda się – sala jest jeszcze większa niż sądził. Młody kardynał widzi rzędy kamiennych stołów, a na nich rozmaite przedmioty okryte ciężkimi, czerwonymi tkaninami. W suchym powietrzu unosi się zapach wosku. Czuć tu także woń kamienia, kurzu i czasu. Giovanni podchodzi do stojącego teraz na środku sali Mendozy. Starzec bierze z jego rąk ewangelię i wsuwają pod tkaninę. Giovanni zdąża tylko dostrzec inne stare rękopisy, które już tam leżą. Potem tkanina opada, a wokół unosi się obłok kurzu.

–Kardynale Mendoza, co właściwie znajduje się w tej sali?

–Wspomnienia. Stare kamienie. Drzazgi prawdziwego Krzyża. Archeologiczne zabytki zaginionych cywilizacji, pamiątki po prastarej religii odnalezione w jaskiniach. Twórcy Boga. Zapada cisza.

–Co jeszcze?

–Manuskrypty. Apokryficzne ewangelie, których istnienie Kościół przez wieki utrzymywał w tajemnicy. Ewangelia Marii i Macieja, trzynastego apostoła. I Józefa, a także Jezusa.

–Jezusa? Co w niej jest?

–Wkrótce się dowiesz, kardynale, będziesz następny.

Giovanniego przebiega dreszcz na te słowa, które usłyszał już w bazylice z ust konającego kamerlinga.

–Kim następnym będę?

–Następnym papieżem.

–Tego niestety nikt nie potrafi odgadnąć!

–Przeciwnie. Eminencja jest tak młody, ja jestem bardzo stary! Kardynałowie z Kurii są przerażeni, łatwo ich będzie przekonać. Zobaczysz, synu. Uczynią cię następnym papieżem. A wtedy się dowiesz... Dowiesz się wszystkiego.

–I będę papieżem, który włada na pogorzelsku, tak?

–Jak oni wszyscy, Patrizio.

Kardynał Mendoza podnosi dźwignię, żeby zgasić światła. Mosiężne kapturki opadają równocześnie na pochodnie, słychać skwierczenie. Giovanni słyszy stukanie laski Mendozy. Po raz ostatni dotyka ewangelii według Szatana. Ma wrażenie, że skóra oprawy delikatnie pulsuje pod aksamitem i że bije od niej niezwykle ciepło.

–Idziemy?

Młody kardynał odwraca się do stojącego w drzwiach sali Mendozy. Starzec wygląda jak posąg. Giovanni podchodzi do niego i po chwili ciężkie drzwi sali zamykają się ze zgrzytem.

Ciemność. Matka Izolda od dawna nie żyje. Parks poczuła to, gdy palce zaciskające się na jej szyi zwiotczały, a pomarszczona powłoka z wolna odłączyła się od jej ciała. Kokon martwej skóry porzucony w pyle – to wszystko, co zostało ze starej mniszki, która udusiła się tu przed siedmiuset laty. Teraz, pogrążona w transie, który więzi ją w tej wnęce, Marie jest zupełnie sama. Tocząc błędnym wzrokiem, siedzi na jakiejś kamiennej ławce, tam, za ścianą, a równocześnie tkwi uwięziona w tym grobie. I choć we wnęce już dawno zabrakło tlenu, nie może umrzeć.

Teraz wspomina smród, który wypełnił podziemia, gdy otworzyła oczy. Kaleb mógł ją zabić. A jednak tego nie zrobił. Wolał skazać ją na długą udrękę mentalnego zamurowania -na wizję muru, podwójnego więzienia, z którego Marie nie mogła się wyrwać. Tylko Carzo mógł wyprowadzić ją z transu, szepcząc jej do ucha właściwe słowa i Kaleb dobrze o tym wiedział.

Podążała za egzorcystą myślą, gdy oddalał się od Bolzano. Jego walka z Kalebem toczyła się nadal w przedziale pociągu, przez całą noc. O świcie Kaleb przegrał. Marie była tego pewna, bo słyszała w myślach głos Carza. Dotarł na dworzec w Rzymie, miał jeszcze coś do załatwienia. Znalazł się u celu podróży. Uwięziona myślami w ciasnej wnęce, Marie słyszała dzwony, krzyki i strzały. Rozplakała się, kiedy egzorcysta padł na posadzkę, cierpiała wraz z nim, gdy jego krew zalewała marmur, gdy serce biło coraz wolniej. Potem kontakt się urwał. Była jednak pewna, że gdzieś w dali serce Carza wciąż bije. Teraz on także utknął gdzieś w głębi siebie i, jak ona, czekał na śmierć. Odgłos kroków. Marie czuje, że jej paznokcie drapią ścianę.

Próbuje poruszyć ustami, żeby wołać o pomoc. Przez moment ma nadzieję, że Carzo przyszedł po nią, i szepcze jego imię.

220

–Jest tu!

Omiatając korytarze snopem światła latarki, Valentina dostrzega skuloną na kamiennej ławce postać. To młoda kobieta. Crossman podbiega do niej, a karabinierzy penetrują podziemia Bolzano.

–Marie?

Cisza. Crossman kieruje światło latarki na szeroko otwarte, zapatrzone w pustkę oczy. Wysuwa rękę i zamiera, bo skóra Marie jest lodowata. Przytyka ucho do jej piersi. Prostuje się.

–Już za późno.

–Może jednak nie.

Valentina odpycha Crossmana, przywołując w pamięci słowa, które Carzo wypowiedział tuż przed utratą przytomności. Potem pochyla się i szepcze Marie do ucha:

–Marie, musisz się teraz obudzić.

Pod palcami Valentyny drobna żyłka, której błękit prześwituje przez skórę na nadgarstku Parks, zaczyna leciutko pulsować. Potem tętni już mocniej. Valentina

wpatruje się w nią. Ciemne kręgi pod oczyma Marie zaczynają znikać. Jej rysy odprężają się, nozdrza zaczęły falować. Białe jak papier policzki zabarwiły się różem. Z ust wymyka się strumień powietrza. Jej piersi falują. Zamyka oczy, a po chwili je otwiera. A potem tuli się do Valentyny i wybucha płaczem.

MINAŁ MIESIĄC...

221

Piąta rano. Agentka specjalna Marie Parks śpi jak zabita. Połknęła trzy pigułki, żeby zapomnieć wycie Rachel i zaciśnięte na swojej szyi palce matki Izoldy. Teraz śpi ciężkim, bezbarwnym snem, jak za ścianą, przez którą nie przebijają się żadne bodźce z otaczającego ją świata. Jeszcze nie śni. A jednak jakieś drgnienia podświadomości próbują przedrzeć się przez chemiczną barierę środków nasennych. Okruchy obrazów. Nagle zaciska się jej gardło. Kilka kropel adrenaliny wnika do krwiobiegu i rozszerza naczynia. Tętno staje się szybsze, nozdrza drgają, a na skroniach pulsują niebieskie żyłki. Obrazy nabierają wyrazistości, ożywają.

Świece rozpraszają mrok. W powietrzu bzyczą chmary much. Czuć zapach wosku i trupów. Krypta. Marie otwiera oczy. Jest naga, rozpięta na krzyżu. Gwoździe przebijające jej nadgarstki i kostki mocno tkwią w drewnie. Marie drży z bólu. U stóp krzyża stoi Kaleb. Patrzy na nią. Jego oczy błyszczą pod kapturem.

Marie jest zimno. Trupy zniknęły. Zamiast nich pojawiły się dziesiątki pustelnic, które modlą się na klęcznikach. Patrzą na Marie. Kaleb wznosi ręce i powtarza gesty kapłana odprawiającego mszę – wznoszącego kielich i hostię, symbole krwi i ciała Chrystusa. Pustelnice stają w szeregu wzdłuż nawy głównej, aby przyjąć komunię. Kaleb wyciąga sztylet. Marie drży. Ciało, które pustelnice wezmą do ust, krew, którą będą piły, klęcząc

przed ołtarzem, będą jej ciałem i krwią. Wije się na krzyżu. Kaleb podchodzi. Wolno zsuwa kaptur. Marie zaczyna krzyczeć. Bo twarz, którą ma przed sobą, jest twarzą ojca Carzo.

222

Piąta dziesięć. Dzwonek telefonu rozdziera ciszę. Marie podskakuje. Usta ma suche, odrętwiałe, jeszcze czuje w nich niesmak po alkoholu i papierosach. W dali słyhać wycie karetki. Kobieta otwiera oczy. Za oknem hotelowego pokoju zaczyna świtać. Firanki delikatnie falują, poruszane przez wiatr. W półmroku migocze czerwony neon, Sam Wong Hotel w Chinatown w San Francisco. Marie pełną piersią wdycha zapachy miasta. Blade światło, które wypełnia teraz pokój, ostatecznie przegania koszmary. Gdzieś daleko rozbrzmiewa syrena okrętowa. To pewnie statek towarowy przepływa pod Golden Gate Bridge. Marie odbiera telefon po szóstym sygnale. Słyszy głos ojca Carzo.

–Spała pani?

–A ojciec?

–Wyspałem się już za wszystkie czasy.

–To tak jak ja. Marie wyciąga rękę po leżące na stoliku nocnym papierosy.

–Jest pani tam? Zaciąga się.

–Tak.

–Czekam na panią.

–Zaraz będę.

Odkłada słuchawkę, gasi papierosa i wchodzi do łazienki. Odkręca bardzo gorącą

wodę w kabynie prysznicowej, rozbiera się i drży pod strumieniem wody, która parzy jej skórę. Przymyka oczy, próbując się pozbierać. To przekłete paskudztwo na sen...

223 Watykan

Tłum zgromadzony na placu Świętego Piotra nie jest tak liczny jak podczas poprzedniego konklawe. I nie tak cichy. Jedni śpiewają, inni się modlą, jeszcze inni na czymś grają. Wszyscy usiłują zapomnieć o tym, co przeżyli. Trauma ostatnich tygodni była zbyt silna. Tak silna, że gdyby zapytać pielgrzymów, co zapamiętali z tych posępnych dni, większość odparłaby, że mają wrażenie, iż do zabójstwa na papieżu doszło przed wielu laty. Poza tym zachowali w pamięci tylko biało-czarne sceny, obrazy pozbawione kolorów. I jeszcze słupy czarnego dymu, który wydobywał się z okien bazyliki, gdy płonęły archiwa. Służby porządkowe ciężko się napracowały, żeby usunąć z dachów Watykanu warstwę popiołu. W pośpiechu odnawiano wiele budynków, przywracano biel i czerwień placowi, organizowano radosne obchody i wieczorne modły, żeby przywrócić wiernym nadzieję i pomóc im w zapomnieniu. O dziwo, żaden z pielgrzymów nie przypominał sobie ewangelii przyniesionej

przez mnicha, który wyrósł jak spod ziemi przed ołtarzem. Żaden z wiernych nie zapamiętał też dokładnie tekstu odczytanego przez papieża Czarnego Dymu. Wiedzieli, że mówił coś o wielkim kłamstwie, o tym, że Chrystus nie zmartwychwstał, ale jego słowa szybko popadły w zapomnienie, bo były to słowa pozbawione treści, prawdy tak nieakceptowalne, że wystarczyło jedno kazanie sekretarza stanu kardynała Mendozy, by je przekreślić. Z czasem wszystko wróciło do normy. Przez dwa tygodnie w salach Pałacu Apostolskiego obradowali kardynałowie przygotowujący konklawe, które zaczęło się przed dwoma dniami. Odbyło się już sześć głosowań, a wciąż nie wybrano papieża i sześciokrotnie nad Kaplicą Sykstyńską wzbil się czarny dym. Jednak około południa rozeszły się pogłoski o wyłonieniu większości i prawdopodobnym dokonaniu wyboru tego wieczoru. Dlatego też na placu Świętego Piotra znów zgromadziły się tłumy ludzi, którzy modlili się razem pod okiem zwróconych na komin kaplicy kamer.

Szepty obiegają tłum. Unoszą się ręce, płyną łzy. Kamery robią zbliżenia komina, z którego teraz buchają kłęby białego dymu.

Komentatorzy obwieszczają zakończenie konklawe. Biją dzwony. Tłum zwraca oczy na balkon bazyliki, którego okiennice otworzą się lada chwila. Ludzie o wszystkim już zapomnieli i wcale o tym nie myślą.

Po wyjściu z Sam Wong Hotel Marie rozkoszuje się zapachem melisy, który unosi się w uliczkach dzielnicy chińskiej. Mimo wczesnej pory Chinatown tętni już życiem. Sklepiki i stragany zaczynają handel, na chodnikach stoją kartony z przyprawami. Marie przechodzi przez California Street i przystaje przy dystrybutorze gazet. Strona tytułowa „USA Today” krzyczy wielkimi literami:

SERIA SAMOBÓJSTW I ARESZTOWAŃ W ŚWIECIE FINANSJERY. TRWA WIELKA CZYSTKA. Wsuwa do szczeliny jednodolarówkę i unosi szklaną pokrywę. Potem zapala papierosa i skupia uwagę na drugiej stronie gazety.

Kilku magnatów finansjery i dyrektorów koncernów międzynarodowych musiało odejść w ostatnich dniach na skutek publikacji szokujących dokumentów, dotyczących funkcjonowania darmowego przesyłu danych w sieci Net. Wspomniane dokumenty przedstawiają strukturę organizacyjną potężnej sieci malwersacji finansowych. Macki tej struktury miały sięgać większości liczących się firm giełdowych. Zanim wymienione spółki zdążyły zareagować, miliony internautów ściągnęły dokumentację, którą teraz przekazują sobie mieszkańcy całego globu. Wydaje się więc, że trzęsienie ziemi, które zaczęło się po serii upadków wielkich banków międzynarodowych, jeszcze się nie zakończyło. Nikt już nie liczy, ile osób aresztowano, a ile targnęło się na własne życie w środowisku zamieszanych w sprawę bankierów i właścicieli wielkich firm. FBI zadała zdradziecki cios najpotężniejszej, jak się wydaje, strukturze prania pieniędzy, która jak się dowiedzieliśmy z naszych źródeł,

patronowała zorganizowanej przestępczości i organizacjom terrorystycznym.

Marie zwija gazetę w kulkę i rzuca do śmietnika. Te sławetne międzynarodowe organizacje terrorystyczne... W ten sposób Crossman wymusił na Departamencie Stanu masowe aresztowanie ludzi z tej siatki. Ale to nie był koniec. Wystarczy parę miesięcy, może kilka lat, by Novus Ordo dokonał głębokiej reorganizacji i znów przeszedł do ofensywy. Marie gasi papierosa obcasem i zwraca twarz ku słońcu. W rażącym świetle mruży oczy, żeby spojrzeć na filary Golden Gate Bridge, które do połowy toną we mgle. Dzień będzie upalny.

Rusza w stronę centrum. Przy Hyde wsiada do starego tramwaju, który jedzie Market Street w kierunku wzgórz San Francisco. Oparta o poręcz przygląda się starym kamienicom i kolorowym wiktoriańskim domom, które przesuwają się przed jej oczyma. Motorniczy, stary Murzyn, potrząsa dzwonkiem i klnie jak szewc. Marie spogląda na niego z uśmiechem. Letni, słony wiatr rozwiewa jej włosy. Jest dobrze...

W Kaplicy Sykstyńskiej znów zapanowała cisza. Przy zapachu kadzideł kardynałowie elektorzy skłaniali się przed kardynałem Giovannim, któremu powierzyli Piotrowy tron. Dziekan tego grona pyta, czy Giovanni przyjmuje kanoniczny wybór na Biskupa Rzymskiego, a on odpowiada twierdząco. Potem dziekan kardynałów pyta, jakie obrał sobie imię. Giovanni odpowiada, że przyjmuje imię Macieja I, ku czci trzynastego apostoła. To oryginalne imię oznaczać będzie kres straszliwych zdarzeń, które rozegrały się w Watykanie.

Nowy papież przywdział białe szaty i kroczy teraz u boku dziekana oraz nowego kamerlinga labiryntem korytarzy do balkonu Świętego Piotra. Przed dzierżącym pastorał Maciejem I idzie protonotariusz, niosący w wyciągniętych rękach ciężki krzyż. Im bliżej balkonu, tym wyraźniej papież słyszy głos

tlumu. Ma wrażenie, że zmierza na rozpalony piasek areny, na którą wypuszczono dzikie zwierzęta. Obok siebie ma kardynała Mendozę, sekretarza stanu, który uśmiecha się szczerze i ciepło. Maciej I zdąża jeszcze pochylić się i szepnąć mu do ucha parę słów o sprawie, która intrygowała zgromadzonych na konklawe.

–A propos, Wasza Eminencja nie powiedział mi, czy ekipy ratownicze odnalazły na pogorzeliśku krzyż błogosławieństw.

Uśmiech starca blednie. To pytanie chyba go zaskoczyło.

–Pożar trawił Komnatę Tajemnic przez wiele godzin. Nie udało się, niestety, odnaleźć szczątków ciał, a krzyże zdążyły się stopić w tak wysokiej temperaturze.

–Eminencja jest tego pewien?

–A czy ktokolwiek rozważny mógłby mieć taką pewność, Wasza Świątobliwość?

Czując dotyk krzyża ubogich pod sutanną, Maciej zastanawia się, jak mógłby odpowiedzieć staremu kardynałowi na te enigmatyczne słowa.

Papież i jego świta ustawiają się na balkonie, a dziekan prezentuje światu nową głowę Kościoła. Protonotariusz z krzyżem stoi tuż obok. Po wypowiedzeniu nazwiska, a potem papieskiego imienia nowego Ojca Świętego Maciej staje przed tłumem. Wzmagają się okrzyki, brzmia brawa. Giovanni wychyla się i ogarnia spojrzeniem morze ludzkich głów na placu i ulicach. Wszyscy czekają na gest, uśmiech, słowo nadziei. Maciej I wolno unosi rękę i kreśli znak krzyża. W uszach wciąż brzmia mu słowa, które stary kamerling wyszeptał w bazylice: „To jeszcze nie koniec, Giovanni. Rozumiesz? To dopiero początek”.

Na ustach Macieja I pojawia się uśmiech. Pozdrowia wiernych. Campini miał rację. To dopiero początek.

Marie dotarła do klasztoru Matki Bożej Synajskiej. Idzie za starą, milczącą mniszką korytarzami. Mijając kolejne drzwi, słyszy dźwięk telewizorów, krzyki tłumu, bicie dzwonów. Wybrano nowego papieża.

–To tu.

Marie drży, słysząc głos starej mniszki, bo mogłaby przysiąc, że to głos pustelnicy, która prowadziła ją do celi w klasztorze w Denver. Zakonnica wskazuje jej drzwi. Marie wchodzi. W pokoju panuje półmrok. Blask telewizora pada na twarz leżącego w łóżku ojca Carzo. Przez trzy tygodnie był w śpiączce i przez te trzy tygodnie Marie czuwała przy nim bez chwili wytchnienia.

Egzorcysta wita młodą kobietę skinieniem ręki. Właśnie rozmawia z kimś przez telefon. Mówi po włosku. Marie patrzy na plac Świętego Piotra. Na ekranie telewizora z balkonu papież błogosławi zgromadzony tam, zwarty tłum. Carzo odkłada słuchawkę. Marie pyta, nie odwracając się:

–Kto to?

–Maciej I, do dziś kardynał Patrizio Giovanni. Będzie wielkim papieżem. Marie odwraca się do Carza. Jest bardzo blady.

–Z kim ojciec rozmawiał?

–Z Watykanem. Poinformowano mnie, że mam zostać nowym sekretarzem osobistym Ojca Świętego.

–Za usługi oddane ojczyźnie?

–Można to tak ująć.

Oboje milczą. Marie pochyla się, żeby pocałować Carza. Zauważa coś błyszczącego na jego piersi, pod piżamą, łańcuch, na którym wisi chyba krzyż. Gdy dotyka ustami policzka egzorcysty, przebiega ją dreszcz, bo jego skóra jest zimna jak lód. Baczej przygląda się jego twarzy. Carzo wydaje się skrajnie wyczerpany.

–Pójdę już.

–Tak szybko?

–Niedługo wpadnę znowu.

Ojciec Carzo przymyka oczy. Marie cofa się i wychodzi tyłem. Po drodze wyłącza telewizor. Ekran rzuca na pokój dziwny, fosforyzujący blask. Marie zatrzymuje się przy drzwiach.

–Jedno pytanie, Alfonso. Co to za krzyż, ten, który masz na szyi?

Cisza. Marie nasłuchuje. Ojciec Carzo zasnął. Naciskając klamkę, Marie mówi:

–Do zobaczenia, Alfonso.

–Bądź pozdrowiona, Marie.

Zamiera, słysząc niski głos, który wypowiedział te słowa, i kładzie dłoń na rękojeści pistoletu.

–Co powiedziałaś?

Wolno odwraca się w stronę ojca Carzo, który siedzi teraz na łóżku. Jego oczy błyszczą słabo w półmroku. Uśmiecha się.

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-12

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/